

Tajna miłość w czasach nienawiści, nędzy i zdrady

MARÍA  
DUEÑAS

# Krawcowa z Madrytu



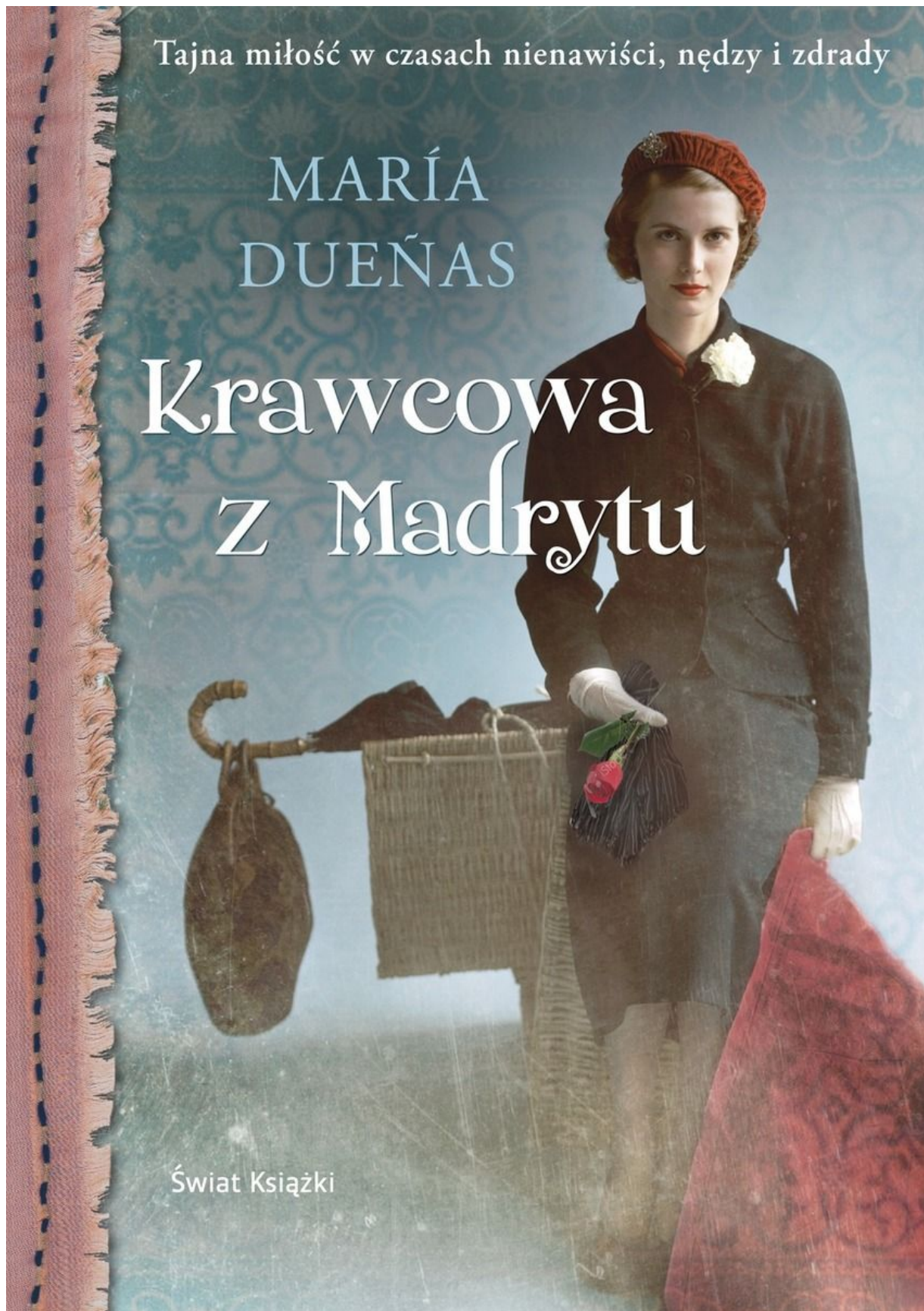
Świat Książki

Tajna miłość w czasach nienawiści, nędzy i zdrady

MARÍA  
DUEÑAS

# Krawcowa z Madrytu

Świat Książki





MARÍA  
DUEÑAS

# Krawcowa z Madrytu

Z hiszpańskiego przełożyła

*Dorota Elbanowska*

  
Świat Książki

Tytuł oryginału

EL TIEMPO ENTRE COSTURAS

Redaktor prowadzący

*Elżbieta Kobusińska*

Redakcja techniczna

*Lidia Lamparska*

Korekta

*Jolanta Spodar*

*Mirosław Grabowski*

Książka ukazała się dzięki dotacji the Directorate General of Books,  
Archives and Libraries of the Spanish Ministry of Culture

Copyright © 2009 María Dueñas

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Świat Książki Sp. z o.o.

Warszawa 2011

Copyright © for the e-book edition by Weltbild Polska Sp. z o.o., Warszawa 2011

Świat Książki

Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.

ul. Hankiewicza 2, 02-103 Warszawa

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych - jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-7799-278-4

Nr 90451535

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.

[virtualo.eu](http://virtualo.eu)

# Spis treści

[Dedykacje](#)

[Część pierwsza](#)

[Część druga](#)

[Część trzecia](#)

[Część czwarta](#)

[Epilog](#)

[Od autorki](#)

[Bibliografia](#)

# Dedykacje

*Mojej matce, Anie Vinuesa*

*Rodzinom Vinuesa Lope i Álvarez Moreno  
za pamięć o latach spędzonych w Tetuanie i  
nostalgię,  
z jaką wspominają tamte czasy*

*Wszystkim dawnym mieszkańcom  
Protektoratu Hiszpańskiego w Maroku  
i Marokańczykom, z którymi dzielili swoje życie*

# Część pierwsza

## 1

Mój los eksplodował za sprawą maszyny do pisania. Była to Hispano-Olivetti, od której przez długie tygodnie dzieliła mnie szyba sklepowej witryny. Patrząc na to z dzisiejszej perspektywy, zza parapetu minionych lat, trudno uwierzyć, że zwykłe mechaniczne urządzenie miało w sobie moc zdolną odmienić czyjeś życie i w cztery dni zniweczyć wszystkie misterne plany na przyszłość. Ale tak właśnie było i nie mogłam zrobić nic, żeby temu zapobiec.

W rzeczywistości nie miałam wówczas wielkich ambicji. Moje aspiracje dotyczyły spraw bliskich i swojskich, dostępnych na wyciągnięcie ręki, a skrojone były na miarę czasu i przestrzeni, w jakich przyszło mi żyć. W owych dniach mój świat obracał się powoli, wokół kilku osób, których obecność, jak mi się wtedy zdawało, była trwała i nieprzemijalna. Wśród nich pierwsze miejsce zajmowała matka. Pracowała jako starsza krawcowa w zakładzie modniarskim dla wykwintnej klienteli. Miała doświadczenie i dobry gust, ale nigdy nie była nikim więcej niż zwykłą krawcową, która jak wiele jej podobnych przez dziesięć godzin dziennie psuła sobie oczy i łamała paznokcie, krając, szyjąc, przymierzając i upinając na cudzych ciałach ubiory



przeznaczone dla innych osób, z rzadka tylko zaszczycających ją spojrzeniem. O ojcu wiedziałam niewiele. Właściwie nic. Nigdy go przy mnie nie było, a ja wcale nie odczuwałam tej nieobecności. Nie dopytywałam się też o niego, dopóki matka, gdy miałam osiem lub dziewięć lat, sama nie podjęła tego tematu, informując mnie skąpo i oględnie, że ojciec ma inną rodzinę i dlatego nie może mieszkać z nami. Przełknęłam te rewelacje z takim samym pośpiechem i ochotą jak ostatnie łyżki postnej zupy, której talerz stał przede mną na stole: bardziej mnie interesowała czekająca na podwórku zabawa niż życie obcego człowieka.

Urodziłam się latem 1911, w tym samym roku, w którym Pastora Imperio<sup>1</sup> poślubiła el Gallo, w Meksyku przyszedł na świat Jorge Negrete (Jorge Alberto Negrete Moreno (1911–1953),meksykański aktor i śpiewak) ,a w Europie dogasała gwiazda czasów zwanych belle époque. Z oddali dobiegały dźwięki bębnów zwiastujących pierwszą wielką wojnę, w madryckich kawiarniach czytano „El Debate” i „El Herald”, a na deskach teatrów, w rytm pikantnych piosenek, wyzywająco kołysała biodrami Chelito, rozpalając zmysły mężczyzn. Król Alfons XII, w przerwie między jedną miłostką i drugą, spłodził piątą ślubną córkę, a stojący na czele jego rządu liberał Canalejas nie przewidywał wówczas, że zaledwie rok później zginie z ręki ekscentrycznego anarchisty, który wpakuje mu dwie kulki w głowę przed księgarnią San Martin.

Dorastałam w środowisku umiarkowanie szczęśliwym i choć czasem trzeba było zacisnąć pasa, żyliśmy we względnym dostatku i bez wielkich wyrzeczeń. Nasz dom stał w ciasnej

ulicze starej madryckiej dzielnicy, niedaleko placu Paja, dwa kroki od Pałacu Królewskiego. O rzut kamieniem od tętniącego zgiełkiem serca miasta – w zapachu ługu, pośród suszącej się na sznurach bielizny, rozplotkowanych sąsiadek i wygrzewających się na słońcu kotów. Uczęszczałam do osiedlowej szkółki mieszczącej się w pokoiku na półpiętrze, gdzie w ławkach przeznaczonych dla dwojga dzieci tłoczyliśmy się po czworo, wśród przepychanek i kuksańców, by głośno recytować *Pieśń pirata* i tabliczkę mnożenia. Tam nauczyłam się czytania i pisania, czterech podstawowych działań matematycznych oraz nazw rzek przecinających zawieszoną na ścianie pożółkłą mapę. W wieku lat dwunastu zakończyłam kształcenie i zostałam przyjęta na uczennicę do zakładu krawieckiego, w którym pracowała moja matka. Naturalna kolej rzeczy.

Właścicielka, doña Manuela Godina, zajmowała się szyciem wytwornych strojów, doskonale skrojonych i wykończonych, znanych w całym Madrycie. Suknieienne i wieczorowe, płaszcze i peleryny, w których dystyngowane damy zadawały szyku na spacerach w alei Castellana, na hipodromie i meczach polo w Puerta de Hierro, w herbaciarni Sakuska i w kościele. Upłynęło jednak sporo czasu, nim zaczęłam zgłębiać sekrety krawiectwa. Najpierw byłam popychadłem od wszystkiego: wygarniałam węgiel z pieca i zmiatałam ścinki z podłogi, podgrzewałam żelazka, biegałam po nici i guziki na plac Pontejos. Znosiłam też do wybranych rezydencji gotowe stroje, zapakowane w wielkie worki z ciemnego płótna. Było to moje ulubione zajęcie, jedyna chwila wytchnienia i rozrywki początkującej adeptki krawiectwa. Tak poznałam ludzi

służących w najlepszych domach: szoferów i odźwiernych, pokojówki, gospodynie i lokajów. Obserwowałam – będąc ledwie zauważana – wytworne kobiety, ich córki i mężów. Jako niemy świadek wtargnęłam do ich mieszczańskich willi i arystokratycznych pałaców, do wnętrza pełnych przepychu i rodowych pamiątek. Bywało, że nie wpuszczano mnie dalej niż do przedpokoju, a pakunek odbierał ktoś ze służby, częściej jednak zapraszano do garderoby. Prowadzona przez niezliczone korytarze, zerkałam na mijane po drodze salony, pozerając wzrokiem dywany, bogato zdobione żyrandole, aksamitne kotary i lśniące czernią fortepiany, na których czasami ktoś grał, a czasami nie, i myślałam o tym, jak dziwne musi być życie w świecie tak różnym od mojego.

Ja zaś żyłam w obu tych światach, pogodzona z losem i wolna od wszelkiej rozterki, nie dostrzegając, jak bardzo są sobie obce. Z taką samą swobodą przemierzałam szerokie aleje, lawirując wśród ekwipaży, które zajeżdżały przed bramy bogatych rezydencji, jak i szalony labirynt krętych uliczek mojej dzielnicy, pełnych kałuż, śmieci, wrzasków przekupek i ujadania głodnych psów; uliczek, po których ludzie przemykali w pośpiechu, a gdy rozlegał się okrzyk „Uwaga, leci!”, uskakiwali pod najbliższy gzyms, żeby nie opryskała ich wylewana za okno zawartość nocnika. Stłoczeni w wynajętych pokojach rzemieślnicy, drobni handlarze, robotnicy i szukający dorywczej pracy przybysze z prowincji nadawali temu skrawkowi Madrytu ludowy koloryt. Przeważnie nie zapuszczali się poza znany sobie teren, jeśli nie byli do tego zmuszeni; za to matka i ja codziennie wczesnym rankiem

wyruszałyśmy żwawym krokiem na ulicę Zurbano, żeby zdążyć na czas do zakładu doñi Manueli.

Kiedy przepracowałam tam dwa lata, a sama skończyłam czternaście, postanowiły obie, że nadszedł czas, by nauczyć mnie szyc. Zaczęłam od rzeczy najprostszych: pętelek, obrębiania i fastrygi. Potem były dziurki, stebnowki i zakłady. Pracowałyśmy, siedząc na małych trzciniowych krzeselkach, pochylone nad opartymi na kolanach deskami, na których piętrzyły się zwoje materiału. Doña Manuela przyjmowała klientki, robiła wykroje, przymiarki i poprawki. Moja matka brała miarę i zajmowała się resztą: sama szyla to, co wymagało największej wprawy, innym przydzielala zadania na miarę umiejętności, nadzorowała wykonanie i pilnowała dyscypliny naszego małego batalionu, złożonego z pół tuzina doświadczonych modniarek, czterech lub pięciu młodych szwaczek oraz grupki rozgadanych praktykantek, zawsze bardziej skorych do śmiechu i plotek niż do roboty. Niektóre okazywały się uzdolnionymi krawcowymi, inne nie nadawały się do zawodu i do końca życia musiały wykonywać najbardziej niewdzięczne prace. Kiedy jedna odchodziła, na jej miejsce zaraz zjawiała się druga, włączając się w rozgardiasz i bałagan, jakże nielicujący z dostojną fasadą owego przybytku mody i chłodnej elegancji salonu, do którego wstęp miały tylko klientki. Poza nimi wyłącznie moja matka i doña Manuela mogły podziwiać ściany obite szafranowym jedwabiem; jedynie im wolno było dotykać mahoniowych mebli i stąpać po dębowej podłodze, polerowanej przez nas do połysku bawełnianymi szmatkami. Jedynie one widywały czasem słońce, którego blask

wlewał się do wnętrza przez cztery wysokie okna od ulicy. Reszta oddziału zawsze pozostawała w ariergardzie, zamknięta w szwalni, lodowatej zimą, a latem gorącej jak samo piekło, w owym szarym, ponurym gynecceum, którego dwa maleńkie okna wychodziły na ciemną studnię podwórza i w którym godziny mijały niby podmuchy wiatru, przy akompaniamencie skrzypiących nożyczek i nuconych półgłosem piosenek.

Uczyłam się szybko. Miałam zręczne palce, które wnet przywykły do smukłego kształtu szpilek i dotyku tkanin. Proporcje i rozmiary. Obwód biustu, stan i długość. Pacha, rękaw, skos. W wieku lat szesnastu umiałam rozpoznać rodzaj materiału, w wieku siedemnastu – określić gatunek, ocenić jego cechy i przydatność. Chińska krepa, jedwabny muślin, żorzeta, *chantilly*. Miesiące mijały jak w kieracie: jesienią grube wełniane płaszcze i stroje przejściowe, wiosną zwiewne suknie na długie kantabryjskie wakacje na jakże dla mnie odległych plażach w La Concha i El Sardinero. Skończyłam osiemnaście, potem dziewiętnaście lat. Stopniowo zgłębiałam tajniki kroju i konfekcjonowania najtrudniejszych do uszycia części ubrań. Nauczyłam się dobierać odpowiednie wykończenie, umiałam wymodelować kołnierze i wyłogi, by leżały bez zarzutu. Lubiłam swoją pracę, sprawiała mi radość. Matka, a nawet doña Manuela zasięgały czasami mojej opinii, zaczynały darzyć mnie zaufaniem. „Ta dziewczyna ma rękę i oko, Dolores – mawiała szefowa. – Jest dobra, a jeśli zechce, może być jeszcze lepsza. Ani się obejrzysz, jak cię prześcignie”. A matka robiła swoje, jakby wcale tego nie słyszała. Ja też udawałam, że nie słyszę, i jeszcze niżej pochylałam się nad szyciem. Zerkałam na

nią jednak kątem oka i widziałam, że jej wargi, pomiędzy których wystawały główki szpilek, unosiły się w nieznacznym uśmiechu.

Mijały lata, mijało życie. Zmieniała się moda, a praca w zakładzie krawieckim poddawała się jej dyktatowi. Po wielkiej wojnie w Europie zaczęły dominować w strojach linie proste, kobiety pozbyły się gorsetów i bez odrobiny wstydu coraz śmielej odsłaniały nogi. Jednakże kiedy szczęśliwe lata dwudzieste dobiegły końca, talia sukien powróciła na swoje naturalne miejsce, spódnice wydłużyły się, a skromność znów nadawała ton rękawom, dekoltom i gustom. Nadeszła nowa dekada, a z nią kolejne zaskakujące zmiany. Mnóstwo zmian, wszystkie naraz. Skończyłam dwadzieścia lat, Hiszpania stała się republiką i poznałam Ignacia. Pewnej wrześniowej niedzieli na potańcówce w La Bombilla, w rozhasanym tłumie niesfornych studentów, szwaczek i żołnierzy na przepustce, porwał mnie na parkiet, rozbawił i rozśmieszył. Dwa tygodnie później zaczęliśmy planować ślub.

Kim był Ignacio i jak wiele dla mnie znaczył? Mężczyzna mojego życia, myślałam wtedy. Spokojny chłopak, jakby stworzony na męża i ojca. Osiągnęłam już odpowiedni wiek, a dla dziewczyn takich jak ja, bez zawodu i wykształcenia, jedyną przyszłością było małżeństwo. Los mojej matki, która wychowywała mnie samotnie, harując od rana do nocy, nie wydawał mi się zachęcającym przykładem. A Ignacio był kimś, dzięki komu nie musiałam iść w jej ślady: u jego boku mogłam spędzić resztę swoich dni, nie budząc się co rano z goryczą samotności na wargach. Nie rozniecił we mnie wielkiej

namiętności, ale żywiłam do niego głębokie uczucie oraz pewność, że przy nim życie upływać mi będzie bez trosk i wstrząsów, miękkie i ciepłe jak poduszka.

Ignacio Montes miał być moją opoką, mężczyzną, na ramieniu którego wspierać się będę podczas tysiąca i jednego spaceru i przy którym zawsze będę się czuła bezpieczna. Dwa lata ode mnie starszy, chudy, uprzejmy, uległy i czuły. Ciało miał niewiele, za to wzrostu aż nadto, nienaganne maniery i serce gotowe kochać mnie z każdą godziną mocniej. Syn kastylijskiej wdowy, która liczyła każdy grosz trzymany w sienniku; przygodny mieszkaniec ubogich pensjonatów; aspirant do zawodu urzędnika i wieczny kandydat na ministerialne stanowiska, gotów przyjąć pracę na najniższym szczeblu w zamian za obietnicę dożywotniej pensji. Gdziekolwiek. W Ministerstwie Wojny, Rządu, Finansów. Prawie trzy tysiące peset rocznie, dwieście czterdzieści jeden miesięcznie. Marzenie o płacy ustalonej raz na zawsze po to, by na resztę swoich dni ugrzęznąć w cichym, potulnym świecie antyszambrów, postrzępionych papierów, pieczętek, bibuły i kałamarzy. Nasze rachuby na przyszłość tonęły w stojącej wodzie biurokracji – po kolejnych egzaminach z uporem odmawiano przyjęcia mojego Ignacia w poczet urzędników. On zaś, niezrażony, pisał podania. W lutym resort sprawiedliwości, w czerwcu rolnictwa, a potem od nowa.

Tymczasem, nie mogąc sobie pozwolić na kosztowne rozrywki, lecz desperacko pragnąc uczynić mnie szczęśliwą, obdarowywał mnie na miarę swoich mizernych możliwości: kartonowym pudełkiem pełnym jedwabników i liści morwy,

pieczonymi kasztanami w papierowej torebce i obietnicami dozgonnej miłości na trawie pod wiaduktem. W słoneczne niedzielne poranki słuchaliśmy razem orkiestry w Parku Zachodnim lub pływaliliśmy łódką na stawie w Retiro. Bujaliśmy się na huśtawkach przy dźwiękach katarynki, nie opuściliśmy żadnej zabawy i tańczyliśmy *chotis* z zegarową precyzją. Nie zliczę, ile popołudni spędziliśmy w parku Las Vistillas i ile filmów obejrzeliliśmy w osiedlowym kinie, półtorej pesety za wstęp. Walencjańska orszada była dla nas luksusem, a taksówka fantomem. Ignacio w swej czułości nie był uciążliwy, ale nie znał miary. Byłam jego niebem i gwiazdką, byłam najładniejsza, najlepsza. Moje włosy, moja twarz, moje oczy. Moje dłonie, moje usta, mój głos. Cała byłam przedmiotem zachwytów, radością jego duszy. A ja słuchałam, mówiłam, że jest głuptasem, i pozwalałam się kochać.

Życie w zakładzie krawieckim nie toczyło się wówczas zwykłym rytmem. Stawało się coraz trudniejsze, coraz bardziej niepewne. Wraz z ogłoszeniem Drugiej Republiki powiały niespokojne wiatry, które zachwiały beztroskim dobrobytem naszych klientek. Madrytem wstrząsały gwałtowne zamieszki, napięcie polityczne czuło się dosłownie wszędzie.

Bogacze w nieskończoność przedłużali wakacje na północy kraju, by nie wracać do zbuntowanej stolicy, gdzie na każdym placu gazeciarze sprzedawali lewicowe „Mundo Obrero”, a proletariusze coraz śmielej zapuszczali się z przedmieść aż na Puerta del Sol. Okazałe limuzyny znikły stopniowo z ulic ogarniętych nieustannym ludowym świętem. Sędziwe damy w żałobie odmawiały nowenny, modląc się o rychły upadek



Azańi<sup>2</sup>, a odgłosy strzałów słycać było codziennie, gdy tylko zapalały się gazowe latarnie. Anarchiści palili kościoły, falangiści butnie sięgali po broń. Arystokraci i kapitaliści zakładali na meble pokrowce, odprawiali służbę, ryglowali drzwi oraz okna i w pośpiechu wyjeżdżali za granicę, wywożąc z kraju swoje banknoty, lęki i kosztowności, stęsknieni za wygnanym królem i potulną Hiszpanią, która, jak sądzili, jeszcze kiedyś powróci.

Do zakładu doñi Manueli zaglądało coraz mniej kobiet, było coraz mniej zamówień i mniej do roboty. Stopniowo odpływały od nas uczennice i krawcowe, aż wreszcie zostałyśmy tylko ja, matka i właścicielka. Kiedy skończyłyśmy ostatnią suknię dla markizy de Entrelagos, a potem przez sześć dni tylko słycałyśmy radia, podczas gdy dzwonek przy drzwiach uparcie milczał, doña Manuela oznajmiła z ciężkim westchnieniem, że musi zamknąć interes.

Jednakże w owym burzliwym czasie, gdy polityczne awantury wstrząsały deskami teatrów, a rządy trwały nie dłużej niż trzy ojczenasze, nie miało sensu opłakiwanie strat. Po trzech tygodniach naszej przymusowej bezczynności pojawił się Ignacio z bukietem fiołków i nowiną, że nareszcie zdał egzaminy. Przygotowania do skromnego ślubu przesłoniły niepewność jutra i przy stole z piecykiem zaczęliśmy planować uroczystość. Chociaż wśród nowinek, jakie przyniosła ze sobą Republika, pojawiła się moda na śluby cywilne, moja matka, w której sercu samotne macierzyństwo współistniało zgodnie z niezłomnym katolicyzmem i nostalgiczną wiernością zdetronizowanemu monarsze, namówiła nas na ślub w

pobliskim kościele pod wezwaniem Świętego Andrzeja. Ignacio i ja przystaliśmy na to, bo jakżeby inaczej, skoro wedle naturalnej hierarchii on spełniał wszystkie moje życzenia, ja zaś bezdyskusyjnie poddawałam się woli matki. Nie miałam przy tym żadnego ważnego powodu do sprzeciwu. Cieszyłam się na tę chwilę dość umiarkowanie i było mi wszystko jedno, czy wyjdę za mąż przed ołtarzem, w obecności księdza w sutannie, czy w urzędzie stanu cywilnego, pod trójkolorową flagą.

Poszliśmy więc ustalić datę do tego samego proboszcza, który dwadzieścia cztery lata temu, w dniu ósmym czerwca, nadał mi – zgodnie z kalendarzem – imię Sira. Do wyboru były jeszcze Sabiniana, Wiktoryna, Gaudencja, Heraklia i Fortunata.

„Sira, ojczy, dajmy jej Sira. Przynajmniej krótko” – podjęła decyzję moja samotna matka. I tak zostałam Sirą.

Postanowiliśmy, że zaprosimy tylko rodzinę i kilkoro przyjaciół: mojego dziadka, okaleczonego na ciele i duszy w wojnie na Filipinach, pozbawionego nóg i rozumu niemego świadka naszych losów, tkwiącego w bujanym fotelu przy oknie w jadalni; matkę i siostry Ignacia, które miały przyjechać ze wsi; naszych sąsiadów z przeciwka, Engrację i Norberta, oraz ich trzech synów socjalistów, którzy byli dla mnie jak bracia; doinę Manuełę, która obiecała znów chwycić za igłę i nitkę, żeby podarować mi suknię ślubną, swoje ostatnie dzieło... ugościmy ich bezowym tortem, malagą i wermutem, może nawet uda się zamówić kapelę, żeby zagrała paso doble, a jakiś uliczny rysownik zrobi nam portret, żebyśmy mogli przyozdobić dom,

którego jeszcze nie mamy, więc na razie będziemy mieszkać u matki.

Akurat wtedy, w całym tym przedślubnym zamęcie, Ignacio wpadł na pomysł, bym przystąpiła do egzaminów i została urzędniczką, tak jak on. Świeżutka posada w administracji państwowej otworzyła mu oczy na świat republikańskiej biurokracji oraz ukazała perspektywy zawodowe, jakie zmiana ustroju rysowała przed kobietami, które mogły uwolnić się wreszcie od kuchni, garów i sprzątania, torując sobie łokciami drogę do kariery, i na równi z mężczyznami walczyć o lepszą przyszłość. Kilka kobiet już zasiadało w Kongresie, ogłoszono równouprawnienie płci w działalności publicznej, przyznano nam osobowość prawną, prawo do pracy i udziału w powszechnym głosowaniu. Mimo to wołałabym pewnie wrócić do szycia, ale Ignacio w niespełna trzy dni przekonał mnie do swoich racji. Stary świat tkanin i stebnówek runął, a nowa rzeczywistość otwierała przed nami swoje bramy: trzeba było iść z duchem czasu. Ignacio zaproponował, że sam mnie przygotuje: znał wszystkie tematy i miał bogate doświadczenie w sztuce składania i oblewania niezliczonych egzaminów tak, by się przy tym nie załamać. Byłam także świadoma, że muszę zakasać rękawy, bo po ślubie będziemy mieli na utrzymaniu całą czeredę ludzi: oprócz nas dwojga jeszcze matkę, dziadka i ewentualne potomstwo. Zgodziłam się zatem. Teraz brakowało tylko jednego: sprzętu, na którym mogłabym nabierać wprawy przed egzaminem z maszynopisania. Ignacio latami ćwiczył na cudzych maszynach, przeszedł istną drogę przez mękę na rozmaitych kursach, w oparach oleju, tuszu i potu udręczonych

uczniów. Chciał mi oszczędzić podobnych przeżyć, stąd pomysł, by zdobyć własne wyposażenie, na poszukiwanie którego wyruszyliśmy niezwłocznie, jakby chodziło o inwestycję na całe życie.

Operacja ta zajęła nam wiele tygodni. Rozważyliśmy wszystkie możliwości, liczyliśmy i przeliczyliśmy bez końca. Nie miałam pojęcia o pożyczkach i kosztach, ale wydawało mi się, że najlepsze byłoby coś małego i lekkiego. Dla Ignacia wielkość była obojętna, za to dużą wagę przykładał do ceny, rat i mechanizmu. Odwiedziliśmy wszystkie punkty sprzedaży w Madrycie, godzinami oglądaliśmy wystawy i nauczyliśmy się wymawiać cudzoziemskie nazwy, przywodzące na myśl odległe kraje i nazwiska aktorów filmowych: Remington, Royal, Underwood. Równie dobrze mogliśmy zdecydować się na każdą inną markę; równie dobrze mogliśmy nabyć sprzęt amerykański lub niemiecki, ostatecznie jednak wybraliśmy włoską Hispano-Olivetti. Skąd mogliśmy wiedzieć, że wchodząc do sklepu przy ulicy Pi y Margall, by kupić zwykłą maszynę do pisania, wydaliśmy wyrok śmierci na naszą wspólną przyszłość i nieodwracalnie zmieniliśmy koleje losu.

## 2

– Nie wyjdę za Ignacia, mamó.

Próbowała nawlec igłę i na moje słowa znieruchomiała, ściskając nitkę dwoma palcami.

– Coś ty powiedziała, dziecko? – wyszeptała. Głos z trudem przeciskał się jej przez gardło, pełen konsternacji i niedowierzania.

– Zrywam z nim. Zakochałam się w innym.

Zganiła mnie w najostrzejszych słowach, jakie mogły jej przejść przez usta, zaklinała niebiosa, błagała o wstawiennictwo wszystkich świętych w komplecie i na wszelkie sposoby próbowała mnie nakłonić do cofnięcia decyzji. Kiedy przekonała się, że to wszystko na nic, usiadła, jak dziadek, w bujanym fotelu, zasłoniła rękoma twarz i zaczęła płakać.

Z pozornym hartem ducha przetrzymałam tę chwilę, usiłując pokryć zdenerwowanie stanowczym tonem głosu. Obawiałam się reakcji matki: Ignacio zastąpił jej syna, którego nigdy nie miała, zapełnił męską próżnię w naszej małej rodzinie. Prowadzili ze sobą długie rozmowy, mieli własne sprawy, rozumieli się doskonale. Matka dogadzała mu obiadekmi, czyściła buty i nicowała stare marynarki, żeby przywrócić im zwykowny wygląd. On zaś obsypywał ją komplementami, kiedy stroiła się w niedzielę do kościoła, przynosił jej słodycze i pół żartem, pół serio mawiał czasem, że jest ładniejsza ode mnie.

Byłam świadoma, iż moja samowolna decyzja zburzy ową wygodną stabilizację, wiedziałam, że nie tylko moje życie straci punkt oparcia. Ale byłam nieugięta: nie będzie żadnego ślubu, nie będzie żadnych egzaminów, nie będę stukać w klawisze maszyny, grzejąc nogi przy ukrytym pod obrusem piecyku, nie będę mieć z Ignaciem dzieci i nigdy nie będę dzielić z nim łoża, radości ani łez. Zostawię go, bo żadna siła nie zawróci mnie z obranej drogi.

Firma Hispano-Olivetti z dumą prezentowała przechodniom swe produkty w dwóch ogromnych sklepowych witrynach. Pomiedzy nimi widniały szklane drzwi z ukośnym drążkiem ze

lśniącego mosiądzu. Ignacio pchnął je i weszliśmy do środka. Dźwięk dzwonka zaanonsował nasze przybycie, ale nikt się nie zjawił, żeby nas obsłużyć. Przez parę minut staliśmy onieśmieleni i rozglądaliśmy się wokół z nabożnym respektem, nie mając odwagi nawet musnąć wypolerowanych drewnianych półek eksponujących cuda techniki, spośród których mieliśmy wybrać odpowiedni dla nas sprzęt. W głębi przestronnego salonu sprzedaży dostrzegliśmy drzwi do biura, skąd dochodziły jakieś męskie głosy.

Nie musieliśmy dłużej czekać, bo właściciel jednego z głosów zauważył wreszcie, że ma klientów. Postawny mężczyzna w ciemnym garniturze uklonił się nam uprzejmie i zapytał, czego sobie życzymy. Ignacio zaczął tłumaczyć, po co nam maszyna; wypytywał o szczegóły techniczne i prosił o radę. Subiekt z zawodowym kunsztem roztoczył przed nami całą swą fachową wiedzę, rozwodząc się szeroko nad charakterystyką każdego z wystawionych urządzeń. Profesjonalnie, szczegółowo, sprawnie; z taką dokładnością i monotonią, że po dwudziestu minutach o mało nie zasnęłam z nudów. Ignacio tymczasem chłonał te informacje wszystkimi zmysłami, zapomniawszy o mnie i o wszystkim oprócz rozważań nad zaletami oferowanych mu maszyn. Nie interesowało mnie to ani trochę, więc zostawiłam ich samych. Ignacio na pewno dokona słusznego wyboru. Co mnie obchodzi częstotliwość uderzeń, dźwignie i brzęczyki marginesu?

Żeby jakoś zabić czas, rozglądałam się wokół, szukając czegoś, co mogłoby mnie zainteresować. Obejrzałam wielkie afisze reklamujące firmowe produkty kolorowymi rysunkami i

napisami w niezrozumiałych językach; potem podeszłam do okna i patrzyłam na ludzi idących ulicą. Niechętnie ruszyłam z powrotem w głąb sklepu.

Jedną ze ścian zajmowała wielka szafa z oszklonymi drzwiami. Przyjrzałam się swojemu odbiciu, zauważyłam, że kilka kosmyków wymknęło mi się z koka, i uporządkowałam włosy; wyszczypałam policzki, żeby przydać znudzonej twarzy odrobinę rumieńców. Następnie bez pośpiechu zlustrowałam swój wygląd. Wystroiłam się do sklepu w najlepszy kostium – w końcu był to dla nas dzień wyjątkowy. Podciągnęłam opadające pończochy, sprawdziłam, czy spódnica dobrze leży na biodrach i w talii, przygładziłam klapy żakietu. Raz jeszcze poprawiłam uczesanie, starannie obejrzałam się z przodu i z boku. Wypróbowałam różne pozy, zrobiłam kilka tanecznych kroków i uśmiechnęłam się do siebie. Kiedy znudziłam się kontemplacją własnej osoby, powróciłam do wędrówki po sklepie. Chcąc jakoś zabić czas, błąkałam się apatycznie wśród polerowanych mebli, których gładka powierzchnia aż kusila, by jej dotknąć. Najmniej uwagi poświęcałam temu, co było celem naszej wizyty – dla mnie wszystkie te maszyny różniły się wyłącznie wielkością: jedne duże i przysadziste, inne małe i zgrabne; jedne lekkie, inne ciężkie; w moich oczach były tylko kupą mechanicznych gratów, pozbawionych wszelkiego powabu. Niechętnie przystanąłam przed jedną z nich i wyciągnawszy palec, udawałam, że naciskam klawisze. S, i, r, a. „Sira”, powtórzyłam szeptem.

– Śliczne imię.

Silny męski głos odezwał się tuż za mną, tak blisko, że niemal poczułam na skórze oddech jego właściciela. Po plecach przebiegł mi dreszcz, odwróciłam się gwałtownie.

– Ramiro Arribas – powiedział, wyciągając rękę.

Nie zareagowałam od razu, może dlatego, że nie przywykłam, by ktoś przedstawiał mi się tak grzecznie, a może jeszcze nie ochłonęłam z emocji wywołanej tak nagłym pojawieniem się nieznanego.

Kim jest ten człowiek i skąd się tu wziął? Niepytany, sam to wyjaśnił, wciąż patrząc mi głęboko w oczy:

– Jestem kierownikiem sklepu. Przepraszam, że wcześniej państwa nie obsłużyłem, próbowałem dodzwonić się na centralę międzymiastową.

I przyglądałem się pani przez żaluzje zasłaniające oszklone drzwi biura, zapomniał dodać. Wyraźnie dał mi to do zrozumienia. Wyczytałam to z jego spojrzenia, z jego głosu; z tego, że podszedł do mnie, a nie do Ignacia, i z tego, jak długo trzymał moją rękę w swojej dłoni. Wiedziała, że mnie obserwował, że patrzył, jak błąkam się po jego sklepie. Widział, jak stałam przed oszkloną szafą; jak poprawiałam włosy i ubranie, jak przesuwając ręką po nogach, żeby wygładzić pończochy. Zza barykady biurka chłonął powolny rytm moich kroków i kołysanie bioder. Otaksował mnie, oszacował sylwetkę i rysy twarzy. Oceniał wprawnym okiem kogoś, kto świetnie wie, czego chce, a swoje pragnienia zwykł zaspokajać natychmiast. Nie krył tego wcale. Nigdy dotąd nie spotkałam takiego mężczyzny, nigdy nie sądziłam, że mogę kogoś aż tak pociągać. Ale ten sam pierwotny instynkt, z jakim zwierzęta wyczuwają



pożywienie lub niebezpieczeństwo, podpowiedział mi, że Ramiro Arribas podkradł się tu jak wilk, żeby na mnie zapolować.

– To pani mąż? – zapytał, wskazując na Ignacia.

– Narzeczony – wykrztusiłam.

Może było to tylko przywidzenie, ale zdawało mi się, że w kącikach jego warg dostrzegam uśmiech zadowolenia.

– Świetnie, w takim razie pozwoli pani ze mną.

Przepuścił mnie przodem, kładąc przy tym rękę na moim biodrze takim gestem, jakby całe życie czekał na tę chwilę. Uprzejmie przywitał się z Ignaciem, odesłał subiekta do biura, po czym niedostrzegalnie przejął inicjatywę – jak prestidigitator, który jednym kłaśnięciem płoszy wyczarowane z kapelusza pierzchliwe gołębie. Pewny siebie, z włosami lśniącymi od brylantyny, z szerokim uśmiechem na wyrazistej szczupłej twarzy, tak władczy, męski i stanowczy, że biedny Ignacio wyglądał przy nim jak cień mężczyzny.

Usłyszawszy, że chcę się uczyć maszynopisania, pochwalił ów zamiar, jakby chodziło o najgenialniejszy z pomysłów. W oczach mego narzeczonego zyskał uznanie jako kompetentny fachowiec, który ze swadą objaśniał mu wszelkie techniczne szczegóły, proponując przy tym korzystny system spłat. Dla mnie był czymś więcej: dreszczem, magnesem, przeznaczeniem.

Dopięcie transakcji zajęło nam dłuższą chwilę. Przez cały czas Ramiro Arribas nawet na sekundę nie dawał mi spokoju. Przelotne muśnięcie, jakiś zarcik, uśmiech; półsłówka i spojrzenia, którymi przeszywał na wskroś moją duszę. Ignacio,

zajęty bez reszty zakupem, nieświadomy tego, co się dzieje na jego oczach, zdecydował się w końcu na walizkową letterę 35, z białymi, okrągłymi klawiszami, na których litery i cyfry wyglądały niczym wyryte subtelnym dłutkiem artysty.

– Doskonały wybór – pochwalił Ramiro Arribas, jakby omamiony jego kupieckimi sztuczkami klient podjął tę decyzję z własnej woli. – To maszyna wprost wymarzona dla smukłych paluszków pańskiej narzeczonej. Czy mogę...

Nieśmiało podałam mu rękę. Przedtem spojrzałam na Ignacia, niepewna, czy się zgodzi, ale on jak urzeczony wpatrywał się w maszynę. W obliczu naiwnej bierności mojego mężczyzny Ramiro Arribas zaczął pieścić mi dłoń niespiesznie i bezczelnie, każdy palec z osobna, ze zmysłowością, od której dostałam gęsiej skórki, a nogi trzęsły mi się jak gałązki osiki w podmuchach letniego wiatru. Puścił mnie dopiero, kiedy Ignacio oderwał wzrok od swojej wymarzonej lettery 35, żeby uzgodnić szczegóły transakcji. Ustalili, że na razie wystarczy zaliczka w wysokości pięćdziesięciu procent ceny, a następnego dnia wpłacimy resztę.

– Kiedy możemy odebrać maszynę? – zapytał Ignacio.

Ramiro Arribas zerknął na zegarek.

– Posłaniec załatwia sprawy na mieście i dzisiaj już chyba nie wróci. Obawiam się, że do jutra nie zdąży przywieźć innego egzemplarza.

– A ta tutaj? Nie moglibyśmy wziąć tej? – nalegał Ignacio. Podjąwszy wreszcie decyzję co do modelu, chciał jak najszybciej zakończyć wszelkie zbędne jego zdaniem formalności.

– Ależ, drogi panie! Nie mogę pozwolić, żeby panna Sira dostała maszynę używaną przez innych klientów. Jutro z samego rana będę miał nowiutki sprzęt, z pokrowcem i walizką. Proszę mi podać adres – zwrócił się do mnie – a osobiście dopilnuję, by jeszcze przed południem dostarczono pani zakup.

– Odbierzemy ją w sklepie – przerwałam.

Czułam, że ten człowiek zdolny jest do wszystkiego, i wpadłam w popłoch na myśl, że zjawi się w domu mojej matki i zapyta o mnie.

– Będę miał czas dopiero wieczorem, muszę być w pracy – wtrącił Ignacio. Gdy wypowiadał te słowa, miałam wrażenie, że wokół jego szyi owija się z wolna niewidzialny sznur. Wystarczyło lekko pociągnąć, by zacisnąć pętlę.

– A panna Sira?

– Ja nie pracuję – odparłam, nie patrząc mu w oczy.

– Może więc przyjdzie pani wcześniej i uiści resztę kwoty – zaproponował obojętnym tonem.

Nie wiedziałam, jak się wymówić, a mój narzeczony nawet nie przypuszczał, że ta pozornie zwyczajna propozycja odcina nam drogę ucieczki. Ramiro Arribas odprowadził nas do drzwi i pożegnał wylewnie, jakbyśmy byli najlepszymi klientami w historii jego sklepu. Lewą ręką serdecznie poklepał Ignacia po plecach, a prawą raz jeszcze uściśnął moją dłoń. I dla każdego z nas znalazł właściwe słowa:

– Proszę mi wierzyć, don Ignacio, Hispano-Olivetti to doskonały wybór. Dobrze pan zrobił, odwiedzając nasz sklep.

Zapewniam, że długo nie zapomni pan tego dnia... A panią, Siro, zapraszam do nas jutro, około jedenastej. Będę czekał.

Nie mogłam zasnąć. Przez całą noc przewracałam się na łóżku. To było czyste szaleństwo, jeszcze miałam czas, żeby się uratować. Wystarczyło nie wrócić więcej do tamtego sklepu. Mogłam zostać w domu, z matką, pomóc jej w trzepaniu sienników i pastowaniu podłóg lnianym olejem; pogawędzić z sąsiadkami na skwerku, pójść na targ La Cebada po kwaterkę ciecierzycy albo dzwonko dorsza. Mogłam poczekać, aż Ignacio wróci z ministerstwa, i usprawiedliwić się przed nim pierwszą lepszą wymówką: nie poszłam, bo bolała mnie głowa, bo myślałam, że będzie deszcz. Mogłam już dziś udawać, że się źle czuję, a wtedy załatwiłby wszystko sam, zapłacił, odebrał maszynę i byłoby po wszystkim. Nigdy więcej nie usłyszelibyśmy o Ramirze Arribasie, nigdy więcej byśmy go nie spotkali. Jego imię stopniowo odchodziłoby w zapomnienie, a my dalej wiedlibyśmy zwykłe, spokojne życie. Jakby nigdy nie pieścił moich palców gestem jawnego pożądania; jakby nigdy nie pożerał mnie wzrokiem zza sklepowych żaluzji. To było takie łatwe, takie proste. I dobrze o tym wiedziałam.

Tak, wiedziałam, ale udawałam, że nie wiem. Nazajutrz poczekałam, aż matka wyjdzie po sprawunki; nie chciałam, żeby widziała, jak się stroję – zaczęłaby podejrzewać, że coś ukrywam, bo niby dlaczego od rana jestem taka elegancka. Gdy tylko usłyszałam trzaśnięcie drzwi, zaczęłam się szykować do wyjścia. Zużyłam do mycia całą miednicę wody, skropiłam się lawendą, podgrzałam w piecyku żelazko do włosów, wyprasowałam swoją jedyną jedwabną bluzkę i zdjęłam ze

sznura pończochy, które schły tam przez noc. Musiałam wyprać te, które nosiłam poprzedniego dnia, bo nie miałam innych. Założyłam je, z trudem hamując pośpiech. Musiałam uważać, żeby nie poszło w nich oczko. Każda z tych mechanicznych czynności, tysiące razy powtarzanych w ciągu ostatnich lat, miała tego dnia jednego adresata, jeden cel: był nim Ramiro Arribas. Dla niego się ubrałam i wyperfumowałam, żeby mnie zobaczył, żeby mnie poczuł, żeby mnie dotknął i znów zatonął spojrzeniem w moich oczach. Dla niego rozpuściłam włosy, lśniące, opadające na plecy. Dla niego zacisnęłam w talii pasek tak mocno, że prawie nie mogłam oddychać. Dla niego, wszystko tylko dla niego.

Stanowczymi, szybkimi krokami szłam przez miasto, ścigana pożądanym wzrokiem i bezczelnymi komplementami mijanych po drodze mężczyzn. Zmuszałam się, żeby nie myśleć, nie oceniać swoich postępów, i udało mi się uniknąć rozważań nad tym, dokąd mnie zaprowadzą: do raju czy prosto pod nóż. Zostawiłam za sobą Costanilla de San Andrés, przeszłam przez Plaza de los Carros i ruszyłam Cava Baja w stronę Plaza Mayor. Po dwudziestu minutach znalazłam się na Puerta del Sol. W niespełną pół godziny dotarłam na miejsce, świadoma, że idę na spotkanie losu.

Ramiro już czekał. Gdy tylko dostrzegł mnie przez szybę, przerwał rozmowę z subiektem i ruszył do drzwi, chwytając w locie kapelusz i płaszcz. Kiedy stanął przede mną, chciałam mu powiedzieć, że przyniosłam pieniądze, że Ignacio przesyła pozdrowienia i że pewnie jeszcze dzisiaj zacznę naukę pisania na maszynie. Nie pozwolił mi mówić. Nawet się nie przywitał.

Uśmiechnął się tylko, nie wyjmując papierosa z ust, musnął ręką moje plecy poniżej talii. „Chodźmy” – rzucił krótko. I poszłam za nim.

Miejsce, do którego się udaliśmy, nie mogło być bardziej niewinne – zabrał mnie do Café Suizo. Stwierdziwszy z ulgą, że jestem bezpieczna, uznałam, iż jeszcze nie wszystko stracone. Kiedy Ramiro szukał wolnego stolika, pomyślałam nawet, że takie zachowanie nie wykracza pewnie poza przyjęte ramy kurtuazji wobec klientki. Zaczynałam podejrzewać, iż jego ostentacyjne zaloty są jedynie wytworem mojej nazbyt bujnej wyobraźni. Jakże się myliłam. Mimo niegroźnych pozorów nasze drugie spotkanie pchnęło mnie na skraj przepaści.

– Od wczoraj nie mogłem ani na chwilę przestać o tobie myśleć – szepnął mi na ucho, gdy tylko usiedliśmy.

Poczułam, że nie potrafię zdobyć się na odpowiedź. Słowa, zanim zdążyłam je wypowiedzieć, roztapiały się gdzieś w mózgu niby cukier w gorącej wodzie. Wziął mnie za rękę i tak jak poprzednio głaskał ją, wpatrzony w moje palce.

– Masz odciski... Powiedz mi, czym zajmowały się te dłonie, zanim przyszedł do mnie.

Słyszałam jego głos, bliski i zmysłowy, wyraźny na tle dochodzącego zewsząd szmeru porannych rozmów, pokrzykiwania kelnerów składających przy barze zamówienia, brzęku szkła i porcelany stawianej na marmurowych stolikach.

– Szyciem – wyszeptałam ze spuszczonej oczami.

– A więc jesteś modniarką.

– Byłam. – Przemogłam się i podniosłam wzrok. – Ostatnio trudno o pracę – dodałam.

– I dlatego chcesz teraz nauczyć się pisać na maszynie.

Mówił tonem poufałym, serdecznym, jakbyśmy dobrze się znali, jakby nasze dusze czekały na siebie od stworzenia świata.

– Mój narzeczony wpadł na pomysł, żebym przygotowała się do egzaminu na urzędniczkę i podjęła pracę w biurze, tak jak on – powiedziałam, trochę zawstydzona.

Rozmowa się urwała, bo przyniesiono nasze zamówienie: dla mnie filiżankę czekolady, dla Ramira kawę czarną jak noc. Odwrócił się i zagadnął o coś kelnera, a ja skorzystałam z tej chwili, żeby wreszcie mu się przyjrzeć. Ubrany był inaczej niż poprzednio, ale koszulę miał tak samo nienaganną. Jego zachowanie było pełne elegancji, lecz przez te wyrafinowane maniere, tak obce mężczyznom z mojego środowiska, przebijała męskość wyczuwalna w każdym geście – kiedy palił, kiedy poprawiał węzeł krawata, kiedy wyjmował z kieszeni portfel, nawet kiedy podnosił do ust filiżankę.

– Nie chcę być niedyskretny, ale dlaczego kobieta taka jak ty chce się zamknąć w jakimś ministerialnym biurze? – odezwał się, wypiwszy łyk kawy.

Wzruszyłam ramionami.

– Żeby nam się żyło łatwiej.

Przysunął się bliżej, znowu poczułam jego gorący oddech, usłyszałam rzucone półgłosem pytanie:

– Naprawdę chcesz, żeby ci się żyło łatwiej, Siro?

Zanurzyłam usta w czekoladzie, aby nie odpowiadać.

– Pobrudziłaś się. Pozwól, że wytrę.

Wyciągnął rękę i w skupieniu wodził palcami po mojej twarzy, obrysowując kontur podbródka i szczęki, jakby to właśnie jego dłoń uformowała kiedyś ów kształt. Powoli, delikatnie potarł kciukiem domniemaną plamkę w kąciku ust. Nie protestowałam. Mieszanina obawy i rozkoszy sprawiła, że na chwilę zamarłam bez ruchu.

– Tutaj też – mruknął niskim, ochrypłym głosem.

Przesunął palcem wzdłuż dolnej wargi, jeszcze wolniej, jeszcze delikatniej. Po plecach przebiegł mi dreszcz, wpiłam paznokcie w pluszowe obicie krzesła.

– I tutaj...

Pieścił teraz moje usta, całe, milimetr po milimetrze, wolno, coraz wolniej. Czuałam, że zapadam się w studnię bez dna, w jakąś miękką głębię, której nie umiałam nazwać. Nieważne, czy naprawdę umazałam się czekoladą, czy nie. Nieważne, że trzej czcigodni starcy przy sąsiednim stoliku zaniemówili raptem, kontemplując w podnieceniu ową niecodzienną scenę, owładnięci gwałtownym pragnieniem, żeby odmłodzić o trzydzieści lat.

Nagle do kawiarni wtargnęła grupka hałaśliwych studentów i czar chwili prysł niczym bańka mydlana. Wówczas, jakbym gwałtownie ocknęła się ze snu, uświadomiłam sobie wszystko naraz: że podłoga wcale nie usunęła mi się spod nóg, że za chwilę zacznę całować palce obcego mężczyzny, że po moim lewym udzie przesuwają się czyjaś gorąca dłoń i że tylko krok dzieli mnie od przepaści. Odzyskawszy przytomność umysłu, zerwałam się z miejsca i chwytając w pośpiechu torebkę,



przewróciłam szklankę z wodą, którą kelner przyniósł mi razem z czekoladą.

– Tu są pieniądze za maszynę. Mój narzeczony odbierze ją dziś wieczorem – powiedziałam, kładąc na marmurowym blacie zwitek banknotów.

Przytrzymał mnie za nadgarstek.

– Zostań, Siro. Nie bądź na mnie zła.

Wyrwałam się jednym szarpnięciem. Nie spojrzałam na niego, nie pożegnałam się nawet. Odwróciłam się na pięcie i z wymuszoną godnością ruszyłam w stronę drzwi. Dopiero wtedy zauważyłam, że zamoczyłam spódnicę, a po lewej nodze ścieka mi strużka wody.

Nie poszedł za mną, prawdopodobnie wyczuł, że na nic by się to zdało. Ale kiedy odchodziłam, wypuścił za mną swoją ostatnią strzałę:

– Przyjdź jeszcze kiedyś. Wiesz, gdzie mnie szukać.

Udałam, że nie słyszę. Przyspieszyłam kroku, torując sobie drogę w ciżbie studentów, i zniknęłam w ulicznym tłumie.

Przez osiem dni kładłam się spać z nadzieją, że rano będzie inaczej, i osiem razy budziłam się z tą samą obsesją: Ramiro Arribas. Nawet na chwilę nie mogłam go wyrzucić ze swoich myśli, jego wspomnienie osaczało mnie bez przerwy: kiedy słałam łóżko, kiedy wycierałam nos, kiedy obierałam pomarańczę i na każdym stopniu schodów. Wszędzie widziałam jego twarz, jak wygrawerowaną na siatkówce moich oczu.

W tym samym czasie Ignacio i matka snuli w najlepsze plany naszego ślubu, trochę zdziwieni, że nie podzielałam ich

entuzjazmu. Nic mi się nie podobało, nic mnie nie interesowało. Myśleli pewnie, że to z emocji. Ja zaś starałam się ze wszystkich sił nie myśleć o Ramirze, wyrzucić z pamięci jego głos, ciepło palców pieścących moje usta, dotyk ręki przesuwającej się po moim udzie i słowa, jakie rzucił mi na pożegnanie, kiedy wychodziłam z kawiarni, przekonana, że w ten sposób kładę kres szaleństwu. Przyjdź jeszcze kiedyś, Siro. Wróć.

Walczyłam ze wszystkich sił. Walczyłam i przegrałam. Nie byłam w stanie wykrzesać z siebie odrobiny rozsądku w obliczu bezwstydnego pożądania, jakie budził we mnie ten mężczyzna. Na próżno szukałam czegoś, czego mogłabym się uchwycić, by nie zatonać. Ani myśl o przyszłym mężu, którego za niecały miesiąc miałam poślubić, ani lojalność wobec matki, która tyle wysiłku włożyła, żeby wychować mnie na kobietę uczciwą i odpowiedzialną, ani fakt, iż nie wiedziałam, kim był ów człowiek i jaki los czekał mnie u jego boku – nic nie zdołało mnie powstrzymać.

Po dziewięciu dniach od czasu pierwszej wizyty w firmie Hispano-Olivetti wróciłam tam znowu. Tak jak wtedy powitał mnie dźwięk dzwonka przy drzwiach. Nie było już jednak grubego subiekta, nie było chłopca sklepowego, nie było nikogo – tylko Ramiro.

Podeszłam do niego, starając się, żeby stukot moich obcasów zabrzmiał pewnie, zdecydowana wyrecytować przygotowane słowa. Nie powiedziałam nic. Nie dał mi szansy. Objął mnie i wycisnął na moich ustach pocałunek tak gwałtowny, tak cielesny i namiętny, że w jednej chwili wszystkie moje skrupuły stopniały w kałużę słodkiego syropu.

Ramiro Arribas miał trzydzieści cztery lata, bogatą przeszłość i moc uwodzenia tak potężną, że potrafiłaby skruszyć nawet beton. Z początku kuszenie, niepewność, obawa. Potem namiętność i otchłań. Chłonełam powietrze, którym oddychał. Przy nim nie szłam, lecz unosiłam się nad chodnikiem. Niechby rzeki wystąpiły z brzegów, domy waliły się w gruzy, z mapy miasta znikły ulice, niechby niebo runęło na ziemię, a cały wszechświat zapadł mi się pod stopami, to nic, byle tylko Ramiro był ze mną.

Ignacio z matką zaczęli podejrzewać, że dzieje się ze mną coś dziwnego, coś, co wykracza poza zwykłe przedślubne emocje. Nie potrafili jednak odkryć powodów mojej niezrozumiałej ekscytacji, nie domyślali się prawdziwej przyczyny zagadkowych min, tajemniczych zniknięć i wybuchów histerycznego śmiechu, który nie zawsze mogłam stłumić. Kruchą równowagę tego podwójnego życia udało mi się zachować tylko przez kilka dni, jednak wystarczająco długo, by zrozumieć, że z każdą minutą szala przechyla się coraz wyraźniej na stronę Ramira. Nim upłynął tydzień, wiedziałam już, że muszę z tym skończyć, zrobić ostatni krok dzielący mnie od przepaści. Nadeszła chwila, by jednym zamaszystym ruchem ściąć przeszłość niczym łan zboża. Równo z ziemią.

Wieczorem przyszedł do nas Ignacio.

– Zaczekaj na mnie na skwerku – szepnęłam przez uchylone drzwi.

Matce powiedziałam o wszystkim przy kolacji, on też powinien się wreszcie dowiedzieć. Wyszłam pięć minut później. Usta miałam uszminkowane, w jednej ręce nową torebkę, a w

drugiej walizeczkę z letterą 35. Czekał w tym samym miejscu, co zawsze, na zimnej kamiennej ławeczce, gdzie przesiedzieliśmy tyle godzin, planując wspólną przyszłość, która nigdy nie miała nadejść.

– Chcesz odejść z innym, prawda? – zapytał, kiedy usiadłam obok niego.

Nawet na mnie nie spojrzął; w skupieniu wpatrywał się w ziemię, rozdeptując czubkiem buta grudki zaschniętego błota.

Kiwnęłam głową. Stanowcze „tak” bez słów. Kto to jest, zapytał. Powiedziałam. Wokół nas rozbrzmiewały zwykłe, swojskie dźwięki: dziecięce głosy, szczekanie psów i pobrzękiwanie rowerowych dzwoneczków; dzwony od Świętego Andrzeja wzywające na wieczorną mszę, turkot kół po bruku, porykiwania mułów, strudzonych u schyłku dnia. Ignacio długo milczał, zanim odezwał się znowu. Musiał wyczuć we mnie tyle uporu i determinacji, że nawet nie próbował okazać zaskoczenia moją decyzją. Nie tragizował i nie żądał wyjaśnień. Wypowiedział tylko jedno zdanie, powoli, jakby bezwiednie:

– Nigdy nie będzie cię kochał tak jak ja.

A potem wstał i z maszyną do pisania pod pachą ruszył w pustkę. Odwrócony do mnie plecami, oddalał się w mętym świetle ulicznych latarni, powstrzymując być może chęć rozbicia lettery 35 o bruk.

Spoglądałam za nim długo. Patrzyłam, jak odchodzi z mojego skwerku, coraz bardziej odległy, coraz mniej widoczny, dopóki nie wchłonął go jesienny zmierzch. Jakżebym chciała oplakiwać jego utratę, zadręczać się krótkim i tak smutnym pożegnaniem, obwiniać, że zniszczyłam nasze wspólne marzenia. Ale nie

mogłam. Nie wylałam ani jednej łzy, nie czyniłam sobie żadnych, najmniejszych choćby wyrzutów. Zaledwie minutę po tym, jak straciłam go z oczu, wstałam z kamiennej ławki i odeszłam. Zostawiłam za sobą moją dzielnicę, moich bliskich, mój mały świat. Tam na zawsze pozostała moja przeszłość, a ja wyruszyłam na spotkanie nowego życia; czułam, że będzie jasne i piękne, bo nie wyobrażałam sobie wówczas większego szczęścia niż znaleźć się w objęciach Ramira.

### 3

Przy nim zaznałam nowego życia. Nauczyłam się być niezależna od matki, mieć służącą i żyć z mężczyzną. Dogadzać mu, spełniać każde życzenie i robić wszystko, by go uszczęśliwić. Poznałam też inny Madryt: miasto wykwintnych lokali i przybytków mody; widowisk, restauracji i nocnego życia. Koktajle w Negresco, Granja del Henar i w Bakaniku. Premiery filmowe w Real Cinema z orkiestrą na żywo, Mary Pickford na ekranie, czekoladkami, które wkładał mi do ust Ramiro, i pocałunkami, którymi ja obsypywałam koniuszki jego palców, prawie umierając z miłości. Carmen Amaya w teatrze Fontalba, Raquel Meller na scenie Maravillas. Flamenco w Villa Rosa, kabaret w Palacio del Hielo. Ów Madryt tętniący wielkomięjskim życiem, w którym Ramiro i ja zatraciliśmy się bez reszty, jakby nie istniało żadne wczoraj i żadne jutro. Jakbyśmy musieli korzystać z każdej chwili, by nasycić się światem, bo przyszłość może nie nadejść nigdy.

Co takiego było w Ramirze, czego mi zadał, że w ciągu zaledwie kilku tygodni moje życie stanęło na głowie? Jeszcze

dzisiaj, po tylu latach, mogę z zamkniętymi oczami wyliczyć wszystko, co mnie w nim wówczas pociągało, i jestem przekonana, że gdybym urodziła się sto razy, sto razy znów bym się w nim zakochała. Ramiro Arribas, ujmujący światowiec, przystojny do szaleństwa. Kasztanowe włosy zaczesane do góry, olśniewający szyk, postawa męska w każdym calu i optymizm, jakim tryskał przez siedem dni w tygodniu, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dowcipny, błyskotliwy, zmysłowy, obojętny na polityczne zacierzowanie owych czasów, jakby jego królestwo nie było z tego świata. Miał przyjaciół po obu stronach barykady, przy czym ani jednych, ani drugich nie brał na serio, wizjoner i marzyciel, zawsze umiał rzucić odpowiednie słówko, zrobić stosowną minę. Obrotny i zaradny, nigdzie nie potrafił zagrzać miejsca. Dziś sprzedawał włoskie maszyny do pisania, wczoraj niemieckie samochody, co było przedwczoraj, to już nieważne, a co będzie za miesiąc, Bóg jeden wie.

Cóż takiego Ramiro widział we mnie, dlaczego zakochał się w skromnej krawcowej, która szykowała się do ślubu z pozbawionym aspiracji urzędnikiem? Byłam jego pierwszą prawdziwą miłością, przysięgał to tysiące razy. Oczywiście, miewał przedtem inne kobiety. Ile, pytałam. Kilka, ale żadnej takiej jak ty. I całował moje usta, a ja omdlewałam ze szczęścia. Łatwo też mogłabym dzisiaj wyliczyć wszystkie komplementy, jakimi mnie obsypywał, pamiętam całą listę. Wybuchowa mieszanka dziecięcej naiwności i boskiej urody, mówił. Nieoszlifowany diament. Czasami traktował mnie jak małą dziewczynkę i choć starszy był tylko o dziesięć lat, zdawało się, że dzielą nas wieki. Uprzedzał każdy mój kaprys, robił

wymyślne niespodzianki. Kupował mi jedwabne pończochy prosto z Lyonu, kremy i perfumy, kubańskie lody z czerymoją, z mango, z mlekiem kokosowym. Uczył mnie posługiwać się najdziwniejszymi sztuczkami, prowadzić morrisa, rozszyfrowywać nazwy dań wypisane w karcie i zaciągać się dymem z papierosa. Opowiadał mi o ludziach i artystach, których kiedyś poznał; wspominał dawnych przyjaciół i roztaczał cudowne wizje tego, co nas czeka w jakimś odległym zakątku globu. Rysował mapę świata i sprawiał, że doroślałam. Znikała gdzieś wówczas mała dziewczynka, a na jej miejsce pojawiała się dojrzała kobieta. A wtedy, nie bacząc na mój niedostatek wiedzy i przeżyć, pragnął mnie, wielbił taką, jaka byłam, trzymał w ramionach tak mocno, jakby tylko moje ciało utrzymywało go na burzliwej powierzchni życia.

Już pierwszego dnia wprowadziłam się do jego kawalerskiego mieszkania przy placu Las Salesas. Nie wzięłam ze sobą prawie nic, jakby moje życie zaczynało się od nowa; jakbym była kimś innym i narodziła się raz jeszcze. Szalone, nieobliczalne serce i kilka fatalaszków stanowiły jedyny majątek wniesiony przeze mnie do domu kochanka. Od czasu do czasu odwiedzałam matkę, która żeby jakoś związać koniec z końcem, brała do domu drobne zlecenia krawieckie. Ramira nie lubiła. Potępiała jego postępowanie. Oskarżała go o to, że sprowadził mnie na złą drogę, że posłużył się swoją pozycją i dojrzałym wiekiem, aby omamić naiwną dziewczynę, uwieść ją i odciągnąć od najbliższych. Nie podobało jej się, że żyłam z nim bez ślubu, że zostawiłam Ignacia i że nie jestem już taka jak dawniej. Żebym nie wiem jak się starała, nigdy nie zdołałam jej przekonać, że

Ramiro do niczego mnie nie zmuszał, że popchnęła mnie do tego tylko miłość. Miłość, której nie mogłam się oprzeć. Nasze sprzeczki stawały się z dnia na dzień coraz bardziej gwałtowne, raniłyśmy się nawzajem coraz mocniej. Na każdą zaczepkę odpowiadałam impertynencją, na każdy zarzut – pogardą. Do wyjątków należały wizyty, które nie kończyły się płaczem, krzykiem i trzaskaniem drzwiami. Nasze spotkania były coraz krótsze i coraz rzadsze, i coraz bardziej oddalałyśmy się od siebie.

Aż pewnego dnia zbliżyłyśmy się ponownie. I to ona zrobiła pierwszy krok, prawdopodobnie wbrew własnej chęci, wystąpiła bowiem w roli posłańca. Niemniej jednak – co było do przewidzenia – nasze życie znów stanęło na zakręcie. Któregoś dnia zjawiała się u nas koło południa. Ramiro już wyszedł, a ja spałam. Poprzedniej nocy byliśmy w teatrze na sztuce z Margaritą Xirgú, potem wpadliśmy jeszcze do Le Cock. Położyliśmy się dopiero o czwartej nad ranem, a ja byłam tak zmęczona, że nawet nie miałam siły zmyć makijażu, bez którego od niedawna nie pokazywałam się na mieście. Przez sen słyszałam, jak Ramiro po dziesiątej wychodził z domu, przez sen słyszałam krzątanicę Prudencii, gosposi, która jak co dzień przysłała zaprowadzić porządek w naszym bałaganiarskim gospodarstwie. Przez sen słyszałam, jak idzie po mleko i bułeczki, a wkrótce potem przez sen usłyszałam, że ktoś dobija się do drzwi. Pomyślałam, że jak zwykle wróciła po klucze. Wstałam niechętnie i w fatalnym humorze poszłam jej otworzyć, wołając: „Idę, już idę!”. Nic na siebie nie włożyłam – dla głupiej kuchty nie musiałam się fatygować. Zaspana



uchyliłam drzwi i zamiast Prudencii zobaczyłam moją matkę. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Ona chyba też, przynajmniej z początku. Zmierzyła mnie tylko spojrzeniem od góry do dołu, zatrzymując kolejno wzrok na potarganych włosach, rozmazanym tuszu do rzęs, resztach szminki i skąpej koszulce, która odsłaniała znacznie więcej, niż pozwalała na to przyzwoitość. Poczułam się nieswojo i spuściłam oczy. Może byłam zbyt otumaniona po zarwanej nocy, a może rozbroił mnie wyraz rodzicielskiej przygany malujący się na twarzy matki.

– Wejdz, nie stój tak – powiedziałam, próbując ukryć zakłopotanie wywołane tą niespodziewaną wizytą.

– Nie chcę przeszkadzać. Spieszę się. Przyszłam tylko po to, żeby ci przekazać pewną wiadomość.

Sytuacja była napięta i dziwaczna. Nigdy bym nie uwierzyła, że coś takiego mogło się wydarzyć, gdybym sama tego nie przeżyła. Matka i ja, tak sobie niegdyś bliskie, tak rozumiejące się nawzajem, stałyśmy teraz naprzeciw siebie jak dwie obce kobiety mierzące się nieufnym spojrzeniem.

Tkwiała pod drzwiami, poważna, wyprostowana, uczesana w ciasny kok, w którym połyskiwały pierwsze siwe włosy. Godna, wysoka, ze spojrzeniem pełnym nagany pod kanciastymi brwiami. Na swój sposób elegancka, pomimo prostoty skromnego stroju. Skończywszy owe sumienne oględziny, odezwała się wreszcie, lecz wbrew moim obawom wcale mnie nie skrytykowała.

– Chcę ci przekazać czyjąś prośbę. Możesz się zgodzić albo nie, sama zdecydujesz. Ale ja uważam, że powinnaś. Zastanów

się... lepiej późno niż wcale.

Nie przestąpiła progu mieszkania i w ciągu minuty zakończyła wizytę – tyle czasu starczyło, by podać mi adres i wyznaczoną na popołudnie godzinę, po czym obrócić się na pięcie i wyjść bez pożegnania. Zdziwiło mnie, że tym razem nie dostałam za swoje, ale nie musiałam długo czekać. Gdy była już na schodach, usłyszałam:

– Umyj sobie twarz, uczesz się i włóż coś na siebie, bo wyglądasz jak dziwka.

Przy obiedzie opowiedziałam o wszystkim Ramirowi. Nie miałam pojęcia, co mogło się kryć za owym tajemniczym zaproszeniem, nie widziałam w tym żadnego sensu, targały mną wątpliwości. Poprosiłam, żeby ze mną poszedł. Gdzie? Na spotkanie z moim ojcem. Dlaczego? Dlatego, że chce mnie poznać. Po co? Nawet gdybym myślała o tym przez następne dziesięć lat, nie znalazłabym żadnego powodu.

Umówiłam się z matką o pierwszej po południu pod podanym adresem: Hermosilla 19. Elegancka ulica, elegancki dom, taki jak te, do których dawniej odnosiłam uszyte suknie. Długo się zastanawiałam, co założyć na tę niecodzienną okazję. Ostatecznie wybrałam niebieską wełnianą sukienkę i dobrany do niej płaszcz, do tego twarzowy kapelusik ozdobiony trzema piórami miękko spływającymi na lewe ucho. Wszystko to dostałam od Ramira. To był mój pierwszy strój, którego nie uszyłam sobie sama i którego nie uszyła mi matka. Założyłam buty na wysokim obcasie, rozpuściłam włosy. Umalowałam się bardzo dyskretnie; tego dnia wołałam uniknąć cierpkich uwag. Przed wyjściem przejrzałam się w lustrze. Od stóp do głów. Za

mną, z rękami w kieszeniach, stał uśmiechnięty Ramiro, patrząc na mnie oczyma pełnymi zachwytu.

– Wyglądasz zabójczo. Zrobisz piorunujące wrażenie.

Wdzięczna za te słowa, spróbowałam odwzajemnić uśmiech, co wypadło raczej blado. Byłam piękna, to prawda; piękna i obca, zupełnie inna od tamtej dziewczyny sprzed kilku miesięcy. Piękna, inna i przerażona. Umierałam ze strachu i żałowałam, że przyjąłam to niezwykle zaproszenie. Kiedy zjawiała się matka, wyczytałam z jej spojrzenia, że obecność Ramira mocno ją zde gustowała.

– To sprawa rodzinna. Mam nadzieję, że zechce pan tutaj poczekać – oświadczyła bez ogródek.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i ruszyła w stronę imponujących przeszklonych drzwi. Wolałabym, żeby Ramiro poszedł ze mną, potrzebowałam otuchy i wsparcia, ale nie ośmieliłam się sprzeciwić matce. Szepnęłam mu tylko, że lepiej będzie, jeśli już pójdzie, i podążyłam za nią.

– My do pana Alvarado. Oczekuje nas – powiedziała do portiera, który kiwnął głową, po czym wstał, by odprowadzić nas do windy.

– Dziękujemy, damy sobie radę same.

Przeszłyśmy przez obszerny hol i zaczęłyśmy się wspinać po schodach: matka stanowczym krokiem, nie dotykając nawet lśniącej drewnianej poręczy, sztywno obciśnięta kostiumem, którego nigdy dotąd nie widziałam; za matką ja, wylękniona, czepiając się balustrady jak rozbitek koła ratunkowego w sztormową noc. Obie w grobowym milczeniu. Z każdym stopniem w mojej głowie narastał zamęt, myśli piętrzyły się

jedna na drugiej. Podest. Dlaczego moja matka tak pewnie porusza się w obcym domu? Półpiętro. Jaki właściwie jest człowiek, którego za chwilę zobaczę, skąd ta nagła chęć, żeby poznać mnie po tylu latach? Pierwsze piętro. Reszta myśli pierzchła, nie miałam już czasu na rozterki: byłyśmy na miejscu. Szerokie drzwi po prawej, palec matki energicznie naciskający dzwonek gestem pozbawionym jakiegokolwiek onieśmienia. Trzask otwieranego zamka, leciwa, jakby zasuszona pokojówka w czarnym uniformie i niepokalanie białym czepku.

– Dzień dobry, Servando. Przyszliśmy zobaczyć się z panem. Jest w bibliotece, jak sądzę?

Kobieta zastygła z niemym powitaniem na półotwartych ustach, jakby złożyły jej wizytę dwa duchy. Kiedy ochłonęła i wreszcie odzyskała mowę, jakiś głos zagłuszył jej słowa. Ochrypły, tubalny, głęboki.

– Wpuść je, niech wejdą.

Służąca odsunęła się na bok, wciąż jeszcze spłoszona i zdenerwowana. Nie musiała nas odprowadzać – matka zdawała się znać drogę na pamięć. Ruszyliśmy przez przestronny przedpokój, mijając salony o ścianach obitych jedwabiem, na których pyszniły się ręcznie tkane gobeliny i rodzinne portrety. Gdy stanęliśmy przed podwójnymi drzwiami, których lewe skrzydło było uchylone, dostrzegłam wysokiego, potężnego mężczyznę stojącego na środku pokoju. I znowu ten władczy głos:

– Proszę wejść.

Wielki gabinet wielkiego człowieka. Wielkie biurko, zasłane papierami, wielka biblioteka pełna książek. Wysoki mężczyzna patrzący na mnie badawczo. Spojrzał mi w oczy, potem w dół, potem znowu w górę. Jakby odkrył jakiś nieznaną okaz. Przełknął ślinę on, przełknęłam ślinę ja. Zrobił kilka kroków w naszą stronę, położył mi dłoń na ramieniu i ścisnął lekko, jakby chciał się upewnić, że naprawdę istnieję. Uśmiechnął się nieznacznie, z odrobiną melancholii.

– Jesteś taka sama jak twoja matka dwadzieścia lat temu.

Wciąż patrząc mi prosto w oczy, przytrzymał mnie jeszcze przez sekundę, dwie, trzy, dziesięć. Potem przeniósł wzrok na postać obok mnie. Na jego twarz powrócił gorzki uśmiech.

– Tak długo, Dolores, tak długo.

Nie odpowiedziała, nie spuściła oczu. Wówczas zdjął rękę z mojego ramienia i wyciągnął ją do mojej matki; nie było to powitanie, raczej szukanie bliskości, dotyku, jakby oczekiwał, że jej palce odpowiedzą tym samym gestem. Lecz ona wciąż stała bez ruchu, nie reagując na tę niemą zachętę. On zaś, jak zaczarowany, trwał jeszcze przez chwilę w tej samej pozycji, po czym ocknąwszy się nagle, odchrząknął i tonem tyleż uprzejmym, co sztucznie obojętnym, poprosił, żebyśmy usiadły.

Przeszliśmy na drugi koniec biblioteki. Matka usadowiła się w fotelu, on zajął drugi, a mnie zostało samotne miejsce pośrodku, na sofie. Zapadła krępująca, pełna napięcia cisza. On długo przypalał cygaro, ona patrzyła przed siebie, sztywna, wyprostowana, z mocno ściśniętymi kolanami. Ja tymczasem, z wielkim skupieniem i uwagą, skrobałam paznokciem

adamaszkową tapicerkę w kolorze czerwonego wina, jakbym chciała wydrapać dziurę w osnowie, by uciec przez nią jak jaszczurka. Gabinet wypełnił się dymem i znów usłyszałam chrząknięcie, będące zapewne wstępem do dalszej wypowiedzi, lecz zanim padło pierwsze słowo, odezwała się moja matka. Mówiła do mnie, ale oczy miała zwrócone na niego. Jej głos zmusił mnie w końcu, żebym spojrzała na oboje.

– A więc, Siro, to jest twój ojciec, wreszcie go poznałaś. Nazywa się Gonzalo Alvarado, jest inżynierem, właścicielem huty i mieszka tu od urodzenia. Najpierw był paniczem, teraz jest panem. Jak ten czas płynie... Przychodziłam tu szyć suknie dla jego matki i wtedy się poznaliśmy, a po trzech latach na świat przyszłaś ty. Ale nie wyobrażaj sobie przypadkiem, że to było tak jak w jakimś tanim romansie... że pozbawiony wszelkich skrupułów panicz usidlił biedną szwaczkę. Nic z tych rzeczy. Ja miałam lat dwadzieścia dwa, on dwadzieścia cztery i oboje doskonale znaliśmy swoje miejsce. Wiedzieliśmy, na co się porywamy. Nie oszukiwał mnie, ja zaś nie robiłam sobie wielkich złudzeń. Nasz związek się zakończył, bo nie miał żadnej przyszłości, bo nigdy nie powinien był się zacząć. Twój ojciec nie porzucił ani ciebie, ani mnie. To ja z nim zerwałam. I to ja zawsze starałam się o to, żebyście się nigdy nie spotkali. Z początku się sprzeciwiał, ale z czasem musiał się z tym pogodzić. Ożenił się, ma dwóch synów. Od dawna się do mnie nie odzywał i nagle przedwczoraj poprosił, żebym cię tu przyprowadziła. Nie powiedział, dlaczego chce cię poznać akurat teraz, po tylu latach. Mam nadzieję, że za chwilę się dowiemy.

Podczas gdy to mówiła, patrzył na nią z powagą i szacunkiem. Kiedy umilkła, odczekał kilka chwil, zanim przejął pałeczkę. Jakby ważył w myślach każde słowo, starając się wyrazić dokładnie to, co chciał powiedzieć. Skorzystałam z tej przerwy, żeby mu się przyjrzeć. Pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy, to że nigdy nie wyobraziłabym sobie takiego ojca. Byłam śniadą brunetką, moja matka również, i jeśli kiedykolwiek próbowałam sobie stworzyć obraz ojca, zawsze był nim ktoś taki jak my – smagły, szczupły, czarnowłosy. Ktoś taki jak ludzie z mojego najbliższego otoczenia: sąsiad Norberto, rodzice koleżanek, mężczyźni, jakich pełno było na ulicach i w knajpkach naszej dzielnicy. Zwyczajni ojcowie zwykłych ludzi – listonosze, subiekci, biuraliści, kelnerzy, właściciele kiosków, małych sklepików i straganów z warzywami na targu

La Cebada. Panowie, których mijałam w czasie moich wędrówek po mieście, kiedy odnosiłam suknie wykonane w zakładzie doñi Manueli, byli dla mnie istotami z innego świata, osobnikami obcego gatunku, niemieszczącymi się zupełnie w moim wyobrażeniu o tym, jacy powinni być ojcowie. Tymczasem miałam właśnie przed sobą jeden z owych nieznanych okazów – mężczyznę wciąż jeszcze przystojnego, mimo trochę nadmiernej tuszy, o lekko zaczerwienionych oczach koloru miodu i włosach już przyprószonych siwizną, choć niegdyś z pewnością jasnych, ubranego w ciemnoszary garnitur, właściciela wielkiego domu i nieobecnej rodziny. Ojca innego niż wszyscy znani mi ojcowie, który w końcu przemówił, spoglądając raz na moją matkę, raz na mnie, czasem na obie, a czasem na żadną z nas.

– Cóż, to nie jest łatwe – powiedział na początek.

Głęboki haust dymu, wydech. Spojrzenie w moje oczy.

W oczy matki. Znowu w moje. I wreszcie potok słów – wartki, płynący nieprzerwanie aż do chwili, gdy zdałam sobie sprawę, że siedzimy już po ciemku, a nasze ciała przemieniły się w cienie, niknące w słabym blasku stojącej na biurku lampy z zielonym kloszem w kształcie tulipana.

– Szukałem was, bo obawiam się, że wkrótce mnie zabiją. A jak nie, to ja sam kogoś zabiję i zamknę mnie w więzieniu, co oznacza śmierć za życia. Umrę więc, tak czy inaczej. Sytuacja polityczna w każdej chwili grozi wybuchem, a kiedy to się stanie, Bóg wie, co z nami wszystkimi będzie.

Zerknęłam kątem oka na matkę w oczekiwaniu jakiejś reakcji, ale na jej twarzy nie dostrzegłam nawet śladu niepokoju, jakby usłyszała prognozę deszczowej pogody, a nie zapowiedź czyjejś bliskiej śmierci. On zaś dalej roztrząsał własne przeczucia i obawy, wylewając przed nami swoje żale.

– A ponieważ wiem, że moje dni są policzone, zacząłem robić rachunek życia i jakież znalazłem dorobek? Pieniądze, owszem. Nieruchomości, jak wyżej. I fabryka zatrudniająca dwustu pracowników, dla której wypruwałem sobie żyły przez trzydzieści lat, a teraz jeśli już zdarzy się jakiś dzień bez strajku, to robotnicy upokarzają mnie, plują mi w twarz. I żona, która dowiedziawszy się, że spalono parę kościołów, wyjechała razem z matką i siostrami odmawiać różańce w Saint-Jean-de-Luz. I dwóch synów, których nie rozumiem, dwóch nierobów i fanatyków, trwoniących czas na strzelanie z dachów oraz adorację nawiedzonego synalka Prima de Rivera<sup>3</sup>, który



namieszał w głowach wszystkim madryckim paniczykom swoimi romantycznymi banialukami o hartowaniu narodowego ducha. Wielu z nich zapraszałem do mojej huty, żeby popracowali sobie po dwanaście godzin dziennie, bo uważam, że nic tak nie hartuje ducha narodowego jak młot i kowadło.

Zamyślił się, jakby szukał odpowiednich słów.

– Świat się zmienił, Dolores. Naprawdę tego nie widzisz? Robotnikom nie wystarczają już potańcówki na San Cayetano i walki byków w Carabanchel, jak w piosence z zarzueli. Swoje osiołki zamienili na rowery, wstępują do związków zawodowych, wycwanili się i teraz grożą, że jak im się coś nie spodoba, to wpakują fabrykantowi kulkę w łeb. Przyznaję, w wielu sprawach nie brak im racji. Nikt nie chce żyć w biedzie i już w dzieciństwie harować od świtu do nocy. Ale tu trzeba czegoś więcej niż wymachiwanie pięścią. Samym śpiewaniem *Międzynarodówki* i nienawiścią do tych, którym się lepiej powodzi, niczego nie naprawią; marsze i hymny kraju nie zmieniają. Powodów do buntu robotnicy mają aż nadto, bo czego jak czego, ale głodu u nas od wieków nie brakuje, wiele też było krzywd, lecz gryząc rękę, która ich karmi, niewiele osiągną, nie tędy droga. Żeby zmodernizować ten kraj, potrzeba śmiałych przedsiębiorców i wykwalifikowanych pracowników, przyzwoitej edukacji i odpowiedzialnych przywódców. A tu każdy rząd upada, nim zdąży coś zdziałać. Wszędzie jedna wielka katastrofa, każdy dba tylko o siebie, nikt na serio nie próbuje skończyć z nadużyciami i bezprawiem. Politycy z obu stron barykady trwonią czas na jałowe diatryby i kunsztowne

przemowy w parlamencie. Królowi dobrze tam, gdzie jest. Już dawno powinien był wyjechać. Socjaliści, anarchiści i komuniści walczą o swoje; tak powinno być, ale niechże to robią rozsądnie, z umiarem, bez wzajemnych pretensji i swarów. A bogacze i monarchiści biorą nogi za pas i zmykają za granicę. W końcu się doigramy. Wojsko się zbuntuje, wprowadzi stan wojenny i dopiero pożałujemy. Albo wybuchnie wojna domowa, poleje się krew, brat stanie przeciw bratu.

Mówił jak natchniony. Nagle powrócił do rzeczywistości, jakby dostrzegł wreszcie, że choć słuchamy go pilnie i grzecznie, to ani matka, ani ja nie mamy najmniejszego pojęcia, do czego właściwie zmierza owa przygnębiająca tyrada i co to ma wspólnego z nami.

– Wybaczcie, chyba trochę mnie poniosło, ale długo o tym wszystkim myślałem i doszedłem do wniosku, że najwyższy czas zacząć działać. Ten kraj tonie. To jakiś absurd, czysty obłąd. A mnie, jak już mówiłem, mogą zabić. Nie dziś, to jutro. Świat zboczył ze swoich torów i trudno się do tego przyzwyczaić. Przez trzydzieści lat harowałem jak wół w kieracie, troszczyłem się o firmę, starałem się jak najlepiej robić to, co do mnie należy. Cóż, albo się urodziłem w niewłaściwych czasach, albo musiałem gdzieś popełnić błąd, bo wszystko wyszło na opak, a życie bierze teraz na mnie srogi odwet. Synowie mają mnie za nic, żona mnie porzuciła, a fabryka stała się dla mnie piekłem. Zostałem sam, w nikim nie mam oparcia. Co więcej, jestem przekonany, że może być tylko gorzej. Dlatego postanowiłem się przygotować, uporządkować sprawy i papiery, pospłacać rachunki, wydać niezbędne rozporządzenia

na wypadek, gdybym któregoś dnia nie wrócił. I tak jak w interesach chciałbym wprowadzić ład w swoich wspomnieniach i uczuciach, choć niewiele już z nich zostało. Im bardziej czarno wszystko widzę, tym chętniej powracam pamięcią do tego, co było dobre. I wiesz co, Dolores? Teraz, kiedy moje dni są policzone, zrozumiałem, że jedną z niewielu rzeczy, dzięki którym moje życie miało sens, jesteś ty. Ty i nasza córka, twój wierny portret z czasów, gdy byliśmy razem. Dlatego chciałem się z wami zobaczyć.

Gonzalo Alvarado, mój ojciec, który wreszcie miał twarz i nazwisko, z wolna odzyskiwał spokój. W tym, co i jak teraz mówił, dostrzegłam nagle człowieka, jakim był przez wszystkie dni oprócz tego jednego – mężczyznę władczygo, stanowczego w gestach i słowach, nawykłego do rządzenia i zawsze stawiającego na swoim. Na początku tej rozmowy na pewno nie było mu łatwo; musiał stanąć twarzą w twarz ze swoją dawną miłością, której nie widział przez ćwierć wieku, i córką, której nie widział nigdy. Szybko jednak odzyskał pewność siebie i znów stał się panem sytuacji. Mówił jasno i szczerze, bez ogródek, jak ktoś, kto nie ma już nic do stracenia.

– Wiesz co, Siro? Ja naprawdę kochałem twoją matkę. Kochałem ją bardzo mocno. Wolałbym, żeby wszystko potoczyło się inaczej, żeby zawsze była przy mnie. Ale, niestety, sprawy potoczyły się inaczej.

Oderwał wzrok ode mnie i spojrzał na nią. W jej migdałowe oczy, sterane szyciem. Na jej piękną, dojrzałą twarz, nieskalaną szminką i pudrem.

– Nie walczyłem o ciebie, Dolores, prawda? Nie potrafiłem sprzeciwić się rodzinie, nie byłem ciebie wart. A potem zrobiłem to, czego ode mnie oczekiwano, poślubiłem inną kobietę i z czasem przywykłem...

Moja matka słuchała tego w milczeniu, pozornie obojętna. Nie umiałabym powiedzieć, czy ukrywała swoje uczucia, czy po prostu ani ją to ziębiło, ani grzało. Siedziała, wyniosła i nieprzystępna, zatopiona w nieodgadnionych myślach, wyprostowana, w doskonale skrojonym kostiumie, którego nigdy na niej nie widziałam, uszytym zapewne z jakichś resztek po stroju innej kobiety, mającej więcej tkanin i więcej szczęścia w życiu. On, wcale niezrażony jej biernością, mówił dalej.

– Nie wiem, czy mi uwierzycie, ale to prawda, że teraz, kiedy widzę, iż nadchodzi mój kres, żałuję z całego serca, że przez tyle lat nie troszczyłem się o was, a ciebie, Siro, nawet nie zdążyłem poznać. Powinienem się wykazać większym uporem, dołożyć wszelkich starań, żeby mieć was blisko. Sytuacja była jednak taka, jaka była, a ty miałaś zbyt wiele godności, Dolores. Nie zadowolilibyś się okruchami mojego życia. Chciałaś mieć wszystko albo nic. Twoja matka, dziecinko, to twarda kobieta, twarda i nieugięta. A ja byłem za słaby i za głupi... Cóż, nie czas teraz na próżne żale.

Siedział przez chwilę w milczeniu, zamyślony, nie patrząc na nas. Potem głęboko wciągnął nosem powietrze, wypuścił je ze świstem, wyprostował się w fotelu i energicznie pochylił do przodu, jakby nagle podjął decyzję, żeby wreszcie powiedzieć to, co miał do powiedzenia. Odniosłam wrażenie, że otrząsnął się już z gorzkiej nostalgii, która nie pozwalała mu oderwać się

od wspomnień, i postanowił zejść z chmur na ziemię, gotów stawić czoło wyzwaniom doczesności.

– Wybaczcie, nie chcę was dłużej zamęczać moimi smutkami. Przejdźmy zatem do rzeczy. Jesteście tu, bo chcę przedstawić wam moją ostatnią wolę. I proszę, żebyście mnie obie dobrze zrozumiały. Nie myślcie, że chcąc okazać spóźnioną skruchę, postanowiłem zrekompensować wam stracone lata pieniędzmi, a już na pewno nie zamierzam kupić waszego szacunku. Chcę jedynie spłacić długi, aby mieć pewność, że kiedy przyjdzie na mnie czas, wszystko będzie jak należy.

Po raz pierwszy od początku rozmowy wstał z fotela. Podszedł do biurka. Odprowadziłam go wzrokiem: szerokie plecy, dobrze skrojona marynarka, krok sprężysty mimo nieco korpulentnej sylwetki. Potem spojrzałam na portret, który wisiał na ścianie w głębi i którego, z racji rozmiarów, trudno było nie zauważyć. Z olejnego obrazu w złożonych ramach patrzyła na mnie elegancka dama o surowej, oschłej twarzy, ubrana wedle mody z początku wieku, ani ładna, ani brzydka, z diademem na krótko obciętych lokach. Obejrzał się i wskazując portret gestem podbródka, powiedział:

– Jaśnie pani Carlota, moja matka, a twoja babka... Pamiętasz ją, Dolores? Zmarła siedem lat temu. Gdyby się to zdarzyło osiemnaście lat wcześniej, ty, Siro, prawdopodobnie urodziłabyś się tu, w tym domu. Cóż, zostawmy zmarłych, niech spoczywają w pokoju.

Stał odwrócony tyłem, szukając czegoś w biurku. Otwierał szuflady, wyjmował jakieś przedmioty, przeglądał papiery, a

potem położył to wszystko przed nami, nie spuszczać oczu z mojej matki.

– Wciąż jesteś piękna, Dolores – stwierdził, sadowiąc się z powrotem w fotelu. Był odprężony, po początkowym skrępowaniu zostało już tylko wspomnienie. – Wybaczcie, niczym was nie poczęstowałem. Napijcie się czegoś? Zaraz zawołam Servandę... – Uniósł się lekko, jakby chciał wstać znowu, ale matka powstrzymała go słowami:

– Nie, Gonzalo, dziękujemy. Proszę, skończmy to wreszcie.

– Pamiętasz Servandę, Dolores? Jak nas szpiegowała, jak łąziła za nami, żeby potem wszystko wypaplać jaśnie pani? – Parsknął krótkim, ochryplym, gorzkim śmiechem. – Pamiętasz, jak przyłapała nas w służbówce? Popatrz, co za ironia losu... Matka już od dawna gryzie ziemię, a ja wciąż jestem pod czujną opieką Servandy, bo tylko ona mi została. Jakie to żalosne! Po śmierci matki powinienem był ją odprawić, ale gdzie by się wtedy biedna podziała, stara, przygłucha, bez rodziny. Poza tym pewnie musiała robić, co jej pani kazała, nie chciała przecież stracić miejsca, a doña Carlota miała trudny charakter, służbę trzymała twardą ręką. No cóż, skoro wy nie macie ochoty, ja też niczego się nie napiję.

Siedział na brzeżku fotela, wyprostowany, piastując w rękach wyjęte z biurka rzeczy. Papiery, pakiety, futeraliki. Z wewnętrznej kieszonki marynarki wydobył okulary w mosiężnej oprawce i założył je na nos.

– Przejdźmy do spraw praktycznych. A więc, po kolei...

Najpierw wziął do ręki dwie wypchane koperty, złożone razem i ściągnięte gumką.

– To dla ciebie, Siro, żebyś miała coś na start w życiu. Nie jest to trzecia część mojego majątku, która powinna ci przypaść jako jednej z trojga spadkobierców, ale tylko tyle mogę ci teraz dać w gotówce. Niewiele udało mi się spieniężyć, obecnie trudno cokolwiek sprzedać. Nieruchomości też nie mogę ci zostawić. W świetle prawa nie jesteś moją córką, musiałabyś zapłacić ogromny podatek spadkowy, a moi synowie włóczyliby cię po sądach. Ale masz tu prawie sto pięćdziesiąt tysięcy peset. Na pewno dobrze je zainwestujesz, wydajesz się równie bystra jak twoja matka... Chcę, żebyś się nią zaopiekowała. Niech jej niczego nie zabraknie ani teraz, ani w przyszłości. Prawdę mówiąc, wolałbym podzielić to na dwie części, dla niej i dla ciebie, ale ponieważ wiem, że Dolores nic by ode mnie nie przyjęła, wszystko powierzam tobie.

Podał mi koperty. Zanim je wzięłam, spojrzałam stropiona na matkę, nie wiedząc, co robić. Wyraziła zgodę krótkim, suchym skinieniem głowy. Dopiero wtedy wyciągnęłam rękę.

– Dziękuję – szepnęłam.

– Nie dziękuj, córko, nie dziękuj. A teraz dalej...

Wziął niebieski aksamitny futerał i otworzył. Potem następny, bordowy, trochę mniejszy. I tak po kolei, aż do pięciu. Ułożył je na stole. Klejnoty nie zalsniły, było zbyt ciemno, ale i tak wiedziałam, że mają ogromną wartość.

– Należały do mojej matki. Jest tego więcej, ale María Luisa, moja żona, zabrała je ze sobą na swoje pobożne wygnanie. Zostawiła jednak te najcenniejsze, pewnie dlatego, że zbyt rzucałyby się w oczy. Są dla ciebie, Siro. Prawdopodobnie nigdy ich nie założysz: sama widzisz, są nieco ostentacyjne. Ale

będziesz mogła je sprzedać albo zastawić, jeśli znajdziesz się kiedyś w potrzebie. Dostaniesz za nie całkiem pokaźną sumę.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Matka – owszem.

– Nie ma mowy, Gonzalo. Są własnością twojej żony.

– Otóż nie – uciął krótko. – Ona nie ma do nich żadnego prawa. Wszystko, droga Dolores, należy do mnie, a moją wolą jest przekazać to córce.

– Tak nie uchodzi, Gonzalo, nie uchodzi.

– Owszem, uchodzi.

– Nie.

– Tak.

Na tym dyskusja się wyczerpała. Dolores w milczeniu przełykała porażkę. Ojciec starannie zamykał szkatułki, jedną po drugiej. Ułożył je w piramidkę – największa na dole, najmniejsza na samym szczycie – i przesunął wszystko w moją stronę po lśniącym, nawoskowanym blacie. Potem rozłożył przede mną jakieś papiery.

– Tu masz certyfikaty klejnotów, razem z opisem, wyceną i tak dalej. Jest też spisany notarialnie dokument, w którym poświadczają się, że kosztowności owe stanowią moją własność i że daję ci je z własnej nieprzymuszonej woli. To tak na wszelki wypadek. Przyda ci się, jeśli ktoś zażąda potwierdzenia, że są twoje, chociaż mam nadzieję, że nikomu nic nie będziesz musiała udowadniać.

Schował papiery do teczki, obwiązał ją czerwoną tasiemką i położył obok biżuterii. Wziął do ręki jakąś kopertę i wyjął kilka arkuszy pergaminu, zaopatrzonych w pieczęcie, podpisy i inne urzędowe rekwizyty.



– I jeszcze jedna sprawa, już prawie ostatnia. Jak by ci tu wytłumaczyć...

Chwila milczenia, zaciągnięcie się cygarem, wydech.

– Ten dokument sporządziliśmy wspólnie z moim adwokatem i poświadczaliśmy u notariusza. Najkrócej rzecz biorąc, napisano w nim, że ja jestem twoim ojcem, a ty moją córką. Czy to ci coś da? Prawdopodobnie nic, bo gdybyś chciała kiedyś domagać się reszty majątku, odkryłabyś, że jeszcze za życia oddałem go twoim przyrodnim braciom, tak więc nigdy nie dostaniesz od tej rodziny nic ponad to, co zabierzesz ze sobą, kiedy wkrótce opuścisz mój dom. Ale dla mnie te papiery mają wielką wartość, bo jawnie uznaję twoje prawa, co powinienem był uczynić już wiele lat temu. Możesz z nimi zrobić, co chcesz: pokazać całemu światu albo podrzeć na tysiąc kawałków i spalić. Będzie to zależało tylko od ciebie.

Włożył arkusz do koperty i podał mi ją przez stół, po czym sięgnął po następną, już ostatnią. Poprzednia była duża, gruba, z notarialnym godłem i starannie wykaligrafowanym adresem, ta zaś zwykła, szara, cienka, wymiętoszona, jakby przeszła przez tysiące rąk, nim dotarła do naszych.

– To zostawiłem na koniec – powiedział.

Otworzył kopertę, wyjął jej zawartość i przez chwilę oglądał z uwagą. Bez słowa wręczył wszystko mojej matce, a potem wstał i podszedł do oszklonych drzwi prowadzących na taras. Stał, odwrócony do nas plecami, z rękoma w kieszeniach i wzrokiem utkwionym w nadchodzący zmierzch, a może w pustkę, nie wiem. Matka pochyliła się nad plikiem starych zdjęć, pożółkłych i niewyraźnych, zrobionych za grosik przez

ulicznego fotografa w jakiś wiosenny poranek przed ponad dwudziestu laty. Przystojny chłopak i piękna dziewczyna, uśmiechnięci, zapatrzeni w siebie, schwytani w kruche sieci miłości równie wielkiej jak niestosownej, nieświadomi, że po latach rozstania, kiedy staną wobec owego świadectwa przeszłości, on odwróci się do okna, żeby nie spojrzeć jej w oczy, a ona zaciśnie zęby, żeby przy nim nie płakać.

Dolores długo oglądała fotografie, jedną po drugiej. Potem podała je mnie. Obejrzałam je w skupieniu, bez pośpiechu i włożyłam do koperty. Ojciec wrócił na swój fotel i podjął przerwana rozmowę.

– Kwestie materialne mamy już za sobą. Teraz przyszedł czas na dobre rady. Po tylu latach nie zamierzam ci prawić morałów, córko. Bo kimże ja jestem dla ciebie, żebym miał cię pouczać albo żądać zaufania? Ale myślę, że nic się nie stanie, jeśli poświęcisz mi jeszcze kilka minut, prawda?

Kiwnęłam głową.

– A więc moja rada jest taka: uciekajcie stąd czym prędzej, obydwie. Daleko, jak najdalej od Madrytu. Jeżeli to możliwe, wyjedźcie z Hiszpanii. I nie do Europy, bo tam sytuacja też nie wygląda najlepiej. Może Ameryka, a jeśli to dla was za daleko, to Afryka. Na przykład Maroko. W Protektoracie żyje się całkiem przyjemnie. I spokojnie. Odkąd skończyła się wojna z plemionami<sup>4</sup>, nic już się tam nie dzieje. Zaczniście nowe życie z dala od tego obłąkanego kraju, bo lada dzień rozpęta się tu piekło, z którego nikt nie wyjdzie żywy.

– A dlaczego pan stąd nie wyjedzie? – wyrwało mi się mimo woli.

Uśmiechnął się gorzko. Wziął moją rękę w swoją wielką dłoń i mocno przytrzymał. Czułam, jak zalewa mnie fala ciepła.

– Bo ja już nie mam przyszłości, córeczko – mówił dalej. – Już spaliłem za sobą wszystkie mosty. I proszę, nie mów do mnie „pan”. Mój los się wypełnił, być może trochę za wcześnie, zgoda, ale nie mam ani siły, ani chęci do dalszej walki. Nie chcę zaczynać wszystkiego od nowa. Kiedy ktoś się szykuje do takiej zmiany, powinien mieć marzenia i nadzieję. Bez tego wyjazd jest zwykłą ucieczką. A ja nie zamierzam nigdzie uciekać; wolę zostać tutaj i stawić czoło nadchodzącej burzy. Ale ty, Siro, jesteś młoda, musisz założyć rodzinę i zapewnić jej byt. W Hiszpanii będzie coraz gorzej. Oto moja ojcowska i przyjacielska rada: wyjedź. Zabierz ze sobą matkę, żeby mogła patrzeć, jak dorastają jej wnuki. I dbaj o nią lepiej niż ja, obiecaj mi to.

Patrzył mi w oczy, pełen napięcia, dopóki nie przymknęłam powiek na znak zgody. Nie byłam pewna, na czym według niego miało polegać dbanie o matkę, lecz w tej sytuacji nie ośmieliłam się o nic zapytać.

– No cóż, myślę, że nasze spotkanie dobiegło końca – oznajmił nagle.

Wstał, my także.

– Zabierz swoje rzeczy – powiedział.

Usłuchałam. Wszystko, poza największą kasetką i kopertami z pieniędzmi, zmieściło mi się w torebce.

– A teraz chciałbym cię przytulić, pierwszy i na pewno ostatni raz w życiu. Wątpię, czy się jeszcze kiedyś zobaczymy.

Moje szczupłe ciało niemal zniknęło w jego potężnych ramionach. Po chwili ujął moją twarz w dłonie i pocałował

mnie w czoło.

– Jesteś tak samo śliczna jak twoja matka. Życzę ci dużo szczęścia, córeczko. Niech cię Bóg błogosławi.

Chciałam coś odpowiedzieć, ale nie mogłam. Słowa uwięzły mi w ściśniętym wzruszeniem gardle, oczy zwilgotniały, w brzuchu poczułam bolesny skurcz. Odwróciłam się na pięcie i wybiegłam do przedpokoju, szukając wyjścia prawie po omacku, bo niewiele mogłam zobaczyć przez łzy.

Na podeście schodów poczekałam na matkę. Widziałam, jak wychodzi, odprowadzana z daleka niechętnym spojrzeniem Servandy. Policzki miała rozpalone, oczy szkliste. Po raz pierwszy tego dnia jej twarz wyrażała jakieś uczucia. Nie wiem, co moi rodzice robili i mówili w ciągu tych pięciu krótkich minut, nie było mnie przy tym. Ale wierzę do dziś, że czule się objęli i pożegnali na zawsze.

Zeszliśmy tak samo, jak weszliśmy: matka z przodu, ja za nią. W milczeniu. Z torebką wypchaną klejnotami, dokumentami i zdjęciami, ze stu pięćdziesięcioma tysiącami peset pod pachą, stukając obcasami o marmurowe stopnie. Na półpiętrze nie wytrzymałam. Chwyciłam ją za ramię i wyszeptałam z lękiem:

– Naprawdę go zabijają, mamo?

– Skąd mam wiedzieć, córciu, skąd mam wiedzieć...

#### 4

Wyszliśmy na ulicę i bez słowa ruszyliśmy z powrotem. Przyspieszyła kroku, tak że z trudem za nią nadążałam, sadząc wielkie susy na niewygodnych wysokich obcasach nowiutkich

butów. Po kilku minutach, wciąż jeszcze skrępowana, ośmieliłam się odezwać konspiracyjnym tonem.

– Co mam z tym teraz zrobić, mamó?

– Dobrze schować – odpowiedziała w biegu.

– Wszystko? Nic nie weźmiesz dla siebie?

– Nie. To twój spadek. Poza tym jesteś dorosła i nie powinnam się wtrącać do tego, co chcesz zrobić z majątkiem, który powierzył ci ojciec.

– Na pewno, mamó?

– Na pewno, na pewno. Jeżeli już, to daj mi jedno zdjęcie. Obojętnie które. Chcę mieć tylko jakąś pamiątkę. Reszta jest twoja, tylko twoja, ale, na Boga, Siro, na Boga i Przenajświętszą Maryję, posłuchaj mnie, dziecko.

Przystanęła wreszcie i spojrzała mi w oczy. Nad nami słabo świeciła uliczna latarnia. Spieszący dokądś przechodnie mijali nas, nieświadomi burzy, jaką w naszym życiu wywołało tamto spotkanie.

– Bądź ostrożna, Siro. Bądź ostrożna i rozsądna – mówiła cicho, w pośpiechu szukając właściwych słów. – Nie zrób tylko żadnego głupstwa, bo masz teraz dużo, bardzo dużo; o wiele więcej, niż kiedykolwiek mogłabyś sobie wymarzyć. Dlatego raz jeszcze cię proszę, córeczko, bądź przezorna, przezorna i rozważna.

Szłyśmy dalej w milczeniu, po czym się rozstałyśmy. Ona wróciła do pustego beze mnie domu i niemej obecności dziadka, który nigdy się nie dowiedział, kto spłodził jego wnuczkę, bo Dolores była zbyt uparta i dumna, żeby mu to powiedzieć. Ja pojechałam do Ramira. Czekał na mnie w

salonie, paląc papierosa i słuchając radia w przyćmionym świetle, ciekaw, jak mi poszło, ubrany do wyjścia, bo kolację mieliśmy zjeść na mieście.

Opowiedziałam mu wszystko ze szczegółami: co widziałam, co czułam, co usłyszałam od ojca i co mi doradził. I pokazałam wszystko, co przyniosłam z tamtego domu, do którego pewnie już nigdy nie wrócę.

– To jest warte masę pieniędzy, dziecinko – mruknął, oglądając klejnoty.

– Jest jeszcze więcej – powiedziałam, podając mu koperty z pieniędzmi.

W odpowiedzi tylko gwizdnął.

– Co z tym zrobimy? – zapytałam, tłumiąc w sobie nieokreśloną obawę.

– Chcesz powiedzieć, co ty zrobisz, kochanie. To twoja własność. Jeśli sobie życzysz, mogę się najwyżej zastanowić, jak to bezpiecznie przechować. Chyba najlepiej złożyć wszystko w sejfie, u mnie w biurze.

– A dlaczego nie w banku?

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł w dzisiejszych czasach.

Zaczął mnie przekonywać, wytaczając liczne argumenty: niedawny krach na giełdzie w Nowym Jorku, nieustabilizowana sytuacja polityczna i mnóstwo innych spraw, które mnie zupełnie nie interesowały. Ledwie słuchałam tego, co mówił – sądziłam, że na pewno podejmie słuszną decyzję, a chciałam jak najszybciej znaleźć bezpieczny schowek dla owej fortuny, która już zaczynała parzyć mi ręce.

Nazajutrz wrócił z pracy obładowany papierzyskami.

– Bez przerwy o tym myślę i chyba znalazłem rozwiązanie. Powinnaś założyć firmę handlową – oznajmił, stając w drzwiach.

Od rana nie wychodziłam z domu. Obudziłam się zdenerwowana, spięta, dziwnie nieswoja. Wspominałam poprzedni wieczór, wciąż nie mogąc uwierzyć, że tak nagle odnalazłam ojca, który ma imię, nazwisko, majątek, uczucia. Nieoczekiwana propozycja Ramira jedynie wzmogła moje rozterki.

– A po co mi firma? – zapytałam, przerażona.

– Żeby twoje pieniądze były bezpieczne. Jest też inny powód.

I zaczął opowiadać o kłopotach swojej spółki, o konflikcie z włoskim szefostwem i niepewnej sytuacji zagranicznych przedsiębiorstw we wstrząsanej niepokojami Hiszpanii. I o pomysłach. Bardzo dużo mówił o pomysłach, roztaczając przede mną cały wachlarz planów, o których do tej pory nie wspominał mi ani słowem. Wszystkie były nowatorskie, błyskotliwe, mające zmodernizować kraj cudzoziemskimi wynalazkami, otworzyć go na nowoczesność. Import angielskich kombajnów, które będą pracować na polach Kastylii, amerykańskie odkurzacze, które sprawią, że domy w miastach staną się czyste jak szkło, i niemiecki kabaret w berlińskim stylu, dla którego Ramiro już upatrzył lokal przy ulicy Valverde... A wśród nich jeden projekt jaśniał niczym perła: Akademia Pitmana.

– Od miesięcy nad tym myślę, odkąd jakiś dawny klient przysłał do firmy ich broszurę, ale jako kierownikowi nie wypadało mi pertraktować z nimi osobiście. Jeżeli założymy

firmę na twoje nazwisko, wszystko będzie znacznie prostsze – dodał. – W Argentynie Akademie Pitmana działają pełną parą: mają ponad dwadzieścia filii, tysiące studentów, którzy przygotowują się do pracy w rozmaitych przedsiębiorstwach, bankach i urzędach. Uczą się maszynopisania, stenografii i księgowości najnowszymi metodami, a po jedenastu miesiącach, z dyplomem pod pachą, wyruszają na podbój świata. To przedsięwzięcie edukacyjne na ogromną skalę, wciąż się rozwija, otwiera nowe oddziały, poszukuje personelu, generuje zyski. My moglibyśmy zrobić to samo, stworzyć Akademię Pitmana po tej stronie wielkiej wody. A jeśli powiemy Argentyńczykom, że mamy legalnie działającą firmę z własnym kapitałem, to niewykluczone, że chętniej przystaną na współpracę, niż gdybyśmy zgłosili się do nich jako osoby prywatne.

Nie miałam najmniejszego pojęcia, czy to rozsądny projekt, czy też jakiś kompletnie zwariowany plan, ale Ramiro mówił z taką pewnością siebie, z taką swadą i znawstwem, że nawet na chwilę nie zwątpiłam w jego słowa. Pomysł wydawał się wspaniały. A on dalej zasypywał mnie szczegółami. Mój zachwyty rósł.

– Uważam poza tym, że należy wziąć pod uwagę sugestie twojego ojca, który namawiał cię do opuszczenia Hiszpanii. Ma rację, siedzimy na beczce prochu i to nie jest dobry moment na rozkręcanie interesu. Dlatego moim zdaniem powinniśmy pójść za jego radą i wyjechać do Afryki. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, a sytuacja w kraju się uspokoi, wystarczy skok przez Cieśninę i już jesteśmy w domu. Daj mi trochę czasu, żebym



skontaktował się w twoim imieniu z dyrekcją Pitmana w Argentynie i przekonał ich do naszych planów otwarcia dużej filii w Maroku: w Tangerze albo na terenie Protektoratu, to się jeszcze zobaczy. Na odpowiedź poczekamy najwyżej miesiąc. A potem, *arrivederci*, Hispano-Olivetti, spakujemy manatki i zaczniemy działać.

– Ale po co Maurom nauka pisania na maszynie?

W pierwszej chwili wybuchnął głośnym śmiechem, ale zaraz mnie oświecił:

– Skąd ci to przyszło do głowy, kochanie? Nasza akademia będzie przeznaczona dla białych. Tanger to kosmopolityczna metropolia, wolne miasto, w którym mieszkają ludzie z całej Europy. Są tam zagraniczne firmy, przedstawicielstwa dyplomatyczne i banki. Rynek pracy jest ogromny, a wszędzie potrzeba wykwalifikowanego personelu ze znajomością maszynopisania, stenografii i księgowości. W Tetuanie sytuacja jest inna, ale też otwiera wiele możliwości: mniej tam cudzoziemców, bo to stolica Protektoratu Hiszpańskiego, za to pełno urzędników wszelkiego typu oraz kandydatów na urzędników. Ci wszyscy ludzie, jak sama wiesz najlepiej, kochanie moje, muszą coś umieć. A gdzie się tego nauczą? W Akademii Pitmana.

– A jak Argentyńczycy się nie zgodzą?

– Bzdura. Mam w Buenos Aires wpływowych przyjaciół. Uda się nam, zobaczysz. Zdobędziemy licencję, zapoznają nas ze swoimi metodami, podzielą się doświadczeniem i przyślą wykwalifikowanych nauczycieli, którzy będą prowadzić kursy.

– A ty co będziesz robił?

– Sam – nic. My oboje – dużo. Będziemy kierować firmą. Ty i ja, razem.

Moją odpowiedź poprzedził nerwowy chichot. Obraz, jaki malował przede mną Ramiro, był tak nieprawdopodobny, że aż śmieszny: hokus-pokus i bezrobotna szwaczka, która jeszcze kilka miesięcy temu była biedna jak mysz kościelna, zamienia się w rekina finansjery.

– Chcesz, żebym sama kierowała firmą? Przecież nie mam o tym najmniejszego pojęcia.

– Dlaczego nie? Czy muszę ci mówić, ile jesteś warta? Po prostu nigdy nie miałaś okazji tego udowodnić. Trwoniałaś młodość, zamknięta w ciemnej norze, szyjąc cudze fatalaszki, bo nie dano ci innej możliwości. Twoja chwila, twoja wielka chwila, dopiero nadejdzie.

– A co powiedzą w Hispano-Olivetti, jak usłyszą, że odchodzisz?

– Hispano-Olivetti, kochanie, może się wypchać.

Akademia Pitmana czy zamek na lodzie, było mi to najzupełniej obojętne, skoro pomysł wyszedł od Ramira, skoro mój ukochany mężczyzna z takim zapalem rozprawiał o swoich planach, trzymając mnie za rękę i patrząc głęboko w oczy, skoro powtarzał, jak wiele jestem warta i jak świetnie nam pójdzie, o ile wszystko postawimy na wspólną przyszłość, nieważne, w Akademii Pitmana czy w piekielnym kotle. Jego słowa były dla mnie wyrocznią.

Następnego dnia przyniósł do domu broszurkę informacyjną, która tak rozpałała jego wyobraźnię. Trochę historii (firma założona w 1919 roku przez trzech wspólników: Alluę,

Schmiegelona i Jana). Kształcenie oparte na systemie stenografii wymyślonym przez Anglika Izaaka Pitmana. Metoda niezawodna, wymagający nauczyciele, rezultat gwarantowany, indywidualne podejście do ucznia, wspaniała kariera po uzyskaniu dyplomu. Fotografie uśmiechniętych młodych ludzi, aż tryskających błyskotliwym profesjonalizmem, zapowiadające spełnienie powyższych obietnic. I ta aura triumfalizmu, zdolna skruszyć opór największych niedowiarków: „Długa i ciernista jest ścieżka życia. Do upragnionego celu, gdzie czeka cię sukces i fortuna, nie docierają ludzie chwiejni, słabi duchem, gnuśni, ciemni, którzy liczą jedynie na łut szczęścia, zapominając, że wielkie zwycięstwa zawsze wykuwały się w ogniu wiedzy, wytrwałości i silnej woli. Każdy jest kowalem swego losu. Wybór należy do ciebie!”.

Tego samego wieczoru poszłam odwiedzić matkę. Zrobiła kawę, a kiedy piłyśmy ją w towarzystwie milczącego, zamkniętego we własnym świecie dziadka, opowiedziałam jej o naszych planach i zaproponowałam, żeby przyjechała do nas, jak już zadomowimy się w Afryce. Zgodnie z moimi przewidywaniami cały pomysł nie spodobał jej się ani trochę i nie przyjęła zaproszenia.

– Nie musisz słuchać rad ojca ani wierzyć jego słowom. To, że on ma kłopoty w interesach, wcale nie znaczy, że i nam coś grozi. Im więcej o tym myślę, tym bardziej mi się wydaje, że przesadzał.

– Skoro aż tak się boi, mamó, to na pewno ma powód. Przecież sobie tego nie wymyślił...

– Boi się, bo przywykł do tego, że wszyscy potulnie spełniają jego polecenia. Nie mieści mu się w głowie, że robotnicy mogą domagać się swoich praw. I to go przeraża. Prawdę mówiąc, wciąż się zastanawiam, czy nie zrobiliśmy głupstwa, przyjmując taką masę pieniędzy, a zwłaszcza klejnoty.

Głupstwo czy nie, faktem jest, że od tamtej pory pieniądze, klejnoty i plany zagościły w naszym codziennym życiu, nienachalne, choć zawsze dyskretnie obecne w myślach i rozmowach. Zgodnie z umową Ramiro zajął się formalnościami związanymi z założeniem firmy, a ja ograniczyłam się do podpisywania papierów, które mi podsuwał. Moje życie płynęło tak jak dotąd – rozkołysane, radosne, rozkochane i aż po burty wyładowane lekkomyślną naiwnością.

Dzięki spotkaniu z Gonzalem Alvarado moje relacje z matką stały się nieco mniej szorstkie, lecz nasze drogi nieodwołalnie się rozeszły. Dolores, dokonując cudów krawieckiej inwencji, przykrawała wyniesione z zakładu doñi Manueli resztki tkanin i od czasu do czasu szyła suknie dla sąsiadek, żeby jakoś związać koniec z końcem. Tymczasem ja żyłam w zupełnie innym świecie, w którym nie było miejsca na wykroje i podszewki, a z dawnej młodziutkiej szwaczki niewiele już we mnie zostało.

Przeprowadzka do Maroka opóźniła się jeszcze o kilka miesięcy. Przez ten czas Ramiro i ja wychodziliśmy i wracaliśmy, śmialiśmy się, paliliśmy papierosy, kochaliśmy się jak szaleni i tańczyliśmy kariokę do białego rana. Wokół nas wybuchały strajki i rozruchy, sytuacja polityczna w każdej chwili groziła zapłonem, a bandytyzm i przemoc były

codziennym obrazkiem na ulicach Madrytu. W lutym wybory wygrała lewicowa koalicja skupiona we Froncie Ludowym; w odpowiedzi Falanga przystąpiła do ofensywy. W debacie politycznej słowa zastąpiły pistolety i pięści, napięcie sięgnęło zenitu. Ale kto by się tym przejmował, przecież już wkrótce mieliśmy zacząć nowe życie.

## 5

Opuściliśmy Madryt pod koniec marca 1936 roku. Pewnego dnia wyszłam kupić sobie pończochy, a kiedy wróciłam, zastałam w domu straszliwy bałagan i Ramira miotającego się wśród kufrów i walizek.

– Wyjeżdżamy. Dzisiaj wieczorem.

– Jest już odpowiedź z Pitmana? – zapytałam, czując nagły skurcz w żołądku.

Nie patrząc na mnie, w pośpiechu wyrzucał z szafy spodnie i koszule.

– Nie bezpośrednio do nas – odparł, wciąż unikając mojego wzroku. – Ale dowiedziałem się, że bardzo poważnie rozważają naszą ofertę. Dlatego myślę, że wkrótce rozwiniemy skrzydła.

– A twoja praca?

– Złożyłem wypowiedzenie. Dzisiaj rano. Miałem ich już powyżej uszu. Wiedzieli, że odejdę lada dzień. Żegnaj, Hispano-Olivetti, żegnaj na zawsze. Świat czeka, kochanie. Szczęście sprzyja odważnym, więc pakuj się, bo wyjeżdżamy.

Nic nie odpowiedziałam. To milczenie sprawiło, że na chwilę przerwał gorączkową krzątaninę. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się na widok mojej skołowanej miny. Podszedł,

objął mnie w talii i jednym pocałunkiem zagłuszył wszystkie obawy. Dostałam taką transfuzję energii, że mogłabym dolecieć do Maroka.

Z pośpiechu ledwo zdążyłam pożegnać się z matką. Krótki uścisk w drzwiach, nie martw się o mnie, napiszę. Dziękowałam Bogu, że nie miałam dość czasu, bo rozstanie byłoby pewnie bardziej bolesne. Nawet nie obejrzałam się za siebie, zbiegając po schodach. Wiedziałam, że jest silna, ale czułam, że zaraz wybuchnie płaczem, a ja nie chciałam się rozkleić. Naiwnie zdawało mi się, że rozłąka nie będzie długa. Tak jakbym wyjeżdżała tylko na parę tygodni i jakby Afryka była tuż za rogiem.

Zeszliśmy na brzeg w Tangerze w samo południe. Był wietrzny wiosenny dzień. Zostawiliśmy za sobą szary, zwaśniony Madryt i zamieszkaliśmy w obcym, rozświetlonym mieście, mieście barw i kontrastów, gdzie Arabowie w turbanach i dżelabach miesza się z Europejczykami, tymi od dawna osiadłymi w Maroku i tymi, którzy uciekając od własnej przeszłości, zdążali w różne strony świata, wiecznie na walizkach pełnych nieuchwytnych marzeń. Tanger, nadmorskie miasto dwunastu bander, tonące w zieleni palm i eukaliptusów; mauretańskie uliczki i nowoczesne aleje, po których krążą lśniące samochody oznaczone literami CD: *corps diplomatique*. Tanger, gdzie minarety meczetów i zapachy wschodnich przypraw współlistnieją zgodnie z gmachami konsulatów i banków, zalotnymi cudzoziemkami w kabrioletach, wonią jasnego tytoniu i paryskich perfum wolnych od cła. Miejskie plaże witały nas powiewającymi na

wietrze markizami kawiarnianych ogródków oraz widokiem na przylądek Malabata i zamglone brzegi Hiszpanii. Europejczycy w ciemnych okularach, przewiewnych, jasnych ubraniach i miękkich filcowych kapeluszach, leniwie rozparci w plażowych fotelach, popijali aperitify, przeglądając od niechcienia międzynarodową prasę. Biznesmeni i urzędnicy wiodący próżniacze życie. Zwodniczo beztroskie preludium tego, co dopiero miało nadejść, a czego nikt jeszcze nie przeczuwał.

W oczekiwaniu na konkretną odpowiedź z Akademii Pitmana zamieszkaliśmy w hotelu Continental, powyżej portu, na obrzeżach medyny. Ramiro wysłał depeszę, zawiadamiając naszych przyszłych współników o zmianie adresu, a ja codziennie dopytywałam się u portiera o list z Argentyny, ów list, który miał być dla nas początkiem nowego życia: tu, w Tangerze, albo w Protektoracie – o tym mieliśmy zdecydować później. A ponieważ poczta przez Atlantyk idzie długo, ruszyliśmy w miasto, wtopieni w tłum podobnych nam uchodźców o niejasnej przeszłości i nieprzewidywalnym jutrze, którzy z godnym podziwu hartem ducha znosili trudy egzystencji na obczyźnie, gawędząc w kawiarnianych ogródkach, pijąc, tańcząc, bywając na przedstawieniach w teatrze Cervantesa i grając w karty o własną przyszłość, nieświadomi, co zgotował im los: zawrotną karierę na salonach czy marny koniec w jakiejś nędznej norze.

Staliśmy się tacy jak oni. Mieliśmy czas na wszystko prócz chwili wytchnienia. Bez opamiętania kochaliśmy się godzinami w hotelowym pokoju, za białymi firankami falującymi w podmuchach morskiej bryzy: furia namiętności, szum

wentylatora obracającego się pod sufitem w rytmie naszych zdyszanych oddechów, skóra śliska od potu o smaku saletry, wezbrane, zmięte prześcieradła spływające przez krawędź łóżka na podłogę. Resztę czasu spędzaliśmy na mieście, we dnie i w nocy. Z początku tylko we dwoje, bo nikogo nie znaleźliśmy. Kiedy wiatr ze wschodu nie dął zbyt mocno, chadzaliśmy na plażę Bosque Diplomático; wieczorami spacerowaliśmy po nowym bulwarze Pasteura, oglądaliśmy amerykańskie filmy we Floryda Kursal lub Kapitolu albo przesiadywaliśmy w jakiejś kafejce na Zoco Chico – urokliwej, pełnej leniwego wdzięku mozaice arabszczyzny i europejskości.

Nasza samotność we dwoje trwała zaledwie kilka tygodni – Tanger był mały, Ramiro skrajnie towarzyski, a w owych dniach wszyscy zdawali się mieć pilną potrzebę zawierania znajomości z kim popadnie. Wkrótce zaczęliśmy kłaniać się na widok znanych z widzenia twarzy, poznawać imiona i przysiadać się do stolików w lokalach. Obiady i kolacje jadaliśmy w Bretagne, Roma Park lub Brasserie de la Plage, a wieczorem szliśmy do baru Russo albo Chathama, albo Detroit na placu Francuskim, albo do Centralu, popatrzyć na węgierskie tancerki, albo na rewię w szklanym pawilonie M'salah, tłumnie odwiedzanym przez Francuzów, Anglików i Hiszpanów, żydów wszelkiej narodowości, Marokańczyków, Niemców i Rosjan, którzy tańczyli, popijali drinki i dyskutowali o polityce we wszystkich możliwych językach przy porywających dźwiękach orkiestry. Noc często kończyliśmy na plaży, w Haffie; wypatrywaliśmy świtu, leżąc pod płóciennym namiotem na gumowych materacach, wśród ludzi palących kif i sączących miętową



herbatę – bogatych Arabów i Europejczyków, kiedyś też być może bogatych, a teraz zdanych na łaskę i niełaskę fortuny. Rzadko kładliśmy się spać przed wschodem słońca, jakby zawieszeni w czasie, skazani na przymusową bezczynność w oczekiwaniu na spóźniającą się odpowiedź z Argentyny. Przywykaliśmy stopniowo do przechadzek po europejskiej części miasta i krętych mauretańskich uliczkach; do życia wśród pstrokatej ciżby miejscowych i przybyszów; wśród woskowo bladych dam z pudelkami na smyczy, wystrojonych w rozłożyste kapelusze i sznury pereł, i wśród ciemnoskórych golibrodów, świadczących usługi pod gołym niebem za pomocą staroświeckich brzytw i wysłużonych nożyc; wśród ulicznych sprzedawców leczniczych maści i wonnych pachnideł; wśród dyplomatów w nienagannych garniturach, kóz i płochliwych postaci muzułmańskich kobiet bez twarzy, w kaftanach i haikach.

Codziennie dochodziły nas wieści z Madrytu. O tym, co tam się dzieje, dowiadaliśmy się z lektury lokalnych hiszpańskich dzienników – „Democracia”, „El Diario de África” i republikańskiego „El Porvenir” – albo od gazeciarzy, którzy na Zoco Chico wykrzykiwali tytuły w kilku językach naraz: „La Vedetta di Tangeri” po włosku, „Le Journal de Tangier” po francusku. Czasami dostawałam listy od matki, krótkie, zwyczajne, dalekie. Dowiedziałam się z nich, że dziadek zmarł cicho i spokojnie w swoim bujanym fotelu, a między wierszami wyczułam, że z dnia na dzień coraz trudniej jej przeżyć.

Był to również czas odkryć. Nauczyłam się kilku zdań po arabsku, niewielu, za to pożytecznych. Osłuchałam się z

francuskim i angielskim, zaczynałam też rozumieć *haketia*, mowę marokańskich żydów sefardyjskich, będącą mieszaniną starodawnej hiszpańszczyzny, hebrajskiego i arabskiego. Przekonałam się, że istnieją mącające umysł substancje, które się pali albo wstrzykuje, albo wdycha; że są ludzie zdolni przegrać w bakarata własną matkę i że namiętności zmysłów dopuszczają znacznie więcej kombinacji niż horyzontalność ciał na materacu. Dowiedziałam się także, iż na świecie działy się i dzieją rzeczy, których nie było widać z piwnicznego zaścianka doñi Manueli: że przed laty w Europie była wielka wojna, że w Niemczech rządzi niejaki Hitler, którego jedni wielbią, a inni się boją, i że ktoś, kto przebywa gdzieś wedle wszelkich pozorów na stałe, może się ulotnić z dnia na dzień, by ocalić własną skórę i nie skończyć w miejscu gorszym niż wszystko, co kiedykolwiek widział w najkoszmarniejszych snach.

Odkryłam też z wielką przykrością, że coś, co wydaje się trwałe i niezmienne, może się w każdej chwili i bez widocznego powodu rozlecieć, rozpaść, obrócić wniwecz. W przeciwieństwie do wiedzy o takich czy innych upodobaniach i nałogach, polityce europejskiej oraz historii krajów, z których pochodzili nasi przygodni znajomi, nauki owej nie czerpałam z cudzych opowieści, lecz z osobistych doświadczeń. Nie pamiętam dokładnie, kiedy ani jak, ale w pewnym trudnym do określenia momencie między mną i Ramirem coś się zaczęło psuć.

Z początku była to ledwo dostrzegalna zmiana w codziennych zwyczajach. Nawiazywaliśmy coraz więcej znajomości, a

codzienne wypadły do miasta zaczęły mieć określony cel; skończyły się niespieszne, swobodne włóczęgi po ulicach, jak w pierwszych dniach naszego pobytu w Tangerze. Ja wolałabym, żeby było tak jak przedtem: sami, tylko we dwoje, a wokół nas daleki, bezimienny świat, rozumiałam jednak, że Ramiro, z jego towarzyskim usposobieniem, budził sympatię wszędzie, gdzie się pokazał. A ponieważ według mnie cokolwiek czynił, czynił dobrze, znosiłam bez słowa skargi nieskończenie długie godziny wśród obcych ludzi, chociaż przeważnie niewiele rozumiałam z ich rozmów, bo nie znałam żadnych języków prócz własnego, a dyskusje dotyczyły miejsc i spraw, o których wówczas nie miałam najmniejszego pojęcia: zezwoleń, nazizmu, Polski, bolszewików, wiz, ekstradycji. Ramiro, który pracując w zagranicznych firmach, otrzaskał się trochę z cudzoziemcami, radził sobie jako tako z francuskim i włoskim, umiał też wydukać kilka zdań po angielsku i niemiecku, a jeśli nie znajdował odpowiednich słów, uciekał się do gestykulacji, opisu, mimiki. Porozumiewanie się z innymi nie stanowiło dla niego problemu i wkrótce stał się w kręgach emigrantów popularną postacią. Trudno nam było wejść do restauracji, żeby nie zamienić paru słów przy co drugim stoliku czy usiąść przy barze w hotelu El Minzah lub w ogródku kawiarni Tingis, żeby ktoś się do nas nie przyłączył. Ramiro był w swoim żywiole, ja zaś stałam się jego bezwolnym cieniem, niemym, obojętnym na wszystko oprócz jego obecności, potulną uczennicą, uszczęśliwioną zaufaniem mistrza.

Przez jakiś czas, mniej więcej do końca wiosny, udawało nam się pogodzić jedno z drugim. Strześliśmy naszej intymności,

długich godzin sam na sam. Podtrzymywaliśmy płomień madryckich dni, a zarazem otwieraliśmy się na nowe przyjaźnie i z każdym dniem głębiej wsiąkaliśmy w otoczenie. W pewnym jednak momencie szala zaczęła się przechylać na jedną stronę, burząc ową kruchą równowagę. Powoli, bardzo powoli, lecz nieodwracalnie. Życie towarzyskie zaczęło przenikać do naszej prywatnej przestrzeni. Przygodni znajomi przestali być jedynie tematem banalnych rozmów i żartów. Utracili anonimowość, stawali się osobami z przeszłością i planami na przyszłość, intruzami wdzierającymi się w naszą intymność, a jednocześnie intrygowali nas i pociągali. Do tej pory pamiętam kilka imion i nazwisk, zachowałam wspomnienie twarzy, które pewnie już się rozpadły w proch, i nazwy miejsc, których wtedy nie umiałabym odnaleźć na mapie. Rosjanin Iwan, smukły jak trzcina, zawsze wymuskany, wytworny i milczący, z nieśmiałym, lęklwym spojrzeniem i chusteczką wystającą z kieszonki marynarki jak przywiedły jedwabny kwiat. Ów polski hrabia, którego imienia nie mogę już sobie przypomnieć, a który rozповідаł na prawo i lewo o swoich rzekomych majątkach, choć miał tylko laskę ze srebrną gałką i dwie koszule o kołnierzykach wytartych przez bezlitosny czas. Izaak Springer, austriacki Żyd z wielkim nosem i złotą papierośnicą. Para Chorwatów, państwo Hovović, oboje tak piękni i tak do siebie podobni, że czasami brano ich za kochanków, a czasami za rodzeństwo. Wiecznie spocony Włoch, który patrzył na mnie maślanymi oczami, chyba Mario, a może Maurizio, już nie pamiętam. Ramiro bratał się z nimi, stał się ich powiernikiem i aktywnym uczestnikiem wspólnych

przedsięwzięć. Z dnia na dzień, powoli, powolutku, coraz bardziej zbliżał się do nich, a oddalał ode mnie.

Wyglądało na to, że odpowiedź z Akademii Pitmana nie nadejdzie nigdy, ale ku mojemu zdumieniu Ramiro wcale nie wydawał się tym zaniepokojony. Coraz mniej czasu spędzaliśmy sami w hotelowym pokoju. Coraz mniej było czułych szeptów, mniej zachwytów nad tym, co tak mu się dotąd we mnie podobało. Już prawie nie mówił o mojej gładkiej skórze, boskich biodrach i jedwabistych włosach, które jeszcze niedawno doprowadzały go do szaleństwa, co dawniej powtarzał aż do znudzenia. Już nie prawił mi komplementów, nie rozplýwał się nad moim perlistym śmiechem i niewinną młodością. Już go tak nie bawiła moja, jak ją kiedyś nazywał, święta naiwność, spostrzegłam za to, że budzę w nim coraz mniej czułości, mniej zrozumienia, mniej zainteresowania. I właśnie wtedy, w czasie owych smutnych dni, kiedy tonęłam w niepewności, rozterkach i wyrzutach sumienia, zaczęłam czuć się bardzo źle. Chora na duszy i na ciele. Źle, źle, fatalnie, coraz gorzej. Być może mój żołądek nie zdołał jeszcze przywyknąć do nowych potraw, tak różnych od pożywnych zupek mojej matki i prostych dań serwowanych w madryckich restauracjach. Niewykluczone, że na moje rosnące osłabienie miały wpływ ciężkie, wilgotne upały, zapowiadające nadejście lata. Światło dnia było dla mnie zbyt jaskrawe, uliczne zapachy budziły wstręt i wywoływały mdłości. Z trudem się zbierałam, żeby w ogóle wstać z łóżka, nudności powracały w chwilach najmniej spodziewanych i bez przerwy chciało mi się spać.

Czasami – rzadko – Ramiro wydawał się tym zmartwiony: siadał wtedy przy mnie, głaskał po głowie i przemawiał z czułością jak do dziecka. Czasami – najczęściej – bywał rozkojarzony, chłodny, daleki. Nie zwracał na mnie uwagi, czułam, że mi się wymyka.

Przestałam towarzyszyć mu w nocnych wypadach na miasto: ledwie mi starczało sił i animuszu, żeby się utrzymać na nogach. Zostawałam sama w hotelu na długie godziny, ciężkie i duszne; godziny parne, lepkie, bez odrobiny powietrza, bez życia. Myślałam, że Ramiro spędza czas tak samo jak zawsze i z tymi samymi ludźmi. Wyobrażałam sobie brzęk kieliszków, bilard i rozmowy, niekończące się rozmowy, wyliczenia i mapy, kreślone na świstkach papieru przy białym marmurowym blacie kawiarnianego stolika. Nie przyszło mi nawet do głowy, że kryje się za tym coś więcej, że mój kochanek rozpoczął kolejny etap, że przekroczył już granice życia towarzyskiego i zwykłej przyjaźni, zapuszczając się w głąb nowych, choć nie całkiem mu nieznanych obszarów. Były jakieś nowe konszachty, nowe interesy. Były szulernie, poker i hulanki do białego rana. Blef, zakłady, szemrane transakcje i fantastyczne projekty. Kłamstwa, dobra mina do złej gry i ciemna strona jego duszy, skrywana przez tyle miesięcy. Ramiro Arribas, człowiek o stu twarzach, do tej pory pokazał mi tylko jedną. Pozostałe miałam wkrótce poznać.

Co noc wracał później i w bardziej opłakanym stanie. Z połą koszuli niechlujnie wciśniętą za pasek spodni, z rozluźnionym, smętnie zwisającym krawatem, dziwnie podniecony, cuchnący tytoniem i whisky. Jeżeli na niego czekałam, bełkotał przymilnie

słowa przeprosin. Często nie dotykał mnie nawet, tylko walił się na łóżko jak kłoda i zasypiał natychmiast, a jego głośne chrapanie nie dawało mi zmrużyć oka. Kiedy indziej znów obejmował mnie natarczywie i wodząc zaślinionymi wargami po mojej szyi, zadzierał mi koszulę i wyżywał się do woli. Pozwalałam na to bez słowa protestu, nie rozumiejąc zupełnie, co się z nami dzieje, nie umiając znaleźć przyczyn jego obojętności.

Czasami nie wracał wcale. Te noce były najgorsze: bezsenne poranki z widokiem na blednące światła nabrzeża odbijające się w czarnych wodach zatoki, łyzy ocierane o świcie i gorzkie podejrzenie, że być może popełniłam pomyłkę, ogromną pomyłkę, od której już nie ma odwrotu.

Na koniec nie musiałam długo czekać. Zdecydowana przekonać się raz na zawsze, co było przyczyną mojego złego samopoczucia, lecz nie chcąc tym martwić Ramira, udałam się któregoś dnia, wczesnym rankiem, do gabinetu lekarskiego przy ulicy Estatuto. „Doktor Bevilacqua, medycyna ogólna, zaburzenia i choroby” – głosiła złocona tabliczka na drzwiach. Wysłuchał mnie, zbadał, wypytał. Nie potrzebował żadnych testów, żeby stwierdzić to, co ja przeczuwałam już od dawna i jak się później okazało, Ramiro także. Wróciłam do hotelu pełna sprzecznych uczuć. Nadziei, niepokoju, radości, lęku. Myślałam, że będzie jeszcze spał, że obudzę go pocałunkiem i oznajmię nowinę. Nic z tego. Nigdy nie miałam okazji powiedzieć mu, że będziemy mieli dziecko. Kiedy przyszłam, jego już nie było, był za to straszliwy bałagan, szeroko otwarte drzwi szafy, wybebeszone szuflady i leżące na podłodze walizki.

Okradli nas, pomyślałam.

Nagle zabrakło mi powietrza. Musiałam usiąść na łóżku. Zamknęłam oczy i głęboko zaczerpnęłam tchu. Raz, dwa, trzy razy. Kiedy otworzyłam je znowu, rozejrzałam się dokoła. Jedna jedyna myśl tłukła mi się po głowie: Ramiro, Ramiro, gdzie jest Ramiro? I wtedy, omiatając pokój błędnym wzrokiem, dostrzegłam na nocnej szafce kopertę opartą o nóżkę lampki. I moje imię, skreślone drukowanymi literami, energicznym, zamaszystym pismem, które rozpoznałabym nawet na końcu świata.

*Siro, kochanie moje!*

*Zanim to przeczytasz, chciałbym, żebyś wiedziała, że Cię uwielbiam i że Twoje wspomnienie będzie mi towarzyszyło aż po kres mego życia. Kiedy przeczytasz ten list, mnie już nie będzie w pobliżu. Obrąłem nowy kurs i chociaż pragnąłbym tego z całej duszy, obawiam się, że w tych planach nie ma miejsca dla Ciebie ani dziecka, którego oczekujesz, czego od dawna się domyślałem.*

*Proszę, wybacz mi, że nie zachowywałem się wobec Ciebie, jak powinienem, i że trochę Cię ostatnio zaniedbywałem. Ufam, że zrozumiesz, iż niepewność, spowodowana brakiem odpowiedzi z Akademii Pitmana, skłoniła mnie do poszukiwania nowych dróg ku lepszej przyszłości. Rozważyłem wiele propozycji, nim dokonałem ostatecznego wyboru. Przede mną wspaniała i wielce obiecująca przygoda, w której niestety nie możesz mi towarzyszyć, wymaga bowiem, bym poświęcił się jej bez reszty, ciałem i duszą.*

*Nie mam najmniejszych wątpliwości, że projekt, który dziś rozpoczynam, zakończy się pełnym sukcesem. Zanim się jednak*



*rozkręci, niezbędne są znaczne inwestycje, przekraczające moje możliwości finansowe. W związku z tym pozwoliłem sobie skorzystać z pieniędzy i klejnotów Twojego ojca, żeby pokryć pierwsze wydatki. Traktuję to jako pożyczkę i mam nadzieję, że kiedyś wszystko Ci zwrócę, abys i Ty, po latach, mogła przekazać je w spadku swoim potomkom. Wierzę także, iż wspomnienie Twojej niezłomnej matki, która wychowała Cię kosztem tak wielu poświęceń i wyrzeczeń, doda Ci otuchy w walce z przeciwnościami losu.*

*Żegnaj, życie moje. Twój na zawsze*

**RAMIRO**

*PS. Radzę Ci, wyjedź z Tageru tak szybko, jak to tylko możliwe. To nie jest odpowiednie miejsce dla samotnej kobiety, zwłaszcza w Twoim obecnym stanie. Obawiam się, że pewni ludzie mogą mnie szukać, a skoro nie znajdą, zapewne spróbują znaleźć Ciebie. Wynieś się dyskretnie z hotelu i nie zabieraj ze sobą za dużo. Zrobię, co w mojej mocy, żeby uregulować rachunek za ostatnie miesiące, chociaż nie wiem, czy z racji mego nagłego wyjazdu będzie ku temu okazja, a nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybyś miała przez to jakieś nieprzyjemności.*

Nie wiem, co wtedy pomyślałam. W pamięci zachowałam nietknięty obraz owej sceny: pokój w nieładzie, pustą szafę, jaskrawe światło dnia wdzierające się przez otwarte okno i siebie samą na rozbebeszonym łóżku. Jedną ręką kurczowo ścisnęłam list, drugą położyłam na moim ciężarnym brzuchu, a ze skroni spływały mi grube krople potu. Sądzę, że nie przeszła mi wówczas przez głowę żadna myśl, a jeśli nawet, to nie

pozostawiła śladu, bo potem nie mogłam sobie nic przypomnieć. Pewna jestem jednak, że wzięłam się do roboty jak świeżo naoliwiona maszyna, sprawna i szybka, choć niezdolna do żadnej refleksji ani uczuć. Pomimo jednoznacznej treści owego listu Ramiro nawet z daleka dyktował mi, co mam robić, a ja posłusznie wykonywałam jego polecenia. Otworzyłam walizkę i obiema rękami wrzucałam do niej, co popadło, nie zastanawiając się nad tym, co mi się przyda, a co mogę zostawić. Kilka sukienek, szczotka do włosów, jakieś bluzki i dwa stare czasopisma, kłęb bielizny, buty nie od pary, dwa żakiety od kostiumu, bez spódnic, i trzy spódnice bez żakietów, stos papierów zgarniętych z biurka, flakony z łazienki, jeden ręcznik. Kiedy bezładna sterta ubrań i drobiazgów urosła do sporych rozmiarów, zamknęłam walizkę i wyszłam, trzasnąwszy drzwiami.

Było południe, pora lunchu. Goście hotelowi wchodzili i wychodzili, kelnerzy uwijali się jak w ukropie, ludzie kłaniali się sobie i witali w niezrozumiałych dla mnie językach. W tym całym zamieszaniu prawie nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Tylko Hamid, boy hotelowy, który mimo swoich lat nadal wyglądał jak chłopiec, podbiegł do mnie usłużnie, żeby pomóc mi z bagażem. Pokręciłam odmownie głową i wyszłam. Ruszyłam przed siebie krokiem ani stanowczym, ani chwiejnym, lecz najzupełniej normalnym, nie mając najmniejszego pojęcia, dokąd się udać. Zresztą było mi wszystko jedno. Pamiętam mozolną wędrówkę stromą rue de Portugal, zachowałam mgliste wspomnienie zgiełkliwego Zoco de Afuera z mrowiem straganów, zwierząt i dżelab. Krążyłam

bez celu po wąskich uliczkach, co chwila uskakując pod ściany na dźwięk klaksonu lub *balak, balak*, wykrzykiwanego przez jakichś Marokańczyków, poganiających obładowane towarem osiołki. W tej chaotycznej wędrówce minęłam angielski cmentarz, kościół katolicki przy Siagin i Wielki Meczet przy rue de la Marine. Miałam wrażenie, że czas rozciąga się w wieczność. Nie czułam zmęczenia, w ogóle nic nie czułam. Niosła mnie jakaś obca siła, a nogi same się poruszały, jakby należały do cudzego ciała. Mogłabym tak iść o wiele dłużej: godzinami, nocami, tygodniami być może, rok za rokiem, aż do końca świata. Na Cuesta de la Playa, kiedy snułam się niczym zjawą przed gmachami Szkoły Hiszpańskiej, zatrzymała się przy mnie taksówka.

– Może panią gdzieś podwieźć, *mademoiselle*? – zapytał kierowca.

Chyba kiwnęłam głową. Na widok walizki pomyślał pewnie, że wybieram się w podróż.

– Do portu, na dworzec, na autobus?

– Tak.

– To dokąd?

– Tak.

– Na autobus?

Ponownie kiwnęłam głową. Na autobus, na pociąg, na statek, na dno przepaści, wszystko jedno. Ramiro mnie rzucił, a ja nie miałam dokąd pójść, więc każde miejsce było równie złe. Jedno gorsze od drugiego.

Obudził mnie czyjś cichy głos i z ogromnym wysiłkiem uniosłam powieki. Dostrzegłam dwie postaci, najpierw zamglone, potem już bardziej wyraźne: siwowłosego mężczyznę, którego twarz, wciąż jeszcze trochę zamazana, wydała mi się odlegle znajoma, i zakonnicę w nieskalanie białym kornecie. Spróbowałam odgadnąć, gdzie jestem. Wysoko nad głową zobaczyłam sufit, a obok siebie, z lewej i z prawej, stojące rzędem łóżka. W powietrzu unosił się zapach medykamentów, za oknem świeciło słońce. Zrozumiałam, że znalazłam się w szpitalu. Do dziś pamiętam swoje pierwsze słowa:

- Chcę do domu.
- A gdzie jest twój dom, moja córko?
- W Madrycie.

Zdawało mi się, że postaci wymieniły między sobą szybkie spojrzenia. Zakonnica delikatnie uściśniła moją rękę.

- Obawiam się, że w tej chwili to niemożliwe.
- Dlaczego? – zapytałam.

Mężczyzna odpowiedział:

– Ruch w Cieśninie został wstrzymany. Ogłoszono stan wojenny.

Nie dotarło do mnie znaczenie tych słów, bo znowu zapadłam się w głąb ciemnej studni, w nieprzerwany sen, z którego nie budziłam się przez wiele dni. A kiedy się wreszcie ocknęłam, postanowili jeszcze przez jakiś czas zatrzymać mnie na obserwacji. Tygodnie przymusowej bezczynności w Szpitalu Miejskim w Tetuanie posłużyły mi do zaprowadzenia względnego porządku w uczuciach i oszacowania ujemnego

bilansu ostatnich miesięcy. Ale to dopiero pod koniec pobytu, z początku bowiem, rano i wieczorem, w nocy i o świcie, w godzinach odwiedzin, których nigdy nie miałam, i w porze posiłków, kiedy przynosili mi jedzenie, którego nie mogłam przełknąć, nie robiłam nic innego, tylko płakałam. Nie myślałam, nie zastanawiałam się nad niczym, nie wspominałam nawet. Po prostu płakałam.

Z upływem dni, kiedy łyzy obeschły, bo wszystkie już wypłakałam, zaczęły mnie nawiedzać wspomnienia. Nieskończonym, powolnym szeregiem defilowały przed moim łóżkiem, tłoczyły się u wezglowia. Widziałam niemal, jak przechodzą przez drzwi w głębi wielkiej, świetlistej nawy szpitalnego pawilonu. Wspomnienia żywe, niezależne od mojej woli, wielkie i małe, zbliżały się jedno za drugim i przysiadły na materacu, by niepostrzeżenie wśliznąć się do mózgu i bez odrobiny litości dręczyć mnie obrazami, o których chciałam zapomnieć na zawsze. Wnikały przez skórę, wciskały się pod paznokcie, wwierały w uszy. A potem, kiedy ów natłok wspomnień stał się mniej natrętny, przez ich zgiełkliwy szmer przedarł się surowy głos rozsądku, który kazał mi dokonać chłodnej analizy przyczyn i skutków wszystkiego, co mnie spotkało w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy. To było stadium krytyczne. Najbardziej gwałtowne, najbardziej agresywne. Najbardziej bolesne. I chociaż nie potrafię powiedzieć, jak długo to trwało, wiem z absolutną pewnością, że skończyło się za sprawą pewnej niespodziewanej wizyty.

Do tego czasu dni mijały mi wśród położnic, sióstr miłosierdzia i żelaznych, pomalowanych na biało łóżek. Od

czasu do czasu pojawiali się lekarze w białych kitlach, a w ściśle określonych godzinach przychodzili mężowie i krewni: rozmawiali szeptem, szczebiotali do noworodków i wzdychając ze współczuciem, pocieszali te z nas, które były w podobnej jak ja sytuacji. Znalazłam się w mieście, w którym nie znałam żywej duszy: nigdy nikt mnie nie odwiedzał, a ja nikogo nie oczekiwałam. Nie wiedziałam nawet za dobrze, co robię sama w tym obcym miejscu. Dość mgliście przypominałam sobie okoliczności mojego przyjazdu. Nie potrafiłam odtworzyć powodów, które mnie do tego skłoniły. W mojej pamięci ziała luka i nie miałam czym jej wypełnić. Zostałam sama z mącącymi umysł wspomnieniami, dyskretnym towarzystwem zakonnic i pragnieniem – na wpół zuchwałym, na wpół bojaźliwym – żeby jak najszybciej wrócić do Madrytu.

Pewnego ranka moja samotność została jednak w niespodziewany sposób przerwana. Poprzedzany przez kroczącą godnie białą postać siostry Virtudes, zjawił się ten sam człowiek, który wiele dni temu mówił do mnie coś o wojnie.

– Przyprowadziłam ci gościa, córuchno – oznajmiła zakonnica.

Zdawało mi się, że w jej śpiewnym głosie zabrzmiała lekka nuta niepokoju. Kiedy nieznajomy się wylegitymował, zrozumiałam, dlaczego.

– Komisarz Claudio Vázquez, szanowna pani – powiedział zamiast przywitania. – Czy może panno?

Miał niemal zupełnie białe włosy, sprężystą sylwetkę, jasny letni garnitur i ogorzałą od słońca twarz, w której błyszczało dwoje ciemnych, bystrych oczu. Nadal czułam się trochę

otępiała i trudno mi było osądzić, czy mam przed sobą dojrzałego mężczyznę o chłopięcym wyglądzie, czy przedwcześnie posiwiałego młodzieńca. Nie miało to jednak w owej chwili większego znaczenia. Ważniejsze było, czego ten człowiek ode mnie chce. Siostra Virtudes wskazała mu krzesło pod ścianą. Przysunął je energicznie do łóżka i ustawił z prawej strony. Położył kapelusz na podłodze i usiadł. Uśmiechem tyleż uprzejmym, co stanowczym dał zakonnicy do zrozumienia, że życzy sobie zostać ze mną sam.

Przez szerokie okna do pawilonu wlewało się światło. Za nimi, na tle oślepiająco błękitnego nieba, leniwie kołysały się na wietrze palmy i eukaliptusy rosnące w szpitalnym ogrodzie. Cóż za piękny letni dzień dla każdego, kto nie leży w szpitalu, mając komisarza policji w charakterze przyzwoitki. Sąsiednie łóżka, lśniące niepokalaną bielą pedantycznie naciągniętych prześcieradeł, były puste, podobnie zresztą jak większość pozostałych. Kiedy siostra Virtudes, urażona, że nie może być obecna przy naszej rozmowie, odeszła, starając się ukryć niezadowolenie, zostaliśmy tylko w towarzystwie dwóch czy trzech skulonych na łóżkach postaci i jednej młodej zakonnicy, która w milczeniu myła podłogę na drugim końcu sali. Na wpół siedziałam, z prześcieradłem podciągniętym aż po pachy, odsłaniającym jedynie gołe, z każdym dniem chudsze ręce, kościste ramiona i głowę. Włosy miałam splecione z boku w ciemny warkocz, policzki zapadnięte, twarz poszarzałą, wycieńczoną przeżytym załamaniem.

– Siostra powiedziała mi, że czuje się już pani trochę lepiej, więc sądzę, że możemy porozmawiać, zgoda?

Przytaknęłam skinieniem głowy, nie próbując nawet zgadywać, jaką sprawę może mieć do mnie ten człowiek; rozstrój nerwowy nie jest wszak sprzeczny z prawem. Z wewnętrznej kieszeni marynarki komisarz wyjął jakiś zeszytek i zerknął na notatki. Musiał je chyba przeglądać tuż przedtem, bo nawet nie wertował kartek, tylko od razu spojrzął na właściwą stronę.

– Dobrze, zacznę od kilku pytań. Proszę odpowiadać po prostu „tak” lub „nie”. Sira Quiroga Martín, urodzona w Madrycie dwudziestego piątego czerwca tysiąc dziewięćset jedenastego roku, czy tak?

Mówił uprzejmie, lecz stanowczo. Ze względu na mój stan złagodził nieco oficjalny, służbowy ton, który jednak wciąż dawało się wyczuć w jego głosie. Ponownym skinieniem głowy potwierdziłam zgodność moich personaliów.

– I przybyła pani do Tetuanu dnia piętnastego lipca, z Tangeru?

Kiwnęłam głową raz jeszcze.

– W Tangerze, począwszy od dwudziestego trzeciego marca, mieszkała pani w hotelu Continental?

Przytaknęłam.

– W towarzystwie... – tu zerknął do zeszytka – ...Ramira Arribasa Querola, urodzonego w Vitorii dwudziestego trzeciego października tysiąc dziewięćset pierwszego roku.

Znów kiwnęłam głową i spuściłam oczy. Po raz pierwszy od chwili naszego rozstania usłyszałam jego imię. Komisarz Vázquez chyba nie zauważył, że zaczynam tracić pewność



siebie, a może udawał, tego nie wiem; wypytywał mnie dalej, jakby nic nie spostrzegł.

– Nie zapłaciliście za pobyt w hotelu. Rachunek opiewa na trzy tysiące siedemset osiemdziesiąt dziewięć franków francuskich.

Nie odpowiedziałam. Odwróciłam głowę, żeby nie patrzeć mu w oczy.

– Proszę na mnie spojrzeć – zażądał.

Nie zareagowałam.

– Proszę na mnie spojrzeć – powtórzył.

Jego ton nadal był obojętny: ani bardziej stanowczy, ani bardziej uprzejmy, ani też bardziej kategoryczny. Taki sam jak przedtem. Odczekał cierpliwie kilka chwil, dopóki nie spełniłam polecenia. Ale ja wciąż milczałam. Sformułował swoje pytanie inaczej:

– Czy jest pani świadoma, że w hotelu Continental zostawili państwo niezapłacony rachunek w wysokości trzech tysięcy siedmiuset osiemdziesięciu dziewięciu franków?

– Chyba tak – odparłam wreszcie słabym głosem.

Znowu próbowałam unikać jego wzroku, znowu odwróciłam głowę. Wybuchnęłam płaczem.

– Proszę na mnie spojrzeć – powiedział po raz trzeci.

Odczekał trochę, dopóki nie zyskał pewności, że nie mam już chęci ani sił, ani dość odwagi, żeby mu się sprzeciwić. I wtedy usłyszałam, jak wstaje z krzesła, żeby zejść do mnie z drugiej strony. Przysiadł na sąsiednim łóżku, tym, na które patrzyłam; pod ciężarem jego ciała prześcieradła straciły swoją sztywną gładkość. Wbił we mnie przenikliwy wzrok.

– Próbuję pani pomóc, proszę pani. Albo proszę panienki, dla mnie to bez znaczenia – rzekł dobitnie. – Wpakowała się pani w paskudne kłopoty, choć zapewne nie z własnej winy. Wydaje mi się, że wiem, jak do tego doszło, ale musi pani ze mną współpracować. Jeśli mi pani nie pomoże, ja nie będę mógł pomóc pani. Czy to jasne?

Z wysiłkiem odparłam, że tak.

– Dobrze. Proszę przestać płakać i przejdźmy do rzeczy.

Otarłam łzy rąbkiem prześcieradła. Komisarz dał mi jeszcze minutę. Gdy tylko wyczuł, że się uspokołam, podjął przesłuchanie.

– Gotowa?

– Gotowa – szepnęłam.

– Proszę zatem posłuchać: dyrekcja hotelu Continental oskarżyła panią o niezapłacenie pokaźnego rachunku. Ale to jeszcze nie wszystko. Sprawa jest, niestety, bardziej skomplikowana. Dowiedzieliśmy się również, że firma Hispano-Olivetti zarzuca pani wyłudzenie dwudziestu czterech tysięcy ośmiuset dziewięćdziesięciu peset.

– Ale ja... ale...

Gestem ręki przerwał moje usprawiedliwienia. Miał dla mnie w zanadrzu więcej rewelacji.

– Jest też list gończy, wystawiony w związku z kradzieżą klejnotów o znacznej wartości z prywatnej posesji w Madrycie.

– Ja nie... przecież...

Byłam ogłuszona, niezdolna do myślenia, nie mogłam wykrztusić słowa. Komisarz, widząc moje przerażenie, zaczął mnie uspokajać.

– Wiem, wiem. Proszę się nie denerwować. Przeczytałem papiery, które miała pani w walizce, i odtworzyłem sobie w przybliżeniu przebieg wydarzeń. Czytałem list, zostawiony pani przez męża, narzeczonego, kochanka czy kimkolwiek był dla pani wspomniany Arribas. Znalazłem akt darowizny klejnotów oraz dokument stwierdzający, że ich poprzedni właściciel jest pani ojcem.

Nie pamiętałam, żebym wzięła te papiery ze sobą; oddałam je Ramirowi na przechowanie i od tamtej pory nic więcej o nich nie wiedziałam, ale skoro były wśród moich rzeczy, to musiałam nieświadomie zabrać je z hotelu. Westchnęłam z ulgą, bo zrozumiałam, że stanowią dowód mojej niewinności.

– Niech pan z nim porozmawia, błagam, niech pan porozmawia z moim ojcem – poprosiłam. – Mieszka w Madrycie, na ulicy Hermosilla dziewiętnaście, nazywa się Gonzalo Alvarado.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe. Komunikacja z Madrytem jest bardzo utrudniona. W mieście panuje chaos, mało kto mieszka pod własnym adresem: jednych aresztowano, inni uciekli, ukrywają się albo już nie żyją. Poza tym pani sprawa jest o tyle skomplikowana, że z oskarżeniem o kradzież wystąpił syn Alvarada, pani przyrodni brat. Enrique, jeżeli dobrze pamiętam? Tak – zerknął do notatek – Enrique Alvarado. – Kilka miesięcy temu gosposia powiedziała mu, że po spotkaniu z ojcem opuściła pani dom w wielkim pośpiechu, z wypchaną torbą i jakimś pakunkiem pod pachą. Sugerują, że wyniosła pani klejnoty i że stary Alvarado mógł paść ofiarą szantażu lub wymuszenia. Reasumując, wygląda to wszystko

dość brzydko, chociaż dokumenty wydają się świadczyć na pani korzyść.

Wyjął z kieszeni marynarki papiery, które ojciec wręczył mi podczas owej pamiętnej wizyty.

– Na szczęście dla pani Arribas nie zabrał ich razem z klejnotami i pieniędzmi, być może dlatego, że mogłyby okazać się dla niego kompromitujące. Powinien był je zniszczyć i pewnie by tak zrobił, ale nie zdążył. Prawdę mówiąc, należy mu się wdzięczność, bo dzięki temu uniknie pani więzienia – dodał z ironią i zamknął na chwilę oczy, jakby z trudem przełykając te ostatnie słowa. – Proszę wybaczyć, nie chciałem pani urazić. Zdaję sobie sprawę, że nie można wymagać wdzięczności dla kogoś, kto postąpił z panią w taki sposób.

Nie odpowiedziałam na jego przeprosiny. Zapytałam tylko cicho:

– Gdzie on teraz jest?

– Arribas? Nie wiadomo dokładnie. Może w Brazylii, a może w Buenos Aires albo Montevideo. Wsiadł na transatlantyk płynący do Argentyny, ale mógł zejść na ląd w jakimś porcie. Wypłynął w towarzystwie trzech innych osobników: Rosjanina, Polaka i Włocha.

– I nie będziecie go szukać? Nie zrobicie nic, żeby go aresztować?

– Obawiam się, że nie. Niewiele na niego mamy: jedynie niezapłacony rachunek z hotelu, obciążający również panią. Chyba że złoży pani doniesienie o kradzieży klejnotów i pieniędzy, które ów człowiek sobie przywłaszczył. Szczerze mówiąc, sądzą jednak, że nie warto. To prawda, że należały do

pani, jednak status własności jest dość niejasny, a na pani ciąży podobne oskarżenie. Tak więc myślę, że nigdy nie dowiemy się o miejscu pobytu Arribasa. Tego rodzaju ludzie są sprytni, potrafią zniknąć bez śladu, by nagle pojawić się w zupełnie innej części świata.

– Ale przecież mieliśmy zacząć razem nowe życie, otworzyć własną firmę... Czekaliśmy tylko na potwierdzenie – wyjąkałam.

– Chodzi pani o te maszyny do pisania? – zapytał, wyciągając z kieszeni kolejną kopertę. – Nie mieliście ani uprawnień, ani pełnomocnictwa. Właściciele Akademii Pitmana w Argentynie nie byli zainteresowani rozszerzaniem działalności za Atlantykiem i powiadomili was o tym jeszcze w kwietniu. – Spostrzegł malującą się na mojej twarzy konsternację. – Arribas pani tego nie powiedział, prawda?

Przypomniałam sobie, jak z biciem serca biegłam codziennie do recepcji, pełna nadziei, spragniona listu, który miał odmienić nasze życie, a który od miesiący leżał już w kieszeni Ramira. Preteksty, jakich kurczowo się chwyciłam, żeby go usprawiedliwić, stopniowo rozwiewały się w dym. Uczepiłam się ostatniej nadziei:

– Ale on mnie kochał...

Komisarz uśmiechnął się z mieszaniną goryczy i współczucia.

– Wszystkie tak mówicie. Proszę posłuchać mojej rady, panno Siro, niech się pani nie oszukuje. Typy pokroju Arribasa kochają tylko siebie. Owszem, potrafią być czuli, a nawet hojni. Mają wiele osobistego uroku, ale w godzinie prawdy dbają tylko o

własną skórę i jak coś pójdzie nie tak, wolą się na wszelki wypadek ulotnić, żeby uniknąć konsekwencji. Tym razem padło na panią. Przyznaję, dość pechowo. Nie wątpię, że była mu pani droga, ale pewnego pięknego dnia pojawiły się nowe, lepsze perspektywy, a pani stała się ciężarem, którego trzeba się pozbyć. Dlatego panią porzucił. Nie ma sensu dłużej się okłamywać. Niczemu pani nie jest winna, ale co się stało, to się nie odstanie.

Nie miałam ochoty na dyskusję o szczerości uczuć Ramira, był to dla mnie temat zbyt bolesny. Postanowiłam skierować rozmowę na sprawy bardziej przyziemne i praktyczne:

– A Hispano-Olivetti? Co ja niby do tego mam?

Zaczerpnął powietrza i westchnął głęboko, jakby czekało go jakieś trudne i niewdzięczne zadanie.

– To kwestia jeszcze bardziej zawiła. Jak na razie nie mamy wiarygodnych dowodów na pani niewinność, chociaż intuicja mi podpowiada, że chodzi o kolejną aferę, w którą wplątał panią mąż, narzeczony czy kim tam dla pani jest wspomniany Arribas. Firma zarejestrowana na pani nazwisko otrzymała od Hispano-Olivetti dużą partię maszyn do pisania, za które nigdy nie zapłacono.

– To on wpadł na pomysł, żeby założyć firmę na moje nazwisko, ale nic mi nie mówił... nie wiedziałam... ja nie...

– Tak właśnie myślałem. Podstawił panią jako figurantkę. Oto co się moim zdaniem wydarzyło i proszę mnie poprawić, jeśli się mylę. Otrzymała pani od ojca pieniądze i kosztowności, zgadza się?

Kiwnęłam głową.

– A potem Arribas namówił panią do założenia firmy i zaproponował, że przechowa kosztowności i pieniądze w swoim służbowym sejfie, zgadza się?

Przytaknęłam ponownie.

– Wszystko pięknie, ale tak nie zrobił. A raczej zrobił, tyle że złożył je jako depozyt na własne nazwisko. Za pani pieniądze dokonał zakupu w swojej macierzystej firmie, podając jako nabywcę zarejestrowane na panią przedsiębiorstwo importowo-eksportowe Maszynografia Quiroga. Zapłacił pani pieniędzmi, rzetelnie i w terminie, więc w Hispano-Olivetti nie mieli powodów do żadnych podejrzeń. Transakcja, jakich wiele, duża, legalna. Koniec, kropka. Arribas odsprzedał zakupione maszyny, nie wiem komu i za ile. Wszyscy byli zadowoleni: i Hispano-Olivetti, bo księgi się zgadzały, i Arribas, który nie inwestując ani grosza z własnych kapitałów, zrobił świetny interes. Po kilku tygodniach przeprowadził jeszcze jedną transakcję w pani imieniu. I tym razem poszło gładko. Pełna suma nie wpłynęła od razu, ale wpłacono solidną zaliczkę. A ponieważ poznali już panią jako solidną klientkę, ze spokojem oczekiwali kolejnych rat. Problem w tym, że tych pieniędzy nie dostali. Arribas znów pozbył się całego towaru i znów się nieźle obłowił, a potem zniknął razem z panią i pokaźnym zyskiem ze sprzedaży maszyn, za które nigdy nie zapłacił. Mistrzowski ruch, tak, doprawdy mistrzowski, chociaż dziwi mnie, że nikt się niczego nie domyślał, tym bardziej że, jak rozumiem, wyjeżdżali państwo z Madrytu dość pospiesznie?

W nagłym przebłysku pamięci ujrzałam mój powrót do domu na placu Salesas w tamten marcowy poranek – otwarte szafy,

rozgorączkowanego Ramira upychającego w walizkach ubrania, popędzającego mnie, żebym się nie guzdrała, bo szkoda każdej sekundy. Obrazy te utwierdziły mnie co do słuszności podejrzeń komisarza, który mówił dalej:

– Arribas zatem nie tylko przywłaszczył sobie pani pieniądze, ale i sam znacznie się wzbogacił. Cwany gość, nie ma dwóch zdań.

Znowu pociągnęłam nosem.

– Proszę przestać... Niech pani to zrobi dla mnie i zachowa łyżę na inną okazję, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Widzi pani, to się stało w możliwie najgorszym momencie, wszystko bardzo się skomplikowało.

Przełknęłam ślinę. Opanowałam się wysiłkiem woli i po chwili mogłam już mówić.

– Chodzi o to, że jest wojna?

– Nie wiadomo jeszcze, jak to się skończy, ale sytuacja wygląda kiepsko. Połowa Hiszpanii poparła buntowników, połowa pozostała wierna rządowi. W kraju panuje straszliwy chaos, ludzie są dezorientowani, nikt nie wie, czego się trzymać. Kompletna katastrofa.

– A tutaj?

– Na razie mamy względny spokój, parę tygodni temu było gorzej. Tu się wszystko zaczęło, nie wiedziała pani? Stąd wyszedł bunt. Stąd, z Maroka, wyruszył generał Franco na czele swoich oddziałów. W pierwszych dniach zostaliśmy zbombardowani. W odpowiedzi na powstanie lotnictwo Republiki zaatakowało siedzibę Wysokiego Komisarjatu<sup>5</sup>, lecz wskutek tragicznej pomyłki pilota jednego z fokkerów wielu



cywilów zostało rannych, zginęło kilkoro dzieci i zburzono meczet. Muzułmanie uznali to za akt wrogości i stanęli po stronie buntowników. Z drugiej strony, aresztowano lub rozstrzelano wielu obrońców Republiki. Europejskie więzienie pęka w szwach, a w El Mogote powstało coś w rodzaju obozu. Ostatecznie, kiedy zajęto lotnisko Sania Ramel, tu, blisko szpitala, padł ostatni rządowy bastion w Protektoracie. Cała północna Afryka znalazła się pod kontrolą zbuntowanego wojska, a sytuacja jako tako się uspokoiła. Naprawdę ciężko jest teraz na Półwyspie.

Palcem wskazującym i kciukiem lewej ręki przetaił oczy; powoli przesunął dłoń w górę, poprzez brwi i czoło, aż do nasady włosów, a potem dłuższą chwilę masował w zamyśleniu ciemię i kark.

– Kiedy to się wreszcie skończy, do jasnej cholery... – powiedział cicho, jakby do siebie.

Wyrwałam go z tej zadumy, bo już dłużej nie mogłam znieść dręczącej mnie niepewności.

– Ale pozwolą mi wyjechać?

To obcesowe pytanie przywróciło go do rzeczywistości. Odpowiedź była kategoryczna:

– Nie. W żadnym wypadku. Nigdzie pani nie wyjedzie, a zwłaszcza do Madrytu. Tam, jak na razie, trzyma się jeszcze Republika. Lud będzie jej bronił do upadłego, wszyscy szykują się do walki.

– Ale ja muszę wracać – nalegałam słabo. – Tam jest moja matka, mój dom...

Z trudem hamował irytację. Z uwagi na stan mego zdrowia starał się zachować spokój, chociaż widziałam, że mój upór drażni go coraz bardziej. W innych okolicznościach okazałby mi zapewne mniej względów.

– Proszę posłuchać. Nie wiem, czy ma pani serce po lewej czy po prawej stronie, czy jest pani za rządem czy za rebeliantami.  
– Znowu mówił pewnie, stanowczo. Odzyskał już wigor po chwilowym upadku ducha, spowodowanym wspomnieniem niedawnych burzliwych przeżyć. – Jeżeli mam być z panią szczery, to po tym wszystkim, na co musiałem patrzeć w ciągu ostatnich tygodni, pani poglądy są mi najzupełniej obojętne. Więcej, o pewne sprawy wolę nawet nie pytać. Robię swoje, a od polityki staram się trzymać jak najdalej. Niestety, zbyt wielu ludzi się nią zajmuje. Za sprawą ironii losu tym razem szczęście sprzyja pani, chociaż nie dziwię się, że trudno w to uwierzyć. Tu, w Tetuanie, w samym sercu buntu, będzie pani całkowicie bezpieczna, bo nikt poza mną nie ma zamiaru zaprzętać sobie głowy pani zatargami z prawem. A proszę mi wierzyć, jest tego dość, żeby wsadzić panią za kratki na długo.

Próbowałam protestować, przerażona, zdjeta nagłą paniką. Nie pozwolił mi. Pohamował moje zapędy gestem uniesionej dłoni i mówił dalej:

– Przypuszczam, że w Madrycie zostanie wstrzymana większość czynności policyjnych i spraw sądowych z wyjątkiem procesów politycznych i przestępstw grubszego kalibru. Mają tam teraz tyle problemów, że nikt nie będzie ganiał po całym Maroku za domniemaną oszustką sprzedającą na lewo maszyny do pisania i rzekomą złodziejką rodowych klejnotów,

zadenuncjowaną przez własnego brata. Kilka tygodni temu kogoś by to może zainteresowało, ale dziś nic już nie ma znaczenia w obliczu piekła, jakie się tam wkrótce rozpęta.

– A więc? – zapytałam nieśmiało.

– A więc będzie pani siedziała cicho i nie ruszy się na krok z Tetuanu. Nie chcę już żadnych problemów. Moim obowiązkiem jest czuwanie nad bezpieczeństwem na terenie Protektoratu i nie sądzę, żeby stanowiła pani duże zagrożenie. Ale na wszelki wypadek wolę mieć panią na oku. Zostanie pani tutaj i będzie się trzymać z dala od kłopotów. I zaznaczam, to nie jest dobra rada ani prośba, tylko formalny nakaz. Nie wsadzę pani do lochu i nie zamknę w areszcie domowym. Będzie się pani cieszyć względną swobodą, jednak stanowczo zabraniam opuszczania miasta bez mojej uprzedniej zgody. Czy to jasne?

– Do kiedy? – odpowiedziałam pytaniem. Nic gorszego nie mogło mnie spotkać. Miałam zostać sama w tym obcym mieście, nie wiadomo na jak długo.

– Dopóki sytuacja w Hiszpanii się nie uspokoi. Zobaczymy, jak się sprawy potoczą, i wtedy zdecyduję, co z panią zrobić. Teraz nie mam ani czasu, ani sposobu, żeby się tym zająć. Przede wszystkim musi pani jak najszybciej uregulować rachunek w hotelu Continental.

– Ale ja nie mam z czego zapłacić... – wtrąciłam, czując, że za chwilę znowu się rozpłaczę.

– To już wiem. Przejrzałem dokładnie pani bagaże i sprawdziłem, że nie ma tam nic oprócz pogniecionych ubrań i kilku dokumentów. W tej sprawie ponosi pani jednak winę na równi z Arribasem, a ponieważ jego tu nie ma, musi pani sobie

radzić sama. Obawiam się, że nie będę mógł pomóc, bo w Tangerze doskonale wiedzą, że pani tu jest.

– Ale on zabrał moje pieniądze... – tłumaczyłam przez łyzy.

– O tym też wiem i niech już pani, do cholery, przestanie wreszcie płakać. Błagam. Arribas w liście odkrył wszystkie karty. Jego własne słowa świadczą dobitnie o tym, jaki z niego łajdak: zostawił panią na lodzie, bez grosza przy duszy. W niechcianej ciąży, którą pani poroniła na przystanku autobusowym w Tetuanie.

Zawstydzenie malujące się na mojej twarzy, zmieszane ze łzami, z bólem i żalem, zmusiło go do postawienia pytania:

– Nie pamięta pani? Czekałem na dworcu. Komenda żandarmerii w Tangerze zawiadomiła nas, że pani tu jedzie. Boy hotelowy widział, jak wychodziła pani w pośpiechu, bardzo wzburzona, i wszczął alarm. Razem z kierownikiem odkryli, że zabrała pani z pokoju swoje rzeczy i prawdopodobnie nie zamierza już wrócić. Ponieważ zalegali państwo z opłatą na znaczną sumę, zawiadomili policję, odnaleźli taksówkarza, który zawiózł panią na przystanek „Walencjanki”, i dowiedzieli się, że zmierza pani w stronę Tetuanu. W normalnych warunkach posłałbym kogoś ze swoich ludzi, ale teraz sytuacja jest tak napięta, że wolę mieć oko na wszystko i wiele spraw objąłem osobistym nadzorem, żeby uniknąć niemiłych niespodzianek. Postanowiłem załatwić to sam. Wsiadła pani z autobusu i zemdlała. Przyniosłem tu panią na własnych rękach.

Niewyraźne wspomnienia zaczęły przybierać w mojej pamięci konkretny kształt. Duszny upał w autobusie, który

wszyscy, nie wiedzieć czemu, nazywali „Walencjanką”. Gwar krzykliwych głosów, koszyki pełne rozgdakanych kur, zapach potu i tobołów wiezionych przez Maurów i Hiszpanów. Nieprzyjemna, lepka wilgoć między udami. Uczucie dziwnej słabości, kiedy wysiadłam w Tetuanie i spostrzegłam z przerażeniem, że coś gorącego cieknie mi po nogach. Czarna, gęsta kałuża pod stopami, rozlewająca się na rozgrzanym asfalcie nieznannej ulicy w obcym mieście, i głos mężczyzny o twarzy niemal całkiem ukrytej pod rondem kapelusza: „Sira Quiroga? Policja. Proszę ze mną”. W tej samej chwili poczułam, że w głowie mi się mąci, a nogi odmawiają posłuszeństwa. Straciłam przytomność. Teraz, po wielu tygodniach, znów zobaczyłam tamtą twarz i nadal nie wiedziałam, czy mam przed sobą kata, czy wybawcę.

– Siostra Virtudes obiecała, że będzie mnie informować o stanie pani zdrowia. Od kilku dni dobijam się o pozwolenie na rozmowę, ale dopiero dzisiaj mnie do pani wpuścili. Powiedzieli, że ma pani złośliwą anemię i parę innych rzeczy na dokładkę. Ale wygląda na to, że już jest lepiej, więc mogliśmy się spotkać. W najbliższych dniach pewnie panią wypiszą.

– I dokąd mam pójść?

Ogarnął mnie strach. Nie potrafiłam samotnie stawić czoła nieznannej rzeczywistości. Zawsze ktoś mi pomagał, ktoś kierował moimi krokami: matka, Ignacio, Ramiro. Czułam się niepotrzebna, niezdolna przetrwać bez czyjejś pomocnej dłoni, która by prowadziła mnie przez życie; bez kogoś, kto podejmowałby za mnie decyzje i komu mogłabym zaufać. Nie umiałam być niezależna.

– Już się tym zająłem – powiedział. – Szukam dla pani jakiegoś miejsca, chociaż proszę mi wierzyć, że w obecnej sytuacji niełatwo coś znaleźć. Tak czy inaczej chciałbym dowiedzieć się tego, czego jeszcze o pani nie wiem. Jeżeli więc czuje się pani na siłach, wrócę tu jutro i sama mi pani o wszystkim opowie. Może umknął mi jakiś szczegół, który pomoże rozwiązać problemy, w jakie wpakował panią mąż, narzeczony...

–...czy kim tam dla mnie jest ten drań – dokończyłam za niego z ironicznym uśmieszkiem, równie wątlým, jak gorzkim.

– Byliście małżeństwem? – zapytał.

Zaprzeciżyłam ruchem głowy.

– Tym lepiej – stwierdził sucho i spojrział na zegarek. – Cóż, nie będę pani dłużej męczył – powiedział, wstając. – Myślę, że na dzisiaj wystarczy. Przyjdę jutro. Nie wiem o której... kiedy znajdę wolną chwilę, mamy pod sufit roboty.

Patrzyłam, jak idzie do drzwi szybkim, stanowczym krokiem człowieka, który nie zwykł tracić czasu. Wcześniej czy później, kiedy już wydobrzeję, będę się musiała przekonać, czy naprawdę uwierzył w moją niewinność, czy po prostu chce się pozbyć kłopotu, który wraz z moim przybyciem spadł na niego jak piorun z jasnego nieba w najbardziej nieodpowiedniej chwili. Ale wtedy nie mogłam o tym myśleć. Byłam wyczerpana, wystraszona i pragnęłam tylko jednego: zasnąć głęboko i zapomnieć o wszystkim.

Komisarz Vázquez wrócił nazajutrz pod wieczór, o siódmej, może o ósmej, kiedy upał stał się mniej dokuczliwy, a światło bardziej łagodne. Gdy tylko ujrzałam go w drzwiach na drugim

końcu sali, z wysiłkiem podciągnęłam się na łokciach i oparłam plecy na poduszkach. Usiadł na tym samym krześle co wczoraj. Nawet się nie przywitałam. Odkaszlnęłam lekko, zaczerpnęłam tchu i zaczęłam mówić.

## 7

To drugie spotkanie z don Claudiem miało miejsce w piątek, pod koniec sierpnia. W poniedziałek, późnym rankiem, wrócił, żeby mnie odebrać ze szpitala: znalazł dla mnie pokój i najwyraźniej się szykował, żeby odprowadzić mnie na nową kwatere. W innych okolicznościach to nader rycerskie zachowanie można by interpretować inaczej, lecz wówczas ani ja, ani on nie mieliśmy wątpliwości, że przyczyny jego zainteresowania moją osobą były natury czysto zawodowej, i należało to przyjąć za dobrą monetę, aby uniknąć komplikacji.

Kiedy przyszedł, byłam już ubrana. W za luźnym na mnie, niedobranym stroju, uczesana w nietwarzowy koczek, siedziałam na brzeżku starannie zasłanego łóżka, z walizką wypchną nędznymi resztkami dawnej świetności u stóp; kościste palce splotłam na podołku i bez powodzenia usiłowałam wziąć się w garść. Na jego widok spróbowałam się podnieść, ale gestem ręki nakazał, żebym nie wstawiała. Usadowił się naprzeciw mnie i powiedział:

– Niech pani poczeka. Musimy porozmawiać.

Patrzył na mnie przez kilka sekund tymi swoimi ciemnymi oczami, które mogłyby prześwidrować na wylot ścianę. Do tej pory zorientowałam się już, że nie był ani przedwcześnie posiwiąłym młodzieńcem, ani chłopięcym staruszkiem, lecz

mężczyzną około pięćdziesiątki, o nienagannyh manierach i pryncypialnych zasadach, doskonałej prezencji i duszy z konieczności nawykłej do obcowania z szumowinami wszelkiej maści. I świetnie znającym swój fach. Mężczyzną, pomyślałam, z którym lepiej nie zadzierać pod żadnym pozorem.

– Proszę posłuchać, nie są to procedury stosowane w moim komisariacie. Dla pani, wzięwszy pod uwagę okoliczności, zrobiłem wyjątek, ale trzeba sobie jasno zdawać sprawę z faktycznej sytuacji. Chociaż osobiście sędzę, że jest pani tylko lekkomyślną ofiarą jakiegoś łajdaka, nie ja powinienem rozstrzygać w tej sprawie, lecz sąd. Jednakże, w obliczu panującego w kraju zamętu, o procesie nawet nie ma co myśleć. Nic też byśmy nie zyskali, przetrzymując panią w celi, Bóg wie, jak długo. Wobec tego, jak już wcześniej mówiłem, wypuszczę panią na wolność, ale uwaga, pod ścisłą kontrolą i z zakazem podróżowania. Żeby nie kusić losu, proszę mi oddać swój paszport. Poza tym zachowa pani swobodę pod warunkiem, że odzyskawszy zdrowie, poszuka sobie uczciwej pracy, żeby zlikwidować dług w Continentalu. Poprosiłem ich w pani imieniu o roczny termin spłaty. Zgodzili się, więc proszę się wziąć do roboty i jeśli będzie trzeba, wydobyć te pieniądze choćby spod ziemi, ale uczciwie i bez gadania. Czy to jasne?

– Tak, proszę pana – szepnęłam.

– I proszę mnie nie zawieść. Niech pani nie próbuje żadnych sztuczek i nie zmusza mnie, żebym zabrał się do tej sprawy na serio. Ze mną lepiej nie zaczynać, bo odeślę panią do Hiszpanii przy pierwszej okazji i jak nic wlepią pani siedem lat w więzieniu dla kobiet w Quiñones, rozumiano?



Wobec tak ponurych perspektyw odjęło mi mowę. Kiwnęłam tylko głową. Wówczas wstał, ja również. On energicznie, ja powoli, z ogromnym wysiłkiem.

– No to chodźmy – powiedział. – Proszę to zostawić, ja poniosę walizkę, bo pani nie udźwignie nawet własnego cienia. Przed wejściem czeka samochód. Niech się pani pożegna z zakonnicami, podziękuje im za opiekę i jedźmy już.

Przejechaliśmy przez cały Tetuan i po raz pierwszy mogłam podziwiać miasto, które na bliżej nieokreślony czas miało stać się moim domem. Szpital miejski znajdował się na przedmieściach, a im bardziej zbliżaliśmy się do centrum, tym większy był tłum na ulicach, zatłoczonych o tej południowej porze. Samochody pojawiały się z rzadka; komisarz bez przerwy naciskał klakson, torując nam drogę wśród ludzi, którzy snuli się bez pośpiechu, zdążając we wszystkich możliwych kierunkach. Byli tam mężczyźni w panamach i jasnych lnianych garniturach, rozbrykani chłopcy w krótkich spodenkach i hiszpańskie kobiety z koszykami pełnymi warzyw. Byli muzułmanie w turbanach i dżelabach, Mauretanki w obfitych szatach, odsłaniających tylko oczy i stopy. Byli żołnierze w mundurach i dziewczęta w kwiecistych letnich sukniach. Bose miejscowe dzieciaki baraszkowały wśród łąjących wszędzie kur, wokół rozbrzmiewały słowa arabskie i hiszpańskie, co chwila ktoś pozdrawiał komisarza, rozpoznawszy jego auto. Aż trudno było uwierzyć, że zaledwie kilka tygodni temu to pogodne miasto stało się kolebką buntu, który wedle powszechnego odczucia miał się wkrótce przerodzić w wojnę domową.

W samochodzie prawie nie rozmawialiśmy – wiedzieliśmy oboje, że nie jest to przejażdżka dla przyjemności. Komisarz wypełniał po prostu pierwszy punkt naszego porozumienia, zgodnie z którym miał mnie przetransportować z miejsca na miejsce. Jednak od czasu do czasu, kiedy zdawało mu się, że mijany widok może być dla mnie czymś nowym, wskazywał nań ruchem głowy i nie odrywając wzroku od jezdni, rzucał kilka słów wyjaśnienia. „Rifenki”, powiedział, gdy przejeżdżaliśmy obok grupki marokańskich kobiet w długich pasiastych spódnicach i wielkich słomkowych kapeluszach, a raczej czepcach, ozdobionych kolorowymi chwostami. Droga trwała nie więcej niż kwadrans; dość, bym zdążyła się nasycić barwami i zapachami i nauczyła nazywać to, co odtąd na długo miało być moim światem. Wysoki Komisariat, figi indyjskie, pałac kalifa, woziwody na osłach, dzielnica mauretańska, Dersa i Gorges<sup>6</sup>, *bakalitos*<sup>7</sup>, mięta.

Wysiedliśmy z samochodu na placu Hiszpańskim. Dwóch ciemnoskórych chłopców podbiegło, żeby ponieść mi walizkę, a komisarz nie zaprotestował. Weszliśmy w La Luneta, tuż przy medynie i juderii. La Luneta – moja pierwsza ulica w Tetuanie: wąska, hałaśliwa, nierówna i gwarna, pełna ludzi, knajpek, kafejek i zatłoczonych sklepików, gdzie można było sprzedać wszystko i wszystko kupić. Dotarliśmy do jakiejś bramy, wspięliśmy się po schodach. Komisarz pociągnął za dzwonek na pierwszym piętrze.

– Dzień dobry, Candelario. Zgodnie z umową przywiozłem pani przesyłkę – wyjaśnił w odpowiedzi na spojrzenie tęgiej,

odzianej w jaskrawą czerwień kobiety, która otworzyła nam drzwi, i wskazał podbródkiem na mnie.

– Też mi przesyłka, panie komisarzu! – odparła, biorąc się pod boki, i wybuchnęła gromkim śmiechem.

Odsunęła się na bok, żeby zrobić nam przejście. Dom był ubogi, ale słoneczny i wypucowany do czysta, urządzony z nieco wątpliwym gustem. Czuło się tam atmosferę niewymuszonej swobody, świadcząca o tym, że wizyta policjanta nie budzi większego niepokoju.

– Przesyłka polecona. I powierzam ją pani opiece – powiedział Vázquez, stawiając walizkę w ciasnym przedpokoiku, pod kalendarzem z wizerunkiem Serca Jezusowego. – Ta oto osóbką zamieszka tu na jakiś czas i na razie nie weźmie pani od niej ani grosza. Jak znajdzie sobie pracę, to się rozliczycie.

– Ależ, kochany komisarzu! Mój dom już pęka w szwach, przysięgam na rany Chrystusa! Codziennie puka tutaj przynajmniej tuzin ludzi, ale u mnie już nawet szpilki się nie wciśnie!

Kłamała, to było widać. Babsko kłamało i on o tym wiedział.

– Dostyc już tych lamentów, Candelario. Musi ją pani przyjąć i już.

– Ciekawe jak, don Claudio. Odkąd się zaczął ten cały bunt, walą do mnie drzwiami i oknami! Muszę rozkładać materace na podłodze, żeby wszystkich pomieścić!

– Proszę mi tu nie opowiadać bajek, bo statki w Cieśninie nie kursują już od tygodni, nawet mewa tamtędy nie przeleci. Podoba się czy nie, ma pani zrobić to, co powiedziałem. Proszę

to sobie odpisać od rachunku; oboje wiemy, że jest mi pani coś winna. Poza tym chodzi nie tylko o nocleg. Dziewczyna ma za sobą ciężkie przejścia, a w Tetuanie nie zna nikogo, kto mógłby jej pomóc. Niech ją pani wciśnie choćby w mysią dziurę, ale zostanie tutaj i koniec. Czy to jasne?

Odpowiedziała bez odrobiny entuzjazmu:

– Jak słońce, kochany komisarzu, jaśniutkie jak słońce.

– A więc oddaję ją pod pani opiekę. W razie czego wie pani, gdzie mnie szukać. Wcale nie jestem zachwycony, że tu zostaje. Już jest zdeprawowana, a od pani też niczego dobrego się nie nauczy, ale cóż...

Gospodyni przerwała mu drwiąco, przybrawszy pozę skrzywdzonej niewinności:

– Czyżby pan podejrzewał, don Claudio, że mam coś na sumieniu?

Komisarz zignorował zaczepkę.

– Ja wszystkich podejrzewam, Candelario, za to mi płacą.

– Skoro jestem taka zła, kochany komisarzu, to dlaczego chce mi pan powierzyć ten pański drogocenny skarb?

– Ponieważ, jak już mówiłem, w obecnej sytuacji nie mam gdzie jej umieścić. Proszę nie myśleć, że robię to dla przyjemności. Tak czy inaczej, będzie pani za nią odpowiedzialna i już teraz warto pomyśleć, czym się może zająć. Sądzę, że nieprędko będzie mogła wrócić do Hiszpanii, a musi zdobyć pieniądze, bo ma tu dług do spłacenia. Może znajdzie się dla niej miejsce w jakimś sklepiku albo u fryzjera. Niech pracuje gdziekolwiek, byle uczciwie. I niech mnie pani

nie nazywa „kochanym komisarzem”, prosiłem o to chyba z pięćset razy.

Andaluzyjka dopiero teraz zwróciła na mnie uwagę. Niezbyt przychylnym okiem otaksowała mnie od góry do dołu, jakby chciała ocenić rozmiary plagi, która niezasłużenie na nią spadła. Potem spojrzała na Vazqueza i westchnąwszy z komiczną rezygnacją, pogodziła się z losem.

– Niech się pan nie martwi, don Claudio. Candelaria wszystkim się zajmie. Gdzieś ją upchnę i proszę spać spokojnie, bo u mnie będzie miała jak u Pana Boga za piecem.

Pobożne obietnice właścicielki pensjonatu brzmiały widać niezbyt przekonująco, bo komisarz postanowił jeszcze jaśniej dać do zrozumienia, jakie są jego warunki. Pogroził jej palcem i dobitnym głosem rzucił ostatnie ostrzeżenie, po którym wcale nie było nam do śmiechu.

– Radzę uważać, Candelario, radzę uważać. To wszystko jest dla mnie dość kłopotliwe i nie chcę żadnych problemów. I proszę ją trzymać z daleka od swoich mętnych interesów. Nie ufam wam obu ani za grosz i będę miał was na oku. A jak się dowiem, że coś kręcicie, natychmiast traficie do celi i będziecie tam siedzieć do sądnego dnia. Zrozumiano?

Wymamrotałyśmy potulnie: „Tak, proszę pana”.

– W takim razie – zwrócił się do mnie – niech pani wraca do zdrowia i czym prędzej poszuka sobie pracy.

Spojrzał mi w oczy na pożegnanie i jakby przez chwilę się zawahał, czy podać mi rękę. Zrezygnował jednak i zakończył spotkanie jedną radą i jedną zapowiedzią, które zamknął w krótkim, suchym zdaniu: „Proszę dbać o siebie, jeszcze

porozmawiamy”. Wyszedł i szybko zbiegł po schodach, zakładając na głowę kapelusz. W milczeniu patrzyłyśmy za nim od drzwi, dopóki nie zniknął nam z oczu. Już miałyśmy wejść głębiej do mieszkania, gdy tupot nóg ustał nagle i usłyszałyśmy grzmiący głos, który rozniósł się echem w całym domu:

– Wsadzę was do paki i nawet Dzieciątko Jezus wam nie pomoże!

– Niedoczekanie twoje, antychryście – powiedziała Candelaria, zatrzasnąwszy drzwi zamaszystym pchnięciem imponujących pośladków. Następnie popatrzyła na mnie i widząc moją konsternację, uśmiechnęła się z przymusem. – To czort wcielony, zwariuję przez niego jak nic. Nie wiem, jak on to robi, ale wszystko widzi, całutki dzień siedzi mi na karku.

Westchnęła tak potężnie, że jej wydatny biust omal nie rozerwał stanika perkalowej sukienki.

– Chodź, kwiatuszku, dam ci pokoik w oficynie. Przeklęty bunt wszystko postawił na głowie. Biją się na ulicach, wyrzynają w koszarach! A tak dobrze się tu dawniej żyło! Wychodzę teraz, muszę załatwić parę spraw. Rozpakuj się, rozgość, a przy obiedzie wszystko mi opowiesz.

Krzyknęła coś po arabsku i z kuchni wyszła piętnastoletnia Mauretanka, wycierając ręce w ścierkę. Zmieniły pościel i zabrały się do robienia porządków w ciasnej komórce bez okna, która począwszy od tej nocy miała być moją sypialnią. Rozglądałam się wśród czterech ścian, nie mając najmniejszego pojęcia, jak długo tam będę mieszkać ani jak potoczą się koleje mojego życia.

Candelaria Ballesteros, bardziej znana w Tetuanie jako Candelaria Szmugiel, miała czterdzieści siedem lat i, jak sama mawiała, dostała od życia większe ciągi niż rekrut w Legii Cudzoziemskiej. Uchodziła za wdowę, ale nawet ona nie wiedziała, czy jej mąż istotnie wyzionął ducha w czasie jednej ze swoich licznych podróży do Hiszpanii, czy też list, który przed siedmioma laty dostała z Malagi, z zawiadomieniem, iż małżonek jej zmarł na zapalenie płuc, nie był przypadkiem zwykłą bujdą wymyśloną przez łajdaka, który postanowił się ulotnić, zacierając za sobą ślady. Aby uniknąć nędznej doli sezonowych robotników, postanowili porzucić na zawsze oliwne gaje Andaluzji i osiedlili się na terenie Protektoratu, w tym samym roku 1926, w którym stłumiono bunt Rifinów. Zajęli się robieniem interesów nie tyle spod ciemnej, co raczej dychawicznej gwiazdy, a mizerne zyski pan Ballesteros inwestował korzystnie w hulanki, burdele i butelki fundadora. Nie mieli dzieci, więc kiedy jej Francisco się ulotnił, odcinając ją tym samym od kontaktów z hiszpańskimi przemytnikami, postanowiła przerobić dom na skromny pensjonat i utrzymywać się z wynajmu pokoi. Nie przestała jednak kupować, sprzedawać, odkupywać, odsprzedawać, targować się, handryczyć, wymieniać i zastawiać wszystko, co popadło: monety, papierośnice, znaczki, wieczne pióra, pończochy, zegarki, zapalniczki – przedmioty niewiadomego pochodzenia, w nieskończoność krążące z rąk do rąk.

Do swego domu przy ulicy La Luneta, położonej na granicy medyny i nowej hiszpańskiej dzielnicy, przyjmowała każdego, kto zapukał do jej drzwi, pytając o nocleg. Byli to na ogół ludzie

o niewielkich zasobach i jeszcze mniejszych aspiracjach, co nie przeszkadzało jej handlować również z nimi: ja ci sprzedam, ja od ciebie kupię, zapłacisz mi potem; ty mi jesteś winien, ja ci jestem winna, zapłacę ci potem. Ale po cichu, zawsze po cichu, ponieważ Candelaria Szmugiel, ze swoim wyglądem herod-baby, swoimi ciemnymi interesami i tupetem, w obliczu którego największy chojrak tracił rezon, nie była głupia i wiedziała, że z komisarzem Vazquezem lepiej nie zadzierać. Co innego jakiś żarcik albo docinek, ale z umiarem, żeby mu za bardzo nie podpaść, bo wtedy nie dość, że zarekwiruje wszystko, co mu się na oczy nawinie, to jeszcze, jak mawiała: „jeśli wywęszy najmniejszy smród, zawlecze mnie na posterunek i połamie mi wszystkie gnaty”.

Z pomocą młodziutkiej Mauretanki rozpakowałam walizkę i rozwiesiłam skromne resztki mojej dawnej garderoby na drucianych wieszakach w skleconej z czterech desek imitacji szafy, zasłoniętej kawałkiem płótna. Sprzęt ów, wraz z wiszącą u sufitu gołą żarówką i starym łóżkiem z włosianym materacem, stanowił całe umeblowanie ciemnej klitki. Zeszłoroczny kalendarz z parą zakochanych słowików – prezent od zakładu fryzjerskiego El Siglo – był jedyną nutką koloru wśród bielonych wapnem ścian z widocznymi śladami zacieków. W rogu, na skrzyni, piętrzyła się sterta rupieci: słomiany koszyk, wyszczerbiona miednica, obtłuczone nocniki i dwie zardzewiałe ptasie klatki. Wygód tu było niewiele, a pokój, choć schludny, tonął w półmroku. Czarnookie dziewczę, składając wymięte ubrania, pocieszało mnie melodyjnym głosem:



– Ty się nie martwić, panieńko. Dżamila upierze, Dżamila uprasuje.

Wciąż jeszcze byłam osłabiona i wysiłek, na jaki musiałam się zdobyć, żeby przenieść walizkę i opróżnić jej zawartość, okazał się zbyt wielki. Zakręciło mi się w głowie. Usiadłam w nogach łóżka, zamknęłam oczy i zakryłam je rękami, oparłszy łokcie na kolanach. Po kilku minutach odzyskałam równowagę. Kiedy wróciłam do rzeczywistości, spostrzegłam, że Dżamila klęczy przy mnie, przypatrując mi się ze współczuciem. Rozejrzałam się dokoła. Wszystko wróciło na miejsce: cztery ściany ciemnego, nędznego jak mysia nora pokoiku, pogniecione ubrania na drucianych wieszakach, wybebeszona walizka na podłodze. I choć wciąż dręczyła mnie niepewność, a jutro jawiło się przede mną niby otwarta przepaść, pomyślałam z ulgą, że nawet jeśli wszystko pójdzie źle, to mam przynajmniej gdzie się schronić.

Candelaria wróciła mniej więcej po godzinie. Na krótko przedtem i jeszcze krótko potem schodzili się na obiad pensjonariusze, którym za nędzne grosze dawała dach nad głową, wikt i opierunek. Ową dość mizerną klientelę stanowili: domokrążca sprzedający artykuły fryzjerskie, pracownik Urzędu Poczt i Telegrafów, emerytowany nauczyciel, dwie leciwe siostry zasuszone jak dorsze i pulchna wdówka z synem, którego nazywała Franusiem, mimo iż młodzieniec huczał basem i już puszczały mu się wąsy. Wszyscy powitali mnie uprzejmie, po czym usiedli w milczeniu, przestrzegając ustalonego porządku: Candelaria u szczytu stołu, po jednej stronie kobiety i Franuś, po drugiej mężczyźni. „Ty tam”,

zarządziła, wskazując mi miejsce na szarym końcu. Przystąpiła do serwowania sztufady, narzekając, że mięso bardzo podrożało, a melony udały się w tym roku jak nigdy. Nie mówiła do nikogo w szczególności i widać było, że za nic nie przestanie trajkotać, obojętnie na jaki temat, chociaż nikt nie zwracał na nią uwagi. Biesiadnicy bez słowa zabrali się do jedzenia, rytmicznie podnosząc sztucce do ust. Słysząc było tylko perorującą gospodynię, brzękanie łyżek o talerze i głośne przełykanie spożywanych w skupieniu kęsów. W pewnym momencie jednak Candelaria niebaczenie się zagapiła, a ja odkryłam przyczynę jej nadzwyczajnej elokwencji: gdy pani domu przerwała na moment tyradę, chcąc przywołać Dżamiłę, jedna z sióstr natychmiast skorzystała ze sposobności, żeby wtrącić swoje trzy grosze. Wówczas pojęłam, dlaczego Candelaria z takim samozaparciem trwała u steru konwersacji.

– Podobno Badajoz już się poddało.

Te słowa młodszej z przejrzałych sióstr również nie były skierowane do nikogo w szczególności; być może do dzbanka z wodą, do solniczki, flakoników z octem albo przekrzywionego trochę obrazu Ostatniej Wieczery, wiszącego na naczelnym miejscu nad stołem. Starła się nadać głosowi ton obojętny, jakby mówiła o pogodzie lub chwaliła smak zielonego groszku. Od razu się zorientowałam, że wetknęła kij w mrowisko.

– Szkoda! Tylu porządnych chłopców zginie, broniąc legalnie wybranego rządu Republiki. Zmarnują swój wigor i młodość, a mogliby dogodzić jeszcze niejednej kobiecie, nawet tak apetycznej jak pani, Sagrario.

Ta jadowita replika wyszła z ust domokrażcy i znalazła odzew w postaci głośnego rechotu po męskiej stronie stołu. Jak tylko doña Herminia spostrzegła, że jej Franusia rozbawiła niestosowna uwaga sprzedawcy płynu na porost włosów, przyłożyła jedynakowi w ucho tak, że aż się zaczerwieniło. W sukurs przyszedł jej stary nauczyciel, który nie podnosząc głowy znad talerza, upomniał chłopca łagodnie:

– Nie śmieć się tak, Franuś, od śmiechu mózg wysycha.

Jeszcze nie skończył, gdy matka dziecięcia dołała oliwy do ognia:

– Trzeba było buntu w wojsku, żeby skończyć ze zgorszeniem wśród młodzieży. Rozpusta i zabawa, tylko to im było w głowie. Doprowadzili Hiszpanię do upadku...

I wówczas tamy puściły. Trzy kobiety po jednej stronie i trzech mężczyźni po drugiej zaczęli mówić niemal jednocześnie, przekrzykując się nawzajem. W owym straszliwym zgiełku nikt nikogo nie słuchał, a wszyscy się na siebie wydzierali, obrzucali obelgami i wyzwiskami. Czerwona zaraza, stara dewotka, pomiot Lucyfera, skwaszony babsztyl, ateista, degenerat i dziesiątki innych epitetów przelatowały nad stołem w krzyżowym ogniu wściekłych wrzasków. Milczeliśmy tylko Franuś i ja: ja, bo byłam nowa i niezorientowana w przedmiocie sporu, a Franuś prawdopodobnie ze strachu przed ciężką ręką rozjuszonej matki, która z ustami pełnymi nieprzeżutych ziemniaków i strużką tłustego sosu ciekącą po brodzie wyzywała właśnie nauczyciela od sprośnych masonów i czcicieli Szatana. Tymczasem na drugim końcu stołu Candelaria, z sekundy na sekundę, przeobrażała się w jakąś

obcą istotę: urosła jakby, gniew zdawał się rozsadzać ją od środka, a jej oblicze, już i tak niezbyt łaskawe, powlekało się z wolna purpurą. Wreszcie, nie panując nad sobą, walnęła pięścią w stół tak potężnie, że w szklankach podskoczyło wino, talerze uderzyły o siebie z głuchym trzaskiem, a na obrus chlusnął sos do sztufady. Jej głos przetoczył się niby grzmot nad głowami sześciorga biesiadników.

– Jak jeszcze raz ktoś powie w tym domu coś na temat tej kurewskiej wojny, wszystkich wypieprzę na zbity pysk, a walizki wyrzucę przez okno!

Niechętnie, rzucając sobie mordercze spojrzenia i z trudem tłumiąc wewnętrzną furię, dokończyli pierwsze danie. Rybę zjedli w grobowej ciszy, a przy deserze powiało grozą, z uwagi na jaskrawą czerwień arbuza, ale do wybuchu nie doszło. Obiad zakończył się bez dalszych incydentów. Nie trzeba było jednak długo czekać, bo już przy kolacji na przystawkę mieliśmy zjadliwe uwagi i dwuznaczne żarty, potem zatrute strzały oraz wymianę bluźnierstw i egzorcyzmów, na koniec zaś bezpardonową walkę na obelgi i kulki z chleba. I wielki finał w wykonaniu Candelarii, ponownie grożącej rychłą i nieuchronną eksmisją wszystkich pensjonariuszy, jeżeli nie zaprzestaną toczyć bitew na obrusie. Przekonałam się wkrótce, że tak było trzy razy dziennie, przy każdym z trzech posiłków, przy czym nasza gospodyni nigdy nie pozbyła się żadnego ze swoich gości, chociaż ci nie składali broni i ostrzyli języki, gotowi użyć ich w kolejnym starciu. W owych ciężkich czasach groszowych transakcji szmuglerka Candelaria nie mogła sobie pozwolić na dobrowolną rezygnację z haraczu, jaki ci biedacy bez własnego

miejsca na ziemi płacili jej za nocleg, utrzymanie i prawo do kąpieli raz w tygodniu. Tak więc, mimo owych grózb, do rzadkości należały dni, kiedy nad stołem nie fruwały wyzwiska, pestki oliwek, manifesty polityczne, skórki bananów, a w najgorętszych chwilach czyjeś splunięcie i niejeden widelec. Samo życie, wojna domowa w miniaturze.

## 8

I tak upływały moje pierwsze dni w pensjonacie przy La Luneta, wśród ludzi, o których niewiele wiedziałam prócz tego, jak mają na imię i – bardzo powierzchownie – dlaczego zamieszkali w tym domu. Nauczyciel i urzędnik, obaj starzy kawalerowie, byli stałymi rezydentami. Siostry przyjechały z Sorii w połowie lipca na pogrzeb jakiegoś krewniaka i nie mogły potem wrócić do kraju, bo zamknięto ruch pasażerski w Cieśninie. Podobny los spotkał sprzedawcę artykułów fryzjerskich, któremu bunt wojskowych udaremnił wyjazd z Protektoratu. Mniej oczywiste były pobudki matki i syna, chociaż wszyscy podejrzewali, że oboje poszukują niestałego męża i ojca, który pewnego pięknego dnia wyszedł po papierosy na toledański plac Zocodover i już nie powrócił. Zmuszona do życia na kocią łapę z załężnionymi, kłótliwymi ludźmi, w jazgocie codziennych swarów i w strachu przed prawdziwą wojną, która zbliżała się nieuchronnie, tratując lato żołnierskimi buciorami, przyzwyczajałam się z wolna do tego domu i jego małego świata oraz zacieśniałam znajomość z właścicielką pensjonatu, który – zważywszy na jakość klienteli – przynosił, jak przypuszczałam, dość marny zysk.

W owych dniach rzadko wychodziłam: nie miałam dokąd, nie miałam do kogo. Przeważnie zostawałam sama, niekiedy z Dżamilą albo z wiecznie zabieganą Candelarią, o ile akurat była w domu, co nie zdarzało się często. Nieraz, gdy nie miała do załatwienia żadnych szemranych interesów, niemal przemocą wyciągała mnie na miasto, żebyśmy razem poszukały mi jakiegoś zajęcia, „bo twarz masz białą jak papier, dziewczyno”, mówiła, „przecież musisz złapać trochę słońca”. Czasem czułam, że nie dam rady, bo wciąż jeszcze byłam osłabiona, czasem jednak zgadzałam się chętnie. Zabierała mnie wtedy to tu, to tam, prowadząc przez błędny labirynt uliczek medyny i proste, nowoczesne aleje hiszpańskiej dzielnicy, pełnej pięknych domów i dobrze ubranych ludzi. Zaglądałyśmy do każdego znajomego sklepiku, każdego warsztatu. Wszędzie Candelaria pytała, czy mogliby mnie przyjąć, a jak nie, to może wiedzą, u kogo znajdzie się miejsce dla tej oto panny, takiej sumiennej, gotowej pracować dzień i noc... Czasy były jednak trudne i chociaż odgłos strzałów dochodził z daleka, wszyscy żyli w strachu przed wojną, pełni obawy o los najbliższych, niepewni, gdzie ich szukać. Z niepokojem śledzili ruchy wojsk, liczyli żywych i zmarłych, przerażeni tym, co jeszcze może się wydarzyć. W tych okolicznościach nikt nie myślał o interesach ani o zatrudnianiu nowych pracowników. I chociaż wypadły do miasta kończyłyśmy zawsze w jakiejś kafejce na placu Hiszpańskim, przy mauretańskiej herbacie i ciasteczkach, po każdej z owych nieudanych prób ogarniał mnie lęk, coraz większy lęk, a Candelaria, nawet jeśli nic nie mówiła, gryzła się tym wszystkim coraz bardziej.

Stan mojego zdrowia poprawiał się w równie ślimaczym tempie jak stan ducha. Nadal byłam wychudzona, a moja trupia bladość kontrastowała z opalenizną ludzi o twarzach ogorzałych od słońca. Zmysły miałam otepiałe, duszę udręczoną; stratę Ramira odczuwałam tak samo dotkliwie jak w dniu naszego rozstania. Tęskniłam do nienarodzonego dziecka, o którego istnieniu wiedziałam zaledwie przez kilka godzin, martwiłam się losem matki w oblężonym Madrycie. Wciąż bałam się zarzutów, jakie na mnie ciążyły; umierałam ze strachu na myśl, że nie dam rady spłacić długu i pójdę do więzienia. Trwoga była moją wierną towarzyszką, a niezabliźnione rany paliły żywym ogniem.

Ślepa, szalona miłość upośledza zmysły, zobojętniała na wszystko, co się dzieje wokół nas. Przytępia wrażliwość i zdolność widzenia. Zmusza do skupienia uwagi na jednej jedynej osobie, izoluje od reszty świata, więzi w ciasnej skorupie, nie pozwala dostrzec innych ludzi, choćby byli na wyciągnięcie ręki. Kiedy mój świat rozpadł się z hukiem, zdałam sobie nagle sprawę, że przez te osiem miesięcy z Ramirem byłam tak nim pochłonięta, że z nikim nie nawiązałam bliższego kontaktu. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie ogrom mojej samotności. W Tangerze nawet nie usiłowałam zaprzyjaźnić się z kimkolwiek: nie interesował mnie nikt prócz Ramira, nie obchodziło nic, co nie miało związku z jego osobą. Ale w Tetuanie już go nie było, a wraz z nim zniknęła nić łącząca mnie z zewnętrznym światem; musiałam nauczyć się żyć sama, myśleć o sobie, walczyć o to, by

jego brak stawał się z czasem mniej dotkliwy. Długa i ciernista jest ścieżka życia, jak napisano w broszurce Akademii Pitmana.

Skończył się sierpień i nadszedł wrzesień, a wraz z nim krótsze popołudnia i chłodniejsze poranki. Dni płynęły powoli nad gwarną ulicą La Luneta. Ludzie krążyli od sklepiku do sklepiku, od kafejki do kafejki, od straganu do straganu, spacerowali, oglądali wystawy i przystawali na rogu, aby pogawędzić z przyjaciółmi. Kiedy z okienka mojej wieży patrzyłam na ową krzątanicę, inną o każdej porze dnia, czułam, że ja też powinnam się wreszcie ruszyć i zająć czymś pożytecznym, że nie mogę dłużej żyć na łaskawym chlebie, bo czas już zbierać pieniądze na spłatę długu. Niestety, nie miałam pojęcia, jak to zrobić, więc żeby wynagrodzić Candelarii moją bezczynność i brak wkładu w domowy budżet, włączałam się na miarę swoich sił w gospodarskie zajęcia. Nie chciałam być dla niej ciężarem i zajmować miejsca w domu jak bezużyteczny grat. Obierałam ziemniaki, nakrywałam do stołu i wieszałam pranie na dachu. Pomagałam Dżamili wycierać kurze i szkło, nauczyłam się od niej kilku arabskich słów i pozwalałam obsypywać się uśmiechami. Podlewałam kwiaty, trzepałam dywany i przez nikogo nieproszona starałam się zawczasu uporać z wieloma drobnymi sprawami, którymi i tak potem ktoś musiałby się zająć. Wraz z nadchodzącym ochłodzeniem w pensjonacie zaczęły się przygotowania na przyście jesieni. Przyszykowałyśmy łóżka we wszystkich pokojach: zmieniłyśmy prześcieradła, zabrałyśmy letnie koce i przyniosłyśmy ze strychu zimowe kołdry. Zauważyłam, że spora część pościeli wymagała pilnej naprawy, wystawiłam więc sobie na balkon



wielki kosz bielizny i zasiadłam do cerowania dziur, podszywania zakładów i obrębiania wystrzępionych brzegów.

I wtedy nastąpiło coś nieoczekiwanego. Nigdy bym nie przypuszczała, że trzymając znowu w palcach chłodną igłę, poczuję się taka szczęśliwa. Szorstkie poszwy i prześcieradła z grubego płótna w niczym nie przypominały jedwabi i muślinów doñi Manueli, a bawełnianym cerom daleko było do drobniutkich ściągów, jakimi kiedyś szyłam stroje dla madryckich dam. Uboga jadalnia Candelarii nie wytrzymywała porównania z eleganckim zakładem krawieckim, mauretańska służka i wojowniczy pensjonariusze nie mieli nic wspólnego z moimi dawnymi koleżankami i wytwornymi klientkami, ale ruch nadgarstka był taki sam, igła żwawo śmigła przed oczami, a zręczne palce pewnie wbijały ją w tkaninę, tak jak robiły to przez całe lata, dzień w dzień, w innym miejscu i dla kogo innego. Radość, że znowu mogę szyć, była tak wielka, iż na parę godzin przeniosła mnie w lepsze czasy i na krótko uwolniła od ciężaru moich niedoli. Czułam się, jakbym wróciła do domu.

Zapadał zmierzch. Było już prawie ciemno, kiedy wróciła wiecznie nieobecna Candelaria. Zastała mnie nad stertą zacerowanej bielizny, kiedy obrębiałam ostatni ręcznik.

– Nie mów, córciu, że umiesz szyć!

W odpowiedzi na to powitanie uśmiechnęłam się po raz pierwszy od dawna i z dumą kiwnęłam głową. Wówczas, z widoczną ulgą, że wreszcie doszukała się jakiejś pożytecznej cechy w kimś, kto z wolna stawał się jej kulą u nogi,

zaprowadziła mnie do swojej sypialni i zaczęła wyrzucać na łóżko zawartość szafy.

– W tej sukience odpuścisz zakład, w tym płaszczu przenicujesz kołnierz. W tej bluzce popruły się szwy, a tę spódnicę trzeba trochę poszerzyć w biodrach, bo ostatnio przytyłam parę kilo i już się w nią nie mieszczę.

Wyszłam od niej, niosąc w ramionach wielką górę znoszonych ubrań. Naprawa tej garderoby zajęła mi niecały poranek. Zadowolona z efektów i zdecydowana w pełni ocenić moje możliwości, Candelaria wróciła po południu z szewiotem na żakiet.

– Angielska wełna, najlepsza. Przywoziliśmy ją z Gibraltaru, zanim wybuchło to całe zamieszanie. Teraz trudno dostać takie rzeczy. Dasz radę?

– Potrzebne mi dobre nożyczki, dwa metry podszewki, pół tuzina szylkretowych guzików i szpulka brązowych nici. Zaraz wezmę pani miarę. Do jutra żakiet będzie gotowy.

Zajęłam stół w jadalni i za pomocą owych skąpych środków przygotowałam przymiarke. Przed śniadaniem skończyłam. Ledwie otworzywszy oczy, jeszcze z siatką na włosach, Candelaria przymierzyła żakiet na nocną koszulę i z niedowierzaniem spojrzała w lustro. Poduszki na ramionach leżały bez zarzutu, a klapy rozkładały się z idealną symetrią, kryjąc nadmiar biustu. Podwyższony stan wyszczuplał talię, umiejętnie skrojony dół tuszował obfite, końskie pośladki. Szerokie mankiety dopełniały szykownej całości. Rezultat nie mógł być lepszy. Obejrzała się z przodu i z boku, potem z tyłu i z półprofilu. Raz i drugi. Żakiet rozpięty, żakiet zapięty, kołnierz

postawiony, kołnierz opuszczony. W skupieniu, bez zwykłej gadatliwości, oceniała efekty mojej pracy. Jeszcze raz z przodu, z boku. I wreszcie werdykt:

– A niech cię! Dlaczego wcześniej nie mówiłaś, że masz taki dryg w rękach?

Dwie nowe spódnice, trzy bluzki, szmizjerka, dwa kostiumy, płaszcz i ciepły szlafrok pojawiały się w jej szafie, w miarę jak przynosiła mi okazjnie kupione tkaniny.

– Jedwab, chiński, dotknij tylko. Kupiłam na straganie u tego Hindusa. Orznął mnie na dwie amerykańskie zapalniczki, na szczęście zostało mi kilka z zeszłego roku, niech się udławi, cholernik jeden, teraz przyjmuje tylko hassany. Ludzie gadają, że hiszpańskie pieniądze będą wycofane z obiegu. Istny obłęd, dziewczyno – mówiła z irytacją, rozwijając pakunek i demonstrując parę metrów ognistoczerwonego materiału.

Z kolejnej wyprawy przyniosła pół sztuki gabardyny – tej drogiej, kwiatuszku, tej drogiej. Następnego dnia pojawiła się resztkę perłowego atłasu, wraz z epopeją o jego zdobyciu i niezbyt pochlebnymi uwagami na temat matki hebrajskiego sprzedawcy. Potem była welenka w karmelowym odcieniu, kupon alpaki, niecałe półtora metra wzorzystej satyny... I tak, w drodze wymiany i targów, zdobyłyśmy niemal tuzin różnych tkanin: ja kroiałam i szyłam, a ona przymierzała i chwaliła, dopóki nie wyczerpała się jej inwencja albo dopóki nie stwierdziła, że jej szafa jest już pełna, albo dopóki nie uznała, iż najwyższa pora zastanowić się, co dalej.

– Jeśli idzie o mnie, jesteście kwita. Nic mi nie jesteście winna... – oznajmiła i nie dając mi czasu, bym mogła poczuć ulgę, dodała:

– na dzisiaj. A teraz porozmawiajmy o przyszłości. Masz talent, dziecinko, i nie wolno go marnować, tym bardziej teraz, kiedy potrzeba ci sporo grosza, żeby się wyplątać z kłopotów. Już się przekonałaś, że o pracę jest trudno, więc wydaje mi się, że najlepiej będzie, jak zaczniesz szyc na zarobek. Ale nie ma sensu chodzić po domach, bo nikt cię nie wpuści, jeżeli przyjdiesz z ulicy. Powinnaś mieć jakiś lokal, własny warsztat, a i tak niełatwo będzie znaleźć klientelę. Musimy to porządnie przemyśleć.

Candelaria Szmugiel знаła każde żywe stworzenie w Tetuanie. Żeby rozeznać się w rynku krawiectwa i właściwie ocenić koniunkturę, trzeba się było jednak sporo nachodzić, popytać tu i tam. A potem usiąść i trzeźwo wszystko rozważyć. Parę dni po zrodzeniu się pomysłu miałyśmy już wystarczająco jasny obraz sytuacji. Dowiedziałam się zatem, że w mieście były dwie lub trzy projektantki mody cieszące się renomą wśród żon i córek oficerów, wziętych lekarzy oraz zamożnych biznesmenów; o szczebel niżej – cztery lub pięć biegłych modniarek, szyjących stroje codzienne i wyjściowe dla rodzin urzędników średniego szczebla; i wreszcie spora garstka podrzędnych krawcowych, zajmujących się chałupniczo szyciem perkalowych fartuchów i przeróbkami używanych ubrań – nicowaniem, skracaniem, obrębianiem – a nawet cerowaniem skarpet. Nie wyglądało to zachęcająco, bo konkurencja była silna. Musiałam znaleźć jakiś sposób, żeby się wylansować. Chociaż, zdaniem mojej gospodyni, żadna z nich nie była mistrzynią w swoim fachu, nie mogłam ich

lekceważyć; dobra modniarka potrafi zaskarbić sobie zaufanie klientek i wierność do grobowej deski.

Powrót do aktywnego życia budził we mnie mieszane uczucia. Z jednej strony serce zabiło mi radością, jakiej od dawna nie zaznałam. W tamtych okolicznościach nic lepszego nie mogło mi się przydarzyć: miałam robić coś, co lubię i potrafię najlepiej, a do tego zarobić na swoje utrzymanie i spłatę długów. Z drugiej strony obawa i niepewność osaczały mnie niczym wataha wilków w ciemnym lesie. Żeby otworzyć własną firmę, nawet najmniejszą, potrzebowałam skromnego choćby kapitału, którym nie dysponowałam, kontaktów, których nie miałam, i znacznie więcej szczęścia, niż ostatnio przynosił mi los. Wiedziałam, że mi się nie powiedzie, jeżeli będę jedną z wielu, bo chcąc zdobyć klientki, musiałam wykazać się pomysłowością, wybić ponad przeciętność i zaoferować coś wyjątkowego.

Podczas gdy głowiłyśmy się z Candelarią nad tym, co powinnam zrobić, do pensjonatu coraz częściej zaglądały jej przyjaciółki i znajome, żeby coś u mnie zamówić: bluzeczkę byś mi uszyła, córciu, zrób to dla mnie; płaszczyki dla maluchów, bo nie mają w czym chodzić, a chłody tuż. Najczęściej były to proste kobiety, które nie mogły sobie pozwolić na duże wydatki. Przychodziły z czeredą dzieciaków i resztkami materiałów, siadały, żeby pogadać z Candelarią, a ja szylam. Narzekały na wojnę i płakały nad losem swoich bliskich w Hiszpanii, ocierając łzy różkiem schowanej w rękawie chusteczki. Utyskiwały na drożyznę i z lękiem pytały, z czego utrzymają rodzinę, jeśli to wszystko potrwa dłużej albo mąż zginie od

zabłąkanej kuli. Płaciły mało i późno, czasami wcale. Ale pomimo niezbyt licznej klienteli i skromnych zamówień już sam fakt, że wróciłam do szycia, przynosił mi ulgę w smutku, przez który nieśmiało zaczynał przebijać promyk nadziei.

## 9

Pod koniec miesiąca zaczęło padać. Jeden dzień, drugi, trzeci... Słońce nawet na chwilę nie wychodziło z za chmur: były grzmoty, błyskawice, porywisty wiatr, liście opadały z drzew na mokrą ziemię. Nadal szyłam dla kobiet z sąsiedztwa ubrania pozbawione wdzięku i stylu, z szorstkich, grubych tkanin, mające chronić przed zimnem, bez dbałości o estetykę. Aż któregoś popołudnia, kiedy ślęczałam nad kurtką dla wnuczka sąsiadki i plisowaną spódniczką dla córki dozorczyńni, wpadła jak burza Candelaria.

– Już mam, córciu, już mam! Załatwiłam!

Była w swoim nowym szewiotowym żakiecie, ściśniętym w talii paskiem, na głowie miała chustkę, a na nogach stare, ubłocone buty z wykrzywionymi obcasami. Rozbierając się, opowiadała szczegółowo, jak dokonała owego wielkiego odkrycia. Jej okazały biust unosił się i opadał rytmicznie, podczas gdy zdyszana dzieliła się ze mną nowinami, zdejmując z siebie kolejne warstwy ubrania niby łupiny cebuli.

– Wracam od fryzjera, gdzie pracuje moja kuma Remedios. Miałam do niej kilka spraw, a ona akurat robiła trwałą jakiejś żabojadce...

– Komu? – przerwałam.

– No, Francuzicy, mówię przecież – tłumaczyła ze zniecierpliwieniem. – Chociaż nie całkiem, bo tak sobie tylko pomyślałam, że to chyba żabojadka, ale potem się okazało, że nie jest Francuzką, tylko Niemką... nigdy jej tu wcześniej nie widziałam, a przecież znam wszystkie: żonę konsula i tę Gumpert, i tę Bernhardt, i Langenheimową, ona zresztą nie jest Niemką, tylko Włoszką, znam je aż za dobrze, załatwiałam dla nich to i owo. No więc chodzi o to, że kiedy Reme ją czesała, ta paniusia pyta mnie, gdzie dostałam taki piękny żakiet. A ja na to, że przyjaciółka mi uszyła, i wtedy ta żabojadka, znaczy nie żabojadka, tylko Niemka, spojrzała na mnie i tak się gapiała, gapiała, aż wreszcie wtrąciła się do rozmowy i z tym swoim szwabskim akcentem zaczęła szwargotać, że szuka kogoś, kto by jej szył, ale naprawdę dobrze, i czy mamy tu jakiś dom mody, taki szykowny, wiesz, Francja elegancja, bo ona w Tetuanie jest od niedawna, ale chce zostać na dłużej i dlatego kogoś takiego potrzebuje. No to jej powiedziałam...

– Żeby tu przyszła i ja będę jej szyć – dokończyłam za nią.

– Zwariowałaś, dziewczyno?! Co ty wygadujesz? Mam ją tutaj przyprowadzić? To babka z klasą, a forsy ma pewnie jak lodu. Gdzie nam do niej, takie jak ona zadają się z żonami generałów i pułkowników.

– No więc?

– No więc nie wiem, co mnie podkusiło, ale powiedziałam, że podobno ktoś otwiera w Tetuanie luksusowy zakład krawiecki.

Z trudem przełknęłam ślinę.

– I niby ja mam się tym zająć?

– Ależ oczywiście, aniołku, bo jak nie ty, to kto?

W jednej chwili zaschło mi w gardle.

– Ja? Ale jak? Za co? Z kim? – pytałam przerażona.

Pierwszą odpowiedzią był wybuch śmiechu. Drugą – pięć słów wypowiedzianych z tupetem, który nie pozostawiał miejsca na żadne wątpliwości.

– Ze mną, dziecinko, ze mną.

Przetrwałam jakoś kolację, z takim uczuciem w brzuchu, jakby w moich kiszkaach odbywał się przemarsz wojsk. Candelaria nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo gdy tylko oznajmiła mi swoją propozycję, do jadalni weszły siostry, uradowane nowiną o oswobodzeniu toledańskiego Alkazaru<sup>8</sup>. Wkrótce zjawiała się reszta domowników – jedni tryskając zadowoleniem, inni przeżuwając gorycz porażki. Dżamila zaczęła nakrywać do stołu, a nasza gospodyni musiała dopilnować w kuchni potraw: rozgotowanego kalafiora i tortilli na jednym jajku – oszczędnie i bezpiecznie, żeby nie dać gościom okazji do kolejnej bitwy na kości ze schabowych.

Kolacja minęła szczęśliwie, choć suto okraszona wzajemnymi docinkami, i zwaśnione strony w pośpiechu opuściły plac boju. Kobiety i dorodny Franuś udali się do pokoju sióstr posłuchać wieczornej przemowy generała Queipo de Llano w Radiu Sevilla. Panowie poszli do Resursy Kupieckiej podyskutować przy wieczornej kawie o postępach działań wojennych. Dżamila sprzątała ze stołu, a ja zabierałam się właśnie do zmywania okazałej sterty talerzy, kiedy Candelaria, z władczą miną na smagłej cygańskiej twarzy, wyprosiła mnie z kuchni.

– Idź do siebie, zaraz przyjdę.



Jej nieobecność trwała zaledwie parę minut – tyle potrzebowała, żeby się przebrać w koszulę nocną i szlafrok, wyrzeć przez balkon i zobaczyć, że trzech lokatorów skręcili już w zaułek Intendencia, oraz upewnić się, że panie są bez reszty zasłuchane w szalony bełkot zbuntowanego generała („Dobry wieczór! W górę serca!”). Czekałam na nią, skulona na brzeжку łóżka, przy zgaszonym świetle, zdenerwowana, niespokojna. Na odgłos jej kroków odetchnęłam z ulgą.

– Musimy porozmawiać, córciu. Ty i ja musimy porozmawiać bardzo poważnie – powiedziała zniżonym głosem, siadając obok mnie. – Pytam: jesteś gotowa otworzyć zakład krawiecki? Jesteś gotowa stać się najlepszą modniarką w Tetuanie i szyć stroje, jakich nikt nigdy tutaj nie szył?

– Pewnie, że jestem gotowa, ale...

– Nie ma żadnego „ale”. A teraz słuchaj uważnie i nie przerywaj. Sama zobacz: po tym, jak spotkałam u fryzjera tamtą Niemkę, popytałam tu i tam. Okazuje się, że ostatnio nazjeżdżało się do nas sporo ludzi. Tak jak ty albo te jędzowate siostrunie, jak Franuś, jego tłusta mateczka i ten Matías od płynu na porost włosów. Odkąd wybuchła rebelia, siedzicie tu wszyscy jak myszy w pułapce i nie możecie wrócić do domu, bo nie da się przepłynąć przez Cieśninę. Trzymam was, chociaż jesteście bandą głodomorów. Trudno, taki mój los. Ale nie stanowicie wyjątku. Innym przydarzyło się to samo, tyle że tamci są bogaci. Rozumiesz mnie, córciu? Sławna aktorka, która przyjechała na występy i musiała tutaj zostać; liczna grupka cudzoziemek, głównie Niemek, których mężowie, jak gadają na mieście, pomagali generałowi Franco w przerzucie żołnierzy na

Półwysep. Może tych kobiet nie jest wiele, ale wystarczy, żebyś miała co robić przez dłuższy czas, jeśli uda ci się je do siebie przekonać. Weź pod uwagę, że nie mają w Tetuanie swoich ulubionych krawcowych, bo nie są stąd. A co najważniejsze, mają pieniądze. Poza tym to cudzoziemki, które przez tę naszą wojnę utknęły na mieliźnie. Chcą się bawić i nie będą tu siedzieć w jednej koszulini na grzbiecie, czekając na koniec tej draki i zastanawiając się, kto wygra. Kapujesz, aniołku?

– Kapuję, Candelario, jasne, że kapuję, ale...

– Óóóóóóóó! Powiedziałaś, żadnych „ale”, dopóki nie skończę. Zastanówmy się: teraz, i to już, najlepiej od jutra, potrzebny ci jest wytworny lokal, w którym mogłabyś przyjmować klientki. Przysięgam na prochy moich zmarłych, że nigdy w życiu nie widziałam kogoś, kto umiałby szyć tak jak ty, więc nie gadaj i bierz się do roboty. I jeszcze jedno... Wiem, że nie masz grosza przy duszy, ale od czego jest Candelaria?

– Ale skąd pani na to weźmie? Przecież od rana do wieczora słyszymy, że nie mamy co jeść.

– Jestem spłukana, to prawda. Ostatnio nie ma czym handlować. Na granicy rozstawili posterunki żołnierzy uzbrojonych po zęby i nawet mysz się do Tangeru nie prześliznie po towar bez stu tysięcy pozwoleń, których ja za Boga nie dostanę. Na Gibraltar też się nie da przepłynąć, Cieśnina jest zamknięta, a samoloty latają tuż nad wodą i strzelają do wszystkiego, co się rusza. Ale mam tu coś, za co możemy kupić przyzwoity lokal; coś, co po raz pierwszy w moim zasranym życiu po prostu samo do mnie przyszło, nawet nie musiałam wychodzić z domu. Chodź, to ci pokażę.

Podeszła do sterty leżących w kącie rupieci.

– Wyjrzyj przedtem na korytarz i sprawdź, czy u sióstr jeszcze gra radio – syknęła konspiracyjnym szeptem.

Kiedy wróciłam, klatki, koszyk, nocniki i miednica leżały obok na podłodze, a Candelaria stała nad zamkniętym kufrem.

– Zamknij dobrze drzwi, na zasuwę. Zapal światło i chodź tutaj – powiedziała cicho, ale stanowczo.

Goła żarówka pod sufitem rozbłysła nagle, zalewając pokój trupim światłem. Zrobiłam parę kroków i stanęłam obok Candelarii akurat w chwili, gdy podniosła wieko. Na dnie skrzyni zobaczyłam tylko brudny, pognieciony koc. Wyjęła go ostrożnie, niemal z czcią.

– Pochyl się niżej.

Widok, jaki ujrzałam, odebrał mi mowę; pozbawił prawie tchu i przytomności. Na dnie leżał stos czarnych pistoletów, dziesięć, dwanaście, może piętnaście albo dwadzieścia – w nieładzie, każda lufa w inną stronę, niczym pluton uśpionych morderców.

– Widziałaś? – wymamrotała. – To zamykam. Daj mi te graty, trzeba położyć je na wierzchu. Już, możesz zgasić światło.

Głos Candelarii, choć wciąż przyciszony, brzmiał zupełnie zwyczajnie; tego, jak by zabrzmiał mój, nigdy się nie dowiedziałam, bo z wrażenia długo nie mogłam wykrztusić słowa.

Usiadłyśmy z powrotem na łóżku i zaczęła opowiadać szeptem:

– Niektórzy do dzisiaj myślą, że rebelia wybuchła nagle, ale to ordynarne kłamstwo. Sporo ludzi wiedziało, że coś się szykuje.

Na długo przedtem przygotowania szły pełną parą, i to nie tylko w koszarach i na Llano Amarillo<sup>9</sup>. Podobno nawet w Kasynie Hiszpańskim ukryto za barem cały arsenał, ale kto wie, jak było naprawdę. W pierwszych tygodniach lipca nocował w tym pokoju agent celny w oczekiwaniu na przydział, tak przynajmniej twierdził. Skłamię, jeśli powiem, że mi to nie śmierdziało, bo jak dla mnie, to nie był żadnym agentem, nic z tych rzeczy, ale ja nigdy o nic nie pytam, bo sama też nie lubię, jak ktoś wtyka nos w moje sprawy, więc pościeliłam łóżko, postawiłam na stole gorącą zupę i Bóg z nim. Osiemnastego lipca wyszedł i już go więcej nie widziałam. Może się przyłączył do buntu, może zabrali go do twierdzy Monte Hacho i rozstrzelali o świcie, a może przeszedł przez zieloną granicę na francuską stronę. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co się z nim stało. Chodzi o to, że po czterech czy pięciu dniach przysłali mi tu jakiegoś poruczniczyneę po jego rzeczy. Znowu o nic nie pytałam, oddałam wszystko, co było w szafie, kazałam mu iść z Bogiem i uznałam sprawę za zamkniętą. Ale kiedy Dżamila sprzątała potem pokój dla następnego gościa, usłyszałam nagle, że wrzeszczy, jakby zobaczyła diabła z widłami, czy co tam trzyma w ręku ten ich muzułmański szatan, kto go tam wie. I okazało się, że wymiotła spod łóżka całą górę pistoletów.

– I wtedy pani schowała je do skrzyni? – zapytałam słabym głosem.

– A co niby miałam zrobić? Lecieć do koszar i szukać tego porucznika? Przecież już się czuło, że coś wisi w powietrzu.

– Mogła je pani oddać komisarzowi.

– Don Claudiowi? Oszalałaś!

Tym razem to ja uciszyłam ją głośnym „ćśśśśś”.

– Miałam pokazać don Claudiowi pistolety? Już i tak mnie ma na celowniku. Chcesz, żeby mnie zamknął na całe życie? Zatrzymałam je sobie, bo znalazły się w moim domu, a ten rzekomy celnik był mi winien za piętnaście dni, więc odebrałam dług w naturze. Ta broń jest warta kupę forsy, dziecinko, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Pistolety są moje i mogę z nimi zrobić, co mi się podoba.

– Chce je pani sprzedać? To może być niebezpieczne.

– Chrzanić to, potrzebny jest pieniądz na twój salon krawiecki.

– Nie uwierzę, że pakuje się w to pani tylko ze względu na mnie...

– Nie, córciu – przerwała. – Nie wiem, czy się dobrze rozumiemy. Pakujemy się w to obie. Ja znajdę kupca, ty rozkręcisz interes, a zyskiem się podzielimy po połowie.

– A dlaczego nie sprzeda ich pani dla siebie? Starczyłoby na długo.

– Bo to chleb dzisiaj, a głód jutro. Bardziej mnie interesuje coś, co da mi utrzymanie na przyszłość. Jeśli teraz sprzedam towar i przez dwa, trzy miesiące przejem cały zysk, to z czego będę żyła, jak wojna potrwa dłużej?

– A jeżeli panią przyłapią na handlu bronią?

– Wtedy powiem don Claudiowi, że siedzimy w tym obie i obie skończymy tam, gdzie nas wyśle.

– W więzieniu?

– Albo na cmentarzu. Z gadziami<sup>10</sup> nigdy nic nie wiadomo.

Mimo iż owym ponurym przewidywaniom towarzyszyło szelmowskie mrugnięcie okiem, zaczęła we mnie narastać panika. Zimne, stalowe oczy komisarza Vazqueza i jego surowe ostrzeżenia mocno utkwily mi w pamięci. Proszę się trzymać z daleka od szemranych interesów i zachowywać się przyzwoicie, żadnych sztuczek. Słowa, które wówczas wypowiedział, stanowiły krótki, lecz wyczerpujący katalog rzeczy niezbyt miłych. Komisariat, więzienie dla kobiet. Kradzież, oszustwo, dług, skarga, trybunał. A teraz, jakby tego było mało, handel bronią.

– Niech się w to pani nie pakuje, Candelario, to naprawdę niebezpieczne – błagałam, ledwie żywa ze strachu.

– I co zrobimy? – zapytała szeptem. – Będziemy żyć powietrzem? Jeść własne smarki? Ty nie masz grosza przy duszy, a ja już nie mam z czego brać. Teraz płaci mi już tylko wdowa, nauczyciel i telegrafista, a i tak nie wiadomo, czy na długo im starczy. Reszta, włącznie z tobą, ma tylko to, co na sobie, ale przecież nie wyrzucę was na ulicę: ich z litości, a ciebie, żebym nie musiała się tłumaczyć przed don Claudiem. Może mi powiesz, skąd na to wszystko wezmę?

– Mogę dalej szyć dla sąsiadek. Będę pracować jeszcze więcej, jak trzeba, nawet nocami. Podzielimy się zarobkiem...

– A ile tego jest? Myślisz, że ile możesz zarobić na tych fataląszkach? Parę groszy na krzyż? Zapomniałaś już, ile musisz zwrócić w hotelu? Chcesz do końca życia siedzieć w tej norze? – syczała wściekle, stłumionym szeptem. – Masz, dziecinko, złote ręce, grzech marnować taki skarb. Chybaby cię Bóg pokarał. Wiem, że życie porządnie ci dało w kość, że narzeczony postąpił

z tobą po świńsku, że znalazłaś się w mieście, w którym wcale nie chcesz być, daleko od domu i rodziny, ale jest, jak jest, co było, minęło, a czasu nie da się cofnąć.

Musisz iść naprzód, Siro. Musisz być odważna, musisz zaryzykować, musisz walczyć. Masz pecha, dziewczyno. Żaden królewicz nie zapuka do twoich drzwi i nie padnie ci do stóp. Zresztą nie sądzę, żebyś po tym, co cię spotkało, chciała się teraz związać z jakimś mężczyzną. Jesteś jeszcze bardzo młoda i możesz zacząć żyć od nowa, na własny rachunek. To lepsze niż więdnąć nad cerowaniem cudzych łachów, wzdychając za utraconym szczęściem.

– Ale co z pistoletami, Candelario, co z pistoletami... – szepnęłam, wciąż jeszcze wystraszona.

– Los je nam zesłał, dziecinko. I przysięgam na prochy moich zmarłych, że wycisnę z nich tyle forsy, ile się da. Pewnie bym wolała, żeby mi zostawił bardziej chodliwy towar, szwajcarskie zegarki albo jedwabne pończochy. Ale mamy to, co mamy. Pamiętaj, że jest wojna, chętnych nie zabraknie.

– A jak panią złapią? – zapytałam znowu, pełna wątpliwości.

– Ta znowu swoje, w koło Macieju! Jak mnie capną, to będziemy się modlić do Chrystusa z Medinaceli, żeby don Claudio okazał nam miłosierdzie, posiedzimy jakiś czas na państwowym wikcie, i spokój. Poza tym przypominam ci, że na zwrot długu masz niecałe dziesięć miesięcy, a szyjąc dla kumoszek z sąsiedztwa, nie uzbierasz tyle nawet za dwadzieścia lat. Możesz być uczciwa, proszę bardzo, ale jak się będziesz tak upierać, to nawet sam Anioł Stróż ci nie pomoże i pójdziesz do paki albo skończysz w podrzędnym burdelu i

będziesz rozkładać nogi przed żołdakami na przepustce. Cóż, to też jest jakieś wyjście...

– Sama nie wiem, Candelario, sama nie wiem. Tak bardzo się boję...

– Ja też sram ze strachu po nogach. Myślisz, że jestem z kamienia? Co innego przemycać trefny towar, a co innego opylić półtora tuzina rewolwerów w czasie wojny. Ale na to nie ma rady, dziecinko.

– Jak chce pani to zrobić?

– O to się nie martw, mam swoje kontakty. Uwinę się z tym w kilka dni. A wtedy poszukamy lokalu na najlepszej ulicy w Tetuanie, wyszykujemy go i zaczynasz.

– Jak to, zaczynasz? A pani?

Zaśmiała się i pokręciła głową.

– Nie, córciu. Ja zdobędę pieniądze, żebyś mogła zapłacić czynsz za parę miesięcy i kupić to, czego będziesz potrzebowała. A kiedy wszystko będzie gotowe, ty się weźmiesz do pracy, a ja będę siedzieć w domu i czekać na koniec miesiąca, żeby odebrać swoją dolę. Poza tym nie powinni cię kojarzyć ze mną. Nie cieszę się w mieście dobrą sławą, a twoimi klientkami będą kobiety z wyższych sfer. Tak więc ja daję pieniądze, ty swoje ręce. A potem się podzielimy. To się nazywa inwestycja.

W ciemnym pokoju powiało nagle Akademią Pitmana i wielkimi planami Ramira; przez moment miałam wrażenie, że przeniosłam się w przeszłość, do której nie miałam najmniejszej ochoty wracać. Przepłoszyłam zmory



gwałtownym, niewidzialnym ruchem ręki i otrząsnąwszy się ze zwidów, dalej szukałam odpowiedzi na dręczące mnie pytania.

– A jeśli nic nie zarobię? Jeśli nie znajdę klientek?

– To mamy przesrane. Nie kracz na zapas, głupia. Dlaczego zakładać najgorsze? Musimy wierzyć, że się uda, chwycić byka za rogi. Same się musimy uporać z naszą nędzą, nikt tego za nas nie zrobi. Albo będziemy walczyć, albo głód zajrzy nam w oczy.

– Ale ja dałam komisarzowi słowo, że nie wpakuję się w żadne kłopoty.

Candelaria z trudem powstrzymała wybuch śmiechu.

– Mój Francisco też mi przysięgał przed ołtarzem, że będzie mnie szanował, póki śmierć nas nie rozłączy, a tłukł mnie, sukinsyn, aż miło, niech go szlag trafi. Dziwię się, że jesteś taka naiwna, po tym, co cię w życiu spotkało. Pomyśl o sobie, Siro, pomyśl o sobie, bo w tych ciężkich czasach, w jakich nam przyszło żyć, albo ty kogoś zjesz, albo ciebie zjedzą. Poza tym nic złego nie robimy: nie będziemy do nikogo strzelać, po prostu pozbędziemy się zbędnego towaru, a komu Pan Bóg dał, temu święty Piotr pobłogosławi. Jak dobrze pójdzie, don Claudio zobaczy, że masz własny salon krawiecki, czyściutki jak szkło, i jeśli cię kiedyś zapyta, skąd na to masz, odpowiesz, że pożyczyłaś ode mnie. Jak nie uwierzy albo będzie kręcił nosem, to zapytasz, dlaczego cię nie zostawił w szpitalu na łasce sióstr miłosierdzia, tylko przywiózł tutaj i powierzył mojej opiece. Don Claudio ma i bez nas tyle spraw, że woli unikać kłopotów, więc załatwimy to po cichu, a on nie będzie sobie zawracał głowy śledztwami, ja ci to mówię. Znam go od lat i nie od dziś mamy ze sobą na pieńku. Dlatego możesz być spokojna.

Znając tupet i specyficzną filozofię życiową Candelarii, musiałam jej przyznać rację. Żebyśmy nie wiem jak się zastanawiały i rozpatrywały tę sprawę z każdej możliwej strony, z przodu i z tyłu, z lewej i z prawej, to w sumie ów smętny plan przedstawiał się wcale rozsądnie i faktycznie mógł zaradzić niedoli dwóch samotnych kobiet bez pieniędzy, za to z przeszłością czarną jak pasta do butów. Prawość i uczciwość to piękne hasła, ale nie można się nimi najeść, spłacić długów ani ogrzać w zimowe noce. Zasady moralne i nieposzlakowana opinia były dobre dla innych. My, dwie nieszczęsne istoty ze złamanym sercem, nie mogłyśmy sobie pozwolić na ten luksus. Moje milczenie Candelaria wzięła za cichą zgodę.

– To co? Mam od jutra szukać kupca?

Poczułam, że balansuję po omacku na skraju przepaści. Z oddali dobiegało chrypienie radia transmitującego z Sewilli zagłuszaną trzaskami przemowę generała Queipo. Westchnęłam z rezygnacją. Usłyszałam własny głos, cichy, lecz pewny. Może nie całkiem.

– Wchodzę w to.

Moja przyszła współpracownica, nareszcie usatysfakcjonowana, uszczypnęła mnie pieszczotliwie w policzek, uśmiechnęła się i zaczęła się zbierać do odejścia. Poprawiła szlafrok na swych obfitych kształtach i wsunęła stopy w rozdeptane kapcie, które prawdopodobnie towarzyszyły jej, odkąd – przyciśnięta przez los – zaczęła się uciekać do kuglarskich sztuczek, żeby jakoś przeżyć. Candelaria Szmugiel, oportunistka, kłótliwa, bezczelna i serdeczna, stała już w drzwiach, kiedy półgłosem rzuciłam ostatnie pytanie. Prawdę mówiąc, niewiele miało wspólnego z

tematem owej wieczornej rozmowy, ale ciekawa byłam odpowiedzi.

– Candelario, po czyjej stronie pani jest w tej wojnie? Odwróciła się, zaskoczona, ale bez najmniejszego wahania odparła grzmiącym szeptem:

– Ja? Na śmierć i życie z tym, kto wygra, kotku.

## 10

Dni, które nadeszły potem, były okropne. Candelaria bez przerwy wychodziła, przemykała w drzwiach niczym korpulentny, hałaśliwy wąż. Bez słowa krążyła ze swojego pokoju do mojego, z jadalni na ulicę, z ulicy do kuchni, zawsze w pośpiechu, skupiona, mamrocząc pod nosem nieskładną litanię pomruków i chrząknięć, których znaczenia nikt nie był w stanie pojąć. Nawet nie próbowałam się wtrącać i nie pytałam o to, jak jej idą pertraktacje: wiedziałam, że kiedy przyjdzie pora, sama mi o wszystkim powie.

Minął prawie tydzień, zanim miała dla mnie jakieś wieści. Tamtego dnia wróciła do domu po dziewiątej, kiedy wszyscy już siedzieliśmy nad pustymi talerzami, czekając, aż przyjdzie. Kolacja upłynęła jak zwykle, w bojowej atmosferze. Potem goście się rozeszli, a my zaczęłyśmy sprzątać ze stołu. W biegu, nosząc sztuce, brudne naczynia i serwetki, dawkowałam mi jak zakraplaczem ostatnie nowiny: dzisiaj w nocy – syczała konspiracyjnym szeptem – wszystkie fanty sprzedane; jutro z rana zaczynamy; nie mogę się doczekać, żeby już mieć to z głowy, niech ich szlag.

Jak tylko skończyłyśmy zmywanie, każda zamknęła się u siebie i więcej nie zamieniłyśmy ani słowa. Reszta domowników rozpoczęła wieczorne rytuały: radio i płukanka z eukaliptusa, wygibasy przed lustrem, spacer do kawiarni. Udawałam spokój i starałam się zachowywać jak zwykle. Rzuciłam w przestrzeń „dobranoc” i poszłam się położyć. Czuwałam, dopóki nie ucichła krzątanina. Zdążyłam jeszcze usłyszeć kroki wychodzącej z pokoju Candelarii i niemal bezgłośnie trzaśnięcie frontowych drzwi.

Zasnęłam kilka minut potem. Po raz pierwszy od wielu dni nie przewracałam się do późna na łóżku, nie dręczyły mnie przyuczajone pod kołdrą zmory: więzienie, komisarz, aresztowanie, trupy. Widocznie świadomość, że skończyły się już ciemne interesy, podziałała na mnie kojąco. Zapadłam w sen, tuląc się do słodkiego przecucia, że rano zaczniemy planować przyszłość i zniknie prześladowający nas czarny cień pistoletów.

Odpoczynek nie trwał jednak długo. Nie wiedziałam, która była godzina – druga, może trzecia – kiedy czyjaś ręka szarpnęła mnie za ramię.

– Obudź się, córciu, obudź.

Wyrwana ze snu, uniosłam się na łóżku.

– Candelaria? Co się stało? Już pani wróciła? – wymamrotałam.

– Katastrofa, dziecinko. Jedna wielka katastrofa – odpowiedziała szeptem.

Stała nad moim łóżkiem, a jej korpulentna postać, otulona zapiętym aż pod brodę obszernym, długim płaszczem, w

którym nigdy dotąd jej nie widziałam, wydawała się moim zaspanym oczom bardziej okrągła niż kiedykolwiek. W pośpiechu odpinając guziki, tłumaczyła bezładnie:

– Wojsko pilnuje wszystkich dróg do Tetuanu. Ci z Larache woleli nie ryzykować. Czekaliśmy prawie do trzeciej, ale nikt się nie zjawił po towar. Przysłali jakiegoś kabylskiego chłopaka, który powiedział, że nie przejdą, bo kordon jest za ciasny. Boją się, że ich zastrzelą.

– Gdzie się pani miała z nimi spotkać? – zapytałam, starając się złożyć jej słowa w jakąś logiczną całość.

– Na Suice, za składem węgla.

Nie wiedziałam, gdzie to jest, i nie próbowałam się dowiedzieć. W mojej otumanionej głowie grubymi, wyraźnymi liniami zarysowały się rozmiary naszej klęski: żegnajcie zarobki, żegnaj salonie krawiecki. Witaj znowu udręko, witaj nieustanny lęku o jutro.

– No to koniec – powiedziałam, przecierając oczy, żeby odegnąć resztki snu.

– Co to, to nie, córciu – ucięła Candelaria, zdejmując płaszcz. – Plany uległy zmianie, ale na pamięć mojej matki przysięgam, że jeszcze dziś w nocy pistolety znikną z mojego domu. Migiem, kotku! Wstawaj, nie mamy czasu do stracenia.

Nie od razu zrozumiałam, co powiedziała. Moją uwagę pochłaniał bez reszty widok Candelarii rozpinającej workowatą koszulę, którą miała pod płaszczem, coś w rodzaju luźnego szlafroka z szorstkiej wełny, kryjącego niemal zupełnie jej pulchne kształty. Patrzyłam w osłupieniu, jak się rozbiera, i żadną miarą nie potrafiłam odgadnąć przyczyny owego

pospiesznego neglizu w moim pokoju, dopóki, pozbywszy się odzienia, nie zaczęła wyjmować przedmiotów wciśniętych pod grube fałdy sadła... Cztery pistolety za podwiązkami, sześć pod gumowym pasem, dwa pod ramiączkami stanika i kolejne dwa pod pachami. Pozostałych pięć w woreczku z grubego płótna. Razem dziewiętnaście. Dziewiętnaście kolb, dziewiętnaście luf, nagranych ciepłem jej tęgiego ciała. Ogarnęły mnie złe przeczucia.

– I co ja mam z tym zrobić? – zapytałam w popłochu.

– Zanieść tę broń na stację kolejową przed szóstą rano, przekazać, komu trzeba, i wrócić tutaj z tysiącem dziewięciuset duros, bo na tyle dogadałam się z kupcem. Wiesz, gdzie jest dworzec? Nie? Za szosą do Ceuty, u stóp Gorgesu. To już za miastem, ci z Larache nie będą musieli przechodzić przez kordon, żeby odebrać towar. Zejdą z gór i przed świtem wrócą tą samą drogą.

– Ale dlaczego ja?

Ze strachu oprzytomniałam w jednej chwili. Senność zniknęła, jak ręką odjął.

– Bo jak wracałam z Suiki, głowiąc się, jak zorganizować przerzut na stacji, ten skurwysyn Palomares, który wychodził z baru El Andaluz, kiedy już zamykali, zatrzymał mnie przed bramą Intendentury i powiedział, że z przyjemnością wpadnie dzisiaj do mnie na małą rewizję.

– Kto to jest Palomares?

– Policjant, najgorszy pies w całym hiszpańskim Maroku.

– Od don Claudia?

– Tak. Gdy są razem, siedzi jak trusia i ani piśnie, ale kiedy jest sam, to mu się we łbie przewraca i odbija sobie na wszystkich, a taki wredny, że pół Tetuanu trzyma w garści, bo jak się, bydlak, na kogoś uweźmie, zaraz grozi dożywociem.

– Dlaczego panią zatrzymał?

– Bo miał ochotę, bo to kanalia i lubi dokopać, szczególnie kobietom. Zawsze taki był, a teraz jeszcze gorszy.

– Podejrzewał coś?

– Nie, córciu, skądże. Na szczęście nie zaglądał do torby ani pod płaszcz. Powiedział tylko tym swoim obleśnym głosem: co się tak włóczysz po nocy, szmuglerko, pewnie znowu coś kombinujesz, a ja na to, psia jego mać: byłam u kumy w odwiedzinach, don Alfredo, choruje biedaczka, ma kamienie w nerkach. Nie opowiadaj bajek, szmuglerko, cwana jesteś, ale wiem, że coś knujesz, mówi, łajdus jeden, a ja aż się w język ugryzłam, żeby mu nie odszczeknąć, bo miałam chęć posłać go do wszystkich diabłów, żeby go święta ziemia nie nosiła. Przycisnęłam tylko worek pod pachą i przyspieszyłam kroku, polecając się Najświętszej Paniencie, żeby mi pistolety nie wypadły spod koszuli. Myślałam, że już sobie poszedł, aż tu nagle znowu słyszę za plecami jego sprośny głos: i tak do ciebie przyjdę, dziwko, zobaczymy, co tam masz.

– I pani myśli, że naprawdę przyjdzie?

– I tak, i nie – odparła, wzruszając ramionami. – Jak znajdzie jakąś cizię, która mu dogodzi, to o mnie zapomni. Ale jak mu coś nie pójdzie, wcale się nie zdziwię, jeżeli zastuka do drzwi, wyrzuci gości na korytarz i bez mrugnięcia okiem przewróci mi cały dom do góry nogami. Nie pierwszy raz zresztą.

– To nie może się pani stąd ruszyć aż do rana – wyszeptałam z namysłem.

– Ani kroku, kochaneczko – przytaknęła.

– A pistolety muszą zniknąć natychmiast, żeby Palomares ich nie znalazł – dodałam.

– No widzisz, jak się rozumiemy.

– I bezwzględnie trzeba je dostarczyć jeszcze dziś, a kupcy nie mogą sami po nie przyjść do Tetuanu, to śmiertelnie niebezpieczne.

– Jaśniej już się nie da, królewno.

Przez kilka pełnych napięcia chwil milczałyśmy zażenowane, patrząc sobie prosto w oczy. Ona stała, na wpół naga, z fałdami tłustego ciała wylewającymi się spod pasa i stanika; ja, w koszuli nocnej, siedziałam ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, rozczochrana, ze ściśniętym sercem. A między nami rozrzucone w nieładzie czarne pistolety.

Candelaria odezwała się pierwsza, twardo, tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Ty to zrobisz, Siro. Nie ma innego wyjścia.

– Ja nie mogę, ja nie, ja nie... – wybełkotałam w odpowiedzi.

– Musisz, dziecinko – powtórzyła ponurym głosem. – Jeżeli tego nie zrobisz, stracimy wszystko.

– Przecież pani wie, jakie na mnie ciążą zarzuty: niezapłacony rachunek w hotelu, skarga Hispano-Olivetti i donos mojego przyrodniego brata. Jak mnie teraz przyłapią, to koniec ze mną.

– Koniec to będzie, ale z nami obiema, jeśli dziś w nocy przyjdzie tutaj Palomares i nakryje nas z tymi fantami –



odparła, przenosząc wzrok na broń.

– Ale posłuchaj, Candelario...

– Nie, to ty mnie posłuchaj, dziewczyno, posłuchaj mnie dobrze – powiedziała władczo. Mówiła głośnym szeptem, oczy miała szeroko otwarte, okrągłe jak spodki. Pochyliła się nade mną i chwyciła za ramiona, zmuszając, żebym na nią spojrzała.

– Próbowałam wszystkiego, ryzykowałam własną skórę i nie wyszło. Taki już nasz pieski los, czasami daje wygrać, a czasami pluje ci w twarz. I tej nocy powiedział mi: zdychaj, szmuglerko. Już wystrzelałam wszystkie naboje, Siro, jestem spalona. Ale ty nie. Tylko ty możesz sprawić, że nie utoniemy obydwie, tylko ty możesz zanieść towar i odebrać pieniądze. Bóg jeden wie, że nie prosiłabym cię o to, gdyby było inne wyjście. Ale nie ma, dziecinko. Musisz się włączyć. Siedzisz w tym po uszy tak samo jak ja. To nasza wspólna sprawa i wiele od niej zależy. Cała przyszłość, córciu, moja i twoja. Bez tych pieniędzy pójdziemy na dno. Teraz wszystko jest w twoich rękach. I musisz to zrobić. Dla siebie i dla mnie, Siro. Dla nas obu.

Chciałam protestować dalej. To prawda, że miałam ważne powody, by powiedzieć: nie, nie ma mowy, w żadnym wypadku. Wiedziałam jednak, że Candelaria ma rację. Z własnej woli podjęłam tę ciemną grę, nikt mnie do tego nie zmuszał. Stworzyłyśmy drużynę, w której każdej z nas przypadła inna rola: najpierw Candelaria miała zdobyć pieniądze, potem ja miałam pracować. Ale obydwie byłyśmy świadome, że czasem granice się zacierają, przesuwają lub nikną zupełnie, rozplływając się jak kropla atramentu w oceanie. Ona wywiązała się ze swojej części umowy, a przynajmniej

próbowała, lecz szczęście się od niej odwróciło. Trudno, nie udało się. Ale wciąż istniał cień nadziei. Sprawiedliwość nakazywała, żebym teraz to ja podjęła ryzyko.

Z odpowiedzią zwlekałam jeszcze kilka chwil. Przedtem musiałam przepłoszyć ponure wizje, które natrętnie cisnęły mi się przed oczy: komisarz, więzienny loch, nieznana twarz Palomaresa.

– Co mam zrobić? – zapytałam wreszcie niepewnie.

Candelaria odetchnęła z głośnym świstem, odzyskując utracony animusz.

– Łatwiuśko, skarbie. Poczekaj chwilkę, zaraz wrócę i wszyściutko ci powiem.

Wyszła, wciąż jeszcze na wpół rozneglizowana, i po niespełna minucie wróciła, niosąc w ramionach coś, co wyglądało jak wielki zwój białego płótna.

– Przebierzesz się za Mauretanke, założysz haik – powiedziała, zamykając za sobą drzwi. – Zmieszczą się pod nim wszystkie pistolety świata.

Tak bez wątpienia było. Codziennie widywałam arabskie kobiety w tych luźnych, bezkształtnych strojach, które przypominały obszerne peleryny, spowijające głowę, ramiona, całą postać. Istotnie można było pod nimi ukryć, co się chciało. Skraj płachty zakrywał usta i nos, rąbek na czole sięgał aż do brwi. Widoczne były tylko oczy i stopy. Nie było lepszego sposobu, żeby wyjść na ulicę z całym arsenałem pistoletów.

– Ale przedtem musimy coś zrobić. Jazda z wyrka, dziecinko, bierz się do roboty.

Posłusznie wyskoczyłam z łóżka. Bez słowa ściągnęła z kołdry poszwę i zębami oderwała obrębek jednym mocnym szarpnięciem. Potem oddarła pas materiału szeroki na dwie dłonie.

– Zrób to samo z prześcieradłem – rozkazała. Wśród zgrzytania zębów i trzasku pękającego płótna w kilka minut podarłyśmy całą pościel na długie wstęgi. – A teraz cię obandażujemy, żeby umocować pistolety. Podnieś ręce.

Nie dała mi nawet zdjąć koszuli. Owinęła pierwszy pistolet kilkoma warstwami tkaniny, przyłożyła mi go do ciała i obiegła mnie wkoło parę razy, na koniec mocno zaciskając węzeł. To samo zrobiła z drugim, trzecim, czwartym, następnym i następnym pistoletem.

– Chuda jesteś jak szkielet, dziewczyno, nie mam już miejsca – westchnęła, kiedy zostałam dokładnie obwiązana z tyłu i z przodu.

– Może na udach – odpowiedziałam.

Wreszcie cały ładunek został przytwierdzony – pod piersiami, na żebrach, w talii, pod łopatkami, na ramionach, na biodrach i nad kolanami. Wyglądałam jak mumia spowita białymi bandażami, pod którymi kryła się posepna, ciężka zbroja utrudniająca każdy ruch. Ale nie miałam czasu na naukę chodzenia, musiałam sobie jakoś poradzić.

– Włóż papucie Dżamili – powiedziała Candelaria, stawiając przede mną parę znoszonych bamboszy. – A teraz haik – dodała, podnosząc do góry białą płachtę. – O, tak, owiń się razem z głową, niech zobaczę, czy pasuje.

Przyjrzała mi się z uśmiechem zadowolenia.

– Doskonale, jak rodowita Mauretanka. I pamiętaj, musisz zasłonić twarz. Szybciej, wyjdźmy na ulicę, muszę ci wytłumaczyć, jak się tam idzie.

Z trudnością postawiłam kilka kroków, starając się poruszać normalnie. Pistolety ciążyły jak ołów, musiałam iść okrakiem, a ręce trzymać z daleka od tułowia. Wyszliśmy na korytarz, przodem Candelaria, ja niezdarnie za nią – wielki biały toból, który obijał się o ściany, meble i futryny. Nagle, zanim się spostrzegłam, zawadziłam o półkę i straciłam na podłogę wszystko, co na niej stało: talerz z Talavery, kinkiet bez świec i sepiową fotografię jakiegoś przodka mojej gospodyni. Ceramika, szkło ozdobnej ramki i ekran świecznika rozpadły się w drobny mak na kaflach posadzki, a w sąsiednich pokojach zaskrzypiały łóżka pod wyrwanymi ze snu lokatorami pensjonatu.

– Co się stało?! – zawołała zza swoich drzwi pulchna wdowa.

– Nic, upuściłam szklanę z wodą. Śpijcie już wreszcie! – odkrzyknęła Candelaria.

Spróbowałam się pochylić, żeby zebrać skorupy, ale nie mogłam się zgiąć.

– Zostaw to, córciu, potem posprzątam – powiedziała, odsuwając nogą szkło.

I wówczas, niespodziewanie, z sąsiednich drzwi wychyliła się głowa młodszej z sióstr, Fernandy, cała w papilotach. Zanim stara panna zdążyła zapytać, skąd ten hałas i czemu jakaś obca Mauretanka rozbija się po domu w środku nocy, tłukąc, co popadnie, Candelaria zadała celny cios, który odebrał przeciwnicze mowę i zdolność reakcji.

– Marsz do łóżka, ale już! Bo jak nie, to jutro z samego rana powiem SAGRARI, że co piątek lata pani za węgiel na schadzki z sanitariuszem.

Strach przed tym, że bogobojna siostra dowie się o grzesznej miłości, zwyciężył ciekawość i Fernanda bez słowa wśliznęła się, niczym węgorz, przez szparę w drzwiach z powrotem do pokoju.

– Pospiesz się, dziecinko, robi się późno – ponagliła mnie szmuglerka władcym szeptem. – Lepiej, żeby nikt nie zobaczył, jak stąd wychodzisz. Nie wiadomo, czy gdzieś tu się nie kręci Palomares, i wszystko szlag trafi. Idziemy.

Wyszliśmy na niewielkie patio na tyłach domu. Na drodze stała nam jedynie czerń nocy, poskręcane pnącza dzikiego wina, splątane sznury do bielizny i rozklekotany rower telegrafisty. Ukryliśmy się za węglem.

– Co teraz? – wymamrotałam.

Przemyślała chyba wszystkie szczegóły, bo odpowiedziała zdecydowanym szeptem:

– Wejdiesz na ławkę i przeskoczysz przez mur, tylko ostrożnie, niech ci się nogi nie zaplączą w haik, bo rąbniesz na pysk.

Popatrzyłam na dwumetrowe ogrodzenie i ceglaną przyporę, na którą się musiałam wdrapać, żeby przedostać się na drugą stronę. Wolałam nie myśleć, czy mi się uda. Zwoje płótna krępowały mi ruchy, pistolety ciążyły jak kamienie. Ograniczyłam się więc do zapytania o dalsze instrukcje.

– A potem?

– Za parkanem jest podwórko sklepiku don Leandra. Po stercie starych skrzynek i beczek bez trudu przejdiesz na patio przy cukierni Żyda Menahema. W głębi jest drewniana furтка prowadząca na boczną uliczkę, którą dowożą mąkę do ciastkarni. Jak już się tam znajdziesz, zapomnij, kim jesteś: przygarb się, zasłoń twarz. Pójdiesz do żydowskiej dzielnicy, a stamtąd do medyny. Idź powoli, trzymaj się blisko ścian, powłócząc nogami jak staruszka, żeby żaden bezecnik cię nie zaczepił. W mieście roi się od Hiszpanów napalonych na muzułmanki, kota mają na punkcie orientalnych piękności.

– Co dalej?

– Kiedy będziesz w mauretańskim mieście, przejdź się trochę po ulicach i upewnij, czy nikt cię nie śledzi. Jak się na kogoś natkniesz, skreć gdzieś albo oddal się na bezpieczną odległość. Pokreć się tam chwilę i zawróć do Puerta de La Luneta i zejdź do ogrodu. Wiesz gdzie?

– Chyba tak – powiedziałam, usiłując wyobrazić sobie czekającą mnie drogę.

– Na wprost, po drugiej stronie szosy, zobaczysz dworzec kolejowy. Musisz tam wejść, na pewno jakieś drzwi będą otwarte. Pamiętaj, idź powoli i zasłaniaj twarz. W środku prawdopodobnie zastaniesz tylko paru drzemających żołnierzy, którzy nie zwrócą na ciebie uwagi. Może się trafić jakiś Marokańczyk czekający na pociąg do Ceuty. Chrześcijanie zaczną się schodzić dopiero, jak się rozwidni.

– O której odjeżdża pociąg?

– O wpół do ósmej. Ale wiesz, że Mauretanie mają inne poczucie czasu. Nikt się nie zdziwi, widząc cię tam przed szóstą

rano.

– Ja też mam wsiąść?

Candelaria przez kilka sekund wstrzymywała się z odpowiedzią. Wyczułam, że niewiele już ma do dodania.

– Nie. Zapomnij o pociągu. Kiedy przyjdiesz na stację, usiądź na ławce pod tablicą z rozkładem jazdy, żeby cię zobaczyli. Domyślą się, że to ty przyniosłaś towar.

– Kto mnie zobaczy?

– Kto zobaczy, ten zobaczy, nie twoja sprawa. Po dwudziestu minutach wstań, idź do bufetu i dogadaj się jakimś sposobem z kantyniarzem, który powie, gdzie masz zostawić pistolety.

– Tak po prostu? – zapytałam z niepokojem. – A jak kantyniarza nie będzie albo nie zechce ze mną rozmawiać, albo coś nam przeszkodzi, to co?

– Cśśś... Ciszej, bo ktoś usłyszy. Już ty się o to nie martw, tak czy inaczej dowiesz się, co masz zrobić – odparła zniecierpliwiona, próbując nadać głosowi zwykły władczy ton, chociaż widać było, że straciła pewność siebie. – Posłuchaj, dziecko, wszystko poszło nie tak – wreszcie zdobyła się na szczerłość. – Przekazali mi tylko, że pistolety mają być o szóstej na stacji, że osoba, która je dostarczy, ma siedzieć przez dwadzieścia minut pod tablicą z rozkładem i że kantyniarz powie, jak dokonać wymiany. Żałuję, córciu, ale nic więcej nie wiem. Nie bój się, skarbie, będzie dobrze.

Chciałam powiedzieć, że bardzo wątpię, ale na widok jej zmartwionej twarzy wolałam to przemilczeć. Po raz pierwszy, odkąd ją poznałam, szmuglerka straciła rezon. Zniknęły gdzieś zaradność, upór i pomysłowość, z jakimi potrafiła wydestać się

z najgorszych tarapatów. Wiedziałam, że gdyby mogła, sama poszłaby na stację i dopięła swego, nie tym, to innym sposobem. Rzecz w tym, że miała związane ręce. Musiała zostać w domu i czekać na rewizję, niepewna, czy Palomares w ogóle się zjawi, czy to tylko czcze pogroźki. Wiedziałam również, że jeśli ona się załamie, będzie to oznaczało koniec dla nas obu. Dlatego zebrałam wszystkie swoje wątłe siły i uzbroiłam się w odwagę.

– W porządku, Candelario. Dam sobie radę. Ale przedtem proszę mi coś powiedzieć.

– Co tylko chcesz, dziecinko, ale szybko. Do szóstej zostało mniej niż dwie godziny – odrzekła, z trudem kryjąc ulgę, że postanowiłam nie składać broni.

– Kto dostanie te pistolety? Kim są ci ludzie z Larache?

– A czy to nie wszystko jedno? Ważne, żeby dotarły do celu o wyznaczonej godzinie. Zostawisz je, gdzie ci każą, i odbierzesz pieniądze. Pamiętaj, tysiąc dziewięćset duros. Tylko przelicz dobrze. A potem wrócisz tu do mnie w te pędy i będziemy się cieszyć.

– Narazamy życie, Candelario – nie ustępowałam. – Niech przynajmniej wiem, z kim mamy do czynienia.

Westchnęła ciężko, a jej biust, na wpół zakryty znoszonym szlafrokiem, zaczął unosić się i opadać jak kowalski miech.

– To masoni – szepnęła mi na ucho, jakby bała się wypowiedzieć głośniej przekłete słowo. – Umówiliśmy się, że przyjadą dziś w nocy z Larache furgonetką, pewnie czekają już gdzieś w ukryciu, może przy źródłach Buselmal albo w huertach<sup>11</sup> nad Martinem. Muszą unikać dróg, więc przekradają się na dziko. Prawdopodobnie zabiorą broń z



miejsca, w którym ją zostawisz, ale nie załadują jej na pociąg, tylko wrócą tak, jak przyjechali, przez góry, omijając Tetuan. O ile, nie daj Bóg, wcześniej ich nie złapią. Ale to tylko moje domysły. Prawdę mówiąc, nie mam zasranego pojęcia, czego się po nich spodziewać.

Westchnęła znowu, wpatrzona w przestrzeń, i szeptała dalej:

– Ale wiem, dziecinko, bo wszyscy to wiedzą, że rebelianci najbardziej się zawzięli właśnie na wolnomularstwo i na każdego, kto się zadaje z masonami. Robili naloty na zgromadzenia i każdemu dawali kulkę w łeb. Kto miał szczęście, zdążył uciec do Tangeru albo do francuskiej strefy. Resztę zabrali do El Mogote i rozstrzelają ich, jak nic. A ci, których nie złapali, kryją się po piwnicach, strychach i sieniach, trzęsąc się ze strachu, że w każdej chwili ktoś może na nich donieść. Dlatego długo nie wiedziałam, komu sprzedaję towar, ale kiedy po długich korowodach dostałam kontakt do Larache, domyśliłam się, do kogo trafią te pistolety.

Spojrzała mi prosto w oczy, poważna i zasępiąca jak nigdy dotąd.

– Sprawa jest paskudna, dziecinko, bardziej niż paskudna – mruknęła przez zęby. – Tu nie ma miejsca na litość ani na jakiegokolwiek względy, wystarczy byle co i człowiek znika, zanim zdąży powiedzieć „amen”. Zginęło już wielu uczciwych ludzi, którzy nikomu nie zrobili nic złego i nawet muchy by nie skrzywdzili. Uważaj na siebie, bo ty możesz być następna.

Wykrzesalam z niczego resztki animuszu, próbując przekonać nas obie do czegoś, w co sama nie wierzyłam.

– Niech się pani nie martwi, Candelario. Jakoś to będzie.

I bez dalszych zbędnych słów stanęłam na ławce i z ukrytym pod haikiem złowieszczym ładunkiem wspięłam się na ogrodzenie. Zostawiłam za sobą szmuglerkę, która patrzyła na mnie z dołu, żegnając się krzyżem i mamrocząc pod nosem modlitwy. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, niech Najświętsza Paniienka cię strzeże, kochaneczko. Usłyszałam jeszcze tylko głośnie cmoknięcie w skrzyżowane palce. W chwilę potem zniknęłam po drugiej stronie muru i runęłam jak tobół na podwórko za sklepem.

## 11

W niecałe pięć minut dotarłam do furtki cukiernika Menahema. Po drodze bez przerwy nadziewałam się na jakieś gwoździe i drzazgi, bo ciemno było, choć oko wykol. Zadrapałam się w rękę, przydeptałam sobie haik, pośliznęłam się i o mało co nie spadłam ze sterty skrzynek, ustawionych byle jak pod ścianą. Stanąwszy na pewnym gruncie, zasłoniłam twarz, żeby widać mi było tylko oczy. Odsunęłam zardzewiały rygiel, odetchnęłam głęboko i wyszłam.

W zaułku nie było nikogo. Pusto i głucho. Towarzystwa dotrzymywał mi tylko księżyc, kapryśnie chowający się za chmury. Ruszyłam powoli, trzymając się lewej strony, i wkrótce znalazłam się pod Puerte de La Luneta. Zatrzymałam się za rogiem, żeby zbadać teren. Z rozciągniętych nad ulicą drutów zwisały żółte lampki, zastępujące latarnie. Spojrzałam w prawo, potem w lewo i rozpoznałam niektóre z uspionych teraz, a tak gwarnych i rojnych za dnia, budynków. Hotel Victoria, apteka Zurita, bar Levante, gdzie często śpiewano flamenco, trafika

Galindo i skład solny. Teatr Narodowy, hinduski bazar, cztery czy pięć nieznanych mi z nazwy knajpek, sklep jubilerski Perła braci Cohen i piekarnia Złoty Kłos, gdzie codziennie kupowałyśmy chleb. Wszystko zamknięte na cztery spusty, ciche i martwe.

Zawróciłam w ulicę La Luneta, dostosowując tempo do ciężaru ładunku. Przeszłam kawałeczek i skręciłam do *mellah*.

Czytelny układ prostych, wąskich uliczek podział na mnie uspokajająco: wiedziałam, że nie można tu zabłądzić, bo dzielnica żydowska tworzyła regularny czworobok. W medynie też z początku wszystko było dobrze. Obeszłam znajome placyki Zoco del Pan i Zoco de la Carne. Po drodze nie minęłam żywej duszy, nawet żebraka proszącego o jałmużnę, nawet bezdomnego psa. Słysząc było tylko ciche szuranie moich bamboszy o kamienny bruk i szmer fontanny w oddali. Zauważyłam, że moje ciało z wolna zaczyna się przyzwyczajać do nowych rozmiarów i mimo ciężaru pistoletów szło mi się coraz łatwiej. Od czasu do czasu sprawdzałam, czy dobrze się trzymają; macałam się po żebrach, po ramionach, po biodrach. Wciąż byłam czujna, ale napięcie trochę opadło, więc w miarę spokojnie krążyłam po ciemnych, krętych uliczkach, wśród bielonych wapnem ścian i drewnianych drzwi, nabijanych grubymi ćwiekami.

Żeby zająć czymś myśli, próbowałam sobie wyobrazić wnętrza tych arabskich domów: ożywczy chłód, patia i fontanny, piękne mozaiki i posadzki z *azulejos*, rzeźbione belki sufitów i skąpane w słońcu azotee<sup>12</sup>. Trudno się tego domyślić, patrząc z ulicy na białe, ślepe ściany. Z takimi myślami

błąkałam się tu i tam, dopóki nie doszłam do wniosku, że już dość się nachodziłam. Pewna, że nie wzbudziłam niczych podejrzeń, postanowiłam zawrócić do Puerta de La Luneta. I wówczas, w głębi zaułka, dostrzegłam nagle dwie sylwetki zmierzające w moją stronę. Dwaj żołnierze – dwaj oficerowie w bryczesach, przewiązani szarfami, w czerwonych czapkach wojsk interwencyjnych; dwie pary nóg kroczących zamasyście, stukających podkutymi buciorami. Rozmawiali ze sobą po cichu, wyraźnie czymś zirytowani. Wstrzymałam oddech, a przed oczami przelatywały mi, niczym kule plutonu egzekucyjnego, przerażające wizje. Pomyślałam, że za chwilę wszystkie pistolety wypadną z hukiem na bruk, wyobraziłam sobie, jak jeden z oficerów zdiera mi z twarzy zasłonę, jak zaczepiają mnie, a ja odzywam się do nich po hiszpańsku i odkrywają, że nie jestem Mauretanką, lecz przemytniczką, która nielegalnie handluje bronią.

Przeszli obok mnie. Przykleiłam się do ściany, ale zaułek był tak ciasny, że niemal się o nich otarłam. Nie zwrócili na mnie najmniejszej uwagi. Zignorowali moją obecność, jakbym była niewidzialna, i poszli dalej, pogrążeni w ożywionej dyskusji. Rozmawiali o oddziałach i amunicji. Nic z tego nie rozumiałam i nie chciałam rozumieć. Dwustu, najwyżej dwustu pięćdziesięciu, powiedział jeden, kiedy mnie mijali. Nie, słyszysz przecież, nie i jeszcze raz nie, upierał się drugi. Nie widziałam ich twarzy, nie śmiałam podnieść oczu, ale gdy tylko usłyszałam, że stukot butów cichnie w oddali, przyspieszyłam kroku i odetchnęłam z ulgą.

Już w kilka chwil później zdałam sobie jednak sprawę, że za wcześnie odtrąbiłam zwycięstwo – rozejrzałam się dokoła i stwierdziłam, że nie wiem, gdzie jestem. Żeby nie zabłądzić, powinnam była już dawno skrócić w prawo, ale na widok żołnierzy zupełnie straciłam głowę. Na myśl, że się zgubiłam, przeszył mnie zimny dreszcz. Byłam w medynie wiele razy, ale za dnia. W nocy, wyludniona i cicha, stała się dla mnie miejscem nieznanym i pełnym tajemnic.

Postanowiłam zawrócić i odtworzyć przebytą drogę, ale nie potrafiłam. Kiedy myślałam, że za chwilę wyjdę na znajomy plac, natknęłam się na kamienny łuk; kiedy spodziewałam się przejścia w murze, wyrastała przede mną ściana meczetu albo schody. Miotalam się bezradnie po krętych uliczkach, próbując sobie przypomnieć, czy kiedyś już tam byłam, ale czułam się coraz bardziej zagubiona w gmatwaninie zaułków. Rzemieślnicy i kupcy spali snem sprawiedliwych, sklepiki i kramy świeciły pustkami, a ja nie miałam pojęcia, czy jestem na ulicy garncarzy i blacharzy, czy może już przy warsztatach tkaczy, przedzarzy i krawców. Tam, gdzie za dnia piętrzyły się góry ciastek i złociste bochny chleba, gdzie pod pękami wonnej bazylii stały worki pełne przypraw, zastałam jedynie zaryglowane drzwi i zatrzaśnięte okiennice. Miałam wrażenie, że czas zatrzymał się na zawsze i już nie usłyszę pokrzykiwania przekupniów i porykiwania osłów, nie zobaczę Rifenek siedzących na ziemi wśród warzyw i pomarańczy, których być może już nigdy mi nie sprzedadzą. Moje zdenerwowanie rosło; nie miałam pojęcia, która jest godzina, ale wiedziałam, że szósta zbliża się nieuchronnie. Przyspieszyłam kroku, wyszłam z

jakiejś uliczki, weszłam w inną, potem w następną i jeszcze następną; zawróciłam, zmieniłam kierunek. Nic. Medyna przemieniła się w diabelski labirynt, z którego nie mogłam znaleźć wyjścia.

Otumaniona, skołowana, znalazłam się przed domem z latarnią nad drzwiami. Z wnętrza dobiegały śmiechy, wrzawa, chór nieskładnych głosów, śpiewających *Mi jaca* do wtóru rozstrojonego pianina. Zdecydowałam się podejść bliżej w nadziei, że znajdę jakąś wskazówkę, która pozwoli mi odzyskać orientację. Wtem z lokalu wybiegła jakaś para mówiąca do siebie po hiszpańsku: wyglądający na pijanego mężczyzna i nie pierwszej młodości kobieta ufarbowana na blond, która śmiała się na cały głos. Zrozumiałam wówczas, że stoję pod burdelem, ale było już za późno, żeby udawać starą Mauretanekę. Byli o kilka kroków ode mnie. Ej, czarnulko, chodź do mnie, ślicznotko, coś ci pokażę, popatrz tutaj, skarbie, popatrz, bełkotał zaśliniony pijak, jedną rękę wyciągając do mnie, a drugą sięgając do rozporka. Rozchichotana kobieta próbowała go powstrzymać. Odskoczyłam do tyłu i pobiegłam na oślep, ściskając w garści haik.

Za mną został dom publiczny, pełen przeznaczonych na mięso armatnie żołnierzy, grających w durnia, ryczących na całe gardło piosenki, w amoku obmacujących kobiety, aby zapomnieć o tym, że może już jutro po drugiej stronie Cieśniny staną oko w oko z wojenną makabrą. I wówczas, kiedy uciekałam, gubiąc bambosze, byle dalej od tej jaskini rozpusty, Opatrzność wreszcie zlitowała się nade mną i ujrzałam przed sobą Zoco el Foki.

Z ulgą stwierdziłam, że znowu wiem, gdzie jestem. Już wiedziałam, jak się wydostać z tej klatki, którą stała się dla mnie medyna. Czas biegł nieubłaganie i ja także musiałam się pospieszyć. Sadząc tak długimi susami, na jakie tylko pozwalał mój pancerz, w parę minut dotarłam do Puerta de La Luneta. Ku niemiłemu zaskoczeniu natknęłam się tam na jeden z owych posterunków kontrolnych, przez które ludzie z Larache nie mogli się dostać do Tetuanu: kilku żołnierzy, barierki i dwa samochody. Dość, żeby odstraszyć każdego, kto chciałby wejść do miasta w nieczystych zamiarach. Poczułam, że zasycha mi w gardle, ale wiedziałam, że nie mogę zawrócić ani przystanąć, ruszyłam więc przed siebie, patrząc w ziemię i z lekka powłócząc nogami, jak radziła Candelaria. W skroniach mi łomotało; wstrzymałam oddech, przekonana, że za chwilę mnie zatrzymają i zapytają, dokąd idę, kim jestem, co chowam pod haikiem. Na szczęście ledwo spojrzeli w moją stronę. Zignorowali mnie jak tamci dwaj oficerowie, spotkani w zaułku medyny. Jakim zagrożeniem dla chlubnego żołnierskiego zrywu mogła być zmęczona Marokanka, krążąca niby cień po zaułkach świtu?

Kiedy wyszłam na wolną przestrzeń, stwierdziłam, że muszę wziąć się w garść. Z udawanym spokojem szłam przez ogrody pełne uśpionych cieni, tak dziwne w swoim niemyim bezruchu, bez rozdokazywanych dzieci, zakochanych par i staruszków przesiadujących przy fontannach w cieniu palm. Z każdym krokiem budynek dworca coraz wyraźniej ukazywał się moim oczom. W porównaniu z niską zabudową medyny wydawał się wspaniałym, choć niepokojącym, zamczystym gmachem, na

wpół mauretańskim, na wpół andaluzyjskim, z narożnymi wieżyczkami, zielenią *azulejos* i szerokimi łukami bram. W przyćmionym świetle licznych latarni jego sylwetka odcinała się jasną plamą na tle ciemnego masywu Gorgesu – owych skalistych, wyniosłych gór, przez które zapewne musieli się przeprawić ludzie z Larache. Z bliska widziałam dworzec tylko raz, kiedy przejeżdżałam tędy z komisarzem, w drodze do pensjonatu Candelarii. Potem często patrzyłam na niego z daleka, toteż trudno mi było ocenić jego rozmach. Kiedy więc stanęłam przed nim tamtej nocy, ogrom owej budowli tak mnie przytłoczył, że zatęskniłam do przytulnej ciasnoty uliczek medyny.

Lecz w owej chwili nie mogłam pozwolić, żeby znowu sparaliżował mnie strach. Zebrałam się na odwagę i śmiało przeszłam na drugą stronę szosy, po której o tej porze nie pędził nawet kurz. Dodawałam sobie otuchy, powtarzając w myślach, że czas działa teraz na moją korzyść, że blisko już do szczęśliwego końca, że wkrótce uwolnię się od ciasnych bandaży, pistoletów, które siniaczyły mi ciało, i od tych dziwacznych łańców. Jeszcze trochę, jeszcze tylko trochę.

Wkroczyłam przez główną bramę otwartą na oścież. Oczy poraził mi zimny blask oświetlający pusty dworzec, aż nierealny w porównaniu z ciemnością nocy, z której przed chwilą wyszłam. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam, był wielki zegar pokazujący kwadrans na szóstą. Odetchnęłam pod płachtą, która zakrywała mi twarz: myślałam, że spóźniłam się bardziej. Ostentacyjnie, powoli przeszłam przez halę, obrzucając wewnątrz szybkim, baczny spojrzeniem spod



nasuniętej na oczy chusty. Kasy były zamknięte, a na ławce drzemał samotny muzułmanin z tobołkiem pod nogami. W głębi dostrzegłam dwoje szerokich drzwi wiodących na peron, a po lewej trzecie, które, jak głosił wypisany wielkimi literami szyld, prowadziły do bufetu. Rozejrzałam się za tablicą z rozkładem jazdy. Wisiała po przeciwnej stronie. Nie udawałam nawet, że chcę sprawdzić godzinę odjazdu pociągu; usiadłam na ławce i czekałam. Ledwie oparłam się o twarde drewniane siedzisko, w całym ciele odczułam nieopisaną ulgę. Nie zdawałam sobie dotąd sprawy, jak bardzo jestem zmęczona dźwiganiem złowrogiego ładunku, który przyłgnał do mnie niby druga – ołowiana – skóra.

Mimo że kiedy tak tkwiłam nieruchomo pod ścianą, w budynku nikt się nie pojawił, do moich uszu docierały rozmaite dźwięki świadczące, iż nie jestem na dworcu sama. Niektóre dobiegały z zewnątrz, z peronu. Kroki i strzępy rozmów, czasami cichych, czasami głośniejszych. Były to młode męskie głosy. Przypuszczałam, że należą do żołnierzy, którzy strzegli stacji, i starałam się nie myśleć o tym, że pewnie mieli rozkaz strzelania do każdego, kto wzbudzi w nich podejrzenia. Z bufetu również dochodził stłumiony szmer. Ucieszyłam się, bo przynajmniej wiedziałam, że kantyniarz tam jest i obsługuje gości. Wpatrzona we wskazówki zegara, odsiedziałam dziesięć minut, które płynęły beznadziejnie wolno; na oczekanie dwudziestu nie miałam czasu. Za pięć szósta zebrałam siły, wstałam ociężale i ruszyłam na spotkanie losu.

Bufet był przestronny, przynajmniej na dwanaście stolików, wszystkie wolne oprócz jednego, przy którym jakiś człowiek

drzemał z głową wspartą na rękach; obok stał pusty dzban na wino. Szurając bamboszami, podeszłam do lady. Nie miałam najmniejszego pojęcia, co powinnam powiedzieć ani co usłyszę. Za barem czarnowłosa, chudy mężczyzna z petem w zębach ustawiał talerze i tace w równe sterty, pozornie nie zwracając uwagi na kobietę o zakrytej twarzy, drepczącą w jego stronę. Kiedy stanęłam przed nim, powiedział głośno i wyraźnie, nie wyjmując papierosa: o wpół do ósmej, przed wpół do ósmej pociąg nie odjedzie. A potem, ciszej, dodał kilka niezrozumiałych słów po arabsku. Jestem Hiszpanką, nie rozumiem, szepnęłam z za zasłony. Otworzył usta, nie mogąc ukryć zdumienia, a niedopałek upadł na podłogę. Opanował się błyskawicznie i krótko przekazał mi wiadomość: w ubikacji na peronie, proszę zamknąć drzwi na haczyk, czekają na panią.

Powoli ruszyłam z powrotem do hali i znów wyszłam w nocną ciemność. Przedtem poprawiłam na sobie haik i podniosłam zasłonę tak, że niemal ocierała się o rzęsy. Szeroki peron wydawał się pusty; tuż za nim wznosił się skalny masyw Gorgesu, olbrzymi i mroczny. Żołnierze – czterech – stali razem, paląc i rozmawiając, pod arkadą zadaszienia. Wzdrygnęli się na mój widok, jakby ujrzeli widmo. Widziałam, jak sztywnieją, jak się prostują, usłyszałam trzask obcasów i szczęk karabinów.

– Stój, ty tam! – krzyknął jeden.

Skurczyłam się pod haikiem, a pistolety uwierały mnie coraz bardziej.

– Zostaw ją, Churruca, przecież to Mauretanka – powiedział drugi.

Znieruchomiałam, czując, że nie jestem w stanie zrobić kroku. Ani w tył, ani w przód. Nie podeszli bliżej; zostali tam, gdzie byli, jakieś dwadzieścia, może trzydzieści metrów ode mnie.

– Mi tam za jedno, Arabka czy chrześcijanka. Sierżant kazał legitymować wszystkich.

– Ależ ty, kurwa, jesteś tępy, Churruca. Pieprzyć muzułmanów. Ile razy ci trzeba powtarzać, że obchodzą nas tylko Hiszpanie, głuchy jesteś, czy co?

– Głuchy to sam jesteś. Pani tu pozwoli, dokumenty proszę.

Czułam, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa, bałam się, że za chwilę zemdleję. Pomyślałam, że to już naprawdę koniec. Wstrzymałam oddech, całe ciało miałam zlane zimnym potem.

– Bałwan – odezwał się za jego plecami inny żołnierz. – Patrzcie go, nie wie nawet, że tutejsze kobiety nie noszą przy sobie dowodów osobistych! Kiedy wreszcie zrozumiesz, że to jest Afryka, a nie rynek w twojej wsi?

Za późno. Służbisty żołnierz był już o dwa kroki ode mnie, czekając z wyciągniętą ręką na dokumenty i pilnie wpatrując się w moją zasłoniętą twarz. Spuściwszy oczy, wbiłam wzrok w jego ubłocone buciory, swoje stare bambosze i dzielące nas pół metra peronu.

– Jak sierżant się dowie, że napastowałaś niewinną Marokankę, wyśle cię do Alcazaby i posiedzisz sobie, chłopie, ze trzy dni w kozie.

W obliczu tej ponurej perspektywy Churruca wreszcie nabrał rozumu. Nie widziałam twarzy mojego wybawcy, bo wciąż patrzyłam w ziemię. Ale groźba aresztu odniosła skutek i

nadgorliwy, acz nierozgarnięty żołnierz, przemyślawszy sprawę przez kilka strasznych chwil, cofnął rękę i odszedł.

Pobłogosławiłam w duchu rozsądek jego kolegi, a kiedy wszyscy czterej wrócili pod arkadę, odwróciłam się i podjęłam swoją bezcelową wędrówkę. Przechadzałam się powoli po peronie, próbując odzyskać spokój. Ochłonawszy nieco, mogłam się wreszcie skupić na szukaniu toalety. Rozejrzałam się dyskretnie dookoła: zauważyłam dwóch Arabów drzemiących pod ścianą i wychudzonego psa, który przebiegał przez tory. Ubikacja znajdowała się, na szczęście, prawie na samym końcu peronu, daleko od miejsca, w którym stali żołnierze. Wstrzymując oddech, pchnęłam drzwi z ziarnistego szkła i weszłam do ciasnego korytarzyka. Wewnątrz było ciemno, ale nie chciałam zapalać światła. Odczekałam chwilę, żeby przyzwyczać wzrok. Po lewej dostrzegłam wejście oznaczone trójkącikiem, po prawej – kółkiem. A w głębi, pod ścianą, coś, co przypominało spory kłęb porzuconych szmat, który poruszył się ostrożnie i ze zwojów materiału powoli wysunęła się zakapturzona głowa. Nasze spojrzenia skrzyżowały się w półmroku.

– Ma pani towar? – usłyszałam głos mówiący po hiszpańsku, pospieszny, przyciszony.

Kiwnęłam głową i niewyraźny kształt wyprostował się bezszelestnie, przeobrażając się w postać mężczyzny ubranego, podobnie jak ja, w marokańską szatę.

– Gdzie jest?

Zsunęłam z twarzy zasłonę, która przeszkadzała mi w rozmowie, rozchyliłam haik i pokazałam obandażowane ciało.

– Tutaj.

– Boże! – szepnął tylko.

W tym jednym słowie zawarł nieskończoną gamę odczuć: zdumienie, niepokój, niecierpliwość... Głos miał niski, głęboki, a wyrażał się jak człowiek wykształcony.

– Potrafi pani sama to z siebie zdjąć? – zapytał.

– To zajmie trochę czasu – bąknęłam niepewnie.

Gestem zaprosił mnie do damskiej toalety. W środku było ciasno, przez wąskie okienko sączyła się poświata blednącego już księżyca, na tyle jasna, że nie musieliśmy zapalać światła.

– Trzeba się spieszyć, nie możemy stracić ani minuty. Niedługo nadejdzie poranny patrol, przed odjazdem pociągu sprawdzą dokładnie cały dworzec. Muszę pani pomóc – oświadczył, zamykając za sobą drzwi.

Zrzuciłam haik na podłogę i rozkrzyżowałam ramiona, żeby nieznajomy mógł dokładnie przeszukać moje ciało, rozplątać węzły i uwolnić mnie od złowieszczonego pancerza.

Zanim zaczął, odkrył głowę i ujrzałam poważną twarz Hiszpana w średnim wieku, o regularnych rysach, z ciemną smugą kilkudniowego zarostu. Miał kędzierzawe, kasztanowe włosy, potargane i zmierzwiłone pod kapturem dżelaby, której zapewne nie zdejmował od wielu godzin. Jego palce przystąpiły do pracy, ale zadanie okazało się dość żmudne. Candelaria spisała się na medal – żaden z pistoletów nie przesunął się ani odrobinę – ale supły były tak ciasne, a wstęgi płótna tak długie, że wszystko trwało dłużej, niżbyśmy tego chcieli. Sytuacja była krępująca. Nas dwoje, białe kafelki na ścianach, turecki sedes w

podłodze i cisza, którą przerywały tylko nasze urywane oddechy i rzucone półgłosem słowa: ten, tamten, teraz tutaj, proszę się trochę przesunąć, świetnie, niech pani podniesie rękę, ostrożnie. Mimo pośpiechu człowiek z Larache obchodził się ze mną bardzo delikatnie, niemal wstydliwie, unikając w miarę możliwości intymnych miejsc i dotykania nagiej skóry, jeśli nie było to konieczne. Tak jakby się bał pobrudzić ją rękami, jakby rozwijał mnie z wykwintnej bibułki, a nie z podartych prześcieradeł, pod którymi kryły się śmiercionośne narzędzia. Wcale nie czułam się zmieszana tą przymusową poufałością: ani jego nieumyślnymi pieszczotami, ani fizyczną bliskością naszych ciał. Były to niewątpliwie najprzyjemniejsze chwile tamtej nocy – nie dlatego, że po raz pierwszy od wielu miesięcy dotykał mnie mężczyzna, ale ponieważ sądziłam, iż wreszcie zbliża się początek końca.

Szło nam bardzo sprawnie. Pistolety, jeden po drugim, opuszczały swoje kryjówki i powiększały czarny stos na podłodze. Zostało już niewiele, trzy albo cztery, nie więcej. Obliczyłam, że za jakieś pięć, najwyżej dziesięć minut będzie po wszystkim. I wówczas, niespodziewanie, spokój prysł. Zastygliśmy, wstrzymując oddech. Z zewnątrz dobiegły nas odgłosy, na szczęście jeszcze dalekie, świadczące o tym, że na stacji zaczął się ruch.

Nieznajomy westchnął ciężko i spojrział na zegarek.

– Już przyszedł poranny patrol, trochę za wcześnie – oznajmił.

W jego z lekka drżącym głosem usłyszałam strach, napięcie i chęć ukrycia tych uczuć przede mną.

– Co zrobimy? – szepnęłam.

– Wychodzimy natychmiast – odparł bez namysłu. – Proszę się ubrać. Szybko.

– A reszta pistoletów?

– Trudno. Musimy uciekać. Za chwilę tu będą żołnierze.

Ręce mi się trzęsły, kiedy zakładałam haik, a nieznajomy tymczasem odwiązał od pasa brudny worek, do którego pospiesznie wrzucił pistolety.

– Jak stąd wyjdziemy? – zapytałam.

– Tędy – odrzekł, podnosząc głowę i wskazując podbródkiem okno. – Najpierw wyskoczy pani, potem wyrzucę broń. Ja wyjdę na końcu. I jeszcze jedno: gdybym pani nie dogonił, proszę zabrać worek, pobiec wzdłuż torów i zostawić pod pierwszą tablicą z nazwą stacji, później ktoś po to przyjdzie. Niech się pani nie ogląda za siebie i nie czeka na mnie, tylko biegnie i nie da się złapać. Do dzieła, proszę postawić stopę na moich rękach.

Spojrzałam na okno, wysokie i wąskie. Byłam pewna, że się nie przeciwimy, nic jednak nie powiedziałam. Przestraszona, potulnie spełniałam polecenia, ufając ślepo decyzjom nieznajomego masona, którego imienia nigdy nie miałam poznać.

– Niech pani chwilę poczeka – powiedział, jakby nagle sobie o czymś przypomniał.

Jednym szarpnięciem rozchylił koszulę i wyjął małą płócienną sakiewkę.

– Proszę to od razu schować, na wszelki wypadek; w środku są pieniądze za broń.

– Ale przecież zostało jeszcze kilka pistoletów... – wyjąkałam, macając się po haiku.

– Nieważne. Pani wywiązała się ze swojej części umowy, więc proszę wziąć zapłatę – odparł, wieszając mi woreczek na szyi. Nie oponowałam, bezwolna, bierna, jak pod działaniem hipnozy. – Chodźmy, czas ucieka.

Ocknęłam się wreszcie. Oparłam stopę na jego złożonych dłoniach, odbiłam się i uczepiłam framugi.

– Proszę otworzyć. Szybciej – popędzał mnie. – Niech się pani wychyli. Widać coś? Słyszać?

Okno wychodziło na ciemne, puste pole. Po drugiej stronie, poza zasięgiem mojego wzroku, panował ożywiony ruch. Słyszałam warkot silników, pisk opon na żwirze, ciężki tupot butów, trzaskanie obcasami, rozkazy wydawane władcym głosem. Krótko, gwałtownie, jakby jeszcze przed świtem miał nastąpić koniec świata.

– Pizarro i García, bufet. Ruiz i Albadalejo, kasy. Ty i ty, biuro. A wy dwaj, sprawdzić sanitariaty. Ruszać się, już was tu, kurwa, nie widzę!

– Nikogo nie widać, ale idą tu – powiedziałam z głową za oknem.

– Skacz! – rzucił półgłosem.

Nie skoczyłam. Bałam się stanąć na parapecie, wysokość mnie przerażała, podświadomie się przed tym wzbraniałam. Nie chciałam zostać sama, pragnęłam, żeby człowiek z Larache obiecał mi, że będzie przy mnie i poprowadzi za rękę tam, dokąd miałam pójść.



Wrzawę słycać było coraz bliżej. Chrząst żwiru pod butami, głośno powtarzane rozkazy. Quintero, do damskiej, Villarta, do męskiej. To już nie byli ci rozleniwieni rekruci, na których natknęłam się wcześniej, ale patrol wypoczętych, wyspanych żołnierzy, rwących się do działania, chociaż dzień dopiero się zaczynał.

– Skacz i biegnij! – powtórzył nieznajomy, chwycił mnie za nogi i niemal wyrzucił za okno.

Wyskoczyłam, upadłam, a za mną wyleciał worek z pistoletami. Ledwie dotknąwszy ziemi, usłyszałam trzask wyłamywanych kopniakami drzwi. Do moich uszu dobiegły ochryple wrzaski żołdaków pomstujących na człowieka, którego już nigdy więcej nie ujrzałam.

– Co robisz w damskim sraczu, śmierdzielu? Co wyrzuciłeś przez okno? Villarta, wyjdź i zobacz, co ten Arab tam wywalił. Szybko!

Zaczęłam biec. Na oślep, bez opamiętania. Okryta wciąż jeszcze gęstą czernią nocy, wlokłam za sobą worek pełen broni. Głucha i obojętna na wszystko, nie wiedziałam, czy mnie ścigają, nie myślałam o lufach karabinów wycelowanych w masona z Larache. Zgubiłam jeden bambosz, spod haiku wypadł mi obluźowany pistolet, ale nie było czasu na szukanie. Biegłam dalej w ciemności, wzdłuż torów, na wpół bosa, bez przestanku, bez zastanowienia. Przez pola, przez huerty, przez sitowie, przez jakieś ogródki. Potykałam się, wstawałam i dalej pędziłam bez tchu, nie licząc przebytej drogi, a ziemia umykała mi spod nóg. Wokół nie było żywej duszy, nic nie burzyło szalonego rytmu moich stóp. Wreszcie zamajaczyła przede mną

w półmroku tablica z jakimś napisem. Malalien. Dotarłam do celu.

Sto metrów dalej była stacja, oświetlona żółtawym blaskiem jedynej latarni. Zaprzestałam biegu. Rozejrzałam się szybko dookoła w nadziei, że zobaczę kogoś, komu będę mogła oddać broń. Serce mi waliło, w ustach miałam sucho od kurzu i węglowego miału. Dyszałam głośno, rozpaczliwie próbując uciszyć oddech. Nikt nie wyszedł mi na spotkanie. Nikt nie czekał na towar. Może przyjdą później, a może nigdy.

Podjęcie decyzji zajęło mi niespełna minutę. Położyłam worek pod tablicą i trochę spłaszczyłam, żeby za bardzo nie rzucał się w oczy. Potem padłam na kolana i drąc paznokciami ziemię, zaczęłam wyrywać kamienie, darń i zielsko. Kiedy był przysypany mniej więcej do połowy, uznałam, że już nie wygląda podejrzanie, i odeszłam.

Wciąż mocno zdyszana, wyruszyłam z powrotem ku majaczącym w oddali światłom Tetuanu. Pozbywszy się ciężkiego worka, postanowiłam zrzucić resztę balastu. Nie zaprzestając marszu, rozchyliłam haik i zaczęłam rozplątywać supły, co przyszło mi nie bez trudu. W końcu trzy ostatnie pistolety wypadły, jeden po drugim, na drogę. Kiedy dotarłam w pobliże miasta, moim jedynym bagażem było zmęczenie, smutek i rany na całym ciele. I wypchana banknotami sakiewka, dyndająca na szyi. Po broni ani śladu.

Skręciłam ku szosie na Ceutę i powlokłam się poboczem. Zgubiłam gdzieś drugi bambosz, upodabniając się teraz zupełnie do bosej, zakwefionej Mauretanki, wspinającej się mozolnie do Puerta de La Luneta. Nie musiałam już udawać

idącej z trudem staruszki, bo nogi same odmawiały mi posłuszeństwa. Byłam zdrętwiała, brudna, na stopach miałam pęcherze, na całym ciele sińce, a w kościach czułam dziwną słabość.

Rozwidniało się, kiedy weszłam do miasta. Z pobliskiego meczetu dobiegał głos muezina wzywającego wiernych na poranną modlitwę, a w koszarach Intendentury trębacz grał pobudkę. Z prasy drukarskiej schodził świeży nakład „La Gaceta de África”, a na ulicy La Luneta rozkładali, ziewając, swoje stołeczki pierwsi pucybuci. Cukiernik Menahem już rozpałił w piecu, a don Leandro w ciasno zawiązanym fartuchu rozkładał towar na półkach.

Wszystkie te codzienne scenki rejestrowałam mimo woli, jakby były mi całkowicie obojętne i obce. Wiedziałam, że Candelaria będzie uszczęśliwiona, kiedy jej oddam pieniądze, i uzna mnie za bohaterkę, która dokonała wiekopomnego czynu. Ja zaś nie czułam nic, co można by nazwać zadowoleniem. Przeciwnie, dręczył mnie jakiś mroczny niepokój i nieokreślony żal.

Kiedy biegłam jak szalona przed siebie, kiedy gołymi rękami rozkopywałam ziemię i przysypywałam nią worek, kiedy szłam poboczem szosy, przez cały czas, przez cały ten długi schyłek nocy, przed oczami przelatywały mi tysiące obrazów, niby filmowe sekwencje z udziałem jednego bohatera: człowieka z Larache. Raz żołnierze odkrywali, że podnieśli fałszywy alarm, że to tylko nierozgarnięty, zaspany Arab, który niczego nie wyrzucał za okno, i pozwalali mu odejść, gdyż wojsko otrzymało wyraźny rozkaz, żeby bez uzasadnionych podejrzeń

nie naprzykrzać się tubylcom. W innej, zupełnie odmiennej scenie żołnierz, otworzywszy kopniakiem drzwi, odkrywał natychmiast, że ma do czynienia z przebrany Hiszpanem, i trzymając go na muszce karabinu, wzywał posiłki; przesłuchiwali potem jeńca w ubikacji, być może zidentyfikowali go od razu, być może pojмали i zabrali do koszar, być może próbował uciec i zabili go strzałem w plecy, kiedy przebiegał przez tory. Pomiedzy wizjami wyobraźnia podsuwała mi niezliczone warianty tego samego epizodu, wiedziałam jednak, że nigdy nie poznamy prawdy.

Stałam przed bramą pensjonatu wyczerpana i pełna obaw. Nad mapą Maroka wstawał dzień.

## 12

Drzwi były otwarte, a pensjonariusze już zgromadzili się w jadalni wokół stołu, przy którym codziennie obrzucali się obelgami i przekleństwami. Siostry, jeszcze w szlafrokach i papilotach, płakały, głośno wycierając nosy. Don Anselmo próbował je pocieszać, ale mówił tak cicho, że nie mogłam dosłyszeć jego słów. Franuś i komiwojażer zbierali z podłogi rozbity obraz Ostatniej Wieczery z zamiarem powieszenia go na ścianie. Telegrafista, w spodniach od piżamy i podkoszulku, stał w kącie, zaciągając się nerwowo papierosem, podczas gdy pulchna wdowa studziła gorący napar z lipy, ostrożnie dmuchając w filiżankę. Wokół panował straszliwy bałagan, nic nie stało na swoim miejscu, na posadzce walało się szkło i skorupy rozbitych naczyń, oberwane zasłony smętnie zwisały z karniszy.

Wyglądało na to, że nikogo nie zdziwił widok Mauretanki wchodzącej do domu o tak wczesnej porze. Myśleli pewnie, że to Dżamila. Stałam przez chwilę, kontemplując całą scenę z bezpiecznego ukrycia pod haikiem, dopóki nie usłyszałam, że ktoś psyka na mnie z przedpokoju. Obejrzałam się i zobaczyłam Candelarię, która jak opętana wymachiwała rękami, dzierżącymi śmietniczkę i miotłę.

– Chodź tu, dziecinko – szeptała niecierpliwie. – Chodź, opowiadaj, jak ci poszło, bo ja już głowę tracę z niepokoju.

Najbardziej drastyczne momenty postanowiłam zachować dla siebie, a jej przedstawić jedynie ostateczny rezultat: pistoletów już nie mam, ale mam pieniądze. Przecież to właśnie chciała usłyszeć i tylko tyle zamierzałam jej powiedzieć.

Zdjęłam chustę i oznajmiłam:

– Udało się.

– Ach, serce ty moje, pójdźże, niech cię uściskam! Moja Sira jest warta więcej niż całe złoto Peru! Święto mamy dzisiaj, córciu! Dzięki Ci, Panie! – wykrzyknęła radośnie.

Rzuciła miotłę na podłogę, przygarnęła mnie do piersi i głośno ucałowała w oba policzki.

– Ciszej, na Boga. Ciszej, bo nas usłyszą – powiedziałam, wciąż jeszcze wystraszona.

Nie posłuchała mnie i dla odmiany zaczęła przeklinać policjanta, który tej samej nocy wywrócił jej dom do góry nogami.

– A niech sobie słyszą, mnie już wszystko jedno! Niech cię jasny piorun strzeli, Palomares, ciebie i całe twoje potomstwo! Niech cię piorun strzeli, już mnie nie złapiesz!

W przewidywaniu, że na tym się nie skończy, chwyciłam Candelarię pod ramię i pomstującą na czym świat stoi wciągnęłam do mojego pokoju.

– A żeby cię nożem dźgnęli, skurwysynu! Pierdol się, Palomares! Poprzewracałeś wszystkie meble, wybebeszyłeś materace i co? Nic nie znalazłeś!

– Dosyć, Candelario, dosyć już – mitygowałam. – Niech pani zapomni o Palomaresie, uspokoi się i pozwoli mi opowiedzieć, jak było.

– Dobrze, córciu, mów. Mów wszyściutko – odparła. Widać było, że z trudem nad sobą panuje. Oddychała ciężko, szlafrok miała źle zapięty, a spod siatki na głowie wystawały potargane kosmyki. Wyglądała okropnie, lecz mimo to tryskała entuzjazmem. – Ale chodzi o to, że przylazł tu, głupek, o piątej rano i wszystkich wypędził na ulicę, łajdak przeklęty...

Chodzi o to... chodzi o to, że... No dobrze, zapomnijmy o tym. Było, minęło. Mów, skarbie, wszystko po kolei.

Wyjmując sakiewkę, którą człowiek z Larache zawiesił mi na szyi, opowiedziałam w skrócie o moich przygodach. Nie wspomniałam o ucieczce przez okno ani o żołnierzach, ani o pistoletach porzuconych pod tablicą na samotnej stacyjce w Malalien. Nie wdając się w szczegóły, wręczyłam Candelarii pieniądze, a potem zdjęłam haik i koszulę, którą miałam pod spodem.

– Niech cię diabli, Palomares! – krzyknęła, śmiejąc się na cały głos i rozrzucając w powietrzu banknoty. – Zdechniesz w piekle! Nie wsadzisz mnie...

Umilkła w pół słowa, ale nie dlatego, że nagle odzyskała rozsądek. Na widok tego, co zobaczyła, straciła ochotę do śmiechu.

– Dziecko moje, cała jesteś zmasakrowana! Wyglądasz jak z krzyża zdjęta! – Załamała ręce, patrząc na moje obnażone ciało.

– Bardzo cię boli, córciu?

– Trochę – mruknęłam, padając na łóżko.

Kłamałam. Bolało mnie wszystko, nawet dusza.

– I brudna jesteś, jakbyś się wytarzała w śmietniku – dodała, już całkiem opanowana. – Zaraz zagrzeję kilka garnków wody i przygotuję ci gorącą kąpiel. Potem opatrzę ci rany gojącą maścią, a później...

Tego już nie usłyszałam. Zanim zdążyła dokończyć, zasnęłam.

## 13

Kiedy w domu wszystko wróciło do normalnego stanu, Candelaria ruszyła na poszukiwanie lokalu dla mojej firmy.

Nowa hiszpańska dzielnica w Tetuanie, tak odmienna od mauretańskiej medyny, została zbudowana wedle wzorów europejskich na potrzeby administracji Protektoratu. Mieściły się tam urzędy cywilne i wojskowe, siedziby firm oraz mieszkania dla licznie napływającej z Półwyspu ludności, która coraz chętniej osiedlała się w Maroku na stałe. Nowe gmachy o białych fasadach i ozdobnych balkonach, łączące nowoczesność i mauretańską tradycję, szerokie ulice i obszerne place tworzyły przestrzeń pełną harmonii, w której przyjemnie się żyło elegancko uczesanyom kobietom i mężczyznom w kapeluszach,

żołnierzom w mundurach, ładnie ubranym dzieciom i spacerującym pod rękę narzeczonym. Były tam trolejbusy, samochody, cukiernie, czyściutkie kawiarenki i luksusowe towary w sklepach. Był spokój i porządek, jakże odmienny od gwaru i woni zatłoczonych suków medyny, owej enklawy przeszłości, otoczonej murem z siedmioma bramami. Granicę tych dwóch światów: hiszpańskiego i arabskiego, wyznaczała La Luneta, ulica, którą wkrótce miałam opuścić.

Kiedy Candelaria znajdzie lokal odpowiedni na salon krawiecki, moje życie znów stanie na zakręcie, a ja po raz kolejny będę się musiała przystosować. Świadoma, że prędzej czy później musi to nastąpić, postanowiłam się zmienić, odnowić, uwolnić od balastu minionych dni i zacząć od zera. Zaledwie kilka miesięcy temu zatrzasnęłam drzwi za dawną Sirą; ze skromnej modniareczki przeobraziłam się w zupełnie inną kobietę, a raczej wiele innych kobiet: początkującą kandydatkę na urzędniczkę, dziedziczkę fortuny bogatego przemysłowca, wędrowną kochankę pewnego łajdaka, naiwną aspirantkę na szefową argentyńskiej firmy, niespełnioną matkę nienarodzonego dziecka, rzekomą oszustkę, zadłużoną po uszy i podejrzaną o kradzież, oraz przygodną handlarke broni, przebraną za Mauretankę. Teraz, w jeszcze krótszym czasie, musiałam zyskać nową osobowość, ponieważ żadne z poprzednich wcieleń już na nic nie mogło mi się przydać. Mój stary świat nękała wojna, a miłość ulotniła się razem z majątkiem i złudzeniami. Dziecko, zanim zdążyło przyjść na świat, rozplynęło się w kałuży krwi na przystanku autobusu, moja kartoteka krążyła po komisariatach dwóch państw i



trzech miast, a mały arsenał pistoletów, który z narażeniem życia przeniosłam pod koszulą, byż może stał się już narzędziem zbrodni. Postanowiłam pozbyć się owego żalosego bagażu i stawić czoło przyszłości, a wszystkie obawy, niedole i ów bolesny cierń, który wciąż tkwił w moim sercu, ukryć pod maską odwagi i pewności siebie.

Przemianę zaczęłam od zewnątrz, chcąc zyskać wygląd kobiety światowej i niezależnej, w nadziei, że za tą fasadą nikt nie dostrzeże brudnego pochodzenia pieniędzy, za które miałam otworzyć firmę, ani tego, że jestem ofiarą krety. W tym celu należało upudrować i uszminkować przeszłość, szybko upozorować jakąś terażniejszość i zaplanować przyszłość, wspaniałą i równie nieprawdziwą. Czas naglił, więc czym prędzej przystąpiłam do dzieła. Ani jednej łzy więcej, dość narzekań. Dość tęsknego spoglądania za siebie. Liczy się tylko to, co teraz; liczy się tylko dzisiaj. Swoje nowe wcielenie wyciągnęłam z rękawa jak magik kolorowe chusteczki albo asa kier. Postanowiłam przeobrazić się w kobietę stanowczą, bystrą, solidną. Musiałam dołożyć starań, żeby moją ignorancję wzięto za błyskotliwość, a niezdecydowanie za nonszalancję; żeby zagłuszyć lęk energicznym stukaniem wysokich obcasów i ukryć nieśmiałość pod pozorami pewności siebie; żeby nikt nie wyczuł, z jakim wysiłkiem przezwycięzam gnębiący mnie wciąż smutek.

Pierwszym posunięciem była zmiana stylu. Wskutek nieustabilizowanego życia, jakie prowadziłam przez kilka ostatnich miesięcy, poronienia i długiej rekonwalescencji schudłam co najmniej siedem kilogramów. Zgryzota i pobyt w

szpitalu zniszczyły krągłość moich bioder i piersi oraz resztki tłuszczu w tali i na udach. Nie próbowałam odzyskać utraconych kształtów. Na początek postanowiłam polubić nową sylwetkę. Odtworzyłam z pamięci krój ubrań, jakie nosiły cudzoziemki w Tangerze, i postanowiłam przerobić swoją skromną garderobę. Miała być mniej konwencjonalna niż stroje moich rodaczek, odrobinę wyzywająca, ale w granicach przyzwoitości. Kolory jaskrawsze, tkaniny lżejsze i bardziej zwiewne. Guziki bluzek głębiej rozpięte, a spódnice trochę mniej długie. Przed pękniętym lustrem w pokoju Candelarii przećwiczyłam i przyswoiłam sobie pełen wdzięku ruch, z jakim zakładały nogę na nogę eleganckie damy sączące przez słomkę koktajle w kawiarnianych ogródkach, wytworny, lekki chód kobiet spacerujących po szerokich chodnikach bulwaru Pasteura i gesty wypielęgnowanych palców trzymających z gracją francuski magazyn mody, gin-fizz albo tureckiego papierosa w cygarnicze z ustnikiem z kości słoniowej.

Po raz pierwszy od ponad trzech miesięcy zwróciłam uwagę na swój wygląd i odkryłam, że pilnie potrzebuję renowacji. Jedna z sąsiadek podregulowała mi brwi, inna doprowadziła do porządku dłonie. Znów zaczęłam się malować; samo mycie twarzy już mi nie wystarczało. Wybrałam konturówkę do ust oraz szminkę, by dodać im pełności i wyrazu, cienie do powiek, róż na policzki, kredkę do oczu i tusz do rzęs. Poprosiłam Dżamilę, żeby mnie ostrzygła, wzorując się wiernie na zdjęciu w starym numerze „Vogue'a”, który znalazłam w walizce. Gęsta, czarna strzecha, sięgająca mi do połowy pleców, zlatywała w wystrzępionych kosmykach na kuchenną podłogę, jak podcięte

krucze skrzydła, póki nie zmieniła się w gładką, prostą fryzurę, zaczesaną na bok i niesfornie opadającą na prawe oko. Do diabła z ciepłą jak futro bujną grzywą, która tak urzekła Ramira. Trudno powiedzieć, czy wyglądałam korzystniej, ale czułam się lekka i swobodna. Odnowiona, oddalona o całe wieki od tamtych popołudni pod obracającym się miarowo wiatrakiem wentylatora w naszym pokoju w hotelu Continental; od nieskończonych godzin, kiedy leżałam z włosami spływającymi ciemną falą na białe prześcieradło, okryta tylko ciałem kochanka, splecionym z moim.

Pomysł Candelarii zmaterializował się już po kilku dniach. Najpierw wypatrzyła trzy nieruchomości, które można było wynająć od razu. Opisała mi szczegółowo każdą z nich, rozważyliśmy wspólnie wszystkie za i przeciw i w końcu podjęliśmy decyzję.

Pierwsza propozycja wydawała się z początku idealna: obszerny, nowoczesny lokal, dopiero co oddany do użytku, położony blisko poczty i Teatru Hiszpańskiego. „Jest tam, dziecinko, nawet ruchomy prysznic, ze słuchawką, taką samiuśką jak od telefonu, tylko że nikt z niej nie gada, a zamiast tego leci woda i możesz się polewać, gdzie chcesz”, mówiła szmuglerka, zadziwiona owymi cudami. Niestety, dom graniczył z pustą, zaśmieconą parcelą, na której koczowały wygłodniałe koty. Dzielnica rozrastała się szybko, ale niezabudowanych miejsc wciąż było sporo. Pomyślałyśmy, że takie sąsiedztwo nie wywrze korzystnego wrażenia na wytwornych klientkach, tak więc pomysł salonu krawieckiego z telefonicznym prysznicem został odrzucony.

Drugi lokal mieścił się przy głównej arterii Tetuanu, wówczas jeszcze noszącej nazwę Republiki, w pięknej kamienicy z wieżyczkami, niedaleko placu Mulaja-el-Mehdiego, niedługo potem przemianowanego na plac Prima de Rivera. Na pierwszy rzut oka spełniał wszystkie nasze oczekiwania: był przestronny, szycowny, usytuowany na rogu dwóch ruchliwych ulic, a co najważniejsze, nie przylegał do bezpańskich działek. Odstraszało nas jednak sąsiedztwo, gdyż w budynku obok rezydowała jedna z najlepszych krawcowych w mieście, niemłoda już i ciesząca się uznaną renomą. Po dłuższym zastanowieniu postanowiliśmy zrezygnować – lepiej nie narażać się konkurencji.

W tej sytuacji wybrałyśmy trzecią propozycję. Moim przyszłym miejscem pracy i mieszkaniem miał być wielki apartament przy ulicy Sidi Mandri, mieszczący się w budynku z fasadą ozdobioną *azulejos*, tuż obok Kasyna Hiszpańskiego, Pasażu Benarrocha i hotelu Nacional, blisko placu Hiszpańskiego, siedziby Wysokiego Komisariatu i pałacu kalifa ze strzegącą jego bram doborową gwardią w malowniczych turbanach i wspaniałych, bogato zdobionych pelerynach powiewających na wietrze.

Candelaria dobiła targu z hebrajczykiem Jakubem Benchimolem, który odtąd, w zamian za wypłacaną mu regularnie raz w miesiącu sumę trzystu siedemdziesięciu pięciu peset, z wielką dyskrecją pełnił obowiązki mojego administratora.

Trzy dni później ja, nowa Sira Quiroga, podszywająca się pod kogoś, kim nie byłam, ale kim w przyszłości mogłabym być,

weszłam w posiadanie lokalu i otworzyłam na oścież drzwi mojego nowego życia.

– Idź pierwsza, sama – powiedziała Candelaria, wręczając mi klucz. – Lepiej, żeby od tej pory nie widywano nas razem za często. Odczekam chwilkę i dopiero wtedy przyjdę.

Weszłam w uliczny tłum na La Luneta, ścigana spojrzeniami mężczyzn. Nie przypominałam sobie, żebym była obiektem takiego zainteresowania w ciągu ostatnich miesięcy, kiedy jako nieśmiała dziewczyna z włosami upiętymi w niedbały kok człapałam, noga za nogą, wlokąc za sobą przydługą sukienkę i bolesną przeszłość, o której chciałam zapomnieć. Teraz poruszałam się z udawaną swobodą, usiłując roztaczać wokół siebie aurę arogancji i savoir-faire, o jakie nikt by mnie nie podejrzewał jeszcze kilka tygodni temu.

Mimo iż starałam się nadać swoim krokom spokojny rytm, już po dziesięciu minutach stanęłam u celu. Nigdy przedtem nie zwróciłam uwagi na ów budynek, chociaż znajdował się zaledwie o kilka metrów od głównej ulicy hiszpańskiego osiedla. Od pierwszego rzutu oka stwierdziłam z zadowoleniem, że spełniał wszystkie moje oczekiwania: doskonała lokalizacja, eleganckie wejście, lekki powiew arabskiej egzotyki w ozdobionej *azulejos* fasadzie, europejska prostota w rozkładzie wnętrza. Drzwi frontowe i wspólny hol były świetnie wykończone i doskonale rozplanowane; piękna, ręcznie kuta poręcz pięła się wzdłuż schodów, zakręcając lekkim łukiem na podestach.

Brama była otwarta, jak wszystkie w tamtych czasach. Oczekiwałam, że powita mnie portierka, ale się nie pokazała.

Ruszyłam na górę, onieśmielona, niemal na palcach, próbując stłumić dźwięk własnych kroków. Chociaż wyglądałam teraz na osobę szykowną i pewną siebie, w środku pozostałam tą samą co dawniej, potulną, niewyrobioną dziewczyną, która woli, żeby nikt nie zwracał na nią uwagi. Nie spotkawszy nikogo po drodze, dotarłam na pierwsze piętro i zobaczyłam dwoje identycznych drzwi. Po lewej i po prawej, jedno i drugie zamknięte. Pierwsze prowadziły do mieszkania nieznanymi mi jeszcze sąsiadów, drugie do mojego apartamentu. Wyjęłam z torebki klucz, nerwowymi palcami wetknęłam go do zamka, przekręciłam. Pchnęłam ostrożnie, lecz jeszcze przez kilka sekund nie odważyłam się wejść; zajrzałam tylko przez szparę. Zobaczyłam przestronny hol, wysokie, nagie ściany i posadzkę w geometryczny deseń z białych i ciemnoczerwonych kafli. Skrawek korytarza w głębi. Na prawo wielki salon.

W ciągu tych wszystkich lat wiele było chwil, w których los niespodziewanie stawiał mnie na zakręcie, zmuszając, bym stawiała czoło czekającym za rogiem wyzwaniom, zanim nastąpi kolejny zwrot w moim życiu. Czasem byłam na to przygotowana; częściej nie. Nigdy jednak nie byłam tak świadoma, że oto rozpoczyna się jakiś zupełnie nowy cykl, jak w południe tego październikowego dnia, gdy wreszcie ośmieliłam się przejść przez próg, wsłuchana w echo własnych kroków dźwięczących w nieumeblowanym mieszkaniu. Za mną pozostała zawikłana przeszłość, a przede mną, niczym zapowiedź jutra, otwierała się wielka pusta przestrzeń, którą czas miał stopniowo wypełniać. Czym? Przedmiotami i uczuciami. Chwilami, wrażeniami i osobami. Życiem.

Przeszłam do salonu, pogrążonego w półmroku. Trzy balkony, zasłonięte okiennicami z malowanego na zielono drewna, broniły dostępu dziennemu światłu. Otworzyłam wszystkie, jedną po drugiej, i marokańska jesień wlała się strumieniem do wnętrza, nasycając cienie otuchą i dobrymi wróżbami.

Stałam tak kilka minut, smakując ciszę i samotność. Nie czułam pośpiechu, nie uczyniłam żadnego ruchu; tkwiłam w centrum owej próżni, oswajając się z moim nowym miejscem na ziemi. Odczekałam jakiś czas, dopóki nie uznałam, że pora ocknąć się z letargu; zebrałam siły i ruszyłam na rekonesans. Przyjąwszy zakład doñi Manueli za punkt odniesienia, obeszałam całe mieszkanie, dzieląc je w myślach na strefy. W salonie urządzę dużą recepcję: tu będę prezentować żurnale, projekty i rysunki, wybierać tkaniny i fasony oraz przyjmować zamówienia. W przyległym narożnym pokoju z wykuszem zrobię przymierzalnię. W połowie korytarza zawieszę kotarę, która oddzieli tę część od reszty mieszkania. Za nią znajdą się pomieszczenia przeznaczone do pracy: atelier, skład tkanin i dodatków, magazyn gotowych ubrań, szwalnia, prasownia. Trzecią część, na samym końcu, najciemniejszą i najmniej reprezentacyjną, zostawię dla siebie. Tam będzie egzystować moje prawdziwe ja: kobieta po przejściach, banitka mimo woli, zadłużona, ścigana pozwami, niepewna jutra; kobieta, której całym kapitałem była pusta do połowy walizka, a jedyną bliską osobą – samotna matka, walcząca o przetrwanie w dalekim mieście; kobieta, która wiedziała, że ceną jej samodzielności było kilkanaście pistoletów. To będzie moja kryjówka, moja prywatna przestrzeń. Przed nią, na zewnątrz – o ile szczęście

znowu się ode mnie nie odwróci – rozciągać się będzie terytorium dostępne dla wszystkich, dominium projektantki mody, która przybyła z hiszpańskiej stolicy, żeby otworzyć w Protektoracie salon, jakiego tu jeszcze nie widziano.

Wróciłam do przedpokoju i usłyszałam, że ktoś ostrożnie puka do drzwi. Otworzyłam natychmiast, wiedziałam kto to. Candelaria wpełzła do środka niczym wielka, tłusta gąsienica.

– I co, córciu? Jak ci się podoba? – spytała niespokojnie.

Wystroiła się na tę okazję: założyła uszyty moją ręką kostium i odziedziczone po mnie pantofle, o dwa numery za małe; na głowie miała koafiurę, będącą zapewne mistrzowskim dziełem niezawodnej kумы Remedios, a jej czarne oczy błyszczały z podniecenia pod krzykliwie wymalowanymi powiekami. Dla niej także był to wyjątkowy dzień, początek, z którym wiązała ogromne nadzieje. Stanęła do wielkiej gry i po raz pierwszy w swoim burzliwym życiu miała szansę rozbić bank. Być może ów nowy etap wynagrodzi jej głód, jaki cierpiała w dzieciństwie, baty, których nie szczędził jej mąż, i pogróżki policjantów, od lat straszących ją więzieniem. Przez trzy czwarte swojego życia z trudem wiązała koniec z końcem, kombinowała, jak mogła, oszukiwała, kręciła i uciekała do przodu, mocując się z losem; być może nadeszła pora, żeby się ustatkować i odpocząć.

Nie od razu odpowiedziałam na pytanie, jak mi się spodobał lokal; przedtem długo patrzyłam szmuglerce w oczy, myśląc o wszystkim, co dla mnie zrobiła, odkąd komisarz zostawił mnie pod jej drzwiami jak nieporęczną paczkę.

Spoglądałam na nią w milczeniu i nagle między nami przemknął cień mojej matki. Niewiele miały ze sobą wspólnego.



Dolores była uosobieniem umiaru i rozwagi; Candelaria to przy niej czysty dynamit. Różniło je wszystko: wygląd, zachowanie, kodeks moralny i sposób, w jaki stawiały czoło trudnościom, lecz po raz pierwszy dostrzegłam coś, co je łączyło. Obydwie należały do rodu kobiet dzielnych i niezłomnych, które torowały sobie drogę przez życie, korzystając z tego, co zsyłał im los. Dlatego wiedziałam, że musi mi się udać, i o to zamierzałam walczyć. Dla siebie i dla nich, dla każdej z nas.

– Bardzo mi się podoba – odrzekłam wreszcie i uśmiechnęłam się do niej. – To miejsce jest idealne, Candelario. Nic lepszego nie mogłabym sobie wymarzyć.

W odpowiedzi uśmiechnęła się również i pieścotliwie uszczypnęła mnie w policzek. W owym geście wyczułam wiele serdeczności i mądrość starą jak świat. Obydwie zdawałyśmy sobie sprawę z tego, że od tej pory wszystko się zmieni. Oczywiście, będziemy się dalej widywać, ale rzadko i dyskretnie. Skończy się mieszkanie pod jednym dachem i posiłki przy wspólnym stole w towarzystwie zwaśnionych pensjonariuszy; zbieranie naczyń po kolacji i szeptanie po ciemku w mojej nędznej klitce. Nasze drogi miały się rozejść, to prawda. Ale wiedziałyśmy, że aż po kres dni łączyć nas będzie coś, o czym nigdy nikomu nie powiemy.

## 14

Zanim minął tydzień, rozgościłam się w swoim nowym mieszkaniu. Ponaglana przez Candelarię, urządzałam wnętrza, zamawiałam meble i wyposażenie pracowni. Szmuglerka służyła mi pomysłami i banknotami, gotowa zedrzeć sobie z

grzbietu ostatnią koszulę, byle tylko ów – wciąż przecież niepewny – interes ruszył z miejsca.

– Mów, czego ci potrzeba, kochaneczko, sama musisz zdecydować, bo ja w całym moim zasranym życiu nigdy nie byłam w wielkim salonie krawieckim i nie mam pojęcia, co ci się może przydać. Gdyby nie ta cholerna wojna, mogłybyśmy pojechać razem do Tangeru i nakupić francuskich cudeniek w Le Palais du Mobilier, a przy okazji z pół tuzina majtek w Sultance, ale ponieważ nie możemy się ruszyć na krok z Tetuanu, a ja nie chcę, żeby ludzie za bardzo cię ze mną kojarzyli, to zrobimy tak: ty sporządzisz listę rzeczy, a już moja głowa w tym, żeby wszystko załatwić. Ma się te kontakty... Wal śmiało, dziecinko. Czego mam szukać i od czego zacząć?

– Najpierw salon. Musi być wizytówką firmy, sprawiać wrażenie elegancji i dobrego smaku – powiedziałam, przypominając sobie, jak wyglądał zakład doñi Manueli i wszystkie te domy, które poznałam, roznosząc zamówienia. A chociaż mieszkanie na Sidi Mantri, szykowne jak na Tetuan, było znacznie mniej reprezentacyjne niż okazałe madryckie rezydencje, wspomnienia z tamtych czasów mogły mi posłużyć za wzór.

– Co chcesz tam wstawić?

– Jakąś piękną sofę, cztery wygodne fotele, duży stół pośrodku i kilka mniejszych, podręcznych stolików. Trzeba zawiesić adamaszkowe zasłony i wielki żyrandol. To na razie wystarczy. Niewiele rzeczy, ale stylowych i w najlepszym gatunku.

– Nie wiem, jak to wszystko zdobędziemy, dziewczyno. W Tetuanie nie ma takich paradnych sklepów. Poczekaj, niechże chwilę pomyślę. Mam przyjaciela, który pracuje w transporcie, może przewiezie coś dla mnie na lewo... Dobra, nie martw się, jakoś to załatwię, a jeśli to i owo kupimy z drugiej albo trzeciej ręki, ale będzie w świetnym stanie, to chyba nie szkodzi, prawda? Dom nabierze charakteru i tradycji. No, co tam jeszcze, dziecinko?

– Żurnale. Doña Manuela miała ich na kopy. Jak się już trochę zniszczyły, dawała je nam, a ja zabierałam je do domu i mogłam oglądać godzinami.

– Z tym też nie będzie łatwo. Wiesz przecież, że zamknęli granice i prawie nic tu nie dochodzi. Znam jednak kogoś, kto ma przepustkę do Tangeru. Zapytam, może zrobi mi tę przysługę. Już widzę rachunek... Trudno, wszystko w ręku Boga.

– Mam nadzieję, że nam się poszczęści. Ale musimy mieć te z najwyższej półki. – Przypomniałam sobie nazwy magazynów, które kupowałam w Tangerze, kiedy Ramiro zaczął się ode mnie oddalać; w samotne noce pocieszałam się wtedy oglądaniem pięknych rysunków i zdjęć. – Amerykańskie „Harper's Bazaar”, „Vogue” i „Vanity Fair”, francuską „Madame Figaro”... Wszystkie, które uda się zdobyć.

– Idźmy dalej.

– Trzyczęściowe lustro do przymierzalni. I jeszcze dwa fotele. I tapicerowana ława do odkładania ubrań.

– Co jeszcze?

– Tkaniny. Kawałki długości kilkudziesięciu centymetrów, które posłużą jako próbki. Potem, jak się interes rozkręci, kupimy więcej.

– Najlepsze mają w La Caraqueña, bo o tych, które sprzedają Maurowie na bazarze, nawet nie ma co mówić, tandeta. Zobaczą też, co mi mogą skombinować Hindusi z La Luneta. Są bardzo obrotni, zawsze coś się u nich znajdzie na zapleczu. Mają kontakty po francuskiej stronie, można u nich dostać ciekawe rzeczy. Jeszcze coś?

– Maszyna do szycia, najlepiej Singera, amerykańska. Szyję głównie w rękę, ale na pewno się przyda. Porządne żelazko i deska do prasowania. Ze dwa manekiny. Resztę kupię sama, niech mi tylko pani powie, gdzie tu jest najlepsza pasmanteria.

I tak ustaliłyśmy podział pracy. Ja składałam zamówienia, a Candelaria, zawsze w cieniu, dokonywała cudów przemytniczej sztuki, żeby zdobyć wszystko, czego potrzebowałyśmy. Dostawy odbywały się czasami o najdziwniejszych porach. Bywało, że w środku nocy mężczyźni o oliwkowych twarzach wnosili do mnie tajemnicze pakunki, owinięte kocami. Kiedy indziej wszystko działo się w świetle dnia, na oczach przechodniów. W moim domu zjawiały się meble, przychodzili malarze i elektrycy; bez przerwy dostawałam jakieś paczki, narzędzia pracy i mnóstwo innych rzeczy. Starając się nie wychodzić z roli kobiety światowej, szykownej i wyzwolonej, nadzorowałam wszystko, stukając wysokimi obcasami. Z rezolutną miną, z wytuszowanymi rzęsami, poprawiając co chwila nową fryzurę, płaciłam od ręki za nieprzewidziane wydatki i dawałam się poznać sąsiadom. Kłaniali mi się uprzejmie, kiedy mijaliśmy się

w bramie albo na schodach. Na parterze był sklep z kapeluszami i trafika; na pierwszym piętrze, naprzeciwko mnie, mieszkała jakaś starsza pani w żałobie i niski, gruby młodzieniec w okularach, zapewne jej syn. Nad nami zaś – dwie rodziny z mnóstwem dzieci, które bez przerwy podglądały, co się u mnie dzieje, zaciekawione nową sąsiadką.

W kilka dni wszystko było gotowe; reszta zależała teraz od nas. Pamiętam, jakby to było dzisiaj, pierwszą noc, którą tam spędziłam, samotna i pełna lęku; spałam najwyżej minutę. Już nad ranem słyszałam krzątanie w sąsiednich mieszkaniach: płacz dziecka, nastawione radio, głośną kłótnię matki z synem vis-à-vis, szum wody i brzęk talerzy, które ktoś zmywał po późnej kolacji. W miarę jak się rozwidniało, cudze odgłosy milkły, a ich miejsce zajmowały moje własne zwidy: zdawało mi się, że meble coś za bardzo trzeszczą, w przedpokoju słychać czyjeś kroki, a po świeżo pomalowanych ścianach przemykają jakieś cienie. Nie czekałam nawet na pierwszy promień słońca. Wstałam, poszłam do salonu, otworzyłam okiennice i zaczęłam wypatrywać świtu. Z pobliskiego minaretu rozległo się wezwanie do *fayr*, porannej modlitwy. Na ulicach nie było jeszcze nikogo, a majestatyczne szczyty Gorgesu, wciąż otulone nocną mgłą, zaczynały wyłaniać się z cienia, wraz z pierwszym blaskiem dnia. Miasto leniwie, pomału budziło się ze snu. Pojawiły się mauretańskie służące, owinięte w haiki i chusty. Mężczyźni szli do pracy, a kobiety w czarnych woalkach spieszyły, po dwie, po trzy, na wczesną mszę. Nie zdążyłam już zobaczyć idących do szkoły dzieci; nie widziałam, jak otwierają się biura i sklepy, jak kuchty wychodzą po *churros*, a

gospodynie na targ po zakupy, które bosonodzy arabscy chłopcy przyniosą im potem w wielkich koszach zawieszonych na plecach. Odeszłam od okna i usiadłam na mojej nowiutkiej, lśniącej sofie obitej ciemnoczerwoną taftą. Po co? Żeby czekać, aż mój los wreszcie się odmieni.

Dżamila zjawiała się bardzo wcześnie. Uśmiechnęliśmy się do siebie z zakłopotaniem. To miał być jej pierwszy dzień u mnie. Candelaria przysłała mi ją, a ja z wdzięcznością przyjąłam ów gest: polubiłam tę dziewczynę jak siostrę, zyskując w niej wielkiego sprzymierzeńca. „Nie martw się, w dwie minuty znajdę sobie jakąś Fatimę. Ty weź Dżamilę, to dobre dziecko, we wszystkim ci pomoże”. I tak słodka Dżamila została ze mną, zachwycona, że zamiast harować w pensjonacie będzie miała nową pracę u swojej „panieńki”, a jej młode życie stanie się trochę lepsze.

Dżamila, owszem, przysłała, ale poza nią nikt się nie pokazał. Ani pierwszego, ani drugiego dnia, ani trzeciego. Trzy razy budziłam się przed świtem i szykowałam starannie: nienaganny strój, czyściutkie mieszkanie; eleganckie kobiety uśmiechające się z okładek luksusowych magazynów; w pracowni wszystko przygotowane, każda rzecz na swoim miejscu, co do milimetra, w oczekiwaniu, aż ktoś zechce skorzystać z moich usług. Najwyraźniej jednak nikogo to nie interesowało.

Czasami słyszałam jakiś ruch na schodach, rozmowy, odgłos kroków. Wtedy biegłam na palcach do drzwi i z nadzieją wyglądałam przez wizjer, ale do mnie nigdy nikt nie pukał. Z okiem przyklejonym do okrągłej dziurki patrzyłam na

rozdokazywane dzieci, wiecznie się spieszące matki i ojców w kapeluszach, na obładowane siatkami służące, posłańców, dozorczynię i jej bękartą, na kaszlącego listonosza i niezliczoną ilość anonimowych statystów. Lecz wśród nich nie było nikogo, kto chciałby zamówić garderobę w mojej pracowni.

Wahałam się, czy powinnam zawiadomić o tym swoją współpracowniczkę, czy nadal cierpliwie czekać. Wahałam się jeden dzień, drugi, trzeci, aż odechciało mi się liczyć. I w końcu podjęłam decyzję – pójdę do Candelarii i poproszę: niech użyje wszystkich kontaktów i wszelkich możliwych sposobów, żeby moje przyszłe klientki dowiedziały się, iż salon krawiecki już jest otwarty. Albo jej się uda, albo, jeśli tak dalej pójdzie, nasza firma upadnie, zanim zacznemy. Nie miałam jednak okazji jej tego powiedzieć, bo rankiem tego samego dnia dzwonek nareszcie zabrzączał.

– Guten Morgen. Jestem Frau Heinz, od niedawna mieszkam w Tetuanie i potrzebuję kilku ubrań.

Przyjęłam ją ubrana w kostium, który sobie niedawno uszyłam. Ołowiany błękit, spódnica tuba, wążutka jak ołówek, marynarka z wcięciem w talii, bez bluzki pod spodem, pierwszy guzik na wysokości, poniżej której dekolot trudno by nazwać przyzwoitym. Całość prezentowała się wyjątkowo sztywnie. Do tego tylko srebrny naszyjnik z wisiosem zrobionym ze staroświeckich nożyczek; nie nadawały się już do cięcia, ale kiedy szukając efektownej lampy, wypatrzyłam je w jakimś sklepiku ze starociami, od razu pomyślałam, że powinny stać się częścią mojego nowego wizerunku.

Witając się, nieznajoma ledwie spojrzała mi w oczy; całą swoją uwagę skupiła na otaksowaniu wnętrza, jakby chciała się upewnić, że odpowiada jej wymaganiom. Z obsłużeniem pierwszej klientki poszło mi nadspodziewanie łatwo: musiałam sobie jedynie wyobrazić, że jestem doñą Manuelą, która wcieliła się w atrakcyjną, kompetentną cudzoziemkę. Usiadłyśmy w salonie, ona w jednym fotelu, ja w drugim; ona przybrała zdecydowaną, nieco męską pozę, ja wręcz po mistrzowsku założyłam nogę na nogę ruchem, który przećwiczyłam chyba tysiąc razy. Łamanym językiem wyjaśniła, czego sobie życzy. Dwa kostiumy, dwie suknie wieczorowe. I strój do tenisa.

– Żaden problem – skłamałam.

Nie miałam bladego pojęcia, jak, u diabła, może wyglądać coś takiego, ale nie przyznałabym się do tego nawet przed plutonem egzekucyjnym. Przejrzałyśmy żurnale i uzgodniłyśmy fasony. Na suknie wieczorowe wybrała modele dwóch wielkich kreatorów tamtych lat, Marcela Rochasa i Niny Ricci, prezentowane na stronach francuskiego magazynu poświęconego *haute couture* na sezon jesienno-zimowy 1936. Pomysły na kostiumy znalazła w amerykańskim „Harper's Bazaar”: dwa projekty firmy Harry Angelo, o której nigdy nie słyszałam i bardzo uważałam, żeby się z tym nie zdradzić. Zachwycona, że mam tyle żurnali, Niemka na wszelkie sposoby próbowała się ode mnie dowiedzieć, jak je zdobyłam. Udawałam, że nie rozumiem; gdyby pierwsza klientka dowiedziała się o geszeftach mojej współpracownicy szmuglerki, wzięłaby nogi za pas i tyle bym ją widziała. Potem zaczęłyśmy



dobierać tkaniny. Wyjęłam próbki otrzymane z różnych sklepów i roztoczyłam przed nią wachlarz barw i gatunków.

Podjęcie decyzji nie trwało długo. Szyfon, aksamit i jedwabna organdyna na wieczór; wełniana flanela i kaszmir na dzień. Stroju do tenisa nie omawiałyśmy; postanowiłam, że wymyślę coś później. Wizyta trwała bitą godzinę. Mniej więcej w połowie pojawiła się Dżamila z oczami podmalowanymi kholem, ubrana w turkusowy kaftan; weszła bezgłośnie, niosąc na wypolerowanej do połysku tacy mauretańskie ciasteczka i słodką miętową herbatę. Niemka rozpływała się z zachwytu, a ja dyskretnie puściłam oko na znak aprobaty. Zostało już tylko wzięcie miary. Zanotowałam wszystko w oprawnym w skórę notesie. Kosmopolityczna wersja doñi Manueli sprawdziła się doskonale. Umówiłyśmy się za pięć dni na pierwszą przymiarke i pożegnałyśmy we wzajemnych reweransach. Do widzenia, Frau Heinz, miło było panią u nas gościć. Do widzenia, Fraulein Quiroga, przyjdę na pewno. Gdy tylko zamknęłam za nią drzwi, zakryłam rękami usta, żeby stłumić okrzyk zwycięstwa. Miałam ochotę brykać z radości jak dziki żreback, ale nie chciałam się zdradzić przed swoją pierwszą klientką. Złapała się w moją sieć, klamka zapadła.

Przez następne dni pracowałam rano, w południe i wieczorem. Po raz pierwszy wykonywałam tak poważne zamówienie sama, bez fachowej pomocy matki i doñi Manueli. Zaangażowałam w to wszystkie pięć zmysłów, pomnożone przez pięćdziesiąt tysięcy, a jednak lęk, że zawiodę, nie opuszczał mnie nawet na sekundę. W myślach rozłożyłam projekty z żurnali na części pierwsze, a kiedy ze zdjęć nie

mogłam już wyczytać nic więcej, wyostrzyłam wyobraźnię, w nadziei, że intuicja podpowie mi resztę. Zrobiłam szkic mydełkiem i z obawą równą precyzji cięć wykroiłam poszczególne elementy. Składałam, rozkładałam i składałam na nowo. Fastrygowałam, obrębiałam, upinałam na manekinie, odpinałam i znów upinałam, dopóki nie uznałam, że rezultat jest zadowalający. Moda bardzo się zmieniła od czasów, w których zaczynałam poznawać świat nici i tkanin. Kiedy, w połowie lat dwudziestych, przyjmowano mnie do zakładu doñi Manueli, dominowały luźne linie, obniżony stan, krótsze długości na dzień, a na wieczór miękkie, lejące tuniki o czystym, wyrafinowanym w swej prostocie kroju. Następna dekada przyniosła długości dłuższe, dopasowaną talię, skosy, zaznaczone ramiona i ponętą, zmysłową sylwetkę. Zmieniały się czasy, zmieniała moda, a wraz z nią wymagania klientek i sztuka krawiecka. Ale ja nie dałam za wygraną – znalazłam sposób na życie i wiedziałam już, że z łatwością potrafię się dostosować do kapryśnych trendów dyktowanych w Paryżu.

## 15

Pierwsze dni minęły w zawrotnym tempie. Pracowałam bez wytchnienia, a wychodziłam jedynie na krótkie popołudniowe spacerki. Zawsze spotykałam wtedy kogoś z sąsiedztwa: matkę z mieszkania naprzeciwko, idącą z synem pod rękę, dwoje, czasem troje dzieci pędem zbiegające po schodach albo jakąś zapracowaną panią domu spieszącą się, żeby zdążyć z rodzinną kolacją. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie widmo przeklętego stroju do tenisa. Wreszcie postanowiłam wysłać Dżamilę na

ulicę La Luneta, z liścikiem następującej treści: „Potrzebuję czasopism z kostiumami tenisowymi. Mogą być stare”.

– Pani Candelaria powiedziec, żeby Dżamila wrócić jutro.

I Dżamila wróciła nazajutrz do pensjonatu, skąd przyniosła mi stertę czasopism, z za której ledwie ją było widać.

– Pani Candelaria powiedziec, żeby paniénka Sira najpierw obejrzeć te pisma – oznajmiła łamaną hiszpańszczyzną.

Przybiegła, zdyszana z pośpiechu, pełna entuzjazmu i nadziei, tryskająca radością. W pewien sposób przypominała mnie samą z czasów, kiedy zaczynałam pracę w zakładzie krawieckim przy ulicy Zurbano, a moje obowiązki polegały na roznoszeniu zamówień; przemierzałam ulice, zwinna i beztraska jak mały podwórkowy kot, zatrzymując się pod byle pretekstem, żeby urwać choć parę minut i opóźnić powrót, ile się da, zanim znów zamkną mnie w czterech ścianach. Poczułam smagnięcie nostalgii, ale na szczęście w porę wzięłam się w garść: do perfekcji opanowałam sztukę uniku przed nadciągającą falą melancholii.

Zachłannie rzuciłam się na czasopisma. Przeszarzałe, wymięte, czasami bez okładek. Żurnali było zaledwie kilka, większość stanowiły ilustrowane magazyny o najróżniejszej tematyce: trochę francuskich, więcej hiszpańskich – krajowych i tych wydawanych w Protektoracie. „La Esfera”, „Blanco y Negro”, „Nuevo Mundo”, „Marruecos Gráfico”, „Ketama”. Niektóre miały pozaginane strony. Prawdopodobnie Candelaria już je wstępnie przejrzała, żeby mi ułatwić zadanie. Otworzyłam pierwsze z brzegu pismo w zaznaczonym miejscu. Zawartość zawiodła moje nadzieje. Na zdjęciu dwaj ubrani na

biało panowie z raketami w rękach i włosami lśniącymi od brylantyny ściskali sobie dłonie nad rozpiętą w powietrzu siatką. Na innej fotografii grupka eleganckich kobiet otaczała zawodnika odbierającego jakieś trofeum; niestety, znowu mężczyzna. Wówczas dotarło do mnie, że w liściku do Candelarii nie wspomniałam ani słowem, iż chodziło mi o stroje damskie. Już miałam wołać Dżamilę, żeby ponownie wysłać ją do pensjonatu, gdy nagle aż krzyknęłam z radości. W trzecim z kolei czasopiśmie zobaczyłam dokładnie to, czego potrzebowałam. Był to obszerny reportaż, bogato ilustrowany zdjęciami tenisistki w jasnym swetrze i czymś, co stanowiło połączenie spódnicy z szerokimi spodniami: w życiu czegoś takiego nie widziałam, zapewne podobnie jak większość czytelników owego magazynu, na co wskazywały drobiazgowo opisy, jakimi opatrzone liczne fotografie.

Artykuł był po francusku, więc niewiele z niego zrozumiałam, ale kilka słów często się powtarzało: tenisistka Lili Álvarez, projektantka Elsa Schiaparelli, miejsce o nazwie Wimbledon. Radość, że znalazłam coś, co może mi posłużyć za wzór, została jednak szybko zmacona niepokojem. Zamknęłam pismo i obejrzałam je dokładnie. Było stare, pożółkłe. Poszukałam daty. 1931 rok. Brakowało ostatniej strony, na brzegach dostrzegłam plamy wilgoci, niektóre kartki zostały wyrwane. Nie mogłam pokazać tych strzępów Niemce, bo mój z takim trudem stworzony wizerunek doskonałej krawcowej, obeznanej z najnowszymi trendami, rozsypałby się jak domek z kart. Krążyłam nerwowo po domu, próbując znaleźć jakieś wyjście, wymyślić jakąś taktykę, cokolwiek, co pozwoli mi zachować

twarz. Chodziłam tak długo, że prawie wydeptałam ścieżkę na kaflach posadzki, a jedyne, co mi przyszło do głowy, to skopiować projekt i przedstawić go jako swój autorski pomysł, ale nie umiałam rysować i rezultat byłby tak żałosny, że moje i bez tego wątpliwe akcje spadłyby natychmiast na łeb na szyję. W poczuciu kompletnej bezradności postanowiłam raz jeszcze poszukać ratunku u Candelarii.

Dzamiła wyszła. Nie miała u mnie wiele pracy, więc często korzystała z „wychodnego”, rzecz nie do pomyślenia, kiedy tyrała w pensjonacie. Odbijając sobie za wszystkie czasy, pod byle pretekstem wyrywała się z domu. „Dzamiła kupi ziarna słonecznika, paniénka chcieć?”. I nie czekając na odpowiedź, pędziła po słonecznik albo chleb, albo owoce, albo po nic – żeby tylko zachłysnąć się wolnością i powietrzem. Wyrwałam kartki, schowałam do kieszeni i osobiście udałam się na La Luneta, ale szmuglerki nie zastałam. W kuchni krzątała się nowa służąca, a przy oknie w jadalni siedział zakatarzony nauczyciel. Na mój widok bardzo się ucieszył.

– A któż to do nas przyszedł? Widzę, że zmiana meliny świetnie ci zrobiła – powiedział, robiąc aluzję do mojego nowego wyglądu.

Pomięłam milczeniem te docinki. Co innego miałam w głowie.

– Może pan wie, gdzie się podziewa Candelaria, don Anselmo?

– A niby skąd, moje dziecko? Ciągłe gdzieś znika. Dobrze wiesz, że nie potrafi usiedzieć na miejscu.

Stałam, nerwowo wyłamując palce. Musiałam ją odszukać, musiałam znaleźć jakieś rozwiązanie. Nauczyciel spostrzegł mój niepokój.

– Co się z tobą dzieje, dziewczyno?

Z rozpaczy spróbowałam szukać pomocy u niego.

– Umie pan rysować?

– Ja? Jak kura pazurem. Szczytem moich umiejętności jest trójkąt równoboczny.

Nie miałam pojęcia, co to takiego, ale i tak było mi wszystko jedno. Nauczyciel też nie mógł mi pomóc. Wychyliłam się przez balkon, żeby zobaczyć, czy nie wraca Candelaria. Gapiałam się na zatłoczoną ulicę, drepcząc bezradnie w miejscu. Za plecami znów usłyszałam głos starego republikanina:

– Dlaczego nie powiesz mi, o co chodzi? Może znajdziemy jakąś radę?

Odwróciłam się gwałtownie.

– Potrzebuję kogoś, kto przerysuje mi kilka strojów z żurnalu.

– Idź do szkoły Bertuchiego.

– Czyjej?

– Bertuchiego, tego malarza.

Moja mina świadczyła o kompletnej ignorancji.

– Co ty, dziewczyno? Od trzech miesięcy mieszkasz w Tetuanie i nie słyszałaś o maestro Bertuchim, największym marokańskim malarzu?

Nie wiedziałam, kim był ów Bertuchi i wcale mnie to nie interesowało. Chciałam tylko szybko rozwiązać dręczący mnie problem.

– I on mi to wszystko narysuje? – zapytałam z nadzieją.

Don Anselmo parsknął śmiechem i zaniósł się od kaszlu.

Trzy paczki papierosów Toledo dziennie wystawiały mu swój czarny rachunek.

– Co też ci przychodzi do głowy, Sirito, dziecko drogie! Bertuchi miałyby robić dla ciebie jakieś rysunekzki! Don Mariano nie jest płątnym portrecistą. To artysta, człowiek bez reszty oddany swemu powołaniu, który pragnie ocalić od zapomnienia tradycje tutejszego rzemiosła i rozślawić sztukę Maroka na całym świecie. Ale w jego szkole na pewno znajdziesz kogoś, kto ci pomoże: młodych, początkujących malarzy, chłopców i dziewczęta, którzy dopiero uczą się rysować.

– A gdzie jest ta szkoła? – zapytałam, zakładając kapelusz i pospiesznie chwytając za torebkę.

– Obok Puerta de la Reina.

Chyba wzruszyła go bezradność malująca się na mojej twarzy, bo znowu parsknął ochrypłym śmiechem, zakaszłał i z wysiłkiem wstając z fotela, powiedział:

– Chodź, zaprowadzę cię.

Opuściwszy La Luneta, ruszyliśmy wąskimi, prostymi uliczkami żydowskiej dzielnicy *mellah*, a ja w milczeniu wspominałam swoją nocną eskapadę z bronią ukrytą pod haikiem. W świetle dnia wszystko wyglądało inaczej, sklepiki i kantory były otwarte, miasto tętniło życiem. Potem zagłębiliśmy się w labirynt mauretańskiej medyny, w którym nadal orientowałam się z trudem. Chociaż wysokie obcasy wykręcały się na bruku, a obcisła spódnica krępowała moje ruchy, szłam tak prędko, że zdyszany don Anselmo ledwo za mną nadązał.

Miał już swoje lata, a w dodatku, kaszląc co chwila, mówił bez przerwy. Musiałam po drodze wysłuchać wykładu na temat kolorytu i świetlistości obrazów Bertuchiego, olejów, akwarel i rysunków piórkiem, oraz szkoły malarstwa i rzemiosł artystycznych, której był dyrektorem.

– Wysyłałaś z Tetuanu listy do Hiszpanii? – zapytał nagle.

Wysłałam trzy, do matki. Ale nie miałam pewności, czy w tych niespokojnych czasach doszły do Madrytu.

– Otóż prawie wszystkie znaczki pocztowe Protektoratu zostały zaprojektowane właśnie przez Bertuchiego. Różne obrazki z Alcahuenas, Alcazarquiviru, Xauen, Larache, Tetuanu. Pejzaże, ludzie, scenki rodzajowe – wszystko to wyszło spod jego pędzla.

Szłam, nie zwalniając kroku; on mówił, a ja słuchałam.

– A widziałaś może afisze reklamowe dla turystów? W tych niepewnych czasach nikt się raczej nie wybierze do Maroka dla przyjemności, ale Bertuchi od lat zachęca swoją sztuką do zwiedzania tej pięknej ziemi.

Znałam te plakaty. Wisiały wszędzie, mijałam je codziennie. Widoki Tetuanu, Ketamy, Arcili i wielu innych miejsc. A pod spodem napis: Protektorat Republiki Hiszpańskiej w Maroku. Już wkrótce miało zniknąć z nich słowo „Republika”.

Szliśmy tak dość długo, mijając ludzi i bazy, kozy i dzieci, marynarki i dżelaby, głosy targujących się kupców, zakwefione kobiety, psy i kałuże, kury, zapachy kolendry i mięty, pieczonego chleba i tłoczonej oliwy; gwarne, chaotyczne życie mauretańskiej dzielnicy. Szkoła znajdowała się na granicy miasta, w budynku będącym częścią starej fortecy,



zawieszonym nad murami medyny. Kręciło się tam trochę młodych ludzi, pojedynczo i grupkami, niektórzy nieśli pod pachą wielkie teki, inni nic.

– Jesteśmy na miejscu. Tu cię zostawię; skorzystam z okazji i wpadnę na kieliszek wina do przyjaciół, którzy mieszkają w Suica; ostatnio rzadko wychodzę z domu.

– Mam wrócić sama? – zapytałam z niepokojem. Nie zwracałam najmniejszej uwagi na drogę, bo myślałam, że nauczyciel odprowadzi mnie do pensjonatu.

– Nie martw się, każdy z tych chłopców będzie zachwycony, mogąc ci towarzyszyć. Życzę powodzenia z rysunkami, opowiesz mi potem, jak ci poszło.

Podziękowałam mu za pomoc i weszłam na schody. Zauważyłam, że wszyscy mi się przyglądają; w owych czasach kobieta taka jak ja stanowiła w tej szkole niecodzienny widok. Przystanąłam na półpiętrze skrepowana, zagubiona, nie wiedząc, co robić ani o kogo pytać. Zanim zdążyłam nad tym pomyśleć, usłyszałam za plecami jakiś głos.

– No, no, przecież to moja piękna sąsiadka...

Odwróciłam się zaskoczona i zobaczyłam młodego człowieka, który mieszkał naprzeciwko mnie. Tym razem był sam, bez matki. Jak na swój wiek miał stanowczo za dużo ciała i za mało włosów; chyba jeszcze nie przekroczył trzydziestki. Nie dał mi dojść do słowa, za co byłam mu głęboko wdzięczna, bo nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Widzę, że jest pani trochę zdezorientowana. Mogę w czymś pomóc?

Rozmawialiśmy ze sobą po raz pierwszy. Do tej pory zawsze widywałam go z matką. Wszyscy troje wymienialiśmy uprzejmie „dzień dobry” i nic ponadto. Znałam też inny ton ich głosów, znacznie mniej przyjemny, kiedy ze swojego mieszkania słyszałam, jak prawie co wieczór oboje, zaciętrzewieni, głośno się o coś kłóczą. Postanowiłam być z nim szczerą: nie miałam czasu na szukanie wykrętów.

– Potrzebuję kogoś, kto zrobi dla mnie kilka rysunków.

– Można wiedzieć jakich?

Nie był obcesowy; raczej zaciekawiony. Zaciekawiony, bezpośredni i z lekka zmanierowany. Zachowywał się znacznie śmieiej niż w obecności matki.

– Mam kilka fotografii sprzed paru lat i chcę, żeby ktoś zrobił z nich szkice jak do żurnalu. Zapewne domyślił się pan, że jestem krawcową. Chodzi o strój, który mam uszyć dla klientki. Najpierw chcę jej pokazać projekt.

– Przyniosła pani te zdjęcia?

Kiwnęłam głową.

– Zechce mi je pani pokazać? Może ja będę mógł pomóc.

Rozejrzałam się dookoła. Ludzi nie było dużo, ale i tak wstydziłabym się pokazać przy nich pogniecione wycinki z czasopism. Nie musiałam mu tego mówić; sam się domyślił.

– Chodźmy stąd.

Na ulicy wyjęłam kartki z torby i podałam mu bez słowa. Obejrzał je z uwagą.

– Schiaparelli, muza surrealistów. Ciekawe... Uwielbiam surrealizm, a pani?

Nie miałam najmniejszego pojęcia, o co mnie pyta, a ponieważ zależało mi, żeby jak najszybciej rozwiązać mój problem, pominęłam pytanie milczeniem i skierowałam rozmowę na inne tory.

– Wie pan, kto to może zrobić?

Spojrzał na mnie zza swoich wielkich okularów i uśmiechnął się zaciśniętymi wargami.

– A gdybym tak ja spróbował? Co pani na to?

Jeszcze tego samego wieczoru przyniósł mi szkice. Nie myślałam, że uwinie się tak szybko. Szykowałam się już do snu. Włożyłam koszulę nocną i długi szlafrok, który sama sobie uszyłam dla zabicia czasu, w oczekiwaniu na klientki. Skończyłam właśnie skromną kolację. Na stole w salonie leżała taca z resztkami winogron, sera, herbatników i niedopitą szklanką mleka. Siedziałam w półmroku, rozświetlonym jedynie stojącą w rogu lampą. Zbliżała się jedenasta, kiedy ciszę przerwało pukanie do drzwi. Zaintrygowana i trochę przestraszona, wyjrzałam przez wizjer. Kiedy zobaczyłam, kto się do mnie dobija, odsunęłam zasuwę i otworzyłam.

– Dobry wieczór, moja miła. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Ależ skąd, jeszcze nie spałam.

– Mam coś dla pani – oznajmił, machając trzymanym za plecami plikiem kartek.

Najwidoczniej czekał na jakąś reakcję. Wahałam się przez chwilę, czy powinnam go wpuścić o tak niestosownej porze. On tymczasem stał w progu, wciąż chowając za sobą rysunki, z

przyklejonym do twarzy nieszkodliwym, jak mi się zdawało, uśmiechem.

Zrozumiałam. Nie miał zamiaru pokazać mi ani skraweczka, dopóki nie zaproszę go do środka.

– Może pan wejdzie? – ustąpiłam w końcu.

– Dziękuję, chętnie – odparł półgłosem, nie kryjąc satysfakcji z tego, że postawił na swoim. Był w koszuli, spodniach od codziennego garnituru i wołkowej bonzurce. I w tych swoich okularkach. Pozer.

Bez skrępowania otaksował wzrokiem przedpokój i nie czekając na zaproszenie, wszedł do salonu.

– Ładne mieszkanie. Bardzo stylowe, bardzo *chic*.

– Dziękuję, dopiero się urządza. Mogę zobaczyć, co pan dla mnie ma?

Zrozumiał wreszcie, że nie zaprosiłam go do siebie o tej porze, żeby wysłuchać jego opinii na temat dekoracji wnętrz.

– Proszę, oto moja praca domowa – powiedział, wyjmując zza pleców szkice.

Trzy rysunki w ołówku i pastelu przedstawiające – każdy w innej pozie i z odmiennej perspektywy – wystylizowaną i tak odrealnioną, że niemal fantastyczną postać modelki w owej dziwacznej spódnicy, która spódnicą nie była. Moja mina mówiła chyba wszystko.

– Widzę, że się pani podobają – powiedział z nieskrywaną dumą.

– Podobają się? Są znakomite!

– Przydadzą się pani?

– Oczywiście. Wybawił mnie pan z wielkiego kłopotu. Ile jestem winna?

– Wystarczy „dziękuję”. Proszę to potraktować jako prezent na zasiedliny. Mama zawsze mi powtarza, że trzeba być grzecznym dla sąsiadów, chociaż za panią raczej nie przepada. Myślę, że jak dla niej jest pani zbyt wyzwolona i odrobinę zanadto frywolna – odparł z ironią.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi i miałam wrażenie, że na mgnienie oka połączyła nas ledwie dostrzegalna nić porozumienia, zerwana brutalnie przez dobiegający zza niedomkniętych drzwi głos zniecierpliwionej rodzicielki:

– Feeeeeee-lix! – Ciągnęła „e”, jakby chciała wystrzelić nim z procy; skończywszy pierwszą sylabę, ze świstem wypuszczała drugą. – Feeeeeee-lix! – powtórzyła.

Wzniósł oczy do góry w geście przesadnej rozpacz.

– Nie może beze mnie żyć, biedaczka. Muszę iść.

Matczyne nawoływanie rozległo się znowu, wzywając syna po raz trzeci z jęklwym zaśpiewem.

– Jeśli kiedyś jeszcze będzie pani potrzebowała mojej pomocy, służę chętnie. Z przyjemnością zrobię więcej rysunków, uwielbiam wszystko, co ma związek z Paryżem. Pora wracać do celi. Dobranoc, moja miła.

Zamknąwszy za nim drzwi, długo oglądałam szkice. Były rzeczywiście znakomite, nie mogłabym sobie wymarzyć lepszego efektu. Tamtej nocy poszłam spać bardzo z siebie zadowolona, jakby to było moje własne dzieło.

Wstałam nazajutrz bardzo wcześnie; klientka była umówiona na przymiarke dopiero o jedenastej, ale przed jej przyjściem

chciałam mieć wszystko dopięte na ostatni guzik. Czekałam na Dżamilę, która jeszcze nie wróciła z targu. Za dwadzieścia jedenasta zabrzączał dzwonek; pomyślałam, że Niemka widocznie przyszła wcześniej. Włożyłam ten sam granatowy kostium, co poprzednio; postanowiłam, że stanie się moim roboczym uniformem – kwintesencja elegancji i prostoty, a zarazem świetny sposób na profesjonalny wygląd i ukrycie braku jesiennej garderoby w szafie. Byłam już uczesana, starannie umalowana, srebrne nożyczki zawiesiłam na szyi. Jeszcze tylko niewidzialna maska kobiety światowej i śmiało mogłam ruszyć na spotkanie losu. Zamaszystym ruchem otworzyłam drzwi i ziemia usunęła mi się spod nóg.

– Witam, panno Siro – powiedział, zdejmując kapelusz. – Mogę wejść?

Przełknęłam ślinę.

– Dzień dobry, panie komisarzu. Oczywiście, proszę bardzo.

Zaprowadziłam go do salonu i zaproponowałam, żeby usiadł. Podszedł do fotela niespiesznie, rozglądając się po pokoju. Omiótł wzrokiem rzeźbione stiuki pod sufitem, adamaszkowe zasłony, wielki mahoniowy stół zarzucony zagranicznymi żurnalami i piękny antyczny żyrandol, zdobyty gdzieś psim swędem przez Candelarię, Bóg wie od kogo i za ile. Serce waliło mi jak młotem, w żołądku czułam dziwną słabość.

Usiadł wreszcie. Usiłując ukryć niepokój wywołany ową niespodziewaną wizytą, przycupnęłam naprzeciwko i czekałam w milczeniu, aż odezwie się pierwszy.

– Widzę, że świetnie sobie pani radzi.

– Staram się, jak mogę. Zaczęłam pracować; właśnie czekam na klientkę.

– A co dokładnie pani robi? – zapytał.

Aż za dobrze znał odpowiedź, jednak z jakiegoś powodu chciał usłyszeć to ode mnie.

Próbowałam przybrać obojętny ton. Nie chciałam, by zobaczył, że się boję i mam coś do ukrycia, ale nie miałam też zamiaru sprawiać wrażenia osoby przebojowej i nazbyt pewnej siebie, ponieważ sam wiedział najlepiej, że tak nie jest.

– Szyję. Jestem krawcową – odparłam.

Nie odpowiedział. Po prostu przeszył mnie swoim badawczym spojrzeniem, spokojnie oczekując dalszych wyjaśnień. Udzieliłam ich, siedząc sztywno na brzeжку sofy. Nie siliłam się przy nim na wyszukane pozy, ćwiczone tysiące razy przed lustrem, by stworzyć mój nowy image. Nic z tych rzeczy. Nie zakładałam z gracją nogi na nogę, nie poprawiałam wdzięcznym ruchem włosów, nie trzepotałam rzęsami. Starłam się wyglądać jak uosobienie statecznej skromności.

– Umieję szyć od dziecka. W Madrycie też tak zarabiałam. Pracowałam w znanym salonie modniarskim, gdzie moja matka była starszą krawcową. Dużo się tam nauczyłam. Nasz dom mody cieszył się doskonałą opinią, a klientkami były damy z towarzystwa.

– Rozumiem. Zawód uczciwy i godzien szacunku. A dla kogo pani pracuje teraz, jeśli można wiedzieć?

Ponownie przełknęłam ślinę.

– Dla nikogo. Dla samej siebie.

Uniósł brwi z udawanym zdziwieniem.

– Nie chcę być natrętny, ale skąd pani na to wszystko wzięła? Komisarz Vázquez może i był twardym jak stal, nieustępliwym śledczym, ale jako prawdziwy dżentelmen zachowywał się z ogromną kurtuazją. Kurtuazją przyprawioną szczyptą cynizmu, z którym zresztą nie krył się wcale. Nie był już tak spięty jak podczas odwiedzin w szpitalu. Mniej zasadniczy, mniej sztywny. Niestety, nie mogłam mu się odwzajemnić tym samym.

– Pożyczyłam – odparłam krótko.

– No, no, gratuluję szczęścia – ironizował. – A czy byłaby pani uprzejma zdradzić mi, kim jest ów hojny dobroczyńca?

Myślałam, że nigdy tego z siebie nie wykrztuszę, ale odpowiedź przyszła sama. Pewna i natychmiastowa.

– Candelaria.

– Szmuglerka? – zapytał, uśmiechając się na wpół sardonicznie, na wpół z niedowierzaniem.

– A któż by inny?

– Ciekawe, od kiedy drobny przemysł jest taki dochodowy...

Przewiercał mnie na wylot tym swoim dociekliwym spojrzeniem, a ja wiedziałam, że w tej chwili ważą się moje losy. Jak rzucona w górę moneta, która spadając, może równie dobrze pokazać orła albo reszkę. Jak niewprawny linoskoczek, który w każdej chwili może runąć na ziemię. Jak piłka tenisowa odbita rakieta wysmukłej modelki w kreacji Elsy Schiaparelli na rysunku mojego sąsiada – niecelna piłka, balansująca przez kilka wiekuistych sekund na taśmie siatki, nim spadnie po jednej lub po drugiej stronie, przysparzając punktu wytwornej zawodnicze naszkicowanej finezyjną kredką artysty albo jej



niewidocznej rywalce. Tu ratunek, tam klęska; ja pośrodku. Tak właśnie się czułam, siedząc naprzeciw komisarza Vazqueza w ów jesienny poranek, świadoma, iż widzę przed sobą ucieleśnienie moich najczarniejszych obaw. Zamknęłam oczy, wciągnęłam nosem powietrze. A potem zaczęłam mówić.

– Proszę mnie posłuchać, don Claudio. Powiedział pan, że mam sobie poszukać pracy, i właśnie ją znalazłam. To nie jest przygodne zajęcie ani pralnia brudnych pieniędzy, ale uczciwy interes. Zebrał pan o mnie mnóstwo informacji, zna pan przyczynę moich kłopotów, powód przyjazdu do Tetuanu i okoliczności, które mnie tu zatrzymują. Ale nie wie pan, skąd pochodzę i dokąd zmierzam. Proszę mi dać minutę, to wszystko opowiem. Przyszłam na świat w biednej rodzinie; matka nie wyszła za mąż, wychowywała mnie samotnie. O istnieniu ojca, tego ojca, który dał mi pieniądze i klejnoty, będące w dużej mierze przyczyną mojego nieszczęścia, nie wiedziałam jeszcze kilka miesięcy temu. Wezwał mnie do siebie dopiero wówczas, gdy zaczął przeczuwać, że zostanie zamordowany z powodów politycznych, i postanowił rozliczyć się z własną przeszłością, uznać mnie w świetle prawa za swoją córkę i zostawić w spadku część majątku. Do tamtego dnia nie wiedziałam nawet, jak się nazywa, i nigdy przedtem nic od niego nie dostałam. Dlatego, kiedy ledwie odrosłam od ziemi, musiałam iść do pracy. Z początku, za parę nędznych groszy, odnosiłam klientkom zamówienia i zamiatałam podłogę. Byłam wtedy dzieckiem, takim samym jak te dziewczynki w ślicznych mundurkach przechodzące codziennie pod moim oknem. Być może widuję wśród nich pańską córeczkę, która po lekcjach

wraca do domu ze szkoły, owego świata zakonnicy, kaligrafii i łacińskich deklinacji, którego mnie nigdy nie było dane poznać, bo musiałam szybko się nauczyć jakiegoś zawodu, żeby zarobić na życie. Ale proszę mnie źle nie zrozumieć. Lubiłam to, naprawdę to lubiłam. Uwielbiałam szyć i miałam dryg w ręku. Uczyłam się pilnie, starałam się, jak mogłam, i z czasem zostałam dobrą krawcową. Pracę rzuciłam nie dla kaprysu, ale dlatego, że w Madrycie było coraz trudniej. Znaczna część naszych klientek przestraszyła się rozruchów i wyjechała za granicę, salon mody zamknięto, a ja nigdzie nie mogłam znaleźć pracy.

Nie szukałam kłopotów, komisarzy – ciągnęłam. – Dobrze pan wie, że za wszystko, co mi się ostatnio przydarzyło, za wszystkie owe rzekome zbrodnie, winę ponoszę nie ja, lecz człowiek bez serca i skrupułów, którego spotkałam w złą godzinę. Nawet nie potrafi pan sobie wyobrazić, co bym dała, żeby wymazać na zawsze chwilę, w której ten łajdak wdarł się w moje życie. Ale tego nie da się już cofnąć i teraz mam nóż na gardle. Wiem, że sama muszę się z tym uporać, i nie uchylam się od odpowiedzialności, ale mogę to zrobić tylko w jeden sposób: szyjąc, bo tylko to potrafię. Jeżeli pan zamknie przede mną tę ostatnią furtkę i podetnie mi skrzydła, nie ma już dla mnie ratunku. Próbowałam wszędzie, ale nikt nie chciał zatrudnić kobiety, która nic nie umie. Dlatego błagam, niech mi pan nie odbiera tej szansy i o nic nie pyta. Proszę mi zaufać, nie zawiodę. Za wynajem tego mieszkania i za każdą rzecz, która tu jest, zapłaciłam wszyściutko co do grosza; nikogo nie oszukałam, nic nikomu nie jestem winna. Będę harować od

świtu do nocy, ale niech mi pan pozwoli spokojnie pracować. Nie sprawię żadnych kłopotów, przysięgam panu na moją matkę, bo oprócz niej nikogo nie mam na świecie. Jak zdobęde pieniądze, jak spłacę długi, jak ta wojna się skończy, wrócę do domu i nigdy więcej mnie pan nie zobaczy. Tylko błagam, komisarzu, niech już pan nie żąda ode mnie wyjaśnień i nie zakłada mi pętli na szyję. Pan niewiele na tym zyska, a ja wszystko stracę.

Wysłuchał mnie w milczeniu, a ja nie miałam już nic do dodania. Siedzieliśmy i patrzyliśmy na siebie. Wbrew wszelkim przewidywaniom udało mi się dokończyć ową przemowę rzeczowo i spokojnie. Głos mi nie zadrżał, ręce się nie trzęsły. Wreszcie to z siebie wyrzuciłam, uwolniłam się od wszystkiego, co od tak dawna mnie gryzło. Nagle ogarnęło mnie ogromne znużenie. Byłam zmęczona tym, że zbieram ciężki za kretyna bez sumienia i od miesięcy żyję w ciągłym strachu. Miałam dość uginania się pod ciężarem cudzych win, skulona jak te mauretańskie kobiety, które często widywałam na ulicach: przygarbione, okutane w haiki, wlokły się noga za nogą, dźwigając na plecach wiązki chrustu, grona daktyli, dzieci, gliniane dzbany i worki z wapnem. Dość miałam upokorzeń i lęku, dość poniewierki na obcej ziemi. Byłam zmęczona, zniechęcona i wyczerpana, a mimo to gotowa do upadłego walczyć o swoje.

Ciszę przerwał komisarz. Przedtem wstał. Ja też. Wygładziłam spódnice, starannie, fałda za fałdą. Wziął kapelusz i zakręcił nim na palcu, wpatrując się weń w skupieniu, jakby chciał ujrzeć tam własne myśli. Tym razem nie była to letnia panama,

w której widziałam go parę miesięcy temu, ale filcowy borsalino w kolorze ciemnej czekolady. Przestał wreszcie i powiedział:

– Zgoda. Dopóki ktoś nie przyjdzie do mnie z oczywistymi dowodami, nie będę dochodził, skąd pani wzięła pieniądze na to wszystko. Dam pani spokój. Proszę pracować i rozwijać swoją firmę. Może dzięki temu oboje pozbedziemy się kłopotu.

Nie dodał nic więcej ani nie czekał na moją odpowiedź. Gdy tylko przebrzmiało ostatnie słowo owego krótkiego wyroku, pożegnał mnie sztywnym ukłonem i ruszył do drzwi. Pięć minut później przyszła Frau Heinz. Do tej pory nie mogę sobie przypomnieć, jakie myśli kłębiły mi się w głowie pomiędzy jedną a drugą wizytą. Pamiętam jedynie, że kiedy Niemka zadzwoniła, a ja poszłam jej otworzyć, czułam się, jakby ktoś zdjął mi z serca nie kamień, ale całą górę kamieni.

## Część druga

16

Przez całą jesień klientek przybywało. Przeważnie były to zamożne cudzoziemki, jak słusznie przewidziała moja współpracowniczka szmuglerka. Najwięcej Niemek. Jakaś Włoszka. Także kilka Hiszpanek – najczęściej żony przedsiębiorców, gdyż nie był to najlepszy czas dla wojska i administracji. Pewna bogata Żydówka, sefardyjka, piękna kobieta, przemawiająca w staroświeckim kastylijskim języku dziwnymi, dawno przebrzmiałymi słowami, „hadrując”<sup>13</sup> śpiewnie: królowo ty moja złota, darz nam Bóg przez calutki tydzień, jako ci rzekę, com ci prawiała.

Interes się rozkręcał, zyskiwałam rozgłos. Wpływały pieniądze: pesety z Burgos, franki francuskie i marokańskie, tutejsze „hassany”. Składałam je do żelaznej szkatułki z siedmioma zamkami, którą trzymałam w drugiej szufladzie nocnej szafki. Trzydziestego każdego miesiąca oddawałam wszystko Candelarii. Błyskawicznie odkładała na bok plik banknotów na bieżące wydatki, a resztę ciasno zwijała w rulon i zręcznie wsuwała za gors, w rowek między piersiami. Z miesięcznym dochodem ukrytym bezpiecznie w ciepłe jej bujnego ciała biegła do Żydów, poszukać lichwiarza, który

wymieni walutę po najlepszym kursie. Potem wracała do pensjonatu, bez tchu, ale z grubym zwitkiem funtów szterlingów, troskliwie schowanym w tym samym miejscu. Jeszcze zdyszana z pośpiechu, wyciągała zza dekoltu swój łup. „Mówię ci, dziecinko, że najsprytniejsi są Anglicy. Zapomnij o pesetach, bo kiedy Franco przegra wojnę, będziemy się mogły nimi podetrzeć”. Dzieliła sprawiedliwie: połowa dla mnie, połowa dla ciebie, skarbie. I oby nigdy nam nie zabrakło.

Przyzwyczaiałam się żyć samotnie, spokojnie, bez lęku. Wzięłam na siebie odpowiedzialność za warsztat i za własny los. Pracowałam dużo, bawiłam się mało. Ilość zamówień nie wymagała drugiej pary rąk, obywałam się bez pomocy. Dlatego wciąż byłam zajęta, a mój czas wypełniały bez reszty nici, nożyczki, prasowanie i obmyślanie nowych strojów. Czasami wychodziłam na poszukiwanie tkanin, guzików, szpilek i haftek. Najbardziej lubiłam piątki: szłam wówczas na pobliski plac Hiszpański – Feddan, jak mawiali Mauretanie – żeby zobaczyć kalifa, który na białym koniu, pod zielonym parasolem, otoczony swoją baśniową gwardią, opuszczał pałac, by udać się do meczetu. Potem, ulicą, którą już zaczęto nazywać aleją Generalissimusa, wędrowałam spacerkiem w stronę placu Mulaja-el-Mehdiego, pod kościół Matki Bożej Zwycięskiej – Nuestra Señora de las Victorias – przepełniony żałobą i błagalnym szmerem modłów o szczęśliwy koniec wojny.

Wojna – tak odległa, tak wszechobecna. Z tamtego brzegu Cieśniny wiadomości docierały do nas przez radio, gazety albo przekazywane z ust do ust. W każdym domu przesuwano na mapie kolorowe pinezki, zaznaczając ruchy wojsk. Ja również

miałam wieści z kraju. Jedynym luksusem, na jaki sobie pozwoliłam, było kupno radioodbiornika. Dzięki temu dowiedziałam się przed końcem roku, że rząd republikański przeniósł się do Walencji, skazując lud Madrytu na samotną walkę w obronie stolicy. Brygady Międzynarodowe przybyły na pomoc republikanom. Hitler i Mussolini uznali władzę generała Franco, w więzieniu w Alicante rozstrzelano José Antonia Prima de Rivera. Uzbierałam sto osiemdziesiąt funtów. Nadeszło Boże Narodzenie.

Moją pierwszą afrykańską Wigilię spędziłam w pensjonacie. Nie chciałam się narzucać, ale szmuglerka, jak zwykle, postawiła na swoim.

– Zjesz z nami wieczerzę na La Luneta i koniec gadania. Przy stole Candelarii dla każdego znajdzie się miejsce i póki żyję, nikt w święta nie będzie sam.

Nie mogłam jej odmówić, ale było mi ciężko. Im bliżej świąt, tym mocniej wiało smutkiem, który wciskał się do mego domu przez szpary w oknach i pod drzwiami, napełniając melancholią każdy kąt pracowni. Jak się teraz czuje moja matka, jak znosi niepewność i brak wieści ode mnie, jak sobie daje radę sama w tych strasznych czasach? Pytania bez odpowiedzi dręczyły mnie nieustannie i z dnia na dzień wzmagały mój niepokój. Atmosfera panująca w mieście także nie napawała optymizmem. Nigdzie nie czuło się radości, chociaż właściciele sklepów ozdobili wystawy, ludzie składali sobie życzenia, a przez drzwi słyszałam dzieci sąsiadów, śpiewające na schodach kolędy. To, co się działo w Hiszpanii,

rzucało na nas cień tak gęsty i ciemny, że nikt nie miał ochoty świętować.

Na La Luneta dotarłam po ósmej wieczorem, idąc prawie pustymi ulicami. Candelaria upiekła dwa indyki, bo nasze pierwsze zyski wpłynęły dodatnio na zasobność jej spiżarni. Ja przyniosłam dwie butelki musującego wina i gomólkę holenderskiego sera, sprowadzanego z Tangeru za niebotyczną cenę. W pensjonacie nastroje były minorowe, a mieszkańcy zmęczeni, zgorzkniali, smutni. Pani domu, która właśnie kończyła przygotowania do wieczerzy, robiła wszystko, żeby podnieść morale gości, wyśpiewując kolędy na całe gardło.

– Już jestem, Candelario – oznajmiłam, wchodząc do kuchni.

Zamilkła i znieruchomiła nad rondlami.

– A tobie co się stało, że wyglądasz, jakbyś szła na rzeź?

– Nic, a co się miało stać? – odparłam, udając, że się rozglądam, gdzie postawić butelki.

Wytarła ręce w ścierkę, chwyciła mnie za ramię i siłą odwróciła do siebie.

– Mnie nie oszukasz, córciu. Chodzi o twoją matkę, tak?

Nie patrzyłam na nią, nie odpowiadałam.

– Pierwsza Wigilia z daleka od bliskich jest przykra jak cholera albo jeszcze gorzej, ale trzeba zjeść tę żabę, dziecinko.

Pamiętam, jak to było u nas. Biedni byliśmy jak te myszy kościelne, tośmy śpiewali i tańczyli całą noc, bo co tu robić, jak w brzuchu pusto: tylko przytupywać i klaskać. Ale człowieka zawsze ciągnie do swoich.

Dalej udawałam, że szukam na stole skrawka wolnego miejsca dla butelek, bo czego tam nie było: i móździerz, i



garnek z zupą, i wielka micha kremu. Słój oliwek, trzy główki czosnku, pęk liści bobkowych.

Mówiła dalej, krzepiąca, serdeczna.

– Z czasem ci przejdzie, zobaczysz. Jestem przekonana, że twoja matka ma się dobrze. Sąsiedzi zaproszą ją na wieczerzę i chociaż o tobie pomyśli, chociaż zatęskni, to na pewno się cieszy, że jesteś daleko od Madrytu, daleko od wojny.

Być może Candelaria miała rację i moja nieobecność była dla matki bardziej pociechą niż troską. Przypuszczalnie sądziła, iż wciąż jestem z Ramirem w Tangerze, i pewnie wyobrażała sobie, że spędzamy ten wieczór we wspaniałym hotelu razem z beztroskimi cudzoziemcami, którzy bawią się, jedzą i tańczą, nie przejmując się ani trochę tym, co się dzieje po drugiej stronie Cieśniny. Co prawda, napisałam do niej, ale wszyscy wiedzieli, że listy z Maroka nie dochodzą do Madrytu, i podejrzewałam, że mój list nigdy nie opuścił Tetuanu.

– Chyba ma pani słuszność – mruknęłam półgębkiem. Wciąż jeszcze stałam z butelkami w ręku i wzrokiem wbitym w stół; nie miałam odwagi spojrzeć Candelarii w twarz, bo bałam się, że nie będę mogła powstrzymać łez.

– Pewnie, że mam, dziecinko. A teraz przestań już o tym myśleć. Nawet jeśli matka bardzo tęskni, musi czuć wielką ulgę, wiedząc, że jej córka jest bezpieczna, z dala od bomb i karabinów. Chodź, cieszymy się, bo dzisiaj wesola nowina! – zakrzyknęła, wyrywając mi z ręki jedną butelkę. – Zaśpiewamy za chwilę, a tymczasem gołnij sobie, córciu.

Odkorkowała flaszkę i wzniosła ją do góry.

– Za matkę, która wydała cię na świat. – Pociągnęła spory łyk wina i otarłszy usta wierzchem dłoni, powiedziała stanowczo: – Teraz ty.

Nie miałam ochoty pić, ale usłuchałam. Za zdrowie Dolores; dla niej wszystko.

Siedliśmy do stołu, ale chociaż Candelaria robiła, co mogła, żeby wprowadzić nas w wesoły nastrój, rozmowa się nie kleiła. Nawet kłócić się nikomu nie chciało. Nauczyciel kasłał, jakby chciał wypluć z siebie duszę, a zasuszone siostry, tego wieczoru bardziej zasuszone niż kiedykolwiek, uroniły kilka łez. Pulchna mateczka wzdychała, pociągając co chwila nosem. Franusiowi wino uderzyło do głowy, więc plótł trzy po trzy, telegrafista nie pozostał mu dłużny i wreszcie udało im się nas rozśmieszyć. Wtedy gospodyni wstała, by wznieść za wszystkich toast pękniętym kieliszkiem. Za tych, co z nami, za tych, co daleko, za jednych i za drugich. Padaliśmy sobie w ramiona, płakaliśmy i nieważne już było, kto po której stoi stronie, bo wszyscy byliśmy równie nieszczęśliwi.

Pierwsze miesiące nowego roku upłynęły mi spokojnie, bez reszty wypełnione pracą. W owym czasie mój sąsiad Félix Aranda stał się codziennym gościem u mnie w domu. Mieszkaliśmy niemal przez próg, ale bardziej chyba zbliżyło nas coś, co nie dało się zmierzyć w metrach oddzielających nasze drzwi. Jego nieco ekscentryczny sposób bycia i moje nader częste prośby o pomoc w rozmaitych sprawach nieoczekiwanie wytworzyły między nami więź, która przetrwała dziesiątki lat i zmienne koleje losu. Po szkicach, które rozwiązały problem stroju tenisowego dla mojej

pierwszej klientki, pojawiły się na mojej drodze inne przeszkody i syn doñi Encarny jeszcze wiele razy ratował mnie z opresji. Krótko potem znów musiałam prosić go o przysługę, choć w odróżnieniu od spódnicy-spodni Schiaparelli problem nie był natury artystycznej, lecz monetarnej, a zawiniła moja kompletna ignorancja w tej dziedzinie. Wszystko zaczęło się od drobnej sprawy, która osobie jako tako wykształconej nie sprawiłaby najmniejszego kłopotu, ale komuś, kto tak jak ja ukończył zaledwie kilka klas w marnej osiedlowej szkółce, zdawała się czarną magią. Kiedy więc o jedenastej w nocy zasiadłam do wypisywania pierwszego w moim życiu rachunku, który miałam oddać nazajutrz rano, stwierdziłam z przerażeniem, że nie potrafię sformułować na papierze, ile mi się należy za wykonaną pracę.

Był listopad. Już od południa niebo z wolna przybierało barwę oślego brzucha, a pod wieczór lunął deszcz, preludium nawałnicy nadchodzącej znad Morza Śródziemnego; takiej, która zwała drzewa, zrywa linie wysokiego napięcia i więzi ludzi w domach, gdzie skuleni pod kołdrą szepczą żarliwe litanie do świętej Barbary. Tuż przed zmianą pogody Dżamila odniosła gotowe stroje do rezydencji Frau Heinz. Moje pierwsze dzieła – dwie suknie wieczorowe, dwa kostiumy i komplet do tenisa – zostały zdjęte z wieszaków, gdzie czekały na ostatnie prasowanie, a potem pieczołowicie zapakowane w płócienne worki i odtransportowane na miejsce przeznaczenia. Dżamila kursowała trzy razy, a za ostatnim wróciła z zaskakującym żądaniem:

– Frau Heinz powiedzieć, że jutro rano Dżamila jej przynieść rachunek w markach niemieckich.

Resztki mojej nadziei rozwiały się, gdy wręczyła mi kopertę z listem, w którym Niemka sformułowała polecenie na piśmie. Usiadłam, żeby się spokojnie zastanowić, jak, u diabła, może wyglądać taki rachunek, i po raz pierwszy zawiodła mnie pamięć, jak dotąd moja najwierniejsza sojuszniczka. Zabrnęłam w ślepy zaułek. Kiedy urządzałam własną pracownię, kiedy szylałam pierwsze stroje, wskazówek szukałam zawsze we wspomnieniach ze świata doñi Manueli. Wszystko, czego się nauczyłam w salonie przy ulicy Zurbano, czynności powtarzane tak często, że stały się nawykiem, zapamiętane z tamtych czasów sceny i obrazy dostarczały mi inspiracji koniecznej, bym mogła odnieść sukces. Wiedziałam dokładnie, jak powinna funkcjonować dobra pracownia krawiecka, potrafiłam wziąć miarę, zrobić wykrój, splisować spódnicę, wszyć rękawy i zaprasować klapy, lecz w całym katalogu moich wspomnień i umiejętności nie znalazłam instrukcji, jak wystawić fakturę. W Madrycie często zanosilałam rachunki klientkom; niekiedy nawet wracałam z zapłatą w kieszeni. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, żeby zajrzeć do koperty i zobaczyć, jak coś takiego wygląda.

W pierwszej chwili chciałam biec do Candelarii, ale widok nieprzeniknionych ciemności za oknem, chłostanych deszczem i raz po raz rozcinanych błyskawicami, prędko odwiódł mnie od tego pomysłu. W obliczu takiej scenerii droga do pensjonatu jawiła mi się jako stroma, przepaścista ścieżka, wiodąca w otchłań piekieł. Postanowiłam zatem wymyślić coś sama:

wyposażona w papier i ołówek zasiadłam przy kuchennym stole, gotowa do pracy. Półtorej godziny później tkwiłam w tym samym miejscu, nad tysiącem rozrzuconych wokół zgniecionych karteczek, po raz piąty strugając nożem stępiony ołówek, i nadal nie wiedziałam, jak przeliczyć na marki pięćdziesiąt pięć duros, bo tyle właśnie miałam otrzymać od Niemki. I wówczas, w środku nocy, coś stuknęło głośno w szybę. Skoczyłam na równe nogi tak gwałtownie, że aż przewróciłam krzesło. Zobaczyłam światło w kuchni naprzeciwko i przez strugi deszczu dostrzegłam pulchną postać mojego sąsiada Félix: rzadkie, kręcone włosy, okulary i ramię, którym właśnie brał zamach, by rzucić w moje okno kolejną garścią migdałów. Rozzłoszczona, wychyliłam się przez parapet, żeby zażądać wyjaśnień owego niezrozumiałego zachowania, ale zanim zdążyłam powiedzieć słowo, dotarł do mnie jego głos, zagłuszany przez bębnienie ciężkich kropli o terakotę na dnie podwórka studni, lecz całkiem wyraźny:

– Potrzebuję schronienia. Boję się burzy.

Mogłam go zapytać, czy przypadkiem nie zwariował. Mogłam powiedzieć, że mnie okropnie przestraszył, krzyknąć, że jest kretynem, i po prostu zatrzaskać okno. Jednak nic takiego nie zrobiłam, bo nagle błysnęła mi w głowie myśl, że może warto skorzystać z okazji.

– Pozwolę ci wejść, jeżeli mi pomożesz – oznajmiłam, przechodząc mimowolnie na „ty”.

– Otwieraj drzwi, już pędzę.

Wiedział oczywiście, iż dwieście dwadzieścia pięć peset dawało po zamianie dwanaście reichsmarek i pięćdziesiąt

fenigów. Wiedział również, że wiarygodna faktura nie może być byle jakim świstkiem, nabazgranym tępym ołówkiem. Cofnął się do domu i wrócił po chwili z kilkoma arkuszami angielskiego papieru w kolorze kości słoniowej i piórem Watermana, które tryskało fioletowym atramentem, gdy kreślił wytworne zawijasy. Użył całej swojej inwencji, której mu nie brakowało, i całego swojego talentu, którego również mu nie brakowało, i w niespełna pół godziny, w piżamie i wśród huku grzmotów, nie tylko wypisał elegancki rachunek, od którego oko by zbielało każdej europejskiej krawcowej w Afryce Północnej, ale w dodatku nadał nazwę mojej firmie. Narodziła się Chez Sirah.

Félix Aranda był dziwnym człowiekiem. Dowcipnym, obdarzonym bujną wyobraźnią, wykształconym. Wścibskim kpiarzem, trochę ekscentrycznym i ciut impertynenckim. Nocne peregrynacje do mojego mieszkania weszły mu w krew. Nie bywał u mnie codziennie, ale przychodził często. Czasami nie widywaliśmy się przez trzy lub cztery dni, czasami wpadał pięć razy w tygodniu. Albo sześć. Albo siedem. Częstotliwość owych spotkań zależała nie od nas, lecz od stadium upojenia jego matki. Za drzwiami naprzeciwko, w świecie dziwnych rodzinnych więzi, rozgrywał się mroczny dramat. Od śmierci ojca i męża Félix i doña Encarna szli przez życie razem, w pozornej harmonii. Razem wychodzili na godzinny spacer, codziennie między szóstą i siódmą wieczór; razem uczestniczyli w mszach i nowennach, kupowali lekarstwa w aptece Benatar, uprzejmie kłaniali się sąsiadom i jadali na podwieczorek francuskie ciastka w La Campana. On zawsze troskliwy, czuły,

opiekuńczy: ostrożnie, mamó, bo możesz się potknąć, tędy, mamó, ostrożnie, ostrożnie. Ona, dumna z syna, chwaliła go na prawo i lewo: mój Félix tak mówi, mój Félix tak robi, mój Félix tak myśli, ach, mój Félix, co ja bym bez niego zrobiła.

Lecz w czterech ścianach własnego gniazdka potulne pisklę i niedołączna kwoka przeobrażali się w parę małych potworów. Tuż za progiem starsza pani wdziewała szaty domowej tyranki i niewidzialnym pejczem ćwiczyła syna do upadłego.

Podrap mnie w nogę, Félix, swędzi mnie kostka; nie tutaj, wyżej, ależ ty jesteś niezdarny, dziecko, jak ja mogłam urodzić takiego niezdarę; wyprostuj obrus, leży krzywo; nie tak, tak jest jeszcze gorzej; połóż go tak, jak przedtem, tumanie, masz dwie lewe ręce, dlaczego ja cię nie oddałam do przytułku, jak byłeś mały; zerknij no tutaj, chyba znowu mi ropieją dziąsła, podaj krople karmelitańskie, bo mam wzdęcia, natrzyj mi plecy spirytusem, uważaj, ty góro sadła, skaleczysz mnie paznokciem; podaj chustkę, muszę odkaszlnąć flegmę, przynieś plastry siostry Wirginii na lumbago; umyj mi głowę i zakręć papiloty, delikatniej, kretynie, wyrwiesz mi wszystkie włosy.

I tak dorastał Félix, wiodąc podwójne życie pupila i pariasa. Po śmierci ojca z dnia na dzień przestał być oczkiem w głowie matki: nikt nie podejrzewał, że publiczny przedmiot matczynej czułości prywatnie był obiektem ataków furii sfrustrowanej rodzicielki. Jego marzenia padły jak podcięty kosą łan zboża: chciał wyjechać z Tetuanu, studiować sztuki piękne w Sewilli lub Madrycie, odnaleźć swoją wciąż niejasną tożsamość seksualną, poznać ludzi sobie podobnych – oryginałów, dusze niespokojne, wolne ptaki. Tymczasem został przymuszony do

życia pod czujnym okiem i czarnym skrzydłem doñi Encarny. W Colegio del Pilar, u ojców marianistów, zdał maturę ze świetnym wynikiem, co i tak nie miało większego znaczenia, bo nieutulona w żalu wdowa już mu załatwiła posadę szarego jak mysz urzędnika w Miejskim Wydziale Zaopatrzenia. Stemplowanie okólników i innych papierów okazało się najlepszym sposobem na ukrócenie artystycznych zapędów syna i uwiązanie go jak psa na łańcuchu, któremu raz można dać soczysty połek mięsa, a raz kopniaka w brzuch.

Znosił te szturchańce z franciszkańską cierpliwością. Przez lata trwali w owej krzywdzącej nierównowadze: ona go tyranizowała, on znosił to pokornie, łagodnie, wyrozumiale. Trudno dociec, czego matka Félix'a oczekiwała od syna, czemu tak go traktowała, czego jeszcze chciała prócz tego, co zawsze gotów był jej dać. Miłości, szacunku, współczucia? To już miała, bez najmniejszego wysiłku; poczciwy Félix nie skąpił jej czułości.

Nie, doña Encarna żądała czegoś więcej. Uwielbienia, bezwarunkowego oddania, spełniania wszelkich, nawet najbardziej absurdalnych zachcianek. Uległości bezwarunkowej, całkowitego uzależnienia. Dokładnie tego, czego przez całe życie wymagał od niej mąż. Pewnie dlatego się go pozbyła, tak przynajmniej podejrzewałam. Félix nigdy nie mówił o tym otwarcie, ale jak Tomcio Paluch znaczący drogę kamykami, rzucał czasem jakieś słowo, które miało doprowadzić mnie do prawdy. Świętej pamięci don Nicasia zamordowała jego własna żona, tak jak być może Félix zabije swoją matkę którejs burzliwej nocy.



Trudno przewidzieć, jak długo znosiły te upokorzenia, gdyby nie nagłe objawienie, jakiego doznał pewnego wieczoru. W dowód wdzięczności za załatwienie jakiejś sprawy dostał od klienta pięto salami i dwie butelki anyżówki: chodź, mamó, spróbujemy, jeden kieliszeczek nie zaszkodzi, tylko umocz usta. Ale nie tylko usta doñi Encarny doceniły słodycz likieru; rozsmakował się w nim jej język i podniebienie, i gardło, i przełyk. A potem był przyjemny zawrót głowy. Od tej pory flaszka anyżówki stała się największą sojuszniczką Félix, jego deską ratunku i drogą ucieczki. Zaczął prowadzić już nie podwójne, lecz potrójne życie: wzorowego syna na pokaz, podnóżka matki w domowych pieleszach i lunatyka, który błąkał się po nocy w poszukiwaniu powietrza, bo dusił się w dymie domowego ogniska.

– Jeszcze małpeczkę, mamó? – padało po kolacji sakramentalne pytanie.

– A niech tam, nalej mi kropelkę dla zdrowia, bo trochę przemarzłam w kościele.

Setka lepkiego płynu wartko spływała w gardło doñi Encarny.

– Przecież ciągle powtarzam, żebyś się ciepło ubierała – odpowiadał troskliwie Félix, ponownie napełniając kieliszek po brzegi. – No, wypij sobie, zaraz cię rozgrzeje.

Po dziesięciu minutach i trzech lampkach anyżówki doña Encarna chrapała na całego, a jej syn wyfruwał z klatki do szemranych spelunek, gdzie zadawał się z ludźmi, którym za dnia, w obecności matki, nie ośmieliliby się nawet odkłonić.

Po owej pamiętnej burzy moje mieszkanie na Sidi Mandri stało się również jego stałą kryjówką. Przychodził do mnie, żeby przeglądać czasopisma, podpowiadać mi pomysły, rysować i plotkować z humorem o ludziach z towarzystwa, o moich klientkach i tych wszystkich, których codziennie mijałam na ulicy. Z wieczoru na wieczór coraz więcej się dowiadywałam o Tetuanie i jego mieszkańcach: skąd i po co przybyli na tę obcą ziemię, kim były kobiety, dla których szylałam, kto ma władzę, kto pieniądze, kto czym się zajmuje, dlaczego, kiedy i jak.

Lecz upodobanie mojej sąsiadki do butelki nie zawsze miało efekt usypiający i wówczas, niestety, sprawy się komplikowały. Sposób: ja ciebie upiję, a ty mi dasz spokój, wywoływał czasami skutki odwrotne od zamierzonego. Doña Encarna, jeśli nie zmogła jej anyżówka, staczała się na samo dno pijackiego piekła. Wtedy było najgorzej. Miast zapaść w stan łagodnej mumii przeobrażała się w grzmiącego Jowisza, zdolnego sponiewierać swoim rykiem godność największego stoika. Wyrodny syn, pokraka, łajdak, ciota to najśłabsze epitety, jakimi obrzucała Félixę, który wiedząc, że poranny kac wymaże z jej pamięci najdrobniejszy ślad nocnej awantury, odpłacał pięknym za nadobne, ciosem za cios. Wredna wiedźma, bura suka, stara kurwa. Boże, zmiłuj się, co za skandal, gdyby słyszeli to znajomi z kawiarni, apteki i kościoła. Ale już nazajutrz oboje ogarniała błogosławiona amnezja i zgodnie wychodzili na wspólny wieczorny spacer, jakby nigdy nie było między nimi żadnych spięć. Zjesz na podwieczorek babeczkę? A może wolisz paszteciki? Sam wybierz, aniołku, kochany jesteś, że tak się o mnie troszczysz, chodź, musimy się pospieszyć, trzeba złożyć

kondolencje Marii Angustias, jej bratanek zginął w bitwie pod Jaramą; biedna kobieta, masz szczęście, że jestem wdową i nie wzięli cię do wojska; o Matko Boska, co ja bym poczęła samiutka, bez ciebie, jakbyś poszedł na front.

Félix był wystarczająco bystry, by wiedzieć, że ich relacje są chorobliwe, ale nie dość odważny, żeby je ostatecznie zerwać. Być może dlatego uciekał od smutnej rzeczywistości, alkoholizując powoli matkę i wymykając się spod jej skrzydeł niczym wampir o świcie, albo śmiał się z własnej niedoli, doszukując się najbardziej kuriozalnych przyczyn owego stanu rzeczy i rozważając zastosowanie najdziwniejszych środków zaradczych. Jedną z jego rozrywek stanowiło wynajdywanie rozmaitych osobliwości w ogłoszeniach prasowych. Kiedy ja wykańczałam mankiet albo obrębiałam ostatnią tego dnia dziurkę od guzika, on wylegiwał się na sofie w salonie i przeglądając gazety, zagadywał do mnie co chwila:

– Sądziś, że to mogą być nerwy? Więc może coś takiego? Posłuchaj, posłuchaj: „Nervional. Pobudza apetyt, ułatwia trawienie, likwiduje wzdęcia, przygnębienie i huśtawkę nastrojów. Nie zwlekaj, sięgnij po Nervional”.

Albo:

– Według mnie pewnie jej wypadł dysk. Od dawna myślę, żeby jej kupić pas ortopedyczny, ciekawe, czy wtedy by jej przeszło? Ale posłuchaj tego: „Masz kłopoty z kręgosłupem? Pozbądź się problemów, korzystając z najnowszych odkryć naukowych i innowacyjnej technologii. Nasz kompresor automatyczny jest cudem techniki, łatwym i wygodnym w użyciu, który usunie wszelkie twoje dolegliwości”.

I jeszcze:

– A jeżeli to zła krew? Coś ci przeczytam: „Detoksykator Richelet. Choroby niedokrwienne. Żylaki i wrzody. Oczyszcza zatrutą moczem krew”.

Oraz wiele innych podobnych bzdur:

– Co powiesz na hemoroidy? Albo złe oko? Może poszukać w medynie jakiegoś znachora, który odczyni urok? Prawdę mówiąc, nie powinienem się tym tak zamartwiać, bo mam nadzieję, że przez te darwinowskie ciągoty zniszczy sobie wątrobę i szybko się wykończy. Butelka nie starcza jej już nawet na dwa dni, stara niedługo kompletnie mnie zrujnuje. – Przerwał swoją perorę, spodziewając się być może odpowiedzi, ale się nie doczekał; spostrzegł jednak moją minę. – No, dlaczego tak na mnie patrzysz, głuptasie? – zapytał.

– Bo nie wiem, o czym ty właściwie mówisz, Félix.

– Chodzi ci o te darwinowskie ciągoty? Nie słyszałaś o Darwinie? To ten od małp. Uważa, że wszyscy pochodzimy od naczelných. Kiedy mówiłem, że matka ma darwinowskie ciągoty, miałem na myśli, że zbzikowała na punkcie małpek anyżówki, chwytasz? Anís del Mono, „Małpi Trunek”. Oj, dziewczyno, dziewczyno, wyglądasz bosko i szyjesz jak sam anioł, ale jesteś troszkę niedouczona, wiesz?

Istotnie. Wiedziałam, że wszystkie nowe wiadomości łatwo wchodzą mi do głowy, ale byłam też świadoma zadawnionych braków w wykształceniu. Moja wiedza była więcej niż skąpa: potrafiłam wyliczyć jednym tchem najważniejszych królów, pamiętałam, że Hiszpania graniczy od północy z Morzem Kantabryjskim, a Pireneje dzielą ją od Francji. Tabliczkę

mnożenia znałam śpiewająco i doskonale radziłam sobie z codziennymi rachunkami, ale w całym swoim życiu nie przeczytałam ani jednej książki, a o historii, geografii, sztuce i polityce pojęcie miałam dość mgliste i wiedziałam tylko tyle, ile usłyszałam od Ramira i jego znajomych oraz podczas kłótni w pensjonacie Candelarii. Na pokaz mogłam uchodzić za kobietę z klasą i wziętą krawcową, ale gdyby tak ktoś zdrapał tę fałszywą pozłotkę, bez trudu odgadłby prawdę. Dlatego, tej pierwszej zimy w Tetuanie, Félix ofiarował mi osobliwy prezent: zabrał się do mojej edukacji.

Warto było, w obopólnym interesie. Ja wiele się od niego nauczyłam i nabrałam poloru. On dzięki naszym spotkaniom czuł się potrzebny i mniej samotny. Jednakże, mimo chwalebnych intencji, sąsiad mój okazał się wykładowcą mało konwencjonalnym. Félix Aranda był wolnym duchem, nieustannie tłamszonym przez despotyzm matki i dojmującą nudę biurowej rutyny, co rekompensował sobie z nawiązką na swobodzie i wówczas można było się po nim spodziewać wszystkiego oprócz porządku, umiaru i cierpliwości. Gdyby zależało mi na solidnym wykształceniu, powinnam raczej wrócić na La Luneta, żeby nauczyciel don Anselmo opracował plan dydaktyczny na miarę mojej ignorancji. Tak czy inaczej Félix, przy całym swoim rozwichrzeniu i braku metody, wpoił mi rozległą, choć nieuporządkowaną wiedzę, która jednak na dłuższą metę przydała mi się, kiedy weszłam w świat. I tak, dzięki niemu, oswoiłam się z postaciami Modiglianiego, Scotta Fitzgeralda i Josephine Baker, potrafiłam odróżnić kubizm od dadaizmu, dowiedziałam się, co to jest jazz, umiałam wskazać

na mapie europejskie stolice, zapamiętałam nazwy najlepszych hoteli i kabaretów, a nawet nauczyłam się liczyć do stu po angielsku, francusku i niemiecku.

Félix wyjaśnił mi również, skąd moi rodacy się wzięli na tej dalekiej ziemi. Dowiedziałam się, że Hiszpania roztoczyła protektorat nad Marokiem w roku 1912, kilka lat po podpisaniu z Francją traktatu z Algeciras, zgodnie z którym, jak to bywa z ubogimi krewnymi, dostała jej się najgorsza część kraju, najbiedniejsza, najmniej pożądana. Afrykański kotlet, mawiano. Moja ojczyzna wiązała z tym skrawkiem terytorium wielkie nadzieje. Chciała ożywić imperialne marzenia, uczestnicząc w gronie wielkich europejskich potęg w owej afrykańskiej uczcie kolonialnej, nawet gdyby musiała zadowolić się jedynie okruchami z pańskiego stołu; nie dorastając do pięt Anglii czy Francji, chciała uszczknąć dla siebie choćby kawałek tortu, bo po utracie Kuby i Filipin „skóra byka”<sup>14</sup> biedna była jak mysz kościelna.

Utrzymanie kontroli nad Marokiem okazało się niełatwe, mimo iż obszar wyznaczony przez traktat z Algeciras był niewielki, niezbyt żyzny i słabo zaludniony. W kraju protektorat miał wielu przeciwników, a bezlitosna wojna z Rifenami kosztowała życie tysięcy hiszpańskich żołnierzy. A jednak się udało: niemal dwadzieścia pięć lat po oficjalnym ustanowieniu protektoratu i stłumieniu oporu powstańców moi rodacy na dobre się tu zadomowili, a Tetuan rozrastał się i wciąż zyskiwał na znaczeniu. Wojskowi wszystkich szczebli, celnicy, urzędnicy pocztowi, nadzorcy robót publicznych, pracownicy banków. Przedsiębiorcy i akuszerki, nauczyciele, aptekarze,

prawnicy i subiekci. Kupcy, murarze. Lekarze i zakonnice, pucybuci, kantyniarze. Przyjeżdżali tu wraz z rodzinami, w poszukiwaniu lepszej płacy i przyszłości, kształtowanej przez różne kultury i religie. A ja wśród nich, jedna z nich. W zamian za ćwierćwiecze swojej narzuconej siłą obecności Hiszpania dała Maroku infrastrukturę, służbę zdrowia, drogi, mosty i powolną modernizację rolnictwa. I szkołę rzemiosł tradycyjnych. I wszystko to, co przeznaczone było dla kolonizatorów, a z czego korzystali również rdzenni mieszkańcy: sieć energetyczną, wodę pitną, szkoły i uczelnie, sklepy, transport publiczny, przychodnie i szpitale, kolej łączącą Tetuan z Ceutą i plażami w Río Martín. Hiszpania od Maroka dostała w sensie materialnym niewiele, bo i bogactw tam było mało. Zyskała za to mięso armatnie, gdyż tysiące mauretańskich żołnierzy przelewały krew po drugiej stronie Cieśniny, walcząc za cudzą sprawę pod komendą zbuntowanych generałów.

Prócz wiedzy otrzymałam od Félix'a coś jeszcze: jego stałą obecność, jego przyjaźń oraz kopalnię pomysłów. Niektóre były znakomite, inne zbyt ekscentryczne, ale przynajmniej mieliśmy się z czego pośmiać wieczorami, a to już dużo dla dwóch samotnych dusz, takich jak my. Nigdy nie zdołał mnie przekonać, żebym zmieniła moją pracownię w surrealistyczne studio eksperymentalne, gdzie powstawałyby kaptury w kształcie buta, a modelki na szkicach miały na głowie telefon zamiast kapelusza. Nie przekonał mnie też do paciorków z muszelek, pasków z esparto i odmowy przyjmowania

zamówień od mało szykownych klientek. Wzięłam jednak pod uwagę inne sugestie.

Za jego radą zmieniłam sposób mówienia. Raz na zawsze wytrzebiłam z mojej jędrnej hiszpańszczyzny wulgaryzmy i potoczności. Stworzyłam sobie nowy styl, bogatszy i bardziej wyszukany. Zaczęłam wplatać do swojego języka francuskie słówka i wyrażenia, zasłyszane w kawiarniach Tangeru, chwywane w locie podczas przypadkowych rozmów z ludźmi, z którymi nigdy nie zamieniłam więcej niż dwa, trzy zdania. Było to tylko kilka zwrotów, raptem z pół tuzina, ale Félix nauczył mnie, jak je poprawnie wymawiać i kiedy wtrącać. Wszystko, żeby zrobić wrażenie na klientkach, tych obecnych i tych przyszłych. Upinając coś szpilkami, miałam zapytać *vous permettez?*, skończywszy, stwierdzić *voilà tout* i wyrazić zachwyty okrzykiem *très chic!* Miałam wspominać o *maisons de haute couture*, dając do zrozumienia, że ich właściciele byli moimi przyjaciółmi, i o *gens du monde*, których poznałam w moich domniemanych wojażach po całym świecie. Wszystkie proponowane fasony, style i dodatki powinnam reklamować jako *à la française*, a wszystkie klientki traktować per *madame*. Aby zadośćuczynić uczuciom patriotycznym, postanowiliśmy, że przy klientkach hiszpańskich wspominać będę mimochodem o miejscach i osobach, z którymi zetknęłam się w czasach, gdy jako dziewczyna na posyłki bywałam w najlepszych madryckich domach. Miałam rzucać od niechcienia nazwiska i tytuły niejako przy okazji, bez najmniejszej ostentacji, jak ktoś, kto przypadkiem upuszcza chusteczkę. Że inspiracją dla tego modelu stał się kostium, który parę lat temu



uszyłam dla mojej przyjaciółki, markizy de Puga, na inaugurację sezonu polo w Puerta de Hierro; że w sukni z tamtego materiału najstarsza córka hrabiostwa del Encinar wystąpiła na balu debutantek, jaki wydali dla niej w swoim pałacyku przy ulicy Velázquez.

Posłuszna sugestiom Félix'a, zamówiłam w Papierni Afrykańskiej kasetkę wizytówek w kolorze kości słoniowej, z moim nazwiskiem i adresem firmy; obstałowałam też złotą tabliczkę na drzwi z wygrawerowaną pismem angielskim nazwą: *Chez Sirah – Grand couturier*. Twierdził, że to w stylu najlepszych francuskich domów mody. Jego pomysłem było też „h” na końcu mojego imienia. Niech zapachnie wielkim światem, powiedział. Wielki świat? Czemu nie. Podjęłam tę grę, bo przecież nikomu chyba nie szkodziła owa odrobina *folie de grandeur*. Wzięłam zatem pod uwagę jego rady nie tylko w tej sprawie, ale i w tysiącu innych szczegółów, dzięki czemu, niczym artystka w cyrku o trzech arenach, za jednym zamachem zrobiłam salto w przyszłość i – czary, mary – wyciągnęłam z kapelusza zupełnie nową przeszłość. Nie musiałam się nawet zbytnio wysilać: za pomocą trzech lub czterech póz, paru zręcznych trików i kilku wskazówek mojego prywatnego Pigmaliona wciąż jeszcze ograniczona klientela Chez Sirah sama, w ciągu niespełna dwóch miesięcy, ułożyła sobie bajkę o moim życiu.

W oczach maleńkiej kolonii dam z emigracyjnego światka, korzystających z moich usług, uchodziłam za młodą projektantkę mody, córkę zrujnowanego milionera, zaręczoną z przystojnym arystokratą, uwodzicielem i łowcą przygód. Wedle

powszechnych domysłów wędrowaliśmy z kraju do kraju, zmuszeni z powodu niepewnej sytuacji politycznej do zlikwidowania naszych licznych interesów i domów w Madrycie. Mój narzeczony przebywał w Argentynie, gdzie kierował siecią dobrze prosperujących przedsiębiorstw, a ja, oczekując jego powrotu, osiadłam na jakiś czas w stolicy Protektoratu, żeby podreperować swoje wątłe zdrowie w dobroczynnym klimacie Maroka. A ponieważ przywykłam do szybkiego rytmu światowego życia, nie potrafiłam spokojnie usiedzieć na miejscu i musiałam się czymś zająć. Postanowiłam zatem otworzyć w Tetuanie małą pracownię krawiecką. Wyłącznie dla rozrywki, ma się rozumieć. Tylko dlatego nie żądam za stroje astronomicznych sum i przyjmuję wszystkie zamówienia.

Nigdy nie zdementowałam żadnego fragmentu owego wizerunku, skonfigurowanego dzięki malowniczym sugestiom mojego przyjaciela Félix'a. Nie dodałam też nic od siebie; pozostawiłam wszystko w sferze nieświadomości i domysłów, by podsyć ludzką ciekawość, stać się postacią nieco zagadkową i odrobinę nierzeczywistą. Przynęta chwyciła. I to jak. Gdyby mnie teraz widziały inne szwaczki z zakładu doñi Manueli. Gdyby mnie teraz widziały sąsiadki z placu Paja, gdyby widziała mnie moja matka... Moja matka. Starłam się myśleć o niej możliwie jak najmniej, lecz jej wspomnienie dręczyło mnie nieustannie. Znałam ją. Była silna i zaradna, potrafiła walczyć o swoje. Ale tak bardzo chciałam się dowiedzieć, co u niej słyhać, upewnić się, że jakoś wiąże koniec z końcem, chociaż została zupełnie sama i prawie bez środków do życia. Tak bardzo

pragnęłam jej przekazać, że jestem zdrowa, znowu samotna i że wróciłam do szycia. Pilnie śledziłam nadawane przez radio informacje, a Dżamila codziennie rano szła do kiosku Alcaraz po „La Gaceta de África”. Drugi zwycięski rok generała Franco – obwieszczały nagłówki na pierwszej stronie. Mimo iż wszystko docierało do nas przefiltrowane przez cenzurę narodowców, miałam jakie takie pojęcie o tym, co się dzieje w Madrycie, i że stolica nadal się broni. Świadoma sytuacji, musiałam się pogodzić z tym, że chwilowo przynajmniej bezpośredni kontakt z matką jest niemożliwy. Jakże za nią tęskniłam, ileż bym dała, żeby mieć ją obok siebie w tym egzotycznym, świetlistym mieście, żeby razem z nią urządzać pracownię, zajadać jej pożywne zupy, wysłuchiwać zawsze trafnych rad. Lecz Dolores była gdzie indziej, a ja musiałam sobie radzić sama, wśród obcych, bez możliwości powrotu dokądkolwiek, i walczyć o przetrwanie, tworząc dla siebie zmyśloną tożsamość, w którą przyoblekałam się codziennie, wstając rano z łóżka; wszystko po to, by nikt się nie dowiedział, że jakiś nicpoń bez skrępowań podeptał mi serce, a stos czarnych pistoletów dał początek firmie, dzięki której miałam co jeść.

Wracałam też myślami do Ignacia. Nie tęskniłam do jego bliskości fizycznej; obecność Ramira była tak brutalnie głęboka, tak dojmująca, że tamte pierwsze doznania, jakże łagodne, jakże lekkie, zdawały się czymś odległym i mglistym, cieniem, który z wolna zaciera się i rozprasza. Ale z nostalgią wspominałam jego wierność, jego czułość i moją pewność, że przy nim nic złego nie mogłoby mnie spotkać. Często natomiast, o wiele częściej, niżbym sobie tego życzyła, wdzierała się do

mojej pamięci postać Ramira, nagle, nieoczekiwanie, niby cios sztyletem zadany z nienacka. Bolało, jasne, że bolało. Bolało dotkliwie, lecz nauczyłam się z tym żyć: wlokłam za sobą to brzemie niczym kulę u nogi, która choć utrudnia marsz i zmusza do ogromnego wysiłku, pozwala jednak iść dalej.

Wszystkie te zjawy – Ramiro, Ignacio, matka, przeszłość, utracone szczęście – mniej lub bardziej ulotne, ale wciąż żywe, towarzyszyły mi niemal stale i musiałam się pogodzić z ich obecnością. Nachodziły mnie, kiedy byłam sama, w ciche popołudnia spędzane w pracowni wśród wykrojów i fastryg, w łóżku przed zaśnięciem albo wieczorami, w półmroku salonu, kiedy Félix wymykał się na swoje tajemnicze wyprawy. Przez resztę dnia zostawiały mnie w spokoju: prawdopodobnie czuły, że byłam zbyt zajęta, by je zauważyć. Miałam dość roboty z prowadzeniem firmy i tworzeniem mojego fikcyjnego wizerunku.

## 17

Na wiosnę miałam więcej pracy. Robiło się coraz cieplej i moje klientki potrzebowały lekkich strojów na nadchodzące słoneczne poranki i letnie marokańskie noce. Pojawiło się kilka nowych twarzy: ze dwie Niemki i parę Żydówek. Dzięki Félixowi wiedziałam mniej więcej, z kim mam do czynienia. Mijał się z nimi w bramie i na schodach, na podeście i na ulicy, kiedy odwiedzały moją pracownię. Przyglądał się im, zapamiętywał; bawiło go zbieranie skrawków informacji to tu, to tam, żeby sporządzić jak najdokładniejszą charakterystykę postaci: kim były te kobiety, skąd pochodziły, jakie miały

rodziny i plany na przyszłość. A kiedy jego matka, na wpół przytomna, ze strużką pijackiej śliny w kącikach warg, nieruchomiała w fotelu, zdawał mi szczegółową relację ze swojego śledztwa.

Tak dowiedziałam się na przykład kilku szczegółów o Frau Langenheim, jednej z moich najwierniejszych klientek. Jej ojciec był włoskim ambasadorem w Tangerze, a matka Angielką, lecz ona sama przyjęła nazwisko męża, inżyniera górnictwa, wysokiego, starszego pana z łysiną, szanowanego członka małej, lecz dość prężnej kolonii niemieckiej w Maroku hiszpańskim. To naziści, twierdził Félix, którzy ku wielkiemu zaskoczeniu republikanów już w kilka dni po puczu generałów udzielili im – z osobistego rozkazu Hitlera – pierwszego wsparcia z zagranicy. Upłynęło sporo czasu, zanim mogłam ocenić, w jakim stopniu działalność nadętego małżonka mojej klientki wpłynęła na przebieg wojny domowej. Jest jednak faktem, iż za sprawą Langenheima i Bernhardta, innego niemieckiego rezydenta w Tetuanie, dla którego żony też kiedyś coś uszyłam, Franco niespodziewanie i w bardzo krótkim czasie otrzymał znaczną pomoc wojskową, dzięki której przerzucił swoje oddziały na Półwysep. Wiele miesięcy później, w dowód wdzięczności i uznania zasług męża, odebrała z rąk kalifa najwyższe odznaczenie przyznawane na terenie Protektoratu, a ja uszyłam jej na tę uroczystość suknię z jedwabiu i organdy.

Na długo przedtem, w pewien kwietniowy poranek, Frau Langenheim przyszła do mnie w towarzystwie jakiejś nieznanym. Zadzwieczył dzwonek, Dżamila otworzyła drzwi. Czekałam w salonie, udając, że właśnie oglądam pod światło

tkaninę, uznałam bowiem, że tak będzie bardziej profesjonalnie i zrobię lepsze wrażenie na klientce.

– Przeprowadziłam moją angielską przyjaciółkę, żeby obejrzała pani kreacje – powiedziała Niemka, pewnym krokiem wchodząc do mieszkania.

Obok niej zobaczyłam wysmukłą blondynkę, której cudzoziemski wygląd nie budził najmniejszych wątpliwości. Na oko była mniej więcej w moim wieku, ale sądząc z wyzywającej swobody, z jaką się zachowywała, równie dobrze mogłaby żyć przynajmniej o tysiąc lat dłużej niż ja. Uderzyła mnie jej spontaniczna bezceremonialność, obezwładniająca pewność siebie oraz niedbała elegancja, z jaką na powitanie musnęła palcami moją wyciągniętą dłoń, jednocześnie pełnym gracji ruchem odgarniając z czoła niesforny lok. Nazywała się Rosalinda Fox, miała skórę jasną i delikatną jak bibułka do pakowania koronek, a także osobliwą manierę wplatania w konwersację obcych słów, co sprawiało, że czasem trudno ją było zrozumieć.

– Pilnie potrzebuję nowej garderoby, *so ... I believe*, że pani i ja jesteśmy skazane... *err... to understand each other*. Dogadać się, *I mean* – oznajmiła, puentując swą wypowiedź stłumionym śmiechem.

Frau Langenheim nie chciała usiąść, wymawiając się krótkim: „Spieszę się, kochana, właściwie już powinnam wyjść”. Mimo niemieckiego nazwiska i włosko-angielskich korzeni płynnie mówiła po hiszpańsku.

– Rosalinda, *cara mia*, zobaczymy się wieczorem na koktajlu u konsula Leoniniego – powiedziała, żegnając się z przyjaciółką.

– *Bye, sweetie, bye, adiós*, do widzenia.

Zostałam sama z nieznajomą. Usiadłyśmy, a ja, zgodnie z przyjętym przez siebie protokołem, zaczęłam roztaczać przed nią swój katalog wystudiowanych póz i słów; przejrzałyśmy żurnale, pokazałam jej tkaniny. Ja doradziłam, ona wybrała; potem zmieniła zdanie, wróciła do poprzedniego, wybrała jeszcze raz. Jej naturalny, a zarazem uprzejmy sposób bycia sprawił, że od samego początku dobrze się czułam w jej obecności. Bywało, że męczyła mnie sztuczność mojego zachowania, zwłaszcza gdy miałam przed sobą szczególnie wymagające klientki. Tym razem jednak wszystko poszło gładko, bez fochów i wygórowanych żądań.

Przeszłyśmy do ubieralni, gdzie wzięłam miarę; nigdy nie widziałam równie szczupłej osoby i tak filigranowych kości; jak u kotki. Wróciłyśmy do rozmowy o tkaninach i wykrojach, rękawach i dekoltach; jeszcze raz przyjrzałyśmy się wybranym modelom, uzgodniłyśmy wszystko ostatecznie, zrobiłam listę. Poranna suknia z wzorzystego jedwabiu, *tailleur* z chłodnej wełny w odcieniu koralowego rózu i wieczorowa toaleta na wzór najnowszej kolekcji Lanvina. Umówiłyśmy się, że przyjdzie do mnie za dziesięć dni, i uznałam rozmowę za skończoną. Tymczasem moja nowa klientka najwyraźniej miała ochotę zostać. Rozsiadła się wygodnie na sofie, wyjęła papierośnicę z kości słoniowej i poczęstowała mnie papierosem. Paliłyśmy, komentując wybrane modele. Swoim łamanym, obco brzmiącym językiem tłumaczyła mi, co jej się podoba, a co nie. Wskazując rysunki w żurnalach, zapytała, jak powiedzieć po hiszpańsku „haft”, „poduszka”, „klamerka”. Chętnie udzieliłam

tych wyjaśnień, pośmiałyśmy się trochę z jej wymowy, zapaliłyśmy znowu i wreszcie zaczęła się zbierać do wyjścia, spokojnie, bez pośpiechu, jakby nie miała co robić i jakby nikt na nią nigdzie nie czekał. Przedtem jeszcze poprawiła makijaż, kontemplując bez szczególnego zainteresowania swoje odbicie w lusterku od puderniczki. Niedbale przeczesła grzebieniem złociste fale włosów, włożyła kapelusz i rękawiczki, wzięła torebkę – wszystko niezwykle eleganckie i w najlepszym gatunku, choć na pewno nie nowe. Odprowadziłam ją do drzwi, usłyszałam na schodach stukot obcasów i na wiele dni straciłam ją z oczu. Nigdy nie spotkałam jej w trakcie popołudniowych spacerów ani w sklepie, ani w kawiarni, nikt o niej nie wspomniał w mojej obecności, a i ja nie próbowałam się dowiedzieć, kim była owa Angielka, która zdawała się mieć stanowczo za dużo czasu.

Byłam w tamtym okresie bardzo zajęta: rosnąca liczba klientek w nieskończoność wydłużała moje godziny pracy, ale starałam się oszczędnie gospodarować czasem i często szłam do białego rana, dzięki czemu zawsze dotrzymywałam terminów. Po dziesięciu dniach od tamtego spotkania trzy stroje dla Rosalindy Fox wisiały na manekinach, gotowe do pierwszej przymiarki. Nie przyszła. Nie pokazała się też ani drugiego, ani trzeciego dnia. Nie pofatygowała się, żeby zadzwonić, nie przesłała liściku z przeprosinami, nie przełożyła terminu przymiarki. Coś takiego zdarzyło mi się po raz pierwszy. Pomyślałam, że może nie miała zamiaru wracać, że była tylko bawiącą tu przejazdem cudzoziemką, jedną z owych uprzywilejowanych istot, które mogły wyjeżdżać z



Protektoratu, kiedy chcą, i swobodnie podróżować za granicę; prawdziwą kosmopolitką, a nie podróbką światowej kobiety jak ja. Nie umiając znaleźć racjonalnego wyjaśnienia jej zachowania, postanowiłam więcej o tym nie myśleć i zająć się innymi zamówieniami. Po pięciu dniach od wyznaczonej daty przymiarki zjawiała się nagle, jak piorun z jasnego nieba, akurat w chwili, kiedy siadałam do obiadu. Pracowałam od samego rana i dopiero koło trzeciej znalazłam trochę czasu, żeby coś przekąsić. Zabrzęczał dzwonek u drzwi, Dżamila poszła otworzyć, a ja kończyłam w kuchni pieczonego platanu. Usłyszawszy w przedpokoju głos Angielki, umyłam ręce nad zlewem i pobiegłam włożyć buty na obcasach. Po drodze oblizałam zęby z resztek jedzenia, poprawiłam włosy, wyprostowałam przekręconą spódnicę i wygładziłam klapy zakietu. Powitała mnie wylewnie.

– Tysiącrotnie przepraszam, że nie przyszłam wcześniej, a teraz zjawiam się bez spowiedzi... tak się to mówi?

– Zapowiedzi.

– Zapowiedzi, *sorry*. Nie było mnie *a few days*, musiałam coś załatwić na Gibraltarze; obawiam się, że nie poszło mi najlepiej. *Anyway*, mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Ależ skąd – skłamałam. – Proszę, proszę wejść.

Zaprowadziłam ją do ubieralni i pokazałam stroje. Nie szczędząc zachwyków, rozebrała się do bielizny. Miała na sobie atłasową kombinację, która kiedyś musiała być prześliczna, jednak zużycie i upływ czasu odebrały jej część dawnego szyku. Jedwabne pończochy również nie wyglądały na nowe, chociaż widać było gołym okiem, że są w doskonałym

gatunku. Przez delikatną, niemal przezroczystą skórę jej szczupłego ciała prześwitywały błękitne żyły, można było niemal dostrzec, jak krąży w nich krew. Przymierzyła po kolei wszystkie kreacje. Z ustami pełnymi szpilek upinałam każdą fałdkę materiału na kruchej, kościstej sylwetce. Wydawała się zadowolona, godziła się na wszystkie sugestie, prawie niczego nie kazała zmieniać. Kiedy skończyłyśmy, zapewniłam, że wszystko będzie *tres chic*. Wyszłam i czekałam w salonie, aż się ubierze. Zajęło jej to ledwie parę minut, a kiedy wróciła, domyśliłam się z jej zachowania, że pomimo nagłego wtargnięcia do mojego domu znowu wcale jej się nie spieszy. Zaproponowałam herbatę.

– Marzę o filiżance darjeeling z kropelką *leite*<sup>15</sup>, ale pani pewnie chodziło o ten zielony miętowy napar, *right*?

Nie miałam pojęcia, za jakim napojem tak tęskni, ale nie dałam tego po sobie poznać.

– Tak, mówimy na to „mauretańska herbata” – odparłam niezmiészana. Poprosiłam, żeby się rozgościła, i zawołałam Dżamilę.

– Jestem Angielką – wyjaśniła – ale większą część życia spędziłam w Indiach. Prawdopodobnie nigdy już tam nie wrócę i brakuje mi *várias coisas*<sup>16</sup>, do których tam przywykłam: na przykład *nosso*<sup>17</sup> *tea*.

– Świetnie panią rozumiem. Mnie też ciężko jest się przyzwyczać do tutejszych warunków i wciąż tęsknię za tym, co zostawiłam.

– Gdzie pani mieszkała?

– W Madrycie.

– A przedtem?

O mało nie parsknęłam śmiechem: co by było, gdybym zapomniała o kłamstwach wymyślonych na okoliczność mojej rzekomej przeszłości i powiedziała, że nie ruszyłam się na krok z rodzinnego miasta, dopóki pewien drań nie wywiózł mnie stamtąd tylko po to, by potem porzucić jak zepsutą zabawkę. Opanowałam się jednak i odparłam wymijająco:

– Tu i tam, różnie... wie pani, jak to jest. Ale w Madrycie najdłużej. A pani?

– *Let's see*, niech policzę. – Zrobiła zabawną minę. – Urodziłam się w Anglii, ale zaraz zabrali mnie do Kalkuty. Kiedy miałam dziesięć lat, rodzice posłali mnie do szkoły, to znowu w Anglii, err... Jak skończyłam szesnaście, wróciłam do Indii, a jako dwudziestolatka ruszyłam *again* na Zachód. Spędziłam jeden sezon w Londynie, potem wyjechałam na długo do Szwajcarii. Err... Później, *um ano* (rok) w Portugalii... To dlatego czasami myślę hiszpański z portugalskim. A teraz wreszcie osiadłam w Afryce: najpierw w Tangerze, a od niedawna tutaj, w Tetuanie.

– Wiodła pani ciekawe życie – powiedziałam, próbując wyłuskać jakiś sens z owego potoku obcych słów i egzotycznych nazw.

– *Well*, zależy, jak na to spojrzeć – odparła, wzruszając ramionami, i ostrożnie, żeby się nie oparzyć, wypila łyk herbaty wniesionej właśnie przez Dżamilę. – Chętnie zostałabym na zawsze w Indiach, ale pojawiły się nadspodziewane komplikacje i musiałam wyjechać. Czasami los decyduje za nas, *right? After all*, err... *that's life*. Takie jest życie, prawda?

Mimo jej dziwacznej mowy i oczywistego dystansu, jaki dzielił jej świat od mojego, doskonale rozumiałam, co miała na myśli. Wypiłyśmy herbatę, gawędząc o rzeczach bez znaczenia: drobnych poprawkach przy rękawach sukni z wzorzystego jedwabiu *doupion* i terminie następnej przymiarki. Zerknęła na zegarek i nagle jakby sobie o czymś przypomniała.

– Muszę już iść – powiedziała, wstając. – Zapomniałam, że przed powrotem do domu muszę zrobić *some shopping*, a potem jeszcze doprowadzić się do porządku. Wybieram się na koktajl do belgijskiego konsula.

Mówiła, nie patrząc na mnie, zajęta wciąganiem rękawiczek i wkładaniem kapelusza. Obserwowałam ją ciekawie, zastanawiając się, z kim chadza na te wszystkie rauty, z kim dzieli swobodę podróżowania, kiedy chce i dokąd chce – ową nieustanną włączkę z kontynentu na kontynent i beztraskie życie zamożnej damy, która pija herbatę pachnącą wszystkimi stronami świata, a do rozmowy wtrąca słowa z nieznanymi mi języków. Porównując to łatwe, próżniacze życie z moją codzienną harówką, poczułam coś jakby lekkie ukłucie zazdrości.

– Gdzie tu można kupić kostium kąpielowy? – zapytała nagle.

– Dla pani?

– Nie, dla *meu filho*<sup>18</sup>.

– Słucham?

– *My son. No, that's English, sorry.* Mojego syna?

– Pani syna? – powtórzyłam z niedowierzaniem.

– Mój syn, *that's the word*. Nazywa się Johnny, ma pięć lat *and he's so sweet...* Słoneczko moje kochane.

– Ja też jestem w Tetuanie od niedawna, chyba nie potrafię pani pomóc – powiedziałam, starając się nie okazać konsternacji.

W idyllicznym obrazie życia tej rozpieszczonej, lekkomyślnej kobiety, jaki stworzyłam sobie przed zaledwie kilkoma sekundami, było miejsce dla przyjaciół i wielbicieli, dla kieliszków szampana, międzykontynentalnych wojaży, jedwabnej bielizny, dancingów do białego rana, wieczorowych sukni *haute couture* i być może, z trudem, dla młodego męża, równie urodziwego i beztroskiego jak ona. Ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że ma syna, bo zupełnie nie mogłam jej sobie wyobrazić jako matki. A jednak najwidoczniej nią była.

– Trudno, nie szkodzi, coś znajdę – rzuciła na pożegnanie.

– W takim razie powodzenia. Jesteśmy umówione za pięć dni, będzie pani pamiętać?

– Przyjdę na pewno, *I promise*.

I wyszła.

Nie dotrzymała obietnicy. Pojawiła się nie piątego, lecz czwartego dnia – wpadła bez uprzedzenia, jak po ogień. Dżamila zaanonsowała ją tuż przed południem, kiedy robiłam przymiarke Elviricie Cohen, córce właściciela Teatru Narodowego, a zarazem jednej z najpiękniejszych kobiet, jakie widziałam w życiu.

– Pani Rosalinda mówić, że ona koniecznie rozmawiać z panią Sirą.

– Powiedz jej, żeby zaczekała, za minutkę przyjdę.

Minut upłynęło znacznie więcej, co najmniej dwadzieścia, ponieważ musiałam jeszcze zrobić sporo

poprawek przy sukni, w której prześliczna Żydówka o gładkiej skórze miała zabłysnąć na przyjęciu. Podnieś no tu odrobinę, królowo, pięknie teraz leży, i jeszcze tutaj, właśnie tak, złoto ty moje – mówiła swoją śpiewną *haketía*.

Od Félix'a, jak zawsze, dowiedziałam się co nieco o sytuacji Żydów sefardyjskich w Tetuanie. Jedni byli bogaci, inni biedni, wszyscy trzymali się razem, tworząc odrębną wspólnotę; dobrzy kupcy, którzy osiedli na północy Afryki, kiedy przed wiekami wygnano ich z Półwyspu, a od niedawna pełnoprawni obywatele Hiszpanii, jako że przed paru laty Republika oficjalnie uznała ich iberyjskie korzenie. Sefardyjczycy stanowili mniej więcej dziesiątą część ludności miasta, ale w swych rękach skupili niemal całą gospodarkę Tetuanu. To oni wybudowali większość nowych gmachów, to oni byli właścicielami najlepszych sklepów: z biżuterią, z obuwem, z tkaninami i konfekcją. Wyrazem ich finansowej potęgi były centra edukacyjne Alliance Israelite, własne kasyno oraz liczne synagogi, w których zbierali się na modlitwę i hebrajskie święta. Prawdopodobnie na jedną z takich uroczystości Elvira Cohen założyć miała suknię z grogrenu, którą przymierzała w chwili, gdy nieprzewidywalna Rosalinda Fox złożyła mi trzecią wizytę.

Stała przy oknie w salonie, wyraźnie niespokojna. Obie moje klientki wymieniły z daleka uprzejme ukłony: Angielka z roztargnieniem, sefardyjka zaintrygowana i chyba trochę zaskoczona.

– Mam kłopot – powiedziała Rosalinda Fox, kiedy trzaśnięcie drzwiami oznajmiło, że zostałyśmy same.

– Co się stało? Zechce pani usiąść?

– Wolałabym się napić. *A drink, please.*

– Obawiam się, że mogę panią poczęstować jedynie herbatą, kawą albo szklanką wody.

– Evian?

Pokręciłam głową, myśląc, że powinnam zaopatrzyć się w barek, żeby podnosić na duchu roztrzęsione klientki.

– *Never mind* – szepnęła, opadając bezwładnie na fotel.

Poszłam za jej przykładem. Usadowiłam się naprzeciwko, wprawnie założyłam nogę na nogę, po czym zamieniłam się w słuch, czekając, aż wyjaśni mi powód niespodziewanej wizyty. Wyjęła papierośnicę i zapaliła papierosa, niedbale rzucając etui na sofę. Zaciągnęła się dymem, łapczywie, głęboko. Dopiero wtedy spostrzegła, że mnie nie poczęstowała, i z przepaszającym uśmiechem wyciągnęła rękę, jakby chciała naprawić swój nietakt. Powstrzymałam ją słowami: nie, dziękuję. Wkrótce miała przyjść następna klientka i nie chciałam, żeby w ubieralni wyczuła ode mnie tytoń. Zamknęła papierośnicę i wreszcie się odezwała.

– Potrzebuję *an evening gown*, err... jakiejś wspaniałej kreacji na dzisiejszą *noite*<sup>19</sup>. Nieprzepowiedziane zaproszenie... Muszę wyglądać *like a princess*.

– Jak księżniczka?

– *Right*. Jak księżniczka. Tak się chyba mówi? *Muito, muito*<sup>20</sup> elegancko.

– Suknia wieczorowa jest przygotowana do drugiej przymiarki.

– Zdąży pani na dziś?

– Absolutnie niemożliwe.

– A jakiś inny model?

– Niestety, nie mogę pani pomóc. Nie mam tu nic takiego, nie robię gotowej konfekcji. Szyję tylko na miarę.

Znów zaciągnęła się papierosem, tym razem jednak przyglądała mi się bacznie zza chmury dymu. Z jej twarzy zniknęła infantylna minka rozpieszczonej dziewczynki; miałam przed sobą zdenerwowaną kobietę, która nie zamierzała się poddać tak łatwo.

– Muszę coś mieć. Wyjeżdżając z Tangeru, spakowałam kilka *trunks*, kilka skrzyń z rzeczami, których nie chciałam już nosić, żeby wysłać to do Anglii, do matki. Przez pomyłkę zabrali *também*<sup>21</sup> kufer z moimi *evening gowns* i wszystkie *meus* suknie *de noite* (moje suknie wieczorowe.). Czekam, aż mi go odeślą *back*, z powrotem. I właśnie się dowiedziałam, że na dziś *noite* zostałam zaproszona na przyjęcie, wydawane *by the German consul*, przez niemieckiego konsula. Err... *It's the first time*, pierwszy raz pokażę się publicznie w towarzystwie pewnego... pewnego... pewnej osoby, z którą mam... mam... *liason*<sup>22</sup> *muito especial*<sup>23</sup>.

Mówiła szybko, ale starannie dobierając słowa tak, żebym dobrze zrozumiała jej niewprawną hiszpańszczyznę, którą z nerwów kaleczyła wtrętami z portugalskiego i swego ojczystego języka angielskiego bardziej niż w trakcie naszych poprzednich spotkań.

– *Well, it is...* mmm... *It's muito* ważne *for... for... for him*, dla tej osoby, i dla mnie, żebym zrobiła *buona impressão*<sup>24</sup> na



*members of the German colony*, niemieckiej kolonii w Tetuanie. *So far, hasta ahora*, Mrs Langenheim ułatwiła mi znajomość z kilkoma z nich, bo ona jest *half English*, na wpół Angielką, err... ale dziś *noite* pierwszy raz pokażę się publicznie z tą osobą, *openly together*, jawnie razem i dlatego muszę tam iść *extremely well dressed*, świetnie, naprawdę świetnie ubrana, a... a...

Przerwałam jej. Niepotrzebnie się wysilała, skoro i tak nie mogłam nic dla niej zrobić.

– Ogromnie mi przykro, proszę mi wierzyć. Bardzo chciałabym jakoś pomóc, ale to zupełnie niemożliwe. Jak już mówiłam, nie mam u siebie w atelier gotowych strojów, a na uszycie czegoś od początku nie wystarczy kilka godzin. Potrzeba przynajmniej trzech, czterech dni.

W milczeniu, jakby nieobecna, zgasła niedopałek. Przygryzła wargi, odczekała kilka sekund i zaatakowała znowu, tym razem pytaniem nadzwyczaj dla mnie niewygodnym.

– A może mi pani pożyczy którąś ze swoich kreacji?

Kręciłam przecząco głową, w popłochu szukając jakiejś wiarygodnej wymówki, która ukryłaby żaloszny fakt, iż żadnej takiej sukni nie posiadam.

– Nie bardzo. Wszystkie moje ubrania zostały w Madrycie i po wybuchu wojny już nie mogłam ich odzyskać. Tutaj mam tylko kilka codziennych strojów, nic, co by się nadawało na wieczór. Rzadko bywam w towarzystwie. Mój narzeczony przebywa w Argentynie, więc...

Odetchnęłam z ulgą, bo nie czekając na dalsze usprawiedliwienia, ucięła krótko:

– *I see*, rozumiem.

Siedziałyśmy w milczeniu przez kilka nieskończonych chwil, unikając nawzajem swego wzroku; każda z nas ukrywała własne zakłopotanie, wpatrując się pilnie w inny kąt salonu. Jedna w okna, druga w łuk nad wyjściem do przedpokoju. Rosalinda Fox pierwsza przerwała pełną napięcia ciszę.

– *I think I must leave now*. Muszę iść.

– Naprawdę bardzo mi przykro. Gdybyśmy miały trochę więcej czasu...

Nie dokończyłam, bo i po co. Dalsza rozmowa nie miała sensu. Niepotrzebnie próbowałam zmienić temat, odwrócić jej uwagę od smutnej prawdy o nieudanym wieczorze z kimś, kogo zapewne kochała. Nadal intrygowało mnie życie tej kobiety, jeszcze niedawno tak przebojowej, która teraz, zasępiona i jakby nieobecna, zabrała swoje rzeczy i ruszyła w stronę drzwi.

– Jutro wszystko będzie gotowe do drugiej przymiarki. Przyjdzie pani? – powiedziałam w odruchu daremnego pocieszenia.

Uśmiechnęła się blado i wyszła bez słowa. Zostałam sama pośrodku salonu, nieruchoma, trochę skonsternowana, że nie potrafiłam pomóc klientce w kłopotcie, a trochę zaskoczona tym, jak dziwnie układa się życie Rosalindy Fox, wojażującej po całym świecie młodej matki, która gubi kufry pełne wieczorowych kreacji jak ktoś, kto zostawia portfel na ławce w parku albo na kawiarnianym stoliku.

Wyjrzałam przez balkonik, częściowo zasłonięty okiennicą, i patrzyłam, jak wychodzi z bramy. Podeszła bez pośpiechu do jaskrawoczerwonego auta zaparkowanego tuż pod moim

domem. Przypuszczałam, że ktoś na nią czekał, być może ów mężczyzna, któremu tak bardzo chciała się podobać tej nocy. Nie mogłam się oprzeć ciekawości i wychyliłam się, żeby zobaczyć jego twarz, a wyobraźnia podsuwała mi wyimaginowane sceny. Możliwe, że to Niemiec; pewnie dlatego chciała dobrze wypaść w oczach jego rodaków. Czułam, że jest młody, przystojny, bogaty, światowy i beztroski jak ona. Nie miałam zbyt dużo czasu na dywagacje, bo kiedy otworzyła drzwiczki z prawej strony – gdzie powinno znajdować się miejsce dla pasażera – spostrzegłam ze zdumieniem pusty fotel i kierownicę. Co więcej, Rosalinda najwyraźniej zamierzała prowadzić sama. Nikt na nią nie czekał w jej angielskim samochodzie z kierownicą po prawej stronie: sama włączyła silnik i sama odjechała. Bez mężczyzny, bez sukni i prawdopodobnie bez nadziei na to, że do wieczora znajdzie jakieś wyjście z sytuacji.

Próbując pozbyć się niesmaku, jaki pozostał mi po owej wizycie, postanowiłam przywrócić porządek zakłócony obecnością Rosalindy. Wyniosłam popielniczkę, zdmuchnęłam zalegający na stoliku popiół, czubkiem buta poprawiłam odwinięty róg dywanu, strzepnęłam poduszki, na których siedziałyśmy, i zaczęłam układać żurnale, które oglądała, kiedy byłam zajęta Elvirą Cohen. Zamknęłam „Harper's Bazaar”, otwarty na reklamie szminek Heleny Rubinstein, i już miałam zrobić to samo z wiosennym numerem „Madame Figaro”, gdy zauważyłam zdjęcie, które wydało mi się dziwnie znajome. Wspomnienia z dawnych czasów przemknęły mi przez głowę niby stadko ptaków. Zanim zdałam sobie sprawę z tego, co

robię, krzyknęłam głośno, wołając Dżamilę. Przybiegła zdyszana, nie wiedząc, co się dzieje.

– Leć szybko do Frau Langenheim i poproś, żeby znalazła panią Fox. Niech tu przyjdzie natychmiast. Powiedz, że to sprawa najwyższej wagi.

## 18

– Twórcą tego modelu, moja miła ignorantko, jest Mariano Fortuny y Madrazo, syn wielkiego Mariano Fortuny'ego, prawdopodobnie najlepszego po Goi malarza XIX wieku. Był wspaniałym artystą, zafascynowanym Marokiem. Przybył tu w czasie wojny afrykańskiej. Olśniony światłem i egzotyką tej ziemi, utrwalił je na wielu swoich obrazach. Jedno z jego najbardziej znanych płócien nosi tytuł *Bitwa pod Tetuanem*. Tak, Fortuny ojciec był mistrzem, ale jego syn to prawdziwy geniusz. W swoim weneckim *palazzo* maluje obrazy i tworzy scenografię do sztuk teatralnych. Jest fotografem, wynalazcą, znawcą techniki, projektantem tkanin i ubiorów takich jak legendarna już suknia Delfos, której projekt ściągnęłaś bezczelnie, ty mała oszustko, i podejrzewam, że ta chałupnicza podróbka wcale nieźle ci wyszła – mówił Félix, z żurnalem w rękę, leżąc na sofie i wpatrując się w fotografię, dzięki której doznałam olśnienia.

Wyczerpana wrażeniami i pracą, słuchałam, siedząc bez ruchu w fotelu, bo chyba nie miałabym nawet siły, żeby utrzymać w rękę igłę. Właśnie opowiedziałam mu, co się zdarzyło w ciągu kilku ostatnich godzin, począwszy od chwili,

w której Rosalinda Fox postawiła na nogi całą kamienicę, zajeżdżając przed bramę z piskiem opon i z głośnym stukotem obcasów wbiegając po schodach. Czekałam na nią w otwartych drzwiach i nie tracąc czasu na słowa powitania, przedstawiłam swój pomysł.

– Spróbujemy zrobić awaryjną wersję Delfos. Wie pani, o czym mówię?

– Delfos Fortuny'ego? – spytała z niedowierzaniem.

– Podróbkę.

– Da pani radę?

Przez moment patrzyłyśmy sobie w oczy. W jej spojrzeniu dostrzegłam błysk nagle przywróconej nadziei. Co było w moim, nie wiem. Być może determinacja i brawura, wola walki i zew zwycięstwa. A gdzieś na samym dnie prawdopodobnie przerażenie i obawa przed totalną klęską, chociaż robiłam wszystko, żeby tego nie zauważyła.

– Kiedyś już to zrobiłam; myślę, że się uda.

Pokazałam jej wybrany materiał, wielką płachtę jedwabnej satyny w szarobłękitnym odcieniu, jeden z ostatnich łupów Candelarii, zdobyty w drodze wymiany na czarnym rynku jej tylko znanymi sztuczkami. Pochodzenie tego cuda zachowałam oczywiście dla siebie.

– O której zaczyna się to przyjęcie?

– O ósmej.

Zerknęłam na zegarek.

– Dobrze, zrobimy tak... Teraz dochodzi pierwsza. Za dziesięć minut mam przymiarkę. Jak skończę, namoczę tkaninę. Potrzebuję około czterech, pięciu godzin, żeby ją wysuszyć. To

potrwa mniej więcej do szóstej. A potem muszę mieć jeszcze co najmniej półtorej godziny na szycie. To bardzo proste, tylko kilka szwów, a poza tym mam już pani wymiary, przymiarka nie będzie konieczna. Jednak to wszystko wymaga trochę czasu, a do tego jeszcze wykończenie... możemy zdążyć na styk. Gdzie pani mieszka? Przepraszam, że pytam, ale to nie przez ciekawość...

– Przy alei Palmeras.

Powinnam się była domyślić. Willowa dzielnica w południowej części Tetuanu. Oddalona od centrum, zamknięta, położona w pobliżu parku, niemal u stóp majestatycznego Gorgesu. Wspaniałe rezydencje otoczone ogrodami, a dalej już tylko huerty i plantacje trzciny cukrowej.

– Wobec tego nie będę mogła dostarczyć sukni do domu.

Spojrzała na mnie pytająco.

– Będzie pani musiała przebrać się tutaj – wyjaśniłam. – Niech pani przyjedzie po wpół do ósmej, umalowana, uczesana, gotowa do wyjścia. Proszę przywieźć ze sobą buty i biżuterię. Jeżeli mogę doradzić, nic ostentacyjnego. Ta suknia nie potrzebuje dodatkowych ozdób, prostota tylko doda jej elegancji. Wie pani, co mam na myśli?

Wiedziała doskonale. Uszczęśliwiona, podziękowała mi wylewnie i poszła. Pół godziny później, z pomocą Dzamili, stawiałam czoło najbardziej niespodziewanemu i ryzykownemu wyzwaniu w mojej krótkiej karierze samodzielnej projektantki. Wiedziałam, na co się porywam, bo w salonie doñi Manueli pomagałam kiedyś w takiej samej pracy. Zrobiłyśmy to na życzenie pewnej klientki, której ambicje do elegancji

przewyższały zasobność portfela. Nazywała się Elena Barea. W epoce obfitości szyłyśmy dla niej wytworne kreacje z najszlachetniejszych tkanin. W odróżnieniu od innych pań z jej sfery, które w obliczu niedoborów finansowych wynajdowały preteksty w postaci podróży, choroby lub braku czasu, żeby wykręcić się od nowych zamówień, ona nigdy się z tym nie kryła. Kiedy dla firmy jej męża nastał czas krów chudych, Elena Barea nie rezygnowała z wizyt w naszej pracowni. Przychodziła jak zwykle i żartując ze swojej chwilowej nędzy, głowiła się wespół z doñą Manuelą, jak przerobić stare sukienki, żeby wyglądały na nowe: skracaly, zwężaly, poszerzały, łączyły, zmieniały dodatki. Miała świetne oko do tkanin i wykrojów; wybierała taniutki materiały i proste, niezbyt pracochłonne fasony, dzięki czemu, niewiele tracąc na elegancji, potrafiła do minimum ograniczyć wysokość rachunku. Głód wyostrza kobiecie pomysłowość, mawiała ze śmiechem. Lecz ani moja matka, ani doña Manuela, ani ja nie mogliśmy uwierzyć własnym oczom, gdy zjawiała się u nas pewnego dnia, by złożyć najosobliwsze ze swoich zamówień.

– Chcę mieć kopię tego – oznajmiła, wyjmując z małego kuferka ciasno zwinięty rulon tkaniny w kolorze krwi. Zachichotała na widok naszych zdumionych min. – To, drogie panie, jest Delfos, unikat, dzieło artysty. Tę suknię stworzył sam Fortuny. Jego kreacje są szyte w Wenecji i sprzedawane tylko w kilku wybranych sklepach w Europie. Spójrzcie na ten cudowny kolor, na te plisy. Przylega do ciała jak rękawiczka. Technika wykonania stanowi sekret projektanta. A ja chcę to mieć, doño Manuelo kochana. Podróbkę, oczywiście.

Wzięła ostrożnie w palce koniec materiału, strzepnęła lekko i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ukazała się naszym oczom suknia z czerwonego atłasu, wytworna, olśniewająca, która miękko opadła aż do ziemi, rozkładając się lekko u podstawy niby kolisty wachlarz. Coś w rodzaju tuniki karbowanej w tysiące drobniutkich pionowych plis. Klasycznej, prostej, wykwintnej. Od owego dnia minęło już prawie pięć lat, ale miałam w pamięci cały proces wykonania tej sukni, bo brałam czynny udział we wszystkich jego fazach. Czy dla Eleny Barei, czy dla Rosalindy Fox – technika była ta sama. Jedyne problem stanowił czas, więc obie z Dżamilą musiałyśmy wziąć się ostro do roboty. Zagrzałam kilka garnków wody i wlałyśmy wrzątek do wanny. Parząc sobie ręce, włożyłam tkaninę i zostawiłam do namoczenia. Łazienkę wypełniła para, kiedy w napięciu obserwowaliśmy ów eksperyment; twarze zraszała nam coraz obfitszy pot, a gęstniejąca mgiełka zacierała nasze odbicie w lustrze. Po pewnym czasie zdecydowałam, że można już wyjąć materiał, pociemniały i prawie nierozpoznawalny. Spuściłyśmy wodę i chwytając płachtę za końce, skrzyłyśmy ją spiralnie, po czym wyżyłyśmy z całej siły, tak jak dawniej robiłyśmy z prześcieradłami w pensjonacie przy La Luneta, zanim rozwiesiłyśmy je na słońcu. Tyle że teraz nie rozprostowałyśmy zagnieceń; przeciwnie, chodziło o to, żeby tkanina wysychała ciasno zwinięta, by wszystkie zmarszczenia pozostały. Wrzuciłyśmy ów zmięty jedwabny wałek do miednicy i zaniósłyśmy na azotę. Skrzyłyśmy go jeszcze mocniej, aż zaczął przypominać grubą linę, zwiniętą niczym wielka sprężyna; potem rozpostarłyśmy na posadzce ręcznik i



ostrożnie, jakbyśmy trzymały w rękach jadowitą zmiję, położyłyśmy na nim ów załążek sukni, w której już za kilka godzin moja klientka miała zrobić *entrée* na konsularnym przyjęciu, po raz pierwszy pokazując się publicznie u boku enigmatycznego mężczyzny jej życia.

Zostawiłyśmy materiał, żeby wysechł na słońcu, i wróciłyśmy do domu. Rozpaliłyśmy pod kuchnią i dorzuciłyśmy szufłę węgla, podsycając ogień. Kiedy w mieszkaniu zrobiło się gorąco jak w piecu, a słońce zaczęło grzać słabiej, wróciłyśmy na azotę i zabrałyśmy skręconą tkaninę. Rozłożyłyśmy nowy ręcznik na kuchennym ruszcie i umieściłyśmy na nim rulon zgniecionego jedwabiu. Obracałyśmy go co dziesięć minut, żeby równo sechł. Z resztki niez użytogo materiału uszyłam tymczasem pasek, usztywniony trzema warstwami podszewki, i mocno zaprasowałam. O piątej po południu zdjęłam jedwabny walek z kuchenki i zniosłam do pracowni. Wyglądał jak pęto kaszanki – nikt nie potrafiłby sobie wyobrazić, w co zmieni się już za godzinę.

Położyłam materiał na stole i pomaleńku, z największą ostrożnością zaczęłam go rozwijać. Niby za sprawą magii naszym zdumionym, pełnym niepokoju oczom ukazała się pięknie splisowana sztuka lśniącego jedwabiu. Wiedziałam, że efekt nie będzie trwały, jak w autentycznym modelu Fortuny'ego – brakowało nam możliwości technicznych i fachowej wiedzy – ale miałam pewność, że przetrwa przynajmniej jedną noc: noc wyjątkową dla kobiety, która chciała wyglądać olśniewająco. Poczekałam, aż tkanina wystygnie. Następnie przecięłam ją na cztery części i uszyłam z

nich coś w rodzaju wąskiej tuby, która miała przylegać do ciała niczym druga skóra. Wykroiłam niewielki półokrągły dekolt i obrębiłam pachy. Nie starczyło już czasu na ozdobne detale, ale w niewiele ponad godzinę podrabiany Delfos był gotowy – chałupnicza, wykonana na łapu-capu wersja stroju, który zrewolucjonizował *haute couture*. Oszukańcza imitacja? Cóż z tego, skoro zrobi wrażenie na każdym, kto spojrzy na kobietę, która już za pół godziny włoży tę suknię.

Właśnie sprawdzałam, jak będzie się prezentować z paskiem, kiedy zadźwięczał dzwonek. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę ze swojego żalosego wyglądu. Pot rozmazał mi makijaż, włosy zwisały w smętnych strąkach. Gorąca para, wyzymanie, bieganie po schodach w górę i w dół, wielogodzinna praca bez chwili wytchnienia – wszystko to sprawiło, że wyglądałam, jakby stratował mnie oddział kawalerii w pełnym galopie. Dżamila poszła otworzyć, a ja w popłochu uciekłam do sypialni; przebrałam się w pośpiechu, uczesałam, doprowadziłam do porządku. Efekt moich popołudniowych wysiłków był imponujący, więc sama nie mogłam wyglądać jak strach na wróble – musiałam stanąć na wysokości zadania.

Wyszłam przywitać się z Rosalindą przekonana, że czeka na mnie w salonie, ale przechodząc obok uchylonych drzwi pracowni, dostrzegłam smukłą postać Angielki wpatrzonych w manekin ubrany w jej suknię. Stała tyłem do mnie, nie widziałam jej twarzy.

– Podoba się pani? – zapytałam krótko.

Odwróciła się natychmiast, ale nic nie odpowiedziała. Podbiegła, chwyciła mnie za rękę i mocno uścisnęła.

– Dziękuję, dziękuję, *a million* dziękuję.

Wysokie szpilki dodawały jej wzrostu. Włosy miała upięte nisko na karku, naturalne loki nieco bardziej skręcone niż zwykle; dyskretnie umalowane oczy i musnięte różem policzki uwydatniały karminową czerwień warg. Do tego jedynie kolczyki z białego złota i brylantów, długie, migoczące, prześliczne. I cudowny zapach perfum. Rozebrała się, a ja pomogłam jej założyć suknię. Nieregularne plisy tuniki otuliły ją zmysłowym błękitem, podkreślając kruche piękno delikatnego, szczupłego ciała, modelowały i uwydatniały subtelne krągłości, klasycznie i wykwintnie. Opasałam ją szeroką szarfą i zawiązałam na plecach. Bez słowa, długo kontemplowałyśmy efekt w lustrze.

– Proszę tak zostać – powiedziałam.

Wyszłam do przedpokoju, zawołałam Dżamilę i wprowadziłam ją do pracowni. Na widok Rosalindy zakryła usta rękami, powstrzymując okrzyk zdumienia i zachwytu.

– Niech się pani obróci dokoła, żeby mogła nacieszyć oczy. Bardzo się napracowała. Bez niej nie dałabym rady.

Anielka z wdzięcznością uśmiechnęła się do dziewczyny i z gracją obróciła się kilka razy. Dżamila wpatrywała się w nią z onieśmieleniem, spłoszona, ale szczęśliwa.

– A teraz szybko. Do ósmej zostało dziesięć minut.

Pobiegłyśmy z Dżamilą na balkon zobaczyć wychodzącą Rosalindę; ścisnęłyśmy się za ręce i skuliłyśmy w kąciку, żeby nie było nas widać z ulicy. Zaczynało się już

ściemniać. Spojrzałam w dół, spodziewając się małego czerwonego auta, lecz zamiast niego ujrzałam lśniąca czarną limuzynę z powiewającymi na wietrze chorągiewkami, których barw z daleka nie mogłam dostrzec. Kiedy w bramie zamajaczyła spowita w błękitny jedwab postać, zabłyśły światła samochodu. Szofer w liberii otworzył drzwiczki, czekając na baczną, a Rosalinda, elegancka i wyniosła, podeszła bez pośpiechu, dumna i pewna siebie. Nie zdążyłam zobaczyć, czy w środku był ktoś jeszcze – gdy tylko usiadła, mężczyzna w uniformie zatrzasnął drzwiczki i zajął miejsce za kierownicą. Rozległ się cichy warkot silnika i limuzyna odpłynęła w noc, uwożąc w swym wnętrzu rozmarzoną, pełną nadziei i złudzeń kobietę oraz największe szalbierstwo w historii imitacji wielkiego krawiectwa.

## 19

Nazajutrz wszystko wróciło do normy. Wczesnym popołudniem usłyszałam dzwonek; zdziwiłam się, nie byłam z nikim umówiona. To był Félix. Bez słowa wśliznął się do środka i zamknął za sobą drzwi. Zdumiała mnie ta wizyta, bo nigdy nie pojawiał się u mnie przed nocą. Zniknąwszy z pola widzenia matki podglądającej przez wizjer, powiedział ironicznie, bez żadnych wstępów:

- Moje gratulacje, mała.
- O co chodzi? – spytałam zaskoczona.
- O tę eteryczną damę, z którą właśnie minąłem się w bramie.

– O Rosalindę Fox? Przyszła do przymiarki. A rano przysłała mi kwiaty z podziękowaniem. Pomogłam jej wczoraj w kłopotcie.

– Nie mów, że twój Delfos był dla tej chudej blondyny.

– Jakbyś zgadł.

Przez dłuższą chwilę smakował zasłyszaną wiadomość. Potem odezwał się drwiąco:

– No, no, ciekawe... Wybawiłaś z kłopotów osobę dość szczególną.

– Dlaczego szczególną?

– Dlatego, moja miła, że twoja klientka jest teraz prawdopodobnie najbardziej wpływową kobietą w całym Protektoracie i może załatwić dosłownie wszystko. Oczywiście, oprócz problemów krawieckich; od tego ma ciebie, królową nieudolnych podróbek.

– Nie rozumiem.

– Chcesz mi wmówić, że nie wiesz, kim jest niejaka Rosalinda Fox, dla której wczoraj stworzyłaś w parę godzin wieczorową kreację?

– To Angielka, która większą część życia spędziła w Indiach i ma pięcioletniego syna.

– A także kochanka.

– Niemca.

– Zimno, zimno.

– Nie jest Niemcem?

– Nie, moja miła. Mylisz się, bardzo się mylisz.

– Skąd wiesz?

Uśmiechnął się złośliwie.

– Cały Tetuan wie, kto jest jej kochankiem.

– Kto?

– Ktoś na świeczniku.

– Kto? – powtórzyłam, szarpiąc go za rękaw, bo nie mogłam opanować ciekawości.

Znowu uśmiechnął się szelmowsko i teatralnym gestem zasłonił usta, jakby miał zdradzić mi jakiś wielki sekret.

– Twoja przyjaciółka jest ukochaną Wysokiego Komisarza – szepnęła mi na ucho, powoli i wyraźnie.

– Komisarza Vazqueza? – spytałam z niedowierzaniem.

Parsknął śmiechem, a potem odpowiedział:

– Nie, głuptasie. Claudio Vázquez to tylko policjant. Musi trzymać w ryzach lokalnych przestępców i bandę kretynów, których ma pod swoimi rozkazami. Wątpię, czy ma czas na pozamałżeńskie miłości, a już na pewno nie stać go na to, żeby kupić utrzymanie wille z basenem w alei Palmeras. Kochankiem twojej klientki, ślicznotko, jest pułkownik Juan Luis Beigbeder y Atienza, Wysoki Komisarz Hiszpanii w Maroku i gubernator generalny hiszpańskich posiadłości w Afryce Północnej. To najważniejsze stanowisko wojskowe i cywilne w całym Protektoracie, gdybyś miała jakieś wątpliwości.

– Jesteś tego pewien, Feliksie?

– Niech moja matka dożyje osiemdziesiątki zdrowa jak rydz, jeżeli kłamię. Nikt nie wie, od kiedy są razem. Ona mniej więcej od miesiąca mieszka w Tetuanie, ale to wystarczy, żeby wszyscy wiedzieli, kim jest i co ją łączy z pułkownikiem. On niedawno dostał oficjalną nominację z Burgos, chociaż praktycznie od

samego początku wojny pełnił tę funkcję. Podobno Franco jest uszczęśliwiony, bo Beigbeder ciągle podsyła mu na front świeże mięso armatnie w postaci mauretańskich rekrutów.

Nawet w najśmielszych fantazjach nie potrafiłabym sobie wyobrazić Rosalindy Fox zakochanej w pułkowniku narodowców.

– Jaki on jest?

Rozbawiła go moja ciekawość.

– Beigbeder? Nie znasz go? Rzeczywiście, ostatnio rzadziej się pokazuje, najczęściej siedzi zamknięty w gmachu Wysokiego Komisariatu, ale przedtem, kiedy był pełnomocnikiem do spraw tubylców, codziennie się go spotykało na ulicy. Oczywiście, wtedy nikt nie zwracał na niego uwagi. Był zwykłym anonimowym urzędnikiem, jakich wielu, i raczej nie udzielał się towarzysko. Wszędzie chodził sam, nie bywał na wieczorkach w Hipice, Nacionalu ani w Salonie Marfil i nie grywał w karty, jak ów beztroski pułkownik Sáenz de Buruaga, który w dniu puczu wydawał rozkazy z tarasu kasyna. Ten Beigbeder to skryty gość, trochę samotnik.

– Przystojny?

– Jak dla mnie nic takiego, to zresztą oczywiste. A co w nim widzą kobiety, to już nie moja rzecz. Prawdę mówiąc, macie dziwny gust.

– Opisz mi go.

– Wysoki, szczupły, surowy. Ulizany brunet z wąsikami. Nosi okrągłe okulary, pozuje na intelektualistę. Lata mijają, a on bez względu na modę i stanowisko zawsze nosi się po cywilnemu; wiecznie te same nudne ciemne garnitury.

– Żonaty?

– Prawdopodobnie, chociaż tutaj chyba mieszka sam. Wojskowi nie wszędzie zabierają ze sobą rodzinę.

– Wiek?

– Dostatecznie stary, żeby mógł być twoim ojcem.

– Nie wierzę.

Roześmiał się znowu.

– Cała ty. Gdybyś nie pracowała tyle i częściej wychodziła, na pewno prędzej czy później byś go spotkała i mogła się przekonać na własne oczy, że jest tak, jak mówię. Spaceruje jeszcze czasami, chociaż teraz nigdzie się nie rusza bez eskorty. Podobno jest człowiekiem bardzo wykształconym, zna języki i wiele lat spędził poza krajem. Niewiele go łączy z tymi za przeproszeniem zbawcami ojczyzny, do których zdążyliśmy się już tutaj przyzwyczaić, ale jego obecne stanowisko dowodzi, że stanął po ich stronie. Może twoja klientka poznała go za granicą. Jeśli ci się kiedyś zwierzy, koniecznie musisz mi wszystko opowiedzieć, wiesz przecież, że uwielbiam słuchać o romansach i flircikach. Dobra, pójdę już; zabieram wiedźmę do kina na podwójny seans. Grają *Siostrę Sulpicję* i *Zgorzkniałego Quintina*. Ubaw po pachy. Przez tę cholerną wojnę od roku nie widziałem porządnego filmu. A tak bym chciał obejrzeć jakiś dobry amerykański musical. Pamiętasz *Panów w cylindrach* z Fredem Astaire'em i Ginger Rogers? *I just got an invitation through the mail / your presence is requested this evening/ it's formal: top hat, white tie and tails...*

Wyszedł, nucąc pod nosem, a ja zamknęłam za nim drzwi. Tym razem to nie jego matka, lecz ja byłam niedyskretna i



zerknęłam przez wizjer. Obserwowałam, jak Félix, wciąż jeszcze podśpiewując, wyjmuje z kieszeni klucz, wsuwa go do zamka i przekręca. Kiedy zniknął u siebie, wróciłam do pracy, z niedowierzaniem rozpamiętując wszystko, co przed chwilą usłyszałam. Próbowałam zająć się szyciem, ale jakoś mi nie szło. Stwierdziłam, że nie mam na to ochoty. Ani siły. Pomyślałam, że po wczorajszej harówce powinnam sobie zrobić wolne. Przyszło mi do głowy, że mogę wziąć przykład z sąsiadów i pójść do kina. Zasłużyłam na odrobinę rozrywki. Z tym zamiarem wyszłam z domu, ale nogi same poniosły mnie w przeciwnym kierunku, w stronę placu Hiszpańskiego.

Powitał mnie widok palm i ukwieconych klombów, kolorowego bruku i białych gmachów. Na kamiennych ławkach, jak każdego dnia, przesiadywały zakochane pary i grupki rozgadanych przyjaciółek. Z pobliskich knajpek dolatywał smakowity zapach szaszłyków. Przeszłam przez plac prosto pod siedzibę Wysokiego Komisarjatu, którą dotąd zawsze mijałam obojętnie. W otoczonej cienistym ogrodem imponującej, białej budowli w stylu kolonialnym, tuż obok pałacu kalifa, rezydowały najwyższe władze hiszpańskiej administracji. Za drzewami dojrzałam dwie główne kondygnacje i trzecią, nieco cofniętą, wieżyczki na rogach, zielone okiennice i fryzy z pomarańczowych cegieł. Arabscy żołnierze w pelerynach, posągowi, stoicy pod wielkimi turbanami, trzymali wartę przed wyniosłą kutą bramą. Hiszpańscy oficerowie w nienaganych mundurach koloru ciecierzycy wchodzili i wychodzili bocznymi drzwiami, władczy w swych wyprasowanych bryczesach i lśniących wysokich butach. Było

też kilku mauretańskich żołnierzy w europejskich kurtkach, szerokich spodniach i brunatnych owijaczach na łydkach. Dwukolorowa flaga powiewała na tle błękitu nieba, zwiastującego swoją barwą nadejście lata. Stałam, obserwując ów nieustanny ruch ludzi w mundurach, dopóki nie spostrzegłam, że zaczynają mi się bacznie przypatrywać. Przestraszona, zmieszana, odwróciłam się i wróciłam na plac. Czego szukałam przed Wysokim Komisariatem, co spodziewałam się tam zobaczyć, co mnie tam zawiodło? Prawdopodobnie nic; przynajmniej nic konkretnego. Chciałam tylko przyjrzeć się z bliska otoczeniu, w którym obracał się zaskakujący kochanek mojej nowej klientki.

## 20

Wiosna przeobrażała się z wolna w łagodne lato świetlistych, jasnych nocy, a ja dzieliłam się zyskami z Candelarią. Plik funtów szterlingów na dzień szuflady spęczniał na tyle, że mogłam już uiścić kolejną ratę. Termin spłaty długu w Continentalu zbliżał się nieuchronnie, ale pocieszałam się myślą, że uda mi się go dotrzymać i wreszcie kupić sobie wolność. W radiu i gazetach nadal pilnie śledziłam wszelkie informacje na temat wojny. Zginął generał Mola, rozpoczęła się bitwa pod Brunete. Félix wciąż wymykał się na nocne eskapady, a Dżamila robiła postępy w hiszpańskim i uczyła się prostych prac krawieckich: fastrygi, przyszywania guzików, robienia pętelek. Prawie nic nie burzyło monotonii owych dni prócz odgłosów domowej krzątaniny i urywków cudzych rozmów dobiegających z sąsiednich mieszkań przez otwarte okno od

podwórza. I nieustannego tupotu na schodach, nadeszły bowiem wakacje i dzieci, czasami całą gromadą, czasami pojedynczo, już od rana zbiegały na patio, żeby się pobawić. Żaden z owych dźwięków mi nie przeszkadzał, przeciwnie – dotrzymywały mi towarzystwa, sprawiały, że czułam się mniej samotna.

Lecz pewnego popołudnia, w połowie lipca, hałasy i rozmowy stały się głośniejsze, tupot nóg bardziej donośny.

– Przyjechali, przyjechali!

Krzyki, trzaskanie drzwiami, szlochy, imiona powtarzane przez łąy: Concha, Concha! Carmela, siostrzyczko! Nareszcie, Esperanza, nareszcie!

Słyszałam, jak przesuwają meble, jak dziesiątki razy ktoś wbiega i zbiega po schodach. Słyszałam śmiech, słyszałam płacz i polecenia. Przygotuj kąpiel, wyjmij więcej ręczników, przynieś pościel i materace; dajcie jej jeść, mała jest głodna. I znów płacz, znów wzruszenie, znów radosne okrzyki, znów śmiech. I zapach odgrzewanych potraw, i brzęk naczyń w kuchni, choć było jeszcze za wcześnie na kolację. I jeszcze raz: Carmela, mój Boże, Concha, Concha! Było już dobrze po północy, kiedy wrzawa wreszcie ucichła. Dopiero wtedy przyszedł Félix i mogłam go o wszystko wypytać.

– Co się stało u Herrerołów? Skąd ten rwetes?

– Nie wiesz? Przyjechały siostry Josefiny. Udało im się wydostać z czerwonej strefy.

Nazajutrz wszystko się powtórzyło, chociaż już trochę spokojniej. Ale i tak bez przerwy coś się działo: otwieranie i zamykanie drzwi, dzwonek, telefon, dzieci na klatce schodowej.

Płacz, śmiech, płacz i znowu śmiech. Po południu ktoś do mnie zapukał. Pomyślałam, że sąsiedzi czegoś potrzebują, chcą o coś poprosić, coś pożyczyć: pół tuzina jajek, kołdrę, dzbanuszek oliwy. Myliłam się jednak. Otworzyłam i zobaczyłam kogoś, kogo nigdy bym się nie spodziewała.

– Pani Candelaria prosi, żeby pani przyszła jak najszybciej na La Luneta. Umarł nauczyciel, don Anselmo – wysapał spocony Franuś, pulchny syn pulchnej wdowy.

– Wracaj tam szybko, powiedz, że już idę.

Przekazałam wiadomość Dżamili, która rozplakała się z żalu. Ja nie wylałam ani jednej łzy, ale w duszy poczułam pustkę i ból. Ze wszystkich członków owego wojowniczego plemienia, z którym przyszło mi dzielić życie w pensjonacie, on był mi najbliższy, okazał mi najwięcej serca. Założyłam najciemniejszy kostium, jaki znalazłam w szafie: w mojej garderobie nie było jeszcze miejsca na żałobę. W pośpiechu ruszyliśmy z Dżamilą ulicami Tetuanu, zdyszane dotarliśmy do celu i weszliśmy na schody. Na półpiętrze zastałyśmy zwarty, cichy tłum. Przepychałyśmy się wśród przyjaciół i znajomych nauczyciela, którzy w pełnym szacunku milczeniu czekali na swoją kolej, by go pożegnać.

Drzwi pensjonatu były otwarte i zanim zdążyłam przejść przez próg, poczułam zapach płonących gromnic i usłyszałam głośny szmer chóralnej modlitwy. Przy wejściu powitała nas Candelaria w przyciasnej czarnej sukni, w którą z trudem się mieściła. Na majestatycznym biuście kołysał się medalion z Matką Boską. Pośrodku jadalni, na stole, spoczywała otwarta trumna z poszarzałym ciałem don Anselma w niedzielnym

garniturze. Na ów widok po plecach przebiegł mi dreszcz, Dżamila wpiła paznokcie w moje ramię. Ucałowałam Candelarię i poczułam na policzku wilgotną strużkę jej łez.

– Widzisz? Można by powiedzieć, że padł na polu bitwy.

Przypomniałam sobie toczone przy posiłkach boje, których tyle razy byłam świadkiem. Rybie ości i szorstkie, żółte skórki afrykańskich melonów przelatujące nad stołem. Jadowite docinki i obelgi, prowokacje, widelce uniesione niczym lance, wojenne okrzyki wznoszone z tej i tamtej strony. Czcze pogrożki Candelarii straszącej niesfornych pensjonariuszy eksmisją. Istotnie, ów stół był prawdziwym polem bitwy. Omal nie parsknęłam ponurym śmiechem. Zasuszone siostry, pulchna mateczka i gromadka sąsiadek, w żałobie od stóp do głów, siedziały przy oknie, recytując monotonnym, płaczącym głosem różańcowe tajemnice. Przez moment wyobraziłam sobie don Anselma żywego, z papierosem Toledo w kąciku ust, jak krztusząc się i kaszląc, wrzeszczy rozwścieczony, żeby wreszcie, do jasnej cholery, skończyły te modły. Ale nauczyciel już nie żył, a one tak. I choć nieboszczyk jeszcze nie ostygł, mogły nad jego martwym ciałem robić, co im się żywnie podobało. Usiadłyśmy obok nich. Candelaria przyłączyła się do litanii, ja zaś udawałam, że idę za jej przykładem, lecz myślami błędziłam gdzie indziej.

*Panie, zmiłuj się nad nami.*

*Chryste, zmiłuj się nad nami.*

Przysunęłam się do niej z trzciniowym krzeselkiem tak blisko, że nasze głowy niemal się stykały.

*Panie, zmiłuj się nad nami.*

– Muszę panią o coś zapytać, Candelario – szepnęłam jej na ucho.

*Chryste, usłysz nas.*

*Chryste, wysłuchaj nas.*

– Mów, serce – odparła półgłosem.

*Ojcze z nieba, Boże, zmiłuj się nad nami.*

*Synu, Odkupicielu świata, Boże, zmiłuj się nad nami.*

– Dowiedziałam się, że z czerwonej strefy można się wydostać.

*Duchu Święty, Boże. Święta Trójco, jedyny Boże.*

– Tak mówią...

*Święta Maryjo, módl się za nami.*

*Święta Boża Rodzicielko.*

*Święta Panno nad pannami.*

– Może się pani dowiedzieć, jak to zrobić?

*Matko Chrystusowa.*

*Matko Kościoła.*

– A czemu pytasz?

*Matko łaski Bożej.*

*Matko nieskalana.*

*Matko najczystsza.*

– Chcę wy dostać matkę z Madrytu i ściągnąć ją tutaj, do Tetuanu.

*Matko dziewicza.*

*Matko nienaruszona.*

– Popytam tu i ówdzie...

*Matko najmilsza.*

*Matko przedziwna.*

– Jutro z samego rana?

*Matko dobrej rady.*

*Matko Stworzyciela.*

*Matko Zbawiciela.*

– Jeżeli się uda. A teraz bądź cicho i módl się, może wspólnymi siłami pošlemy don Anselma do nieba.

Czuwanie przeciągnęło się do świtu. Nazajutrz pogrzebaliśmy nauczyciela uroczyście na cmentarzu misji katolickiej, ze śpiewami, mszą i wszelkimi szykanami, jakby był najgorliwszym z wiernych. Kondukt godnie kroczył za trumną, choć dzień był wietrzny, a dokuczliwe podmuchy szarpały czarnymi welonami, wydymały spódnice i podnosiły z ziemi wiry zeschniętych eukaliptusowych liści. Kiedy ksiądz recytował łacińskie formułki, nachyliłam się do Candelarii i szepnęłam z rozbawieniem:

– Ciekawe, że nasze zasuszone siostrzyczki nazywały go pomiotem Lucyfera, a teraz załatwiły mu taki piękny pogrzeb.

– Nie gadaj byle czego, bo jak jego duch nie zazna spokoju, to jeszcze kiedyś do nas przyjdzie i w nocy chwyci za nogi...

Z trudem opanowałam śmiech.

– Candelario, na Boga! To jakieś zabobony!

– Mów sobie, co chcesz, a ja swoje wiem. Niejedno widziałam.

Zamilkła i skupiła się na mszy. Nie zaszczyliła mnie spojrzeniem, dopóki nie przebrzmiało ostatnie *requiescat in pace*. Opuszczono trumnę. Kiedy grabarze chwycili za łopaty, żeby zasypać dół, żałobnicy zaczęli się rozchodzić. Przy bramie cmentarza Candelaria schyliła się i udając, że zapina klamerkę przy pantoflu, puściła przodem siostry, pulchną wdowę i sąsiadki. Patrzyłyśmy, jak spowite w czarne welony oddalają się niby stado kruków.

– Chodź, uczcimy we dwie pamięć biednego don Anselma, bo mnie ze smutku to zawsze tak w brzuchu burczy, że...

Poszłyśmy do cukierni El Buen Gusto, wybrałyśmy sobie po ciastku i usiadłyśmy na ławce, wśród palm i klombów. Dopiero wówczas zadałam jej pytanie, które od rana miałam na końcu języka.

– Dowiedziała się pani czegoś? Chodzi o naszą wczorajszą rozmowę...

Kiwnęła głową z ustami pełnymi bezy i kremu.

– To nie jest takie proste. I sporo kosztuje.

– Proszę, niech mi pani powie.

– W Tetuanie są ludzie, którzy się tym zajmują. Nie znam szczegółów, ale wydaje mi się, że w Hiszpanii załatwia się to przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Odnajdują poszukiwanych w czerwonej strefie i odstawiają do jakiegoś



portu na wschodnim wybrzeżu. Nie pytaj mnie jak, bo nie mam zielonego pojęcia. W przebraniu, ciężarówką, na piechotę, Bóg jeden wie. Tam ładują ich na statki. Tych, którzy chcą się dostać do strefy narodowej, odsyłają do Francji i przerzucają przez góry do Baskonii. A tych, którzy chcą wyjechać do Maroka, przewożą na Gibraltar albo, jeżeli to niemożliwe, do jakiegoś innego portu nad Morzem Śródziemnym. Potem do Tangeru, a stamtąd do Tetuanu.

Poczułam przyspieszone bicie tętna.

– Wie pani, do kogo powinnam się zgłosić?

Uśmiechnęła się smutno i pieszczotliwie poklepała mnie po udzie, plamiąc mi spódnicę słodkim lukrem.

– Zanim gdziekolwiek się zgłosisz, musisz zebrać kupę forsy. Funty szterlingi. Mówiłam ci chyba, że angielskie pieniądze są najlepsze?

– Mam oszczędności. W ciągu tych kilku miesięcy udało mi się sporo odłożyć – mruknęłam.

– Masz także dług w Continentalu.

– Może wystarczy na wszystko.

– Wątpię, serce ty moje. To by kosztowało dwieście pięćdziesiąt funtów.

Nagle zaschło mi w gardle, a francuskie ciasto zmieniło się w lepki kłajster. Zakrztusiłam się, szmuglerka klepnęła mnie w plecy. Przełknęłam, wytarłam nos i zapytałam:

– A pani by nie mogła mi pożyczyć?

– Ja nie mam ani centa, dziecinko.

– A to, co dostaje pani ode mnie?

– Wydałam.

– Na co?

Westchnęła ciężko.

– Na ten pogrzeb, na leki dla don Anselma i długi, jakich narobił. Całe szczęście, że doktor Maté był jego przyjacielem i nie weźmie ode mnie za wizyty.

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem.

– Ale przecież musiał coś odłożyć z emerytury – podsunęłam.

– Ani grosza.

– Niemożliwe, przecież od miesięcy nie wychodził z domu, nie miał żadnych wydatków...

Uśmiechnęła się z mieszaniną smutku, politowania i kpiny.

– Nie wiem, jak to zrobił ten stary diabeł, ale udało mu się przekazać wszystkie oszczędności na Czerwoną Pomoc.

Chociaż łączna suma, jakiej potrzebowałam, żeby sprowadzić matkę do Maroka i spłacić dług w Continentalu, była dla mnie nieosiągalna, myśl o tym nurtowała mnie bez przerwy. Tamtej nocy prawie nie spałam; próbowałam znaleźć jakieś wyjście. Przychodziły mi do głowy najbardziej fantastyczne sposoby i tysiące razy liczyłam, przeliczałam zaoszczędzone pieniądze, ale chociaż bardzo się starałam, nie udało mi się ich rozmnożyć. Tuż przed świtem wpadłam na inny pomysł.

## 21

Rozmowy, wybuchy śmiechu i rytmiczny klekot maszyny do pisania zamilkły jednocześnie, kiedy cztery pary oczu skierowały się na moją osobę. W szarym, zadymionym pokoju panował zaduch, przesycony odorem tytoniu i niedomytych ciał. Teraz słychać było jedynie brzęczenie tysięcy much i szum

drewnianego wentylatora, leniwie obracającego się nad naszymi głowami. Ciszę przerwało pełne podziwu gwizdnięcie: ktoś akurat przechodził korytarzem i zobaczył mnie stojącą na samym środku, w moim najlepszym *tailleur*, a wokół mnie cztery biurka, za którymi czterej mężczyźni w przepoconych koszulach udawali, że pracują.

– Chcę rozmawiać z komisarzem Vazquezem – oświadczyłam.

– Nie ma go – powiedział najgrubszy.

– Ale zaraz będzie – powiedział najmłodszy.

– Może pani na niego poczekać – powiedział najchudszy.

– Zechce pani spocząć? – powiedział najstarszy.

Usadowiłam się na krześle z gutaperki i przesiedziałam tak bez ruchu bite półtorej godziny. W ciągu owych pięćdziesięciu dłużeń się w nieskończoność minut kwartet funkcjonariuszy bez powodzenia symulował powrót do swoich zajęć. Ich pozorna aktywność ograniczała się do obcesowych spojrzeń, zabijania much zwiniętą gazetą, wymiany obscenicznych gestów i podawania sobie karteczek zabazgranych prawdopodobnie uwagami na temat moich piersi, mojej pupy i moich nóg oraz wszystkiego, co by ze mną robili, gdybym zechciała być dla nich miła. Don Claudio wkroczył na scenę niczym człowiek orkiestra: w biegu zdejmował kapelusz i marynarkę, wydawał rozkazy, czytał wręczane mu przez podwładnych meldunki.

– Juárez, na ulicy Comercio była bójka, idź tam natychmiast. Cortés, chcę mieć na biurku wszystko o sprzedawczyni zapalek, liczę do dziesięciu. Jak nawalisz, wykopię cię do Infni, zanim się

obejrzyś. Bautista, co z tą kradzieżą na Suku Zbożowym? Cañete...

Przerwał nagle. Przerwał, bo zobaczył mnie. Chudzielec Cañete został bez przydziału.

– Proszę – powiedział tylko, wskazując ręką drzwi na końcu pokoju, i z powrotem naciągnął zdjętą już do połowy marynarkę. – Cortés, nie musisz się spieszyć z tą od zapalek. A reszta do roboty – warknął groźnie.

Zamknął oszklone drzwi i podsunął mi krzesło. Gabinet był mniejszy niż przylegające doń biuro, ale wyglądał o wiele przyjemniej. Komisarz odłożył kapelusz na wieszak i zajął miejsce za biurkiem, na którym piętrzyły się sterty papierów i teczek. Włączył bakelitowy wentylator. Podmuch świeżego powietrza, który owiał mi twarz, był niby cud na pustyni.

– Słucham panią – odezwał się tonem zdawkowej uprzejmości; bez szczególnej sympatii, ale i bez niechęci.

W jego zachowaniu dostrzegłam nerwowość i zasepienie, zapamiętane z naszych pierwszych spotkań, ale również łagodność z owego jesiennego dnia, w którym ostatecznie postanowił dać mi kredyt zaufania i wolną rękę. Tak jak zeszłego lata twarz miał ogorzałą od słońca. Może, jak większość zamożnych mieszkańców Tetuanu, opalał się często na plaży w Río Martín. A może po prostu dużo przebywał na powietrzu, tropiąc przestępców na ulicach miasta.

Znałam już jego styl pracy, więc przedstawiłam krótko moją prośbę i przygotowałam się na ostrzał pytań.

– Muszę dostać z powrotem mój paszport.

– Można wiedzieć po co?

- Żeby pojechać do Tangeru.
  - Można wiedzieć w jakim celu?
  - Renegocjować dług.
  - W jakim sensie renegocjować?
  - Potrzebuję więcej czasu.
  - Sądziłem, iż salon krawiecki nieźle prosperuje. Miałem nadzieję, że zebrała już pani całą sumę. Ma pani solidne klientki i poinformowano mnie, że pracownia cieszy się dobrą opinią.
  - Rzeczywiście, interes się kręci. I sporo zaoszczędziłam.
  - Ile?
  - Wystarczająco, żeby spłacić rachunki w Continentalu.
  - A więc?
  - Wynikły pewne sprawy związane z dużymi kosztami.
  - Jakie sprawy?
  - Rodzinne.
- Spojrzał na mnie z udawanym zdziwieniem.
- Myślałem, że pani rodzina przebywa w Madrycie.
  - Właśnie.
  - Proszę wyrażać się jaśniej.
  - Z bliskich została mi tylko matka. I rzeczywiście jest w Madrycie. A ja chcę ją sprowadzić do Tetuanu.
  - A ojciec?
  - Mówiłam przecież, że prawie go nie znam. Chcę odnaleźć matkę.
  - Rozumiem. Jak zamierza to pani zrobić?
- Wyłuszczyłam wszystko, czego się dowiedziałam od Candelarii, ale wolałam zataić źródło informacji. Wysłuchał,

skupiony jak zawsze, świdrując mnie swoim przenikliwym wzrokiem; chłonał każde słowo, choć byłam pewna, że doskonale orientuje się w szczegółach podobnych operacji.

– Kiedy chce pani wyjechać?

– Jak najwcześniej, o ile dostanę pańskie pozwolenie.

Rozparł się w fotelu i spojrzał na mnie z namysłem. Palcami lewej ręki rytmicznie bębnił w biurko. Gdybym mogła przeświecić go oczyma, zobaczyłabym, jak tryby jego mózgu zaczynają się obracać, wprawiając w ruch chłodny, sprawny umysł: widziałabym, jak rozważa moją prośbę, odrzuca po kolei hipotezy i podejrzenia, rozstrzyga wątpliwości, decyduje. Po chwili, zapewne krótkiej, lecz dla mnie ciągnącej się w nieskończoność, bębnienie umilkło nagle, zakończone energicznym klepnięciem dłoni w drewniany blat. Wiedziałam już, że decyzja została podjęta. Zanim mi ją zakomunikował, podszedł do drzwi, wystawił głowę i powiedział:

– Cañete, wystawcie przepustkę na przejście graniczne w Al-Burdż. Dla panny Siry Quiroga. Migiem.

Odetchnęłam z ulgą, że Cañete wreszcie ma co robić, ale milczałam, dopóki komisarz nie wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

– Dam pani paszport, glejt i dwanaście godzin na podróż do Tangeru, tam i z powrotem – oznajmił. – Na jutro. Proszę porozmawiać z dyrektorem Continentalu, może go pani przekona. Szczerze mówiąc, wątpię. Chociaż nie zaszkodzi spróbować. Bądźmy w kontakcie. I niech pani sobie dobrze zapamięta: żadnych sztuczek.

Otworzył szufladę, poszperał w niej i wyjął mój paszport.

Do pokoju wszedł Cañete, położył na biurku jakiś papier i spojrzał na mnie głodnym wzrokiem, jakby chciał mną zaspokoić swoją chudość. Komisarz podpisał dokumenty i nie podnosząc głowy, warknął „wyjść!” do gapiącego się na mnie policjanta. Następnie złożył przepustkę, wsunął ją między kartki paszportu i podał mi wszystko bez słowa. Wstał, podszedł do drzwi i z ręką na klamce czekał, aż wyjdę. Kiedy wchodziłam na posterunek, witały mnie cztery pary oczu; teraz było ich już siedem. Siedmiu chłopa, oczekujących na bacność mojego *entrée*, jakby nigdy w życiu nie widzieli szykownej kobiety.

– Co jest? – rzucił w powietrze don Claudio. – Nie macie nic do roboty?

Wszyscy ożyli jednocześnie, udając nagle gorączkową aktywność: szeleścili papierami, wymieniali między sobą uwagi na temat spraw rzekomo niecierpiących zwłoki, walili w klawisze maszyn, wystukując wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jedną i tę samą literę, powtarzaną dziesiątki razy.

Wyszłam i ruszyłam przed siebie chodnikiem. Mijając otwarte okno, zobaczyłam komisarza zamykającego za sobą drzwi gabinetu.

– Ja piernicę, szefie... Niezła sztuka – usłyszałam męski głos.

– Zamknij się, Palomares, albo cię wyślę, żebyś stróżował na Małpiej Górze.

Podobno przed wybuchem wojny autobusy, którymi można było się dostać z Tetuanu do Tangeru, kursowały kilka razy

dziennie, teraz jednak pokonanie owych siedemdziesięciu kilometrów nie było łatwe, a godziny odjazdów nieregularne, w związku z czym nikt nie potrafił udzielić mi rzetelnej informacji. Zdenerwowana, udałam się nazajutrz rano na dworzec, z którego odchodziła „Walencjanka”. Byłam gotowa na wszystko, byle tylko czerwony autobus dowiózł mnie na miejsce. Uznałam, że skoro mogłam wytrzymać półtorej godziny w komisariacie, obmacywana lubieżnymi spojrzeniami policjantów, to i tym razem jakoś zniosę czas oczekiwania w towarzystwie beczynnych kierowców i umazanych smarem mechaników. Ubrałam się w ten sam najlepszy kostium, głowę obwiązałam jedwabną chustką, a oczy zasłoniłam wielkimi ciemnymi okularami, żeby ukryć niepokój. Dochodziła dziewiąta. Od położonego na przedmieściach dworca dzieliło mnie zaledwie kilkadziesiąt metrów. Szłam prędko, zatopiona we własnych myślach: układałam scenariusz spotkania z kierownikiem Continentalu i zastanawiałam się, jakich użyję argumentów, żeby go przekonać. Martwiły mnie niespłacone długi, ale jeszcze bardziej dręczyła świadomość, że oto wracam do Tangeru, miasta, w którym na każdym rogu ulicy czyhało na mnie wspomnienie Ramira. Wiedziałam, że to zaboli, wiedziałam, że odżyje pamięć spędzonych razem chwil. Czekał mnie trudny dzień.

Było jeszcze wcześniej, po drodze mijałam niewielu ludzi i jeszcze mniej samochodów. Dlatego tak się zdziwiłam, gdy jeden z nich zahamował przy mnie z piskiem opon. Lśniący, czarny dodge. Pojazdu nigdy w życiu nie widziałam, ale głos, który odezwał się z jego wnętrza, był mi doskonale znany.



– *Morning, dear.* Co za niespodzianka. Może cię gdzieś podwieźć?

– Nie, dziękuję. Idę tutaj – powiedziałam, wskazując przystanek „Walencjanki”.

Kątem oka dostrzegłam, że moja angielska klientka ma na sobie kostium, który uszyłam dla niej przed kilkoma tygodniami. Podobnie jak ja włosy ukryła pod jasną chustką.

– Wybierasz się gdzieś autobusem? – zapytała z nutką niedowierzania w głosie.

– Tak, jadę do Tangeru. Raz jeszcze dziękuję, to bardzo miło, że chciała mnie pani podwieźć.

Rosalinda Fox roześmiała się dźwięcznie, jakby właśnie usłyszała świetny dowcip.

– *No way, sweetie.* Autobus! Co za pomysł! Ja też jadę do Tangeru. Wsiadaj, moja droga. I przestań już mi mówić „pani”, *please.* Przecież jesteśmy przyjaciółkami, *aren't we?*

Zastanowiłam się szybko nad tą propozycją i doszłam do wniosku, że don Claudio nie powinien mieć nic przeciwko temu. Dzięki owemu niespodziewanemu zaproszeniu uniknę przykrej podróży autobusem pełnym bolesnych wspomnień, a poza tym, jadąc w miłym towarzystwie, łatwiej zapomnę o własnych zmartwieniach i obawach.

Ruszyliśmy aleją Palmeras, zostawiając w tyle dworzec. Mijałyśmy wspaniałe rezydencje, niknące niemal w bujnej zieleni ogrodów.

– Tu jest mój dom – powiedziała, wskazując jedną z nich. – Chociaż pewnie nie na długo. Prawdopodobnie wkrótce znów się przeprowadzę.

– Wyjeżdżasz z Tetuanu?

Roześmiała się, jakby mocno czymś rozbawiona.

– Nie, skądże, za nic w świecie. Chcę tylko znaleźć coś wygodniejszego. To cudowna willa, ale długo nikt tu nie mieszkał i wymaga gruntownego remontu. Rury wołają o pomstę do nieba, woda ledwo dochodzi i wolę nie myśleć, że musiałabym w takich warunkach spędzić zimę. Powiedziałam to Juanowi Luisowi i już zaczął szukać innego miejsca, *a bit more comfortable*.

Wspomniała o swoim kochanku tak naturalnie, ze swobodą i pewnością siebie jakże różną od skrępowania i niedomówień z owego pamiętnego wieczoru, gdy wybierała się na przyjęcie w niemieckim konsulacie. Nie zareagowałam, jakbym doskonale wiedziała, co ich łączy; jakby mówienie o Wysokim Komisarzu per „Juan Luis” było czymś normalnym i codziennym w mojej krawieckiej pracowni.

– Uwielbiam Tetuan, *it's so, so beautiful*. Trochę mi przypomina dzielnicę białych w Kalkucie, tamtejszą roślinność i kolonialną architekturę. Ale to było tak dawno...

– Chciałabyś tam kiedyś wrócić?

– Nie, nie ma mowy. To już przeszłość. Miałam niezbyt przyjemne przeżycia, parę osób obeszło się ze mną dość nieładnie. Poza tym lubię poznawać nowe miejsca: wczoraj w Portugalii, dziś w Maroku, jutro *who knows*, kto wie. W Portugalii mieszkałam ponad rok, najpierw w Estoril, później w Cascais. Potem sprawy się skomplikowały i postanowiłam zmienić klimat.

Mówiła bez przerwy, wpatrzona ze skupieniem w jezdnię. Miałam wrażenie, że jej hiszpański poprawił się od naszego pierwszego spotkania. Nie słyszało się już w nim portugalskich naleciałości, chociaż nadal wtrącała słowa i zwroty w swoim ojczystym języku. Jechaliśmy z opuszczonym dachem, musiała podnosić głos, żeby przekrzyczeć ogłuszający warkot silnika.

– Jeszcze do niedawna żyliśmy tam, w Cascais i Estoril, jak w rodzinie. Niewielka, sympatyczna kolonia Brytyjczyków i emigrantów z całego świata: dyplomaci, europejska arystokracja, angielscy importerzy win, amerykańscy nafciarze... Chodziliśmy z przyjęcia na przyjęcie, z zabawy na zabawę, wszystko mieliśmy za bezcen: trunki, mieszkania, służbę. Grywaliśmy w brydża do upadłego; było tak cudownie. I raptem, niemal z dnia na dzień, wszystko się zmieniło. Nagle okazało się, że wszyscy tam chcą mieszkać. W okolicy zaroilo się od nowych *Britishers*, którzy spędziwszy pół życia na krańcach *Empire*, nie mieli ochoty moknąć na emeryturze w deszczowym *old country*, woleli słoneczne plaże Portugalii. Nazjeżdżało się pełno hiszpańskich monarchistów, którzy już czuli, co się szykuje. I niemieckich Żydów, którym u siebie grunt zaczynał się palić pod nogami, więc przyjechali się rozejrzeć, czy w Portugalii można robić interesy. Ceny wzrosły *immensely*. – Wzruszyła ramionami jak rozkapryszone dziecko. – Życie straciło swój *charm*, cały urok.

Przez większość drogi żółty, spłowiwały pejzaż urozmaicały jedynie kępy opuncji i trzcinowe zarośla. Minęliśmy porośnięte sosnami wzgórze i znów otoczyły nas pustynne piaski. Jedwabne chustki na naszych głowach błyszczały w słońcu i

powiewały na wietrze, a ona opowiadała o tym, jak los przywiódł ją do Maroka.

– W Portugalii wiele słyszałam o Maroku, zwłaszcza o Tetuanie. Blisko się przyjaźniłam z generałem Sanjurjo i jego uroczą Carmen, *so sweet* ... Wiesz, że była kiedyś tancerką? Johnny, mój synek, całymi dniami bawił się z ich małym Pepitem. Bardzo przeżyłam śmierć José Sanjurjo w *airplane crash*, straszny wypadek. Czarujący mężczyzna... niezbyt atrakcyjny fizycznie, *to tell you the truth*, ale ogromnie sympatyczny, taki dobroduszny. Zawsze mówił do mnie *guapíssssima*; od niego nauczyłam się pierwszych hiszpańskich słów. To on przedstawił mnie Juanowi Luisowi w Berlinie podczas igrzysk zimowych w zeszłym roku. Zrobił na mnie piorunujące wrażenie. Przyjechałam z moją przyjaciółką Nieszą. Dwie kobiety mknące mercedesem przez całą Europę, z Portugalii do Berlina, *can you imagine?* Zatrzymałyśmy się w Adlon Hotel, na pewno znasz.

Zrobiłam nieokreślony ruch głową, który nie znaczył ani tak, ani nie, ani wręcz przeciwnie; ona tymczasem mówiła dalej, nie zwracając na mnie większej uwagi.

– Berlin, co za miasto, *my goodness!* Kabarety, zabawy, *night clubs*, fascynujące, tętniące życiem. Wielebna matka przełożona z mojego anglikańskiego internatu padłaby trupem, gdyby mnie tam zobaczyła. Którejś nocy, zupełnie przypadkiem, spotkałam ich obu w hotelowym *lounge*, *having a drink*, przy drinku. Sanjurjo przyjechał poznać tamtejsze fabryki broni. Juan Luis, który mieszkał w Niemczech przez wiele lat jako attaché wojskowy hiszpańskiej ambasady, towarzyszył mu w owym

tournée. Mieliśmy *a little chit-chat*, pogadaliśmy trochę. Z początku Juan Luis starał się zachować dyskrecję i nie komentować przy mnie celu owej wizyty, lecz José wiedział, że jestem oddaną przyjaciółką. Jesteśmy tu z okazji igrzysk zimowych, ale już szykujemy się do kolejnych igrzysk wojennych, powiedział ze śmiechem. *My dear José...* gdyby nie ta straszna katastrofa, być może teraz to on, a nie Franco, stałby na czele wojsk narodowych, *so sad. Anyway*, kiedy wróciliśmy do Portugalii, Sanjurjo często wspominał tamto spotkanie i swojego przyjaciela Beigbedera. Mówił o tym, jak wielkie wrażenie na nim zrobiłam i jak cudowne jest życie w hiszpańskim Maroku. Wiedziałaś, że José też był Wysokim Komisarzem w Tetuanie, w latach dwudziestych? Osobiście zaprojektował ogrody wokół siedziby Wysokiego Komisariatu, *so beautiful*. A król Alfons XIII nadał mu tytuł markiza Rif. Nazywano go Lwem Rifeńskim, *poor dear José*.

Jechałyśmy przez jałową, spaloną słońcem ziemię, a Rosalinda mówiła i mówiła, przeskakując z tematu na temat, przekraczając granice państw i bariery czasu, i nie bacząc na to, czy za nią nadążam w owej wędrówce przez labirynt układany ze skrawków jej życia. Zatrzymałyśmy się nagle pośrodku pustki, wzbijając w niebo tumany kurzu. Przez drogę przeszło stadko wychudzonych kóz pod czujnym okiem pasterza w brudnym turbanie i wyszarzałej, podartej dżelabie. Kiedy ostatnie zwierzę znalazło się bezpiecznie po drugiej stronie szosy, podniósł swój pasterski kij na znak, że możemy jechać dalej, i odsłoniwszy szczerbate dziąsła, powiedział kilka

niezrozumiałych słów. Rosalinda uruchomiła samochód i podjęła przerwana opowieść.

– Kilka miesięcy później nadeszły lipcowe *events*, wydarzenia z ubiegłego roku. Ja *just* wróciłam z Portugalii do Londynu, planowałam już przeprowadzkę do Maroka. Juan Luis mówił mi, że na początku były chwile *a bit difficult*: ogniska oporu, strzelanina i eksplozje, fontanny w ukochanych ogrodach Sanjurja spływały krwią. Jednak powstańcy dopięli celu, a Juan Luis też miał w tym swój udział. Osobiście powiadomił o przebiegu wydarzeń kalifa Muleja Hassana, wielkiego wezyra i wszystkich muzułmańskich dostojników. Doskonale mówi po arabsku, *you know*: studiował w Szkole Języków Wschodnich w Paryżu i przez wiele lat mieszkał w Afryce. Jest wielkim przyjacielem Marokańczyków, zafascynowanym tutejszą kulturą: nazywa ich swymi braćmi i twierdzi, że wszyscy Hiszpanie są po trosze Maurami; zabawny człowiek, *sofunny*.

Nie przerywałam jej, ale w moich myślach powstał niewyraźny obraz wygłodzonych Maurów walczących na obcej ziemi, przelewających krew za cudzą sprawę, w zamian za nędzny żołąd i parę kilo mąki i cukru, które podobno otrzymywały z przydziału od wojska rodziny ginących na froncie Kabylów. Poborem owych nieszczęsnych Arabów, jak dowiedziałam się kiedyś od Félix, zajmował się właśnie nasz drogi, wspaniały Beigbeder.

– *Anyway* – ciągnęła Rosalinda – już pierwszego dnia przekonał władze islamskie, żeby stanęły po stronie buntowników, co było kwestią fundamentalną dla powodzenia operacji militarnej. Później Franco mianował go za to Wysokim

Komisarzem. Znali się już przedtem, służyli kiedyś w tej samej jednostce. Ale trudno ich nazwać przyjaciółmi, *certainly not*. Prawdę mówiąc, mimo iż towarzyszył wtedy Sanjurjowi w wyprawie do Berlina, Juan Luis nie uczestniczył w żadnym spisku. Nie wiem dlaczego, ale nie brano go wówczas pod uwagę. W tamtych dniach pracował w administracji jako pełnomocnik do spraw tubylców, trzymał się z dala od koszar i konspiracji, żył we własnym świecie. To wyjątkowy człowiek, raczej intelektualista niż wojskowy, *you know what I mean*: lubi czytać, rozmawiać, dyskutować, uczyć się języków... *Dear Juan Luis* jest taki romantyczny.

Trudno mi jakoś było pogodzić nakreślony przez moją klientkę portret czarującego, romantycznego mężczyzny z wizerunkiem twardego, stanowczego dowódcy zbuntowanego wojska, ale nigdy by mi nie przeszło przez głowę, żeby to okazać. Dojeżdżałyśmy właśnie do punktu kontrolnego, strzeżonego przez uzbrojonych po zęby mauretańskich żołnierzy.

– Daj mi swój paszport, *please*.

Wyjęłam dokumenty z torebki, razem z przepustką, wystawioną poprzedniego dnia przez don Claudia. Na przepustkę nawet nie spojrzała. Wzięła oba nasze paszporty i dołączyła do nich złożoną na pół kartkę, będącą zapewne glejtem, który upoważniał Rosalindę Fox do podróży na sam koniec świata, gdyby jej na to przyszła ochota. Do pliku papierów dołożyła swój najpiękniejszy uśmiech i wręczyła wszystko jednemu z mauretańskich strażników, „medżaj”, jak ich nazywano. Zabrał dokumenty do białej wapnem budki, z

której po chwili wyszedł jakiś Hiszpan w mundurze, trzasnął obcasami, zasalutował w najbardziej żołnierskim ze wszystkich wojskowych pozdrowień i bez słowa machnął ręką na znak, że możemy jechać dalej. Rosalinda kontynuowała swój monolog, zaczynając w innym miejscu, niż skończyła. Ja tymczasem z trudem próbowałam odzyskać spokój. Wiedziałam, że nie ma powodu do nerwów, że moje papiery są w porządku, ale strach był silniejszy ode mnie, czułam go pod skórą niby dokuczliwą wysypkę.

– So, w październiku zeszłego roku wsiadłam w Liverpoolu na statek płynący z ładunkiem kawy do Indii Zachodnich, z postojem w Tangerangze, gdzie zgodnie z planem postanowiłam się zatrzymać na jakiś czas. Zejście na ląd było *absolutely crazy*. Istne szaleństwo... Port w Tangerangze jest *so awful*, po prostu okropny... Wiesz, o czym mówię, byłaś tam przecież?

Tym razem kiwnęłam głową z całkowitym zrozumieniem. Jak mogłabym zapomnieć? Rok temu przyплыnęliśmy tam z Ramirem: światła, statki, brzeg, białe domy schodzące z zielonych wzgórz aż do morza. Portowe syreny i ten zapach soli i dziegciu. Skupiłam się ponownie na Rosalindzie i jej podróżach: jeszcze nie nadeszła chwila, by otworzyć worek z melancholią.

– Wyobraź sobie, jechałam z Johnnym, moim synkiem, i z Jokerem, moim cocker spanielem... a do tego samochód i szesnaście kufrów, w których wiozłam rzeczy osobiste: ubrania, dywany, porcelanę, książki Kiplinga i Evelynna Waugh, albumy ze zdjęciami, kije golfowe i *my HMV, you know*, przenośny gramofon z kompletem płyt: Paul Whitman i jego orkiestra,



Bing Crosby, Louis Armstrong... i oczywiście spory plik listów polecających. To jedna z najważniejszych rzeczy, jakich nauczył mnie mój ojciec, kiedy byłam *just a girl*, jeszcze małą dziewczynką. Oprócz jazdy konnej i brydża, *of course*. Nigdy nie wyjeżdżaj bez listów polecających, mawiał, *poor daddy*, zmarł kilka lat temu na *heart attack*, jak to powiedzieć po hiszpańsku? – zapytała, kładąc rękę na lewej piersi.

– Atak serca?

– *That's it*, atak serca. Dzięki tym listom szybko zaprzyjaźniłam się z wieloma Anglikami. To samo towarzystwo, co zawsze, *you know, once again*: emerytowani urzędnicy z kolonii, oficerowie, dyplomaci... Przeważnie strasznie nudni, *to tell you the truth*, ale poznali mnie z kilkoma uroczymi ludźmi. Wynajęłam cudny domek niedaleko *the Dutch Legation*, znalazłam sobie służącą i zadomowiłam się w Tangerze na kilka miesięcy.

Przy drodze wyrastały tu i ówdzie niskie białe budynki, zapowiadając bliskość miasta i nieuchronny koniec naszej podróży. Na poboczu zapanował ożywiony ruch: mijałyśmy grupki muzułmanek obładowanych jakimiś tobołami, rozbrykane bose dzieci w przykrótkich dżelabach, mężczyźni w kapturach i turbanach, zwierzęta, coraz więcej zwierząt – osły niosące na grzbiecie dzbany wody, stadko chuderlawych owiec, czasem kilka rozgdakanych, wystraszonych kur uciekających w popłochu przed warkotem silnika. Miasto z wolna przybierało kształt, a Rosalinda, zręcznie lawirując wśród krętych ulic, brała zakręty pełnym gazem i wspominała swój tangerski dom, który tak niedawno opuściła i który tak bardzo się jej podobał.

Ja zaś rozpoznawałam znajome miejsca i usiłowałam nie pamiętać, z kim tam bywałam w czasach, które kiedyś wydawały mi się szczęśliwe. Zaparkowała wreszcie na Place de France, hamując z takim impetem, że wszyscy się na nas obejrżeli. Nie przejmując się tym ani trochę, zdjęła z głowy chustkę i musnęła wargi szminką, patrząc w samochodowe lusterko.

– Dałabym życie za jeden *morning cocktail* w El Minzah, ale przedtem muszę coś załatwić. Pójdiesz ze mną?

– Gdzie?

– Do Bank of London and South America, sprawdzić, czy mój cholerny mąż wreszcie przysłał mi pieniądze.

Zdejmując chustkę, zastanawiałam się, kiedy ta kobieta przestanie mnie zaskakiwać. Podejrzewałam, że ma pstro w głowie, a ona okazała się odpowiedzialną, kochającą matką. Wyobrażałam ją sobie w luksusowych strojach od słynnych krawców, a ona chciała pożyczyć ode mnie sukienkę na przyjęcie w nazistowskim konsulacie; myślałam, że jest zakochana w jakimś przystojnym, lekkomyślnym cudzoziemcu, a jej kochankiem był starszy od niej dwukrotnie oficer o potężnych wpływach. Jakby tego było mało, teraz jeszcze wyszło na jaw, że w jej życiu istniał jakiś mąż – nieobecny, lecz żywy – który najwyraźniej nie okazywał wielkiego entuzjazmu w kwestii utrzymywania małżonki.

– Chyba nie będę mogła pójść z tobą, też powinnam załatwić parę spraw – odpowiedziałam. – Możemy się umówić później.

– *All right.* – Zerknęła na zegarek. – O pierwszej?

Kiwnęłam głową. Dochodziła jedenasta, miałam czas.

Szczęścia chyba nie za wiele, ale czasu aż nadto.

## 23

Bar w hotelu El Minzah wyglądał dokładnie tak samo jak przed rokiem. Szykownie ubrani Europejczycy – kobiety i mężczyźni – siedzieli przy stolikach, popijając whisky, sherry i koktajle i prowadzili głośne rozmowy, wymieniając się słowami w różnych językach jak partnerami w „odbijanym” tańcu. Pianista przy stojącym pośrodku sali fortepianie uprzyjemniał nastrój melodyjną muzyką. Nikt się nie spieszył, wszystko było tak jak owego lata w trzydziestym szóstym roku, chociaż przy barze nie czekał już na mnie mężczyzna gawędzący po hiszpańsku z barmanem, lecz mówiąca po angielsku kobieta z kieliszkiem w ręku.

– Sira, *dear!* – zawołała na mój widok. – *Pinkgin?* – zapytała, podnosząc swój koktajl.

Było mi wszystko jedno, czy wypiję dżin z angosturą, czy łyk terpentyny, kiwnęłam zatem głową z nieszczerym uśmiechem.

– Znasz Deana? To mój stary przyjaciel. Dean, oto Sira Quiroga, *my dressmaker*, moja krawcowa.

Zerknęłam na barmana i od razu poznałam jego chudą sylwetkę, posępną, oliwkową twarz i mroczne, zagadkowe spojrzenie ciemnych oczu. Przypomniałam sobie, że kiedy bywałam tu z Ramirem, wszyscy go znali i każdy, kto potrzebował jakiegoś kontaktu, wskazówki albo dyskretnej informacji, zwracał się z tym do niego. Zauważyłam, że taksuje mnie wzrokiem, odnajduje w pamięci, kojarzy z osobą Ramira, ocenia zmiany w moim wyglądzie. Odezwał się pierwszy.

– Wydaje mi się, że już tu panią kiedyś widziałem.

– To dawne czasy – powiedziałam obojętnie.

– Tak, chyba sobie przypominam. Tyle się wydarzyło od tamtej pory, prawda? Kiedy pani u nas bywała, nie widywało się tutaj aż tylu Hiszpanów.

Miał rację, wiele się wydarzyło. Do Tangeru przybyły tysiące uciekających przed wojną Hiszpanów, a Ramiro i ja rozeszliśmy się, każde w swoją stronę. Zmieniło się moje życie, zmienił się mój kraj. Moje ciało i moje uczucia. Wszystko zmieniło się tak bardzo, że wolałam się nad tym nie zastanawiać; dlatego nic nie odpowiedziałam, udając, że szukam czegoś na dnie torebki. Gawędzili dalej, na zmianę po angielsku i hiszpańsku, próbując od czasu do czasu wciągnąć mnie w ploteczki o ludziach najzupełniej mi obojętnych, lecz ja dość miałam kłopotu z uporządkowaniem własnych spraw. W lokalu panował nieustanny ruch, ciągle ktoś wchodził lub wychodził: elegancyjni mężczyźni i świetnie ubrane kobiety snuli się bez pośpiechu i najwyraźniej bez zajęcia. Rosalinda z daleka pozdrawiała znajomych, do jednych machała ręką, z innymi zamieniała kilka miłych, lecz zdawkowych słów, jakby chciała uniknąć wdawania się w dłuższą konwersację. Radziła sobie nieźle, ale tylko do czasu, gdy zjawiły się dwie panie, które na jej widok postanowiły, że nie dadzą się spławić zwykłym: witaj, kochanie, tak się cieszę, że cię widzę. Była to para wspaniałych okazów, jasnowłose, wysmukłe i wyniosłe cudzoziemki nieokreślonej narodowości, takie same jak te, których miny i pozy ćwiczyłam do upadłego przed pękniętym lustrem w pokoiku u Candelarii. Powitały Rosalindę zwiewnym pocałunkiem, ledwo muskając

wargami jej upudrowane policzki. Bezczenie rozsiadły się pomiędzy nami, chociaż nikt ich nie zapraszał. Barman przygotował im aperitify, wyjęły papierośnice, fiki z kości słoniowej i srebrne zapalniczki. Wspominały imiona i nazwiska, godności i urzędy, fety, bankiety, spotkania, rozstania: pamiętasz ten wieczór w willi Harrisa, nie uwierzysz, jak postąpił z Lucille Dawson jej ostatni narzeczony, ach, przy okazji, wiesz, że Bertie Stewart jest kompletnie zrujnowany? I tak w kółko, aż wreszcie jedna z nich, ta mniej młoda, ta bardziej obwieszona biżuterią, nie wytrzymała i przystąpiła do obcesowych indagacji.

– A tobie, moja droga, jak się wiedzie w Tetuanie? Prawdę mówiąc, zaskoczyłaś wszystkich, wyjeżdżając tak, tak... nagle.

Krótkie, szybko stłumione parsknięcie cynicznym śmiechem poprzedziło replikę Rosalindy.

– Och, w Tetuanie żyje mi się cudownie. Mam dom jak z bajki i fantastycznych przyjaciół, jak *my dear* Sira, która ma najlepsze atelier *de haute couture* w całej północnej Afryce.

Spojrzały na mnie z zaciekawieniem, a ja w odpowiedzi potrząsnęłam grzywką i uśmiechnęłam się bardziej nieszczercze niż Judasz.

– Cóż, może kiedyś do pani zajrzemy. Uwielbiamy modę, a już nam się trochę znudziły tutejsze krawcowe, prawda, Mildred?

Ta młodsza przytaknęła z zapalem i podjęła przerwany wątek.

– Tak byśmy chciały cię odwiedzić w Tetuanie, Rosalindo, ale odkąd zaczęła się ta hiszpańska wojna, po prostu nie da się przejechać przez granicę...

– Chociaż ty, kochanie, masz takie kontakty, że pewnie mogłabyś zdobyć dla nas przepustki. A przy okazji wstąpimy do atelier twojej przyjaciółki i poznasz nas ze swoim nowym towarzystwem...

Blondyny konsekwentnie realizowały zamierzoną taktykę, na zmianę przypierając Rosalindę do muru; barman Dean tkwił niewzruszenie za kontuarem, chłonąc każde słowo. Twarz Rosalindy zastygła w uśmiechu.

– To by było genialnie: *tout le monde* w Tangerze zachodzi w głowę, z kim się teraz przyjaźnisz.

– Zresztą, mówmy otwarcie, bo od czego są przyjaciółki... Tak naprawdę to chciałybyśmy poznać tylko jednego z twoich przyjaciół. Słyszałyśmy, że to ktoś zupełnie, absolutnie wyjątkowy.

– Może któregoś wieczoru mogłabyś nas zabrać do niego na przyjęcie, przedstawić mu swoje stare znajome z Tangeru? Pójdziemy z przyjemnością, prawda, Olivio?

– Byłoby wspaniale. Tak nudno wiecznie oglądać te same twarze. To fascynujące zobaczyć z bliska ludzi, którzy teraz rządzą Hiszpanią, móc z nimi rozmawiać...

– Tak, to by było dla nas wielkie przeżycie... Poza tym przedsiębiorstwo mojego męża ma wypuścić na rynek towar, który mógłby bardzo zainteresować wojsko. Gdybyś zechciała szepnąć słówko, może udałoby się załatwić kontrakt w Protektoracie.

– A mój biedny Arnold wciąż się marnuje w Bank of British West Africa. Może w Tetuanie znalazłaby się dla niego bardziej odpowiednia posada...

Z twarzy Rosalindy z wolna zniknął uśmiech, nawet nie próbowała udawać. A kiedy doszła do wniosku, że nasłuchiwała się już dosyć bzdur, po prostu zignorowała swoje blond przyjaciółki, zwracając się najpierw do mnie, a potem do barmana:

– Sira, *darling*, chodźmy coś zjeść do Roma Park. Dean, *please, be a love* i dopisz te drinki do mojego rachunku.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– To na koszt firmy.

– Dla nas też? – wtrąciła natychmiast Olivia. A może Mildred. Zanim zdążył otworzyć usta, odezwała się Rosalinda.

– Dla was nie.

– Ale dlaczego? – zapytała ze zdziwioną miną Mildred. A może Olivia.

– Bo jesteście *bitches*. Jak to będzie po hiszpańsku, Sira, *darling*?

– Zdziry – odparłam bez najmniejszego wahania.

– *That's it*. Dwie zdziry.

Opuściliśmy bar El Minzah świadome ścigających nas spojrzeń: nawet dla tak kosmopolitycznego i tolerancyjnego towarzystwa jak wielonarodowa elita Tangeru publiczny romans młodej zamężnej Angielki ze zbuntowanym oficerem nie pierwszej młodości i wielkiej władzy stanowił łakomy kąsek, który dodawał smaczku drinkom, zwłaszcza w porze aperitif.

– Przypuszczam, że mój związek z Juanem Luisem mógł zaskoczyć wiele osób, ale ja mam uczucie, jakby to było zapisane w gwiazdach od zarania czasu.

Wśród tych, którym ów alians zdawał się czymś zupełnie niesłychanym, znalazłam się oczywiście i ja. Trudno mi było sobie wyobrazić, że siedząca przede mną kobieta, tak pełna radości i życzliwości dla wszystkich, tak światowa i tak frywolna, serio traktuje romans z oschłym, poważnym oficerem wysokiej rangi, w dodatku dwukrotnie od niej starszym. Jadłyśmy rybę i piłyśmy białe wino w ogródku restauracji, a wiatr znad pobliskiego morza łopotał markizami w białoniebieskie pasy, przynosząc zapach soli i smutne wspomnienia, które usiłowałam przepłoszyć, skupiając całą uwagę na rozmowie z Rosalindą. Odnosiłam wrażenie, że ma wielką ochotę opowiedzieć komuś własną, osobistą wersję romansu z Wysokim Komisarzem, jakże odmienną od szeptanych z ucha do ucha nieprawdziwych plotek, krążących po Tangerze i Tetuanie. Ale dlaczego mówi to mnie, przecież mnie prawie nie zna? Pomimo mojego kamuflażu krawcowej *chic* dzieliło nas pochodzenie, dzieliła przeszłość, dzieliła teraźniejszość. Ona wywodziła się z kosmopolitycznego świata zamożnej klasy próżniaczej; ja byłam zwykłą wyrobnicą, córką ubogiej samotnej matki, wychowaną w dzielnicy madryckiej biedoty. Ona przeżywała namiętny romans z jednym z dowódców wojska, które wywołało wojnę pustoszącą mój kraj; ja tymczasem pracowałam dniem i nocą, żeby związać koniec z końcem. Ona jednak postanowiła mi zaufać. Może uznała, że powinna mi się w ten sposób odwdziżyć za Delfos. Może



sądziła, że jako kobieta niezależna i w tym samym wieku zrozumie ją lepiej niż inne. A może po prostu czuła się samotna i musiała się przed kimś wygadać. A tym kimś, w południe owego letniego dnia w portowym mieście na północnym wybrzeżu Afryki, okazałam się właśnie ja.

– Sanjurjo, zanim zginął w tym strasznym wypadku, namawiał mnie, żebym kiedy już się urzędzę w Tangerze, pojechała do Tetuanu odwiedzić jego przyjaciela Juana Luisa Beigbedera. Ciągłe wspominał nasze spotkanie w berlińskim Aldonie i zapewniał, że Juan Luis bardzo się ucieszy, że będzie mógł mnie zobaczyć *again*. Ja również, *to tell you the truth*, miałam wielką ochotę na ponowne spotkanie: zrobił na mnie wrażenie fascynującego, niezwykle interesującego mężczyzny, wykształconego, takiego, takiego... hiszpańskiego *caballero*. Tak więc, po kilku miesiącach, kiedy się już zadomowiłam w Afryce, stwierdziłam, iż nadszedł moment, żeby wybrać się do stolicy Protektoratu i przypomnieć się Beigbederowi. Od czasu gdy poznaliśmy się w Berlinie, zaszły wielkie zmiany, *obviously*: on nie zajmował się już sprawami tubylców, awansował na najwyższe stanowisko w Wysokim Komisariacie. Tam też pojechałam moim austinem 7. *My God!* Nigdy nie zapomnę tego dnia. Dojechałam do Tetuanu i od razu poszłam się zobaczyć z angielskim konsulem Monk-Masonem, na pewno go znasz, *don't you?* Ja go nazywam *old monkey*, starą małpą; straszny nudziarz z niego, *poor thing*.

Właśnie podnosiłam kieliszek do ust i korzystając z tego, wykrzywiłam usta w wieloznacznym grymasie. Nie znałam tego Monk-Masona, słyszałam tylko, jak któraś z moich klientek

wspomniała kiedyś to nazwisko. Wolałam jednak nie przyznawać się do tego przed Rosalindą.

– Kiedy mu powiedziałam, że mam zamiar spotkać się z Beigbederem, aż usiadł z wrażenia. Wiesz przecież, że w przeciwieństwie do Włochów i Niemców *His Majesty's government*, rząd Jego Królewskiej Mości, nie utrzymuje żadnych stosunków z narodowcami. Dla nas jedyną legalną władzą w Hiszpanii pozostają republikanie. Dlatego Monk-Mason pomyślał, że moja znajomość z Juanem Luisem może się okazać niezwykle korzystna dla interesów brytyjskich. So, jeszcze przed południem, w towarzystwie Jokera, mojego psa, zajechałam własnym samochodem przed siedzibę Wysokiego Komisariatu. Przy wejściu okazałam list polecający, który Sanjurjo zdążył jeszcze napisać przed śmiercią. Skierowali mnie do osobistego sekretarza Juana Luisa. Jakiś człowiek poprowadził mnie przez liczne korytarze, pełne żołnierzy i spluwaczek, *how very disgusting*, ohyda! Jiménez Mouro, tak się nazywa ten sekretarz, od razu zaprosił mnie do jego gabinetu. Wiedziałam, że jest wojna, dlatego spodziewałam się, że świeżo mianowany Wysoki Komisarz powita mnie w imponującym mundurze, obwieszony orderami, a tymczasem, tak jak wtedy w Berlinie, miał na sobie zwyczajny ciemny garnitur i wcale nie wyglądał na zbuntowanego oficera. Ogromnie się ucieszył z mojej wizyty. Był czarujący. Pogawędziliśmy trochę, a potem zaproponował wspólny obiad, ale ja już przyjąłam zaproszenie od Monk-Masona, więc umówiliśmy się na następny dzień.

Lokal powoli zapełniał się gośćmi, zaczynało brakować wolnych stolików. Rosalinda od czasu do czasu machała lub uśmiechała się do kogoś, ale nie wykazywała chęci przerwania opowieści o swoich pierwszych spotkaniach z Beigbederem. Ja też dostrzegłam kilka znajomych twarzy, ludzi, których poznałam przez Ramira i których wolałam zignorować. Skupiłyśmy się zatem na sobie: ona mówiła, ja słuchałam, obydwie jadłyśmy rybę, piłyśmy chłodne wino i nie zwracaliśmy uwagi na zgiełk świata.

– Nazajutrz zjawiłam się w Wysokim Komisariacie, spodziewając się uroczystego przyjęcia, stosownego do otoczenia i okoliczności: wielkiego stołu, sztywnej atmosfery, krążących cicho kelnerów... Ale Juan Luis kazał przygotować skromny stół dla dwojga przy oknie z widokiem na ogród. To był niezapomniany lunch. Beigbeder mówił, mówił i mówił bez przerwy o Maroku, o swoim szczęśliwym Maroku, jak je zwykł nazywać. O jego magii, jego tajemnicach, jego fascynującej kulturze. Po obiedzie zabrał mnie na przejażdżkę po okolicach Tetuanu, *so beautiful*. Pojechaliśmy służbowym autem, wyobraź sobie, w orszaku motocyklistów i adiutantów, *so embarrassing!* *Anyway*, skończyliśmy wycieczkę na plaży, siedząc nad brzegiem morza, a nasza asysta czekała cierpliwie na szosie, *can you believe it?*

Zachichotała i ja też się uśmiechnęłam. Opisana przez nią sytuacja była istotnie osobliwa: najwyższy dygnitarz Protektoratu i nikomu nieznaną cudzoziemką, która mogłaby być jego córką, jawnie ze sobą flirtujący nad brzegiem morza,

podczas gdy zmotoryzowana świta bezwstydnie ich obserwowwała, trzymając się na stosowną odległość.

– I wtedy on podniósł dwa kamyki, jeden biały, drugi czarny. Schował ręce za plecami, a potem wyciągnął do mnie zaciśnięte dłonie. Wybieraj, powiedział. Co mam wybrać? Wybierz, którą rękę wolisz. Jeśli trafisz na czarny kamyk, znikniesz dzisiaj z mojego życia i już cię nigdy nie zobaczę. A jeśli padnie na biały, to znaczy, że los chce, byś została ze mną.

– I padło na biały.

– Faktycznie, padło na biały – przytaknęła z promiennym uśmiechem. – Parę dni później wysłał do Tangeru dwa samochody: chryslera royala po moje rzeczy i dodge'a roadstera, tego, którym tu przyjechałyśmy, dla mnie. Dostał go od dyrektora Banku Hassana w Tetuanie i postanowił mi podarować. Od tamtej pory się nie rozstajemy, chyba że musi gdzieś wyjechać służbowo. Na razie rozlokowaliśmy się z Johnnym przy alei Palmeras, we wspaniałej willi z łazienką godną maharadży i klozetem jak monarszy tron. Ale ściany już się niemal rozpadają i nie mamy bieżącej wody. Juan Luis rezyduje w siedzibie Wysokiego Komisariatu, bo tego wymaga jego urząd. Nie zamierzamy mieszkać razem, ale uznał, że nie ma powodów, by ukrywać nasz związek, chociaż może go to czasem stawiać w nieco dwuznacznej sytuacji.

– Bo on ma żonę – wtrąciłam.

Machnęła lekceważąco ręką i odgarnęła z twarzy kosmyk włosów.

– Nie, skądże. To nie jest aż takie istotne, ja też nie jestem wolna, mam przecież męża. To nasza prywatna sprawa, *our*

*concern*. To problem natury oficjalnej... powiedzmy, państwowej. Niektórzy myślą, że będąc Angielką, mogę na niego wywierać niekorzystny wpływ, zresztą wielu mówi o tym otwarcie.

– A któż tak uważa? – zapytałam z przejęciem; uznałam, że czyniąc mi owe zwierzenia, upoważniła mnie niejako do zadawania dociekliwych pytań. Prawdę mówiąc, nawet się nad tym nie zastanawiałam.

– Naziści mieszkający w Protektoracie. Zwłaszcza Langenheim i Bernhardt. Uważają, że Wysoki Komisarz powinien być *gloriously pro-German* we wszystkim, co robi: stuprocentowo lojalny wobec Niemiec, które od początku wspierają was w tej waszej wojnie, dostarczają samoloty i broń. Rzeczywiście, Juan Luis wiedział o wyjeździe waszej delegacji do Niemiec i o spotkaniu z Hitlerem w Bejrucie, gdzie jak co roku pojawił się na festiwalu wagnerowskim. *Anyway*, Hitler zasięgnął opinii admirała Canarisa, Canaris poradził mu, żeby udzielił wam żądanej pomocy, a Führer osobiście wydał rozkaz wysłania samolotów do Maroka. Gdyby nie to, hiszpańskie wojsko nie mogłoby się przedostać na drugą stronę Cieśniny Gibraltarskiej, można zatem powiedzieć, że owo germańskie wsparcie zadecydowało o powodzeniu całej operacji. Oczywiście od tamtej pory obie armie ściśle ze sobą współpracują. Jednak tetuańscy naziści obawiają się, że uczucie, jakim darzy mnie Juan Luis, może go skłonić do przyjęcia postawy bardziej *pro-British*, sceptycznej wobec Niemiec.

Przypomniałam sobie, co o mężu Frau Langenheim i jego rodaku Bernhardcie mówił Félix i jak komentował ową wczesną wojskową pomoc wyproszoną u Niemców i z czasem coraz bardziej zauważalną na Półwyspie. Pojęłam też, dlaczego Rosalinda tak bardzo chciała wywrzeć dobre wrażenie na swoim pierwszym oficjalnym spotkaniu z niemiecką kolonią, na którym miała się pojawić u boku kochanka. Zrozumiałam teraz jej rozterki i spróbowałam wszystko zbagatelizować, żeby ją trochę uspokoić.

– Ale ciebie to chyba nie powinno martwić. On może pozostać lojalny wobec Niemców i jednocześnie być z tobą, to jego prywatna sprawa. Ci, którzy uważają inaczej, na pewno nie mają racji.

– Ależ mają, oczywiście, że mają.

– Nie rozumiem.

Rzuciła szybkie spojrzenie na opustoszały ogródek. Nasza rozmowa tak się przedłużyła, że tylko dwa lub trzy stoliki były jeszcze zajęte. Wiatr ustał, markizy zwisały prawie nieruchomo. Kelnerzy w krótkich białych kaftanach i czerwonych tarbuszach – filcowych mauretańskich czapkach – krzątali się dyskretnie, strząsając obrusy i serwetki. Rosalinda zniżyła głos niemal do szeptu, który choć cichy, brzmiał z niezwykłą determinacją:

– Mają rację, bo ja, *my dear*, zamierzam uczynić wszystko, co w mojej mocy, żeby Juan Luis nawiązał bliskie stosunki z Anglikami. Nie mogę znieść myśli, że ta wasza wojna skończy się zwycięstwem spiskowców, że Niemcy będą największym sojusznikiem narodu hiszpańskiego, a Wielka Brytania jego

wrogiem. Mam po temu dwa powody. Pierwszy to zwykły sentymentalny patriotyzm: chcę, żeby rodacy człowieka, którego kocham, byli przyjaciółmi mojego kraju. Drugi, *however*, jest o wiele bardziej pragmatyczny i obiektywny: my, Anglicy, nie ufamy nazistom, to wszystko zaczyna wyglądać paskudnie. Może to lekka przesada mówić o groźbie kolejnej wielkiej wojny w Europie, ale nigdy nie wiadomo. A gdyby do tego doszło, chciałabym, żeby wasz kraj stanął po naszej stronie.

Już miałam jej powiedzieć, że naszemu nieszczęsnemu krajowi niepotrzebna jest żadna nowa wojna, bo wystarczy mu ta, którą mamy. Odniosłam jednak wrażenie, że ta nasza wojna była Rosalindzie najzupełniej obojętna, chociaż jej kochanek brał w niej walny udział. Postanowiłam mimo wszystko wysłuchać jej do końca, podtrzymać rozmowę o hipotetycznej, niepewnej przyszłości, zamiast zgłębiać teraźniejszą tragedię. Ów dzień i tak już był dla mnie pełen goryczy, nie chciałam czynić go jeszcze smutniejszym.

– A jak chcesz tego dokonać? – zapytałam.

– *Well*, nie myśl, że mam jakieś osobiste kontakty w Whitehall, *not at all* – odparła i parsknęła śmiechem. Zanotowałam w myślach, żeby zapytać Félixa, co to jest Whitehall. Wyraz skupienia na mojej twarzy nie pozwalał dostrzec ukrytej za nim ignorancji, więc Rosalinda mówiła dalej: – Ale wiesz, jak się załatwia te sprawy: powiązania, znajomości... Pomyślałam więc, że na początek spróbuję znaleźć dojście przez przyjaciół, których mam tutaj, w Tangerze. Pułkownik Hal Durand, generał Norman Beynon i jego żona

Mary, wszyscy oni mają świetne kontakty w Foreign Office. Teraz wszyscy wyjechali do Londynu, ale planuję spotkać się z nimi, jak wrócą, i przedstawić ich Juanowi Luisowi. Może dojdą z nim do porozumienia.

– I sądzisz, że on się na to zgodzi, że pozwoli ci się wtrącać do swoich służbowych spraw? Tak po prostu?

– *But of course, dear*, oczywiście – odparła bez cienia wątpliwości i z wdziękiem odgarnęła kosmyk włosów opadający jej na lewe oko. – Juan Luis jest człowiekiem wybitnie inteligentnym. Bardzo dobrze zna Niemców, żył wśród nich wiele lat i obawia się, że cena, jaką Hiszpania będzie musiała zapłacić w przyszłości za ich pomoc, okaże się zbyt wysoka. Poza tym ma wysokie mniemanie o Anglikach, bo my nigdy nie przegraliśmy żadnej wojny, a on, *after all*, jest żołnierzem, potrafi to docenić. I co najważniejsze, *my dear Sira*, Juan Luis mnie uwielbia. Dla swojej Rosalindy, jak sam codziennie mi powtarza, poszedłby nawet do piekła.

Wstałyśmy, kiedy stoliki były już nakryte do kolacji, a wieczorne cienie wspinały się na gliniany murek, który odgradzał nas od ulicy. Rosalinda nalegała, że ureguluje rachunek.

– Mąż wreszcie raczył wypłacić mi pensję, ja stawiam.

Poszłyśmy spacerkiem do samochodu i ruszyłyśmy w drogę powrotną do Tetuanu, w samą porę, żeby zdążyć przed upływem dwunastu godzin, które wyznaczył mi komisarz Vázquez. Zmienił się nie tylko kierunek podróży, ale i trajektoria naszej rozmowy. Dotąd mówiła Rosalinda, teraz nadszedł czas, by role się odwróciły.



– Pewnie myślisz, że jestem straszliwie nudna, że myślę tylko o własnych sprawach. Opowiedz mi o sobie. Rano miałaś coś do załatwienia. *Tell me now*, powiedz mi, jak ci poszło.

– Źle – odparłam krótko.

– Źle?

– Tak, źle, bardzo źle.

– *I'm sorry, really*. Przykro mi. To było coś ważnego?

Mogłam powiedzieć, że nie. W porównaniu z jej problemami moje zmartwienia wyglądały blado i nieciekawie: nie było w nich oficerów wysokiej rangi, konsulów ani ministrów, nie było politycznych interesów, spraw wagi państwowej ani zapowiedzi wielkich europejskich wojen, ani niczego, co miałoby choćby odległy związek z wyrafinowanymi emocjami, jakich doświadczała. W niepozornym świecie moich zmartwień mieściła się tylko garstka powszednich nieszczęść, które mogłam policzyć na palcach jednej ręki: zawiedziona miłość, dług do spłacenia i nieprzejednany właściciel hotelu, codzienna harówka, żeby utrzymać się na powierzchni, tonąca we krwi ojczyzna, do której nie mogłam wrócić, i tęsknota za nieobecną matką. Mogłam powiedzieć, że nie, że moje małe dramaty nie są ważne. Mogłam przemilczeć moje kłopoty, trzymać je w ukryciu i dzielić się nimi tylko z ciemnością pustego domu. Mogłam. Ale tego nie zrobiłam.

– Prawdę mówiąc, to było dla mnie bardzo ważne. Chcę wydostać z Madrytu moją matkę i ściągnąć ją do Maroka, ale na to potrzeba bardzo dużo pieniędzy, których nie mam, bo wszystkie oszczędności muszę przeznaczyć na wcześniejsze zobowiązania. Dziś rano próbowałam przedłużyć termin spłaty,

ale nic z tego nie wyszło, obawiam się więc, że na razie nie będę mogła sprowadzić matki. A najgorsze, że podobno coraz trudniej jest przekroczyć granicę strefy.

– Jest w Madrycie sama? – zapytała Rosalinda ze współczuciem.

– Zupełnie sama. Poza mną nie ma nikogo.

– A twój ojciec?

– Mój ojciec... cóż, to długa historia; chodzi o to, że nie mieszkają razem.

– Tak mi przykro, Sira, kochanie. Musi ci być bardzo ciężko, gdy pomyślisz, co ją może spotkać w czerwonej strefie od tych ludzi...

Spojrzałam na nią ze smutkiem. Jak jej wytłumaczyć to, czego nie może zrozumieć. Jak jej wbić do tej ślicznej blond główki tragiczną prawdę o tym, przez co teraz przechodzi mój kraj.

– Ci ludzie to jej rodacy, Rosalindo, jej sąsiedzi. Moja matka jest wśród swoich, w swoim domu, w swojej dzielnicy. Należy do tamtego świata, do ludu Madrytu. Jeżeli chcę ją sprowadzić do Tetuanu, to nie dlatego, że się o nią boję, ale dlatego, że jest wszystkim, co mam, i z każdym dniem brak jakichkolwiek wieści o niej ciąży mi coraz bardziej. Nie pisała do mnie od roku. Nie mam pojęcia, jak się czuje, nie wiem, jak sobie radzi i z czego żyje ani jak znosi tę wojnę.

W jednej sekundzie cała farsa o mojej fascynującej przeszłości pękła niczym przekłuty balon. A najciekawsze, że było mi już wszystko jedno.

– Ale... Słyszałam... Mówiono mi, że twoja rodzina jest...

Nie pozwoliłam jej dokończyć. Ona była ze mną szczerą i opowiedziała mi swoją historię bez owijania w bawełnę. Nadeszła chwila, bym ja odwzajemniła się tym samym. Być może Rosalindzie nie spodoba się to, co teraz usłyszy; być może pomyśli, że w porównaniu z jej przygodami moje życie jest mało efektowne, pozbawione klasy i światowego blasku. Pewnie od tej pory nie będzie już chciała popijać ze mną różowego dzinu ani podwozić mnie do Tangeru swoim kabrioletem, ale nie mogłam się powstrzymać od opowiedzenia jej całej prawdy o sobie. Koniec końców, była to prawda jedyna.

– Moja rodzina to matka i ja. Dwie krawcowe, dwie proste kobiety, których całym majątkiem są zręczne ręce. Po moim urodzeniu ojciec nie utrzymywał z nami żadnych kontaktów. Należy do innego świata, innej klasy: ma pieniądze, fabryki, znajomości, żonę, której nie kocha, i dwóch synów, z którymi nie może się dogadać. To wszystko ma. Albo miał, nie wiem. Po raz pierwszy i ostatni widziałam go jeszcze przed wojną; przeczuwał wtedy, że wkrótce go zabiją. A mój narzeczony, ów atrakcyjny, rzutki finansista, który rzekomo przebywa w Argentynie, zarządzając licznymi przedsiębiorstwami, nie istnieje. Rzeczywiście, był pewien mężczyzna w moim życiu i możliwe, że robi teraz interesy w tamtym kraju, ale ze mną nic już go nie łączy. To zwykły łajdak, który złamał mi serce i okradł ze wszystkiego, co miałam. Nie chcę o nim mówić. Takie jest moje życie, Rosalindo. Zupełnie inne niż twoje, sama widzisz.

W odpowiedzi na te wyznania wygłosiła długą perorę po angielsku, z której zrozumiałam jedynie słowo *Morocco*.

– Nie mam pojęcia, co powiedziałaś – bąknęłam z zakłopotaniem.

Przeszła z powrotem na hiszpański.

– Powiedziałałam, że kogo, u diabła, obchodzi twoja przeszłość, skoro jesteś najlepszą krawcową w całym Maroku. A co do twojej matki, to jak mówicie w Hiszpanii, kogo Pan Bóg stworzy, tego nie umorzy. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

## 25

Nazajutrz z samego rana zgłosiłam się na komisariat, żeby zawiadomić don Claudia o poniesionej w Tangerze klęsce.

Z czterech znanych mi już policjantów zastałam tylko dwóch: starego i chudego.

– Szefa jeszcze nie ma – oznajmili unisono.

– O której będzie? – zapytałam.

– O wpół do dziesiątej – powiedział jeden.

– Albo wpół do jedenastej – powiedział drugi.

– Albo jutro.

– Albo wcale.

Wykrzywili w uśmiechu zaślinione usta, a ja poczułam, że nie jestem w stanie znieść towarzystwa tych prostaków ani minuty dłużej.

– Proszę mu przekazać, że tu byłam i że w Tangerze nic mi się nie udało załatwić.

– Co tylko każesz, królewno – powiedział ten stary, nie Cañete.

Bez słowa ruszyłam do drzwi. Już miałam wyjść, kiedy usłyszałam:

– Jak poprosisz, to ci wystawię nową przepustkę, kochanie.  
Tym razem się nie zawiodłam. Cañete.

Nie zatrzymałam się. Zacisnęłam tylko pięści z całej siły i odruchowo sięgnąwszy po dawno zapomnianą swojską ripostę, rzuciłam przez ramię:

– A sam sobie wystaw, kurwa twoja mać.

Los chciał, że wpadłam na don Claudia w połowie ulicy, wystarczająco daleko od komisariatu, żeby nie kazał mi tam wracać. W Tetuanie nietrudno było kogoś spotkać. Układ ulic w dzielnicy hiszpańskiej sprawiał, że dokądkolwiek byśmy szli, nasze drogi zawsze się przecinały. Komisarz, jak zwykle, ubrany był w jasny lniany garnitur; świeżo ogolony, pachniał wodą kolońską i tryskał zapałem do pracy.

– Po minie poznaję – odezwał się na mój widok – że w Continentalu nie poszło pani najlepiej. – Spojrzał na zegarek. – Chodźmy, napijemy się kawy.

Zaprowadził mnie do Kasyna Hiszpańskiego, mieszczącego się w pięknym narożnym budynku z białymi balkonami, którego wielkie okna otwierały się na główną ulicę. Arabski kelner rozwijał markizy, kręcąc skrzypiącą żelazną korbą, kilku innych rozstawiało na zacienionym chodniku krzesła i stoły. Zaczynał się nowy dzień. Chłodne wnętrze świeciło jeszcze pustkami. Na wprost zobaczyłam szerokie marmurowe schody, a po obu stronach wielkie sale. Marokańczyk uprzejmym gestem wskazał tę po lewej.

– Dzień dobry, don Claudio.

– Dzień dobry, Abdul. Przynieś nam dwie kawy z mlekiem – powiedział i spojrzał na mnie pytającym wzrokiem, chcąc się

upewnić, czy mi to odpowiada. – A teraz proszę mówić.

– Nic z tego. Kierownik jest nowy, nie ten co w zeszłym roku, ale dokładnie zna całą sprawę. Był głuchy na wszelkie argumenty. Powiedział tylko, że wykazali aż za wiele dobrej woli i że jeśli nie zapłacę w terminie, zaskarży mnie do sądu.

– Rozumiem. Naprawdę bardzo mi przykro, ale obawiam się, że już nie mogę pani pomóc.

– Proszę się nie kłopotać, i tak jestem panu wdzięczna, że udało się przesunąć spłatę o rok.

– Co pani teraz zrobi?

– Zapłacę niezwłocznie.

– A co z matką?

Wzruszyłam ramionami.

– Nic. Będę dalej pracować i oszczędzać, chociaż możliwe, że kiedy uzbieram całą sumę, będzie już za późno na ewakuację. Na razie, jak powiedziałam, pozbędę się długów. To nie problem, mam pieniądze. Właśnie w tej sprawie szłam do pana. Potrzebna mi jest nowa przepustka i chciałabym zatrzymać paszport jeszcze na parę dni, jeżeli się pan zgodzi.

– Już nie musi go pani oddawać. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął skórzany portfel oraz wieczne pióro. – A co do przepustki, proszę, to powinno wystarczyć – dodał, zdejmując skuwkę; rozłożył na stole jakiś papier, nabazgrał na odwrocie kilka słów i podpisał. – Gotowe.

Nie czytając, schowałam kartkę do torebki.

– Pojedzie pani „Walencjanką”?

– Taki mam zamiar.

– Jak wczoraj?

Wytrzymałam jego badawcze spojrzenie.

– Wczoraj nie jechałam „Walencjanką”.

– To jak pani dotarła do Tangeru?

Wiedziałam, że on wie. I wiedziałam również, że chce, abym mu to sama powiedziała. Wypiłam łyk kawy. On też.

– Znajoma podwiozła mnie samochodem.

– Jaka znajoma?

– Rosalinda Fox. Moja klientka, Angielka.

Kolejny łyk kawy.

– Orientuje się pani, kim ona jest, prawda? – zapytał.

– Tak, oczywiście.

– Więc niech pani będzie ostrożna.

– Dlaczego?

– Dlatego. Niech pani będzie ostrożna.

– Muszę wiedzieć dlaczego – nalegałam.

– Bo niektórym ludziom nie podoba się, że ona tu jest i z kim jest.

– Wiem.

– Co pani wie?

– Że jej sytuacja uczuciowa budzi niechęć kilku osób.

– Jakich osób?

Nie ma co, komisarz Vázquez jak nikt umiał wycisnąć informacje, wyżyć je niemal do ostatniej kropli. Zdążyliśmy się już dobrze poznać.

– Różnych. Proszę nie żądać, żebym powiedziała to, co pan sam już wie, don Claudio. Niech pan mnie nie zmusza do nielojalności wobec klientki tylko po to, by usłyszeć z moich ust nazwiska, które pan świetnie zna.

– Zgoda. Proszę tylko coś potwierdzić.

– Co?

– Czy to hiszpańskie nazwiska?

– Nie.

– Doskonale – powiedział. Dopił swoją kawę i ponownie zerknął na zegarek. – Muszę iść, mam sporo pracy.

– Ja też.

– Faktycznie, zapomniałem, że jest pani kobietą pracującą. Słyszałem, że zyskała pani znakomitą opinię.

– Pan wie wszystko, więc muszę uwierzyć na słowo.

Po raz pierwszy się uśmiechnął i ten uśmiech odjął mu ze cztery lata.

– Wiem tyle, ile jest konieczne. Pani z pewnością również jest dobrze poinformowana: kobiety są gadatliwe, a w pracowni przyjmuje pani damy, które zawsze mają coś ciekawego do powiedzenia.

To prawda, moje klientki paplały bez przerwy. Opowiadały o swoich mężach, ich interesach i przyjaźniach, o ludziach, u których bywały: czym się zajmują, co myślą i mówią. Lecz na sugestię komisarza nie odpowiedziałam ani tak, ani nie. Po prostu wstałam, pomijając jego uwagę milczeniem. Zawołał kelnera i napisał coś palcem w powietrzu. Abdul kiwnął głową: rachunek don Claudia powiększył się o dwie kawy.

Splata tangerskich długów była dla mnie wyzwoleniem, jakby zdjęto mi z szyi pętlę, którą w każdej chwili ktoś mógł zacisnąć. Prawda, że zostały jeszcze niewyjaśnione sprawy w Madrycie, ale te wydawały się z afrykańskiej perspektywy bardzo odległe. Uregulowanie rachunków w Continentalu pozwoliło mi zrzucić



balast mojej marokańskiej przeszłości u boku Ramira i głęboko odetchnąć. Spokojniej, swobodniej. Stałam się panią własnego losu.

Była pełnia lata, więc moje klientki nie myślały jeszcze o strojach na jesień. Dżamila prowadziła mi dom i wyręczała w drobnych pracach krawieckich, Félix przychodził prawie każdego wieczoru, a od czasu do czasu zaglądałam na La Luneta odwiedzić Candelarię. Wszystko szło swoim torem, dopóki niefortunny katar nie pozbawił mnie chęci do wychodzenia z domu i energii do szycia. Pierwszy dzień przeleżałam na sofie. Drugi w łóżku. Trzeciego zrobiłabym to samo, gdyby nie nagła, niespodziewana wizyta. Równie niespodziewana jak zawsze.

– Pani Rosalinda mówić, że paniénka Sira natychmiast wstać z łóżka.

Wyszłam do niej w szlafroku; nie pofatygowałam się, żeby założyć swój nieśmiertelny kostium, zawiesić na szyi srebrne nożyczki i zrobić coś z potarganymi włosami. Jeśli zdziwiło ją moje niechlujstwo, nie dała tego po sobie poznać; przywiodły ją do mnie ważniejsze sprawy.

– Jedziemy do Tangeru.

– Kto? – zapytałam, smarkając w chusteczkę.

– Ty i ja.

– Po co?

– Chodzi o twoją matkę.

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem i nadzieją. Zażądałam więcej informacji.

– Przez twojego...

Kichnięcie nie pozwoliło mi dokończyć zdania, co przyjął z ulgą, bo nadal nie byłam pewna, jak nazywać w jej obecności Wysokiego Komisarza, o którym zawsze mówiła po imieniu.

– Nie. Lepiej, żeby Juan Luis trzymał się od tego z daleka, ma na głowie tysiące innych kłopotów. To moja sprawa, więc jego kontakty są *out*, zbyteczne. Ale istnieją różne możliwości.

– Jakie?

– Próbowałam się dowiedzieć przez naszego konsula w Tetuanie, czy nasza ambasada załatwia takie rzeczy. Niestety, powiedział, że brytyjskie przedstawicielstwo w Madrycie nie udziela azylu uciekinierom. W dodatku, kiedy rząd republikański uciekł do Walencji, razem z nim przeniosły się placówki dyplomatyczne, a w stolicy został tylko pusty budynek i jakiś podrzędny pracownik, który go pilnuje.

– W takim razie?

– Zgłosiłam się do anglikańskiego kościoła Saint Andrews w Tangerze, ale oni też nie mogli mi pomóc. Potem wpadłam na pomysł, że może jakaś prywatna instytucja będzie wiedziała coś więcej. Popytałam tu i tam i zdobyłam *a tiny bit of information*. Niewiele, ale jeżeli szczęście nam dopisze, znajdziemy dojskie. Dyrektor tangerskiego Bank of London and South Ameryka, Leo Martin, powiedział mi, że kiedy ostatnio był w Anglii, słyszał w centrali, iż jakiś pracownik oddziału w Madrycie ma kontakt z kimś, kto pomaga ludziom wyjechać z miasta. Nic więcej nie wiem, mówił bardzo ogólnie, bez konkretów, po prostu usłyszał coś przypadkiem. Ale obiecał, że to sprawdzi.

– Kiedy?

– *Right now*. Teraz. Ubieraj się, pojedziemy do Tangeru, żeby się z nim spotkać. Byłam u niego parę dni temu. Powiedział, żebym wróciła dzisiaj. Rozumiem, że zdążył się już czegoś dowiedzieć.

Kichając i prychnając, zaczęłam jej dziękować, ale ona tylko wzruszyła ramionami i kazała mi doprowadzić się do porządku. Podróż zleciała błyskawicznie. Szosa, pustynia, sosny, kozy. Kobiety w pasiastych spódnicach i bamboszach, dźwigające tobołki ukryte pod rondami wielkich słomianych kapeluszy. Owce, opuncje, znów pustynia, bosonogie dzieci, które uśmiechały się na nasz widok i przyjaźnie machały nam na pożegnanie. Kurz, znowu kurz, żółte piaski po lewej, żółte piaski po prawej, kontrola paszportów, znowu szosa, znowu opuncje, palmy, trzciny, i w niecałą godzinę dojechaliśmy. Zaparkowaliśmy, jak przedtem, na placu Francuskim. Tak jak przedtem powitały nas szerokie aleje i wspaniałe nowoczesne gmachy. Wkroczyliśmy w podwoje Bank of London and South America – aliażu finansowych interesów niemal równie dziwnego jak para, jaką tworzyliśmy Rosalinda Fox i ja.

– Sira, pozwól, że ci przedstawię Leo Martina. Leo, to moja przyjaciółka, Miss Quiroga.

Leo Martin mógłby się równie dobrze nazywać Leoncio Martínez, gdyby urodził się parę kilometrów dalej od miejsca, w którym przyszedł na świat. Niziutki, smagły, czarnowłosy. Nieogolony i bez krawata wyglądałby jak spracowany hiszpański chłop. Ale na jego gładkiej twarzy nie widać było nawet cienia zarostu, a na brzuchu spoczywał dyskretny krawat w paski. Leo Martin nie był hiszpańskim wieśniakiem, lecz rdzennym poddanym brytyjskiej Korony – Gibraltarczykiem, który z taką samą swobodą mówił po angielsku i po andaluzyjsku. Podał nam na powitanie swoją owłosioną dłoń, poprosił, żebyśmy usiadły. Starej raszpli, pełniącej rolę sekretarki, przykazał, żeby mu nie przeszkadzano, po czym, jakbyśmy były najlepszymi klientkami jego banku, zdał szczegółową relację ze swoich poszukiwań. Ja nigdy nie miałam konta w banku, a Rosalinda prawdopodobnie nie zaoszczędziła ani funta z pieniędzy wypłacanych jej łaskawie przez męża, ale plotki o romansie mojej przyjaciółki musiały już z pewnością dotrzeć do uszu tego człowieka o mizernym wzroście i osobliwych talentach lingwistycznych. A w owych burzliwych czasach żaden dyrektor międzynarodowego banku nie przepuściłby okazji do zrobienia przysługi kochance dygnitarza, który trzęsie całą okolicą.

– A więc, drogie panie, sądzę, że mam dobre wieści. Rozmawiałem z Erikiem Gordonem, moim starym znajomym, który pracował w madryckim oddziale wkrótce po wybuchu buntu, a od niedawna jest z powrotem w Londynie. Powiedział

mi, że osobiście zna człowieka, który na miejscu zajmuje się tego rodzaju sprawami. To obywatel brytyjski, zatrudniony przedtem w jakiejś hiszpańskiej firmie. Zła wiadomość jest taka, że Eric Gordon nie wie, jak się z nim skontaktować, ponieważ kilka miesięcy temu zupełnie stracił go z oczu. Ale jest i dobra: dał mi namiary na kogoś, kto może nam pomóc go znaleźć, ponieważ jeszcze niedawno mieszkał w Madrycie. Chodzi o dziennikarza, który wrócił do Anglii, bo został ranny, tak się przynajmniej domyślam, mój znajomy nie wdawał się w szczegóły. To stwarza nam pewne możliwości. Człowiek ten jest gotów ułatwić nam kontakt z osobą zajmującą się przerzutem uchodźców. Ale chce czegoś w zamian.

– Czego? – zapytałyśmy jednocześnie, Rosalinda i ja.

– Chce osobiście porozmawiać z panią, Mrs Fox – odparł, zwracając się do mojej angielskiej przyjaciółki. – Im szybciej, tym lepiej. Proszę mi wybaczyć tę niedyskrecję, ale wzięwszy pod uwagę okoliczności, uznałem, że powinienem zdradzić mu, kim jest osoba zainteresowana uzyskaniem od niego tych informacji.

Rosalinda milczała; uniosła jedynie brwi, czekając na wyjaśnienia. Odchrząknął z zakłopotaniem, prawdopodobnie spodziewał się bardziej entuzjastycznej reakcji na swoje słowa.

– Wiedzą przecież panie, jacy są ci dziennikarze... Jak sępy, zawsze chcą wyrwać dla siebie jakiś kąsek.

Angielka zwlekała z odpowiedzią kilka sekund.

– Nie tylko oni, mój drogi Leo, nie tylko oni – w jej głosie pobrzmiwał leciutki ton goryczy. – No cóż, umów mnie z nim, zobaczymy, czego chce.

Poruszyłam się w fotelu i chcąc ukryć emocje, wytarłam nos. Tymczasem bankier o ciele jak pękaty gliniany dzban i akcencie banderillera wydał polecenie telefonistce, żeby połączyła go z Londynem. Czekaliśmy długo, przyniesiono nam kawę, Rosalinda odzyskała dobry humor, a Martin spokój. Wreszcie nadszedł moment rozmowy z dziennikarzem. Trwała zaledwie trzy minuty i nie zrozumiałam z niej ani słowa, bo toczyła się po angielsku. Mojej uwagi nie uszedł jednak surowy, ostry ton Rosalindy.

– Załatwione – powiedziała, odłożywszy słuchawkę.

Pożegnałyśmy się z dyrektorem banku, podziękowałyśmy za życzliwość i opuściłyśmy jego gabinet, odprowadzane świdrującym spojrzeniem brzydkiej sekretarki.

– Czego chciał? – zapytałam niecierpliwie, gdy tylko wyszłyśmy na ulicę.

– *A bit of blackmail*. Nie wiem, jak to powiedzieć po hiszpańsku. Kiedy ktoś mówi, że coś dla ciebie zrobi, ale tylko wtedy, jeżeli ty coś zrobisz dla niego.

– Szantaż – wyjaśniłam.

– Szantaż – powtórzyła z fatalnym akcentem. Za dużo syczących dźwięków w jednym słowie.

– Co w zamian?

– Wywiad z Juanem Luisem i dostęp do kół rządowych w Tetuanie. Jeśli się zgodzę, skontaktuje nas z właściwym człowiekiem w Madrycie.

Przełknęłam ślinę, bojąc się pytać dalej. Obawiałam się odpowiedzi, że tylko po jej trupie jakiś nędzny pismak dobierze

się do osoby najwyższego dygnitarza w hiszpańskim Maroku. A już na pewno nie dla byle krawcowej.

– I co mu powiedziałaś? – zebrałam się w końcu na odwagę. Z rezygnacją wzruszyła ramionami.

– Żeby zadepeszował, kiedy zamierza przybyć do Tangeru.

## 26

Marcus Logan przyszedł z ręką na temblaku, prawie głuchy na jedno ucho, powłócząc zranioną nogą. Wszystkie owe defekty kumulowały się po lewej stronie jego ciała, gdyż to ona znalazła się bliżej eksplozji pocisku, w wyniku której omal nie zginął, gdy przekazywał do swojej agencji relację z ataku artylerii narodowców na Madryt. Rosalinda załatwiła służbowy samochód, który przewiózł go z tangerskiego portu prosto do hotelu Nacional w Tetuanie.

Czekałam na nich, siedząc w trzciniowym fotelu na wewnętrznym patio, wśród donic i zdobnych w arabeski *azulejos*; po ścianach wiły się pnącza, a spod sufitu zwisały mauretańskie lampiony; towarzyszył mi szmer cudzych rozmów i plusk wody w fontannie.

Rosalinda przyszła, kiedy przez szklany dach przebijały się gasnące promienie popołudniowego słońca; dziennikarz w dwie minuty po niej. W ciągu poprzednich dni stworzyłam sobie w myśli obraz człowieka popędliwego i szorstkiego, obdarzonego cierpkim usposobieniem oraz tupetem, którym onieśmiela każdego, kto staje mu na drodze do celu. Omyliłam się jednak, jak zwykle, gdy w swych sądach próbujemy się opierać na zbyt kruchych przesłankach: jednym uczynku albo

kilku zasłyszanych słowach. Omyliłam się i zrozumiałam to, gdy tylko dziennikarz szantażysta stanął pod kamiennym łukiem wiodącym na patio, w niechlujnie zawiązanym krawacie i wymiętym garniturze z jasnego lnu.

Rozpoznał nas od razu; omiółszy salę szybkim spojrzeniem, dostrzegł siedzące samotnie dwie młode kobiety: blondynkę o ewidentnie cudzoziemskim wyglądem i smagłą brunetkę czysto hiszpańskiego chowu. Siedziałyśmy czujne, z toporami wojennymi w pogotowiu na wypadek, gdyby trzeba się było bronić przed kłopotliwym gościem. Marcus Logan, który ukazał się nam w ów wczesny afrykański wieczór, mógł jednak budzić wszystkie uczucia prócz strachu. Był wysoki, wyglądał na niespełna czterdzieści lat. Miał rozwichrzone kasztanowe włosy, a kiedy kulejąc, wsparty na bambusowej lasce, podszedł bliżej, zobaczyłyśmy, że lewą stronę jego twarzy pokrywały świeże blizny i niezagojone siniaki. I chociaż czuło się, że przed wypadkiem, który omal nie pozbawił go życia, musiał być zupełnie inny, teraz miałyśmy przed sobą jedynie obolałego, zmaltretowanego człowieka. Ukłonił się nam z całą kurtuazją, na jaką pozwalał jego opłakany stan, po czym opadł na fotel, bezskutecznie starając się ukryć wyczerpanie po długiej, męczącej podróży.

– *Mrs Fox and Miss Quiroga, I suppose* – to były jego pierwsze słowa.

– *Yes, we are, indeed* – odparła Rosalinda w ich wspólnym języku. – *Nice meeting you, Mr Logan. And now, if you don't mind, I think we should proceed in Spanish; I'm afraid my friend won't be able to join us otherwise.*



– Oczywiście, pani wybaczy – zwrócił się do mnie nienaganną hiszpańszczyzną.

Nie wyglądał na pozbawionego skrupułów szantażystę; po prostu zwyczajny człowiek, który chce zarobić na życie, korzystając z każdej okazji, jaka mu się nadarzy. Jak Rosalinda, jak ja. Jak wszyscy w tamtych czasach. Uznał, że zanim przystąpi do rzeczy i zażąda od pani Fox wywiązania się z obietnicy, powinien się przed nami uwiarygodnić. Pracował dla brytyjskiej agencji informacyjnej. Jako korespondent wojenny miał akredytację obu stron konfliktu i chociaż mieszkał w stolicy, mógł się swobodnie poruszać po kraju; dopóki nie nastąpił ów niespodziewany wypadek. Trafił do madryckiego szpitala, operowano go, a potem czym prędzej odesłano do Londynu. Przeleżał kilka tygodni w Royal London Hospital, obolały, zdany na łaskę lekarzy, unieruchomiony, spragniony powrotu do czynnego życia.

Kiedy usłyszał, że ktoś blisko związany z Wysokim Komisarzem Hiszpanii w Maroku potrzebuje informacji będących w jego posiadaniu, niebo się przed nim otwarło. Zdawał sobie sprawę, że w swoim obecnym stanie nie może włóczyć się jak dawniej po całym Półwyspie, a dzięki jednej podróży do Maroka miał szansę na spokojną rekonwalescencję i odzyskanie zawodowej pozycji. Zanim pozwolono mu wyjechać, musiał stoczyć bitwę z medykami, ze swoimi przełożonymi i z każdym, kto stawał nad jego łóżkiem, przekonując, że nie powinien się nigdzie ruszać. On jednak czuł, że musi się stamtąd wyrwać, bo dłużej tego nie wytrzyma. Przeprosił Rosalindę za nieuprzejmy ton podczas ich

telefonicznej rozmowy, z grymasem bólu zgiął i wyprostował nogę, po czym wreszcie przeszedł do konkretów.

– Od rana nic nie jadłem, może zjemy razem kolację i spokojnie sobie pogadamy?

Przyjęłyśmy zaproszenie; prawdę mówiąc, byłam gotowa zgodzić się na wszystko, byle tylko zechciał mówić. Mogłabym jeść z miski klozetowej albo ze świńskiego koryta; mogłabym łykać karaluchy i popijać je cuchnącym bimbrem – cokolwiek, byle tylko uzyskać tak długo oczekiwane informacje. Logan kiwnął niedbale na jednego z arabskich kelnerów obsługujących gości na patio i poprosił o stół w hotelowej restauracji.

– Momencik, proszę pana. – Kelner wyszedł i błyskawicznie zjawił się hiszpański *maitre*, przymilny i pełen rewerencji. – Oczywiście, oczywiście, panie pozwolą łaskawie za mną, tędy, proszę pana. Dla pani Fox i jej przyjaciół zawsze mamy wolny stół.

W drzwiach Logan przepuścił nas przodem, a *maitre* wskazał na okazały stół królujący pośrodku sali i dobrze widoczny ze wszystkich stron, żeby każdy tego wieczoru mógł sobie z bliska obejrzeć angielską kochanicę Beigbedera. Dziennikarz odmówił bardzo uprzejmie i wskazał inny, stojący w zacisznym kąciuku. Było jeszcze wcześniej, ale już nakryto do kolacji: lśniące nieskalaną bielą obrusy, kieliszki na wodę i wino, białe serwetki ozdobnie złożone na porcelanowych talerzach. Tu i ówdzie siedzieli nieliczni klienci, niespełna tuzin osób.

Wybraliśmy dania z karty. Podano sherry, by umilić nam oczekiwanie. Rosalinda wzięła na siebie rolę gospodyni i

postanowiła pokierować konwersacją. Rozmowa na patio miała charakter czysto protokolarny, ale rozładowała atmosferę. Dziennikarz przedstawił się i wyłuszczył powody swojego postępowania, a my się uspokoiłyśmy, widząc, że nie jest żadnym groźnym indywiduum, i wymieniliśmy z nim kilka banałów na temat hiszpańskiego Maroka. Wszyscy troje wiedzieliśmy jednak, że nie spotkaliśmy się po to, by zawrzeć miłą znajomość, pogawędzić o chorobach czy rozprawiać o malowniczych północnoafrykańskich widokach. Sprowadziły nas tu interesy i czekały twarde negocjacje, a obie strony już wcześniej jasno postawiły swoje żądania i warunki. Nadeszła pora wyłożyć karty na stół i powiedzieć „sprawdzam”.

– Proszę przyjąć do wiadomości, że załatwiłam wszystko, o co mnie pan prosił przez telefon – zaczęła Rosalinda, kiedy kelner oddalił się z zamówieniem.

– Świetnie – odparł dziennikarz.

– Będzie miał pan swój wywiad z Wysokim Komisarzem, w cztery oczy i tak obszerny, jak tylko pan sobie życzy. Dostanie pan też pozwolenie na tymczasowy pobyt w Hiszpańskim Protektoracie – ciągnęła – oraz imienne zaproszenia na wszystkie oficjalne uroczystości i spotkania odbywające się w najbliższych tygodniach. Niektóre z nich, zaznaczam, będą miały niezwykle istotne znaczenie.

Pytająco uniósł prawą brew nad nienaruszoną połową twarzy.

– Wkrótce oczekujemy wizyty don Ramona Serrano Suñera, szwagra generała Franco; domyślam się, że wie pan, o kim mówię.

– Tak, oczywiście – potwierdził.

– Przyjeżdża do Maroka z okazji rocznicy powstania, spędzi tu trzy dni. Organizowane są liczne uroczystości powitalne; już wczoraj przybył Dionisio Ridruejo, dyrektor generalny do spraw propagandy. Wspólnie z sekretarzem Wysokiego Komisarjatu będzie koordynował przygotowania. Liczymy na pańską obecność podczas wszystkich oficjalnych spotkań z udziałem władz cywilnych.

– Jestem pani ogromnie zobowiązany. Proszę przekazać Wysokiemu Komisarzowi wyrazy wdzięczności.

– Miło nam będzie pana gościć – odparła Rosalinda z wdzięcznym ukłonem gospodyni doskonałej, po czym rzuciła rękawicę: – Oczywiście, na naszych warunkach.

– To zrozumiałe – powiedział Logan, pociągnąwszy łyk sherry.

– Każda informacja wysłana za granicę musi przejść przez biuro prasowe Wysokiego Komisarjatu.

– Nie ma problemu.

W tym momencie kelnerzy przynieśli dania, a ja odetchnęłam z ulgą. Mimo eleganckiego tonu pertraktacji, których byłam niemyim świadkiem, przez cały czas rozmowy pomiędzy Rosalindą i Loganem nie mogłam się pozbyć uczucia skrępowania; miałam wrażenie, że znalazłam się nie na swoim miejscu, jakbym wprosiła się na cudze przyjęcie. Mówili o sprawach dla mnie obcych, które być może nie stanowiły tajemnic wagi państwowej, jednak z oczywistych powodów nie były przeznaczone dla uszu zwykłej krawcowej. Powtarzałam sobie bez przerwy, że nie jestem intruzem, że mam prawo

siedzieć z nimi przy tym stole, ponieważ nigdy nie doszłoby do tego spotkania, gdyby nie ewakuacja mojej matki. Ale z trudem to do mnie docierało.

Jedzenie przerwało na pewien czas ową wymianę ustępstw i żądań. Sola dla pań, garnirowany kurczak dla pana. Przez krótką chwilę rozwodziliśmy się nad delikatnym smakiem świeżutkiej ryby z wód Morza Śródziemnego i zaletami wyśmienitych warzyw z doliny rzeki Martín. Gdy kelnerzy wreszcie sobie poszli, Rosalinda i Logan wznowili konwersację w tym samym punkcie, w którym ją przerwali przed zaledwie kilkoma minutami.

– Jeszcze jakiś warunek? – zapytał dziennikarz, podnosząc do ust widelec.

– Tak, chociaż ja nie nazwałabym tego warunkiem. Chodzi raczej o coś, co także panu wyjdzie na dobre.

– W takim razie chętnie się zgodzę – powiedział, przełknąwszy pierwszy kęs.

– Taką mam nadzieję – odparła Rosalinda. – Proszę mnie dobrze zrozumieć, Logan: pan i ja obracamy się w dwóch różnych światach, ale pochodzimy z tego samego kraju i oboje wiemy, że ogólnie rzecz biorąc, hiszpańscy narodowcy sympatyzują z Niemcami i Włochami, a do Anglików nie żywią szczególnej miłości.

– Istotnie, to rzecz powszechnie wiadoma – przytaknął.

– Dlatego też proponuję, żeby udawał pan naszego przyjaciela. Oczywiście przedstawię pana jako dziennikarza, lecz zarazem mojego bliskiego znajomego, a co za tym idzie,

bliskiego znajomego Juana Luisa Beigbedera. W ten sposób spotka się pan z nieco mniejszą niechęcią.

– Z czyjej strony?

– Wszystkich: lokalnych władz hiszpańskich i muzułmańskich, korpusu dyplomatycznego, prasy... W żadnym z tych środowisk nie cieszę się gorącą sympatią, wiele by o tym mówić, ale przynajmniej na pokaz odnoszą się do mnie z szacunkiem przez wzgląd na osobę Wysokiego Komisarza. Jeżeli przedstawimy pana jako mojego przyjaciela, część owego szacunku być może przeniesie się na pana.

– Co o tym sądzi pułkownik Beigbeder?

– Zgadza się ze mną najzupełniej.

– W takim razie nie ma o czym mówić. Wydaje mi się, iż pomysł nie jest zły, a skoro pani mówi, że tak będzie lepiej dla wszystkich... Jeszcze coś?

– Z naszej strony już nic – powiedziała Rosalinda, podnosząc kieliszek, jakby chciała spełnić toast.

– Świetnie. A więc wszystko jasne. Cóż, myślę, że teraz kolej na mnie. Pozwolę sobie wprowadzić panie w szczegóły sprawy, z którą się do mnie zwróciłyście.

Poczułam skurcz w żołądku: chwila nadeszła. Zakrapiana winem kolacja wyraźnie przywróciła Loganowi nieco wigoru, wyglądał na znacznie pokrzepionego. Pod chłodnym opanowaniem, z jakim prowadził swoje negocjacje, wyczuwało się sporo dobrej woli oraz dbałość o to, by nie nadużywać przychylności Rosalindy i Beigbedera. Przypuszczałam, że owa elastyczność miała pewien związek z jego zawodem, ale nie

byłam w stanie tego osądzić; w końcu był to pierwszy dziennikarz, jakiego poznałam.

– Przede wszystkim chcę, aby panie wiedziały, że mój kontakt już przystąpił do działania i spodziewa się – tu spojrział na mnie – że podczas następnej ewakuacji pani matka zostanie wywieziona z Madrytu na wybrzeże.

Musiałam z całej siły uchwycić się krawędzi stołu, żeby nie rzucić się temu człowiekowi na szyję. Powstrzymałam się jednak: sala restauracyjna w hotelu Nacional była już pełna gości, a nasz stolik, dzięki Rosalindzie, stał się główną atrakcją wieczoru. Tylko tego brakowało, żebym dała się ponieść euforii i padła w objęcia nieznanego cudzoziemca... Natychmiast stalibyśmy się obiektem spojrzeń i szeptów. A skoro tak, powściągnęłam emocje i dałam wyraz radości jedynie uśmiechem i cichym „dziękuję”.

– Będzie mi pani musiała podać kilka danych; przetelegrafuję je do mojej agencji w Londynie, a oni skontaktują się z Christopherem Lance'em, który kieruje całą operacją.

– Kto to jest? – dopytywała się Rosalinda.

– Angielski inżynier; weteran Wielkiej Wojny, od paru lat mieszkający w Madrycie. Przed wybuchem powstania pracował dla pewnej hiszpańskiej firmy z udziałem kapitału brytyjskiego, cywilnej kompanii inżynieryjnej Ginés Navarro i Synowie. Ich główne biuro mieściło się przy Paseo del Prado, a oddziały w Walencji i Alicante. Budował z nimi drogi i mosty, zaporę wodną w Sorii, hydroelektrownię pod Granadą i wieżę zeppelinów w Sewilli. Kiedy zaczęła się wojna, po Navarrach ślad zaginął: uciekli albo ktoś ich zlikwidował. Rządy w

zakładzie przejął komitet robotniczy. Lance mógł wtedy wyjechać, ale został.

– Dlaczego? – zapytałyśmy chórem.

Dziennikarz wzruszył ramionami i wypił duszkiem swoje wino.

– Dobrze na ból – powiedział tonem usprawiedliwienia, podnosząc kieliszek, jakby chciał nam zademonstrować jego lecznicze właściwości. – Prawdę mówiąc – ciągnął – nie wiem, dlaczego Lance nie wrócił do Anglii, nigdy nie usłyszałem od niego sensownego wyjaśnienia. Przed wojną Anglicy mieszkający w Madrycie, podobnie jak inni cudzoziemcy, nie mieszczyli się do hiszpańskiej polityki i obojętnie, a nawet z niejaką ironią, patrzyli na rozwój wypadków. Wiedzieli oczywiście o napięciach pomiędzy prawicą i lewicowymi partiami, ale traktowali to jako część lokalnego folkloru. Walka byków, sjesta, czosnek, oliwa i braterska nienawiść, wszak to takie malownicze, takie hiszpańskie. Aż wszystko pękło. I wówczas zobaczyli, że sprawa jest poważna, i zaczęli zwiewać z Madrytu co sił w nogach. Z kilkoma wyjątkami, jak na przykład Lance, który odesłał żonę do domu, a sam został w Hiszpanii.

– To chyba nie było rozsądne? – ośmieliłam się wtrącić.

– Faktycznie, może jest trochę stuknięty... – odparł półżartem.

– Ale to porządny gość i wie, co robi. To nie żaden awanturnik ani oportunist, jakich teraz wszędzie pełno.

– Czym dokładnie się zajmuje? – zapytała Rosalinda.

– Pomaga tym, którzy potrzebują pomocy. Wywozi ich z Madrytu, kogo może, odstawia do jakiegoś śródziemnomorskiego portu i tam wsadza na pierwszy



brytyjski statek: okręt wojenny, pocztowiec, frachtowiec z ładunkiem cytryn, co się nawinie.

– Bierze za to pieniądze?

– Nie. Nigdy. On sam nic z tego nie ma. Niektórzy na tym zarabiają, ale nie on.

Miał zamiar mówić dalej, ale w tym momencie podszedł do naszego stolika młody żołnierz w bryczesach, lśniących oficerkach i z czapką pod pachą. Stuknął obcasami i z powagą podał Rosalindzie jakąś kopertę. Wyjęła z niej złożony arkusik papieru, przeczytała i uśmiech rozjaśnił jej twarz.

– *I'm truly very sorry*, ale muszę was prosić o wybaczenie – powiedziała, pospiesznie wrzucając do torebki swoje rzeczy. Portmonetkę, rękawiczki, liścik. – Coś mi wpadło, przepraszam, wypadło niespodziewanie – dodała i głośno szepnęła mi na ucho: – Juan Luis wrócił wcześniej z Sewilli.

Mimo pękniętego bębenka dziennikarz też musiał to usłyszeć.

– Nie przerywajcie sobie rozmowy, potem mi wszystko opowiecie. Sira, *darling*, niedługo się zobaczymy. A pan, Logan, niech się przygotuje na jutro. Samochód podjedzie tu o pierwszej. Zje pan z nami obiad u mnie w domu, a potem zrobi swój wywiad. Będzie pan miał na to całe popołudnie.

W towarzystwie młodego żołnierza, pod obstrzałem obcesowych spojrzeń Rosalinda ruszyła do wyjścia. Kiedy zniknęła nam z oczu, niecierpliwie wróciłam do przerwane go wątku:

– Jeżeli Lance nie pomaga ludziom z pobudek politycznych i nie czerpie z tego żadnych korzyści, to dlaczego właściwie to

robi?

Znowu wzruszył ramionami, a z jego miny wynikało, że nie jest w stanie doszukać się żadnego racjonalnego wyjaśnienia.

– Są tacy ludzie, nazywają ich *pimpinelas*. Lance jest postacią nieco osobliwą, kimś w rodzaju krzyżowca przegranej sprawy. Uważa, że w jego działaniu nie ma nic z polityki, że powodują nim motywy humanitarne: gdyby znalazł się na terytorium narodowców, prawdopodobnie pomagałby republikanom. Może dlatego, że jest synem kanonika katedry w Wells, kto wie. Chodzi o to, że tuż przed wybuchem wojny ambasador sir Henry Chilton wraz z większością pracowników brytyjskiej placówki wyjechał na lato do San Sebastián, a w Madrycie został tylko jeden funkcjonariusz, który nie potrafił stanąć na wysokości zadania. Dlatego Lance, jako najstarszy w tamtejszej brytyjskiej kolonii, niejako automatycznie przejął ster. Samowolnie, nie oglądając się na nic i na nikogo – jak to mówicie w Hiszpanii: ani na Boga, ani na diabła – otworzył ambasadę, żeby dać schronienie obywatelom brytyjskim. Wedle moich informacji było ich wówczas w Madrycie około trzystu. Żaden z nich nie prowadził działalności politycznej, ale jako konserwatyści sympatyzowali z prawicą, więc gdy tylko zrozumieli, na co się zanoszą, schronili się na terenie naszej placówki. Rzecz w tym, że sytuacja przerosła wszelkie wyobrażenia. Do ambasady zgłaszały się setki osób: zapewniali, że urodzili się na Gibraltarze albo na angielskim statku, że mają krewnych w Wielkiej Brytanii, że prowadzili interesy z Brytyjską Izbą Handlową. Imali się wszystkiego, byle tylko znaleźć azyl pod skrzydłami Union Jack, naszej flagi.

– Dlaczego akurat u was?

– Nie tylko. Prawdę mówiąc, nasza ambasada traktowała ich z wielką rezerwą. Z początku wszędzie tak było: przyjmowano przede wszystkim własnych obywateli, a Hiszpanów jedynie w wyjątkowym wypadku.

– A potem?

– Niektóre placówki nadal udzielały azylu i pośrednio lub bezpośrednio angażowały się w ewakuację uciekinierów. Głównie Chile; Francja, Argentyna i Norwegia także. Inne, kiedy sytuacja trochę się uspokoiła, odmawiały coraz częściej. Dlatego też Lance nie działa w imieniu rządu brytyjskiego, ale na własną rękę. Nasza ambasada, jak już pani mówiłem, znalazła się wśród tych, które najszybciej zamknęły swoje drzwi przed uchodźcami. I proszę mnie źle nie zrozumieć: Lance nie sprzyja narodowcom jako takim. On nie pyta o przekonania. Pomaga osobom, które muszą się wydostać z Madrytu, wszystko jedno z jakich powodów: ideologicznych, rodzinnych, jakichkolwiek. To prawda, że zaczął od przejęcia ambasady i w pierwszych dniach wojny uzyskał jakimś sposobem tytuł honorowego attaché do spraw ewakuacji obywateli brytyjskich, ale teraz działa z własnej inicjatywy i na własne ryzyko. Niemniej, jeśli jest to dla niego wygodne albo kiedy chce zrobić wrażenie na milicji lub strażnikach z drogowych posterunków kontrolnych, ostentacyjnie obnosi swoje dyplomatyczne parafernalia: czerwono-niebiesko-białą opaskę na rękawie, chorągiewki na samochodzie, imponujący glejt upstrzony pieczęciami i stempelkami ambasady, sześciu czy siedmiu syndykatów robotniczych oraz Ministerstwa Wojny, słowem wszystkim, co

akurat ma pod ręką. Szczególny człowiek z tego Lance'a: gaduła i brat łąta z upodobaniem do krzykliwych marynarek i krawatów, od których oczy bolą. Czasem myślę, że specjalnie z tym przesadza, żeby nikt go nie brał na serio. Może sądzi, że w ten sposób uniknie podejrzeń.

– Jak przewozi tych ludzi na wybrzeże?

– Nie wiem dokładnie, Lance nie lubi zdradzać szczegółów. Wydaje mi się, że z początku korzystał z samochodów ambasady i ciężarówek swojej dawnej firmy, dopóki ich nie zarekwirowano. Ostatnio przerzucił się chyba na szkocki ambulans, oddany do dyspozycji Republiki. Przeważnie towarzyszy mu Margery Hill, pielęgniarka ze Szpitala Anglo-Amerykańskiego, wie pani, gdzie to jest?

– Nie przypominam sobie.

– Na ulicy Juana Montalvo, vis-à-vis miasteczka uniwersyteckiego. Tam właśnie mnie zawieźli, kiedy zostałem ranny, a na operację przenieśli potem do Palace Hotel.

– Szpital w Palace? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Tak, połowy. Nie wiedziała pani?

– Nie miałam pojęcia. Kiedy wyjeżdżałam z Madrytu, Palace i Ritz to były dwa najbardziej luksusowe hotele w mieście.

– To teraz już pani wie. Dużo się zmieniło. Leżałem tam kilka dni, dopóki nie postanowili ewakuować mnie do Londynu. Lance'a znałem już wcześniej, bo w Madrycie mieszkało wówczas niewielu Anglików. Potem odwiedził mnie parę razy w Palace. Uważa, że ma obowiązek pomagać wszystkim swoim rodakom, którzy znaleźli się w kłopotach. Tak pojmuje swoją humanitarną misję. Dlatego wiem coś niecoś o tym, jak wygląda

ewakuacja. Tyle, ile sam chciał mi powiedzieć. Przeważnie załatwia uchodźcom miejsce w szpitalu. Umieszcza ich tam jako pacjentów, dopóki nie zorganizuje transportu. Zwykle jeżdżą we dwoje, Lance i pielęgniarka Hill; to kobieta jedyna w swoim rodzaju, potrafi wykołować każdego milicjanta, jeśli podczas kontroli coś idzie nie tak. Poza tym w drodze powrotnej przywozi do Madrytu wszystko, co jej się uda wynieść z okrętów Royal Navy: lekarstwa, środki opatrunkowe, mydło, konserwy...

– Jak wygląda ewakuacja?

Chciałam wyobrazić sobie podróż mojej matki, wiedzieć, co ją czeka.

– Wyruszają o świcie. Lance zna wszystkie posterunki, a jest ich około trzydziestu; niekiedy podróż trwa ponad dwanaście godzin. Z czasem stał się ekspertem od psychologii milicjantów: wysiada z samochodu, rozmawia z nimi, nazywa ich towarzyszami, podsuwa im pod oczy opatrzone pieczęciami glejt, częstuje papierosami, śmieje się, żartuje i żegna ich okrzykiem: „Niech żyje Rosja!” albo „Śmierć faszystom!”, wszystko po to, żeby pozwolili mu jechać dalej. Ale nikogo nie próbuje przekupić, sam sobie narzucił pewne zasady i z tego co wiem, twardo się ich trzyma. Poza tym nadzwyczaj skrupulatnie przestrzega republikańskiego prawa, nigdy nie łamie przepisów. I oczywiście unika jakichkolwiek awantur lub incydentów, które mogłyby zaszkodzić naszej ambasadzie. Chociaż pełni swoją funkcję tylko honorowo, starannie dochowuje wszelkich norm etyki dyplomatycznej.

Kiedy kończył odpowiadać na moje pytanie, już miałam w zanadrzu następne; nauka w szkole komisarza Vazqueza nie poszła na marne, okazałam się nadzwyczaj pojętna uczennicą.

– Do jakich portów przewozi uchodźców?

– Do Walencji, Alicante, Denii. To zależy. Rozpoznaje sytuację, wyznacza marszrutę, a już na miejscu, nie tym, to innym sposobem, załatwia im wejście na pokład.

– Ale ci ludzie mają jakieś dokumenty, pozwolenia, przepustki... ?

– Żeby poruszać się po Hiszpanii, przeważnie tak. Żeby wyjechać za granicę, zapewne nie. Dlatego przemycenie ich na pokład nie jest łatwe. Lance musi oszukać patrole, przedostać się na nabrzeże i niepostrzeżenie przemknąć się pod okiem wartowników, pertraktować z oficerami statku, wśliznąć się na pokład i ukryć gdzieś pasażerów na wypadek rewizji. Jego zachowanie nie może wzbudzać podejrzeń. Jeżeli wpadnie, skończy w więzieniu. Jak do tej pory zawsze mu się udawało.

Skończyliśmy jeść kolację. Logan musiał się sporo natrudzić ze sztuczkami, bo wciąż nie całkiem swobodnie władał lewą ręką, ale i tak dość szybko rozprawił się z kurczakiem, dwiema wielkimi porcjami *natillas* i kilkoma kieliszkami wina. Ja za to, zasłuchana w jego słowa, ledwie dziobnęłam solę i całkiem zapomniałam o deserze.

– Może kawy? – zapytał.

– Tak, dziękuję.

W zasadzie nigdy nie pijałam kawy po kolacji, chyba że musiałam pracować do późna. Ale tamtego wieczoru miałam co najmniej dwa powody, żeby przyjąć poczęstunek: chciałam

przedłużyć rozmowę, jak się tylko da, i zachować jasny umysł, by nie uronić z niej ani słowa.

– Niech mi pan opowie o Madrycie – poprosiłam. Mój głos zabrzmiał dziwnie matowo, jakbym przeczuwała, że to, co za chwilę usłyszę, nie będzie przyjemne.

Zanim odpowiedział, popatrzył na mnie bacznie.

– Pani nic nie wie, prawda?

Wbiłam wzrok w biały obrus i pokręciłam głową. Kiedy poznałam szczegóły ewakuacji mojej matki, opadło ze mnie napięcie; już nie byłam zdenerwowana. Marcus Logan, chociaż sam obolały, dodał mi otuchy własną pewnością. Ów spokój nie przyniósł mi jednak radości, ale przejmujący smutek – nad losem mojej matki, Madrytu, mojego kraju. Czułam się zupełnie bezsilna, zbierało mi się na płacz.

– Miasto jest bardzo zniszczone, brakuje podstawowych produktów. Sytuacja nie jest łatwa, ale każdy sobie radzi, jak może – rzucił w odpowiedzi garść oczywistych banałów. – Mogę panią o coś spytać? – dodał po chwili.

– Może pan pytać, o co chce – odparłam, wciąż wpatrując się w stół. Przyszłość mojej matki była w jego rękach, nie dało się temu zaprzeczyć.

– Proszę posłuchać, ja już zrobiłem swoje i gwarantuję, że zajmą się pani matką tak, jak mi obiecali. O to się nie trzeba martwić. – Mówił teraz ciszej, serdeczniej. – Powiedzmy, że w związku z tym musiałem wymyślić jakąś bajeczkę, która może mieć niewiele wspólnego z rzeczywistością. Przekazałem im, że znalazła się w krytycznej sytuacji i natychmiast powinna zostać ewakuowana. O nic więcej mnie nie pytali, ale wolałbym

wiedzieć, czy i w jakim stopniu minąłem się z prawdą. Pani odpowiedź niczego nie zmieni, a jednak chciałbym ją poznać, tak dla siebie. Jeżeli zatem nie zrobi to pani różnicy, proszę mi powiedzieć, jakie naprawdę jest położenie pani matki. Sądzi pani, że w Madrycie faktycznie coś jej grozi?

Kelner przyniósł dwie kawy, posłodziliśmy je i zamieszaliśmy, rytmicznie uderzając łyżeczkami o porcelanowe filiżanki. Po kilku sekundach podniosłam wzrok i spojrzałam Loganowi prosto w oczy.

– Chce pan znać prawdę? A więc prawda jest taka: nie sądzę, by coś jej groziło, ale na całym bożym świecie moja matka ma tylko mnie, a ja tylko ją. Zawsze mieszkaliśmy razem, razem walczyliśmy o byt, dwie samotne, zapracowane kobiety. Pewnego dnia popełniłam błąd i odeszłam. A teraz po prostu chcę ją odzyskać. Powiedział pan, że pański przyjaciel Lance nie działa z pobudek politycznych, że jego motywy są czysto humanitarne. To niech pan sam rozstrzygnie, czy połączenie cierpiącej rozłąką rodziny: matki, która nie ma z czego żyć, i jej jedynej córki, jest humanitarne, czy nie, bo ja tego nie wiem.

Nie mogłam powiedzieć nic więcej; czułam, że za chwilę się rozsłocham.

– Muszę iść. Jutro wstaję o świcie, mam dużo pracy. Dziękuję za kolację, dziękuję za wszystko...

Głos mi się łamał, słowa więzły w gardle, kiedy wstawałam od stołu i w pośpiechu chwytalam torebkę. Spuściłam głowę, żeby nie zauważył łez, które strumieniem ciekły mi po twarzy.

– Odprowadzę panią – powiedział i poderwał się z miejsca, próbując opanować grymas bólu.



– Nie trzeba, dziękuję. Mieszkam niedaleko, za rogiem.

Odwróciłam się do niego plecami i ruszyłam do wyjścia.

Uszłam zaledwie kilka kroków, gdy poczułam, że chwyta mnie za łokieć.

– To dobrze, że mieszka pani tak blisko, nie będę musiał dużo chodzić. Idziemy.

Dał znak kelnerowi, żeby dopisał kolację do jego rachunku, i wyszliśmy. Nie odzywał się do mnie, nie pocieszał; nie powiedział ani słowa na temat tego, co przed chwilą usłyszał. W milczeniu podążał u mego boku i pozwolił, żebym sama się uspokoiła. Gdy znaleźliśmy się na ulicy, zatrzymał się gwałtownie. Wsparty na lasce zadarł głowę, popatrzył na rozgwieżdżone niebo i zachłannie wciągnął powietrze.

– Maroko pięknie pachnie.

– Blisko gór, blisko morza... to pewnie dlatego – odparłam; napięcie z wolna mijało.

Szliśmy bez pośpiechu. Pytał mnie, jak długo jestem w Maroku i jak się żyje na afrykańskiej ziemi.

– Zobaczymy się jeszcze. Będę panią informował, gdy tylko czegoś się dowiem – powiedział, kiedy stanęliśmy przed moim domem. – I proszę się nie zadręczać. Może pani być pewna, że zrobimy wszystko, co w ich mocy, żeby pani pomóc.

– Bardzo dziękuję, naprawdę. I przepraszam za ten wybuch, czasami trudno mi się opanować. Żyjemy w niełatwych czasach... – szepnęłam trochę zawstydzona.

Spróbował się uśmiechnąć, ale nie bardzo mu to wyszło.

– Świetnie panią rozumiem, proszę się nie przejmować.

Tym razem obyło się bez łez, najgorsze już minęło. Tylko popatrzyliśmy sobie dłużej w oczy, powiedzieliśmy dobranoc, a potem weszłam na schody, myśląc o tym, jak bardzo Marcus Logan nie pasował do wizerunku bezdusznego naciągacza, jaki stworzyłyśmy sobie wcześniej z Rosalindą.

## 27

Beigbeder i Rosalinda byli zachwyceni wywiadem, jaki Logan przeprowadził nazajutrz z Wysokim Komisarzem. Dowiedziałam się od niej, że wszystko odbyło się w luźnej, swobodnej atmosferze. Obaj panowie siedzieli na tarasie starej willi w alei Palmeras, popijając brandy z wodą sodową. Przed nimi rozpościerał się widok na dolinę Martinu i strome zbocza Gorgesu – bramę do krainy Rif. Obiad zjedli we troje: Angielka czujnym okiem śledziła poczynania swego rodaka, chcąc się upewnić, że można go zostawić sam na sam z jej ukochanym Juanem Luisem. Bedouie, arabski kucharz, przygotował tadżin z jagnięciny, do której podano burgunda *grand cru*. Po deserach i kawie Rosalinda wycofała się dyskretnie, a panowie zasiedli w wiklinowych fotelach, żeby wypalić cygara, i pogrążyli się w rozmowie.

Wiedziałam, że dochodziła ósma wieczorem, kiedy dziennikarz zjawił się w hotelu, i że nie zjadł kolacji, ale poprosił, by przyniesiono mu do pokoju owoce. Wiedziałam, że rano, zaraz po śniadaniu, udał się do siedziby Wysokiego Komisarzatu, wiedziałam, którymi ulicami przeszedł i kiedy wrócił. O wszystkich jego wyjściach i powrotach tamtego dnia, a także następnego i następnego, byłam informowana na bieżąco;

wiedziałam, co jadł, co pił, jakie gazety przeglądał i w jakim kolorze miał krawat. Chociaż praca zajmowała mi czas od świtu do nocy, zawsze miałam najświeższe wiadomości dzięki dwójce zdolnych współpracowników. Dżamila chodziła za nim krok w krok; w zamian za pięć centymów młody boy z hotelu donosił mi, o której godzinie Logan kładł się spać; za dodatkowe dziesięć recytował z pamięci, co było na kolację, jakie części garderoby dziennikarza trafiły do pralni i kiedy w jego pokoju zgasło światło.

Wytrzymałam tak trzy dni, odbierając drobiazgowo meldunki o wszystkich jego ruchach i wyczekując jakiegokolwiek wieści o ewakuacji mojej matki. Czwartego, gdy żadne nowiny nie nadeszły, załęgły się we mnie brzydkie podejrzenia.

Myślałam i myślałam, aż wymyśliłam spiskową teorię, zgodnie z którą Marcus Logan, osiągnąwszy swój cel, jakim był wywiad z Beigbederem oraz zebranie potrzebnych mu informacji na temat Protektoratu, zamierzał się ulotnić, zapominając o wszystkim, czego mi naobiecował. Nie chcąc dopuścić, by rzeczywistość potwierdziła moje nieczne supozycje, postanowiłam uprzedzić fakty. Dlatego nazajutrz, gdy tylko zaczęło się rozwidniać, a głos muezina wezwał wiernych na poranną modlitwę, wyszłam z domu, odstawiona jak należy, i zajęłam upatrzoną pozycję na hotelowym patio. W nowym *tailleur* koloru czerwonego wina i z żurnalem pod pachą. Wyprostowana, z nogą założoną na nogę, trzymałam straż. Na wszelki wypadek.

Wiedziałam, że to, co robię, jest kompletnym idiotyzmem. Rosalinda wspomniała przecież, że załatwiła Loganowi

pozwolenie na pobyt czasowy w Maroku, on sam dał słowo, że mi pomoże, a zorganizowanie transportu musi potrwać. Analizując na chłodno całą sytuację, doszłam do wniosku, że nie mam najmniejszego powodu do obaw, a moja obecność w tym miejscu jest absurdalną demonstracją nieufności i bezpodstawnych lęków. Oczywiście, byłam tego świadoma. Mimo to nie zamierzałam się stamtąd ruszyć ani na krok.

Zszedł na dół kwadrans po dziewiątej, kiedy poranne słońce wlewało się już strumieniem przez szklany dach. Patio ożyło. Pojawili się pierwsi goście, kelnerzy krążyli wśród nich z tacami, marokańscy posługacze nosili kufry i walizy. Utykał lekko, rękę miał wciąż na temblaku przewiązanym niebieską chustą, lecz sińce na twarzy już zbladły; w czystym ubraniu, wyspany, z lekko wilgotnymi, świeżo zaczesanymi włosami wyglądał o niebo lepiej niż w dniu naszego pierwszego spotkania. Na jego widok poczułam lekkie ukłucie niepokoju. Chcąc ukryć zmieszanie, potrząsnęłam włosami i przełożyłam lewą nogę na prawą. On też od razu mnie zauważył i podszedł się przywitać.

– Nie wiedziałem, że w Afryce wstaje się tak wcześnie.

– Zna pan chyba przysłowie: kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

– A po co pani potrzebna boża pomoc, jeśli można wiedzieć? – powiedział, sadowiąc się w stojącym obok fotelu.

– Po to, żeby pan nie wyjechał z Tetuanu, nie mówiąc mi, co się dzieje w sprawie mojej matki.

– Nic pani nie mówiłem, bo sam jeszcze nic nie wiem – odparł i pochylił się ku mnie. – Nadal mi pani nie ufa, prawda?

Jego głos zabrzmiał pewnie i blisko. Niemal poufale. Zwlekałam kilka chwil z odpowiedzią, usiłując wymyślić jakieś kłamstwo. Nic nie przychodziło mi do głowy, więc postawiłam na szczerłość.

– Przepraszam, ale ostatnio nikomu nie ufam.

– Rozumiem panią, proszę się nie martwić – powiedział, uśmiechając się z wysiłkiem, a na jego wciąż jeszcze posiniaczonej twarzy pojawił się grymas bólu. – Dzisiejsze czasy nie sprzyjają wierności i zaufaniu.

Skwitowałam jego słowa wymownym wzruszeniem ramion.

– Jadła pani śniadanie? – zapytał.

– Tak, dziękuję – skłamałam. Nie jadłam śniadania i wcale nie miałam na to ochoty. Jedyne, czego chciałam, to upewnić się, że dotrzyma słowa.

– Może więc moglibyśmy...

Niczym spowita haikiem trąba powietrzna na patio wpadła bez tchu Dżamila, przerywając nam rozmowę.

– Frau Langenheim czeka. Jedzie do Tangeru kupić tkaniny. Chce, żeby paniénka Sira powiedzieć ile metrów.

– Niech poczeka minutkę. Zaraz przyjdę. Usadź ją w salonie, niech przejrzy najnowsze żurnale od Candelarii.

Dżamila ruszyła pędem, a ja zwróciłam się do Logana:

– To moja służąca. Klientka czeka, muszę iść.

– W takim razie nie zatrzymuję pani dłużej. I proszę się nie martwić, sprawa jest w toku. Prędzej czy później nadejdą pomysne wieści. Powinna pani jednak uzbroić się w cierpliwość. To może potrwać kilka tygodni, nawet ponad miesiąc.

I niczego nie da się przyspieszyć – powiedział, wstając. Przyszło mu to łatwiej niż kilka dni temu, już nie krzywił się z bólu.

– Naprawdę nie wiem, jak mam panu dziękować – odrzekłam.

– A teraz, pan wybaczy, ale muszę już iść. Czeka mnie dużo pracy, trudno mi się wyrwać nawet na chwilę. W najbliższym czasie będzie dużo spotkań towarzyskich i moje klientki chcą się w coś ubrać.

– A pani?

– Co ja? – zapytałam zdziwiona, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Czy pani wybiera się na którąś z tych uroczystości? Może na powitanie Serrano Suñera?

– Ja? – powiedziałam ze śmiechem, odgarniając włosy z czoła.

– Nie, ja nie bywam na takich fetach.

– A dlaczego nie?

W pierwszym odruchu chciałam się znowu roześmiać, ale powstrzymałam się, kiedy zrozumiałam, że mówi poważnie i że powoduje nim tylko naturalna ciekawość. Staliśmy naprzeciw siebie, tak blisko, że mogłam dostrzec splot lnianych włókien na jego schludnej jasnej marynarce i gładkość jedwabnego krawata w paski; poczułam zapach dobrego mydła. Ja trzymałam pod pachą żurnal, on jedną ręką wspierał się na lasce. Spojrzałam mu w oczy i już otwierałam usta, żeby odpowiedzieć. Mogłam podać tysiąc powodów mojej nieobecności w tym obcym dla mnie towarzystwie: bo nikt mnie nie zaprasza, bo to nie mój świat, bo z tamtymi ludźmi nic

mnie nie łączy... lecz w końcu postanowiłam nie mówić nic. Wzruszyłam ramionami.

– Muszę już iść.

– Proszę zaczekać – powiedział, delikatnie przytrzymując mnie za łokieć. – Może zechce mi pani towarzyszyć na powitaniu Serrano Suñera?

Jakby we mnie piorun strzelił. Byłam tak przerażona, że nie potrafiłam wymyślić żadnej wymówki.

– Powiedziała pani, że nie wie, jak mi podziękować. Właśnie jest ku temu okazja. Proszę pójść tam ze mną. Powie mi pani, kto jest kim w tym mieście, to mi się przyda w pracy.

– Ja... ja też nikogo nie znam, mieszkam tutaj od niedawna.

– Sądzę, że zapowiada się interesujący wieczór. Może nawet będziemy się dobrze bawić – nalegał.

To była kompletna głupota, bzdura, nonsens. Co ja miałam do roboty na fecie ku czci szwagra generała Franco, w towarzystwie dowódców, bogaczy i dyplomatów? Propozycja była kuriozalna, to prawda, ale przede mną stał mężczyzna i czekał na odpowiedź. Mężczyzna, który starał się o ewakuację osoby najważniejszej dla mnie na całym świecie; nieznamy cudzoziemiec, który prosił, żebym mu zaufała. Przez głowę przelatywały mi błyskawice sprzecznych myśli. Jedne nakazywały odmowę, przestrzegały, że to jakaś nedorzeczna ekstrawagancja. Inne za to przypominały ludowe porzekadło, które tylekroć słyszałam do matki: nie ma godności, kto nie zna wdzięczności.

Z trudem przełknęłam ślinę.

– Dobrze – powiedziałam. – Pójdę z panem.

W hotelowym foyer znów zamajaczyła postać wymachującej rękami Dżamili, która gwałtownie dawała mi do zrozumienia, że tak wymagająca klientka jak Frau Langenheim nie może dłużej czekać.

– Świetnie. Gdy tylko dostanę zaproszenie, zawiadomię panią, gdzie i kiedy to się odbędzie.

Uścisnęłam mu dłoń i odeszłam prędko, stukając obcasami o posadzkę. Dopiero w drzwiach obejrzałam się za siebie. Marcus Logan stał, wsparty na swojej lasce, i z daleka patrzył na mnie. Tkwił w tym samym miejscu, w którym go zostawiłam: ciemna sylwetka na rozświetlonym słońcem patio. I głos – donośny, wyraźny:

– Rad jestem, że pani się zgodziła. I może być pani spokojna, wcale mi się nie spieszy do wyjazdu z Maroka.

## 28

Rozterki dopadły mnie, gdy tylko wyszłam na ulicę. Nagle zdałam sobie sprawę, że pewnie zbyt pochopnie przyjąłam zaproszenie Logana, nie pytając o zdanie Rosalindy, która może miała co do niego inne plany. Moje wątpliwości nie trwały jednak długo: tylko do czasu, gdy wpadła do mnie jak burza, żeby przymierzyć suknię.

– Mamy pół godziny – oznajmiła, rozpinając zwinnymi palcami jedwabną bluzkę. – Juan Luis na mnie czeka, trzeba jeszcze załatwić tysiące spraw w związku z wizytą Serrano Suñera.

Chciałam taktownie uprzedzić ją o wszystkim w starannie przemyślanych słowach, ale postanowiłam skorzystać z okazji i



od razu chwycić byka za rogi.

– Marcus Logan poprosił, żebym mu towarzyszyła na tym przyjęciu.

Nie patrzyłam na nią, udając, że jestem bardzo zaabsorbowana zdejmowaniem sukni z manekina.

– *But that's wonderful, darling!*

Nie zrozumiałam słów, ale z tonu jej głosu wywnioskowałam, że ta wiadomość mile ją zaskoczyła.

– Uważasz, że powinnam z nim pójść? – zapytałam niepewnie.

– Oczywiście! To cudownie, że będziesz z nami, *sweetie*. Juan Luis ma mnóstwo oficjalnych obowiązków, więc na pewno uda mi się spędzić chwilę z wami. Co założysz?

– Jeszcze nie wiem, muszę się zastanowić. Myślę, że uszyję sobie coś z tego materiału – powiedziałam, wskazując opartą o ścianę belę jedwabnej surówki.

– *My God*, zrobisz z tego cudo.

– O ile dożyję – mruknęłam z ustami pełnymi szpilek.

Rzeczywiście z trudem dawałam sobie radę. Przez wiele tygodni prawie nic się nie działo i nagle wszystko naraz zwaliło mi się na głowę. Miałam tyle zamówień, że codziennie wstawałam z kurami o świcie i rzadko kiedy kładłam się spać przed trzecią nad ranem. Dzwonek brzęczał bez przerwy, a za klientkami drzwi się nie zamykały. Ale zmęczenie miało też swoje dobre strony: nie miałam czasu myśleć o tym cholernym przyjęciu, do którego pozostał jeszcze niecały tydzień.

Z Rosalindą poszło mi stosunkowo łatwo, teraz czekała mnie nieunikniona przeprawa z Félixem.

– Spryciara! Ty to masz szczęście! Aż zielenieję z zazdrości.

– Chętnie bym się z tobą zamieniła – powiedziałam szczerze. – Wcale nie mam ochoty na tę fetę. Będę się tam czuła nie na miejscu w towarzystwie człowieka, którego ledwie znam, wśród obcych ludzi, wojskowych i polityków, przez których moje miasto znalazło się w oblężeniu, a ja nie mogę wrócić do domu.

– Nie bądź głupia, mała. Weźmiesz udział w imprezie, która przejdzie do historii naszego afrykańskiego zadupia. Poza tym pójdziesz tam z mężczyzną, który całkiem nieźle się prezentuje. Przystojniak.

– A ty skąd wiesz? Przecież go nie znasz.

– I tu się mylisz. Jak myślisz, gdzie dzisiaj zabrałem smoczyce na podwieczorek?

– Do Nacionalu? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Właśnie. Kosztowało mnie to trzy razy tyle co drożdżówki w La Campana, bo ta harpia napchała się angielskimi ciasteczkami po dziurki w nosie, ale było warto.

– Widziałeś go?

– Nawet z nim rozmawiałem. Wpadł mi w oko.

– Wstydu nie masz – powiedziałam, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. – I jak ci się podoba?

– Po gruntownej naprawie będzie całkiem apetyczny. Utyka na jedną nogę i ma rozkwaszone pół twarzy, ale i tak wygląda bosko. W dodatku dżentelmen w każdym calu.

– Myślisz, że można mu zawierzyć? – spytałam, trochę zmartwiona.

Chociaż Logan nalegał, żebym mu zaufała, nadal nie byłam pewna, czy powinnam. Félix skwitował moje rozterki

wybuchem śmiechu.

– Myślę, że nie, ale ciebie niech o to głowa nie boli. Twój nowy przyjaciel to tylko zwykły dziennikarz. Jest w Maroku, bo ma układ z kobietą, dla której Wysoki Komisarz stracił głowę. Więc jeśli nie chce stąd wyjechać w gorszym stanie, niż kiedy się tutaj zjawił, musi dotrzymać słowa. Dla własnego dobra.

Słowa Félix'a pozwoliły mi spojrzeć na to wszystko inaczej. Katastrofalny finał romansu z Ramirem sprawił, że stałam się nieufna i podejrzliwa, ale moje stosunki z Marcusem Loganem nie opierały się na osobistej wierności, lecz na handlu wymiennym. Dam ci coś, jeżeli ty mi coś dasz. A jak nie, to do widzenia. Zasady były proste i nie miałam powodu popadać w obsesję. On sam był najbardziej zainteresowany utrzymaniem dobrych stosunków z Wysokim Komisarzem, zbyt wiele by stracił, gdyby mnie zawiódł.

Tego samego wieczoru Félix wyjaśnił mi także, kim właściwie był Serrano Suñer. Często słyszałam o nim w radiu i widywałam jego nazwisko w gazetach, ale nie miałam pojęcia, co to za człowiek. Z pomocą, jak zwykle, pospieszył mi sąsiad z przeciwka.

– Jak już zapewne wiesz, moja miła, Serrano jest szwagrem generała Franco, żonatym z Zitą, młodszą siostrą Carmen Polo, o wiele ładniejszą i mniej nadętą niż małżonka Caudilla, co gołym okiem widać na zdjęciach. Mówią, że to bardzo inteligentny i błyskotliwy gość, o niebo przewyższający intelektem naszego Generalissimusa, co wodzowi najwyraźniej jest bardzo nie w smak. Przed wojną Serrano był adwokatem i deputowanym z Saragossy.

– Prawicowym.

– To chyba jasne. Powstanie zastało go w Madrycie. Został aresztowany za swoją polityczną przynależność i osadzony w więzieniu Modelo. Potem załatwił sobie jakimś cudem przeniesienie do szpitala, zdaje się, że pod pretekstem wrzodów żołądka, na które podobno cierpi. Z pomocą znajomego lekarza, doktora Maraño, uciekł stamtąd przebrany za kobietę, w peruce, kapeluszu i z nogawkami piżamy podwiniętymi pod płaszczem. Cały on!

Parsknęliśmy śmiechem, wyobrażając sobie tę scenę.

– Potem udało mu się wymknąć z Madrytu. Dotarł do Alicante i tam, przebrany tym razem za argentyńskiego majtka, odpłynął na pokładzie jakiegoś torpedowca.

– I uciekł z Hiszpanii?

– Nie. Wsiadł we Francji i wrócił przez zieloną granicę, razem z żoną i gromadą dzieci, a ma ich chyba czworo lub pięcioro. Z Irún dotarli do Salamanki, gdzie z początku mieściła się kwatera główna narodowców.

– Było mu łatwo, bo jest szwagrem Franco.

Uśmiechnął się szyderczo.

– Tak ci się zdaje, ślicznotko? Ludzie mówią, że Caudillo nawet palcem nie kiwnął w jego sprawie. Mógł go przecież na kogoś wymienić, to częsta praktyka w tej wojnie, ale tego nie zrobił. A kiedy zjawili się w Salamance, wcale nie powitał ich z otwartymi ramionami. Zajął dla siebie pałac biskupi, a całą rodzinę Serrano Polo upchnął na strychu. Spali na łóżkach polowych z demobilu, podczas gdy córka Franco miała tylko dla siebie wielką sypialnię z łazienką. Prawdę mówiąc, oprócz tych

kilku złośliwych plotek, krążących z ust do ust, niewiele mi się udało dowiedzieć o prywatnym życiu Serrano Suñera; przykro mi, moja miła. Wiem jednak, że w Madrycie zamordowano obu jego braci, chociaż nie mieli nic wspólnego z polityką. Podobno bardzo to przeżył i z tym większym zapałem włączył się w budowę „Nowej Hiszpanii”, jak to oni nazywają. Z czasem został prawą ręką Caudilla. Dlatego przezwali go „Szwagrossimus”, przez skojarzenie z Generalissimusem. Mówi się, że swoją pozycję zawdzięcza wszechwładnej doñi Carmen, która miała już wyżej uszu tego osła Nicolasa Franco, swojego drugiego szwagra. Uważała, że jej mąż za bardzo mu ulega. Więc jak tylko zjawił się Serrano, postawiła sprawę jasno: „Odtąd, Paco<sup>25</sup>, mniej Nicolasa, więcej Ramona”.

Przedrzeźniał ją tak udatnie, że oboje pokładaliśmy się ze śmiechu.

– Słyszałem, że Serrano jest bardzo inteligentny – ciągnął Félix. – Bardzo sprytny. I dalekowzroczny. Znacznie lepiej przygotowany niż Franco: jako polityk i jako intelektualista. Poza tym jest ogromnie ambitny i pracowity. Podobno całymi dniami obmyśla po cichutku, jak by tu zgodnie z prawem zalegalizować rządy narodowców i naczelną władzę swojego kuzyna. Inaczej mówiąc, chce czysto wojskowej strukturze nadać cywilny kształt, kapujesz?

– W razie gdyby wygrali wojnę.

– O ile wygrają.

– Jest lubiany?

– Nieszczerze. Żołdactwo, znaczy wojskowi, zwłaszcza ci wysocy rangą, szczerze go nie znoszą. Traktują go jak intruza.

Nie mają z nim wspólnego języka, nie mogą się porozumieć. Dla nich szczytem szczęścia byłoby państwo koszarowe, a Serrano, który jest od nich wszystkich bystrzejszy, próbuje im wytłumaczyć, że to nonsens, bo na forum międzynarodowym nikt nie uzna takiej władzy. A Franco, chociaż nie ma zielonego pojęcia o polityce, w tym względzie ufa mu bez zastrzeżeń. Tak więc reszta, choć im nie w smak, musi to przełknąć. Falangiści też nie mają do niego przekonania. Przed wojną nie wstąpił w szeregi Falangi, chociaż podobno był serdecznym przyjacielem José Antonia Prima de Rivera. Studiowali razem na uniwersytecie. Teraz nie miał innego wyjścia i stał się bardziej papieski niż sam papież. Ale stara gwardia, „stare koszule”, jak ich nazywają, widzi w nim karierowicza, oportunistę i neofitę.

– To w takim razie kto go popiera? Tylko Franco?

– I jego czcigodna małżonka, a to już nie byle co. Chociaż zobaczymy, jak długo potrwa ten miodowy miesiąc.

Félix stał się też moim kołem ratunkowym podczas przygotowań do owego wielkiego wydarzenia. Odkąd zakomunikowałam mu tę nowinę, a on, udając zazdrość, aż przygryzł palce, nie było ani jednego wieczoru, żeby nie wpadł do mnie z jakąś rewelacją. Znosił mi strzępy informacji, okruchy, zbierane to tu, to tam, by zaspokoić nienasycony głód wiedzy. Już nie przyjmowałam go, jak dawniej, w salonie. Miałam tyle zaległej pracy, że nasze nocne narady przenieśliśmy tymczasowo do warsztatu. Odniosłam wrażenie, że ta przeprowadzka nawet go uradowała. Był zafascynowany nićmi, tkaninami, skomplikowaną strukturą szwów i kroju, a

nawet sam podsuwał mi pomysły: czasem niezwykle trafne, lecz najczęściej zupełnie niedorzeczne.

– Mówisz, że z tego boskiego aksamitu szyjesz kieckę dla żony sędziego trybunału? Wytnij dziurę na tyłku, może ktoś wreszcie zwróci uwagę na tę pokrakę. Szkoda materiału dla takiego babska! – mówił, głaszcząc palcami upiętą na manekinie tkaninę.

– Nie dotykaj – warknęłam, skupiona nad ścięgiem.

– Przepraszam, dziecinko, ale to ma taki piękny połysk...

– Właśnie dlatego. Uważaj, zostaną ślady palców. Powiedz lepiej, czego się dzisiaj dowiedziałeś.

Wizyta Serrano Suñera była tematem plotek w całym Tetuanie. W sklepie, w trafice i u fryzjera, u lekarza, w kawiarni i na ulicy, na bazarze i pod kościołem o niczym innym się nie mówiło. Ja jednak byłam zbyt zajęta, by włączyć się po mieście. Ale od czego ma się dobrych sąsiadów...

– Nikt nie zamierza przepuścić takiej okazji, na *rendez-vous* ze „Szwagrossimusem” stawi się kwiat naszego miasta: kalif ze swoim orszakiem, wielki wezyr i mahzen, jednym słowem dwór w komplecie. A także najwyższe władze hiszpańskiej administracji, obwieszeni orderami wojskowi, palestra i uczeni, przedstawiciele marokańskich partii politycznych, gminy żydowskiej, korpus dyplomatyczny w pełnym składzie, dyrektorzy banków, nadęci urzędnicy, potężni przemysłowcy, lekarze, każdy, kto jest dziś na świeczniku, nieważne: Hiszpan, Żyd czy Arab, oraz oczywiście grupka parweniuszy i przybłędów, którzy wkręcą się fuksem, tak jak ty, mała tupeciaro, do spółki z tym twoim kulawym pismakiem.

Rosalinda przestrzegła mnie jednak, że ostentacja i przepych nie będą mile widziane. Beigbeder chciał przyjąć gościa z wszelkimi honorami, lecz nie zapominał, że w kraju trwa wojna. Dlatego zrezygnował z defilad i balu, a na powitanie zagrać miała tylko marokańska orkiestra kalifa. Ale i tak szykowałą się największa feta, jaką dotąd zorganizował Wysoki Komisariat, więc stolica Protektoratu przygotowywała się do niej pełną parą.

Félix poinstruował mnie również co do zasad protokołu. Nie miałam pojęcia, gdzie się tego wszystkiego nauczył, bo w towarzystwie bywał rzadko, a krąg jego przyjaciół był prawie tak nieliczny jak mój. Jego życie toczyło się wokół nudnej pracy w Wydziale Zaopatrzenia, matki alkoholiczki, sporadycznych nocnych eskapad do podejrzanych spelunek oraz wspomnień z wycieczki do Tangeru, który odwiedził jeszcze przed wojną. I tyle. W Hiszpanii nie był nawet przejazdem. Ale uwielbiał kino i znał na pamięć wszystkie amerykańskie filmy, ujęcie po ujęciu, klatka po klatce, był zachłannym czytelnikiem zagranicznych czasopism oraz bezlitosnym, nieuleczalnie wścibskim obserwatorem. A że nie brakowało mu lisiego sprytu, bez trudu zdobył wiedzę potrzebną, by uczynić ze mnie elegancką damę, obeznaną z wszelkimi tajnikami dobrego tonu.

Niektóre jego rady były zbędne z racji swej oczywistości. Już dawniej, u boku tego drania Ramira, poznałam ludzi z wyższych sfer. Bywaliśmy na przyjęciach, dansingach, w eleganckich lokalach i dobrych restauracjach, zarówno za madryckich czasów, jak i w Tangerze. Dzięki temu przyswoiłam sobie mnóstwo drobnych nawyków, niezwykle przydatnych w



towarzystwie. Félix jednak postanowił rozpocząć moją edukację od spraw najbardziej elementarnych.

– Nie mów z pełną buzią, nie mlaskaj przy jedzeniu i nie ocieraj ust rękawem. Nie wpychaj sobie widelca w gardło, nie wypijaj trunków jednym haustem, nie podnoś pustego kieliszka, pstrykając palcami na kelnera, żeby dolał ci wina. Nie przesadzaj z „proszę” i „dziękuję”, nadmierna wylewność jest w złym guście. Jeśli cię komuś przedstawią, powiedz po prostu „bardzo mi miło”, żadnego „cała przyjemność po mojej stronie” czy innego prostactwa w tym stylu. Jak będą rozmawiać o czymś, czego nie wiesz albo nie rozumiesz, uśmiechnij się ślicznie i siedź cicho, kiwając od czasu do czasu głową. A jeśli będziesz musiała jednak coś powiedzieć, ogranicz się do minimum minimorum, żeby nie przyłapali cię na jakimś łągarstwie. Co innego puścić w świat kilka kłamstewek, żeby zareklamować się jako *haute couturier*, a co innego z własnej woli włączyć w paszczę lwa, pusząc się przed kimś, kto ma dość klasy i sprytu, by się w lot zorientować, że coś kręcisz. Jak będziesz czymś zdziwiona albo zachwycona, powiedz tylko „piękne”, „zadziwiające” albo użyj innego podobnego przymiotnika; w żadnym wypadku nie wymachuj z zapalem rękami, nie klep się po udach i nie wykrzykuj „cóż takiego”, „o matko”, „a niech mnie”. Jeżeli ktoś rzuci jakiś dowcip, nie śmieję się na całe gardło, pokazując wszystkie zęby i trzymając się za brzuch. Uśmiechnij się tylko, zatrzepocz rzęsami i powstrzymaj się od komentarzy. Nie zabieraj głosu nieproszona i nie wrywaj się z uwagami typu: „A pana to chyba skądś znam!” albo „No nie, ta gruba baba to pańska żona?”.

– To wszystko już wiem, mój drogi Feliksie – powiedziałam, krztusząc się ze śmiechu. – Jestem prostą krawcową, ale nie urodziłam się w jaskini. Czekam na jakieś sensowne rady.

– Jak sobie życzysz, ślicznotko, proszę bardzo. Chciałem dobrze, żebyś czegoś nie przeoczyła. A teraz na poważnie...

Przez wiele długich nocy Félix opisywał mi najwybitniejszych gości, a ja zapamiętywałam ich imiona, stanowiska i rangę, często nawet twarze, bo przynosił mi mnóstwo gazet, kolorowych magazynów i zdjęć. I tak dowiedziałam się, gdzie mieszkają, co robią, czy mają pieniądze i jaką zajmują pozycję w lokalnej hierarchii. Prawdę mówiąc, niewiele mnie to interesowało, ale zbierałam te informacje, bo Marcus Logan oczekiwał, że pomogę mu się zorientować, kto jest kim.

– Myślę, że z racji narodowości twojego kawalera będziecie rozmawiać głównie z cudzoziemcami – powiedział Félix. – Przypuszczam, że oprócz tutejszego światka ściągnie tam cała śmietanka z Tangeru, który nie znalazł się na trasie tournée „Szwagrossimusa”, więc sama wiesz: jak nie Mahomet do góry...

To mi dodało trochę otuchy. Wmieszana w tłum emigrantów, których nigdy w życiu nie widziałam i chyba więcej nie zobaczę, będę się czuła pewniej niż wśród mieszkańców Tetuanu, których codziennie mijałam na ulicy. Félix objaśnił mi też zasady protokołu, kolejność powitań i jak to się wszystko odbędzie, krok po kroku. Słuchałam go, zapamiętując rozmaite szczegóły, i szłam, szłam bez przerwy, jak opętana.

Aż wreszcie nadszedł ów wielki dzień. Przez cały poranek Dżamila wyносиła z pracowni ostatnie zamówienia; w południe

wszystko już dotarło do klientek i zapanował błogi spokój. Domyślałam się, że inne kobiety zażywają teraz poobiedniej sjeisty w chłodnym półmroku sypialni, za zamkniętymi szczelnie okiennicami, albo czekają na swoją kolej w salonie *haute coiffure* Justa i Miguela. Jakże im zazdrościłam. Nie miałam nawet czasu, żeby cokolwiek przekąsić, bo musiałam się natychmiast zabrać do szycia swojej sukni. Była za kwadrans trzecia. Przyjęcie zaczynało się o ósmej, o pół do ósmej miał po mnie przyjechać Marcus Logan. W pięć godzin musiałam stworzyć świat.

## 29

Spojrzałam na zegar, kiedy skończyłam prasować. Dwadzieścia po szóstej. Suknia była gotowa. Teraz musiałam tylko sama doprowadzić się do porządku.

Zanurzyłam się w wannie i postanowiłam nie myśleć o niczym. Na nerwy przyjdzie czas tuż przed wyjściem. Zasłużyłam na odpoczynek i gorącą kąpiel. Czułam, jak moje zmęczone ciało się odpręża, jak zeszywniałe od szycia palce się rozluźniają, a napięty kark stopniowo przestaje boleć. Zapadłam w lekką drzemkę, świat roztapiał się w mydlanej pianie. Od miesięcy nie było mi tak przyjemnie. Szczęście jednak trwało krótko. Drzwi od łazienki nagle otwarły się z impetem.

– Co ty wyprawiasz, dziewczyno?! – wykrzyknęła ze zgrozą Candelaria. – Jest już po wpół do siódmej, a ty się tu moczysz jak solony śledź. Nie zdążysz, dziecinko! O której ty się chcesz wziąć za siebie?

Szmuglerka przyprowadziła niezbędną jej zdaniem ekipę ratunkową: swoją kumę Remedios w charakterze fryzjerki i sąsiadkę Angelitę, która miała dryg do manikiuru. Przed kąpielą wysłałam Dżamilę na La Luneta, żeby kupiła mi szpilki do włosów; spotkała pod drodze Candelarię, która dowiedziała się od niej, że bardziej się martwiłam o suknie klientek niż o własną i że nie miałam wolnej chwili, aby się sobą zająć.

– Wyskakuj z wanny, czarnulko. Roboty mamy huk, a czasu wcale.

Usłuchałam bez protestu, trudno się było oprzeć temu wcielonemu tajfunowi. W duchu dziękowałam Candelarii za pomoc. Dziennikarz miał się zjawić już za trzy kwadranse, a ja wyglądałam, wedle słów szmuglerki, jakby piorun w miotłę strzelił. Zabrały się do dzieła, gdy tylko owinęłam się ręcznikiem.

Sąsiadka Angelita natarła mi dłonie olejkami, wymasowała je i opiłowała paznokcie. Kuma Remedios zajęła się tymczasem włosami. Wiedząc, że potem nie będę miała na to czasu, z samego rana umyłam głowę; teraz trzeba ją było tylko przyzwoicie uczesać. Candelaria asystowała im obu: podawała cążki i nożyczki, wałki i ligninę. Gadała przy tym jak najęta, opowiadając nam plotki o Serrano Suñerze, zasłyszane ostatnio na mieście. Przyjechał dwa dni temu, był już wszędzie, od Alcazarquiviru do Xauen i Dar Riffien. Spotkał się z każdym, kto coś znaczy w Afryce Północnej, od kalifa do wielkiego wezyra. Z Rosalindą nie widziałam się od zeszłego tygodnia, nie mogłam się więc przekonać, ile prawdy jest w tych opowieściach.

– Wczoraj podobno jedli w Ketamie mauretański obiad pod sosnami. Siedzieli na dywanach rozłożonych na gołej ziemi, a „Szwagrossimus” o mało się nie udławił z wrażenia, kiedy zobaczył, że wszyscy jedli palcami. Nie wiedział, jak się je kuskus, połowę zgubił, zanim zdążył donieść do ust...

–...a Wysoki Komisarz był uszczęśliwiony, że może go ugościć, i palił jedno cygaro za drugim – dokończył jakiś głos od drzwi. Oczywiście, Félix.

– Co ty tu robisz o tej porze? – spytałam zaskoczona.

Popołudniowy spacer z matką był u nich w domu świętością, tym bardziej w dniu, w którym całe miasto wyległo na ulice. Wymownym gestem uniósł kciuk do ust i odchylił głowę: doña Elvira upiła się dziś wyjątkowo wcześnie.

– Skoro opuszczasz mnie tej nocy dla jakiegoś dziennikarza przybłądy, nie chciałem przynajmniej stracić przygotowań. Mogę w czymś pomóc, drogie panie?

– To pan tak pięknie maluje? – zapytała Candelaria prosto z mostu. Znali się oboje ze słyszenia, ale nigdy przedtem się nie spotkali.

– Jak sam Murillo.

– To niech pan jej umaluje oczy – oświadczyła, podając mu etui z kosmetykami.

Félix nikomu dotąd nie robił makijażu, ale nie stchórzył. Wręcz przeciwnie, rozkaz szmuglerki przyjął niemalże jako dar niebios. Przekartkował kilka numerów „Vanity Fair” w poszukiwaniu inspiracji i pochylił się nad moją twarzą, niczym nad płótnem nietkniętym pędzlem artysty.

Kwadrans po siódmej, nadal owinięta ręcznikiem, siedziałam z wyciągniętymi przed siebie rękami, a Candelaria z sąsiadką dmuchały z całej siły na moje paznokcie, żeby wysuszyć lakier. Dwadzieścia po siódmej Félix skończył wygładzać mi palcami brwi. Pół godziny później Remedios wetknęła mi we włosy ostatnią szpilkę, chwilę zaś potem Dżamila przybiegła pędem z balkonu, wrzeszcząc jak opętana, że mój kawaler właśnie wyszedł z za węgła.

– Teraz jeszcze tylko jedna drobna rzecz – oznajmiła wówczas moja współniczka.

– Wyszło wspaniale, Candelario, już nic nie trzeba, nie zdążymy. – Podciągnęłam zsunięty ręcznik i wstałam, żeby pójść po sukienkę.

– Siedź i nie gadaj – odezwała się z za moich pleców tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Już się muszę ubierać, Candelario, zrozum... – protestowałam zdenerwowana.

– Bądź cicho i siedź spokojnie, mówię – przerwała, chwytając mnie za ramię, i podała mi płaski pakiecik owinięty w pognieciony papier.

W pośpiechu rozdarłam opakowanie; wiedziałam, że nie ma sensu się z nią wyklócać, bo tylko pogorszę sprawę.

– Mój Boże! Candelaria, czyja dobrze widzę?! – wykrzyknęłam na widok jedwabnych pończoch. – Skąd je pani wytrzasnęła? Podobno od miesięcy nie można takich dostać.

– Zamknij się wreszcie i otwórz to drugie – powiedziała, podając mi jeszcze jedną paczuszkę.

Pod obskurnym papierem znalazłam przepiękne lśniące pudzderko w kształcie muszli o złoconych brzegach.

– Puderniczka – oznajmiła z dumą szmuglerka. – Żeby ci się nos nie świecił. Niech zobaczą, że nie jesteś gorsza od tych damulek, z którymi się będziesz zadawała.

– Jest prześliczna – szepnęłam, głaszcząc wypolerowane wieczko. Zajrzałam do środka: puder w kamieniu, maleńkie lustro i śnieżnobiały puszek. – Dziękuję, Candelario, bardzo dziękuję. Nie trzeba było, przecież tyle już pani dla mnie zrobiła...

Nie mogłam powiedzieć więcej z dwóch powodów. Po pierwsze, czułam, że za chwilę się rozplacę, a po drugie, w tym samym momencie zabrzączał dzwonek. To mnie otrzeźwiło, nie było czasu na sentymenty.

– Dżamila, otwórz szybko! – krzyknęłam. – Félix, przynieś mi bieliznę z sypialni, leży na łóżku. Candelaria, błagam, proszę mi pomóc, z pośpiechu jeszcze mi puści oczko w pończosze. Remedios, buty. Angelita, niech pani zaciągnie zasłonę w korytarzu. Chodźmy wszyscy do pracowni, ale na palcach, żeby nas nie usłyszał.

Z jedwabnej surówki uszyłam sobie dwuczęściową garsonkę: dopasowana góra, duży kołnierz, rozkloszowana spódnica *evasé* z szerokim paskiem. Przy braku biżuterii jedynym dodatkiem był jedwabny kwiat w tabaczkowym kolorze, dopasowany do butów, które na moją prośbę szewc z medyny obszył tym samym materiałem. Remedios zdołała przeobrazić moją krótką czuprynę w elegancki, luźny kok, a radosna twórczość Félix'a przyniosła olśniewające efekty: oczy zyskały

promienny blask, usta wyrazisty rysunek, zmęczona twarz rozjaśniła się i rozświetliła.

Ubrali mnie wspólnie, obuli, poprawili uczesanie, pociągnęli wargi szminką. Nie zdążyłam nawet przejrzeć się w lustrze. Gdy tylko powiedzieli mi, że jestem gotowa, wybiegłam z pracowni i na palcach, żeby nie zrobić hałasu, przemknęłam pod drzwiami. Tam zwolniłam, odetchnęłam głęboko i spokojnym, swobodnym krokiem weszłam do salonu. Marcus Logan, odwrócony plecami, wyglądał przez okno na ulicę. Obejrzał się, słysząc stukanie moich obcasów o posadzkę.

Od naszego ostatniego spotkania minęło dziewięć dni, w ciągu których doszedł do siebie. Po bliznach i obrażeniach, z jakimi tu przyjechał, prawie nie było śladu. Nie miał temblaka ani laski; stał pewnie, wyprostowany, z lewą ręką w kieszeni ciemnej marynarki. Rany na twarzy się zagoiły, widać było tylko kilka nieznacznych szram, a opalona w marokańskim słońcu skóra kontrastowała ze śnieżną bielą koszuli. Uśmiechnął się do mnie szeroko, już nie krzywiąc się z bólu.

– „Szwagrossimus” nie zechce wrócić do Burgos, kiedy panią zobaczy – powiedział zamiast przywitania.

Zamierzałam odwdzińczyć mu się równie ciętą ripostą, ale nagle zza moich pleców rozległ się głośny szept schowanego za drzwiami Félix:

– Niezłe ciacho, dziecinko.

– Idziemy? – zapytałam z wymuszonym uśmiechem.

Loganowi również nie było dane nic powiedzieć, bo w tej samej chwili do salonu wtargnęła z impetem szmuglerka.



– Momencik, don Marcos – oznajmiła, podnosząc rękę, jakby chciała zabrać głos na zebraniu. – Za pozwoleniem i bez obrazy, ale na odchodnym proszę przyjąć dobrą radę i niech pan weźmie to sobie do serca.

Spojrzał na mnie skonsternowany.

– Przyjaciółka – wyjaśniłam.

– W takim razie zamieniam się w słuch.

Candelaria podeszła do Logana i zaczęła mówić, udając, że strząsa jakiś nieistniejący pyłek z kłapy jego marynarki.

– Uważaj, kochanku, to dziecko już za dużo dźwiga na swoim garbie, więc jeżeli myślisz, że jej zawrócisz w głowie nadzianym portfelem i tą swoją zagraniczną buźką, a potem wykorzystasz i porzucisz, to najpierw się dobrze zastanów, bo jak będzie przez ciebie płakać, to niech tylko szepnę słówko mojemu kuzynowi, wredny pedał z niego, ale załatwi cię jak amen w pacierzu i ani się obejrzysz, a dorwie w jakiejś ciemnej uliczce i skroi facjatę, że własna matka cię nie pozna. Rozumiemy się, skarbie?

Dziennikarz nie mógł jej odpowiedzieć. Na szczęście, mimo dobrej znajomości hiszpańskiego, niewiele zrozumiał z tej przemowy.

– Co powiedziała? – zapytał, patrząc na mnie bezradnie.

– Nic ważnego. Chodźmy, robi się późno.

Z wielkim trudem skrywałam rozpierającą mnie dumę. Nie chodziło o mój wygląd ani o towarzystwo atrakcyjnego mężczyzny, ani o udział w doniosłych uroczystościach, lecz o przyjaźń i serce okazane mi przez wiernych przyjaciół, których zostawiłam w domu.

Na ulicach powiewały czerwono-żółte flagi; były girlandy oraz powitalne transparenty, sławiące dostojnego gościa i jego szwagra. Na chodnikach kłębił się barwny tłum Arabów i Hiszpanów. Ludzie wylegli na balkony i azotee przystrojone w narodowe barwy. Młodzież wspinała się na słupy, latarnie i ogrodzenia, żeby lepiej zobaczyć to, co wkrótce miało się wydarzyć; dziewczęta o jaskrawo umalowanych ustach przechadzały się grupkami pod rękę. Wśród gapiów biegały gromadki rozbrykanych malców: starannie uczesane, pachnące wodą kolońską pociechy Hiszpanów, wystrojone w odświętne ubranka – chłopcy w krawatach, dziewczynki z jedwabnymi kokardami na warkoczach – i dzieci Maurów, często bose, w dżelabach i tarbuszach.

W miarę jak zbliżaliśmy się do placu Hiszpańskiego, tłum gęstniał, gwar narastał. Było gorąco, słońce jeszcze mocno świeciło. Dobiegły nas dźwięki orkiestry strojącej instrumenty. Wokół rozstawiono drewniane trybuny dla widzów; miejsca były zajęte co do jednego. Marcus Logan bez przerwy wymachiwał swoim zaproszeniem, żeby przepuszczono nas za bariere oddzielające gawieź od strefy przeznaczonej dla gości i władz. Po drodze prawie nie odzywaliśmy się do siebie; panująca wokół wrzawa oraz konieczność ciągłego wymijania rozmaitych przeszkód skutecznie udaremniały nam jakąkolwiek rozmowę. Czasem musiałam z całej siły ucześcić się jego ręki, żeby nie zgubić się w tłoku; kiedy indziej to on przytrzymał mnie za ramiona, w obawie, że wchłonie mnie nienasycony tłum. W końcu jakoś się dopchaliśmy. Kiedy przechodziłam przez kutą bramę broniącą dostępu do siedziby

Wysokiego Komisariatu, w żołądku poczułam gwałtowny skurcz. Bałam się myśleć o tym, co czeka mnie dalej.

Wejścia strzegli arabscy żołnierze we wspaniałych galowych mundurach, wielkich turbanach i pelerynach powiewających na wietrze. Przeszliśmy przez ogród pełen sztandarów i flag; jeden z adiutantów zaprowadził nas do dużej grupy gości oczekujących pod białym płóciennym namiotem na rozpoczęcie ceremonii. W jego cieniu zgromadziły się czapki z otokiem, rękawiczki i perły, krawaty, wachlarze, granatowe koszule pod białymi marynarkami z emblematem Falangi wyszytym na piersi oraz całkiem sporo sukienek uszytych, ściąg za ścięciem, moją własną ręką. Ukłoniłam się dyskretnie kilku klientkom, udając, że nie zauważam spojrzeń i szeptów, kierujących się ku nam ze wszystkich stron: „Kto to jest, znasz ją?” – czytałam z ruchu warg. „A jego znasz?”. Dostrzegłam więcej znajomych twarzy. Wiele z nich widywałam tylko na fotografiach, które przynosił mi Félix, ale z paroma osobami łączyły mnie stosunki bardziej osobiste. Na przykład z komisarzem Vazquezem, który po mistrzowsku odegrał zaskoczenie moją obecnością w tym towarzystwie.

– No, no, cóż za miła niespodzianka – powiedział, podchodząc do nas.

– Dzień dobry, don Claudio, cieszę się, że pana widzę – starałam się, żeby to zabrzmiało naturalnie, ale nie jestem pewna, czy osiągnęłam pożądany efekt.

– Czyżby? – odparł z ironią.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, ponieważ, ku memu zdumieniu, przywitał się kordialnie z moim towarzyszem.

– Dzień dobry, panie Logan. Widzę, że już się pan zaaklimatyzował w naszym mieście.

– Komisarz wezwał mnie do siebie zaraz po moim przyjeździe do Tetuanu – powiedział do mnie Marcus, kiedy wymieniali uścisk dłoni. – Cóż, formalności...

– Chwilowo nie jest o nic podejrzany, ale gdyby pani zauważyła coś dziwnego, proszę mnie natychmiast powiadomić – zażartował don Claudio. – A do pana, Logan, mam prośbę: proszę dbać o pannę Quiroge, ma za sobą ciężki rok.

Pożegnaliśmy się z komisarzem i weszliśmy głębiej w tłum. Dziennikarz zachowywał się swobodnie, lecz z wielką atencją. Ja zaś czyniłam wysiłki, by nie spostrzegł, że czuję się jak ryba wyjęta z wody. On też prawie nikogo nie znał, ale sprawiał wrażenie, jakby wcale się tym nie przejmował. Uznałam, iż owa godna pozazdroszczenia pewność siebie wynika z jego profesji. Przypominając sobie zasłyszane od Félix'a wiadomości, dyskretnie udzielałam objaśnień na temat niektórych osób: ten w ciemnym garniturze to José Ignacio Toledanko, bogaty Żyd i dyrektor Banku Hassana; ta elegancka pani z papierosem w długiej cygarniczce i fryzurą ozdobioną piórami to księżna de Guise, francuska arystokratka mieszkająca w Larache; korpulentny mężczyzna, któremu kelner napełnia kieliszek, to słynny malarz Mariano Bertuchi. Wszystko przebiegało zgodnie z protokołem. Najpierw przybyli zaproszeni goście, potem hiszpańskie władze, cywilne i wojskowe, a na końcu marokański dwór w egzotycznych szatach. Do cienistych ogrodów dobiegał z ulicy narastający gwar, potem głośne okrzyki i wiwaty. Jedzie już, jedzie – słyszeliśmy coraz

wyraźniej. Jednak upłynęła dłuższa chwila, nim ujrzeliśmy bohatera dnia, odbierał bowiem hołdy tłumowi, który oklaskiwał go jak torreadora albo jedną z amerykańskich gwiazd filmowych, idolek mojego sąsiada.

I wreszcie zjawiał się ów oczekiwany, ów upragniony, ów szwagier naszego Caudilla, niech żyje Hiszpania. W czarnym trzyczęściowym garniturze, poważny, sztywny, bardzo szczupły i niesamowicie przystojny z tymi swoimi niemal zupełnie białymi włosami, starannie zaczesanymi do tyłu; z niewzruszoną twarzą, jak głosi hymn Falangi, z tymi oczami cwanego kota, trochę przedwcześnie postarzały jak na swoje trzydzieści siedem lat.

Byłam pewnie jedną z niewielu osób, które nie chciałyby zobaczyć go z bliska i uścisnąć mu dłoni, a mimo to przez cały czas patrzyłam w jego stronę. Jednakże to nie Serrano mnie interesował, ale ktoś, kto nie odstępował go na krok: Juan Luis Beigbeder. Kochanek mojej klientki i przyjaciółki był wysokim, dość szczupłym mężczyzną około pięćdziesiątki. Nosił galowy mundur przepasany szeroką szarfą i oficerską czapkę z daszkiem, w rękę trzymał cienką laskę przypominającą szpicrutę. Na cienkim, wydatnym nosie miał okulary w drucianych oprawkach, pod nim – ciemny wąsik; zza okrągłych szkieł patrzyły inteligentne oczy, których spojrzeniu nie umykało nic, co działo się wokół. Wydał mi się człowiekiem osobliwym, może odrobinę ekscentrycznym. Chociaż był w mundurze, brakowało mu żołnierskiego sznytu; zachowywał się w sposób nieco teatralny, ale bez pozerstwa: gesty trochę przesadne, a zarazem wyrafinowane, śmiech donośny, głos

dźwięczny, energiczny. Wszędzie go było pełno, witał się ze wszystkimi wylewnie, rozdając uściski, serdecznie klepiąc po plecach, długo ściskając dłonie; dla każdego miał uśmiech, z każdym zamienił kilka słów, do każdego podszedł, czy to Maur, chrześcijanin czy żyd, a potem znów od początku. Możliwe, iż prywatnie, w wolnych chwilach bywał intelektualistą i romantykiem, jakiego widziała w nim Rosalinda, lecz teraz ukazywał jedynie oblicze niezwykle zdolnego dyplomaty.

Zdawało się, że prowadzi Serrano Suñera na niewidzialnym sznurku; czasami zostawiał mu trochę swobody i pozwalał oddalić się kilka kroków, żeby mógł się z kimś sam przywitać i wysłuchać pochlebstw pod swoim adresem. Już po chwili jednak Beigbeder skracał smycz i trzymał dostojnego gościa przy nodze: coś mu tłumaczył, kogoś przedstawiał, zaborczym ruchem przygarniał go do siebie, szeptał kilka słów na ucho, wybuchał śmiechem, po czym znów luzował smycz.

Rozglądałam się za Rosalindą, ale nie mogłam jej dostrzec. Ani u boku ukochanego Juana Luisa, ani z dala od niego.

– Widział pan gdzieś panią Fox? – zapytałam Logana, kiedy skończył rozmawiać po angielsku z kimś, kogo przedstawił jako znajomego z Tangeru, ale nazwisko natychmiast wyleciało mi z głowy.

– Nie, nie widziałem – odparł krótko, bo uwagę skupioną miał na grupce otaczającej w tej chwili Serrano Suñera. – Co to za ludzie? – powiedział, wskazując na nich ruchem podbródka.

– Niemcy – odrzekłam.

Była tam wymagająca Frau Langenheim w uszytym przeze mnie kostiumie z fiołkowego szantungu; Frau Heinz, moja

pierwsza klientka, ubrana w biel i czerń, jak arlekin; mówiąca z argentyńskim akcentem pani Bernhardt, która tym razem nie wystąpiła w nowej sukni; i kilka innych, nieznanymi mi kobiet. Każda ze swoim małżonkiem. Wszyscy wpatrzeni w „Szwagrossimusa” jak w tęczę, on zaś rozpływał się w uśmiechach, witając swych germańskich przyjaciół. Beigbender tym razem zostawił gościowi wolną rękę; trzymał się na uboczu, czekając cierpliwie, aż skończą rozmawiać.

### 30

Zapadał wieczór, zapłonęły lampiony. Nastrój bez dysonansów, muzyka łagodna, Rosalindy ani śladu. Grupka Niemców nadal otaczała honorowego gościa zwartym szykiem; po pewnym czasie panie odeszły, a hiszpański dygnitarz został sam w gronie pięciu cudzoziemców. Sprawiali wrażenie bez reszty pochłoniętych rozmową, podawali coś sobie z ręki do ręki, pokazywali palcem, dyskutowali z ożywieniem. Zauważyłam, że mój towarzysz bez przerwy obserwował ich dyskretnie.

– Interesują pana tamci Niemcy?

– Jestem zafascynowany – odparł ironicznie – ale mam związane ręce. I nogi.

W odpowiedzi uniosłam brwi, nie rozumiejąc, co miał na myśli. Zamiast wyjaśnić sens swoich słów pozornie zmienił temat.

– Czy to będzie bezczelność, jeśli poproszę panią o przysługę?

Powiedział to lekko, niemal mimochodem, jakby proponował mi papierosa albo kieliszek koktajlu.

– To zależy – odrzekłam z udawaną swobodą.

Mimo iż atmosfera na przyjęciu była dość swobodna, nie czułam się tam dobrze i nie cieszył mnie wieczór w towarzystwie obcych ludzi. Poza tym martwiła mnie nieobecność Rosalindy; to dziwne, że do tej pory się nie pokazała. A tu jeszcze Logan znowu czegoś ode mnie chce. Mało mu, że zgodziłam się z nim tutaj przyjść?

– To proste – powiedział. – Jestem ciekaw, co tamci Niemcy pokazują Serrano Suñerowi. Co tak wszyscy oglądają?

– To ciekawość zawodowa czy prywatna?

– I to, i to. Ale nie mogę do nich podejść. Wie pani przecież, że ostatnio nie lubią Anglików.

– Chce pan, żebym podeszła i podejrzała, co robią? – zapytałam z niedowierzaniem.

– W miarę możliwości, dyskretnie.

O mało nie parsknęłam śmiechem.

– Chyba nie mówi pan poważnie?

– Jak najbardziej. Na tym polega moja praca: szukam informacji, korzystając z wszelkich dostępnych środków.

– A teraz postanowił pan wykorzystać mnie?

– Ależ źle mnie pani zrozumiała! Kto tu mówi o wykorzystywaniu? To tylko luźna propozycja. Oczywiście może pani odmówić. Ale proszę to najpierw przemyśleć.

Popatrzyłam na niego w milczeniu. Wydawał się szczery i godzien zaufania, chociaż pewnie tylko sprawiał takie wrażenie. Przypomniałam sobie przestrogi Félix'a. Wszystko jest kwestią wspólnoty interesów.

– Zgoda. Zrobię to.



Chciał coś powiedzieć, być może podziękować. Nie dałam mu dojść do słowa.

– Ale nie za darmo – dodałam.

– To znaczy? – zapytał zdziwiony. Nie spodziewał się, że zażądam zapłaty.

– Proszę znaleźć panią Fox.

– Jak?

– Niech pan się postara. Od czego są dziennikarze?

Nie czekałam na odpowiedź. Odwróciłam się na pięcie i odeszłam, rozmyślając nad tym, jak, u diabła, podejść do tych Niemców, nie budząc podejrzeń o bezczelność.

Rozwiązanie podsunęła mi puderniczka od Candelarii. Wyjęłam ją z torebki i otworzyłam. Udając, że zmierzam do toalety, zboczyłam nieco, zapatrzona we własne odbicie, i wpadłam, co za pech, prosto na niemieckiego konsula. Kolidacja owa spowodowała raptowne przerwanie rozmowy oraz upadek puderniczki na trawę.

– Ach, przepraszam, tak mi przykro, zamyśliłam się i... – powiedziałam głosem ociekającym fałszywą skruchą.

Czterech spośród obecnych tam mężczyzn schyliło się jednocześnie, żeby podnieść zgubę, ale piąty był szybszy. Ten najszczuplejszy ze wszystkich, ten o niemal zupełnie białych włosach zaczesanych do tyłu. Jedyne w całym towarzystwie Hiszpan. Ten o kocich oczach.

– Lusterko się stłukło – powiedział. – Proszę spojrzeć.

Spojrzałam. Ale nie na lusterko, tylko na papiery, które razem z puderniczką trzymał w swoich smukłych dłoniach.

– Rzeczywiście, szkoda – mruknąłam, muskając palcem spękaną powierzchnię. Mój starannie polakierowany paznokieć odbił się w niej sto razy.

Ramię przy ramieniu, stykając się głowami, wpatrywaliśmy się oboje w maleńkie pudierko. Zaledwie kilka centymetrów dzieliło mnie od jego jasnej twarzy o delikatnych rysach; dostrzegłam posiwiałe skronie, ciemne brwi, cienki wąsik.

– Ostrożnie, bo się pani skaleczy – powiedział cicho.

Zwlekałam jeszcze parę chwil: sprawdziłam, czy puder się nie rozsypał i czy puszek jest na swoim miejscu. A przy okazji zerknęłam ponownie na to, co Serrano trzymał w ręku i co zaledwie parę minut temu wszyscy oni oglądali z takim zainteresowaniem. Fotografie. Spory plik fotografii. Udało mi się zobaczyć tylko tę z wierzchu: przedstawiała nieznanym mi ludzi, grupkę postaci o bezimiennych twarzach.

– Tak, lepiej ją zamknę – powiedziałam wreszcie.

– W takim razie proszę.

Wieczko zatrzasnęło się z głośnym kliknięciem.

– Szkoda, taka piękna puderniczka. Ale nie tak piękna jak jej właścicielka – dodał.

Przyjęłam ów komplement z kokieteryjnym błyskiem w oku i najbardziej olśniewającym z moich uśmiechów.

– Drobiazg. Doprawdy, nic się nie stało.

– Jestem zaszczycony – rzekł, podając mi rękę. Była tak lekka, że prawie nie poczułam uścisku.

– Ja również, panie Serrano – odparłam, trzepocząc rzęsami. – Jeszcze raz tysiącrotnie przepraszam. Do widzenia panom –

dodałam, omiatając Niemców powłóczyłym spojrzeniem. Każdy miał swastykę wpiętą w klapę marynarki.

– Do widzenia – powtórzyli chórem.

Ruszyłam przed siebie, z gracją kołysząc biodrami. Kiedy wyczułam, że już mnie nie mogą zobaczyć, chwyciłam kieliszek wina z tacy przechodzącego kelnera, wychyliłam go duszkiem i rzuciłam za siebie, w krzaki róż.

Przeklinałam Marcusa Logana za to, że wpakował mnie w tę głupią awanturę, i przeklinałam samą siebie, że się na coś takiego zgodziłam. Znalazłam się znacznie bliżej Serrano Suñera niż ktokolwiek na tym przyjęciu: jego twarz była tuż przy mojej, nasze palce się zetknęły, jego cichy głos brzmiał w moim uchu jak intymny szept. Wyszłam przed nim na słodką idiotkę, uszczęśliwioną, że choć przez chwilę zwróciła na siebie uwagę takiej osobistości, podczas gdy w istocie wcale nie miałam ochoty go poznać. I po co? Żeby zobaczyć, że to, co z takim zainteresowaniem oglądali, było plikiem najzwyklejszych fotografii, na których nie zauważyłam ani jednej znanej twarzy.

Wlokłam za sobą tę irytację przez cały ogród, aż pod główne wejście do siedziby Wysokiego Komisarjatu, dokąd zabrnęłam w poszukiwaniu łazienki. Chciałam skorzystać z toalety, umyć ręce, ochłoniąć choćby przez parę minut i uspokoić się trochę przed rozmową z Loganem. Posłuszna otrzymanym wskazówkom, przemierzyłam hol ozdobiony metopami i portretami wojskowych w mundurach, skręciłam w prawo i ruszyłam przed siebie szerokim korytarzem. Trzecie drzwi na lewo, mówili. Zanim tam doszłam, usłyszałam ostrzegawcze

okrzyki; po kilku sekundach przekonałam się na własne oczy, co zaszło. Podłoga była zalana wodą płynącą wartkim strumieniem, prawdopodobnie z pękniętego rezerwuaru. Dwie kobiety narzekały głośno na zniszczone buty, a po posadzce czołgali się na klęczkach trzej żołnierze ze szmatami i ręcznikami, usiłując zatrzymać potop, który zagrażał już całemu korytarzowi. Stałam, niepewna, co robić dalej, przybyły posiłki z naręczami świeżych szmat, zdawało mi się, że dostrzegłam nawet prześcieradła. Rozgniewane damy oddaliły się, strojąc fochy, a jakiś adiutant zaofiarował się zaprowadzić mnie do innej łazienki.

Podążyłam za nim, z powrotem w stronę wyjścia. Przeszliśmy znowu przez główny hol, po czym zagłębiliśmy się w inny korytarz, pusty i słabo oświetlony. Skręciliśmy kilka razy, najpierw w lewo, potem w prawo i jeszcze raz w lewo. Chyba.

– Życzy sobie pani, żebym poczekał? – zapytał żołnierz, kiedy stanęliśmy u celu.

– Nie, dziękuję. Sama znajdę drogę.

Nie byłam tego pewna, ale na myśl o pilnującym mnie strażniku poczułam zakłopotanie. Zwolniwszy eskortę, udałam się za potrzebą, poprawiłam strój, przygładziłam włosy i już miałam wyjść, gdy nagle poczułam, że opuszcza mnie odwaga, że nie mam sił, by znów stawić czoło rzeczywistości. Postanowiłam zatem podarować sobie kilka minut, kilka chwil samotności. Otworzyłam okno, przez które wtargnęła pachnąca jaśminem afrykańska noc. Usiadłam na parapecie i zapatrzyłam się na cienie palm; do moich uszu dotarł z ogrodu daleki szmer ludzkich głosów. Cieszyłam się chwilą, smakując

ów spokój, w którym roztopiały się wszystkie moje smutki. Szczęście nie trwało jednak długo, bo gdzieś w odległym zakamarku mózgu odezwało się natarczywe wezwanie: stuk, stuk, pora wracać. Westchnęłam, wstałam i zamknęłam okno. Trzeba powrócić do świata. Do ludzi, z którymi tak niewiele mnie łączyło, do cudzoziemca, który przywłókł mnie na ten absurdalny bankiet, a następnie wciągnął w swoje tajemnicze sprawy. Po raz ostatni zerknęłam w lustro, zgasłam światło i wyszłam.

Posuwałam się mrocznym korytarzem, skręciłam raz, potem drugi, pewna, że znam drogę. I wtedy nagle wpadłam na podwójne drzwi, których w ogóle nie pamiętałam. Nacisnęłam klamkę, zajrzałam i zobaczyłam ciemną, pustą salę. Pomyliłam się, oczywiście, poszłam nie w tę stronę. Postanowiłam skorygować kurs. Nowy korytarz, teraz w lewo, tak mi się przynajmniej zdawało. Ale znów zabłądziłam, tym razem do części mniej reprezentacyjnej, bez politurowanych fryzów i olejnych generałów na ścianach; możliwe, że trafiłam do pomieszczeń dla służby. Spokojnie, powiedziałam sobie bez większego przekonania. Nikłe wspomnienie nocy pistoletów podsunęło mi przed oczy obraz zakutanej w haik postaci błąkającej się po zaułkach medyny. Otrząsnęłam się z owych myśli, z niejakim trudem wróciłam do terażniejszości i raz jeszcze zmieniłam kierunek. Po chwili znalazłam się w punkcie wyjścia, pod drzwiami łazienki. Już wiedziałam, gdzie jestem. Odtworzyłam w pamięci drogę, którą prowadził mnie żołnierz. I po kłopotcie, pomyślałam, zmierzając do wyjścia. Istotnie, miejsce wydawało się znajome. Oszklona gablota z kolekcją

starej broni, fotografie w ramkach, sztandary i flagi. Wszystko to widziałam parę minut temu, wszystko pamiętałam. Nawet głosy dobiegające z korytarza, w który właśnie miałam skręcić: te same, które słyszałam w ogrodzie podczas idiotycznej sceny z puderniczką.

– Chodźmy gdzieś, gdzie można spokojnie porozmawiać, do saloniku, w którym zwykle nas przyjmuje. Tam będzie najwygodniej, przyjacielu Serrano – powiedział ktoś z silnym niemieckim akcentem.

– Świetnie – odparł krótko jego rozmówca.

Zastygłam, wstrzymując oddech. Serrano Suñer i co najmniej jeden z Niemców zmierzali w moją stronę. Za chwilę wyjdą zza rogu i staniami twarzą w twarz. Na samą myśl o tym nogi się pode mną ugięły. W rzeczywistości nie miałam nic do ukrycia, nie powinnam się zatem obawiać. Nie czułam się jednak na siłach, by odegrać kolejną scenkę i udając słodką idiotkę, tłumaczyć się z nocnych wędrówek po korytarzach Wysokiego Komisariatu, opowieściami o pękniętym rezerwuarze i wodzie po kostki. W niespełna sekundę rozważyłam możliwości. Zawrócić bym nie zdążyła, a za wszelką cenę chciałam uniknąć spotkania twarzą w twarz. Nie mogłam się cofnąć, nie mogłam iść naprzód, a skoro tak, to jedynym rozwiązaniem była ucieczka w bok, za zamknięte drzwi. Nacisnęłam klamkę i wśliznęłam się do środka.

W pokoju było ciemno, ale przez okna sączył się nikły blask nocnej poświaty. Oparłam się plecami o framugę, czekając, aż Serrano sobie pójdzie i będę mogła opuścić kryjówkę. Gwarny, oświetlony lampionami ogród, w którym czekało na mnie silne

ramię Logana, zdał mi się nagle miejscem podobnym do raju, niestety chwilowo przede mną zamkniętego. Odetchnęłam głęboko, żywiąc płonną nadzieję, że wraz z powietrzem uleci ze mnie lęk. Wyteżyłam wzrok. W ciemności dostrzegłam krzesła, fotele i oszkloną bibliotekę. Było tam więcej mebli, ale nie mogłam im się dobrze przyjrzeć, ponieważ moją uwagę przyciągnęło coś innego. Tuż za drzwiami.

– To tutaj – oznajmił germański głos i jednocześnie szcęknęła klamka.

Odskoczyłam jak oparzona i w kilku susach znalazłam się na drugim końcu pokoju, dokładnie w chwili, kiedy drzwi zaczęły się uchylać.

– Gdzie jest kontakt? – usłyszałam, kucając za oparciem sofy. Padłam plackiem na podłogę i w tym samym momencie zapaliło się światło.

– Jesteśmy na miejscu. Zechce pan usiąść, przyjacielu?

Leżałam na brzuchu, lewym policzkiem przywarłam do chłodnej posadzki, wstrzymałam oddech, a oczy zrobiły mi ze się strachu okrągłe jak spodki. Nie miałam odwagi zaczerpnąć powietrza ani przełknąć śliny, ani nawet mrugnąć. Zastygłam jak marmurowy posąg, jak rozstrzelany skazaniec, którego zapomniano dobić.

Niemiec zachowywał się niczym gospodarz, troskliwie dbający o swego jedyne gościa. Domyśliłam się, że rozmówców jest tylko dwóch, bo słyszałam dwa głosy, a przez szparę pod sofą dojrzałam dwie pary nóg.

– Wysoki Komisarz wie, że tu jesteśmy? – zapytał Serrano.

– Jest zajęty gośćmi. Jeśli pan sobie życzy, możemy z nim pogadać później – odparł wymijająco Niemiec.

Usiedli – ugięła się tapicerka, jęknęły sprężyny. Hiszpan zajął miejsce w fotelu; widziałam zaprasowane w kant nogawki i czarne skarpetki na cienkich kostkach, sterczących znad wyglansowanych pantofli. Niemiec usadowił się naprzeciw niego, po prawej stronie sofy, za którą byłam schowana. Łydki miał grube, a buty mniej eleganckie. Gdybym wyciągnęła rękę, prawie mogłabym go połaskotać.

Rozmawiali dość długo; nie mogłam dokładnie określić czasu, ale szyja zdążyła mnie wściekle rozboleć, czułam, że muszę się podrapać, miałam ochotę wrzasnąć, rozplakać się i uciec, od czego powstrzymałam się z największym trudem. Usłyszałam trzask zapalniczek i w pokoju rozszedł się zapach dymu z papierosów. Serrano wiercił się i bez przerwy zakładał nogę na nogę; Niemiec, przeciwnie, nawet się nie poruszył. Spróbowałam przewyciężyć strach i znaleźć jakąś wygodniejszą pozycję, błagając niebiosa, żeby zdrętwiałe ciało nie odmówiło mi nagle posłuszeństwa.

Moje pole widzenia było niewielkie, a możliwość ruchu żadna. Mogłam tylko słuchać, co mówią. Skoncentrowałam się więc na rozmowie. Ponieważ scena z puderniczką nie dała spodziewanych efektów, pomyślałam, że może dowiem się czegoś, co zainteresuje dziennikarza. A przy okazji zajmę czymś własną uwagę, co pozwoli mi zachować trzeźwość umysłu.

Słyszałam, jak mówią o instalacjach i transmisjach, o pancernikach i lotniskowcach, o złocie, markach niemieckich, pesetach, kontaktach bankowych. O firmach i terminach,



dostawach, inwigilacji; o przedsiębiorstwach i portach, których nazwy były mi zupełnie obce, o równowadze władzy i lojalności. Dowiedziałam się, że tym Niemcem jest Johannes Bernhardt. Serrano powoływał się na Franco, ilekroć chciał wyrzucić na swego rozmówcę silniejszy nacisk albo wymigać się od jakichś zobowiązań. A chociaż brakowało mi danych, żeby w pełni zrozumieć tło całej sytuacji, wyczuwałam, iż obaj mężczyźni mają interes w tym, żeby dojść do porozumienia w przedmiocie dyskusji.

I doszli. Wreszcie dobili targu. Wstali, po czym przypieczętowali umowę uściskiem dłoni, którego się domyśliłam, choć nie mogłam zobaczyć. Zobaczyłam za to nogi zmierzające do drzwi. Niemiec przepuścił gościa przodem, ponownie przyjmując rolę gospodarza. Przed wyjściem Bernhardt zapytał:

– Mam powiedzieć Beigbederowi o naszej rozmowie czy woli pan to zrobić sam?

Serrano nie odpowiedział od razu. Usłyszałam, że zapala papierosa.

– Uważa pan, że to niezbędne? – powiedział, wypuszczając kłęb dymu.

– Instalacje zostaną rozmieszczone na terenie Protektoratu. Sądzę, że powinien o tym wiedzieć.

– Więc proszę zostawić to mnie. Caudillo powiadomi go osobiście. A co do warunków umowy, myślę, że lepiej ich nie zdradzać. Niech to zostanie między nami – dodał w chwili, gdy zgasło światło.

Odczekałam kilka minut, dopóki nie uznałam, że powinni być już na zewnątrz budynku. Wówczas ostrożnie podniosłam się z podłogi. W pokoju został po nich tylko ciężki zapach tytoniu i zapewne popielniczka pełna niedopałków. Nadal byłam czujna. Poprawiłam spódnice i żakiet, a potem na palcach podeszłam do drzwi. Powoli wyciągnęłam rękę do klamki, jakbym się bała, że mnie ugryzie. Nie zdążyłam jej dotknąć; ktoś nacisnął ją z drugiej strony, a ja odruchowo odskoczyłam do tyłu i z całej siły przywarłam plecami do ściany, jakbym chciała się w nią wtopić. Drzwi otwarły się z impetem, niemal uderzając mnie w twarz, zabłysło światło. Nie widziałam, kto wszedł, ale usłyszałam wściekły głos:

– Gdzie ten skurwiol posiał swoją cholerną papierośnicę?

Domyśliłam się, że to jakiś żołnierz, któremu kazano przynieść zostawiony przez Serrana lub Bernhardta przedmiot. Najwyraźniej nie był zachwycony tą odpowiedzialną misją, choć nie wiedziałam, do którego z nich kierował owe epitety. Ciemność i cisza powróciły po kilku sekundach, lecz nie starczyło mi już odwagi, żeby wyjść na korytarz. Po raz drugi w życiu musiałam się salwować ucieczką przez okno.

Wróciłam do ogrodu, gdzie ku memu zdziwieniu ujrzałam Marcusa Logana pogrążonego w ożywionej dyskusji z Beigbederem. Chciałam się wycofać, ale było już za późno. Zobaczył mnie i zaczął machać, żebym do nich podeszła, co uczyniłam z ociąganiem, nie chcąc, by zauważyli moje wzburzenie. Po niedawnych przeżyciach intymna pogawędka z Wysokim Komisarzem była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam do szczęścia.

– A więc to pani jest ową piękną modystką i przyjaciółką mojej Rosalindy – powiedział z uśmiechem.

W palcach trzymał cygaro. Poufale objął mnie ramieniem.

– Bardzo się cieszę, że wreszcie panią poznałem, moja droga. Szkoda, że nasza Rosalinda jest dziś niedysponowana i nie może być tu razem z nami.

– Coś jej dolega?

Ręką z cygarem dotknął żołądka.

– Kłopoty z trawieniem. Nerwy. W ostatnich dniach byliśmy tak zajęci naszym gościem, że biedaczka nie miała chwili spokoju.

Kiwnął na mnie i Marcusa, żebyśmy przysunęli się bliżej, i znizywszy głos, powiedział konspiracyjnym szeptem:

– Bogu dzięki, szwagier jutro wyjeżdża. Obawiam się, że nie wytrzymałbym z nim dłużej.

Zakończył te zwierzenia głośnym śmiechem. Zawtórowaliśmy mu oboje, udając ogromne rozbawienie.

– No cóż, moi drodzy, muszę was opuścić – oznajmił, patrząc na zegarek. – Miło mi tu z wami, ale obowiązek wzywa: teraz będą hymny, przemówienia i cała ta nudna pompa. Proszę odwiedzić kiedyś Rosalindę, Siro, bardzo się ucieszy. I pan też niech do niej zajrzy, Logan. Dobrze jej zrobi towarzystwo rodaka. Może w jakiejś wolniejszej chwili zjemy we czwórkę kolację. *God save the King!* – dodał na pożegnanie, podnosząc rękę teatralnym gestem. A potem odwrócił się i poszedł.

Przez chwilę spoglądaliśmy za nim w milczeniu, niezdolni znaleźć epitetu pasującego do tego szczególnego człowieka, który właśnie zniknął nam z oczu w tłumie gości.

– Szukam pani od godziny. Gdzie się pani podziewała? – zapytał w końcu dziennikarz, wpatrzony w plecy Wysokiego Komisarza.

– Ułatwiałam panu życie. Przecież sam mnie pan o to prosił?

– To znaczy, że udało się pani zobaczyć, co z takim zainteresowaniem oglądali?

– Nic szczególnego. Zdjęcia rodzinne.

– A to pech.

Mówiliśmy do siebie, lecz wciąż nie mogliśmy oderwać wzroku od oddalającej się postaci Beigbedera.

– Ale dowiedziałam się innych rzeczy, które być może pana zainteresują – powiedziałam.

– Na przykład?

– Umowy. Wymiana. Interesy.

– A dokładniej?

– Anteny – wyjaśniłam. – Olbrzymie anteny. Trzy. Wysokości około stu metrów, system Consol marki Elektro-Sonner. Niemcy chcą je zainstalować, żeby przejąć kontrolę nad ruchem samolotów i statków w Cieśninie, stwarzając przeciwwagę dla angielskiej bazy na Gibraltarze. Negocjują rozmieszczenie radiolatarni w pobliżu ruin Tamudy, parę kilometrów stąd. W zamian za formalną zgodę Franco wojsko narodowe otrzyma od rządu niemieckiego hojny kredyt. Wszystkim zajmie się przedsiębiorstwo HISMA, którego głównym udziałowcem jest Johannes Bernhardt. Serrano przed chwilą doszedł z nim do porozumienia, za plecami Beigbedera, którego chcą odsunąć od tej sprawy.

– *My goodness* – jęknął w swoim ojczystym języku. – Jak się pani tego dowiedziała?

Nadal nie patrzyliśmy na siebie, śledząc z pozorną uwagą poczynania Wysokiego Komisarza, który kłaniając się na prawo i lewo, zmierzał w stronę przystrojonej flagami trybuny, gdzie ustawiono mikrofon.

– Znalazłam się przypadkiem w tym samym pokoju.

– Dobili targu w pani obecności? – spytał z niedowierzaniem.

– Niezupełnie... Nie widzieli mnie. To długa historia, kiedy indziej panu opowiem.

– Niech będzie. Proszę mi jeszcze powiedzieć... Padły jakieś daty?

Z mikrofonu wydobył się przeraźliwy pisk. Raz dwa, raz dwa trzy – odezwał się jakiś głos.

– Wszystkie części już czekają w Hamburgu. Gdy Caudillo podpisze, załadują je na statek, wyślą do Ceuty i zaczną montaż.

Widzieliśmy z daleka, jak pułkownik wskakuje na podium, górnołotnym gestem zapraszając do siebie Serrano Suñera. Uśmiechał się i kłaniał na wszystkie strony.

– Uważa pan, że Beigbeder powinien poznać prawdę? Mam o tym powiedzieć Rosalindzie?

Milczał, spoglądając w zamyśleniu na stojących obok siebie dygnitarzy, frenetycznie oklaskiwanych przez zgromadzony tłum.

– Sądzę, że lepiej będzie, jeśli się dowie. Ale proszę na razie nic nie mówić pani Fox. To by ją mogło postawić w niezręcznej sytuacji. Sam się tym zajmę, znajdę jakiś sposób, żeby mu

przekazać te informacje. Nie mieszajmy do tego pani przyjaciółki. Coś wymyślę.

Zamilkł znowu, jakby wciąż jeszcze przetrawiał zasłyszane przed chwilą rewelacje.

– Wie pani co, panno Siro? – zapytał nagle, patrząc mi wreszcie w oczy. – Nie wiem, jak pani to zrobiła, ale te informacje są bezcenne. Prawdę mówiąc, ten bankiet przerósł moje oczekiwania. Chciałbym się pani jakoś odwdziaczyć...

– To akurat nie będzie trudne – przerwałam.

– Czyli?

W tym momencie orkiestra kalifa zaintonowała z werwą *Twarzą ku słońcu*. Dziesiątki ramion wyskoczyły w górę, jakby wprawione w ruch niewidzialną sprężyną. Wspięłam się na palce i przytknęłam wargi do jego ucha.

– Niech mnie pan stąd zabierze.

Bez słowa podał mi rękę. Uczepiłam się jej z całej siły i precyzyjnie przeszliśmy przez tłum w głąb ogrodu. Kiedy uznaliśmy, że nikt już nas nie widzi, ruszyliśmy biegiem przez ciemność.

## 31

Świat trochę zwolnił następnego ranka, ziemia zaczęła się obracać innym rytmem. Po raz pierwszy od wielu tygodni nie wstałam o świcie, nie wypiłam szybkiej kawy ani nie zasiadłam od rana w pracowni, przytłoczona pośpiechem i obowiązkami. Daleka od powrotu do owej gorączkowej aktywności, zaczęłam dzień od dokończenia długiej kąpieli, tak brutalnie przzerwanej

poprzedniego popołudnia. A potem poszłam na spacer i odwiedziłam Rosalindę.

Ze słów Beigbedera wydedukowałam, że jej dolegliwości były lekkie i przejściowe, niefortunny zbieg okoliczności, nic więcej. Spodziewałam się zatem zastać moją przyjaciółkę w dobrym nastroju, chętną poznać wszystkie szczegóły przyjęcia, które ją ominęło, spragnioną plotek o strojach obecnych tam gości, o tym, kto wyglądał najlepiej, a kto najgorzej.

Pokojówka zaprowadziła mnie do jej pokoju. Rosalinda leżała w łóżku, wśród niezliczonych poduch i poduszek. Okna były zatrzaśnięte, a wokół unosiła się ciężka woń tytoniu, medykamentów i duchoty. Dom był duży i piękny: mauretańska architektura, angielskie meble i egzotyczny chaos, w jakim na dywanach i pikowanych kanapach zgodnie zalegały płyty gramofonowe bez okładek, koperty z napisem „Poczta Lotnicza”, porzucone w zapomnieniu jedwabne szale i porcelanowe filiżanki ze Staffordshire z resztkami zimnej, niedopitej herbaty.

Tego ranka cały *glamour* Rosalindy przepadł bez śladu.

– Jak się masz?

Starłam się, żeby nie wyczuła w moim głosie zmartwienia, chociaż miałam wszelkie powody do niepokoju: była blada, oczy miała podkrążone, włosy nieumyte, leżała w niechlujnej pościeli, bezwładna jak kłoda, na wpół przykryta kołdrą, która spadała z łóżka, walając się po podłodze.

– Okropnie – odrzekła przygnębiona. – Chodź, usiądź tu przy mnie. Nie bój się, to nie jest zaraźliwe.

– Juan Luis powiedział mi wczoraj, że masz kłopoty z żołądkiem – powiedziałam, sadwiąc się obok. Najpierw jednak musiałam odsunąć stertę pogniecionych apaszek, popielniczkę pełną niedopalonych papierosów, napoczętą paczkę herbatników i sporą garść okruchów.

– *That's right*, ale nie to jest najgorsze. Juan Luis nie wie wszystkiego. Powiem mu dziś wieczorem, nie chciałam mu zawracać głowy w ostatnim dniu wizyty Serrana.

– To co jest najgorsze?

– To – powiedziała z furją, ściskając w zaciśniętej pięści świstek wyglądający jak blankiet depeszy. – Katastrofa. To przez to się tak rozchorowałam.

Spojrzałam na nią zdumiona, więc przekazała mi treść telegramu.

– Dostałam to wczoraj. Za sześć tygodni przyjeżdża Peter.

– Kto to jest Peter? – Nie przypominałam sobie, żeby wśród jej przyjaciół był ktoś o tym imieniu.

Popatrzyła na mnie, jakbym powiedziała coś wyjątkowo głupiego.

– Na Boga, Siro, Peter to mój mąż.

Peter Fox miał zamiar przyplłynąć do Tangeru na statku P&O i spędzić dłuższy czas z żoną i synem po pięciu latach prawie całkowitego braku kontaktów. Nadal mieszkał w Kalkucie, ale – jak mówiła Rosalinda – postanowił zrobić sobie wycieczkę na Zachód. Chciał zapewne rozejrzeć się w możliwościach, ponieważ nosił się z zamiarem, by na stałe opuścić imperialne Indie, coraz silniej wstrząsane buntami dążących do niepodległości Hindusów. Dlatego zdecydował się powrócić na



łono rodziny i być może skorzystać z koneksji żony, która już ułożyła sobie życie bez niego.

– I zatrzyma się tutaj, u ciebie? – zapytałam z niedowierzaniem.

Zapaliła papierosa i zaciągając się dymem, przytaknęła z emfazą.

– *Of course he will.* To mój mąż, ma do tego pełne prawo.

– Ale ja sądziłam, że jesteście w separacji...

– Faktycznie tak. Z mocy urzędu nie.

– I nigdy nie myślałaś o rozwodzie?

Znów zaciągnęła się głęboko.

– Milion razy. Ale on się nie zgadza.

Opowiedziała mi wówczas o losach owego nieudanego związku, dzięki czemu odkryłam w niej inną Rosalindę, bardziej wrażliwą, bardziej kruchą. Mniej irrealną, bliższą przyziemnym kłopotom mieszkańców świata ludzi.

– Gdy wychodziłam za mąż, miałam lat szesnaście, on trzydzieści cztery. Przez pięć lat mieszkałam na pensji w Anglii. Wyjechałam z Indii, kiedy byłam jeszcze dzieckiem, a wróciłam jako młoda dziewczyna w wieku stosownym do zamęścia, zdecydowana bawić się do upadłego na każdym balu, w jakie obfitowało życie towarzyskie w kolonialnej Kalkucie. Na pierwszym z nich przedstawiono mi Petera, był przyjacielem mojego ojca. Wydawał mi się najprzystojniejszym ze wszystkich mężczyzn, jakich kiedykolwiek widziałam; *obviously*, nie znałam ich wielu, żeby nie powiedzieć: żadnego. Był wesoły, zabawny, miał fantazję i zawsze potrafił rozśmieszyć towarzystwo, a zarazem dojrzały, doświadczony życiowo, no i

pochodził z arystokratycznego rodu osiadłego w Indiach od trzech pokoleń. Zakochałam się w nim na zabój albo przynajmniej tak mi się wydawało. W pięć miesięcy później byliśmy już po ślubie. Zamieszkaliśmy we wspaniałym domu, ze stajniami, kortami tenisowymi i czternastoma pokojami dla służby; powiem tylko, że czworo hinduskich dzieci w liberiach codziennie czekało w pogotowiu, żeby zbierać piłki, gdyby przyszła nam ochota rozegrać mecz. Bez przerwy coś się działo: uwielbiałam tańce i konną jazdę, a karabinem posługiwałam się równie sprawnie jak kijem golfowym. Żyliśmy jak na wirującej karuzeli ciągłych zabaw i bankietów. Wkrótce przyszedł na świat Johnny. Stworzyliśmy sobie własną idyllę we wspaniałym, lubującym się w przepychu świecie, lecz wkrótce zdałam sobie sprawę z tego, jak kruche były jej fundamenty.

Przerwała swój monolog, zapatrzona w pustkę, jakby nad czymś dumając. Potem zgasła papierosa i podjęła opowieść.

– Kilka miesięcy po porodzie zaczęłam odczuwać lekkie niedomaganie żołądka. Zbadali mnie i z początku powiedzieli, że nie ma żadnego powodu do zmartwienia, gdyż to normalne przypadłości, na jakie narażeni są w krajach tropikalnych ludzie nieprzywykli do tamtejszego klimatu. Ja jednak czułam się coraz gorzej. Bóle się nasilały, pojawiła się gorączka. Cztery miesiące później, wobec braku jakiegokolwiek poprawy, raz jeszcze gruntownie mnie przebadano i w końcu zidentyfikowano chorobę: gruźlica bydłęca w jednej ze swoich najbardziej agresywnych postaci. Musiałam się zarazić, pijąc mleko od zakażonej krowy, którą kupiliśmy, kiedy urodził się Johnny, żebym mogła się wzmocnić świeżym mlekiem. Zwierzę

zdechło na jakiś czas przed pojawieniem się moich dolegliwości i wówczas weterynarz nie dopatrywał się w tym niczego niezwykłego, podobnie jak później lekarze, którzy zlekceważyli moje objawy. Nie było w tym zresztą nic dziwnego, ponieważ gruźlica bydłęca jest wyjątkowo trudna do zdiagnozowania. Jednym z objawów są takie małe guzki w przewodzie pokarmowym, co powoduje jego niedrożność.

– I?

– I choroba przechodzi w postać chroniczną.

– I?

– I za każdym razem, kiedy rano otwierasz oczy, dziękujesz Bogu, że pozwolił ci przeżyć jeszcze jeden dzień.

Następne pytanie z trudem przeszło mi przez gardło, chociaż starałam się, żeby zabrzmiało naturalnie.

– Jak na to zareagował twój mąż?

– Och, *wonderfully!* – parsknęła sarkastycznie. – Lekarze doradzali mi powrót do Anglii. Sądziли, choć bez większych nadziei, że w europejskim szpitalu mam szansę się wyleczyć. A Peter poparł ich z zapalem.

– Prawdopodobnie chciał twojego dobra...

Jej gorzki śmiech nie pozwolił mi dokończyć tego zdania.

– Peter, *darling*, nigdy nie troszczy się o niczyje dobro poza swoim własnym. Istotnie, wysłanie mnie jak najdalej było najlepszym rozwiązaniem, ale bardziej dla niego niż dla mnie. Przestałam go interesować, Siro. Już go nie bawiłam, już nie byłam cennym trofeum, którym można się pochwalić w klubie, na bankiecie lub na polowaniu. Młoda żona, piękna i wesoła, stała się niewygodnym ciężarem, którego należało się pozbyć

czym prędezej. I tak, gdy tylko mogłam już utrzymać się na nogach, kupił dla mnie i Johnny'ego bilety na statek. Nawet się nie pofatygował, żeby nas odprowadzić. Pod pretekstem, że chce zapewnić swojej żonie najlepszą opiekę lekarską, załadował na statek ciężko chorą, niespełna dwudziestoletnią kobietę z dzieckiem, które dopiero uczyło się chodzić. Nadał nas jak bagaż. *Bye-bye*, żegnajcie, kochani, na zawsze.

Otarła wierzchem dłoni dwie grube łzy, które pociekły jej po policzkach.

– Pozbył się nas, Siro. Porzucił mnie. Wysłał do Anglii tylko i wyłącznie dlatego, żeby się uwolnić od mojej osoby.

Pomiędzy nami zapadła smutna cisza, dopóki Rosalinda nie wzięła się w garść.

– Przez całą podróż Johnny gorączkował, miewał napady drgawek. Okazało się, że to jakaś złośliwa malaria. Dwa miesiące przeleżał potem w szpitalu. Mnie tymczasem przygarnęła rodzina. Moi rodzice, którzy także długo mieszkali w Indiach, wrócili do kraju rok wcześniej. Pierwsze miesiące minęły stosunkowo spokojnie, zmiana klimatu najwidoczniej dobrze mi zrobiła. Ale potem mój stan się pogorszył. Badania wykazały, że jelito bardzo się skurczyło i traci drożność. Lekarze stwierdzili, że operacja nic nie da, i zalecili dużo spokoju w nadziei, że choroba przestanie się rozprzestrzeniać i nie zaatakuje reszty organizmu. Wiesz, na czym polegał ów wypoczynek?

Ani nie wiedziałam, ani nawet nie umiałam sobie tego wyobrazić.

– Sześć miesięcy byłam przywiązana do deski, unieruchomiona za pomocą rzemieni krępujących mi ramiona i uda. Sześć długich miesięcy, w dzień i w nocy.

– I wyzdrowiałaś?

– *Just a bit*. Tylko trochę. Wtedy lekarze postanowili wysłać mnie do Leysin w Szwajcarii, do sanatorium dla gruźlików. Jak Hansa Castorpa z *Czarodziejskiej góry* Tomasza Manna.

Domyśliłam się, że chodzi o jakąś książkę, więc chcąc uniknąć pytania, czy ją czytałam, uprzedziłam cios.

– A co z Peterem?

– Zapłacił rachunek za szpital i regularnie przysyłał nam co miesiąc trzydzieści funtów na utrzymanie. To wszystko. Absolutnie wszystko. Ani listu, ani depeszy, ani wiadomości przez wspólnych znajomych, ani oczywiście najmniejszego zamiaru, by nas odwiedzić. Nic, Siro, nic. Nigdy więcej się do mnie nie odezwał. Aż do wczoraj.

– A jak sobie radziłaś z Johnnym? To musiało być dla niego ciężkie przeżycie.

– Był ze mną w sanatorium. Moi rodzice chcieli go zatrzymać, ale się nie zgodziłam. Zatrudniłam niemiecką niańkę, żeby się z nim bawiła i zabierała go na spacer, ale jadł i spał w moim pokoju. To było smutne doświadczenie dla tak małego dziecka, ale za nic na świecie nie mogłam pozwolić, by nas rozdzielono. W pewien sposób stracił już ojca; byłoby okrucieństwem pozbawić go również matki.

– Kuracja zadziałała?

Jej twarz rozjaśnił przelotny uśmiech.

– Zgodnie z zaleceniami miałam tam spędzić osiem lat, ale wytrzymałam tylko osiem miesięcy. Potem wypisałam się na własne życzenie. Mówili, że jestem nierozsądna, że to mnie zabije. Musiałam podpisać milion papierków zwalniających sanatorium od wszelkiej odpowiedzialności. Moja matka zaproponowała, że spotkamy się w Paryżu i razem wrócimy do domu. W czasie tamtej powrotnej podróży przyrzekłam sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, nigdy już nie mówić o swojej chorobie. Dotrzymałam słowa. Zwierzyłam się tylko Juanowi Luisowi i teraz tobie. Postanowiłam, że gruźlica może zniszczyć moje ciało, ale nie ducha, więc nie będę dopuszczać do siebie myśli, że jestem chora.

– A po drugie?

– Zacząć nowe życie, jakbym była w pełni zdrowa. Życie z dala od Anglii, rodziny, przyjaciół i znajomych, którzy kojarzyli mnie z Peterem i nieuleczalną chorobą. Życie, w którym przede wszystkim byłoby miejsce dla mojego syna i dla mnie.

– I wtedy zdecydowałaś się wyjechać do Portugalii...

– Lekarze radzili nam zamieszkać w łagodnym klimacie: na południu Francji, w Hiszpanii, Portugalii, w północnym Maroku, wybrać coś pomiędzy tropikalnym skwarem Indii i mglistą angielską aurą. Przepisali mi dietę, kazali jeść dużo ryb i mało mięsa, jak najwięcej przebywać na słońcu, nie przemęczać się i unikać silnych wstrząsów. Wówczas ktoś mi powiedział o brytyjskiej kolonii w Estriol, a ja stwierdziłam, że na początek to równie dobre miejsce jak każde inne. I pojechałam.

Z układanki, którą stworzyłam sobie w myślach, żeby zrozumieć Rosalindę, stopniowo wyłaniał się spójny obraz. Poszczególne elementy zaczynały do siebie pasować, już nie były oderwanymi fragmentami cudzego losu, pozbawionymi wzajemnych związków. Z wolna wszystko nabierało sensu. Z całego serca pragnęłam, aby jej sprawy ułożyły się jak najlepiej: teraz, kiedy się dowiedziałam, że jej życie nie było usłane różami, uważałam, iż zasługuje na więcej szczęścia.

## 32

Nazajutrz wróciłam do Rosalindy w towarzystwie Marcusa Logana. Tak jak w dniu powitania Serrano Suñera przyszedł po mnie i tak samo jak wtedy szliśmy obok siebie ulicami Tetuanu. Coś jednak się między nami zmieniło. Wspólna pospieszna ucieczka z fety w siedzibie Wysokiego Komisariatu, ów szalony bieg przez mroczne ogrody, a potem spokojna przechadzka wśród cieni budzącego się ze snu miasta rozwiały do pewnego stopnia moje uprzedzenia co do jego osoby. Może i był godzien zaufania, a może nie; może nigdy się tego nie dowiem. Ale jakoś przestało mnie to obchodzić. Wiedziałam, że stara się załatwić ewakuację mojej matki, a w stosunku do mnie zachował się uprzejmie i życzliwie; wiedziałam również, że podoba mu się w Tetuanie. I to mi wystarczało. Niczego więcej nie musiałam o nim wiedzieć i nie powinno mnie to interesować. I tak wkrótce miał stąd wyjechać.

Rosalinda nie wstała jeszcze z łóżka, ale wyglądała już o wiele schludniej. Pokój był wysprzątnany, a przez otwarte na ogród okiennice wlewało się światło. Trzeciego dnia przeniosła się na

sofę. Czwartego zmieniła jedwabną koszulę na kwiecistą sukienkę, poszła do fryzjera i wróciła do życia.

Chociaż jej stan był nadal chwiejny, postanowiła używać, ile się da, zanim przyjedzie mąż, jakby to były jej ostatnie tygodnie. Znowu szeroko otworzyła dom dla gości, stwarzając Beigbederowi idealną atmosferę do dyskretnych, swobodnych rozmów na tematy publiczne, ten zaś ślepo ufał kochance, wierząc, że Rosalinda wie, co robi. Nigdy się jednak nie dowiedziałam, jak bywalcy owych spotkań przyjmowali fakt, iż honory pani domu czyniła utrzymanka, na domiar złego Angielka, co mogło dziwić w wypadku wysokiego urzędnika rządu narodowego, człowieka o proniemieckich poglądach. Lecz Rosalinda nie rezygnowała z zamiaru zbliżenia swojego Juana Luisa z Brytyjczykami i wiele nieformalnych przyjęć miało służyć temu właśnie celowi.

W ciągu owego miesiąca, podobnie jak robiła to przedtem i miała robić potem, często zapraszała swoich rodaków z Tangeru, członków korpusu dyplomatycznego, wojskowych attaché krajów spoza włosko-niemieckiej orbity oraz przedstawicieli rozmaitych instytucji międzynarodowych. Urządziła także przyjęcie dla władz Gibraltaru i oficerów okrętu brytyjskiego cumującego przy „skale”, jak nazywała brytyjską bazę. Juan Luis Beigbeder i Rosalinda Fox krążyli wśród gości, z koktajlem w jednej ręce i papierosem w drugiej, pogodni, gościnni i serdeczni. Jakby nic się nie stało; jakby w Hiszpanii nie toczyła się bratobójcza walka, a Europa nie brała właśnie rozpędu, by rzucić się na oślep w najgorszy ze swoich koszmarów.



W owym czasie miałam wiele okazji do spotkań z Beigbederem i ponownie mogłam obserwować jego osobliwy sposób bycia. Często ubierał się po mauretańsku, czasami wkładał bambosze lub dżelabę. Był miły, bezpośredni, odrobinę ekscentryczny i ponad wszystko ostentacyjnie uwielbiał Rosalindę, zawsze i wszędzie.

Stale też widywałam się z Marcusem Loganem. Połączyła nas nić wzajemnej sympatii, która zacieśniała się z każdym dniem, lecz ja starałam się tłumić emocje. Gdyby nie to, owa kiełkująca przyjaźń zmieniłaby się wkrótce w uczucie znacznie głębsze i bardziej namiętne. Trzymałam się jednak mocno i walczyłam z całych sił, żeby sprawy nie zaszły za daleko. Rany zadane mi przez Ramira nie zabiły się jeszcze. Wiedziałam, że Marcus niedługo wyjedzie, i nie chciałam znowu cierpieć. Tak czy inaczej, oboje byliśmy stałymi gośćmi w willi przy alei Palmeras, czasami nawet zabieraliśmy ze sobą Félixą, uszczęśliwionego, że ma okazję poznać ów wielki świat, który tak go zawsze fascynował. Kiedyś wybraliśmy się całą paczką do Tangeru, dokąd zaprosił nas Beigbeder, na inaugurację dziennika „Espada”, gazety, którą stworzył, aby za jej pośrednictwem przekazywać Europie wszystko, o czym chcieli jej opowiedzieć ludzie stojący po jego stronie barykady. Czasami jeździliśmy gdzieś we czwórkę – Marcus, Félix, Rosalinda i ja – dodge'em mojej przyjaciółki: do Saccone & Speed po irlandzką wołowinę, bekon i gin; na tańce do Villa Harris; na jakiś amerykański film do Capitolu albo zamówić szalone kapelusze u Mariquity Kapelusznicy.

Włóczyliśmy się po tetuańskiej białej medynie, jedliśmy kuskus, harirę i szebbaki, wspinaliśmy się na Dersę i Gorges, opalaliśmy na plaży w Río Martín, jeździliśmy do rządowego ośrodka w Ketamie, położonego wśród rozłożystych sosen i niestopionych jeszcze śniegów. Aż nasz czas się skończył i nieubłagane nadeszło to, co musiało nadejść. Wtedy okazało się, iż rzeczywistość może przerosnąć najczarniejsze wyobrażenia. Uświadomiła mi to sama Rosalinda zaledwie tydzień po przyjeździe męża.

– Jest o wiele gorzej, niż się spodziewałam – oznajmiła, padając na fotel, gdy tylko przekroczyła próg mojej pracowni.

Nie wydawała się aż tak wzburzona jak w chwili otrzymania depechy. Tym razem widać było po niej tylko smutek, zmęczenie i rozczarowanie – głębokie, mroczne rozczarowanie. Peterem, sobą, matnią, w jakiej ugrzęźli oboje. Po pięciu latach samotnej włóczęgi po świecie sądziła, że poradzi sobie ze wszystkim; myślała, że doświadczenia życiowe, jakie przez ten czas zgromadziła, uodporniły ją na wszelkie przeciwności losu. Peter okazał się jednak gorszy, niż przypuszczała. Był zaborczy, przyjął na siebie rolę męża i ojca, jakby nie dzieliły ich lata rozłąki, jakby w życiu Rosalindy nic się nie zmieniło od dnia, w którym ją poślubił, kiedy była jeszcze prawie dzieckiem. Miał do niej pretensję za nazbyt swobodne wychowanie Johnny'ego. Był zde gustowany tym, że jego syn nie uczy się w dobrej szkole z internatem, że bez opieki niańki wychodzi bawić się z dziećmi z sąsiedztwa i że jedynym sportem, jaki uprawia, jest celne rzucanie kamieniami, w czym niewiele ustępował mauretańskim chłopcom z tetuańskiej ulicy. Peter narzekał

również, że radio nie nadaje jego ulubionych programów, że w mieście nie ma klubów, gdzie mógłby się spotkać z rodakami, że nikt tu nie mówi po angielsku i że na tym zadupiu nie ma brytyjskich gazet.

W pełni za to usatysfakcjonowały go Johnnie Walker Black Label i gin Tanqueray, które w Tangerze można jeszcze było wówczas dostać za bezcen. Wypijał co najmniej jedną butelkę whisky dziennie, nie licząc przystawki w postaci dżinu z tonikiem przed każdym posiłkiem. Jego odporność na alkohol przerastała ludzkie wyobrażenie, podobnie jak bezbrzeżna pogarda, z jaką odnosił się do służących. Odzywał się do nich lekceważąco po angielsku, nie przyjmując do wiadomości, że nie rozumieją ani słowa, a kiedy wreszcie to do niego docierało, zaczynał wrzeszczeć na nich w hindi, języku swoich dawnych podwładnych z Kalkuty, jakby służba na całym świecie posługiwała się wspólną mową niewolników. Dziwił się potem, że odchodzą z jego domu, jeden po drugim. Wszyscy, począwszy od przyjaciół jego małżonki, a skończywszy na ostatnim posługaczu, już po kilku dniach wiedzieli, jakiego pokroju człowiekiem jest Peter Fox. Egoistą, głupcem, chimerykiem, pijakiem, arogantem i despotą; zaiste, trudno znaleźć tyle „przymiotów” w jednym człowieku.

Beigbeder przestał oczywiście spędzać większość czasu w domu Rosalindy, lecz nadal widywali się codziennie w innych miejscach: w siedzibie Wysokiego Komisarjatu, na wycieczkach za miasto. Ku zdziwieniu wielu ludzi – mojemu również – podejmował męża swojej kochanki niemal po królewsku. Wędkowali razem na rozlewiskach rzeki Smir i polowali na

dziki w Jemis de Anyera. Ułatwił mu wyjazd na Gibraltar, żeby Peter mógł się napić angielskiego piwa i pogadać z rodakami o polo i krykiecie. Jednym słowem zrobił wszystko, żeby czuł się jego honorowym gościem. Na pierwszy rzut oka widać było jednak, że jeden jest przeciwieństwem drugiego – swoja drogą, to ciekawe, iż dwaj tak różni mężczyźni odegrali istotną rolę w życiu tej samej kobiety. Być może właśnie te różnice sprawiły, że nie dochodziło między nimi do spięć.

– Peter uważa, że Juan Luis to zacofany, pyszałkowaty Hiszpan; taki staroświecki caballero, który zszedł z jakiegoś barokowego obrazu – tłumaczyła mi Rosalinda. – A Juan Luis twierdzi, że Peter jest nieuleczalnym, niedorzecznym snobem. Są jak dwie równoległe linie: nigdy nie wejdą w konflikt, bo nie mają żadnych punktów stykowych. Z tą różnicą, że dla mnie Peter jako człowiek nie dorasta Juanowi Luisowi do pięt.

– I nikt nie powiedział o was twojemu mężowi?

– O naszym związku? – Zapaliła papierosa i odgarnęła z czoła niesforny kosmyk. – Myślę, że jakaś żmija zdążyła już wpuścić mu do ucha trochę jadu, ale jemu i tak jest wszystko jedno.

– Jak to? Nie rozumiem.

Wzruszyła ramionami.

– Ja też, ale dopóki nie musi płacić za dom, dopóki ma służbę, alkohol, wikt i krwawe polowania, cała reszta jest mu obojętna. Co innego, gdybyśmy nadal mieszkali w Kalkucie. Wtedy starałby się zachowywać jakieś pozory. Tutaj jednak nikogo nie zna, to nie jest jego świat, więc puszcza mimo uszu to, co o mnie mówią.

– Wciąż nie rozumiem.

– Jedno jest pewne, *darling*: ja nic dla niego nie znacę – powiedziała z mieszaniną sarkazmu i smutku. – Wszystko jest dla niego ważniejsze ode mnie: łowienie ryb, butelka ginu, partyjka kart. Nigdy go nie obchodziłam. Dziwne by było, gdyby teraz nagle zmienił zdanie.

Kiedy Rosalinda toczyła bój z potworem w samym środku piekła, w moim życiu wreszcie nastąpił przełom. Był wtorek, wiał wiatr. Przed południem zjawił się u mnie Marcus Logan.

Byliśmy już przyjaciółmi: dobrymi przyjaciółmi, nic więcej. Oboje mieliśmy świadomość, że któregoś dnia będzie musiał wyjechać, a do mojego świata zawitał tylko przelotnie. Do tej pory nie zdobyłam się na zdjęcie szwów z ran zadanych mi przez Ramira; wciąż nie potrafiłam się otrząsnąć z tamtych przeżyć i nie byłam jeszcze gotowa na kolejne rozstanie. Co tu kryć, ciągnęło nas do siebie, i to bardzo. Nie brakło też okazji, żeby nasza znajomość przerodziła się w głębsze uczucie. Były wspólne sekrety, muśnięcia rąk i spojrzenia, dyskretne aluzje, szacunek i pożądanie. Była wzajemna bliskość, była czułość. Okiełznałam jednak swoje pragnienia; nie chciałam brnąć dalej, a on się z tym pogodził. Trzymanie uczuć na wodzy kosztowało mnie wiele wysiłku: rozterki, niepewność, bezsenne noce. Lecz zamiast rozczulać się nad nieuniknioną rozłąką wolałam zachować w pamięci tamte beztroskie, szalone dni, noce spędzane przy kieliszku, śmiech, dymiący z fajek kif, hałaśliwe partyjki continentala, wypadki do Tangeru, kolacje i rozmowy. Chwile, które zamknęłam w skarbcu wspomnień jako symbol końca pewnego etapu w moim życiu i początek nowej drogi.

Albowiem wraz z dzwonkiem, który zabrzmiał rankiem tamtego dnia, kiedy Marcus Logan stanął u drzwi mojego mieszkania przy Sidi Mantri, skończyła się dla mnie jedna epoka i zaczęła inna. Jedne drzwi się zamykały, otwierały się drugie. A ja tkwiłam pomiędzy, niezdolna zatrzymać tego, co właśnie odchodziło, stęskniona za tym, co miało nadejść.

– Twoja matka jest w drodze. Wczoraj wieczorem wsiadła w Alicante na brytyjski statek handlowy płynący do Oranu. Dotrze na Gibraltar za trzy dni. Rosalinda załatwi, żeby nie robiono jej trudności przy przekraczaniu granicy. Od niej się dowiesz, jak przewieźć matkę tutaj.

Chciałam podziękować mu z głębi serca, ale te osiem liter, z których składa się słowo „dziękuję”, zatoneło w strumieniu łez, płacz porwał je ze sobą. Dlatego przytuliłam się tylko do Marcusa z całej siły, aż przemokły mu kłapy marynarki.

– A dla mnie też już nadszedł czas, by wyruszyć w dalszą drogę – dodał po chwili.

Popatrzyłam na niego, siąkając nosem. On wyjął białą chusteczkę i podał mi ją, zasępiony.

– Wzywają mnie do agencji. Moja misja w Maroku dobiegła końca, muszę wracać.

– Do Madrytu?

Wzruszył ramionami.

– Na razie do Londynu. A potem tam, dokąd mnie wyślą.

Przytuliłam się znowu, zapłakałam. A kiedy w końcu zdołałam okiełznać zamęt uczuć i przytrzymać na wodzy rozhukane emocje, w których największa radość mieszała się z bezmiernym smutkiem, powiedziałam łamiącym się głosem:

– Nie jedź, Marcus.

– Gdyby to zależało ode mnie! Ale nie mogę zostać, Siro. Jestem potrzebny gdzie indziej.

Raz jeszcze spojrzałam na jego twarz, ukochaną twarz. Były na niej jeszcze resztki blizn, ale ten Marcus Logan w niczym już nie przypominał owego zmaltrretowanego człowieka, który w letnią noc pojawił się w Nacionalu. Wtedy, zdenerwowana i pełna obaw, witałam nieznanego; teraz musiałam stawić czoło bolesnemu pożegnaniu z kimś bardzo mi bliskim, bliższym pewnie, niż chciałam się przed sobą przyznać.

Znowu pociągnęłam nosem.

– Kiedy zechcesz podarować suknię którejś ze swoich narzeczonych, wiesz, gdzie mnie szukać.

– Kiedy zechcę mieć narzeczoną, wrócę tutaj – powiedział, wyciągając dłoń ku mojej twarzy, by otrzeć mi łzy. Gdy poczułam jego dotyk, przeszedł mnie dreszcz i z furją przeklinałam ów dzień, żałując, że w ogóle nadszedł.

– Bлагier – szepnęłam.

– Lalunia.

Jego palce przesunęły się po moich policzkach aż do skroni, wplątały we włosy i ześliznęły na kark. Nasze twarze zbliżyły się do siebie powoli, jakby w obawie przed tym, na co od dawna się zanosilo.

Zgrzyt przekręcanego w zamku klucza sprawił, że gwałtownie odskoczyliśmy od siebie. Weszła zdyszana Dżamila.

– Pani Fox mówi paniénka Sira iść biegiem na Palmeras – wyrecytowała jednym tchem w swojej rozczulającej hiszpańszczyźnie.

Lokomotywa ruszyła. Koniec. Marcus wziął kapelusz, a ja objęłam go ostatni raz. Nie było słów, nie było już nic do powiedzenia. Kilka chwil później po jego tak bliskiej, tak krzepiącej obecności pozostał tylko nikły ślad pocałunku na moich włosach, zarys pleców i dojmujące trzaśnięcie drzwi.



## Część trzecia

33

Od chwili rozstania z Marcusem i przyjazdu matki moje życie wywróciło się na nice jak wywinięta na lewą stronę skarpetka. Pamiętam wszystko, jakby to było dziś. Przyjechała pewnego pochmurnego popołudnia, wychudzona jak szkielet, z pustymi rękami i udręczoną duszą, w jednej sukience, mając przy sobie tylko starą torebkę i fałszywy paszport, przypięty agrafką do ramiączka biustonosza. Zdawało się, że przybyło jej ze dwadzieścia lat: oczy miała zapadnięte, obojczyki sterczące, a zapamiętane przeze mnie srebrne nitki we włosach zmieniły się w szerokie pasma siwizny. Weszła do mojego domu jak dziecko wyrwane o północy ze snu: niepewna, zagubiona, nieswoja. Jakby nie docierało do niej, że tu mieszka jej córka i że odtąd ona też tu zamieszka.

Wyobrażałam sobie owo upragnione spotkanie jako wybuch niepowstrzymanej radości. Tak nie było. Gdybym musiała opisać ów obraz jednym słowem, wybrałabym „smutek”. Prawie się nie odzywała, z niczego nie cieszyła. Objęła mnie tylko mocno, a potem przez cały czas kurczowo trzymała za rękę, jakby się bała, że gdzieś ucieknę. Ani jednego uśmiechu, ani jednej łzy i bardzo mało słów, i tyle. Ledwo spróbowała

tego, co przygotowaliśmy dla niej z Dżamiłą i Candelarią: kurczaka, tortillę, sałatkę z pomidorów, sardele, mauretański chleb – wszystko, czego, jak nam się zdawało, od dawna nie jadła w Madrycie. Milczeniem skwitowała pracownię oraz sypialnię, do której wstawiłam specjalnie dla niej szerokie łóżko, nakryte kretonową kapą własnoręcznie przeze mnie uszytą. Nie zapytała o Ramira, nie ciekawiło jej, skąd się wzięłam w Tetuanie. Nie powiedziała też ani słowa o swojej okropnej podróży do Afryki i ani razu nie wspomniała o koszmarze, jaki zostawiła za sobą.

Zupełnie nie potrafiła się odnaleźć. Nigdy bym nie pomyślała, że zobaczę ją w takim stanie. Stanowcza Dolores, która tak kategorycznie wyrażała swoje opinie i zawsze umiała znaleźć właściwe słowa w odpowiednim momencie, ustąpiła miejsca kobiecie skrytej i dziwnie nieśmiałej, w której z trudem rozpoznawałam własną matkę. Poświęciłam się jej ciałem i duszą, praktycznie przestałam pracować: w przewidywalnym czasie nie zanosilo się na żadne ważne uroczystości, więc klientki mogły poczekać. Dzień w dzień przynosiłam jej śniadanie do łóżka: bułeczki, *churros*, grzanki smażone w cukrze, wszystko, od czego mogłaby trochę przytyć. Kąpałam ją, czesałam, uszyłam dla niej nowe suknie. Niechętnie wychodziła z domu, ale w końcu poranny spacer stał się naszym zwyczajem. Szłyśmy pod rękę aleją Generalissimusa na plac przed kościołem; czasami zostawałam z nią na mszy. Oprowadzałam ją po wszystkich zaułkach, zmuszałam, żeby pomagała mi wybierać tkaniny, żeby słuchała ze mną radia i

decydowała o tym, co będzie na obiad. Aż powolutku, krok za kroczkiem, znowu zaczęła być sobą.

Nigdy nie zapytałam, co się działo w jej głowie w owym przejściowym okresie, który dla mnie trwał całą wieczność. Miałam nadzieję, że sama mi to powie. Nie zrobiła tego jednak, a ja nie nalegałam. Zresztą niewiele mnie to interesowało; czułam, że jej zachowanie było podświadomą reakcją na niepewność wywołaną mieszaniną bólu, cierpienia i ogromnej ulgi. Nie naciskałam zatem, czekając cierpliwie, aż się przystosuje, ale byłam przy niej, gotowa podtrzymać ją, gdyby potrzebowała oparcia, i osuszyć chusteczką łzy, których nigdy nie uroniła.

Poprawę zauważyłam, kiedy zaczęła samodzielnie podejmować drobne decyzje: chyba pójdę dzisiaj na mszę o dziesiątej, może zajrzę z Dżamilą na suk i kupię przyprawy do ryżu, co ty na to? Z czasem przestała kulić się ze strachu, kiedy usłyszała jakiś huk albo warkot przelatującego nad miastem samolotu. Rutyną stały się wyprawy do kościoła i na targ, a potem stopniowo dochodziły inne zajęcia. Milowym krokiem był powrót do szycia. Początkowo, pomimo moich wysiłków, nie udało mi się obudzić w niej najmniejszego zainteresowania krawiectwem, jakby zapomniała, że przez ostatnie trzydzieści lat nie robiła nic innego. Pokazywałam jej zagraniczne żurnale, które teraz już sama kupowałam w Tangerze, opowiadałam o moich klientkach i ich kaprysach, próbowałam zachęcić wspomnianiem modeli, które kiedyś szyłyśmy razem. Nic. Niczego nie osiągnęłam, jakbym przemawiała do niej w jakimś niezrozumiałym języku. Aż któregoś dnia zajrzała do pracowni

i zapytała: pomóc ci? I wtedy zrozumiałam, że moja matka wróciła do życia.

Po trzech lub czterech miesiącach od jej przyjazdu wszystko się jakoś ułożyło. Włączyła się do pracy, w domu zapanował spokój. Interes się rozwijał. Stać nas było, żeby regularnie spłacać Candelarię, a z reszty mogłyśmy się swobodnie utrzymać i już nie musiałam harować od rana do nocy. Znowu dobrze się rozumiałyśmy, chociaż żadna z nas nie była taka jak dawniej i obie zdawałyśmy sobie z tego sprawę. Twarda, silna Dolores złagodniała, a mała Sira stała się kobietą niezależną. Pogodziłyśmy się z ową przemianą, przyjęłyśmy nowe reguły gry i nigdy nie dochodziło między nami do spięć.

Burzliwe początki mojego pobytu w Tetuanie zdawały mi się teraz bardzo odległe, jakby to się zdarzyło wieki temu. Za mną została niepewność i ryzykowne nocne eskapady, obawy o przyszłość i życie z dnia na dzień. Wszystko to przeszło, minęło, ucichło, ustępując miejsca zwyczajności, niekiedy aż nie do zniesienia banalnej. Lecz pamięć o tym, co było, wciąż we mnie trwała, a chociaż nieobecność Marcusa rozplynęła się w codzienności i bolała z czasem coraz mniej, jego wspomnienie nie opuszczało mnie ani na chwilę, niby niewidzialny towarzysz, którego cień jedynie ja mogłam dostrzec. Ileż razy żałowałam, że przez moje głupie obawy do niczego między nami nie doszło, ileż razy przeklinałam własną powściągliwość, jakże za nim tęskniłam. Jednocześnie zaś cieszyłam się w głębi ducha, że nie uległam pokusie: gdybym dała się ponieść uczuciom, rozłąka byłaby zapewne o wiele bardziej dotkliwa.

Z Félixem kontaktu nie straciłam, ale przyjazd mojej matki położył kres nocnym odwiedzinom, ciągłemu pukaniu do drzwi, niekonwencjonalnym lekcjom kultury ogólnej oraz miłym pogawędkom w towarzystwie nietuzinkowego i serdecznego kompana.

Moje stosunki z Rosalindą również się zmieniły: jej mąż został na dłużej, niż przewidywała, wysysając jej zdrowie i czas niczym pijawka. Szczęśliwie, po upływie niemal siedmiu miesięcy, Peter Fox zdecydował się wreszcie i postanowił wrócić do Indii. Nigdy nierozwiązaną zagadką pozostało, jakim cudem przebłysk rozsądku przebił się przez opary alkoholu, lecz faktem jest, iż któregoś dnia sam doszedł do tego wniosku, gdy jego żona była już o krok od zapaści. Wyjazd ów sprawił Rosalindzie nieopisaną ulgę, choć Peter Fox nie dał się przekonać, iż najlepiej byłoby wziąć rozwód i raz na zawsze skończyć z tą małżeńską farsą. Przeciwnie, zapowiedział, że kiedy zlikwiduje swoje interesy w Kalkucie, na dobre powróci na łono rodziny, by cieszyć się przedwczesną emeryturą w spokojnym i tanim Protektoracie Hiszpańskim. Aby zaś żona i syn nie przyzwyczaili się przypadkiem do wygodnego życia, uznał, iż nie ma powodu, by podwyższyć im pensję choćby o jednego funta szterlinga.

– W razie potrzeby niech cię wspomocze twój ukochany przyjaciel Beigbeder – doradził na pożegnanie.

Na szczęście dla wszystkich nigdy więcej nie pokazał się w Maroku. Rosalindę jednakże odwiedziny męża kosztowały prawie pół roku rekonwalescencji. Po wyjeździe Petera przeleżała kilka miesięcy, prawie nie wychodząc z domu.

Wysoki Komisarz praktycznie przeniósł się z pracą do jej sypialni, gdzie spędzali oboje długie godziny: ona czytała, wsparta na poduszkach, a on siedział nad swoimi papierami przy stoliku pod oknem.

Mimo surowych zaleceń lekarzy, którzy kazali jej pozostać w łóżku, dopóki nie odzyska sił, Rosalinda nie zrezygnowała z życia towarzyskiego, chociaż znacznie je ograniczyła. Gdy tylko jej ciało zaczęło wykazywać pierwsze oznaki zdrowia, znów otworzyła dom dla przyjaciół, by wydawać kameralne przyjęcia, w których uczestniczyła, nie opuszczając sypialni. W większości tych spotkań brałam udział i ja. Nasza przyjaźń trwała nadal, ale nic już nie było takie jak przedtem.

## 34

Pierwszego kwietnia 1939 roku ogłoszono ostatni wojenny raport. Odtąd nie było już tej i tamtej strony, odrębnej waluty ani mundurów – niczego, co by dzieliło kraj. Albo przynajmniej tak nam powiedziano. Matka i ja przyjęłyśmy tę nowinę z mieszanymi uczuciami, niezdolne przewidzieć, co ów pokój miał ze sobą przynieść.

– Co się teraz będzie działo w Madrycie, mamó? Co zrobimy?

Rozmawiałyśmy niemal szeptem, niespokojne, patrząc z balkonu na kłębiący się tłum, który wyległ na ulice. Wyraźnie docierały do nas krzyki, wybuchy euforii i rozpętanych emocji.

– Sama chciałabym wiedzieć – odparła posepnie.

Co chwila nadchodziły nowe wieści. Mówiono, że zostanie przywrócony ruch statków w Cieśninie, że za chwilę znów zaczną kursować pociągi do Madrytu. Droga do przeszłości

stanęła przed nami otworem. Nic już nas nie zmuszało, byśmy pozostały w Afryce.

– Chcesz wrócić? – zapytała mnie wreszcie.

– Nie wiem.

Naprawdę nie wiedziałam. Po latach spędzonych w Madrycie pozostał mi kufer pełen nostalgii: obrazki z dzieciństwa i młodości, smaki, zapachy, nazwy ulic i wspomnienia osób. Ale w głębi ducha nie byłam przekonana, czy jest dostatecznie pełny, żeby skłonić mnie do powrotu, który pociągał za sobą demontaż wszystkiego, co z takim trudem zbudowałam w Tetuanie, owym białym mieście, gdzie była moja matka, moi nowi przyjaciele i pracownia, która dawała nam chleb.

– Może na razie lepiej zostanemy – podsunęłam.

Nie odpowiedziała. Kiwnęła tylko głową, odeszła od balkonu i wróciła do szycia, by schronić się wśród nici i nie rozmyślać o skutkach takiej decyzji.

Rodziło się nowe państwo: Nowa Hiszpania, nowy ład, powiedzieli. Dla jednych pokój i zwycięstwo, dla innych ziejąca pod stopami mroczna studnia bez dna. Większość krajów niezwłocznie uznała reżim, legitymizując triumf narodowców. Równano z ziemią barykady, a instytucje rządowe pomału żegnały się z Burgos, przygotowując się na powrót do stolicy. Powstawała osnowa nowej władzy. Przystąpiono do odbudowy wszystkiego, co zostało zburzone, przyspieszono oczyszczenie kraju z niepożądanych elementów, a stronnicy zwycięzców ustawili się w kolejce po swoją porcję tortu. Rząd czasu wojny utrzymał się jeszcze przez kilka miesięcy, wydając dekryty, zarządzenia i nakazy; na jego rekonstrukcję trzeba było

począć do późnego lata. Lecz ja dowiedziałam się o tym już w lipcu. Zanim do Maroka dotarły pierwsze pogłoski, zanim w korytarzach Wysokiego Komisarjatu zaczęły krążyć plotki, zanim rozprzestrzeniły się po ulicach Tetuanu; na długo przedtem, zanim nazwisko i zdjęcie ukazały się w gazetach; zanim cała Hiszpania zaczęła pytać, kim jest ów smagły człowiek z ciemnym wąsikiem i w okrągłych okularach – ja już wiedziałam, kto z nadania Caudilla zasiądzie po jego prawicy na pierwszym posiedzeniu rady ministrów w czasach pokoju: don Juan Luis Beigbeder y Atienza, nowy minister spraw zagranicznych, jedyny wojskowy członek gabinetu niższy rangą od generała.

Rosalinda przyjęła nowinę pełna sprzecznych uczuć: satysfakcji, że Juan Luis został doceniony, i smutku w obliczu bliskiego rozstania z Marokiem. Burza przetoczyła się w ciągu kilku dni, kiedy Wysoki Komisarz jedną nogą był na Półwyspie, a drugą w Protektoracie: rozkręcał sprawy tam, zamykał tu i kładąc kres prowizorce odziedziczonej po trzech latach wojny, budował zręby nowej polityki zagranicznej swojej ojczyzny.

Dziesiątego sierpnia wydano oficjalny komunikat, a jedenastego ogłoszono w prasie skład gabinetu, który miał wypełnić historyczną misję pod wodzą triumfującego Generalissimusa. Wciąż przechowuję wyrwane z dziennika „Abc” pożółkłe, rozpadające się niemal w palcach stronie ze zdjęciami i życiorysami nowych ministrów. Pośrodku pierwszej z nich, niby słońce wśród krążących wokół planet, widnieje w okrągłej ramce godny, napuszony Franco. Po jego lewej i prawej stronie, na naczelnych miejscach w dwóch górnych rogach,



Beigbeder i Serrano Suñer – dwie główne teki: sprawy zagraniczne i wewnętrzne. Drugi wycinek zawiera szczegółowe życiorysy oraz pochwały pod adresem nowo mianowanych ministrów, w górnolotnym stylu owej epoki. Beigbedera opisano jako wybitnego afrykanistę i wybitnego znawcę islamu. Podkreślono jego biegłą znajomość arabskiego, gruntowne wykształcenie, doświadczenie nabyte w ciągu długich lat spędzonych w krajach muzułmańskich, a także wielce owocną pracę na stanowisku attaché wojskowego w Berlinie. „Wojna objawiła szerokim rzeszom postać pułkownika Beigbedera – pisano – który zaprowadził porządek w Protektoracie, by w imieniu Franco i zawsze zgodnie z wolą Caudilla zapewnić wzorową i jakże cenną współpracę z Marokiem”. A w nagrodę – paf! – najlepsze ministerstwo dla tego pana. Serrano Suñera wychwalano za jego roztropność i energię, pracowitość i autorytet, jakim się powszechnie cieszył. W uznaniu owych wielkich przymiotów powierzono mu Ministerstwo Rządu, w którego gestii były wszystkie sprawy wewnętrzne kraju wkraczającego w nową erę.

Inicjatorem zaskakującej nominacji rządowej mało komu wówczas znanego Beigbedera był, jak się potem dowiedziałyśmy, sam Serrano. Kiedy przebywał z wizytą w Maroku, wielkie wrażenie zrobił na nim sposób, w jaki Wysoki Komisarz traktował ludność muzułmańską: jego serdeczna zażyłość z Maurami, znajomość języka, szczerzy podziw dla tamtejszej kultury, skuteczny werbunek, a nawet – paradoksalnie – nieskrywana sympatia do niepodległościowych dążeń. Pracowity człowiek z tego Beigbedera, entuzjasta,

poliglota, wierny sprawie, a do tego świetnie sobie radzi z cudzoziemcami, pomyślał zapewne szwagier; na pewno nie będzie z nim kłopotu. Kiedy usłyszałam ową nowinę, w nagłym przebiegu pamięci ujrzałam siebie, ukrytą za kanapą w saloniku Wysokiego Komisarjatu, a w uszach zabrzmiał mi ostatni fragment podsłuchanej wtedy rozmowy. Nigdy nie zapytałam Marcusa, czy powtórzył to Beigbederowi, ale dla dobra Rosalindy i jej ukochanego pragnęłam, żeby zaufanie, jakim darzył go Serrano, z czasem jeszcze się umocniło.

Następnego dnia po tym, jak jego nazwisko pojawiło się w druku i na falach radia, Beigbeder przeniósł się do Burgos, zrywając wszelkie formalne więzi łączące go z ukochanym Marokiem. Cały Tetuan żegnał Wysokiego Komisarza: Maurowie, chrześcijanie i żydzi, wszyscy razem. Przywódca Partii Reform Narodowych, Sidi Abdelhalak Torres, wygłosił gorące przemówienie i wręczył nowemu ministrowi oprawny w srebro pergamin nadający mu tytuł umiłowanego przyjaciela muzułmanów. Beigbeder, wyraźnie wzruszony, odpowiedział w słowach serdecznych i pełnych wdzięczności. Rosalinda uroniła kilka łez, które obeschły, gdy tylko dwumotorowiec oderwał się od płyty aerodromu Sania Ramel, zrobił pożegnalne okrążenie nad miastem i odleciał w dal, za Cieśninę. Odczuwała głęboki żal po wyjeździe swojego Juana Luisa, ale jeśli chciała szybko dołączyć do ukochanego, musiała natychmiast wziąć się w garść.

Wkrótce Beigbeder przyjął w Burgos ministerialną tekę z rąk odchodzącego ze stanowiska hrabiego de Jordana, został prawomocnym członkiem nowego rządu i natychmiast wpadł

w wir spotkań oraz wizyt protokolarnych. Rosalinda tymczasem wyjechała do Madrytu w poszukiwaniu domu nadającego się na kwatery główną, godną nowych wyzwań, jakie los stawiał przed nią przyjaciółką. I tak upłynęły im ostatnie dni sierpnia owego roku zwycięstwa: on przyjmował gratulacje od ambasadorów, arcybiskupów, attaché wojskowych, burmistrzów i generałów, a ona negocjowała cenę wynajmu, zamykała piękną willę w Tetuanie i organizowała przewóz swoich niezliczonych maneli, pięciu mauretańskich służących, tuzina kur niosek oraz mnóstwa worków ryżu, cukru i kawy, które udało jej się zdobyć w Tangerze.

Wybrana rezydencja mieściła się przy ulicy Casado del Alisal, pomiędzy parkiem Retro i muzeum Prado, o krok od kościoła Hieronimitów. Był to okazały dom, bez wątpienia godzien kochanki najbardziej niespodziewanego z nowych ministrów, dostępny dla każdego, kto gotów był płacić niecałe tysiąc peset miesięcznie – kwotę, którą Rosalinda uznała za śmieszna, a za którą większość mieszkańców cierpiącego głód powojennego Madrytu dałoby sobie uciąć trzy palce u ręki.

Planowali, że urządują sobie życie podobnie jak w Tetuanie. Mieszkać mieli osobno (on w zrujnowanym pałacyku przyległym do ministerstwa, ona w swoim nowym lokum), ale jak najwięcej czasu chcieli spędzać razem. Zanim wyjechała na zawsze, w opustoszałym domu, w którym każdy głos odbijał się echem od nagich ścian, Rosalinda wydała swoje ostatnie przyjęcie. Kilkoro Hiszpanów, gromada Europejczyków i niemała garstka arabskich znakomitości – wszyscy przyszliśmy pożegnać kobietę, która z pozoru tak krucha, wdarła się w

nasze życie z siłą huraganu. Chociaż niepewna, co przyniosą jej nowe czasy, i zaniepokojona dochodzącymi z Europy wieściami, o czym uparcie starała się nie myśleć, nie chciała smutnych pożegnań ze swoim ukochanym Marokiem, gdzie była taka szczęśliwa. Między jednym toastem a drugim kazała nam obiecać, że odwiedzimy ją w Madrycie, jak tylko się tam zadomowi, i przyrzekła, że sama będzie często wpadać do Tetuanu.

Tamtej nocy wyszłam od niej ostatnia, pragnęłam jej bowiem powiedzieć, jak wiele dla mnie znaczyła jej obecność w owym afrykańskim okresie mojego życia.

– Zanim wyjdę, chciałabym ci coś dać – oznajmiłam. Przygotowałam dla niej srebrną mauretańską szkatułkę przerobioną na igielnik. – Żebyś o mnie pomyślała, kiedy będziesz musiała sama przyszyć guzik.

Otworzyła ją uradowana. Uwielbiała prezenty, nawet jeśli były bardzo skromne. Maleńkie szpulki kolorowych nici, miniaturowa poduszciczka do szpilek, futerałik na igły, nożyczki jak dla lalek i garść guzików z masy perłowej, kości i szkła – oto co znalazła w środku.

– Wolałabym mieć cię blisko, żebyś dalej wybawiała mnie z takich kłopotów – powiedziała, obejmując mnie mocno. – Ale to prześliczny drobiazg, moja lampa Aladyna. Ilekroć otworzę szkatułkę, wyskoczysz z niej jak dżin.

Zachichotałyśmy. Po co płakać? Lepiej się pożegnać na wesoło, nasza przyjaźń nie zasługiwała na smutne zakończenie. Pełna animuszu, uśmiechnięta bez względu na wszystko, weszła nazajutrz razem z synem na pokład samolotu i odleciała

do stolicy, podczas gdy służba wraz z mieniem telepała się na wybojach, przemierzając andaluzyjskie pola pod oliwkowozieloną plandeką wojskowej ciężarówki. Ów optymistyczny nastrój trwał krótko. Następnego dnia po jej wyjeździe, trzeciego września 1939 roku, gdy germańscy najeźdźcy odmówili wycofania się z zaatakowanej przez nich Polski, Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Niemcom. Ojczyzna Rosalindy Fox włączyła się w zatarg, który miał przerodzić się w drugą wojnę światową, najkrwawszy konflikt zbrojny, jaki znała historia.

Rząd hiszpański w końcu przeniósł się na stałe do Madrytu i to samo zrobiły przedstawicielstwa dyplomatyczne, odkurzywszy uprzednio swoje rezydencje z wojennego pyłu. I tak, podczas gdy Beigbender oswajał się z mrocznymi gabinetami w gmachu ministerstwa mieszczącego się w dawnym pałacu Santa Cruz, Rosalinda, nie tracąc ni chwili, z zapalem poświęciła się podwójnym obowiązkom: zaczęła urządzać swój nowy dom i jednocześnie rzuciła się na ślepo w wir życia kosmopolitycznego światka madryckiej elity, owej zdumiewającej reduty obfitości i blichtru – maleńkiej wysepki zagubionej pośrodku czarnego oceanu, jakim była zniszczona wojną stolica.

Być może kobieta obdarzona mniej niezależną naturą czekałaby roztropnie, aż jej wpływowy kochanek nawiąże stosunki z możnymi tego świata, którymi z racji urzędu musiał się otaczać. Lecz Rosalinda należała do innego gatunku i choć bezgranicznie uwielbiała swojego Juana Luisa, nie miała najmniejszego zamiaru zmienić się w uległą niewolnicę,

uczepioną męskiego ramienia. Już jako niespełna dwudziestoletnia dziewczyna zdana była tylko na siebie, więc w obecnej sytuacji również postanowiła radzić sobie sama, choć wiedziała, że kontakty Beigbedera mogłyby otworzyć przed nią tysiące drzwi. Posłużyła się sprawdzoną strategią: odnowiła dawne znajomości, dotarła do ludzi, których spotkała kiedyś, włócząc się po świecie, a przez nich do ich przyjaciół i przyjaciół ich przyjaciół, ci zaś wprowadzili ją w krąg nowych twarzy, nowych tytułów i notabli o bardzo długich<sup>26</sup> lub obco brzmiących nazwiskach. Wkrótce nadeszły pierwsze zaproszenia na bankiety i bale, na obiady, koktajle i polowania. Zanim Beigbeder wychylił głowę zza góry papierów piętrzących się w jego ponurym gabinecie, Rosalinda zdążyła już namotać rozgałęzioną sieć stosunków towarzyskich, żeby zapewnić sobie przyjemne życie w nowym miejscu, w które rzucił ją los.

Sukces nie był jednak pełen. Mimo jej wybitnego talentu do nawiązywania przyjaźni nie wszyscy przyjęli ją ciepło, najchłodniej zaś, jak na ironię, rodacy. Ambasador sir Maurice Peterson pierwszy odmówił jej wstępu do swego domu. Dzięki jego usilnym staraniom ów brak akceptacji stał się powszechny wśród przedstawicieli brytyjskiego korpusu dyplomatycznego akredytowanych w stolicy. W Rosalindzie Fox nie potrafili albo nie chcieli dostrzec ani rodaczki, którą wypada zapraszać na spotkania i uroczystości, ani potencjalnego źródła wiarygodnych informacji pochodzących z najwyższych kręgów hiszpańskich władz. Widzieli w niej jedynie kłopotliwą osobę, ostentacyjnie chlubiącą się niegodnym romanssem z jednym z

ministrów proniemieckiego reżimu, do którego rząd Jego Królewskiej Mości nie żywił najmniejszej sympatii.

W owym czasie życie Beigbedera również nie było usłane różami. Ponieważ przez całą wojnę domową pozostawał na peryferiach politycznych intryg, teraz często bywał lekceważony przez polityków o większej zakulisowej władzy, jak choćby Serrano Suñer – ów wciąż rosnący w siłę Serrano, któremu wszyscy zazdrościli, ale niewielu go naprawdę lubiło. „Do trzech rzeczy w Hiszpanii brak mi cierpliwości: podatków, Falangi i szwagra jego generalskiej mości”, mawiano złośliwie w Madrycie. „Oto pan wasz nadchodzi, klękajcie przed panem – dawniej przed Panem Jezusem, dziś przed panem Serranem”, śpiewano w Sewilli, czyniąc aluzję do religijnych procesji.

Serrano, na którym Wysoki Komisarz wywarł tak korzystne wrażenie podczas pamiętnej wizyty w Maroku, stał się dlań teraz istnym dopustem bożym, tym dotkliwszym, im bardziej zacieśniały się stosunki Hiszpanii z Niemcami i im dalej sięgały ekspansjonistyczne apetyty Hitlera w zastraszającym tempie połykającego Europę. Wkrótce „Szwagrossimus” zaczął wkładać kij w mrowisko: gdy Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Niemcom, Serrano wiedział już, że popełnił wielki błąd, podsuwając Caudillovi pomysł, by sprawy zagraniczne powierzyć Beigbederowi. Ta teka, myślał, od początku powinna trafić do mnie, a nie do tego przybłądy z afrykańskiej ziemi; umiejętność przełamywania barier kulturowych i znajomość języków nie wystarczy, to nie jest właściwy człowiek na takie stanowisko. Beigbeder był według niego zbyt mało zaangażowany w sprawę niemiecką, ponieważ bronił

neutralności Hiszpanii i nie zamierzał ulegać ślepo naciskom i żądaniom płynącym z Ministerstwa Rządu. W dodatku miał angielską kochankę, tę jasnowłosą ślicznotkę, którą poderwał w Tetuanie. Jednym słowem, nie nadawał się i już. Dlatego też, zaledwie miesiąc po zaprzysiężeniu nowego gabinetu, człowiek obdarzony najtęższą głową i najbardziej rozbuchanym ego w całym rządzie zaczął wyciągać swoje macki niczym żarłoczna ośmiornica i coraz śmieiej przywłaszczał sobie kompetencje szefa dyplomacji, nie pytając go o zdanie i nie tracąc żadnej okazji, by mu przypomnieć, że jego miłostki mogą Hiszpanię bardzo drogo kosztować i popsuć jej stosunki z zaprzyjaźnionymi państwami.

W tej sytuacji nikt tak naprawdę nie wiedział, na jakim gruncie stoi były Wysoki Komisarz. Dla Hiszpanów i Niemców był probrytyjski, bo do nazistów odnosił się dość chłodno, a gorące uczucia ulokował w zalotnej angielskiej manipulantce. Dla Brytyjczyków, którzy traktowali go z lekceważeniem, był proniemiecki, bo wchodził w skład rządu, który entuzjastycznie popierał Trzecią Rzeszę. Rosalinda, niepoprawna idealistka, widziała w nim nadzieję na polityczny przełom, czarodzieja, który, gdyby zechciał, mógłby zawrócić swój rząd z błędnie obranej drogi. On zaś, z zadziwiającym w owej niewesołej sytuacji poczuciem humoru, uważał się za zwykłego przekupnia, co tak jej tłumaczył:

– Myślisz, że mogę skutecznie działać na rzecz zbliżenia z twoim krajem? A jaki ja mam wpływ na to, co robi rząd? Żaden, kochanie, prawie żaden. Jestem jednym z wielu ministrów gabinetu, w którym niemal wszyscy sprzyjają Niemcom i



poważnie rozważają możliwość zbrojnego wsparcia ich działań w Europie. Mamy u nich dług wdzięczności, jesteście im winni pieniądze i przysługi. Kierunek naszej polityki zagranicznej został wyznaczony na długo przed końcem wojny, na długo przedtem, zanim objąłem ten urząd. Sądysz, że mogę to zmienić? Nie, moja droga Rosalindo, nie mogę. Ty widzisz we mnie wielkiego stratega, podczas gdy jako minister tej naszej Nowej Hiszpanii bardziej przypominam sprzedawcę towarów kolonialnych albo przekupnia na Zoco del Pan. Moja praca polega na zdobywaniu pożyczek, targowaniu się o warunki umów handlowych, oferowaniu innym krajom oliwy, pomarańczy i winogron w zamian za zboże oraz ropę naftową i jeszcze muszę staczać o to boje z falangistami, zapatrzonymi w te swoje autarkiczne brednie. Być może uda mi się sprawić, że nie pomrzemy tej zimy z głodu i chłodu, ale nic, absolutnie nic nie mogę zrobić, żeby rząd zmienił swoje polityczne sympatie.

Beigbeder, przytłoczony ciężarem obowiązków, pochłonięty nieustanną walką ze wszystkimi, odsunięty od rzeczywistej władzy, z każdym dniem stawał się bardziej samotny wśród swoich. Żeby nie popaść w zupełne zniechęcenie, szukał ucieczki w nostalgicznych wspomnieniach o swoim ukochanym Maroku. Tak bardzo tęsknił za owym „innym światem”, że na ministerialnym biurku zawsze miał otwarty Koran i od czasu do czasu głośno recytował arabskie wersety, ku zdumieniu swoich współpracowników i gości. Kiedy wracał wieczorem do swojej służbowej rezydencji w Palacio de Viana, zrzucał nudny szary garnitur i przebierał się w aksamitną dżelabę; nawet jadał na mauretańską modłę – trzema palcami, prosto z

półmiska – i bez przerwy powtarzał każdemu, kto go chciał słuchać, że wszyscy Marokańczycy i Hiszpanie są braćmi. Czasami, kiedy nareszcie zostawał sam po całym dniu użerania się o setki spraw, zdawało mu się, że w jazgocie zatłoczonych tramwajów jadących brudnymi ulicami słyszy dźwięk szałamaj, obojów i tamburynów. Dni wstawały szare, zasnuwane cuchnącymi oparami z rynsztoków, a on czuł w powietrzu woń kwiatów pomarańczy, jaśminu i mięty... znów spacerował wśród bielonych wapnem ścian tetuańskiej medyny, w słonecznym blasku przesianym przez cieniste pnącza, łowił uchem szmer wody w fontannach i szelest kołysanych wiatrem trzcin.

Uczepił się tej nostalgii jak tonący deski na rozszalałym morzu, ale za jego plecami, niby nieodstępny cień, tkwił Serrano, zawsze gotów wyrwać go z marzeń:

– Na Boga, Beigbeder, dałbyś już sobie spokój z gadaniem, że wszyscy jesteśmy Maurami. Czy ja wyglądam na Maura? Czy Caudillo wygląda na Maura? Nie pieprz, bo już słuchać tego nie mogę, od rana do nocy w kółko ta sama śpiewka...

To były trudne dni. Dla obojga. Rosalinda wyłaziła ze skóry, żeby wkraść się w łaski ambasadora Petersona; niestety, bezskutecznie. Mijały miesiące, rok zwycięstwa zbliżał się ku końcowi, a jedynym gestem dobrej woli ze strony rodaków było zaproszenie pani Fox wraz z synem do rodzinnego kolędowania przy akompaniamencie pianina w ambasadzie. Na zmianę owego stanu rzeczy musiała czekać aż do maja 1940 roku, kiedy Churchill został premierem i postanowił odwołać w trybie

natychmiastowym swojego przedstawiciela w Hiszpanii. Wówczas sytuacja się zmieniła. Radykalnie. Dla wszystkich.

## 35

Sir Samuel Hoare przybył do Madrytu pod koniec maja 1940 roku, pyszniąc się pompatycznym tytułem ambasadora nadzwyczajnego do specjalnych poruczeń. Nigdy przedtem nie stał na hiszpańskiej ziemi, nie znał ani słowa w naszym języku i nie przejawiał najmniejszej sympatii do frankistowskiego reżimu, ale Churchill darzył go pełnym zaufaniem i namówił na przyjęcie owej zaszczytnej funkcji. Hiszpania miała dla przebiegu wojny znaczenie kluczowe, więc chciał tu mieć silnego człowieka, wysoko dzierżącego narodowy sztandar. Dobro interesów brytyjskich wymagało, by Franco zachował postawę neutralną, respektował niezależność Gibraltaru i nie oddał portów atlantyckich w ręce Niemców. Chcąc wymusić na nim współpracę, Anglia ograniczyła dostawy ropy naftowej do wygłodniałej Hiszpanii, stosując brutalną taktykę kija i marchewki, co jednak w obliczu zwycięskiego marszu Niemców przez całą niemal Europę okazało się niewystarczające: trzeba było sięgnąć po skuteczniejsze środki nacisku i zwiększyć aktywność dyplomatyczną w Madrycie. Z taką misją wpisaną do notesu wylądował w stolicy ów niepozorny, wąty mężczyzna – sir Sam dla najbliższych współpracowników, don Samuel dla tych nielicznych Hiszpanów, którzy zostali jego przyjaciółmi.

Hoare bez wielkiego optymizmu obejmował swój urząd: nie podobało mu się miasto, obcy był mu hiszpański temperament,

nie miał żadnych znajomych w owej dziwnej, zdewastowanej przez wojnę krainie, jałowej i wiecznie pokrytej kurzem. Nie spodziewał się też miłego przyjęcia, wiedział bowiem, że rząd generała Franco był jawnie antybrytyjski. A żeby od początku pozbył się wszelkich złudzeń, już w dniu jego przyjazdu falangiści urządzili przed bramą ambasady hałaśliwą demonstrację, która powitała go okrzykiem: „Oddawaj Gibraltar!”.

Z chwilą gdy złożył Generalissimusowi listy uwierzytelniające, jego życie zmieniło się w krętą drogę krzyżową, która trwała przez następne cztery lata, aż do końca kadencji. Setki razy żałował, że w ogóle przyjął tę funkcję. Otoczony powszechną niechęcią, czuł się w Madrycie wyjątkowo źle, tak źle jak nigdy dotąd w całej swojej dyplomatycznej karierze. Atmosfera była duszna, skwar nie do zniesienia. Wiece falangistów przed jego rezydencją stały się chlebem powszednim: ciskali kamieniami w okna, zrywali flagi i tablice ze służbowych samochodów, obrzucali obelgami personel ambasady, a siły porządkowe nie kiwnęły nawet palcem. Prasa rozpętała agresywną kampanię, obciążając Wielką Brytanię winą za panujący w Hiszpanii głód. Osoba ambasadora budziła sympatię jedynie pozbawionej politycznych wpływów garstki konserwatywnych monarchistów, tęskniących do powrotu królowej Wiktorii Eugonii i tkwiących głęboko w bezpowrotnie minionej przeszłości.

Czuł się osamotniony, poruszał się po omacku, w kompletnych ciemnościach. Madryt go przytłaczał: powolne

działanie biurokratycznej maszyny władzy paraliżowało wszelkie inicjatywy ambasadora, który w osłupieniu kontemplował ulice pełne uzbrojonych po zęby policjantów i falangistów, z przerażeniem patrząc na rozpanoszonych Niemców, którzy robili w tym kraju, co chcieli. Przewyciężając niesmak, przystąpił do pełnienia obowiązków i zaraz po przyjeździe nawiązał kontakty z rządem, czyli z trzema najważniejszymi w państwie osobami: generałem Franco, Serrano Suñerem i Beigbederem.

Ze wszystkimi trzema się spotkał, wszystkich trzech wysondował i otrzymał trzy niepokojąco różne odpowiedzi.

Audiencja u Generalissimusa odbyła się w El Pardo<sup>27</sup> w słoneczny letni dzień. Mimo to Franco przyjął go przy zaciągniętych zasłonach i elektrycznym świetle, siedząc za biurkiem, na którym wyzywająco pyszniły się wielkie fotografie z odręcznymi dedykacjami Hitlera i Mussoliniego. W trakcie owego ortoptycznego spotkania, kiedy to mówili na zmianę za pośrednictwem tłumacza, bez jakiegokolwiek możliwości rzeczywistego dialogu, Hoare'a uderzyło zdumiewające zadufanie szefa państwa, święcie wierzącego, iż został wybrany przez Opatrzność, by zbawić ojczyznę i stworzyć nowy świat.

Z Generalissimusem poszło mu źle, ale z Serrano Suñerem jeszcze gorzej. Potęga „Szwagrossimusa” zajaśniała pełnym blaskiem, miał w swoim ręku cały kraj: Falangę, prasę, policję i nieograniczony prywatny dostęp do Caudilla, którym – jak powszechnie przypuszczano – trochę gardził jako człowiekiem dość miernego intelektu. Podczas gdy Franco, zamknięty w murach pałacu El Pardo, pokazywał się rzadko, Serrano zdawał

się wszechobecny. Wszędzie wtykał swoje trzy grosze. Jakże różnił się od tamtego wykwintnego, dyskretnego mężczyzny, który odwiedził Protektorat w czasie wojny, tego, który schylił się po moją puderniczkę i którego skarpetki długo kontemplowałam zza kanapy. Jakby wraz z nastaniem reżimu narodził się nowy Ramon Serrano Suñer: niecierpliwy, arogancki, szybki jak błyskawica w słowach i czynach, z tymi zawsze czujnymi kocimi oczami, z białymi włosami zaczesanymi do tyłu jak u filmowego amanta, z torsem opiętym mocno wykrochmaloną niebieską koszulą falangisty. Sztywny, baczny, traktujący z wyższością przedstawicieli państw, które określał pogardliwie mianem „plutodemokracji”. Ani podczas tego inauguracyjnego spotkania, ani w trakcie wielu innych, jakie potem musieli odbyć Hoare i Serrano, nigdy nie potrafili się zdobyć na choćby odrobinę empatii.

Jedynym spośród owych trzech dygnitarzy, z którym ambasador nawiązał nić porozumienia, był Beigbeder. Od pierwszej wizyty Hoare'a w pałacu Santa Cruz znaleźli wspólny język. Minister słuchał, działał, starał się naprawiać to, co zepsute, i rozplątywać, co zasupłane. Zadeklarował się jako gorący zwolennik neutralności Hiszpanii, przedstawił otwarcie ogrom potrzeb i dramatyczną sytuację cierpiącego głód kraju, negocjował do upadłego umowy i pakty, które mogłyby ulżyć doli ludu. Prawdą jest, iż z początku wydawał się sir Samuelowi postacią nieco zbyt malowniczą, być może nawet ekscentryczną i z racji swej wrażliwości, kultury, manier oraz ironii zupełnie nieprzystającą do brutalności owego Madrytu, który wznosił ręce w faszystowskim pozdrowieniu na cześć swego wodza.

Beigbeder, zdaniem Hoare'a, musiał się czuć nieswojo, patrząc na agresywność Niemców, fanfaronadę falangistów, autorytaryzm własnego rządu i nędzę mieszkańców stolicy. W owym świecie szaleńców był kimś anormalnym i zapewne dlatego budził sympatię brytyjskiego ambasadora, stał się dlań balsamem na sińce po razach otrzymanych od partyjnych towarzyszy owego szczególnego ministra o afrykańskiej duszy. Oczywiście, istniały między nimi rozbieżności: odmienne punkty widzenia i sporne działania dyplomatyczne – protesty, skargi i dziesiątki kryzysów, które wspólnie starali się zażegnać. Jak wtedy, gdy w czerwcu hiszpańskie wojska zajęły Tanger i jednym pociągnięciem pióra odebrano mu status miasta międzynarodowego. Jak wtedy, gdy zamierzano wydać zgodę na niemiecką defiladę na ulicach San Sebastián. Jak podczas tylu innych napięć w owych czasach chaosu i upadku. Pomimo to stosunki pomiędzy Beigbederem i Hoare'em zacieśniały się z każdym dniem, a przyjaźń ta stała się dla ambasadora jedynym schronieniem na owej burzliwej hiszpańskiej ziemi, gdzie problemy pleniły się jak chwasty.

W miarę jak kraj przystosowywał się do nowej rzeczywistości, Hoare uświadamiał sobie ogromny zasięg niemieckich wpływów na Półwyspie, obecnych w niemal każdej dziedzinie życia publicznego. Przedsiębiorcy, urzędnicy, przedstawiciele handlowi, producenci filmów, ludzie najróżniejszych zawodów, mający bliskie kontakty z władzą, byli agentami w służbie nazistów. Wkrótce zrozumiał też, że mają w garści media. Biuro prasowe ambasady niemieckiej, przy pełnej akceptacji Serrano Suñera, decydowało każdego

dnia, jakie informacje na temat Trzeciej Rzeszy publikowano w Hiszpanii i w jakich słowach ją przedstawiano, traktując wszystkie hiszpańskie gazety niczym tubę propagandową. Szczególnie agresywną i jawnie bezczelną agitację szerzył dziennik „Arriba”, organ Falangi, który zagarnął większość papieru, będącego w owych ponurych czasach towarem deficytowym. Rozpętano bezprzykładną nagonkę na Brytyjczyków, uciekając się do kłamstw, obelg i przewrotnej manipulacji. Churchill był stałym tematem złośliwych karykatur, a Imperium Brytyjskie – przedmiotem nieustannych drwin. Najzwyklejszy wypadek w fabryce lub katastrofę pociągu pocztowego w jakiejkolwiek hiszpańskiej prowincji przypisywano natychmiast sabotażowi perfidnych Anglików. Skargi ambasadora na tego rodzaju insynuacje trafiały w próżnię, wpadając w przysłowiowy worek bez dna.

Podczas gdy sir Samuel Hoare przywykał pomału do nowej placówki, antagonizm pomiędzy ministerstwami Rządu i Spraw Zagranicznych stawał się coraz bardziej widoczny. Wszechwładny Serrano, chcąc wpoić wszystkim przekonanie, iż tylko w jego rękach oba resorty będą działały jak należy, zorganizował oszczerczą kampanię, rozpuszczając złośliwe plotki na temat Beigbedera. Gdy zatem gwiazda dawnego Wysokiego Komisarza spadała jak kamień w wodę, Franco i Serrano, Serrano i Franco, dwaj kompletni ignoranci w polityce międzynarodowej, którzy nie widzieli świata nawet przez dziurkę od klucza, popijali w El Pardo gorącą czekoladę z grzankami i ręka w rękę, ze śmiałością, jaką dają jedynie



niewiedza i buta, kreślili na podwieczorkowym obrusie zuchwałę plany nowego światowego porządku.

Aż wreszcie Beigbeder powiedział: dość. Chcieli go usunąć i on o tym wiedział. Chcieli się go pozbyć, dać mu kopniaka w tyłek i wyrzucić na ulicę: już nie był im potrzebny do ich chwalebnej krucjaty. Wyrwali go z afrykańskiej ziemi, z jego Maroka szczęśliwego, proponując wysokie stanowisko, by potem związać mu ręce i zakneblować usta. Nie liczyli się z jego zdaniem, możliwe, że nawet o nie nigdy nie pytali. Nie pozwalali mu na żadną samodzielną inicjatywę, potrzebowali tylko jego nazwiska na ministerialnej tece, oczekiwali, że będzie zwykłym urzędnikiem, służalczym, tchórzliwym i niemym. A mimo to uszanował hierarchię władzy: pracował, niestrudzony, wykonując ich polecenia i mężnie znosząc szykany, jakich nie szczędził mu Serrano. Zaczęło się od delikatnego deptania po odciskach, od lekkich kuksańców: posuń się trochę, zrób miejsce dla mnie. Kuksańce wkrótce zmieniły się w upokarzające bicie po łbie. Bicie po łbie w kopniaki, a kopniaki w ciosy sztyletem pod zebro. Kiedy Beigbeder wyczuł, że następnym posunięciem będzie rzut na deski, nie wytrzymał.

Był zmęczony, dość miał impertynencji i buty „Szwagrossimusa”, obskuranckiej postawy Franco; dość płynięcia pod prąd i ostracyzmu, dość sterowania okrętem, który już w chwili rozpoczęcia rejsu obrał błędny kurs. Dlatego też powiedział sobie: raz kozie śmierć. Nadeszła chwila, żeby jego dyskretna dotąd przyjaźń z Hoare'em ujrzała światło dzienne i stała się faktem publicznym; żeby wyszła z zacisza gabinetów i prywatnych salonów, w których dotychczas się

ukrywała. Pod sztandarem owej przyjaźni wyruszył na ulice, demonstracyjnie, w biały dzień. Pod gołym niebem, w niemiłosiernym skwarze letniego słońca. Zaczęli jadać razem niemal codziennie, w miarę możliwości na widoku, w najliczniej odwiedzanych restauracjach. Potem, niby dwaj Arabowie po wąskich zaułkach tetuańskiej medyny, spacerowali pod rękę ulicami Madrytu ostentacyjnie wolnym krokiem, a Beigbeder zwracał się do ambasadora per „mój bracie Samuelu”. Beigbeder samowolny, Beigbeder donkiszot i prowokator. Jeden dzień, drugi, trzeci za pan brat z wysłannikiem wroga, jawnie lekceważąc Niemców i germanofilów. I tak przechadzali się przed Generalnym Sekretariatem Ruchu<sup>28</sup> na ulicy Alcalá, przed redakcją dziennika „Arriba” i przed ambasadą niemiecką na La Castellana oraz przed wejściem do Palace i Ritza, gniazda nazistowskich szerszeni. Żeby wszyscy zobaczyli na własne oczy komitywę frankistowskiego ministra i ambasadora dywersantów. Tymczasem Serrano, na skraju załamania nerwowego, z nawrotem wrzodów żołądka, krążył wielkimi krokami po swoim gabinecie, rwąc włosy z głowy i usiłując dociec w bezsilnej złości, co ten szaleniec Beigbeder zamierza osiągnąć swoim lekkomyślnym postępowaniem.

Mimo że Rosalindzie udało się obudzić w nim nikłą sympatię do Wielkiej Brytanii, minister nie był aż tak nierozsądny, by ulegając romantycznym mrzonkom, rzucić się w ramiona obcego kraju jak co noc w ramiona kochanki. To prawda, polubił trochę jej rodaków. Ale to przecież nie powód, żeby dla przyjaźni z Hoare'em spalić za sobą wszystkie mosty. Być może postępował tak dlatego, że był idealistą, a sprawy w Nowej

Hiszpanii potoczyły się inaczej, niż to sobie wymarzył. A może tylko w ten sposób mógł zademonstrować swój sprzeciw wobec planu włączenia jego kraju do wojny po stronie państw Osi. Niewykluczone też, że robił to na złość człowiekowi, który go upokorzył, choć mieli pracować ramię w ramię, żeby podnieść ojczyznę z ruin. Tę ojczyznę, którą obaj z takim zapałem zburzyli. Najprawdopodobniej jednak zbliżył się z Hoare'em, ponieważ czuł się samotny, straszliwie samotny w otaczającej go atmosferze szyderstwa i wrogości.

O tym wszystkim dowiadywałam się z obszernych i częstych listów Rosalindy. Wyczerpana bogatym życiem towarzyskim, musiała spędzać w łóżku długie godziny, które poświęcała na odrabianie zaległej korespondencji. Te listy weszły nam w zwyczaj, łączyły nas niewidzialną nicią bez względu na upływ lat i miejsce pobytu. Pod koniec sierpnia 1940 roku napisała, że madryckie gazety zapowiadają rychłą dymisję ministra spraw zagranicznych. Na to jednak musiałyśmy poczekać jeszcze kilka tygodni – sześć, może siedem. W tym czasie nastąpiły wydarzenia, które na zawsze zmieniły moje życie.

## 36

Odkąd moja matka przyjechała do Tetuanu, spędzałam dużo czasu na czytaniu. Kładła się wcześniej, Félix rzadko do mnie zaglądał i wieczory zaczęły mi się dłużyć. Aż któregoś dnia wpadł na pomysł, jak zapełnić owe puste godziny. Pomysł nosił imiona dwóch kobiet, wypisane na okładce książki: *Fortunata i Hiacynta*. Odtąd każdą wolną chwilę poświęcałam na lekturę wszystkich powieści, jakie były w domu mojego sąsiada.

Uporałam się z nimi w ciągu kilku miesięcy, a potem zaczęłam myszkować po półkach Biblioteki Protektoratu. Kiedy lato 1940 roku dobiegało końca, zaliczyłam już około trzydziestu tytułów i zaniepokoiłam się, że wkrótce nie będę miała co robić. Wówczas, niespodziewanie, do moich rąk dotarł pewien tekst – nie w formie książki, ale telegramu na błękitnym papierze. Nie miał też żadnej wartości literackiej, choć jego lektura dała mi wiele radości: „Osobiste zaproszenie. Prywatne spotkanie. Przyjaciele z Madrytu czekają. Tanger. Pierwszy września. Siódma wieczór. Dean's Bar”.

Aż mnie ścisnęło w dołku, a mimo to nie mogłam powstrzymać śmiechu. Wiedziałam, od kogo ta depesza, nie musiałam patrzeć na podpis. Nagle powróciły wspomnienia: muzyka, śmiech, koktajle, obcojęzyczne słowa, drobne perypetie, wycieczki kabrioletem, chęć do życia. Porównałam owe minione dni ze spokojem, w jakim upływały mi monotonne tygodnie, wśród przymiarek i szycia, powieści radiowych w odcinkach i wieczornych spacerów z matką. Jedynymi umiarkowanie emocjonującymi przeżyciami były wypadki do kina w towarzystwie Félix'a oraz dole, niedole i miłości bohaterów książek, które pochłaniałam nocami, żeby zabić nudę. Kiedy zatem dowiedziałam się, że Rosalinda czeka na mnie w Tangerze, aż podskoczyłam z radości. Znowu miałam o czym marzyć i mogłam się rzucić w wir życia, choćby na krótko.

Przybyłam punktualnie, jednak w barze hotelu El Minzah nie było o tej porze żadnego spotkania. Przy stolikach zobaczyłam grupki nieznanymi mi ludźmi. Kilka osób samotnie sączyło

koktajle przy barze, za którym wcale nie stał Dean. Pianista nie grał, nastrój był dość ospały, jakże różny od tego, który zapamiętałam z dawniejszych czasów. Usiadłam w kącie sali, żeby poczekać, i odprawiłam kelnera. Dziesięć po siódmej, kwadrans po siódmej, dwadzieścia po siódmej. Cisza, spokój. O wpół do ósmej podeszłam do baru i zapytałam o Deana. Już tu nie pracuje, usłyszałam. Otworzył własny interes, Dean's Bar. Gdzie? Na rue Amerique du Sud. Wybiegłam pędem. W dwie minuty byłam na miejscu, oba lokale dzieliło niecałe sto metrów. Dean, chudy i smagły jak dawniej, zauważył mnie, gdy tylko moja sylwetka zarysowała się na tle drzwi. W barze panowała ożywiona atmosfera: klientów niezbyt wielu, ale rozmowy były głośniejsze niż w El Minzah, swobodniejsze, przerywane wybuchami śmiechu. Nie podszedł się przywitać; krótkim spojrzeniem, czarnym jak smoła, wskazał kotarę w głębi sali. Odsunęłam ciężki zielony aksamit i weszłam.

– Spóźniłaś się na moje przyjęcie.

Ani brudne ściany, ani wątłe światło gołej żarówki, ani nawet skrzynki z alkoholem i worki kawy spiętrzone na podłodze nie przytłumiły elegancji i szyku mojej przyjaciółki. Może ona, może Dean, a może oboje, jeszcze przed otwarciem baru, przeobrazili maleńki magazyn w ekskluzywny prywatny salonik. Tak prywatny, że stały tam tylko dwa krzesła oddzielone beczką nakrytą białym obrusem. Na nim kieliszki, shaker, kasetka pełna tureckich papierosów i popielniczka. W kącie, na stercie skrzynek, balansował przenośny gramofon, z którego płynął głos Billie Holiday, śpiewającej *Summertime*.

Nie widziałyśmy się od roku, bo tyle czasu upłynęło od jej wyjazdu do Madrytu. Nadal była wychudzona. Przez przezroczystą skórę przeświecały niebieskawe żyły, a grzywka, jak zwykle, opadała złocistą falą na czoło. Wyraz jej twarzy nie był jednak tak beztroski jak dawniej, inny nawet niż w najcięższych chwilach jej małżeńskiego pożycia i w trudnym okresie późniejszej rekonwalescencji. Nie mogłam uchwycić, na czym dokładnie polegała owa zmiana, ale Rosalinda wydawała się teraz starsza, bardziej dojrzała. Może trochę zmęczona. Z jej listów dowiadywałam się o nieprzyjemnościach, jakie spotykały ją i Beigbedera w stolicy, ale ani słowem nie wspomniała, że wybiera się do Maroka.

Uściskałyśmy się, chichotałyśmy jak pensjonarki, zachwycaliśmy się przesadnie naszymi strojami i znowu wybuchałyśmy śmiechem. Tak bardzo się za nią stęskniłam. Miałam przy sobie matkę, to prawda. I Félixę. I Candelarię. I moją pracownię, a od niedawna – książki. Ale brakowało mi Rosalindy, jej nagłych wizyt nie w porę, jej innego spojrzenia na sprawy tego świata. Jej pomysłów, jej drobnych ekstrawagancji, jej rozwichrzenia i gadatliwości. Byłam ciekawa wszystkiego i zasypałam ją lawiną pytań: jak jej się żyło w Madrycie, jak się miewał Johnny, jak sobie radził Beigbeder, co ją przywiodło z powrotem do Afryki. W odpowiedzi usłyszałam kilka dość błahych anegdotek. Wyraźnie unikała przykrych tematów. A kiedy już dałam jej spokój, napełniła kieliszki i wreszcie postawiła sprawę jasno.

– Przyjechałam, żeby ci zaproponować pracę.

Roześmiałam się.

– Mam już pracę.

– Chcę ci zaproponować inną.

Roześmiałam się znowu i pociągnęłam łyk koktajlu. Pink gin, jakżeby inaczej.

– A co bym miała robić? – zapytałam, odstawiając kieliszek.

– To samo co teraz, ale w Madrycie.

Zrozumiałam, że mówiła poważnie, i uśmiech zamarł mi na ustach.

– Dobrze mi w Tetuanie – odparłam, zmieniając ton. – Idzie mi coraz lepiej. Mojej matce też się tutaj podoba. Mamy sporo zamówień; prawdę mówiąc, myślimy o przyjęciu uczennicy, bo same ledwo dajemy radę. Nie planowałyśmy powrotu do Hiszpanii.

– Nie mówię o twojej matce, Siro, tylko o tobie. Nie ma potrzeby zamykać pracowni w Tetuanie; chodzi o tymczasowe zajęcie. A przynajmniej taką mam nadzieję. Kiedy to wszystko się skończy, będziesz mogła tu wrócić.

– Kiedy co się skończy?

– Wojna.

– Wojna się skończyła rok temu.

– Wasza, tak. Ale wybuchła inna.

Wstała, zmieniła płytę i podkreśliła głośność. Znowu jazz, tym razem tylko orkiestra. Nie chciała, żeby naszą rozmowę było słychać za kotarą.

– Teraz jest nowa, straszna wojna. Mój kraj już do niej przystąpił, a twój może to zrobić lada moment. Juan Luis uczynił wszystko, co było w jego mocy, żeby Hiszpania trzymała się z boku, ale sądząc z rozwoju wydarzeń, to wcale nie będzie

łatwe. Dlatego trzeba za wszelką cenę zmniejszyć niemieckie naciski na wasz rząd. Gdyby nam się powiodło, twój naród nie zostałby wciągnięty w krwawy konflikt, a nasze szanse na zwycięstwo by wzrosły.

Wciąż nie rozumiałam, co miała do tego moja praca, ale słuchałam dalej.

– Juan Luis i ja – ciągnęła – próbujemy przekonać paru przyjaciół, żeby włączyli się w tę sprawę, każdy na miarę swoich możliwości. Nie udało się wpłynąć na rząd od wewnątrz, przez ministerstwo, ale i tak możemy coś zrobić.

– Na przykład co? – zapytałam słabym głosem. Nie miałam pojęcia, co też jej przyszło do głowy. Musiałam mieć zabawną minę, bo wybuchnęła śmiechem.

– *Don't panic, darling*. Nie bój się. Nie mówię o podkładaniu bomb w niemieckiej ambasadzie ani o sabotowaniu wielkich operacji militarnych. Chodzi o rozsądny ruch oporu. Obserwację. Infiltrację. Dyskretne zbieranie informacji *here and there*, tu i tam. Juan Luis i ja nie działamy sami. Nie jesteśmy parą idealistów, poszukujących ryzykantów, którzy chcą się wdać w niepoważną awanturę.

Ponownie napełniła kieliszki i jeszcze pogłośniła muzykę. Zapaliłyśmy papierosy. Usiadła i wbiła we mnie spojrzenie swoich jasnych oczu, szaro podkrążonych, czego przedtem nigdy u niej nie widziałam.

– Pomagamy stworzyć w Madrycie siatkę tajnych współpracowników brytyjskiego Secret Service. Potrzebujemy ludzi niezwiązanych z polityką, dyplomacją i wojskiem. Mało



znanych, którzy pod przykrywką zwyczajnego życia będą zdobywać informacje i przekazywać je SOE.

– Co to jest SOE? – zapytałam.

– Special Operations Executive. Nowa komórka tajnych służb, stworzona przez Churchilla i przeznaczona do działań na obrzeżach wojny. Werbują ludzi w całej Europie. Powiedzmy, że chodzi o nieortodoksyjną działalność szpiegowską. Mało konwencjonalną.

– Nie rozumiem – szepnęłam, bo tylko na tyle mogłam się zdobyć.

Istotnie, nie pojmowałam niczego. Tajne Służby. Konspiratorzy. Działania operacyjne. Szpiegostwo. Infiltracja. W życiu o czymś takim nie słyszałam.

– Cóż, nie myśl sobie, że ja jestem przyzwyczajona do takiej terminologii. Dla mnie też to wszystko jest nowe, musiałam się wiele nauczyć, i to w ekspresowym tempie. Jak pisałam ci w listach, ostatnio Juan Luis zacieśnił stosunki z naszym ambasadorem, sir Samuelem Hoare'em. A teraz, kiedy jego dni w ministerstwie są policzone, postanowili działać wspólnie. Hoare nie nadzoruje jednak bezpośrednio operacji tajnych służb w Madrycie. Powiedzmy, że nad nimi czuwa, jest ostatnim ogniwem w łańcuchu odpowiedzialności. Ale niczym nie kieruje osobiście.

– A kto to robi?

Miałam nadzieję usłyszeć, że ona. Chciałam wierzyć, że to tylko żarty. Pośmiałybyśmy się razem, a potem zjadły wreszcie jakąś kolację i poszły potańczyć do Villa Haris, jak za dawnych dobrych czasów. Niestety.

– Alan Hillgarth – odpowiedziała. – Nasz *naval attaché*, attaché marynarki wojennej w ambasadzie brytyjskiej, on się tym wszystkim zajmuje. To wyjątkowy człowiek, marynarz z dziada pradziada, żonaty z arystokratką, która też jest zaangażowana w naszą sprawę. Przyjechał do Madrytu razem z Hoare'em, żeby pod przykrywką dyplomacji koordynować działalność SOE i SIS, Secret Intelligence Service.

SOE – Special Operations Executive, SIS – Secret Intelligence Service. I jedno, i drugie brzmiało dla mnie równie obco. Poprosiłam, żeby mi to wyjaśniła.

– SIS – Secret Intelligence Service, znane też jako MI Six – Directorate of Military Intelligence, Section Six. Wydział szósty wywiadu wojskowego, agencja zajmująca się operacjami tajnych służb poza granicami Wielkiej Brytanii. Szpiegostwem, mówiąc krótko. Powstała jeszcze przed Wielką Wojną, a jej personel, przeważnie pod przykrywką wojskową lub dyplomatyczną, infiltruje za pośrednictwem wpływowych obywateli struktury władzy w kraju zainteresowania. SOE z kolei istnieje od niedawna. Działa w sposób bardziej ryzykowny, ponieważ wykorzystuje nie tylko zawodowców, co zresztą pozwala na znacznie większą elastyczność. To służba dostosowana do wyzwań nowych czasów. Są otwarci na współpracę z każdym, kto może im się przydać. To nowa służba, więc Hillgarth potrzebuje agentów. Natychmiast. W tym celu przeprowadza dyskretny wywiad wśród zaufanych osób, które mogą skontaktować go z ludźmi chętnymi do pomocy. Powiedzmy, że Juan Luis i ja jesteśmy właśnie takimi pośrednikami. Hoare przyjechał stosunkowo niedawno, prawie

nikogo nie zna. Hillgarth w czasie wojny domowej był wicekonsulem na Majorce, ale w Madrycie również jest nowy i wciąż stąpa po niepewnym gruncie. Juan Luis dał się już poznać jako minister otwarcie sprzyjający Anglikom, a ja jestem obywatelką brytyjską, dlatego też nie proponowano nam, żebyśmy się zaangażowali bezpośrednio. Z założenia jesteśmy podejrzani.

Ale zwrócono się do nas z prośbą o znalezienie odpowiednich kontaktów. Zastanawiamy się nad kilkorgiem naszych przyjaciół. Między innymi pomyśleliśmy o tobie. Dlatego przyjechałam.

Wolałam nie pytać, czego dokładnie ode mnie oczekuje. Wiedziałam, że i tak sama mi powie. Przerazona tym, co za chwilę miałam usłyszeć, postanowiłam na wszelki wypadek napełnić kieliszki. Niestety, shaker był już pusty. Wstałam i zaczęłam szperać w stercie skrzynek pod ścianą. Wyjęłam butelkę czegoś, co okazało się whisky, odkorkowałam i pociągnęłam długi łyk. Podałam flaszkę Rosalindzie, która poszła w moje ślady. Potem ona mówiła dalej, a ja znowu się napiłam.

– Pomyśleliśmy, że mogłabyś otworzyć pracownię w Madrycie i szyć dla żon nazistowskich oficjeli.

Poczułam, że ściska mnie w gardle. Zachłysnęłam się i wyplułam nieprzełkniętą whisky, która rozprysła się na wszystkie strony. Otarłam usta wierzchem dłoni. Kiedy już mogłam mówić, wykrztusiłam tylko trzy słowa:

– Jesteście zdrowo szurnięci.

Udała, że nie słyszy, i ciągnęła, niezrażona:

– Ubierały się dawniej w Paryżu, ale od maja, odkąd wojska niemieckie zajęły Francję, zamknięto większość salonów *haute couture*. Wielcy krawcy nie chcą pracować w okupowanym mieście. Maison Vionet, Maison Chanel przy rue Chambon, sklep Schiaparelli na Place Vendôme... nie ma już prawie nikogo.

Sławne nazwiska, moje zdenerwowanie, koktajle i whisky, wszystko to razem sprawiło, że parsknęłam pijackim chichotem.

– I chcesz, żebym ja ich zastąpiła? W Madrycie? – wychrypiałam, z trudem łapiąc oddech.

Chyba nie widziała w tym nic śmiesznego, bo odparła z niezmaconą powagą:

– Mogłabyś spróbować na miarę swoich możliwości i na mniejszą skalę. To doskonały moment, bo wybór mają niewielki: Paryż jest *out of the question*, a Berlin za daleko. Albo się będą ubierać w Madrycie, albo nie pokażą się w modnych kreacjach, a sezon tuż. Dla nich to by była tragedia, bo istotą ich egzystencji jest życie towarzyskie. Dowiadywałam się... madryckie salony wznawiają działalność, już przygotowują kolekcje na jesień. Chodziły nawet plotki, że Balenciaga chce znowu otworzyć swoje atelier, ale podobno zrezygnował. Tu mam nazwy tych, które na pewno ruszą – powiedziała, wyjmując z kieszeni żakietu złożoną na pół karteczkę. – Flora Villareal, Brígida w alei San Jerónimo trzydzieści siedem, Natalio na Lagasca osiemnaście, Madame Raguette na Bárbara de Braganza dwa, Pedro Rodríguez na Alcalá sześćdziesiąt dwa, Cottret na Fernando VI pod ósmym.

Niektóre nazwy brzmiały znajomo, inne nie. Powinna się znaleźć wśród nich doña Manuela, ale Rosalinda jej nie wymieniła, prawdopodobnie zakład już nie istniał. Kiedy skończyła odczytywać listę, podarła kartkę na drobne kawałeczki i wrzuciła do popielniczki pełnej niedopałków.

– Mimo że nie szcędzą wysiłków, by przygotować nowe kolekcje i wspaniałe projekty, wszystkich dręczy ten sam problem: ograniczone możliwości. Dlatego mają małe szanse na sukces.

– Jaki problem?

– Brak tkanin, absolutny brak tkanin. Ani Hiszpania, ani Francja nie produkują już na potrzeby wielkich krawców; fabryki nastawione są na zaspokojenie podstawowych potrzeb ludności i zamówień wojska. Z bawełny szyje się mundury, z lnianych nici bandaże. Moda zeszła na drugi plan. Ale dla ciebie to żaden kłopot, mogłabyś przywozić materiały z Tangeru. Tutaj nadal działa handel, nie ma problemów z importem, jak na Półwyspie. Można sprowadzać towary z Ameryki i Argentyny, są też spore zapasy z poprzednich lat: tkaniny francuskie, angielskie wełny, indyjskie i chińskie jedwabie, tylko brać, wybierać. A gdybyś potrzebowała czegoś jeszcze, znajdziemy jakiś sposób. Jeśli przyjedziesz do Madrytu z materiałami i pomysłami, a ja puszcę w ruch swoje kontakty, możesz zostać krawcową sezonu. Nie będziesz mieć konkurencji, Siro. Jako jedyna dasz im to, czego chcą: szyk, blask, blichtr absolutny, jakby cały świat był wielką salą balową, a nie krwawym polem bitwy, w które sami go zmienili. A Niemki, wszystkie co do jednej, zlecą się do ciebie jak sępy.

– Ale będą mnie kojarzyć z tobą... – powiedziałam, chwytając się pierwszego lepszego pretekstu, byle tylko nie dać się wciągnąć w ów szaleńczy plan.

– A niby dlaczego? Nie ma najmniejszego powodu. Większość madryckich Niemek jest w Hiszpanii od niedawna i nie ma żadnych kontaktów z tymi, które mieszkają w Maroku. Nikt nie musi wiedzieć, że się znamy. A to, że szłaś dla ich rodaczek w Tetuanie, bardzo ci pomoże: znasz ich gust i wymagania, wiesz, jak z nimi rozmawiać.

Kiedy to mówiła, zamknęłam oczy i tylko milcząco kręciłam głową. Na kilka chwil przeniosłam się myślami do pierwszych dni mojego pobytu w Tetuanie, do owej nocy, gdy Candelaria pokazała mi pistolety i powiedziała, że chce je sprzedać, aby sfinansować nasze atelier. Ogarnęła mnie teraz taka sama panika, a sceneria również była znajoma – dwie kobiety ukryte w ciasnym pokoju: jedna przedstawiała ryzykowny, choć starannie przemyślany plan, druga, przerażona, odmawiała swojego w nim udziału... Z jedną różnicą. Ogromną. Propozycja Rosalindy miała zupełnie inną skalę.

Dźwięk jej głosu sprawił, że powróciłam do teraźniejszości i z nędznej izdebki w pensjonacie na La Luneta przeniosłam się znów do klitki na zapleczu baru Deana.

– Zrobimy z ciebie sławę. Mam dobre stosunki w kręgach, które nas interesują w Madrycie, ktoś komuś coś szepnie, ktoś inny powtórzy i nikt cię nie powiąże z moją osobą. SOE weźmie na siebie początkowe koszty: zapłaci za odpowiedni lokal, wyposażenie pracowni, tkaniny i dodatki. Juan Luis zajmie się urzędem celnym, załatwi konieczne pozwolenia na przywóz

towarów z Tangeru, a trzeba będzie sprowadzić tego sporo, bo kiedy odejdzie z ministerstwa, będzie o wiele trudniej. Wszystkie zyski pójdą na twoje konto. Ty będziesz robić to samo co w Maroku, ale musisz mieć uszy i oczy otwarte, słuchać uważnie, co mówią klientki. Nie tylko Niemki, także Hiszpanki z kręgów powiązanych z nazistami, o ile uda się nam je ściągnąć. Niemki mają dużo wolnego czasu i pieniędzy, twoje atelier może się stać dla nich miejscem spotkań. Dowiesz się, gdzie bywają ich mężowie, z kim się spotykają, co zamierzają, kto do nich przyjeżdża z Niemiec.

– Słabo mówię po niemiecku.

– Wystarczy, żeby czuły się u ciebie swobodnie. *Enough.*

– Znam tylko liczby, kolory, dni tygodnia, umiem się przywitać i wydukać kilka zdań, nic więcej – obstawałam przy swoim.

– Nieważne. Pomyśleliśmy o tym. Mamy kogoś, kto ci pomoże. Ty będziesz tylko musiała zbierać informacje i przekazywać je dalej.

– Jak?

Wzruszyła ramionami.

– To ci powie Hillgarth, kiedy już się zgodzisz. Ja nie znam szczegółów operacyjnych. Na pewno coś wymyślą.

Znów pokręciłam głową, tym razem bardziej stanowczo.

– Nie zgodzę się, Rosalindo.

Zapaliła następnego papierosa i zaciągnęła się mocno.

– Dlaczego? – zapytała, wydmuchując dym.

– Bo nie – powiedziałam twardo. Miałam tysiąc powodów, żeby nie pakować się w to wariactwo, ale wolałam streścić je

wszystkie w jednym krótkim słowie. Nie. Nie i już. Nie zrobię tego. Odmawiam kategorycznie. Pociągnęłam kolejny łyk z butelki whisky. Smakowała wspaniale.

– Ale dlaczego, *darling*? Boisz się, *right*? – mówiła teraz cichym, pewnym głosem. Muzyka ucichła; słychać było tylko skrobanie igły o płytę, śmiechy i szmer rozmów dobiegający zza kotary. – Wszyscy się boimy, wszyscy umieramy ze strachu – szepnęła. – Ale to nie jest żadne usprawiedliwienie. Nie możemy siedzieć z założonymi rękami, Siro. Musimy pomóc. Ty, ja, wszyscy – każdy na miarę swoich możliwości. Musimy dorzucić własne ziarnko piasku, żeby powstrzymać ten obłęd.

– Poza tym ja nie mogę wrócić do Madrytu. Czeka mnie proces. Przecież wiesz.

Wciąż nie oczyszczono mnie z zarzutów postawionych w czasach, kiedy byłam z Ramirem. Od zakończenia wojny rozmawiałam o tym parę razy z komisarzem Vazquezem. Próbował się czegoś dowiedzieć, ale nic z tego nie wyszło. W Madrycie nadal panuje chaos, poczekajmy, dajmy im trochę czasu, niech się to wszystko uspokoi, powtarzał. Więc czekałam, bo przecież nie miałam zamiaru wracać. Rosalinda знаła moją sytuację, sama jej opowiedziałam.

– O tym również pomyśleliśmy. I o tym, że musisz być kryta, bo mogą się pojawić kłopoty. Nasza ambasada nie może ci zapewnić żadnej ochrony, a jako obywatelka hiszpańska ponosisz wielkie ryzyko, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Ale Juan Luis wpadł na pewien pomysł.

Chciałam zapytać jaki, ale nie mogłam wydobyć głosu. Nie musiałam. Sama mi to od razu wyjaśniła.



– Może ci załatwić marokański paszport.

– Fałszywe dokumenty – dodałam.

– Nie, *sweetie*. Prawdziwe. Nadal ma tu oddanych przyjaciół. Za kilka godzin możesz zostać obywatelką marokańską. Pod innym nazwiskiem, *obviously*.

Wstałam. Zauważyłam, że z trudem utrzymuję równowagę. W moim umyśle, w kałużach ginu i whisky, hałaśliwie bulgotały niepokojące słowa: tajne służby, agenci, zadania. Fałszywe nazwisko, marokański paszport. Oparłam się o ścianę i spróbowałam odzyskać spokój.

– Rosalindo, nie. Przestań już. Nie mogę się zgodzić.

– Nie musisz decydować natychmiast. Przemyśl to sobie.

– Nie ma o czym myśleć. Która godzina?

Spojrzała na zegarek; chciałam zrobić to samo, lecz cyfry rozplywały mi się przed oczami.

– Za kwadrans dziesiąta.

– Muszę wracać do Tetuanu.

– Zamówiłam samochód na dziesiątą, ale chyba nie powinnam cię wypuścić w tym stanie. Zostań na noc w Tangerze.

Zamówię pokój w El Minzah i poproszę, żeby zawiadomili twoją matkę.

Łóżko, w którym mogłabym zasnąć i zapomnieć o tej strasznej rozmowie, było bardzo kuszącą wizją. Wielkie łoże z białą pościelą, w pięknym pokoju, gdzie mogłabym się obudzić nazajutrz i odkryć z ulgą, że spotkanie z Rosalindą było tylko koszmarnym snem. Dziwacznym, nierzeczywistym snem.

Nagle, w jakimś zakamarku mózgu, pojawił się przebłysk świadomości.

– Nie mogą zawiadomić mojej matki. Przecież wiesz, że nie mamy telefonu.

– Ktoś zadzwoni do Félixu Arandy, a on jej powie. Wszystkim się zajmę. Jutro ktoś podjedzie po ciebie do hotelu i z samego rana wrócisz do Tetuanu.

– A ty gdzie się zatrzymałaś?

– U przyjaciół z Anglii, na rue de Hollande. Nie chcę, żeby ktoś się dowiedział, że jestem w Tangerze. Przywieźli mnie tu autem spod jednych drzwi pod drugie, nawet nie postawiłam nogi na ulicy.

Milczała przez kilka chwil, a potem odezwała się szeptem. Jeszcze ciszej, jeszcze poważniej.

– Nie jest dobrze, Siro. Mamy kłopoty, Juan Luis i ja. Bez przerwy nas śledzą.

– Kto? – zapytałam schrypniętym głosem.

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Wszyscy. Policja. Gestapo. Falanga.

Strach uszedł ze mnie wraz z pytaniem, cichym, niemal aksamitnym:

– A mnie też będą śledzić?

– Nie wiem, *darling*. Nie wiem.

Uśmiechała się znowu, już radośniej, lecz w kącikach jej ust wciąż się czaiła odrobina gorzkości.

Ktoś zadzwonił do drzwi i wszedł, nie czekając na pozwolenie. Spod na wpół przymkniętych powiek dostrzegłam w półmroku pokojówkę z tacą. Postawiła ją gdzieś poza moim polem widzenia i rozsunała zasłony. Pokój zalało jasne światło. Nakryłam głowę poduszką, która stłumiła głośniejsze dźwięki, ale docierające do moich uszu szmery pozwalały mi śledzić poczynania nieproszonego gościa. Brzęk stawianej na spodku filiżanki, bulgotanie gorącej kawy w ekspresie, skrobanie noża o smarowaną masłem grzanekę. Kiedy wszystko umilkło, pokojówka podeszła do łóżka.

– Dzień dobry, panienko. Śniadanie czeka. Trzeba wstawać, za godzinę pojedzie samochód.

W odpowiedzi wydałam z siebie nieokreślony pomruk. Chciałam powiedzieć: dziękuję, wiem, dajcie mi święty spokój. Chyba do niej nie dotarło, iż mam zamiar spać dalej, bo udała, że nie słyszy.

– Poproszono mnie, żebym nie ruszyła się stąd, dopóki pani nie wstanie.

Mówiła po hiszpańsku z hiszpańskim akcentem. Po wojnie do Tangeru zjechało mnóstwo republikanów, prawdopodobnie była córką jednego z nich. Fuknęłam znowu i odwróciłam się na drugi bok.

– Proszę, niechże panienka wstanie. Wystygną grzanki, kawa będzie zimna.

– Kto cię przysłał? – zapytałam spod poduszki.

Mój głos brzmiał jak z dna jaskini, może z powodu pierza, oddzielającego mnie od reszty świata, a może były to katastrofalne skutki ostatniej nocy. Nagle zdałam sobie sprawę

z własnej śmieszności. Co taka dziewczyna mogła wiedzieć? Ja za to wiedziałam swoje.

– Kucharka. Jestem pokojówką z tego piętra.

– Więc idź już wreszcie.

– Nie pójdę, dopóki panienka nie wstanie.

Uparta baba. Sterczała nade mną jak kat nad dobrą duszą.

Zrezygnowana, odkryłam twarz i odgarnęłam włosy. Odrzuciwszy kołdrę, spostrzegłam, że mam na sobie cudzą koszulę w morelowym kolorze. Dziewczyna czekała, trzymając szlafroczek od kompletu. Nie chciało mi się pytać, czyje to rzeczy, bo skąd niby miała wiedzieć. Uznałam, że widocznie Rosalinda zatroszczyła się, abym miała w czym spać. Ale chyba zapomniała o kapciach. Boso poczłapałam do okrągłego stolika nakrytego do śniadania. Zaburczało mi w brzuchu.

– Mleka, proszę panienki? – zapytała pokojówka, kiedy usiadłam.

Kiwnęłam głową, bo w ustach miałam spory kawałek grzanki. Byłam głodna jak wilk; przypomniałam sobie, że nie jadłam kolacji.

– Za pozwoleniem, może przygotuję kąpiel?

Nie zdążyłam przełknąć, więc znowu kiwnęłam głową i po chwili usłyszałam wartki szum wody w kranie. Dziewczyna wróciła.

– Dziękuję, możesz już iść. Powiedz, komu trzeba, że już wstałam.

– Powiedziano mi, żebym uprasowała ubranie, kiedy panienka będzie jadła.

Odgryzłam kolejny kęs grzanki i ponownie wyraziłam milczącą zgodę. Zabrała moje rzeczy, skłębione w nieładzie na fotelu.

– Czy panienka jeszcze czegoś sobie życzy? – upewniła się przed wyjściem.

Z pełnymi ustami przystawiłam palec do skroni, jakbym chciała się zastrzelić. Spojrzała na mnie spłoszona i dopiero teraz zauważyłam, że to prawie dziecko.

– Coś od bólu głowy – powiedziałam.

Tym razem to ona kiwnęła głową i czmychnęła bez słowa, chcąc zapewne uciec czym prędzej z pokoju wariatki, za jaką mnie niechybnie wzięła.

Uporałam się z grzankami, sokiem z pomarańczy, dwoma croissantami i drożdżówką. Potem nalałam sobie drugą filiżankę kawy i sięgnęłam po mleko. Podnosząc dzbanek, potrąciłam ręką kopertę opartą o mały flakonik z białymi różami. Poczułam nagły dreszcz i gwałtownie cofnęłam dłoń. List nie był zaadresowany, ale wiedziałam, że to dla mnie, i nawet nie musiałam się domyślać od kogo. Dokończyłam kawę i poszłam się wykąpać. Zakręciłam kurki. Zerknęłam w lustro, ale było tak zaparowane, że aby cokolwiek zobaczyć, musiałam je wytrzeć ręcznikiem. Chryste Panie – to jedyne słowa, jakie mi przyszły do głowy, kiedy ujrzałam własne odbicie. Rozebrałam się i zanurzyłam w wannie.

Wyszędłszy z łazienki, stwierdziłam, że resztki śniadania zniknęły, a balkon był otwarty na oścież. Palmy, morze i jaskrawobłękitne niebo jakby chciały wedrzeć się do pokoju, ale tak mi się spieszyło, że nie miałam czasu na zachwyty. W

nogach łóżka znalazłam wyprasowane i zapewne stęsknione już za mną ubrania: kostium, kombinację i jedwabne pończochy. A na nocnym stoliku, na srebrnej tacce – karafkę z wodą, szklanekę i fiolkę optalidonu. Połknęłam naraz dwie tabletki; po krótkim zastanowieniu wzięłam jeszcze jedną. Następnie wróciłam do łazienki i zwinęłam wilgotne włosy w luźny kok na karku. Podmalowałam się troszkę: miałam ze sobą tylko puderniczkę i szminkę. Potem się ubrałam. Gotowe, mruknęłam w przestrzeń. Niezupełnie, sprostowałam natychmiast. Jeszcze jeden szczegół, drobnostka czekająca na stoliku, przy którym pół godziny temu jadłam śniadanie: żółtawa koperta bez adresata. Westchnęłam, wzięłam ją w dwa palce i nie otwierając, schowałam do torebki.

Wyszłam. Została po mnie cudza koszula i kształt mojego ciała odcisnięty w pościeli. Strach nie chciał zostać. Poszedł ze mną.

– Rachunek, mademoiselle, jest już zapłacony, auto czeka – szepnął dyskretnie recepcjonista. Ani samochodu, ani kierowcy nigdy przedtem nie widziałam, nie spytałam jednak, do kogo należał ten pierwszy i dla kogo pracował ten drugi. Bez słowa usiadłam na tylnym siedzeniu i pozwoliłam się odwieźć do domu.

Matka nie zapytała, jak się udało przyjęcie i gdzie spędziłam noc. Domyśliłam się, że ten, kto wczoraj przekazał jej wiadomość od Rosalindy, miał taką siłę perswazji, że nie pozostawił miejsca na choćby cień niepokoju. Jeśli zauważyła moją minę, to nie dała po sobie poznać zaciekawienia.

Podniosła tylko wzrok znad szycia i powiedziała mi dzień dobry. Ani serdeczna, ani urażona. Obojętna.

– Skończyły się jedwabne nici – oznajmiła. – Pani Aracama chce przełożyć przymiarke z czwartku na piątek, a Frau Langenheim prosiła, żebyśmy poprawiły fałdy w sukni z szantungu.

Kiedy pochylona nad ścięciem opowiadała o tym, co się wydarzyło pod moją nieobecność, przysunęłam krzesło i usiadłam naprzeciw niej, tak blisko, że niemal stykałyśmy się kolanami. Zaczęła mówić coś o dostawie satyny, którą zamówiłyśmy w zeszłym tygodniu. Nie dałam jej skończyć.

– Chcą, żebym wróciła do Madrytu i pracowała dla Anglików; mam im przekazywać informacje na temat Niemców. Chcą, żebym szpiegowała klientki, mamo.

Jej prawa ręka znieruchomiała nagle, trzymając igłę wkłutą w ścięg. Słowa zatrzymane w pół drogi, otwarte usta. Nawet nie drgnęła. Spojrzała znad okularów, których już musiała używać przy szyciu, i wbiła we mnie wzrok pełen konsternacji.

Nie od razu podjęłam temat. Przedtem zaczerpnęłam haust powietrza i wypuściłam je ze świstem, jakby mi brakowało tchu.

– Podobno w Hiszpanii jest teraz pełno hitlerowców – ciągnęłam. – Brytyjski wywiad chce wiedzieć, z kim się spotykają, gdzie, kiedy i jak. Anglicy zaproponowali, że otworzą mi zakład krawiecki, a ja będę szyła dla żon nazistów i potem mówiła komuś o wszystkim, co słyszałam i widziałam.

– A ty... co odpowiedziałaś?

Podobnie jak ja ściszyła głos do szeptu.

– Że nie. Że nie mogę, że nie chcę. Że dobrze mi tu z tobą. Że nie interesuje mnie powrót do Madrytu. Ale prosili, żebym to jeszcze raz przemyślała.

Cisza ogarnęła cały pokój, otuliła bele materiału i manekiny, owinęła się wokół szpilek nici, osiadła na stołach krawieckich.

– A to pomoże, żeby Hiszpania nie wdała się w kolejną wojnę?  
– zapytała wreszcie matka.

Wzruszyłam ramionami.

– Czy ja wiem? Oni chyba w to wierzą – powiedziałam bez większego przekonania. – Próbują stworzyć siatkę tajnych informatorów. Anglikom bardzo zależy na tym, żebyśmy trzymali się z daleka od tego, co się dzieje w Europie, żebyśmy nie weszli w sojusz z Niemcami, nie interweniowali. Twierdzą, że tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Spuściła głowę, wpatrzona w tkaninę, którą zszywała. Przez kilka chwil nic nie mówiła: zamyślona, rozważała bez pośpiechu moje słowa, głaszcząc opuszką kciuka skrawek materiału. W końcu podniosła na mnie oczy i powoli zdjęła okulary.

– Chcesz mojej rady, córeczko? – zapytała.

Energicznie kiwnęłam podbródkiem. Jasne, że chciałam jej rady, potwierdzenia, że odmawiając, postąpiłam rozsądnie. Pragnęłam usłyszeć z jej ust, iż ów tajny plan to kompletna głupota. Chciałam, żeby była tą samą matką, którą znałam dawniej, żeby powiedziała: za kogo ty się masz, wybij sobie z głowy zabawę w tajnych agentów. Chciałam znowu zobaczyć Dolores zapamiętaną z czasów dzieciństwa, rozsądną i stanowczą, która zawsze wiedziała, co jest dobre, a co złe, która



mówiła, że trzeba iść prostą drogą. Ja, w złą godzinę, z tej prostej drogi zeszałam, lecz świat się zmienił nie tylko dla mnie: moja matka też już patrzyła na wszystko inaczej.

– Jedź z nimi, córko. Pomóż, współpracuj. Nasz nieszczęsny kraj nie przetrwa kolejnej wojny, już nie ma sił.

– Ale, mammo...

Nie pozwoliła mi dokończyć.

– Ty nie wiesz, co to jest wojna, Siro. Nie budziły cię co rano salwy z karabinów maszynowych i huk moździerzy. Nie jadłaś robaczywej soczewicy, dzień w dzień, miesiąc za miesiącem, nie przeżyłaś zimy bez chleba, bez węgla, bez szyb w oknach. Nie patrzyłaś na rozbite rodziny i głodne dzieci. Nie widziałaś oczu pełnych nienawiści i strachu. Hiszpania legła w gruzach, ludzie nie zniosą powrotu do tego koszmaru. Teraz powinniśmy opłakiwać naszych zmarłych i zadbać o to, co jeszcze ocalało.

– Ale... – nie dawałam za wygraną.

Znów mi przerwała. Nie musiała podnosić głosu, wystarczył sam ton, ostry, kategoryczny.

– Gdybym to ja była na twoim miejscu, pomogłabym Anglikom bez namysłu, zrobiłabym wszystko, o co mnie poproszą. Nie miej złudzeń, im chodzi o własne interesy, robią to dla swojej ojczyzny, nie dla naszej. Ale skoro i my możemy na tym skorzystać, to Bogu niech będą dzięki. Domyślam się, że to pomysł twojej przyjaciółki Rosalindy.

– Rozmawiałyśmy wczoraj kilka godzin. Dziś rano znalazłam list, który mi zostawiła. Jeszcze go nie czytałam. Przypuszczam, że to jakieś instrukcje.

– Wszędzie mówią, że ten jej Beigbeder nie zagrzeje miejsca w ministerstwie. Zdaje się, że wyleci właśnie za swoją przyjaźń z Anglikami. Domyślam się, że on też...

– Oboje – potwierdziłam.

– Szkoda, że nie wykazał równie wielkiej determinacji, by oszczędzić nam tej wojny, którą sam rozpętał, ale trudno, stało się i nie ma na to rady. Teraz trzeba patrzeć w przyszłość. Zrób, jak uważasz, córko. Pytałaś mnie o radę, więc ją dostałaś: serce mnie boli, ale rozumiem, że trzeba. Mnie też jest trudno... Jak odejdiesz, znów będę sama, znów nie będę wiedziała, co się z tobą dzieje. Ale uważam, że powinnaś wyjechać do Madrytu. Ja tu zostanę, zadbam o pracownię. Poszukam sobie kogoś do pomocy, o to się nie kłopotcz. A kiedy wszystko się skończy, będzie, co Bóg da.

Na to już nic nie mogłam odpowiedzieć. Zabrakło mi wymówek. Stwierdziłam, że muszę się trochę przejść, zaczerpnąć świeżego powietrza. Miałam o czym myśleć.

## 38

Było wrześniowe popołudnie. Stanowczym krokiem osoby, która spędziła pół życia na stukaniu eleganckimi obcasami w posadzki najlepszych hoteli świata, weszłam w podwoje Palace. Miałam kostium z chłodnej wełny w kolorze ciemnego wina i włosy przycięte do ramion, ukryte częściowo pod wymyślnym kapelusikiem z piórami, wykonanym w pracowni Madame Boissenet w Tangerze, prawdziwą *pièce-de-résistance*, jak jej zdaniem nazywały owo nakrycie głowy elegantki w

okupowanej Francji. Do tego – kupione u najlepszego szewca na Boulevard Pasteur buty z krokodylej skóry, na obcasach wysokich jak szczudła, pod pachą torebka od kompletu, a na dłoniach miękkie perłowszare rękawiczki. Trzy lub cztery głowy odwróciły się, gdy przechodziłam. Nie raczyłam tego zauważyć.

Boy niósł za mną neseser, dwie walizki od Goyarda i tyleż pudeł na kapelusze. Reszta bagażu, sprzęty i tkaniny, miała przyjechać nazajutrz ciężarówką. Wiedziałam, że przeprawa przez Cieśninę odbędzie się bez problemów: jakżeby inaczej, skoro wszystkie pozwolenia – piękny gest hiszpańskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych – upstrzone były pieczęciami, których urzędowej rangi nie śmiałyby zakwestionować nikt w całym kosmosie. Przyleciałam samolotem, po raz pierwszy w życiu. Z aerodromu Sania Ramel na Tabladę w Sewillii, z Tablady na Barajas. Opuściłam Tetuan jako Sira Quiroga, obywatelka hiszpańska, ale ktoś podmienił listę pasażerów, z której zniknęło moje nazwisko. Podczas lotu, małymi nożyczkami z podręcznego igielnika, pocięłam stary paszport na tysiąc kawałków, które pieczołowicie zawinęłam w chusteczkę do nosa: w końcu był to dokument wystawiony przez Republikę, całkowicie nieprzydatny w Nowej Hiszpanii. Wylądowałam w Madrycie ze świeżutkim marokańskim paszportem. Obok fotografii widniał adres w Tangerze i moja nowa tożsamość: Arish Agoriuq. Dziwaczne? Nie tak bardzo. To tylko moje prawdziwe imię i nazwisko, napisane wspak. Jedynie „h”, dodane przez Félixą, kiedy wymyślał nazwę atelier przy Sidi Mandri, zostało na swoim miejscu. Nie było to

arabskie nazwisko, ale brzmiało egzotycznie i nie mogło budzić podejrzeń w Madrycie, gdzie nikt nie miał pojęcia, jakie imiona noszą ludzie hen, na afrykańskiej ziemi, na mauretańskiej ziemi, jak śpiewano w znanym paso doble.

W dniach poprzedzających wyjazd stosowałam się ściśle do instrukcji zawartych w długim liście Rosalindy. Skontaktowałam się ze wskazanymi przez nią osobami, które miały mi wydać papiery na nowe nazwisko. Wybrałam najlepsze tkaniny w umówionych sklepach i poleciłam, by dostarczono je razem z fakturą pod miejscowy adres, którego właściciela nigdy nie poznałam. Udałam się ponownie do baru Deana i zamówiłam krwawą mary. Gdyby moja decyzja była negatywna, musiałabym się zadowolić skromną lemoniadą. Barman obsłużył mnie z obojętną miną. Nie był zbyt rozmowny, wspomniał tylko półgębkiem, że wczorajsza burza zerwała markizę, a statek „Jason” pod brytyjską banderą przypłył w następny piątek o dziesiątej rano z ładunkiem angielskich towarów. Owa niewinna uwaga zawierała wszystkie potrzebne mi wiadomości. W najbliższy piątek o tejże godzinie poszłam do Poselstwa Amerykańskiego w Tangerze, mieszczącego się w pięknym mauretańskim pałacyku, w samym centrum medyny. Przekazałam wartownikowi, że chcę rozmawiać z panem Jasonem. Natychmiast chwycił za wielką słuchawkę wewnętrznego telefonu i oznajmił po angielsku, że ta pani już jest. Wysłuchał odpowiedzi, a potem się rozłączył. Wskazał mi wejście na arabskie patio, otoczone bielonymi wapnem kolumnkami. Tam przejął mnie inny funkcjonariusz i bez

słowa poprowadził szybkim krokiem przez labirynt korytarzy, schodów i galeryjek na biały taras na ostatnim piętrze.

– Mr Jason – powiedział tylko, wskazując stojącego w głębi mężczyznę, i momentalnie zniknął, zbiegając po schodach.

Miał gęste, krzaczaste brwi i nie nazywał się Jason, tylko Hillgarth. Alan Hillgarth, attaché marynarki ambasady brytyjskiej w Madrycie, koordynator działań tajnych służb na terenie Hiszpanii. Szeroka twarz, wysokie czoło, ciemne włosy z przedziałkiem na środku, zaczesane do tyłu i lśniące od brylantyny. Ubrany w garnitur z szarej alpaki, której jakoś czuło się na odległość, podszedł do mnie pewnym krokiem, niosąc w lewej ręce czarną skórzaną walizeczkę. Przedstawił się, uściśnął mi dłoń i przez chwilę podziwialiśmy razem widoki. Istotnie, wspaniałe. Port, zatoka, Cieśnina, a za nią zamglony ląd.

– Hiszpania – oznajmił, celując palcem w horyzont. – Tak blisko i tak daleko. Zechce pani spocząć?

Wskazał ławkę z kutego żelaza. Usiedliśmy. Z kieszeni marynarki wyjął połyskującą metalicznie paczkę papierosów Craven A. Wzięłam jednego i zapaliliśmy oboje, wpatrzeni w morze. Nie dochodził tu prawie żaden dźwięk prócz stłumionych arabskich głosów, dobiegających z niewidocznych w dole uliczek, i od czasu do czasu przenikliwy wrzask mew przelatujących nad plażą.

– W Madrycie wszystko jest przygotowane na pani przyjazd – odezwał się wreszcie.

Jego hiszpański był znakomity. Nie odpowiedziałam, nie miałam mu nic do powiedzenia: przyszłam tu tylko po

instrukcje.

– Wynajęliśmy mieszkanie przy ulicy Núñez de Balboa. Wie pani, gdzie to jest?

– Tak, pracowałam w pobliżu przez jakiś czas.

– Pani Fox zajęła się umeblowaniem. Oczywiście przez pośredników.

– Rozumiem.

– Wiem, że już wprowadziła panią w sprawę, sędzę jednak, że powinienem przypomnieć pani pewne rzeczy. Pułkownik Beigbeder i pani Fox znajdują się teraz w ogromnie delikatnej sytuacji. Wszyscy czekamy na jego dymisję, która, jak się wydaje, nastąpi niebawem; będzie to dla nas nieodżałowana strata. Pan Serrano Suñer wyjechał właśnie do Berlina, gdzie będzie rozmawiał najpierw z odpowiednikiem Beigbedera, von Ribbentropem, a potem z samym Hitlerem. Fakt, iż aktualny minister spraw zagranicznych nie uczestniczy w tej wizycie, jest oznaką jego niepewnej pozycji w rządzie. Tymczasem, dzięki pułkownikowi i pani Fox, zdobywamy interesujące kontakty. Oczywiście, działają potajemnie. Oboje są nieustannie śledzeni przez agentów mało przyjaznych służb, proszę wybaczyć mi ten eufemizm...

– Gestapo i Falanga – odpowiedziałam, przypominając sobie słowa Rosalindy.

– Widzę, że jest pani dobrze poinformowana. Tak, istotnie. Nie chcielibyśmy, aby to samo przydarzyło się pani, chociaż nie gwarantuję, że da się tego uniknąć. Proszę się jednak nie bać na zapas. W Madrycie wszyscy wszystkich szpiegują. Wszyscy są podejrzani i nikt nikomu nie ufa, ale na nasze szczęście brak im

cierpliwości: spieszą się, więc jeśli nie znajdą nic ciekawego w ciągu kilku dni, zmieniają obiekt zainteresowania. Gdyby mimo to czuła się pani inwigilowana, proszę nas zawiadomić, a my spróbujemy sprawdzić, kto to jest. A najważniejsze to zachować zimną krew. Proszę się zachowywać normalnie, nie próbować żadnych sztuczek, panować nad nerwami. Czy to jasne?

– Myślę, że tak – odparłam, ale zabrzmiało to niezbyt przekonująco.

– Pani Fox – zmienił temat – przygotowuje dla pani grunt. Sądzę, że już znalazła kilka potencjalnych klientek. Dlatego, wzięwszy pod uwagę, że jesień jest tuż, byłoby dobrze, aby w miarę szybko przeniosła się pani do Madrytu. Jak pani sądzi, kiedy to będzie możliwe?

– Kiedy pan zechce.

– Dziękuję, cieszy mnie taka postawa. Pozwoliłem sobie zabukować dla pani bilet lotniczy na następny wtorek. Czy to pani odpowiada?

Położyłam ręce na kolanach, żeby nie było widać, jak się trzęsą.

– Będę gotowa.

– Świetnie. Rozumiem, że pani Fox wyjaśniła wstępnie, na czym polega zadanie.

– Mniej więcej.

– Dobrze, przejdę zatem do szczegółów. Oczekujemy od pani regularnych raportów na temat kilku niemieckich i hiszpańskich dam, które, jak mamy nadzieję, zostaną wkrótce pani klientkami. Pani Fox wspomniała zapewne, że brak tkanin stanowi poważny problem dla hiszpańskich krawcowych, a jak

wiemy z dobrze poinformowanych źródeł, w Madrycie mieszka sporo kobiet, które chcą się szykownie ubrać. I tu zaczyna się pani rola. Jeżeli nasze przewidywania są słuszne, pani współpraca może się okazać bardzo owocna, ponieważ w tej chwili nasze kontakty z władzami niemieckimi w Madrycie są niemożliwe, a z rządem hiszpańskim prawie żadne. Oczywiście, z wyjątkiem pułkownika Beigbedera, ale obawiam się, że to nie potrwa długo. Chcielibyśmy uzyskać od pani informacje na temat nazistowskich rezydentów oraz kilku Hiszpanów, którzy utrzymują z nimi bliskie stosunki. Śledzenie każdego z osobna absolutnie przekracza nasze możliwości, dlatego pomyśleliśmy, że przez ich żony i przyjaciółki poznamy kontakty, powiązania i plany. Jak dotąd wszystko jasne?

– Wszystko jasne.

– Interesuje nas głównie kalendarz towarzyski niemieckiej kolonii w Madrycie: jakie organizują imprezy, z kim się przyjaźnią, gdzie i jak często się spotykają. Swoją taktykę ustalają przeważnie na prywatnych przyjęciach, rzadziej w zaciszu gabinetów, dlatego też chcemy wprowadzić do tego grona zaufanych ludzi. Na owe zgromadzenia naziści przychodzą zwykle z żonami lub przyjaciółkami, które, jak się łatwo domyślić, lubią szykownie wyglądać. Mamy nadzieję, iż będzie pani wiedziała z wyprzedzeniem, kiedy i z jakiej okazji chcą się pokazać w nowych kreacjach. Sądzi pani, że to możliwe?

– Tak, to naturalne, że klientki o tym mówią. Ale jest pewien kłopot. Słabo znam niemiecki.



– Już o tym pomyśleliśmy. Będzie pani miała pomoc. Jak pani zapewne wiadomo, pułkownik Beigbeder przez wiele lat przebywał w Berlinie jako attaché wojskowy. W ambasadzie pracowało wówczas w kuchni hiszpańskie małżeństwo z dwojgiem dzieci. Pułkownik bardzo ich lubił, kilka razy pomógł im w kłopotach, zatroszczył się o edukację córek. Bliskie stosunki się urwały, kiedy przeniesiono go do Maroka. Dowiedziawszy się, że ich dawny znajomy został ministrem, rodzina, która kilka lat temu wróciła do Hiszpanii, ponownie zwróciła się do niego o pomoc. Matka umarła jeszcze przed wojną, a ojciec cierpi na chroniczną astmę i prawie nie wychodzi z domu, a co ważne dla nas, nie należy do żadnej partii politycznej. Pytał Beigbedera o jakąś pracę dla córek. Możemy je zatrudnić od zaraz, jeżeli się pani zgodzi. Jedna ma lat szesnaście, druga dziewiętnaście, obie płynnie mówią po niemiecku. Nie znam ich osobiście, ale rozmawiała z nimi pani Fox i była bardzo zadowolona. Prosiła, żebym powiedział, iż nie będzie pani brakowało Dzamili. Nie mam pojęcia, kim jest Dżamila, domyślam się jednak, że pani wie, o co chodzi.

Uśmiechnęłam się po raz pierwszy od początku spotkania.

– Zgoda. Skoro pani Fox uważa, że się nadają, nie zgłaszam zastrzeżeń. Potrafią szyc?

– Nie sądzę, ale mogą pomagać pani w domu i jednocześnie uczyć się krawiectwa. Najważniejsze, aby pod żadnym pozorem nie dowiedziały się, czym się pani naprawdę zajmuje. Proszę to sobie dobrze zapamiętać. Musi pani zadbać o to, żeby się nie zorientowały, dlaczego tak bardzo panią interesuje, o czym mówią klientki. Papierosa?

Podsunał mi paczkę cravenów A. Zapaliłam.

– Niech się pan nie martwi, dam sobie radę – powiedziałam, powoli wydmuchując dym.

– W takim razie idźmy dalej. Jak już mówiłem, interesują nas głównie spotkania nazistów w Madrycie. Ale chcemy też znać ich kontakty z Vaterlandem: czy wyjeżdżają do kraju i w jakim celu, czy ktoś z Niemiec ich odwiedza, a jeżeli tak, to kto, jak przygotowują takie wizyty... Słowem, potrzebujemy jak najwięcej informacji, bo wszystko może się przydać.

– A jak już będę miała te informacje, to co mam z nimi zrobić?

– Długo nad tym myśleliśmy i chyba w końcu wpadliśmy na coś, co powinno się sprawdzić, przynajmniej na początku.

W każdym razie warto spróbować. Stosujemy w SOE wiele rozmaitych szyfrów o różnym poziomie bezpieczeństwa, jednak prędzej czy później Niemcy łamią wszystkie. Często korzystamy z klasyków literatury, zwłaszcza poetów: Yeatsa, Milтона, Byrona, Tennysona. Ale teraz zrobimy inaczej. Pomysł jest prosty i bardziej pasuje do okoliczności. Wie pani, co to jest alfabet Morse'a?

– Tego od telegrafu?

– Właśnie. Litery i cyfry przedstawiono jako sekwencje powtarzających się znaków. Ogólnie rzecz biorąc, są to sygnały akustyczne, ale można je też zapisać za pomocą kropek i kresek. Proszę spojrzeć.

Wyjął z walizeczki średniej wielkości kopertę, a z niej tekturowy szablon. Widniały na nim litery alfabetu i cyfry od

zera do dziewięciu, a każdej z nich odpowiadała inna kombinacja kropek i kresek.

– Proszę sobie teraz wyobrazić, że chce pani zaszyfrować jakieś słowo. Na przykład: Tanger. Najpierw proszę to głośno odczytać.

Zerknęłam na tabliczkę i wyrecytowałam:

– Kreska. Kropka kreska. Kreska kropka. Kreska kreska kropka. Kropka. Kropka kreska kropka.

– Doskonale. A teraz niech pani spróbuje to zobaczyć. Albo nie, lepiej napisać. Proszę, może tym – powiedział, wyjmując z wewnętrznej kieszonki marynarki srebrny ołówek. – Tutaj, na kopercie.

Przepisałam sześć liter według tabeli: -. -.- -...-.

– Pięknie. Niech się pani przyjrzy temu uważnie. Coś to pani przypomina? Wygląda znajomo?

Popatrzyłam na rezultat. Uśmiechnęłam się. Jasne. Jasne, że wygląda znajomo. Przecież przez całe życie nie robiłam nic innego.

– Jak ścieg – powiedziałam cicho.

– Otóż to – potwierdził. – O to mi chodziło. Widzi pani... Proponujemy, żeby wszystkie informacje, które będzie nam pani przekazywać, były zaszyfrowane w ten właśnie sposób.

Oczywiście będzie pani musiała rozwinąć umiejętność syntezy, żeby to wyrazić w możliwie najmniejszej liczbie słów, w przeciwnym razie każda sekwencja znaków ciągnęłaby się w nieskończoność. I trzeba będzie to tak sprytnie zamaskować, żeby wyglądało na jakiś wykrój, szkic albo coś w tym rodzaju: cokolwiek, co mogłoby się kojarzyć z krawiectwem, nie budząc

żadnych podejrzeń. To nie musi być prawdziwe, ale tak powinno wyglądać, rozumie pani?

– Myślę, że tak.

– Dobrze, zrobimy doświadczenie.

Wyjął papierową teczkę pełną białych, niezapisanych kartek; położył jedną na skórzanym wieku walizeczki.

– Wyobraźmy sobie, że wiadomość brzmi: „Kolacja w rezydencji baronowej de Petrino, w dniu piątym lutego, o ósmej. Przybędzie hrabina de Ciano z małżonkiem”. Potem wyjaśnię, o kogo chodzi. Po pierwsze, musi pani usunąć wszystkie zbędne słowa i znaki przestankowe. W ten sposób znacznie skrócimy wiadomość. Proszę spojrzeć: „Kolacja u baronowej Petrino piąty lutego ósma. Hrabina Ciano z mężem”. Z osiemnastu słów zostało jedenaście, to duża oszczędność. A teraz, kiedy już mamy czysty tekst, spróbujemy napisać go wspak. Zamiast od lewej do prawej, jak wszyscy, zrobimy to od prawej do lewej. Będzie pani zawsze zaczynała w prawym dolnym rogu, stopniowo posuwając się w górę. Założmy, że patrzymy na zegar, który wskazuje czwartą dwadzieścia; a teraz proszę sobie wyobrazić, że długa wskazówka się cofa. Widzi to pani?

– Tak, pozwoli pan, że spróbuję?

Podał mi teczkę, położyłam ją na kolanach. Chwyciłam za ołówek i narysowałam bezkształtny z pozoru bazgroł, zajmujący prawie całą powierzchnię papieru. U góry zaokrąglony, po bokach prosty. Dla niewprawnego oka zupełnie nieczytelny.

– Co to jest?

– Chwileczkę – powiedziałam, nie odrywając wzroku od kartki.

Przytknęłam czubek ołówka w prawym dolnym rogu owej niezidentyfikowanej figury geometrycznej i zaczęłam pisać alfabetem Morse'a, obrysowując jej kontur od wewnątrz przerywaną linią. Kropki zastąpiłam krótszymi kreskami. Kreska długa, kreska krótka, znowu długa, potem dwie krótkie... Kiedy skończyłam, powstała wewnętrzna ramka przypominająca fastrygę.

– Gotowe? – zapytał Hillgarth.

– Jeszcze nie.

Z igielnika, który zawsze miałam przy sobie w torebce, wyjęłam małe nożyczki i wycięłam formę, pozostawiając wokół szeroką na centymetr obwódkę.

– Powiedział pan, że ma się kojarzyć z krawiectwem, tak? – zapytałam, podając mu moje dzieło. – No to proszę: wykrój bufki. A w środku wiadomość.

Prosta linia jego zaciśniętych warg wygięła się z wolna w leciutkim uśmiechu.

– Fantastyczne – mruknął.

– Mogę tak robić wykroje różnych części garderoby: rękawów, przodów, tyłów, kołnierzyków, boków, mankietów; zależnie od długości. Dla każdego meldunku inny.

– Fantastyczne, fantastyczne – powtarzał, obracając w palcach moją wycinankę.

– A teraz musi mi pan powiedzieć, jak mam to wam doręczać.

Jeszcze przez kilka sekund kontemplował w zdumieniu moje dzieło. W końcu schował je do walizeczki.

– Dobrze, kontynuujmy. Jeżeli nie będzie innego polecenia, chcielibyśmy otrzymywać raporty dwa razy w tygodniu. W środę wczesnym popołudniem i w sobotę rano. Uznaliśmy, że wymiana powinna się odbywać w dwóch różnych miejscach, koniecznie publicznych. I pod żadnym pozorem nie wolno pani się kontaktować z osobą, która będzie odbierać meldunki.

– Myślałam, że to pan...?

– Tylko jeśli nie da się tego uniknąć. Na pewno nie w środy. Byłoby trudno: miejscem wymiany będzie salon urody Rosy Zavali, obok hotelu Palace. To teraz najlepszy taki zakład w Madrycie, a przynajmniej cieszący się największą renomą wśród wytwornych cudzoziemek i hiszpańskich dam. Będzie tam pani przychodzić regularnie i zostanie jedną z najwierniejszych klientek. W pani nowym życiu pożądana jest rutyna, tak by każdy krok był przewidywalny i nie budził najmniejszych podejrzeń. W salonie, zaraz na prawo od drzwi, znajduje się pokój, w którym klientki zostawiają torebki, kapelusze i płaszcze. Jedna ze ścian jest od góry do dołu zabudowana małymi szafkami, gdzie panie mogą schować swoje rzeczy. Pani będzie zawsze korzystać z ostatniej, usytuowanej w rogu, w głębi pomieszczenia. Przy wejściu urzęduje zwykle dziewczyna, niezbyt rozgarnięta. Pracuje jako szatniarka, ale klientki często rezygnują z jej usług, więc nikogo nie zdziwi, jeżeli pani zrobi to samo. Proszę jej dać hojny napiwek i będzie zadowolona. Kiedy pani otworzy szafkę i zacznie układać swoje rzeczy, nikt nic nie zobaczy, bo będzie pani zasłonięta drzwiczkami. Wtedy proszę wyjąć to, co pani

dla nas przygotowała, najlepiej zwinięte w rulon, i szybko wsunąć na najwyższą półkę, jak najgłębiej, żeby nie wystawało.

– Kto to odbierze?

– Ktoś zaufany, ale to już nasz kłopot. Ktoś, kto jeszcze tego samego popołudnia, zaraz po pani wyjściu, przyjdzie do salonu, żeby się uczesać, i skorzysta z tej samej szafki.

– A co mam zrobić, jeśli będzie zajęta?

– Przeważnie jest wolna, bo stoi na samym końcu. Ale w razie czego proszę skorzystać z innej, najbliższej. Czy wszystko jasne? Proszę powtórzyć.

– Fryzjer w środy, pierwsza po południu. Podejdę do ostatniej szafki i otworzę drzwiczki. Kiedy będę chować swoje rzeczy, wyjmę z torebki rulon z wykrojami.

– Niech go pani przewiąże tasiemką albo ściśnie gumką... Przepraszam, że przerwałem, proszę mówić dalej.

– Wsunę rulon na najwyższą półkę, jak najgłębiej. Potem zamknę szafkę i pójdę się uczesać.

– Bardzo dobrze. A teraz sobota. Na ten dzień wybraliśmy muzeum Prado. Mamy swoje wtyczki wśród szatniarzy. Najlepiej, żeby przychodziła tam pani z teką, jakich zwykle używają artyści. Wie pani, o czym mówię?

Przypomniałam sobie Félix'a i nasze spotkanie w szkole Bertuchiego.

– Tak, zdobędę coś takiego bez problemu.

– Doskonale. Powinna w niej pani mieć szkicownik, ołówek, kredki... to co zwykle potrzebne jest do rysowania; takie rzeczy wszędzie można kupić. Proszę tam włożyć to, co będzie pani miała dla nas, tym razem w otwartej kopercie. Jako znak

rozpoznawczy niech pani przypnie do niej skrawek materiału w jaskrawym kolorze. Będzie pani chodzić do muzeum w soboty po dziesiątej rano. Mieszkające w Madrycie cudzoziemki często tam bywają. Przypominam, że ktoś może panią śledzić, więc oprócz koperty zawsze proszę nosić w tece jakieś szkice, rysunki, projekty strojów... słowem coś, co ma jakiś związek z pani pracą.

– Zgoda. Co mam zrobić z tą teką?

– Zostawić w szatni. Zawsze razem z czymś jeszcze: paltem, płaszczem, siatką na zakupy, żeby nie rzucała się w oczy. Potem proszę wejść do jakiejś sali i około pół godziny podziwiać obrazy. Kiedy ten czas mnie, niech pani wróci do szatni, odbierze tekę, wróci do sali i szkicuje coś przez następne pół godziny, może trochę dłużej. Musi pani wyglądać na zainteresowaną uwiecznionymi na obrazach ubiorami, jakby pani szukała natchnienia do kolejnych kreacji. Zresztą może pani robić, co chce, ale najpierw proszę sprawdzić, czy koperta zniknęła. Jeżeli nadal tam będzie, będzie pani musiała wrócić w niedzielę i powtórzyć całą operację, chociaż mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby. Skrzynka kontaktowa w salonie fryzjerskim działa od niedawna, ale Prado to sprawdzone miejsce. Nigdy nie było żadnych kłopotów.

– Tam też nie będę wiedziała, kto odbierze wykroje?

– Zawsze ktoś zaufany. Nasz kontakt w szatni przełoży kopertę z teki do innej, zostawionej tego samego ranka przez łącznika. Jest pani głodna?

Zerknęłam na zegarek. Było już po pierwszej. Nie wiedziałam, czy jestem głodna, czy nie. Byłam tak skupiona na



zapamiętywaniu instrukcji, że nie zwracałam uwagi na upływ czasu. Popatrzyłam na morze, które chyba zmieniło kolor. Poza tym wszystko było takie jak przedtem: oślepiająca biel ścian, mewy, arabskie słowa dobiegające z ulicy. Hillgarth nie czekał na odpowiedź.

– Na pewno. Chodźmy, zapraszam.

## 39

Zjedliśmy tylko we dwoje w jednej z sal należących do poselstwa. Dotarliśmy tam przez labirynt schodów i korytarzy. Po drodze wyjaśnił mi, że wokół pałacyku powstało mnóstwo przybudówek, co zmieniło jednolity kształt pierwotnej bryły budynku. Pomieszczenie, do którego weszliśmy, nie było jadalnią, lecz skąpo umeblowanym salonikiem, ozdobionym licznymi obrazami o tematyce batalistycznej, oprawnymi w ciężkie złożone ramy. Okna, zatrzaśnięte na głucho mimo pięknego dnia, wychodziły na patio. Na środku pokoju nakryto stół dla dwojga. Ostrzyżony po wojskowemu kelner podał nam krwisty befszyk z pieczonymi ziemniakami i sałatą. Na podręcznym stoliku postawił dwa pucharki jakichś drobno pokrojonych owoców i serwis do kawy. Nalał do kieliszków wino i wodę, po czym wyszedł, bezgłośnie zamykając za sobą drzwi. Dopiero wtedy wróciliśmy do przerwanej rozmowy.

– Po przyjeździe do Madrytu zatrzyma się pani na tydzień w hotelu Palace, gdzie zarezerwowaliśmy pokój na pani nazwisko; nowe nazwisko, oczywiście. Kiedy już się tam pani zjawi, proszę wychodzić jak najczęściej, żeby wszyscy panią widzieli. Niech pani pochodzi sobie po sklepach i zwiedzi okolice swojego

nowego mieszkania, żeby się oswoić z otoczeniem. Poza tym spacer, kino... na co tylko będzie pani miała ochotę. Ale mam dwa warunki.

– Jakie?

– Po pierwsze, proszę się poruszać tylko w obrębie eleganckich dzielnic i unikać wszelkich kontaktów z osobami z niższych warstw społecznych.

– Chce pan powiedzieć, że nie wolno mi się pokazywać w mojej dawnej dzielnicy ani widywać ze starymi przyjaciółmi. Dobrze zrozumiałam?

– Doskonale. Żadnych skojarzeń z przeszłością. Jest pani w stolicy nowa, nie zna nikogo i nikt nie zna pani. Gdyby kiedyś ktoś panią przypadkiem rozpoznał, proszę stanowczo zaprzeczyć. Jeśli zajdzie potrzeba, musi pani iść w zaparte, na bezczelnego. Może pani zastosować dowolną taktykę, byle tylko nikt się nie dowiedział, że podaje się pani za kogoś innego.

– Proszę się nie martwić, będę pamiętać. A drugi warunek?

– Zero kontaktów z jakąkolwiek osobą narodowości brytyjskiej.

– Mówi pan, że mam się nie spotykać z Rosalindą Fox? – zapytałam, nie mogąc ukryć rozczarowania. Chociaż wiedziałam, że będziemy musiały ukrywać naszą znajomość, miałam nadzieję znaleźć w niej oparcie, móc odwołać się do jej intuicji i doświadczenia, jeżeli wpadnę w jakieś tarapaty.

Hillgarth przełknął przeżuty kęs i ocierając usta serwetką, sięgnął po kieliszek z wodą.

– Obawiam się, że to konieczne, przykro mi. Ani z nią, ani z żadnym innym Anglikiem z wyjątkiem mnie, i to tylko w

ostateczności. Pani Fox jest na to przygotowana i gdybyście się kiedyś przypadkiem spotkały, będzie udawać, że się nie znacie. Proszę też w miarę możliwości unikać kontaktów z obywatelami Stanów Zjednoczonych. To nasi przyjaciele i pewnie chcieliby nas przytulić do serca. – Rozłożył ramiona, jakby chciał objąć nimi całe pomieszczenie. – Niestety, nie darzą taką samą sympatią Hiszpanii ani państw Osi, więc niech się pani stara trzymać od nich z daleka.

– Zgoda – odparłam. Nie podobało mi się, że nie będę mogła widywać Rosalindy, ale wiedziałam, że nie mam wyjścia i chwilowo muszę przystać na ten warunek.

– A skoro już mowa o miejscach publicznych, chciałbym pani poradzić, gdzie się należy pokazywać – ciągnął.

– Zamieniam się w słuch.

– Pani hotel, Palace. Pełno tam Niemców, więc proszę zaglądać tam często pod byle pretekstem, nawet kiedy nie będzie już tam pani mieszkać. Na *barbecue*, to teraz bardzo modne. Na kieliszek wina albo na spotkanie z klientką. W Nowej Hiszpanii nie jest dobrze widziane, kiedy kobiety wychodzą gdzieś same, palą, piją lub ubierają się ekstrawagancko. Proszę jednak pamiętać, że nie jest już pani Hiszpanką, lecz cudzoziemką z egzotycznego kraju, od niedawna przebywającą w stolicy, i tego się trzymać. Niech się też pani przejdzie czasem do Ritza, to kolejne gniazdo nazistów. Ale przede wszystkim proszę bywać w herbaciarni Embassy w alei Castellana. Wie pani, gdzie to jest?

– Oczywiście – powiedziałam. Przemilczałam, ile razy przyklejałam w dzieciństwie nos do szyby i jak mi ciekła ślinka

na widok wystawionych za nią słodkich delicji. Torty z bitą śmietaną ozdobione truskawkami, rosyjskie ciastka z kremem i czekoladą, maślane babeczki. Nie śniłam nawet, że kiedyś przekroczę próg owego przybytku i stać mnie będzie na te wszystkie cuda. A teraz, po latach, proszono mnie, żebym chodziła tam jak najczęściej. Ironia losu.

– Właścicielka, Margaret Taylor, jest Irlandką. To cudowna osoba. Możliwe, że wkrótce Embassy stanie się naszym strategicznym punktem w Madrycie, bo tam, na niespełna siedemdziesięciu metrach kwadratowych, spotykają się w pozornej zgodzie alianci i obywatele państw Osi. Oczywiście, oddzielnie, każdy we własnym kółku. Nie należy wszakże do rzadkości, że baron von Stohrer, ambasador niemiecki, popijając herbatę z cytryną, staje nagle oko w oko z ambasadą brytyjską w komplecie lub że ja sam siedzę przy barze ramie w ramie z moim niemieckim odpowiednikiem. Ambasada niemiecka mieści się praktycznie naprzeciwko, a nasza tuż obok, na rogu Fernando el Santo i Monte Esquinza. Oprócz cudzoziemców bywa w Embassy śmietanka hiszpańskiej arystokracji: trudno byłoby znaleźć w kraju więcej tytułów szlacheckich w jednym miejscu niż tam w porze aperitif. Przeważnie są to monarchiści i anglofile, czyli na ogół stoją po naszej stronie, dlatego też są dla nas mało przydatni jako źródło informacji. Byłoby jednak dobrze, żeby zdobyła pani kilka klientek również z tych kręgów, ponieważ są to damy podziwiane i ogromnie szanowane przez Niemki. Żony reżimowych dygnitarzy to zupełnie inny gatunek: nie znają świata, nie ubierają się u wielkich krawców, nie potrafią się

bawić i oczywiście nie przychodzą do Embassy na kieliszek szampana przed obiadem. Wie pani, co chcę powiedzieć?

– Zaczynam rozumieć, w czym rzecz.

– Gdyby zdarzyło się coś złego, gdyby pojawił się jakiś poważny problem, gdyby trzeba mi było przekazać pilną wiadomość, zawsze mnie pani zastanie w Embassy o pierwszej po południu. We wszystkie dni tygodnia. Powiedzmy, że to miejsce moich spotkań z tajnymi agentami. Jest tak beczelnie na widoku, że nie może budzić najmniejszych podejrzeń. Będziemy korzystać z niezwykle prostego szyfru: jeśli będzie się pani chciała ze mną spotkać, proszę trzymać torebkę w lewej ręce; jeśli przyjdzie pani tylko po to, żeby się pokazać i wypić aperitif, proszę ją trzymać w prawej. Zapamięta pani? Lewa – problem, prawa – spokój. A w zupełnie podbramkowej sytuacji proszę zaraz po wejściu upuścić torebkę, niby przypadkiem, przez nieuwagę.

– Co pan rozumie przez sytuację podbramkową? – zapytałam. Czułam, że za tym enigmatycznym sformułowaniem kryje się coś raczej mało przyjemnego.

– Bezpośrednie zagrożenie. Bezwarunkowy przymus. Napaść fizyczna. Rewizja w domu.

– Co wtedy ze mną będzie? – powiedziałam przez ściśnięte gardło.

– To zależy. Zanalizujemy sytuację i postąpimy stosownie do zagrożenia. W ostateczności przerwiemy całą operację, ukryjemy panią w jakimś bezpiecznym miejscu i ewakuujemy tak szybko, jak to będzie możliwe. Jeśli sprawa nie okaże się aż tak poważna, spróbujemy panią chronić. Tak czy inaczej,

zawsze może pani na nas liczyć, bo nigdy nie zostawimy pani samej.

– Dziękuję.

– Proszę nie dziękować. To nasza praca – odparł, krając w skupieniu ostatni kawałek mięsa. – Wierzymy, że wszystko pójdzie dobrze: to bezpieczny plan, a pani misja nie jest szczególnie ryzykowna. Na razie. Ma pani ochotę na deser?

Tym razem także nie czekał na odpowiedź; po prostu wstał, zebrał talerze, odłożył je na podręczny stolik i wrócił z pucharkami pełnymi owoców. Obserwowałam jego szybkie, precyzyjne ruchy, właściwe komuś, dla kogo sprawność i skuteczność działania stanowią życiowy priorytet; kto nie zwykł tracić ani sekundy cennego czasu na drobiazgi i rozterki. Usiadł, nabił na widelczyk kawałek ananasa i dalej udzielał mi wskazówek, jakby nie było żadnej przerwy w naszej rozmowie.

– W wypadku gdybyśmy to my musieli się z panią skontaktować, mamy do wyboru dwie możliwości. Po pierwsze, przez kwiaciarnię Bourguignon na ulicy Almagro. Właściciel, Holender, również jest naszym dobrym przyjacielem. Wyślemy pani kwiaty. Białe, żółte, na pewno jakieś jasne. Czerwone pozostawimy pani wielbicielom.

– Bardzo pan łaskawy – mruknęłam ironicznie.

– Proszę dobrze obejrzeć bukiet – ciągnął, ignorując aluzję. – W środku znajdzie pani wiadomość. Jeśli niezbyt istotna, będzie napisana odręcznie na zwykłej kartce. Proszę ją uważnie przeczytać, najlepiej kilka razy, żeby sprawdzić, czy zwykłe, banalne słowa nie mają podwójnego znaczenia. Jeżeli to będzie coś poważniejszego, użyjemy tego samego szyfru, co pani:

alfabetu Morse'a pisanego wspak na wstążce opasującej bukiet. Proszę ją rozwiązać i odczytać wiadomość. Przypominam: od prawej do lewej.

– Dobrze. A drugi sposób?

– Znowu Embassy, ale nie lokal, tylko słodycze. Jeżeli niespodziewanie otrzyma pani czekoladki, to na pewno od nas.

Znów proszę dobrze obejrzeć przesyłkę, zwłaszcza pudełko i papier. Będzie tam zaszyfrowana wiadomość.

– Cóż za galanteria – wtrąciłam drwiąco. Tego też nie zauważył, a w każdym razie nie dał po sobie poznać.

– O to właśnie chodzi, żeby do przekazywania tajnych informacji używać najmniej prawdopodobnych sposobów. Kawy?

Jeszcze nie skończyłam owoców, ale przyjął poczęstunek. Odkręcił górną część metalowego słoika i napełnił filizanki. Zdziwiłam się, widząc ciemny parujący płyn. Nie miałam pojęcia, co to za cudowne naczynie, które sprawia, że nawet po godzinie kawa jest tak gorąca, jakby ją świeżo zaparzano.

– Termos. Wspaniały wynalazek – wyjaśnił, jakby wyczuł moje zdumienie. Wyjął z walizeczki plik cienkich papierowych teczek i położył je przed sobą. – Teraz przedstawię pani osoby, które nas najbardziej interesują. Z czasem się przekonamy, kto jest ważny, a kto nie. Niektórymi być może w ogóle przestaniemy się zajmować, chociaż raczej w to wątpię. Prawdopodobnie w przyszłości dodamy do tej listy nowe nazwiska, poprosimy, żeby pani zwróciła na kogoś szczególną uwagę albo postarała się o jakieś konkretne dane. Będziemy panią o tym informować zależnie od tego, jak się sprawy

potoczą. W tej chwili jednak wymienię osoby, których plany towarzyskie chcielibyśmy poznać możliwie jak najszybciej.

Otworzył pierwszą teczkę i wyjął kilka spiętych razem kartek maszynopisu. W górnym rogu widniała fotografia, przymocowana metalową zszywką.

– Baronowa de Petrino, z pochodzenia Rumunka. Imię Elena, nazwisko panieńskie Borkowska. Żona Hansa Lazara, dyrektora Wydziału Prasy i Propagandy przy ambasadzie niemieckiej. Jej mąż jest dla nas obiektem o pierwszorzędnym znaczeniu. To człowiek wpływowy, skupia w swoim ręku wielką władzę. Jest bardzo sprytny i ma doskonałe stosunki z ludźmi reżimu, zwłaszcza z falangistami. Świetny propagandzista: organizuje fantastyczne przyjęcia w swoim pałacyku na Castellana, skaptował dziesiątki dziennikarzy i przedsiębiorców, których przekupił prowiantami i alkoholem sprowadzonym bezpośrednio z Niemiec. Jego tryb życia woła o pomstę do nieba w ubogiej, głodującej Hiszpanii. Jest sybarytą i miłośnikiem antyków; możliwe, że zdobywa cenne eksponaty kosztem cudzej nędzy. Jak na ironię jest podobno Żydem o tureckich korzeniach, co starannie i głęboko ukrywa. Małżonka z zapalem bierze udział w jego bujnym życiu towarzyskim i uwielbia pokazywać się publicznie. Nie wątpię, że będzie jedną z pani pierwszych klientek. Z pewnością dostarczy pani dużo pracy, krawieckiej i szpiegowskiej.

Nie dał mi nawet zerknąć na fotografię. Zamknął teczkę i popchnął przez stół w moją stronę. Chciałam do niej zajrzeć, ale przytrzymał mi rękę.



– Później. Będzie pani mogła zabrać to wszystko ze sobą. Musi pani zapamiętać dane, a potem natychmiast zniszczyć dokumenty i fotografie. Proszę to spalić, zanim pani wyjedzie do Madrytu. I nikt, absolutnie nikt poza panią nie może poznać treści tych dossier. Rozumiemy się?

Zanim zdążyłam kiwnąć głową, otworzył następną teczkę.

– Gloria von Fürstenberg. Mimo nazwiska z pochodzenia Meksykanka. Proszę przy niej uważać na każde słowo, bo wszystko zrozumie, hiszpański jest jej ojczystym językiem. To piękna kobieta, bardzo szykowna, wdowa po niemieckim arystokracie. Ma dwoje małych dzieci i katastrofalną sytuację majątkową, więc poluje na bogatego męża, a w braku tegoż zadowoli się pierwszym lepszym naiwniakiem z pieniędzmi, który zapewni jej życie na wysokiej stopie. Dlatego zawsze trzyma się blisko możnych tego świata. Krążą plotki o jej licznych kochankach... mówi się o ambasadorze Egiptu i milionerze Juanie Marchu. Bardzo się udziela towarzysko, głównie w kręgach nazistów. Jest niezmordowana. Zapewniam, że będzie pani miała przy niej co robić, chociaż z rachunkami może być różnie.

Tak jak poprzednio schował dokumenty i podał je mnie. Nie otwierając teczek, odłożyłam ją na bok, on zaś sięgnął po trzecią.

– Elsa Bruckmann, z urodzenia księżniczka de Cantacuceno. Milionerka, wielbicielka Hitlera, choć znacznie od niego starsza. Podobno to ona wprowadziła go w wielki świat berlińskiej socjety. Ofiarowała na rzecz nazistów prawdziwą fortunę. Niedawno, z nieznanym nam powodów, pojawiła się w

Madrycie. Mieszka w rezydencji ambasadora. Tak czy inaczej wygląda na to, że świetnie się tutaj bawi. Bywa wszędzie, nie przepuści żadnej okazji. Ma opinię ekscentryczki i plotkary, może stać się dla pani kopalnią wiedzy. Jeszcze kawy?

– Tak, ale proszę pozwolić, że naleję sama. Niech pan mówi dalej, słucham z uwagą.

– Dobrze, dziękuję. Ostatnia Niemka: hrabina Mechthild Podewils. Wysoka, ładna, lat około trzydziestu, z mężem żyje w separacji; bliska znajoma Arnolda, jednego z najważniejszych szpiegów działających w Madrycie, oraz Wolfa, wysokiego oficera SS, którego pieszczotliwie nazywa *Wolfchen*, wilczkiem. Ma doskonale kontakty zarówno z Niemcami, jak z Hiszpanami, szczególnie z kręgów arystokracji i rządu. Wśród jej znajomych są Miguel Primo de Rivera i Sáenz de Heredia, brat José Antonia, założyciela Falangi. Jest niemiecką agentką w całym znaczeniu tego słowa, chociaż być może sama o tym nie wie. Rozpowiada na prawo i lewo, że nie zna się na polityce i szpiegostwie, ale płacą jej piętnaście tysięcy peset miesięcznie, żeby donosiła im o wszystkim, co widzi i słyszy. To dzisiaj w Hiszpanii prawdziwa fortuna.

– Nie wątpię.

– Teraz przejdźmy do Hiszpanek. Piedad Iturbe von Scholtz, dla przyjaciół Piedita. Markiza de Belvís de las Navas, małżonka księcia Maxa de Hohenlohe-Langenburga, bogatego austriackiego posiadacza ziemskiego, prawowitego dziedzica jednego z europejskich rodów królewskich. W Hiszpanii spędził pół życia. Zasadniczo, przez sentyment do ojczyzny, wspiera idee germańskie, ale utrzymuje liczne kontakty z Anglikami i

Amerykanami, bo robi z nami interesy. Oboje są kosmopolitami i zdaje się, że patrzą z niesmakiem na szaleństwa Führera. Tworzą naprawdę uroczą parę i cieszą się w Hiszpanii wielkim poważaniem, ale powiedzmy, że grają na dwa fronty. Wolimy mieć ich pod kontrolą, bo chcemy wiedzieć, czy bardziej się skłaniają ku nam, czy ku Niemcom. Rozumie pani? – spytał, zamykając teczkę.

– Rozumiem.

– A teraz postać niezwykle ważna. Sonsoles de Icaza, markiza de Llanzol. Jej mąż, starszy od niej o trzydzieści lat arystokrata i żołnierz, zupełnie nas nie interesuje. Naszym celem nie jest mąż, lecz kochanek: Ramón Serrano Suñer, minister spraw wewnętrznych i sekretarz generalny Ruchu. Minister Osi, jak go nazywamy.

– Szwagier generała Franco? – zapytałam zdumiona.

– We własnej osobie. Sonsoles i Serrano mają romans, którym afiszują się bezwstydnie, zwłaszcza ona chwali się publicznie swoim związkiem z drugim człowiekiem w państwie. To kobieta elegancka, wyniosła, niezwykle silnego charakteru. Radzę na nią uważać. Ale może stać się dla nas źródłem bezcennych informacji o niejawnych kontaktach i posunięciach Serrano Suñera.

Ukryłam zdumienie, w jakie wprowadziły mnie rewelacje Hillgartha. Wiedziałam, że Serrano jest uwodzicielem – przekonałam się o tym, kiedy podnosił z ziemi upuszczoną przeze mnie puderniczkę – lecz zarazem odniosłam wrażenie, iż jest człowiekiem dyskretnym, a nawet skrytym. Trudno mi go

było sobie wyobrazić jako bohatera miłosnego skandalu z udziałem urodziwej damy z wyższych sfer, a do tego mężatki.

– Została nam ostatnia teczką, zawierająca informacje na temat kilku osób – ciągnął Hillgarth. – Wedle danych, które są w naszym posiadaniu, jest raczej mało prawdopodobne, że żony wymienionych tu ludzi przyjdą do salonu *haute couture* już w pierwszych dniach po jego otwarciu, jednak na wszelki wypadek nie zaszkodzi zapamiętać ich nazwiska. Możliwe, że usłyszysz je pani w rozmowach innych klientek. Będę czytał powoli, a potem sama pani spokojnie wszystko sobie uporządkuje. Paul Wizner, trzęsie madryckim gestapo. Bardzo niebezpieczny, boją się go i nienawidzą nawet rodacy. To siepacz

Himmlera, jego prawa ręka w Hiszpanii. Nie ma jeszcze czterdziestki, ale to stary lis. Wzrok błędny, okrągłe okulary. Ma dziesiątki kolaborantów, rozsianych po całym Madrycie. Radzę uważać. Następny: Walter Junghanns, nasz prywatny koszmar. Zajmuje się sabotażem transportu hiszpańskich owoców do Wielkiej Brytanii; podkłada bomby, zabił już wielu ludzi. Następny: Karl Ernst von Merck, wysoki funkcjonariusz gestapo, ma wielkie wpływy w NSDAP. Następny: Johannes Franz Bernhardt, przemysłowiec...

– Znam go.

– Słucham?

– Znam go z Tetuanu.

– Jak dobrze?

– Słabo. Bardzo słabo. Nigdy z nim nie rozmawiałam, ale widywałam go czasem na przyjęciach u Beigbedera.

– Mógłby panią rozpoznać?

– Wątpię. Nigdy nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa i nie sądzę, by mnie zapamiętał.

– Skąd pani wie?

– Bo wiem. My, kobiety, doskonale wiemy, kiedy mężczyzna patrzy na nas z zainteresowaniem, a kiedy jak na mebel.

Milczał przez chwilę, jakby zastanawiał się nad tym, co właśnie usłyszał.

– No tak, kobieca intuicja... – mruknął w końcu sceptycznie.

– Bez wątpienia.

– A jego żona?

– Uszyłam dla niej kostium. Ma pan rację, nie jest elegantką. To kobieta, dla której nie ma najmniejszego znaczenia, że donasza stroje z poprzedniego sezonu.

– Sądzi pani, że będzie panią pamiętać, że panią rozpozna, jeżeli się gdzieś spotkacie?

– Nie wiem. Myślę, że nie, ale nie mogę przysiąc. Nie widzę jednak problemu. Przecież w Tetuanie robiłam to samo, co będę robić w Madrycie.

– Niezupełnie. Tam znano panią jako przyjaciółkę pani Fox, a przez nią i pułkownika Beigbedera, a w Madrycie nikt nie może się o tym dowiedzieć.

– W czasie publicznych uroczystości nigdy nie stałam w pobliżu Bernhardtów, a o naszych prywatnych spotkaniach nie mieli powodu wiedzieć. Proszę się nie martwić, nie powinni nam narobić kłopotów.

– Mam nadzieję. Zresztą Bernhardt raczej nie ma do czynienia z wywiadem. Jego żywiołem są interesy. To figurant,

podstawiony przez nazistowski rząd w zawiłej sieci spółek niemieckich aktywnych na rynku hiszpańskim, obejmującej transport, banki, towarzystwa ubezpieczeniowe...

– Ma coś wspólnego z kompanią o nazwie HISMA?

– HISMA, Hiszpańsko-Marokańska Kompania Transportowa, przestała im wystarczać, kiedy przeskoczyli na Półwysep. Teraz działają pod przykrywką znacznie potężniejszej spółki SOFINDUS. Ale, ale... gdzie pani słyszała o HISMIE?

– W Tetuanie, w czasie wojny – bąknęłam niepewnie. Nie było sensu wdawać się teraz w szczegóły negocjacji pomiędzy Bernhardtem i Serrano Suñerem. Zbyt odległe czasy.

– Bernhardt – kontynuował Hillgarth – ma armię przekupionych szpicli, ale szuka głównie informacji istotnych dla handlu. Miejmy nadzieję, że nigdy się nie spotkacie. Zresztą nawet nie mieszka w Madrycie, tylko na lewantyńskim wybrzeżu, w domu, za który podobno zapłacił sam Serrano w rewanżu za jakąś przysługę. Ale to nie do końca pewne. Jest jeszcze jedna sprawa związana z Bernhardtem...

– Zamieniam się w słuch.

– Wolfram.

– Co?

– Wolfram – powtórzył. – Minerał o kluczowym znaczeniu w produkcji pocisków artyleryjskich. Podejrzewamy, że Bernhardt prowadzi negocjacje w sprawie koncesji górniczych w Galicji i Estremadurze, żeby wejść w posiadanie małych złóż, kupując je bezpośrednio od właścicieli gruntów, na których leżą. Wątpię, czy będzie to tematem rozmów w salonie krawieckim, ale gdyby coś pani usłyszała, proszę nas niezwłocznie

poinformować. Niech pani zapamięta: wolfram. Czasami nazywany jest też tungstenem. Zapisalem to tutaj, przy Bernhardcie – powiedział, wskazując palcem odpowiedni dokument.

– Będę na to uważać.

Zapaliliśmy kolejnego papierosa.

– To jak? Mam mówić dalej czy jest już pani zmęczona?

– Wcale. Proszę kontynuować.

– Porozmawiajmy o klientkach. Jest pewna grupka pań, których powinna pani za wszelką cenę unikać. To funkcjonariuszki nazistowskich służb. Łatwo je rozpoznać: rzucają się w oczy. Są aroganckie, mocno wymalowane, wyperfumowane, ubrane wyzywająco. Mają niski status społeczny i dość słabe kwalifikacje zawodowe, ale jak na warunki hiszpańskie otrzymują astronomiczne pensje. Nie liczą się z kosztami. Żony wysoko postawionych nazistów pogardzają nimi, a one, mimo pozornej buty, nie mają odwagi nawet pisnąć w obecności przełożonych. Jeśli któraś z nich pokaże się w pani atelier, proszę ją bezwzględnie spławić, bo wystraszy lepsze klientki. To nie ten poziom.

– Zrobię, jak pan mówi, spokojna głowa.

– A teraz miejsca publiczne. Odradzam lokale takie jak Chicote, Riscal, Casablanca lub Pasapoga. Pełno tam nuworyszów, spekulantów, parweniuszy nowego reżimu i artystów estradowych. W tych okolicznościach to dla pani raczej nieodpowiednie towarzystwo. W miarę możliwości niech się pani ograniczy do wskazanych przeze mnie hoteli, Embassy i kilku innych pewnych miejsc, jak klub Puerta de Hierro albo

kasyno. I oczywiście, jeżeli panią zaproszą, radzę bywać na prywatnych przyjęciach u Niemców. Nie powinna im pani odmawiać.

– Dobrze – odparłam. Nie dodałam, że wątpię, by ktoś z nich zechciał mnie kiedyś zaprosić.

Spojrzał na zegarek, ja też. W pokoju było już prawie ciemno, z wolna otulało nas przecucie zmierzchu. Znikąd nie dobiegał żaden dźwięk, za zatrzaśniętymi na głucho oknami zrobiło się duszno. Minęła siódma, a siedzieliśmy tak razem od dziesiątej rano: z ust Hillgartha płynął nieprzerwany strumień informacji, a ja chłonełam je wszystkimi porami skóry, przeżuwałam, trawiłam, starając się nasiąknąć instrukcjami i faktami. Kawa dawno się skończyła, a niedopałki nie mieściły w popielniczce.

– Cóż, chyba zmierzamy do końca – oznajmił. – Jeszcze tylko kilka rad. Najpierw wiadomość od pani Fox. Prosiła, abym przekazał, że ma się pani ubierać elegancko, lecz odważnie, i nie bać się ekstrawagancji, zarówno we własnym wyglądzie, jak i w tworzonych przez panią kreacjach. Przestrzega przed konwencjonalnym, ugrzecznonym stylem i zachęca, żeby w krawiectwie poszła pani na całość, bo w przeciwnym razie do atelier zaczną walić tłumy reżimowych babsztyli, szukających sukienek na niedzielną mszę.

Uśmiechnęłam się. Rosalinda, jak żywa, wyłoniła się nagle z niebytu.

– Skoro ona tak mówi, z zamkniętymi oczami pójdę za jej radą.

– A teraz, na koniec, nasze sugestie. Po pierwsze, proszę czytać prasę, obserwować na bieżąco sytuację polityczną w



Hiszpanii i za granicą, przy czym musi pani mieć świadomość, że wszystkie informacje będą przedstawiane z punktu widzenia Niemiec. Po drugie, proszę nigdy nie tracić spokoju. Niech pani wejdzie w rolę, uwierzy, że naprawdę jest pani tym, kim jest. Proszę być pewną siebie i niczego się nie obawiać. Nie możemy udzielić pani immunitetu dyplomatycznego, ale gwarantuję, że zawsze i wszędzie będziemy panią chronić. I nasza trzecia, ostatnia rada: proszę zachować najwyższą ostrożność w życiu prywatnym. Samotna, piękna cudzoziemka jest łakomym kąskiem dla wszelkiego typu oportunistów i uwodzicieli. Nawet sobie pani nie wyobraża, ile poufnych informacji zostało ujawnionych przez lekkomyślnych agentów w chwilach namiętności. Niech pani będzie czujna i nikomu, absolutnie nikomu, nie zdradzi ani słowa z naszej rozmowy.

– Obiecuję, że nikt się nie dowie, co tu usłyszałam.

– Świetnie. Ufamy pani i wierzymy, że misja zostanie uwieńczona sukcesem.

Zaczął zbierać papiery i chować wszystko do walizeczki. Nadeszła chwila, której bałam się przez cały dzień. Hillgarth odchodził, a ja z trudem się powstrzymywałam od prośby, żeby został przy mnie, żeby mówił dalej, żeby dał mi jeszcze jakieś instrukcje, żeby nie puszczał mnie samej na głęboką wodę tak szybko. Ale on już na mnie nie patrzył, dlatego prawdopodobnie nie mógł dostrzec mojej reakcji. Pakował swoje rzeczy w taki sam sposób, w jaki przez kilka godzin wypowiadał zdanie po zdaniu: szybko, sprawnie, metodycznie, przechodząc do sedna sprawy bez zbędnej straty czasu. Kiedy kończył, przekazał mi ostatnie zalecenia:

– Proszę pamiętać, co mówiłem o dossier tych ludzi: niech je pani dokładnie przeczyta i natychmiast zniszczy. Wyjdzie pani tylnym wyjściem. W pobliżu będzie czekał samochód, który odwiezie panią do domu. Tu jest bilet na samolot i pieniądze na pierwsze wydatki.

Wręczył mi dwie koperty. W pierwszej, cienkiej, znalazłam moją przepustkę na podniebną podróż do Madrytu. W drugiej, grubej, spory plik banknotów. Hillgarth mówił dalej, zapinając teczkę na zatrzask.

– Pokryjemy kosztą pani pobytu w Palace, wynajmu nowego atelier oraz pensji dziewcząt, które będą u pani pracować. Cały zysk należy do pani. Gdyby jednak potrzebowała pani większych środków, proszę nas od razu zawiadomić: mamy otwarte konto dla takich operacji, pieniądze nie stanowią problemu.

Ja też byłam już gotowa. Przyciskałam do piersi papierowe teczki z życiorysami wrogów, tuląc je w ramionach jak syna, którego przed laty straciłam. Siłą woli poskromiłam bijące gwałtownie serce. Wstaliśmy wreszcie od stołu, na którym zostały już tylko ślady niewinnej z pozoru, przydługiej poobiedniej pogawędki: puste filiżanki, pełna po brzegi popielniczka i dwa niedbale odstawione krzesła. Jakby odbyła się tam po prostu miła rozmowa dwojga przyjaciół, którzy między jednym a drugim papierosem opowiadali sobie, co u nich słychać. Z tą różnicą, że kapitan Hillgarth i ja nie byliśmy przyjaciółmi. I żadnego z nas dwojga ani trochę nie obchodziła przeszłość lub teraźniejszość tego drugiego. I dla niego, i dla mnie ważna była jedynie przyszłość.

– Ostatnia sprawa – powiedział.

Już wychodziliśmy, trzymał rękę na klamce. Cofnął ją i spojrzał na mnie bacznie spod swoich krzaczastych brwi. Chociaż nasze spotkanie trwało długo, wyglądał tak samo jak na początku: każdy włos na swoim miejscu, nienaganny węzeł krawata, śnieżnobiałe mankiety koszuli wystające z rękawów marynarki. Obojętny wyraz twarzy, ani szczególnie spięty, ani szczególnie odprężony. Doskonały wizerunek człowieka, który panuje nad sobą w każdej sytuacji. Zniżył głos aż do ochryplego szeptu:

– Nie zna mnie pani i ja pani nie znam. Nigdy się nie widzieliśmy. Od tej pory, jako współpracowniczka brytyjskich tajnych służb, nie jest już pani dla nas obywatelką hiszpańską nazwiskiem Sira Quiroga ani mieszkanką Maroka, Arish Agoriuq, lecz agentką SOE o kryptonimie Sidi, działającą na terenie Hiszpanii. Najbardziej niekonwencjonalną ze wszystkich ostatnio zwerbowanych, ale teraz już, bez wątpienia, jedną z nas.

Wyciągnął do mnie dłoń. Stanowczą, chłodną, pewną. Najbardziej stanowczą, chłodną i pewną, jaką w swoim życiu uścisnęłam.

– Powodzenia, agentko. Będziemy w kontakcie.

## 40

Nikt oprócz matki nie znał prawdziwej przyczyny mojego nagłego wyjazdu z Maroka – ani klientki, ani nawet Félix czy Candelaria. Wszystkich okłamałam, że wybieram się do Madrytu, aby zlikwidować nasze stare mieszkanie i załatwić

kilka spraw. Później matka będzie musiała coś wymyślić, żeby usprawiedliwić moją długotrwałą nieobecność: perspektywa korzystnego interesu, choroba, może nowy narzeczoney. Nie obawialiśmy się, że ktoś zwietrzy jakiś podstęp albo doda dwa do dwóch; mimo iż transport i poczta działały już normalnie, przepływ informacji pomiędzy hiszpańską stolicą i Afryką nadal szwankował.

Chciałam jednak pożegnać się z przyjaciółmi i poprosić ich bez słów, by życzyli mi szczęścia, więc w ostatnią niedzielę wydałyśmy dla nich obiad. Przyszła Candelaria wystrojona jak wielka pani, w nowej sukni, którą uszyłyśmy jej kilka tygodni temu, z kokiem „wiwat Hiszpania” sklejonym lakierem na mur i ze sznurem fałszywych pereł na szyi. Félix wpadł razem ze swoją matką, niestety, nie udało się jej spławić. Była też z nami Dżamila. Wiedziałam, że będę za nią tęsknić jak za młodszą siostrą. Wznieśliśmy toast szprycerem, wycmokali mnie na pożegnanie i życzyli szczęśliwej podróży. Dopiero kiedy zamknęłam za nimi drzwi, uświadomiłam sobie, jak mi będzie ich brakować.

Z komisarzem Vazquezem zastosowałam podobną taktykę, ale od razu wyczułam, że nie dał się nabrać. Jakżeby mogła go oszukać, skoro znał wszystkie moje niezalutowane sprawy i strach, jaki czułam na myśl, że będę się musiała z nimi zmierzyć! Był jedynym, który odgadł, iż za owym niewinnym wyjazdem kryje się coś więcej – coś, o czym nie mogę mu powiedzieć. Ani jemu, ani nikomu. Być może dlatego powstrzymał się od pytań. Właściwie to w ogóle nic nie mówił: terroryzował mnie tylko, jak zwykle, tym swoim

inkwizytorskim wzrokiem i radził, żebym była ostrożna. Odprowadził mnie potem do wyjścia, osłaniając przed śliniącymi się na mój widok podwładnymi. Pożegnaliśmy się w drzwiach komisariatu. Kiedy mieliśmy się zobaczyć znowu? Tego żadne z nas nie wiedziało. Być może wkrótce. Być może nigdy.

Poza tkaninami i przyborami do szycia kupiłam sporo żurnali i kilka marokańskich bibelotów z myślą o urządzeniu madryckiego atelier, któremu chciałam nadać egzotyczny styl, zgodny z moim nowym nazwiskiem i rzekomą sławą cenionej tangerskiej projektantki mody. Tace z tłoczonej miedzi, lampy o kloszach z różnobarwnych szkiełek, srebrne imbryczki, trochę ceramiki i trzy wielkie berberyjskie dywany. Skrawek Afryki w samym środku znękaną Hiszpanii.

Kiedy po raz pierwszy weszłam do wspaniałego mieszkania przy Núñez de Balboa, wszystko już na mnie czekało. Satynowobiałe ściany, świeżo wypolerowany dębowy parkiet. Rozkład pomieszczeń odzwierciedlał, w znacznie większej skali, plan mojego domu na Sidi Mandri. Przestrzeń reprezentacyjną tworzyły obszerne trzy salony w amfiladzie. Sufity nieskończenie wyższe, okna wielkopańskie. Otworzyłam jedno z nich, lecz gdy wychyliłam się przez kratę balustradki, nie ujrzałam łagodnych wzgórz Dersy ani skalistego Gorgesu, ani bielonych wapnem murów medyny, nie powiało na mnie bryzą pachnącą jaśminem i kwiatem pomarańczy, nie usłyszałam głosu muezina wzywającego z minaretu na modlitwę. Zatrzasnęłam okno, odcinając dostęp melancholii. Ruszyłam w głąb mieszkania. W ostatnim z głównych pokoi leżały bele

przywiezionych z Tangueru tkanin: piękne jak sen jedwabie, gipiury, muśliny i szyfony we wszystkich wyobraźalnych kolorach i tonacjach, od wspomnienia piasku na nadmorskiej plaży do ognistej czerwieni, różu i koralu, inne we wszelkich możliwych odcieniach błękitu, od barwy letniego nieba o poranku do mrocznej głębi fal wzburzonych nocnym sztormem. Powierzchnię przymierzalni – dwóch – pomnażały wspaniałe potrójne lustra w złożonych ramach. Pracownia, podobnie jak w Tetuanie, zajmowała centralną część mieszkania, ale była znacznie większa od tamtej. Wielki stół, deski do prasowania, nagie manekiny, nici, rozmaite przybory, słowem – to samo co zwykle. W głębi – moja prywatna przestrzeń: ogromna, zbyt ogromna, dziesięć razy za duża na moje potrzeby. Odgadłam w tym wszystkim rękę Rosalindy. Tylko ona znała mój warsztat, mój dom, moje sprawy, moje życie.

W ciszy nowego mieszkania znów zastukało do drzwi pytanie, które od paru tygodni wciąż do mnie powracało: dlaczego, dlaczego, dlaczego? Dlaczego się na to zgodziłam, dlaczego pakuję się w cudze awantury, dlaczego... Odpowiedzi nadal nie znałam. A przynajmniej jednej konkretnej, jasnej odpowiedzi. Być może przystałam na to przez lojalność wobec Rosalindy. Być może uznałam, że jestem to winna matce i ojczyźnie. Możliwe wreszcie, że nie zrobiłam tego dla nikogo, tylko dla siebie. Jedno było pewne: powiedziałam „tak, proszę bardzo”. W pełni świadomie złożyłam obietnicę, że podejmę się tego zadania z determinacją i bez żadnych wahań, obaw, rozterek. I oto jestem, w cudzej postaci nieistniejącej Arish Agoriuq, i wyruszam na obchód swojego nowego habitatu,

stukając po schodach obcasami, ubrana w światowe ciuchy, gotowa stać się najbardziej fałszywą krawcową w Madrycie. Bałam się? Tak, strach podchodził mi do gardła. Ale bez przesady. Oswojony. Do usług, na każde moje skinienie.

Przez portiera przekazano mi pierwszą wiadomość. Dziewczęta, które miałam przyjąć na służbę, zgłoszą się nazajutrz rano. Przyszły razem, Dora i Martina. Były do siebie podobne, a jednocześnie zupełnie inne, jakby się uzupełniały. Dora miała lepszą figurę, Martina ładniejszą twarz. Dora wydawała się bystrzejsza, Martina miłsza. Spodobały mi się obie. Zdegustowały mnie za to ich nędzne sukieneczki, zagłódzone buzie i widoczna w każdym ruchu nieśmiałość. Jak dwie trusie. Temu wszystkiemu mogłam jednak szybko zaradzić. Wzięłam miarę i raz-dwa uszyłam im eleganckie uniformy, sięgając do tangerskiego arsenału tkanin. Wyjęłam kilka banknotów z koperty Hillgartha i wysłałam dziewczyny na targ La Paz po wiktuały.

– Co mamy kupić, panienko? – zapytały z oczami jak talarki.

– Co będzie, podobno nie ma tu za wiele. Same zobaczycie. Przecież mówiłyście, że potraficie gotować. Skoro tak, to do dzieła.

Ich bojaźliwość nie zniknęła od razu, ale stopniowo mijała. Dlaczego tak się zamknęły w sobie, czego się obawiały? Wszystkiego. Służby u afrykańskiej cudzoziemki – czyli mnie – okazałego gmachu, w którym się mieściło moje nowe mieszkanie, i tego, że nie będą się umiały zachować w wytwornym salonie krawieckim. Jednakże dzień po dniu przywykały do swojego nowego życia: do domu, do

obowiązków, do mnie. Okazało się, że Dora, o dwa lata starsza od siostry, ma dobrą rękę do szycia i wkrótce zaczęła mi pomagać. Martina bardziej przypominała Dżamilę i mnie samą z lat wczesnej młodości: lubiła wychodzić, chętnie załatwiała wszystkie sprawy na mieście. Domem zajmowały się obydwie, dzieląc się pracą po połowie. Były zręczne i taktowne – dobre dziewczyny, jak się wówczas mawiało. O Beigbederze napomknęły tylko kilka razy; nigdy się nie przyznałam, że go znam. Don Juan, tak go nazywały. Mówiły o nim serdecznie, kojarzył im się ze szczęśliwym dzieciństwem w Berlinie, z którego pozostała im garść wspomnień i słabnąca z czasem znajomość języka.

Wszystko szło zgodnie z oczekiwaniami Hillgartha. Mniej więcej. Pojawiły się pierwsze klientki, niektóre z jego listy, inne nie. Sezon otworzyła Gloria von Fürstenberg, piękna, dostojna, o karogniadych włosach splecionych w grube warkocze, upięte nad karkiem na kształt czarnej aureoli azteckiej bogini. Na widok moich tkanin roziskrzyły się jej oczy. Oglądała, dotykała, pytała o cenę. Jedne odrzuciła od razu, w inne owijała się przed lustrem, żeby sprawdzić efekt. Z miną znawczyni, starannie omijając najdroższe, wybrała te, które najbardziej przypadły jej do gustu. Wprawnym okiem przejrzała żurnale, zatrzymując się dłużej przy modelach najkorzystniejszych dla jej stylu i sylwetki. Ta Meksykanka o niemieckim nazwisku doskonale wiedziała, czego chce. Nie pytała mnie o zdanie, a ja się nie narzucałam z radami. Zdecydowała się w końcu na tunikę z jedwabnej gazy w kolorze czekolady i wieczorowy płaszcz z rypsu. Za pierwszym razem przyszła sama i rozmawialiśmy po



hiszpańsku. W dniu przymiarki przyprowadziła przyjaciółkę, Ankę von Fries, która zamówiła u mnie długą suknię z krepy *gorguette* i aksamitną rubinową pelerynę z wykończeniem ze strusich piór. Kiedy przeszły na niemiecki, natychmiast zawołałam Dorę. Dobrze ubrana, syta, ładnie uczesana, w niczym już nie przypominała bojaźliwej trusi, która zaledwie tydzień temu zapukała do moich drzwi: przeobraziła się w wysmukłą, milczącą asystentkę, która notowała w myśli każde zasłyszane słowo i dyskretnie wycofywała się co kilka minut, żeby skrupulatnie zapisać to w zeszyciku.

– Zawsze prowadzę dokładny rejestr wszystkich pań odwiedzających mój salon – powiedziałam jej kiedyś. – Chcę wiedzieć, o czym mówią, dokąd chodzą, z kim się spotykają i jakie mają plany. Dzięki temu będę mogła zdobyć więcej klientek. Nie znam dobrze niemieckiego, więc liczę na twoją pomoc.

Nawet jeśli owa inwigilacja wywołała zdziwienie Dory, dziewczyna tego nie okazała. Prawdopodobnie pomyślała, że to normalna praktyka w branży, o której przecież nie miała żadnego pojęcia. Była w błędzie. W ogromnym błędzie. Skrupulatne notowanie, sylaba po sylabie, nazwisk, miejsc i dat wymienianych przez klientki nie było normalną praktyką w zakładach krawieckich, a my, niczym pilne uczennice, robiłyśmy to codziennie. Potem, wieczorem, przeglądałam notatki Dory i moje, wyszukiwałam przydatne informacje, streszczałam je i przepisywałam alfabetem Morse'a, obrysowując przerywaną linią z długich i krótkich kresek proste lub fantazyjne wykroje, z których nigdy nie powstał

kompletny strój. O świcie kartki z notatkami zamieniały się w popiół. Wystarczyła jedna zapałka. Papier znikał bez śladu, ale pozostawała garść informacji ukrytych w konturze klapy, paska albo karczka.

Moją klientką była też baronowa de Petrino, małżonka wszechwładnego attaché prasowego Lazara: nieskończenie mniej efektowna niż Meksykanka, ale dysponująca znacznie większymi pieniędzmi. Wybrała najdroższe tkaniny i nie żałowała sobie ozdóbek. Przyprowadziła do mnie swoje znajome, dwie Niemki i jedną Węgierkę. Rano moje salony zamieniały się w miejsce spotkań towarzyskich, z monotonnym gwarem obcojęzycznych rozmów w tle. Nauczyłam Martinę parzyć herbatę na mauretański sposób, z miętą, którą zasadziłyśmy w glinianych doniczkach na kuchennym parapecie. Pokazałam, jak się posługiwać czajniczkami i jak nalewać gorący płyn do szklaneczek w srebrnych filigranowych koszyczkach. Nauczyłam ją nawet malować powieki kholem, a żeby wyglądała jeszcze bardziej egzotycznie, uszyłam dla niej satynowy kaftan w kolorze gardenii. Sobowtór mojej Dżamili, tu, na innej ziemi, żeby zawsze była przy mnie.

Wszystko szło dobrze; coraz swobodniej czułam się w swoim nowym wcieleniu, pewnym krokiem wchodziłam do najlepszych lokali. W stosunku do klientek zachowywałam pewną dozę tupetu, chroniąc się pod pancierzem rzekomej egzotyki. Bezczelnie wtrącałam francuskie i arabskie słowa, a nawet całe zdania, zasłyszane kiedyś na ulicach Tangeru i Tetuanu, niezrozumiałe często dla mnie samej, i pewnie wygadywałam straszliwe bzdury, przy czym dokładałam

wszelkich starań, żeby w owym poliglotyzmie, tyleż pozornym, co chaotycznym, wystrzegać się jak ognia angielskich wtrętów, których nauczyłam się od Rosalindy. Niezwykle użyteczne przebranie cudzoziemki od niedawna mieszkającej w Madrycie pozwoliło mi ukryć wszystkie słabe punkty i bez obawy stąpać po grząskim gruncie. Odnosiłam jednak wrażenie, że nikogo nie obchodziło moje pochodzenie – moje klientki interesowały się jedynie tkaninami oraz tym, co potrafiłam z nich uszyć. Rozgadane, przesiadywały w pracowni i najwyraźniej świetnie się tam czuły. Opowiadały sobie i mnie, co robiły ostatnio i co mają zamiar robić, plotkowały o wspólnych znajomych, mężach i kochankach. Tymczasem Dora i ja pracowałyśmy bez wytchnienia: rysowałyśmy projekty, krajałyśmy tkaniny, brałyśmy miarę z klientek w dezabilu; a na zapleczu robiłyśmy tajne notatki. Nie miałam pojęcia, czy informacje, które tak pracowicie przepisywałam co noc, przedstawiały jakąkolwiek wartość dla Hillgartha i jego ludzi, ale na wszelki wypadek ściśle się trzymałam instrukcji. W środy po południu zostawiałam u fryzjera tubę z wykrojami. W soboty chadzałam do Prado, urzeczona tym nowym odkryciem tak bardzo, że czasami zapominałam, po co tam jestem, kontemplując w zachwycie obrazy. Wymiana kopert z zaszyfrowanymi wykrojami odbywała się bez najmniejszych przeszkód, tak sprawnie, że ani razu nie poczułam dreszczyku emocji. Moją tekę odbierał zawsze ten sam człowiek – łysy, chudy pracownik muzeum, który prawdopodobnie przekazywał dalej moje meldunki, chociaż nigdy nie wymienialiśmy ze sobą konspiracyjnych spojrzeń.

Wychodziłam czasami na miasto, ale nie za często. Kilkakrotnie zajrzałam do Embassy w porze aperitif. Hillgartha zobaczyłam tam już pierwszego dnia, z daleka; siedział w towarzystwie kilku Anglików i popijał whisky z lodem. On także mnie zauważył, ale tylko ja to spostrzegłam: ani jeden muskuł nie drgnął w jego twarzy na mój widok. W prawej ręce mocno ścisnęłam torebkę i udawałam, że go nie widzę. Ukłoniłam się paru klientkom, które głośno zachwalały moje atelier innym paniom; wypiliśmy z nimi koktajl, ścigana pełnymi uznania spojrzeniami kilku mężczyzn, i z wyżyn mojego domniemanego kosmopolityzmu przyjrzałam się dyskretnie gościom herbaciarni. Światowy szyk, pustota i pieniądze w czystej postaci za barem i przy stolikach skromnego lokaliku na rogu ulicy. Byli tam panowie w garniturach z alpaki i tweedu w najlepszym gatunku, wojskowi – jedni ze swastyką na ramieniu, inni w nieznanym mi cudzoziemskich mundurach z mnóstwem gwiazdek i galonów na rękawach. Były eleganckie damy w dwuczęściowych kostiumach, obwieszane potrójnymi rzędami pereł wielkości orzechów; na wargach nienaganny *rouge*, na głowie wytworna *coiffure* pod cudownej urody kapeluszem lub turbanem. Były rozmowy w kilku językach, dyskretny śmiech i cichy brzęk szkła o szkło. W powietrzu unosiły się subtelne wonie perfum od Guerlaina i Patou, lekki powiew światowych manier i dym z długich, cienkich papierosów. Niedawna hiszpańska wojna i brutalny konflikt pustoszący Europę jawiły się w tym wytwornym otoczeniu jako błahe epizody z odległej galaktyki.

Za barem, uprzejmie witająca klientów i baczna na każdy ruch kelnerów, stała wyprostowana, dostojna postać, w której domyśliłam się właścicielki lokalu, Margaret Taylor. Hillgarth nie wprowadził mnie w tajniki ich współpracy, ale nie miałam wątpliwości, że owe kontakty z pewnością wykraczały poza drobne grzeczności świadczone stałym klientom. Przyjrzałam się jej uważniej, kiedy podawała rachunek niemieckiemu oficerowi w czarnym nazistowskim mundurze ze swastyką na rękawie i lśniących jak lustro oficerkach. Ta cudzoziemka o surowym, dystyngowanym wyglądzie, która zapewne dawno już przekroczyła czterdziestkę, była niewątpliwie jednym z wielu trybików tajnej maszyny, jaką brytyjski attaché marynarki uruchomił w Hiszpanii. Nie dostrzegłam, by w którymkolwiek momencie kapitan Hillgarth wymieniał z nią porozumiewawcze spojrzenia lub dawał tajemne znaki. Zanim wyszłam, jeszcze raz zerknęłam na nich kątem oka. Margaret Taylor rozmawiała dyskretnie z kelnerem w białej marynarce, wydając mu jakieś polecenia. Hillgarth siedział przy stoliku, słuchając z zainteresowaniem opowieści jednego ze swoich przyjaciół, rozprawiającego o czymś ze swadą młodego człowieka, który skupiał na sobie uwagę całego towarzystwa. Widziałam z daleka jego teatralne gesty, odniosłam wrażenie, że chyba kogoś przedrzeźniał. Na koniec wszyscy wybuchnęli śmiechem. Hillgarth najgłośniej. Może poniosła mnie wyobraźnia, ale zdawało mi się, przez jedną tysięczną sekundy, że spojrzał na mnie i mrugnął.

Madryt z wolna zasnuwała jesień, a liczba moich klientek rosła. Jak do tej pory nie dostałam jeszcze kwiatów i czekoladek

– ani od Hillgartha, ani od nikogo innego. Cieszyłam się z tego, bo i tak na nic nie miałam czasu, a tym bardziej ochoty. Moje nowe atelier zyskiwało popularność w zawrotnym tempie, rozeszła się wieść, że mam wspaniałe tkaniny. Liczba zamówień rosła z każdym dniem i z trudem dawałam sobie radę. Byłam zmuszona odwlekać terminy i przymiarki. Pracowałam dużo, bardzo dużo, więcej niż kiedykolwiek w życiu. Kładłam się późną nocą, wstawałam o świcie, rzadko odpoczywałam; bywało, że przez cały dzień chodziłam z centymetrem na szyi. Do mojej szkatułki płynął nieustanny strumień pieniędzy, ale tak mało mnie to obchodziło, że nawet nie chciało mi się ich liczyć. Jakże różniło się to wszystko od mojej starej pracowni.

Wspominałam czasami z nostalgią owe tetuańskie czasy. Nocne liczenie banknotów w sypialni na Sidi Mandri z nadzieją, że wkrótce będę mogła spłacić długi. Candelaria powracająca z wyprawy do żydowskich kantorów, ze zwitkiem funtów szterlingów za stanikiem. Nasza dziecinna radość, kiedy dzieliłyśmy się zyskiem: połowa dla mnie, połowa dla ciebie, oby nigdy nam nie zabrakło na chleb, kochaneczko, mawiała co miesiąc szmuglerka. Zdawało się, że całe wieki dzielą mnie od owego świata, a przecież minęły zaledwie cztery lata. Cztery lata jak cztery wieczności. Gdzie się podziała tamta Sira, której mauretańskie dziewczę obcięło włosy krawieckimi nożycami w kuchni pensjonatu na La Luneta, gdzie te pozy, które tak wytrwale ćwiczyłam przed pękniętym lustrem mojej gospodyni? Pewnie zagubiły się w fałdach czasu. Teraz strzygł mnie najlepszy fryzjer w Madrycie, a owe miny i wystudiowane gesty stały się moją drugą, być może prawdziwszą naturą.

Pracowałam dużo i zarabiałam więcej, niż kiedykolwiek mogłam zamarzyć. Kazałam sobie słono płacić. Strumień banknotów płynął nieprzerwanie: setki z wizerunkiem Krzysztofa Kolumba, pięćsetki z obliczem don Juana de Austria. Tak, zarabiałam dużo, ale w pewnym momencie zrozumiałam, że dłużej sama sobie nie poradzę. Napisałam o tym do Hillgartha, na wykroju ramiączka. Owej soboty nad muzeum Prado padał deszcz. Nim zatonąłam w zachwycie przed płótnami Velazqueza i Zurbarana, niepozorny, łysy człowieczek odebrał moją tekę, a w niej kopertę z jedenastoma meldunkami, które niezwłocznie miały trafić do rąk attaché marynarki. Dziesięć z nich zawierało zwykłe informacje. „Kolacja 14 rezydencja Walter Bastian ulica Serrano, przyjdą Lazarowie. Państwo Bodemueller wyjeżdżają San Sebastián za tydzień. Pani Lazar krytykuje adiutanta męża Arthura Dietricha. Gloria von Fürstenberg i Anka Frier u niemieckiego konsula w Sewilli koniec października. Tydzień temu z Berlina przyjechała grupa młodych mężczyzn, nocują w Ritzu, są pod opieką Friedricha Knappe. Mąż Frau Hahn nie lubi Kütschmanna. Himmler przyjeżdża Hiszpania 21 października, rząd i Niemcy szykują fetę. Clara Stauffer zbiera ekwipunek dla niemieckich żołnierzy w swoim domu ulica Galileo. Kolacja klub Puerta Hierro data nieznana, księżę Argillo z małżonką. Haberlein wydaje obiad w swoim letnim domu Toledo, zaproszeni Serrano Suñer i markiza Llanzol”. Ostatnia wiadomość była bardziej osobista: „Za dużo pracy. Na nic czasu. Mniej klientek albo szukam pomocy. Czekam odpowiedź”.

Nazajutrz rano dostałam przepiękne białe gladiolusy. Do moich drzwi zapukał posłaniec w szarym uniformie i czapce z wyhaftowaną nazwą kwiaciarni: Buorguignon. Przeczytałam bilecik. „Zawsze gotów spełniać twoje życzenia”. I jakiś bazgroł w charakterze podpisu. Roześmiałam się w głos na myśl o chłodnym Hillgarcie, piszącym te idiotyczne dusery. Zniosłam bukiet do kuchni i rozwiązałam wstążkę. Poprosiłam Martinę, żeby wstawiła kwiaty do wody, po czym zamknęłam się w swoim pokoju. Od razu znalazłam wiadomość w postaci przerywanej linii z krótkich i długich kresek. „Zatrudnić osobę zaufaną bez czerwonej przeszłości ani polityki”.

Rozkaz. I mnóstwo wątpliwości.

## 41

Kiedy otworzyła drzwi, nie odezwała się ani słowem. Patrzyłam tylko, z trudem powstrzymując chęć, żeby ją uściskać. Przyglądała się z zakłopotaniem, próbując spojrzeć mi w oczy, niewidoczne chyba dla niej zza *voilette* mojego kapelusza.

– Słucham panią – powiedziała wreszcie. Zeszczuplała. Upływ czasu pozostawił na niej swoje ślady.

Drobniutka jak kiedyś, ale chudsza i starsza. Uśmiechnęłam się. Nadal mnie nie poznawała.

– Pozdrowienia od mojej matki, doño Manuelo. Jest w Maroku, znowu szyje.

Spojrzała na mnie zdziwiona, nie rozumiejąc. Ubrana była ze zwykłą starannością, ale na dawno niefarbowanych włosach



widać było odrosty, a wyświecony tu i ówdzie ciemny kostium musiał już przeżyć niejedną zimę.

– Jestem Sira. Sirita, córka Dolores.

Ponownie obrzuciła mnie wzrokiem od góry do dołu. Schyliłam się, żeby mogła mnie lepiej zobaczyć, i podniosłam woalkę.

– To ja, Sira, doño Manuelo, Sira. Nie pamięta mnie pani? – szepnęłam.

– Panienko Przenajświętsza! Sira, córciu, co za radość! – wykrzyknęła wreszcie.

Przytuliła się do mnie i rozplakała, a i ja z trudem powstrzymywałam łzy.

– Wejdz, córciu, wejdz, nie stój tak w drzwiach – powiedziała, kiedy już powściągnęła emocje. – Ależ ty jesteś elegancka, dziecinko, nie poznałam cię. Chodź, usiądziemy, opowiesz mi, co porabiasz w Madrycie, jak ci się powodzi, jak się czuje mama.

Zaprowadziła mnie do dużego pokoju i serce znów piknęło mi z tęsknoty. Ileż to razy przychodziłam tu na Trzech Króli trzymana za rączkę przez matkę, niecierpliwie próbując odgadnąć, jakie czekają na mnie prezenty. W mieszkaniu na Santa Engracia czułam się wówczas jak w pałacu, tak ogromne i bogate mi się wydawało. Było oczywiście skromniejsze niż zakład modniarski przy ulicy Zurbano, ale nieskończenie wspanialsze od naszego ubogiego lokum na La Redondilla. Teraz jednak zdałam sobie sprawę, że wspomnienia z dzieciństwa przesyciły moją pamięć delikatną mgiełką, odkształcającą prawdziwy obraz rzeczywistości. Dom, w

którym doña Manuela spędziła całe swoje długie życie, nie był ani wielki, ani bogaty. Było to zwykłe mieszkanie, źle rozplanowane, zimne, ciemne, zagracone ponurymi meblami. Ciężkie story z pamiętającego lepsze czasy aksamitu wpuszczaly niewiele światła, na ścianach widniały zacieki od wilgoci i wyblakłe oleodruki, a po kątach czały się smętne szydełkowe serwetki.

– Siadaj, córciu, siadaj. Napijesz się czegoś? Może kawy?

Bogiem a prawdą to nie kawa, tylko palona cykoria. Wiesz, jak trudno teraz coś dostać. Ale z odrobiną mleka jako tako smakuje, chociaż sprzedają nam coraz gorszą lurę. Trudno, jest, jak jest... Cukru nie mam, oddałam kartkę sąsiadce, dla dzieci. W moim wieku to już wszystko jedno...

Chwyciłam ją za rękę.

– Dziękuję, nie będę nic piła, doño Manuelo, proszę sobie nie robić kłopotu. Przyszłam tu, bo chcę panią o coś spytać.

– W takim razie mów, słucham.

– Nadal pani szyje?

– Nie, córciu, nie. Odkąd zamknęłyśmy zakład w trzydziestym piątym, nie wróciłam do pracy. Od czasu do czasu uszyłam coś dla znajomych albo z musu, ale nic więcej. O ile dobrze pamiętam, ostatnia duża rzecz to twoja suknia ślubna, ale ty...

Wolałam uniknąć dyskusji o przeszłości, więc wtrąciłam prędko:

– A chciałaby pani szyć razem ze mną?

Milczała przez dłuższą chwilę, trochę zbity z tropu.

– Mówisz, że mam wrócić do pracy? Robić to co dawniej?

Z uśmiechem kiwnęłam głową, starając się rozniecić w niej iskrę optymizmu. Nie odpowiedziała mi jednak od razu. Zmieniła temat:

– A twoja matka? Dlaczego przychodzisz z tym do mnie? Przecież ona ci może pomóc.

– Już mówiłam, że jest w Maroku. Wyjechała tam w czasie wojny. Myślałam, że pani o tym wie.

– Wiem, wiem... – powiedziała, ścisząc głos, jakby się bała, że ściany usłyszą i zdradzą tę tajemnicę. – Przyszła tu któregoś dnia pod wieczór, zupełnie nagle, niespodziewanie, tak jak ty dzisiaj. Powiedziała, że jedzie do Afryki, że ty już tam jesteś i jakimś cudem załatwiłaś, aby wywieźli ją z Madrytu. Nie wiedziała, co robić. Była przerażona. Przyszła się poradzić, zapytać, co ja o tym myślę.

Mój nienaganny makijaż nie pozwolił jej dostrzec zakłopotania, w jakie wprawiły mnie te słowa: nigdy bym nie przypuszczała, że moja matka mogła się wahać, czy zostać w Madrycie, czy nie.

– Powiedziałam, żeby wyjechała, żeby uciekała stąd czym prędzej – ciągnęła doña Manuela. – Tutaj było istne piekło. Wszyscy cierpieliśmy, córciu, wszyscy. Ci z lewicy walczyli dzień i noc, żeby do miasta nie weszli narodowcy. Ci z prawicy ukrywali się przed aresztowaniem. A ci, którzy, jak twoja matka i ja, nie stali po żadnej stronie, czekali, aż ten horror się skończy, żeby znowu spokojnie żyć. Rządu nie było, nikt nie panował nad chaosem. I dlatego jej poradziłam, żeby skorzystała z okazji i wyjechała, wyrwała się z tej gehenny i zamieszkała z tobą.

Mimo zdumienia postanowiłam o nic więcej nie pytać. Przyszłam tu spotkać się z moją dawną nauczycielką, wiązałam z nią pewne plany na przyszłość, więc od razu przystąpiłam do rzeczy.

– Dobrze pani zrobiła. Nie wiem, jak mam dziękować, doña Manuelo – powiedziałam. – Matka czuje się świetnie, jest szczęśliwa i znowu pracuje. W trzydziestym szóstym, zaraz po wybuchu wojny, otworzyłam w Tetuanie zakład krawiecki. Tam było spokojnie i chociaż Hiszpankom nie w głowie były zabawy i nowe suknie, znalazło się kilka cudzoziemek, które nasza wojna niewiele obchodziła. Zostały moimi klientkami. Kiedy przyjechała matka, szyłyśmy dalej razem. A teraz postanowiłam wrócić do Madrytu i zacząć wszystko od nowa. Otworzyłam atelier.

– I wróciłaś sama?

– Już od dawna jestem sama. Jeżeli pyta mnie pani o Ramira, odpowiem krótko: było, minęło.

– To Dolores została tam bez ciebie? – zdziwiła się doña Manuela. – Ale przecież wyjechała po to, żeby być przy tobie...

– Podoba jej się w Maroku: klimat, ludzie, spokojne życie... Mamy dobre klientki, znalazła sobie przyjaciółki. Wolała zostać. A ja tęskniłam za Madrytem – skłamałam. – Zdecydowałyśmy, że przyjadę tu, popracuję jakiś czas, a kiedy interes się rozkręci, pomyślimy, co dalej.

Patrzyła na mnie uważnie przez kilka nieskończonych chwil. Powieki miała zwiotczałe, twarz poraną bruzdami. Dobiegała chyba siedemdziesiątki. Jej przygarbione plecy i zgrubienia na palcach były smutnym świadectwem lat, które przepracowała z

igłą i nożycami w rękę, najpierw jako uczennica, potem czeladniczka, wreszcie właścicielka zakładu krawieckiego. A teraz była beczynna, zbędna niczym marynarz bez okrętu. Lecz myliłby się ten, kto by pomyślał, że to koniec. Przeczyło temu bystre spojrzenie jej żywych, małych, ciemnych jak czarne oliwki oczu. Ta kobieta wciąż miała głowę nie od parady.

– Nie powiedziałaś mi wszystkiego, prawda, córciu? – odezwała się wreszcie.

Cwana sztuka, pomyślałam z podziwem. Zapomniałam już, jak wiele miała wrodzonego sprytu.

– Nie, doño Manuelo, nie powiedziałam pani wszystkiego – przyznałam. – Nie mogę. Ale mogę powiedzieć trochę. Widzi pani, w Tetuanie poznałam ważnych ludzi. Ludzi, którzy jeszcze dzisiaj mają wielkie wpływy. Namówili mnie, żebym przyjechała do Madrytu, otworzyła atelier i szyła dla klientek z wyższych sfer. Nie chodzi o żony reżimowych polityków, ale o cudzoziemki i damy z naszej arystokracji, monarchistki, które uważają Franco za uzurpatora.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego twoi znajomi chcą, żebyś szyła dla tych pań?

– Tego właśnie nie mogę powiedzieć. Ale potrzebuję pani pomocy. Przywiozłam z Maroka wspaniałe tkaniny, których tutaj nigdzie się nie dostanie. Zyskałam spory rozgłos, mam więcej klientek, niż przewidywałam. Sama nie dam rady.

– Dlaczego, Siro? – powtórzyła z namysłem. – Dlaczego szyjesz dla tych pań? Czego od nich chcą twoi znajomi? Czego ty chcesz?

Zacisnęłam wargi, zdecydowana nie puścić pary z ust. Nie mogłam. Nie powinnam. Czułam jednak, że jakaś obca siła wypycha mój głos z gardła. Jakby doña Manuela znów była moją szefową, a ja smarkatą uczennicą; jakby znów łajała mnie, każąc się tłumaczyć, dlaczego zniknęłam na pół dnia, chociaż miałam kupić tylko trzy tuziny guzików z masy perłowej na placu Pontejos. Przemówiło moje ciało i wspomnienie przeszłości, nie ja.

– Szyję dla nich, żeby zdobyć informacje o tym, co robią Niemcy w Hiszpanii, i przekazuję je Anglikom.

Ledwo przebrzmiała ostatnia sylaba, ugryzłam się w język, świadoma, że powiedziałam za dużo. Pożałowałam złamania danej Hillgarthowi obietnicy, że nikomu nie zdradzę mojej misji, ale trudno, stało się i już nie było odwrotu. Pomyślałam wówczas, że pójdę za ciosem i wyjaśnię całą sytuację. Wy tłumaczę, że Hiszpania powinna zachować neutralność, że nie damy rady stawić czoła nowej wojnie; powtórzę wszystkie argumenty, które mnie do tego przekonały. Nie musiałam, bo zanim zdążyłam się odezwać, dostrzegłam dziwny błysk w oczach doñi Manueli. Błysk w oczach i ślad uśmiechu w kącikach ust.

– Dla rodaków doñi Wiktorii Eugeniej wszystko. Kiedy mam zacząć?

Przegadałyśmy całe popołudnie. Ustaliłyśmy podział pracy, a nazajutrz o dziewiątej rano była już u mnie. Chętnie się zgodziła grać drugie skrzypce, a wiadomość, że nie będzie musiała się stykać z klientkami, przyjęła niemal z ulgą. Rozumiałyśmy się doskonale, tak jak przed laty się rozumiały z

moją matką. Tyle że teraz nastąpiła zmiana ról. Do swoich nowych obowiązków podeszła z istic księżęcą pokorą: podporządkowała się panującym w atelier obyczajom, zaprzyjaźniła z Dorą i Martiną, wniosła własne doświadczenie i energię, jakiej pozazdrościłoby jej wiele kobiet dźwigających na barkach trzy dziesiątki lat mniej. Pogodziła się z faktem, iż to ja dzierżyłam batutę, przywykła do moich niekonwencjonalnych projektów i pomysłów, bez szemrania wykonywała tysiące drobnych prac, którymi u niej zajmowały się początkujące szwaczki. Powrót do branży po latach bezczynności był dla niej podarunkiem losu i niby kępa maków zroszona kwietniowym deszczem, odżyła i rozkwitła.

Gdy doña Manuela przejęła dowództwo nad tylną strażą na zapleczu, w atelier zapanował spokój i ład. Pracy starczało dla nas obu na długie godziny, ale nareszcie przestałam się miotać i od czasu do czasu brałam sobie wolne. Zaczęłam się bardziej udzielać towarzysko: byłam wręcz rozrywana przez klientki, które zapraszały mnie na tysiące spotkań, żeby pochwalić się przed innymi „wielkim odkryciem sezonu”. Przyjęłam zaproszenia na koncert niemieckich orkiestr wojskowych w Retiro, na koktajl w tureckiej ambasadzie, na kolację w austriackiej i kilka obiadów w modnych lokalach. Zaroiło się wokół mnie od natrętów: malowniczych dyplomatów z najbardziej egzotycznych zakątków ziemi, szukających przygód kawalerów i brzuchatych mężów, z których każdy, bez uszczerbku dla kieszeni, mógłby utrzymać trzy kochanki. Spławiałam ich po drugim kieliszku i jednym tańcu, bo ostatnią

rzeczą, jakiej w owym momencie potrzebowałam, był mężczyzna mojego życia.

Nie wszystko jednak było zabawą i rozrywką, bynajmniej. Chociaż doña Manuela ulżyła mi w codziennych obowiązkach, upragniony spokój nie nadszedł. Ledwie zrzuciłam z barków ciężar samotnej pracy, na horyzoncie zaczęły się zbierać nowe chmury. Co z tego, że wreszcie mogłam wychodzić, kiedy chciałam, włóczyć się bez celu po ulicach i gapić do woli na wystawy, skoro spostrzegłam coś, o czym do tej pory nie miałam pojęcia, a przed czym ostrzegał mnie Hillgarth w trakcie naszej poobiedniej „pogawędki” w Tangerze. Śledzili mnie. Być może trwało to już od jakiegoś czasu, lecz ja, wiecznie w pośpiechu, niczego nie zauważyłam. A może zbiegło się po prostu z zatrudnieniem doñi Manueli w Chez Arish. Fakt pozostaje faktem, iż od tej pory w moim życiu zagościł cień. Nie na stałe, nie na co dzień, nie zawsze. Pewnie dlatego tak długo nie zdawałam sobie sprawy z jego obecności, a później pomyślałam, że wyobraźnia płata mi figle. Nastąpiła jesień, w Madrycie pełno było mężczyzn w kapeluszach i prochowcach z postawionym kołnierzem. Taki panował styl w owych powojennych czasach i setki podobnych jak krople deszczu sobowtórów krążyły po ulicach, kawiarniach i urzędach. Ten, który odwracając twarz, przystanął tuż obok, żeby razem ze mną przejść na drugą stronę alei Castellana, wcale nie musiał być tym samym, który parę dni potem udawał, że daje jałmużnę jakiemuś obdartemu ślepcowi, podczas gdy ja oglądałam buty w sklepie. Nie miałam też żadnych podstaw, by sądzić, że to jego płaszcz widziałam na kimś, kto owej soboty siedł za mną aż



pod bramę muzeum Prado; albo na plecach, które zniknęły za kolumną u Ritza, gdzie umówiłam się na *barbecue* z moją klientką Agathą Ratinborg, domniemaną europejską księżną o wysoce wątpliwych koligacjach. Nie było z pewnością najmniejszych przesłanek, by twierdzić, iż owe płaszcze i kapelusze, rozsiane na przestrzeni ulic i dni, należały do jednej osoby, a jednak przecucie podpowiadało mi, że wszystkie miały tego samego właściciela.

Tuba z wykrojami z ostatniego tygodnia, którą miałam zostawić w salonie fryzjerskim, zawierała siedem typowych meldunków średniej długości i jeden prywatny, złożony z dwóch słów: „Śledzą mnie”. Skończyłam je późno, bo cały dzień zszedł mi na szyciu i przymiarkach. Doña Manuela i obie dziewczyny wyszły dopiero po ósmej. Kiedy zniknęły, wypisałam parę rachunków, które miały być gotowe na rano, wzięłam kąpiel i owinięta długim aksamitnym szlafrokiem w kolorze dojrzałych granatów zjadłam, stojąc nad kuchennym zlewem, dwa jabłka i wypijałam szklankę mleka; byłam tak zmęczona, że nie czułam głodu. Nie zwlekając, zasiadłam do szyfrowania meldunków. Potem spaliłam notatki i zaczęłam gasić światła, żeby jak najszybciej położyć się spać. Na środku przedpokoju stanęłam jak wryta. Zdawało mi się, że słyszę stukanie: jedno, potem dwa, trzy, cztery. Cisza. I znowu. Teraz już wiedziałam. Ktoś puka do drzwi. Delikatnie, palcami, niemal bezgłośnie. Głuche, matowe uderzenia, coraz szybsze, przechodzące stopniowo w stłumioną kanonadę. Zastygłam, sparaliżowana przez lęk, niezdolna zrobić kroku ani w przód, ani w tył.

Pukanie nie ustawało, a jego natarczywość skłoniła mnie wreszcie do reakcji: ktokolwiek to był, nie miał zamiaru odejść, zanim się ze mną zobaczy. Mocno zawiązałam pasek od szlafroka i podeszłam powolutku. Przełknęłam ślinę. Wciąż jeszcze przestraszona, ostrożnie, bez najmniejszego hałasu, wyjrzałam przez judasza.

– Szybko, szybko, na miłość boską! – syknęłam, otworzywszy drzwi.

Wpadł jak burza, nieprzytomny ze zdenerwowania, roztrzęsiony. Zdruzgotany.

– To koniec, koniec. Już po mnie.

Nawet na mnie nie patrzył. Bełkotał jak w malignie, do siebie, w przestrzeń, w próżnię. Zaciągnęłam go do salonu, potykając się z pośpiechu, przerażona, że ktoś mógł zobaczyć, jak wchodził. W mieszkaniu było ciemno choć oko wykol, ale nie zapaliłam światła. Chciałam go zmusić, żeby usiadł i uspokoił się trochę, ale odepchnął mnie i krążył po pokoju, powtarzając w kółko to samo:

– To koniec, koniec. Już po mnie, wszystko skończone.

Zapaliłam stojącą w rogu lampkę i nie pytając go o zdanie, hojnie nalałam mu koniaku.

– Proszę – powiedziałam, wkładając mu kieliszek w trzęsącą się dłoń. – Niech pan wypije – poleciłam. Usłuchał potulnie. – A teraz proszę usiąść, odetchnąć i powiedzieć, co się stało.

Nie miałam najmniejszego pojęcia, dlaczego nagle wtargnął do mojego domu o północy, i chociaż nie wątpiłam, że starał się uważać, z jego wzburzenia mogłam sądzić, iż prawdopodobnie było mu wszystko jedno. Nie widzieliśmy się ponad półtora

roku, od dnia jego oficjalnego pożegnania z Tetuanem. Wolałam o nic nie pytać, nie naciskać. Z pewnością nie była to kurtuazyjna wizyta, lecz postanowiłam, że lepiej będzie poczekać, aż się uspokoi: być może wówczas sam powie, czego ode mnie chce. Usiadł z kieliszkiem w ręku i pociągnął kolejny łyk. Miał na sobie cywilne ubranie – ciemny garnitur, białą koszulę i krawat w paski. Bez wojskowej czapki, bez galonów i wstęgi, w których występował publicznie i natychmiast zdejmował po zakończeniu uroczystości. Wyglądało na to, że w końcu wziął się w garść. Sięgnął po papierosa. Palił, zapatrzony w przestrzeń, pogrążony w kłębach dymu i we własnych myślach. Ja tymczasem milczałam nadal; usiadłam w fotelu, założyłam nogę na nogę i czekałam. Wstał, żeby zgasić niedopałek w popielniczce. Dopiero wtedy spojrzał na mnie i w końcu przemówił.

– Odwołali mnie. Jutro to ogłoszą. Już wysłali wiadomość do Biuletynu Rządowego i do prasy, za siedem lub osiem godzin wszyscy się dowiedzą. Wie pani, ile słów im wystarczyło, żeby mnie zniszczyć? Dziewiętnaście. Policzyłem, proszę zobaczyć.

Z kieszeni marynarki wyjął odręczną notatkę. Było na niej kilka linijek, które wyrecytował z pamięci.

– „Ze stanowiska ministra spraw zagranicznych odwołany zostaje don Juan Beigbeder Atienza, któremu niniejszym dziękuję za ofiarną służbę dla dobra kraju”. Dziewiętnaście słów, jeśli nie liczyć grzecznościowego „don” przed moim nazwiskiem, bo pewnie i tak wypadnie; razem z nim byłoby dwadzieścia. Caudillo się wysilił. Dziękuję mi za wierną służbę, szczyt wszystkiego.

Wychylił koniak do dna. Nalałam mu jeszcze.

– Wiedziałem, że od miesięcy sprawa wisi na włosku, ale nie przypuszczałem, że cios przyjdzie tak nagle. I że tak mnie upokorzą.

Zapalił kolejnego papierosa i mówił dalej, zaciągając się co chwila.

– Wczoraj po południu spotkałem się z Franco w El Pardo. Rozmowa była długa, atmosfera luźna, ani razu mnie nie skrytykował, nie wspomniał słowem o dymisji. Proszę zwrócić uwagę, że odkąd zacząłem się otwarcie pokazywać w towarzystwie Hoare'a, sytuacja stała się bardzo napięta. Prawdę mówiąc, wyszedłem przekonany, że rozważy moje pomysły, że może postanowił wreszcie liczyć się choć trochę z moim zdaniem. Jak mogłem przypuszczać, że gdy tylko zamkną się za mną drzwi, zacznie ostrzyć nóż, który nazajutrz wbije mi w plecy? A ja prosiłem o audiencję, żeby omówić z nim pewne kwestie w związku z planowanym wkrótce spotkaniem z Hitlerem w Hendaye, choć odczułem jako upokorzenie fakt, iż nie poprosił mnie, żebym mu towarzyszył. Mimo to chciałem z nim porozmawiać, przekazać ważne informacje, które otrzymałem od admirała Canarisa, dowódcy Abwehry. Wie pani, o czym mówię?

– Obiło mi się o uszy.

– Chociaż stanowisko szefa niemieckiego wywiadu wojskowego kojarzy się mało sympatycznie, Canaris to człowiek kulturalny i obdarzony wielką charyzmą. Świetnie się rozumiemy. Obaj należymy do ginącej klasy sentymentalnych żołnierzy, którzy nie lubują się w mundurach, orderach i

musztrze. Teoretycznie podlega Hitlerowi, ale nie zawsze przystaje na jego pomysły. Broni własnej niezależności. Mówi się nawet, że i nad jego głową, podobnie jak ostatnio nad moją, wisi miecz Damoklesa.

Wstał i podszedł do okna. Zasłony były rozsunięte.

– Proszę się odsunąć – ostrzegłam. – Jeszcze ktoś pana zobaczy.

Cofnął się posłusznie i chodząc od ściany do ściany, mówił dalej:

– Nazywam go, po hiszpańsku, *mi amigo Guillermo*, mój przyjaciel Guillermo... Doskonale zna nasz język, przez jakiś czas mieszkał w Chile. Kilka dni temu umówiliśmy się na obiad w Casa Botín, uwielbia pieczone prosię. Odniosłem wrażenie, iż bardzo się oddalił od Hitlera; tak bardzo, że wcale bym się nie dziwił, gdyby wespół z Anglikami spiskował przeciwko Führerowi. Byliśmy zgodni, że Hiszpania absolutnie nie może włączyć się do wojny po stronie Osi, i przy obiedzie ustaliliśmy, czego powinien wymagać Franco w zamian za swój akces. Ja świetnie znam nasze potrzeby, a Canaris wie, czego brakuje w Niemczech, więc we dwóch ułożyliśmy sążnisty spis postulatów, których Hitler nawet w połowie nie będzie mógł spełnić. Ów katalog nierealnych żądań obejmował między innymi posiadłości terytorialne we francuskim Maroku i Oranie, nedorzeczne ilości zboża i broni oraz Gibraltar. Wszystko to, jak już mówiłem, absolutnie nieosiągalne. Canaris podkreślił też, że byłoby wskazane poczekać jeszcze z odbudową Hiszpanii ze zniszczeń wojennych. Radził, żeby wszystko zostało, jak jest: drogi zrujnowane, tory kolejowe przerwane, mosty wysadzone.

Niech Niemcy widzą, w jakim stanie jest kraj i jak trudno byłoby przemieszczać się ich armii w tym terenie.

Usiadł znowu i wypił łyk koniaku. Widać było, że alkohol dobrze mu zrobił. Ja za to wciąż byłam skonsternowana i zachodziłam w głowę, dlaczego Beigbeder przyszedł do mnie o tej porze, żeby opowiadać o swoich spotkaniach z Franco i niemieckimi oficerami.

– Przyjechałem do El Pardo z tymi wszystkimi informacjami i szczegółowo zapoznałem z nimi Caudilla – ciągnął. – Wysłuchał ich z wielką uwagą, zatrzymał dokument i podziękował mi za inicjatywę. Był serdeczny i wylewny, wspominał nasze wspólne afrykańskie czasy. Wiedziała pani, że znam Generalissimusa od lat? Faktycznie, poza jego jaśnie panem szwagrem, jestem chyba jedynym ministrem, z którym przeszedł na ty. Franquito na czele Chlubnego Ruchu Narodowego, kto by pomyślał. Nigdy nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Prawdę mówiąc, sądzę, że niezbyt mnie cenił: nie rozumiał mojej awersji do munduru i dziwiło go, że zabiegam o stanowiska cywilne w administracji, do tego za granicą. Ja też nie byłem szczególnie zafascynowany jego osobowością. Zawsze taki poważny, taki sztywny i nudny, zawistny karierowicz z obsesją na tle awansów, belek i gwiazdek. Kawał skurwysyna, co tu kryć. Służyliśmy razem w Tetuanie. On był dowódcą, ja zwykłym kapitanem. Opowiedzieć pani anegdotkę? Po południu oficerowie chadzali na herbatę do kawiarenki na placu Hiszpańskim... Pamięta pani te kafejki?

– Jakby to było wczoraj – odparłam. Jak tu wymazać wspomnienie krzeselek z kutego żelaza i cień palm, zapach szaszłyków i miętowej herbaty, Arabów w dżelabach i

Europejczyków, przechadzających się przed krytym zrudziałą dachówką meczetem o mauretańskich łukach pobielonych wapnem.

Uśmiechnął się przelotnie, z nostalgią. Po raz pierwszy, odkąd tu wszedł. Zapalił kolejnego papierosa i wygodnie rozparł się na sofie. Rozmowa toczyła się w półmroku, rozjaśnionym jedynie małą lampką w rogu salonu. Nie chciałam go zostawiać samego, dopóki się całkiem nie uspokoi, więc nie poszłam się przebrać i nadal siedziałam w szlafroku.

– Od jakiegoś czasu przestał przychodzić. Zaczęliśmy snuć domysły. Doszliśmy do wniosku, że się zakochał, i postanowiliśmy to sprawdzić. Wie pani, takie wygłupy młodych oficerów, którzy mają pstro w głowie i prawie nic do roboty. Ciągnęliśmy losy i wypadło na mnie. Na drugi dzień tajemnica się wyjaśniła. Kiedy opuścił koszary, poszedłem za nim aż do medyny i zobaczyłem, że wchodzi do skromnego arabskiego domu. Z niedowierzaniem pomyślałem, że przygruchał sobie jakąś muzułmankę. Pod pierwszym lepszym pretekstem wszedłem do środka i co widzę? Przyłapałem go na lekcji arabskiego. Bo nasz wielki generał i wybitny afrykanista, nasz wielki, niepokonany Caudillo i zbawca ojczyzny nie zna arabskiego. Jakoś mu nie chce wejść do głowy. Nie rozumie Marokańczyków i nic go nie obchodzą. A mnie tak. Obchodzą, i to bardzo. Potrafię się z nimi porozumieć, bo są moimi braćmi. Znam język literacki, znam szerha<sup>29</sup>, znam dialekt Rifenów. Mam wymieniać dalej? A to ogromnie uwierało najmłodszego dowódcę hiszpańskiej armii, dumę Afryki. Fakt, że to właśnie ja

go nakryłem, kiedy próbował nadrobić braki, zirytował go jeszcze bardziej. Cóż, błędy młodości!

Powiedział kilka niezrozumiałych zdań po arabsku, jakby chciał mi udowodnić, że świetnie włada tym językiem. Niepotrzebnie. Przecież wiedziałam. Dopił koniak. Nalałam mu trzeci kieliszek.



– Wie pani, co powiedział Franco, kiedy Serrano zaproponował mnie na ministra? „Chcesz powiedzieć, że Juanito Beigbeder ma wziąć sprawy zagraniczne? Przecież on jest szurnięty!”. Nie wiem, czemu ubzdurał sobie, że brak mi piątej klepki. Pewnie dlatego, że sam jest zimny jak ryba i każdy, kto ma krew gorętszą niż on, wydaje mu się niebezpiecznym wariatem. Ja? Szalony? Możliwe.

Napił się znowu. Mówił, prawie na mnie nie patrząc, gorycz płynęła z jego ust nieprzerwanym monologiem. Mówił i pił, mówił i palił. Z furią, bez wytchnienia. Słuchałam w milczeniu, wciąż nie rozumiejąc, po co mi to opowiada. Dotąd prawie nigdy nie byłam z nim sam na sam i nigdy nie zamienił ze mną więcej niż kilka zdawkowych słów, kiedy nie było z nami Rosalindy; wszystkiego dowiadywałam się od niej. Jednakże w owym szczególnym momencie swego życia i kariery, w owej chwili, która wyznaczała ostateczny kres pewnej epoki, z nieznanых powodów uczynił mnie swoją powiernicą.

– Franco i Serrano mówią, że jestem szalony, że stałem się ofiarą niebezpiecznej kobiety. Że też w moim wieku muszę wysłuchiwać takich bzdur! I to od kogo? „Szwagrossimus” chce mi dawać lekcje moralności. On, który swojej ślubnej zrobił sześcioro dzieci, żeby się nie nudziła w domu, a sam co rano wskakuje do łóżka pewnej markizy, z którą potem jedzie na corridę odkrytym kabrioletem. W dodatku, i to już szczyt hipokryzji, chcą zdradę małżeńską wpisać do kodeksu karnego. Niesmaczne żarty! To prawda, lubię kobiety, ale co w tym dziwnego? Moje małżeństwo od lat praktycznie nie istnieje i nikomu się nie muszę tłumaczyć ani z moich uczuć, ani z kim

sypiam i przy kim się budzę. Tylko tego by brakowało! Owszem, miewałem przygody. Używałem życia, ile mogłem, jeżeli mam być szczery. I co? A inni to byli lepsi? Myśli pani, że byłem wyjątkiem w armii, w rządzie? Nie. Jestem taki jak wszyscy, ale oni przyczepili mi łątkę lowelasa, na którego rzuciła urok angielska wiedźma. Ludzka głupota nie ma granic. Chcieli mojej głowy, żeby podać ją na tacy Niemcom, jak Herod głowę Jana Chrzciciela Salomei. I dostali, niech ich szlag. Ale nie musieli mnie tak upokarzać.

– Co panu zrobili? – zapytałam.

– Szkalowali mnie. Stworzyli czarną legendę zdeprawowanego kobieciarza, zdolnego sprzedać ojczyznę za dobry sztos. Rozpuścili plotki, że Rosalinda mnie uwiodła i zmusiła podstępnie do zdrady ojczyzny, że Hoare mi płaci, że przekupili mnie Żydzi z Tetuanu, abym prowadził politykę antyniemiecką. Kazali mnie śledzić dniem i nocą. Zacząłem się nawet obawiać o życie i proszę mi wierzyć, to nie są urojenia. A wszystko tylko dlatego, że jako minister starałem się postępować rozsądnie i zgodnie z interesami Hiszpanii. Tłumaczyłem, że nie możemy drażnić Brytyjczyków i Amerykanów, bo od nich zależą dostawy zboża i ropy naftowej, bez których ten nieszczęsny kraj umrze z głodu. Przestrzegałem, żeby nie pozwalać Niemcom na wtrącanie się w nasze wewnętrzne sprawy. Mówiłem, że musimy się przeciwstawić ich interwencjonistycznym planom, że nie wolno nam wikłać się w ich wojnę, nawet za cenę odbudowy kolonialnego imperium. Sądzi pani, że rozważyli moje argumenty? Skądże. Nie dość, że nie zwrócili na mnie

najmniejszej uwagi, to jeszcze oskarżyli o demencję za samą myśl o tym, że nie powinniśmy ugiąć się przed armią, która zwycięskim marszem kroczy przez całą Europę. Słyszała pani o ostatnim genialnym pomysle subtelnego Serrana? Wie pani, co bez przerwy powtarza? „Syci czy głodni, idziemy na wojnę!”. Jak się to pani podoba? Ale podobno to ja straciłem zmysły.. Niech to szlag. Za opór zapłaciłem stanowiskiem. Obym nie zapłacił życiem. Zostałem sam, Siro, sam. Ministerialne stanowisko, wojskowa kariera, przyjaźnie, wszystko poszło w błoto. A teraz postanowili wysłać mnie do Rondy i osadzić w areszcie domowym. Nie wiem, może chcą mnie oddać pod sąd wojenny i któregoś pięknego dnia rozstrzelają o świcie pod pierwszą lepszą ścianą.

Zdjął okulary i przetarł oczy. Wyglądał na zmęczonego. Wyczerpanego. Starszego.

– Jestem zagubiony, jestem wyczerpany – powiedział cicho. Westchnął głęboko. – Ile bym dał, żeby cofnąć czas, żeby nigdy nie opuszczać mojego Maroka, Maroka szczęśliwego. Ile ja bym dał, żeby ten cały koszmar nigdy się nie zaczął. Tylko Rosalinda umiałaby mnie pocieszyć, ale ona wyjechała.

Dlatego przyszedłem do pani. Z prośbą o pomoc. Przekazuje jej pani moje listy?

– Gdzie ona teraz jest?

Od tygodni zadawałam sobie to samo pytanie, nie mając nadziei na odpowiedź.

– W Lizbonie. Musiała nagle wyjechać.

– Dlaczego? – zapytałam z niepokojem.

– Dowiedzieliśmy się, że chodzi za nią gestapo, więc musiała opuścić Hiszpanię.

– Był pan ministrem. Nic pan nie mógł zrobić?

– Ja? Ja i gestapo? Ani ja, ani nikt, moja droga. Moje stosunki ze wszystkimi przedstawicielami Niemiec były ostatnio bardzo napięte za sprawą podszeptów kilku usłużnych kolegów z rządu, którzy zadbali o to, by ambasador poznał moją opinię na temat przyjaźni hispano-germańskiej i naszego ewentualnego udziału w wojnie. Chociaż prawdopodobnie i tak bym nic nie zyskał, nawet gdybym był z nimi w najlepszej komitywie. Gestapo działa na własną rękę, poza oficjalnymi strukturami. Ale był przeciek, że Rosalinda jest na liście. Spakowała się w jedną noc i poleciała do Portugalii. Resztę rzeczy wysłałem jej potem. Na lotnisko odprowadził nas tylko Ben Wyatt, amerykański attaché marynarki wojennej i nasz przyjaciel. Nikt poza nami nie wie, gdzie ona jest. A przynajmniej nie powinien wiedzieć. Ale chciałem zawiadomić panią. Przepraszam, że wtargnąłem tu o tej porze i w takich okolicznościach, ale jutro zabierają mnie do Rondy i być może na długo stracę kontakt z Rosalindą.

– Co mam zrobić? – zapytałam, czując, że nareszcie poznam powód tej dziwnej wizyty.

– Niech pani jakoś załatwi, żeby te listy dotarły do Lizbony pocztą dyplomatyczną brytyjskiej ambasady. Proszę je oddać Alanowi Hillgarthowi. Wiem, że pani się z nim kontaktuje – powiedział, wyciągając z wewnętrznej kieszeni marynarki trzy grube koperty. – Napisałem je w ciągu ostatnich tygodni, ale ponieważ pilnują mnie bez przerwy, nie ośmieliłem się ich

wysłać. Rozumie pani, że w obecnej sytuacji boję się nawet własnego cienia. Dziś, kiedy moja dymisja stała się faktem, jakby trochę odpuścili. Dlatego mogłem tu przyjść, już mnie nie śledzą.

– Jest pan pewien?

– Absolutnie, proszę się nie martwić – uspokoił moje obawy. – Wziąłem taksówkę, nie chciałem korzystać ze służbowego wozu. Żaden samochód za nami nie jechał, sprawdzałem. A piechotą by nie zdążyli. Czekałem w taksówce, a kiedy dozorca wyszedł ze śmieciami, wśliznąłem się przez bramę. Spokojnie, nikt mnie nie widział.

– Skąd pan wiedział, gdzie mieszkam?

– Jak to? Przecież Rosalinda sama wybrała ten dom. Można powiedzieć, że urządzaliśmy go wspólnie. Tak się cieszyła na pani przyjazd... – Uśmiechnął się kącikiem ust. – Bardzo ją kocham, Siro. Bardzo mocno. Nie wiem, czy ją jeszcze kiedyś zobaczę, więc niech jej pani powie, że oddałbym życie, żeby dzisiaj w nocy była przy mnie. Mogę następny kieliszek?

– Proszę bardzo, nie musi pan pytać za każdym razem.

Już dawno straciłam rachubę, ile ich było: pięć, może sześć.

Chwila melancholii przeszła wraz z kolejnym łykiem koniaku. Czuł się coraz swobodniej i najwyraźniej nie miał zamiaru odejść.

– Rosalinda jest szczęśliwa w Lizbonie. Wspaniale sobie radzi. Wie pani, jaka ona jest. Z zadziwiającą łatwością przystosowuje się do każdej sytuacji.

Rosalinda Fox, moja przyjaciółka. Jedyna taka na całym świecie. W razie potrzeby potrafi zacząć wszystko od początku.

I zawsze dopina swego. Cóż za dziwną parę tworzyli z Beigbederem. Jakże byli różni i jakże podobni.

– Niech pani ją odwiedzi w Lizbonie. Ucieszy się, mogąc spędzić z panią kilka dni. Adres jest na kopertach z listami, proszę sobie przepisać.

– Postaram się do niej pojechać, obiecuję. A pan nie wybiera się do Portugalii? Co pan będzie robił, jak to się skończy?

– Ma pani na myśli areszt? Jeśli tak, to może potrwać lata. Może nie wyjdę z tego z życiem. Czasy są niepewne. Nie wiem nawet, jakie mi postawią zarzuty. Działalność wywrotowa, szpiegostwo, zdrada ojczyzny... mogą mnie oskarżyć o wszystko. Zależy, czy *baraka*<sup>30</sup> będzie po mojej stronie. Jeżeli los mi sprzyja i wszystko skończy się dobrze, chyba jednak stąd wyjadę. Bóg mi świadkiem, że nie jestem liberałem, ale mam wstręt do tego megalomańskiego totalitaryzmu, który wyniósł Caudilla do władzy, tego monstrum, które Franco sam spłodził, a wielu z nas karmiło. Nie wyobraża sobie pani, jak bardzo żałuję, że sam też się do tego trochę przyczyniłem. Nie podoba mi się ten reżim, wcale mi się nie podoba. Myślę, że w ogóle nie lubię Hiszpanii, a przynajmniej owego poronionego tworu, który próbują nam sprzedać pod hasłem ojczyzny jednej, wielkiej i wolnej. Więcej lat spędziłem za granicą niż w tym kraju. Tutaj czuję się obco, jak cudzoziemiec.

– Zawsze może pan wrócić do Maroka... – podsunęłam. – Z Rosalindą.

– Nie, nie – odparł stanowczo. – Maroko to już przeszłość. Byłem tam Wysokim Komisarzem, nie wypada mi przyjąć niższego stanowiska. Boleję nad tym ogromnie, ale obawiam

się, że Afryka jest w moim życiu rozdziałem zamkniętym. Z punktu widzenia kariery, oczywiście, bo w sercu pozostanę jej wierny aż do śmierci. *Inszallah*. Niechaj tak będzie.

– W takim razie?

– Wszystko zależy od mojej sytuacji w armii. Mój los jest w rękach Caudilla, z bożej łaski Generalissimusa wszystkich wojsk; chociaż wątpię, czy Bóg ma cokolwiek wspólnego z tą mętną polityką. Franco może zdjąć ze mnie areszt po miesiącu albo posłać na szafot. Kto by powiedział dwadzieścia lat temu, że taki Franquito będzie panem mojego życia i śmierci.

Ponownie zdjął okulary, ponownie przetarł oczy. Po raz kolejny napełnił kieliszek, po raz kolejny zapalił papierosa.

– Jest pan zmęczony – powiedziałam. – Może lepiej pójść spać?

Spojrzał na mnie oczami zabłąkanego dziecka. Dziecka, które dźwigało na plecach bagaż pięćdziesięciu lat życia, najwyższych zaszczytów w hiszpańskich koloniach i z hukiem zakończonej kariery ministerialnej. Odpowiedział z rozbrajającą szczerością:

– Nie wyjdę, bo nie potrafiłbym znieść samotności w tym ponurym domiszczu, w którym ostatnio byłem zmuszony mieszkać.

– To niech pan się prześpi u mnie – zaproponowałam. Wiedziałam, że to z mojej strony nazbyt śmiało, nie chciałam jednak, żeby w tym stanie włóczył się nocą po Madrycie, bo jeszcze mógłby popełnić jakieś głupstwo.

– Naprawdę obawiam się, że nie zmrużę oka – odrzekł, uśmiechając się ze smutkiem. – Ale byłbym wdzięczny, gdyby

mi pani pozwoliła trochę odpocząć. Obiecuję, że nie będę przeszkadzał. To tak, jak przyjąć pod dach rozbitka... Trudno sobie wyobrazić, jak gorzka jest samotność odrzuconych.

– Proszę się czuć jak u siebie. Przyniosę koc, zrobiło się chłodno. Niech pan zdejmie marynarkę i krawat, będzie wygodniej.

Posłusznie spełnił moje polecenia, a ja poszłam poszukać czegoś do przykrycia. Kiedy wróciłam, był w koszuli i nalewał sobie kolejny kieliszek koniaku.

– Ostatni – powiedziałam stanowczo, zabierając butelkę.

Postawiłam na stole czystą popielniczkę, na oparciu kanapy położyłam pled. Usiadłam obok.

– To minie, Juan Luis – powiedziałam, biorąc go za rękę. – Trzeba tylko czasu. Prędzej czy później wszystko mija.

Oparłam mu głowę na ramieniu, a on poklepał moją dłoń.

– Oby Bóg panią wysłuchał, Siro, oby Bóg panią wysłuchał – szepnął.

Zostawiłam go z jego demonami i poszłam spać. Idąc przez korytarz, słyszałam, jak mówi do siebie po arabsku. Nie zrozumiałam ani słowa. Długo nie mogłam zasnąć, dopiero po czwartej nad ranem zapadłam w niespokojną, dziwną drzemkę. Obudziło mnie trzaśnięcie zamykanych drzwi. Zerknęłam na godzinę. Za dwadzieścia ósma. Nigdy więcej go nie zobaczyłam.

## 42

Obawy o to, że ktoś mnie śledzi, zeszły na drugi plan, jakby nagle straciły na ważności. Postanowiłam nie zawracać głowy Hillgarthowi podejrzeniami pozbawionymi być może podstaw,



uznałam bowiem, że najpierw muszę mu przekazać listy do Rosalindy. Sprawa Beigbedera była znacznie bardziej istotna niż moje lęki. Dla niego, dla mojej przyjaciółki, dla wszystkich. Jeszcze tego samego ranka podarłam na drobne kawałki wykrój z wiadomością o domniemanej inwigilacji i zastąpiłam go innym: „Beigbeder wczoraj w nocy u mnie. Już nie minister, strasznie zdenerwowany. Aresztowany, do Rondy. Boi się o życie. Listy do pani Fox, Lizbona, poczta dyplomatyczna. Pilne. Czekam”.

Zastanawiałam się, czy nie pójść do ambasady w południe, żeby zwrócić na siebie uwagę Hillgartha. Chociaż pewnie już z samego rana dotarła do niego wiadomość o dymisji, wiedziałam, że ogromnie go zainteresują szczegóły, które osobiście przekazał mi pułkownik. Poza tym miałam przeczucie, iż jak najszybciej powinnam się pozbyć listów. Zważywszy na okoliczności, w jakich zostały napisane, byłam przekonana, że nie jest to zwykła korespondencja miłosna, ale także płomienny manifest polityczny, który w żadnym wypadku nie powinien pozostawać w moim ręku. Była akurat środa, dzień wizyty u fryzjera, zdecydowałam się więc na konwencjonalne środki łączności, żeby nie wszczynać alarmu łamaniem procedur, przez co zyskałabym zaledwie parę godzin. Pracowicie zatem spędziłam całe przedpołudnie, przyjęłam dwie klientki, zjadłam coś naprędce, bez apetytu, i za kwadrans czwarta wyszłam z domu, kierując się jak zwykle w stronę salonu urody Rosy Zavali. W torebce miałam rulon wykrojów, troskliwie owinięty jedwabną chustką. Zbierało się na deszcz, ale po chwili namysłu zrezygnowałam z taksówki:

chciałam zaczerpnąć trochę powietrza, żeby wiatr rozwiał kłębiące mi się w duszy rozterki. Po drodze rozpamiętywałam szczegóły zastanawiającej nocnej wizyty i próbowałam przewidzieć, co wymyśli Hillgarth, żeby wyekspediować listy. Pograżona w zadumie, nie zauważyłam, czy ktoś mnie śledził; byłam tak pochłonięta własnymi sprawami, że i tak bym tego nie spostrzegła.

Meldunki schowałam do ostatniej szafki. Młodziutka kędzierzawa szatniarka bez przerwy gapiała mi się na ręce, a ponieważ nie wykonała najmniejszego gestu, uznałam, że albo jest kompletną idiotką, albo wybitnie zdolną agentką. Obsługiwana przez sprawne fryzjerki, które układały moje włosy w opadające na ramiona miękkie fale, udawałam, że jestem pochłonięta lekturą najnowszego numeru bogato ilustrowanego magazynu. Prawdę mówiąc, znudziło mnie okropnie to kolorowe pisemko dla kobiet, pełne opisów cudownych kuracji i łzawych historyjek z morałem, okraszonych długim reportażem na temat gotyckich katedr, ale przeczytałam je od deski do deski, żeby uniknąć głupich pogaduszek z innymi paniami. Żadna z nich nie była moją klientką, więc i tak nie miałabym o czym z nimi rozmawiać.

Wyszłam bez wykrojów, za to z elegancką fryzurą i zamętem w duszy. Popołudnie nadal nie zapowiadało się pogodnie, ale, zamiast wracać od razu do domu, postanowiłam się przejść. Chciałam się trzymać jak najdalej od kłopotów oraz listów Beigbedera, zanim nadejdą instrukcje od Hillgartha. Ruszyłam przed siebie bez określonego celu przez Alcalá, w stronę Gran Vía. Początkowo spacer był spokojny i przyjemny, ale w miarę

jak się oddalałam od śródmieścia, tłum na chodnikach gęstniał, a wśród dostatnio ubranych ludzi pojawiało się coraz więcej pucybutów, zbieraczy niedopałków i kalekich żebraków bezwstydnie obnażających swoje kikuty. Wówczas uświadomiłam sobie, że przekroczyłam zaklęty krąg wyznaczony przez Hillgartha i z wolna zapuszczam się na niebezpieczny teren, gdzie mogę się natknąć na kogoś, kto mnie zna. W eleganckiej kobiecie, otulonej drogim płaszczem z szarej wełny, nikt by się prawdopodobnie nie domyślił ubogiej szwaczki, jaką byłam przed laty, jednak na wszelki wypadek uznałam, że lepiej się nie narażać, i weszłam do kina.

W Palacio de la Música grali film pod tytułem *Rebeka*. Seans już się rozpoczął, ale było mi wszystko jedno: akcja niewiele mnie interesowała, chciałam po prostu przeczekać gdzieś w samotności, aż ktoś dostarczy do mojego domu instrukcje w sprawie listów. Portier zaprowadził mnie do jednego z ostatnich rzędów, a tymczasem Laurence Olivier i Joan Fontaine mknęli z zawrotną szybkością po szosie pełnej zakrętów, siedząc w otwartym kabrioletcie. Gdy tylko mój wzrok przyzwyczaił się do ciemności, zobaczyłam, że w dolnej części sali prawie wszystkie miejsca są zajęte, jednak obok mnie było prawie pusto i tylko gdzieś tam majaczyły skulone w fotelach sylwetki. Po lewej miałam kilka zakochanych par; po prawej nikogo. Ale niedługo: po upływie kilku minut ktoś usiadł na końcu rzędu, nie dalej niż dziesięć, może dwanaście krzeseł ode mnie. Mężczyzna. Sam. Samotny mężczyzna o twarzy ukrytej w mroku. Mężczyzna, który nigdy nie zwróciłby mojej uwagi, gdyby nie jasny prochowiec z postawionym kołnierzem, taki sam, jaki

miał na sobie człowiek chodzący za mną od ponad tygodnia. Ubrany w płaszcz męczyzna, który niepatrzył na ekran, albowiem bardziej niż film interesowałam goja.

Zimny pot spłynął mi po plecach. Nagle pojęłam, że moje przypuszczenia nie były urojeniami. Ten człowiek przyszedł tu za mną, prawdopodobnie śledził mnie, odkąd wyszłam od fryzjera, być może nawet od drzwi mojego domu; podążał za mną krok w krok, obserwował mnie, kiedy kupowałam bilety, kiedy szłam przez westybul, wchodziłam do sali kinowej i siadałam na wskazanym przez portiera krześle. Nie poprzestał jednak na samej obserwacji; zajął miejsce na końcu rzędu, żeby odciąć mi drogę. A ja, naiwna i otumaniona rewelacjami o dymisji Beigbedera, w ostatniej chwili zrezygnowałam z zawiadomienia Hillgartha o moich podejrzeniach, chociaż w ostatnim czasie narastały z każdym dniem. Moją pierwszą myślą była ucieczka, ale natychmiast zdałam sobie sprawę, że jestem w pułapce. Drogę w prawo miałam odciętą, chyba że pozwoliliby mi przejść. Gdybym chciała iść w lewo, musiałabym się przepychać wśród zirytowanych widzów. Powstałby niepotrzebny rwetes, komentarze, trzaskanie krzesłami; jedni by wstawali, inni kulili się w fotelach, żeby zrobić mi przejście, a wszystko trwałoby tak długo, że mój prześladowca mógłby się spokojnie wycofać, przyczaić gdzieś i dalej mnie śledzić. Przypomniałam sobie wówczas radę, jaką dał mi Hillgarth na obiedzie w amerykańskim poselstwie: w obliczu jakiegokolwiek podejrzenia o inwigilację zachować spokój, pewność siebie i udawać, że nic się nie dzieje.

Jawna ostentacja mężczyzny w płaszczu nie wróżyła nic dobrego: dotychczasowa dyskretna obserwacja przerodziła się nagle w nieskrywaną deklarację intencji. Jestem tu, żeby mnie pani zobaczyła, zdawał się mówić bez słów. Chcę pokazać, że kontroluję każdy pani ruch i w najmniej spodziewanej chwili mogę wkroczyć w pani życie; dzisiaj tylko patrzę, jutro być może posunę się do działań bardziej radykalnych.

Udawałam, że nie zwracam na niego uwagi, i usiłowałam skupić się na filmie, jednak bez większego powodzenia. Sceny przesuwwały się przed moimi oczami, pozbawione sensu, oderwane od treści: ponury, dostojny dwór, złowieszcza klucznica, bohaterka, która zawsze robiła nie to, co trzeba, i duch fascynującej, pięknej kobiety unoszący się nad ziemią. Cała sala patrzyła jak urzeczona, ale ja miałam bardziej realne zmartwienia. Podczas gdy na ekranie migają czarno-białe obrazy, potrząsałam włosami, zasłaniając prawą stronę twarzy, by ukradkiem podglądać, co robi mój prześladowca. Nie udało mi się dostrzec jego rysów – za daleko i za ciemno. Czułam jednak między nami jakąś dziwną, milczącą, pełną napięcia więź, jakby połączył nas wspólny brak zainteresowania filmem. Nie wstrzymywaliśmy oddechu, kiedy bezimienna bohaterka stłukła porcelanową figurkę, nie drżeliśmy z emocji, kiedy nieżyczliwa gospodyni próbowała skłonić ją do skoku w przepaść, serca nie zamarły nam nawet wówczas, gdy się okazało, że to być może sam Max de Winter zamordował swoją perfidną małżonkę.

Gdy spłonęło Manderley, na ekranie ukazał się napis „koniec”, a na sali z wolna zapalały się światła. Moją pierwszą

reakcją było ukrycie twarzy. Z jakiegoś absurdalnego powodu czułam, że brak ciemności uczynił mnie bardziej bezbronną wobec mojego prześladowcy. Pochyliłam głowę, by po raz kolejny tego popołudnia schować się za zasłoną włosów; udawałam, że szukam czegoś w torebce. Kiedy wreszcie ukradkiem podniosłam wzrok i zerknęłam w prawo, człowiek w płaszczu już zniknął. Z żołądkiem ściśniętym ze strachu odsiedziałam jeszcze kilka minut, dopóki ekran znów nie zaświecił bielą. Rozbłysły wszystkie żarówki, ostatni widzowie opuścili salę, zjawili się portierzy, by sprawdzić, czy ktoś czegoś nie zostawił. Dopiero wtedy, wciąż jeszcze wylękniona, odważyłam się wstać.

W obszernym westybulu panował ścisk i gwar. Na ulicy lało. Ludzie wychodzący z pierwszego seansu czekali, aż przestanie padać, mieszając się z tymi, którzy przyszli na następny. Stałam w odległym kącie za jakąś kolumną i nareszcie, w owej rozgadanej ciżbie, spowitej gęstą chmurą tytoniowego dymu, poczułam się anonimowa i jako tako bezpieczna. Lecz owo kruche uczucie nie trwało długo, znikło bowiem, gdy tłum zaczął się rozpraszać. Jednym udało się w końcu dopchać na salę, by śledząc niedole rodziny De Winterów i ich duchów, zapomnieć o całym świecie; drudzy – ci bardziej zapobiegliwi, pod osłoną parasoli i kapeluszy, ci lekkomyślni, kuląc się pod rozpostartymi marynarkami i gazetami, a z gołą głową ci najodważniejsi – z wolna opuszczali zaczarowany świat kina, ruszając na spotkanie rzeczywistości, która owego jesiennego wieczoru była wyjątkowo szara, zasnuta gęstą kurtyną niemiłosiernie lejącego deszczu.

Znalezienie taksówki z góry skazane było na przegraną, więc podobnie jak setki innych nieszczęśników zebrałam się na odwagę i okutana tylko cienką jedwabną chustką postawiłam kołnierz płaszcza, by w strugach wody ruszyć w drogę powrotną do domu. Szłam szybko, pragnąc czym prędzej znaleźć schronienie zarówno przed deszczem, jak i przed pogonią natrętnych podejrzeń i obaw. Bez przerwy się rozglądałam: raz mi się zdawało, że ktoś mnie śledzi, raz, że nie. Na widok każdego mężczyzny w prochowcu przyspieszałam kroku, nawet jeśli różnił się sylwetką od mojego prześladowcy. Ktoś niechcący potrącił mnie ramieniem. Uskoczyłam pod drzwi zamkniętej apteki. Jakiś żebrak pociągnął mnie za rękaw, prosząc o wsparcie – jako jałmużnę dostał okrzyk strachu. Staralam się trzymać blisko szacownych małżeństw, dopóki nie zaczęto podejrzliwie odsuwać się ode mnie jak od niebezpiecznej maniaczki. Brodziłam po kałużach, ubłociłam pończochy, wykrzywiłam lewy obcas na kracie rynsztoka. W pośpiechu przemierzałam ulice, nie zwracając uwagi na samochody. Na którymś skrzyżowaniu oślepiły mnie reflektory pędzącego auta; po chwili zatrąbił na mnie motocyklista i o mało co nie wpadłam pod tramwaj; kawałek dalej cudem uskoczyłam spod kół czarnej limuzyny, której kierowca prawdopodobnie nie zauważył mnie w strugach deszczu. A może właśnie zauważył.

Dotarłam do domu przemoknięta, prawie bez tchu. Kilka metrów od bramy kłębił się tłumek złożony z portiera, nocnego stróża, garstki sąsiadów i pięciu lub sześciu gapiów, zaglądając do zalanych wodą piwnic. Niezauważona przez nikogo

wbiegłam na górę, przeskakując po dwa stopnie. Z ulgą ściągnęłam z głowy mokrą chustkę i wyjęłam klucze, uszczęśliwiona, że umknęłam mojemu prześladowcy. Marzyłam o gorącej kąpieli, chciałam wreszcie splukać z siebie błoto i strach. Lecz moja radość trwała krótko. Załedwie kilka sekund. Tyle, ile było trzeba, żeby otworzyć drzwi, wejść i zrozumieć, co się stało.

To, że lampa w salonie była zapalona, chociaż w domu powinno być ciemno, zdziwiło mnie, ale nie zaniepokoiło: Manuela, mimo iż bardzo pod tym względem skrupulatna, mogła tym razem zapomnieć o zgaszeniu światła. Pojęłam, w czym rzecz, spojrzawszy na wieszak. Prochowiec. Jasny, męski. Ociekający wodą, która kapiała na podłogę ze złowieszczą powściągliwością.

## 43

Właściciel płaszcza czekał na mnie, siedząc w salonie. Przez długą chwilę, która zdawała się trwać do końca świata, z moich ust nie wyszło żadne słowo. Niespodziewany gość też nie od razu się odezwał. Patrzyliśmy tylko na siebie, targani burzą uczuć i wspomnień.

– Podobał ci się film? – zapytał w końcu.

Nie odpowiedziałam. Przede mną siedział człowiek, który od wielu dni mnie śledził. Ten sam, który przed pięcioma laty odszedł z mojego życia, ubrany w podobny płaszcz. Zniknął we mgle, razem z maszyną do pisania, kiedy się dowiedział, że go porzucam, bo zakochałam się w kimś, kto nie był nim. Ignacio Montes, mój pierwszy narzeczony, powrócił.



– Postarzeliliśmy się trochę, co, Siro? – dodał, wstając, i podszedł do mnie.

– Co tu robisz, Ignacio? – wyszeptałam z trudem.

Jeszcze nie zdążyłam zdjąć płaszcza. Cieknąca deszczówka tworzyła na podłodze maleńkie kałuże, ale nawet się nie poruszyłam.

– Przeszedłem się z tobą zobaczyć – odparł. – Osusz się i przebierz, musimy porozmawiać.

Uśmiechał się, a ja czułam, że jest zły na siebie za ten uśmiech, silniejszy od niego. Uświadomiłam sobie nagle, że od drzwi dzieli mnie zaledwie parę metrów. Być może mogłabym uciec, zbiec po schodach, dopaść bramy, wyskoczyć na ulicę... Odrzuciłam tę myśl. Wiedziałam, że nie ruszę się stamtąd, dopóki nie usłyszę, o co chodzi. Dlatego zrobiłam krok naprzód, spojrzałam mu w oczy i chwyciłam byka za rogi:

– Czego chcesz? Jak tu wszedłeś? Dlaczego mnie śledzisz?

– Powoli, Siro, powoli. Jedno pytanie naraz, po co te nerwy? Najpierw, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, usiądźmy wygodnie. Jestem bardzo zmęczony, wiesz? Wczoraj musiałem przez ciebie zarwać noc. Poczęstujesz mnie kieliszkiem czegoś mocniejszego?

– Dawniej nie piłeś.

Śmiech, zimny jak ostrze moich nożyczek, rozciął salon na pół.

– Cóż za pamięć! W twoim życiu tyle się wydarzyło, a ty pamiętasz takie szczegóły. Aż trudno uwierzyć...

Istotnie, trudno było uwierzyć, ale pamiętałam. Nie tylko to. Znacznie więcej. Nasze długie popołudnia, kiedy włóczyliśmy

się bez celu, wieczorne potańcówki przy świetle kołyszących się na wietrze lampionów. Jego optymizm i jego czułość. Siebie samą z czasów, gdy byłam prostą szwaczką, przekonaną, że szczytem szczęścia i ambicji jest małżeństwo z mężczyzną, którego obecność budziła teraz we mnie niepewność i lęk.

– Czego się napijesz? – zapytałam po chwili milczenia tonem, który miał brzmieć swobodnie i niezobowiązująco. Staralam się ukryć niepokój.

– Może być whisky, koniak... Wszystko jedno. To, co zawsze proponujesz swoim gościom.

Napełniłam kieliszek, opróżniając do dna butelkę, z której poprzedniej nocy pił Beigbeder; starczyło na dwa palce. Odwróciłam się i spojrzałam na Ignacia. Miał na sobie zwykły szary garnitur, z lepszej tkaniny niż te, które nosił za moich czasów, ale gorzej skrojony niż ubrania mężczyzn, w których towarzystwie ostatnio się obracałam. Postawiłam kieliszek na stoliku i dopiero wtedy zauważyłam bombonierkę z Embassy, owiniętą w srebrny papier i ozdobioną wielką różową kokardą.

– Wielbiciele nie tracą czasu – stwierdził, muskając pudełko końcami palców.

Nie odpowiedziałam. Nie mogłam, zabrakło mi tchu. Wiedziałam, że na opakowaniu owego nieoczekiwanego prezentu jest zaszyfrowana wiadomość od Hillgartha; wiadomość, która nie powinna wpaść w niepowołane ręce.

Usiadłam jak najdalej, na brzeżku sofy, spięta, w mokrej sukience. Udawałam, że nie zwracam uwagi na czekoladki, i odgarnąwszy z czoła wilgotny kosmyk, patrzyłam w milczeniu na Ignacia. Nadal był bardzo szczupły, ale poza tym zmienił się

bardzo. Chociaż przekroczył dopiero trzydziestkę, na skroniach pojawiła się już pierwsza siwizna. Oczy miał podkrążone, w kącikach ust zmarszczki, na twarzy wyraz zmęczenia życiem, które nie było ani ciche, ani spokojne.

– No, no, Siro, ileż to czasu...

– Pięć lat – sprecyzowałam krótko. – A teraz powiedz mi z łaski swojej, po co przyszedłeś.

– Zależy – powiedział. – Ale najpierw przebierz się wreszcie. Jesteś cała mokra. A wracając, nie zapomnij dokumentów. Nie wylegitymowałam cię przed kinem, bo nie chciałem wyjść na chama. W twojej obecnej sytuacji...

– Dlaczego mam ci pokazywać moje dokumenty?

– Dlatego, że, jak słyszałem, jesteś teraz obywatelką Maroka.

– Co cię to obchodzi? Nie masz prawa wtrącać się w moje życie.

– A kto powiedział, że nie?

– Nic nas nie łączy, Ignacio. Jestem teraz inną kobietą, nie mam nic wspólnego ani z tobą, ani w ogóle z nikim z czasów, kiedy byliśmy razem. Przez te lata w moim życiu wiele się wydarzyło. Już nie jestem tym, kim byłam.

– Wszyscy się zmieniliśmy, Siro. Po tej naszej wojnie nikt już nie jest taki sam.

Rozdzieliła nas cisza. Przed moimi oczami, niby oszalałe mewy, przelatywały tysiące obrazów z przeszłości, tysiące bezładnych uczuć zderzały się ze sobą w owym chaotycznym kłębowisku, a ja się czułam zupełnie bezradna. Patrzyłam na człowieka, który mógł kiedyś zostać ojcem moich dzieci, na dobrego człowieka, który świata za mną nie widział, a ja mu

wbiłam nóż w serce. A jednocześnie patrzyłam na kogoś, kto może stać się koszmarem mojego życia, na kogoś, kto być może przez całe pięć lat przeżywał gorycz porażki, a teraz gotów jest zrobić wszystko, żebym zapłaciła za swoją zdradę. Zadenuncjować mnie, oskarżyć, że podaję się za kogoś innego, wywlec na światło dzienne domniemane grzechy przeszłości.

– Gdzie spędziłeś wojnę? – zapytałam niemal ze strachem.

– W Salamance. Pojechałem na kilka dni zobaczyć się z matką i akurat wybuchło powstanie. Przyłączyłem się do narodowców, nie miałem wyjścia. A ty?

– W Tetuanie – odparłam bezmyślnie. Chyba nie powinnam sobie pozwalać na zbytnią szczerość, ale było już za późno. Co najdziwniejsze, wydawał się zadowolony z odpowiedzi. Na jego wargach pojawił się nieznaczny uśmiech.

– Oczywiście – mruknął. – Oczywiście... Teraz wszystko zaczyna mieć sens.

– Co zaczyna mieć sens?

– Coś, czego chciałem się o tobie dowiedzieć.

– Nie musisz nic wiedzieć, Ignacio. Musisz tylko zapomnieć i zostawić mnie w spokoju.

– Nie mogę – odrzekł stanowczo.

Nie zapytałam dlaczego. Bałam się, że zażąda wyjaśnień, zacznie wylewać swoje żale, rzuci mi w twarz krzywdę, jaką mu wyrządziłam. Albo jeszcze gorzej: powie, że nadal mnie kocha, będzie błagał, żebym do niego wróciła.

– Idź już, Ignacio, zapomnij o mnie.

– Nie mogę, kotku – powtórzył i przez jego twarz znów przemknął gorzki cień uśmiechu. – O niczym innym nie marzę.

Myślisz, że nie chciałbym zapomnieć o kobiecie, która mnie zniszczyła? Niestety. Pracuję dla Głównego Departamentu Bezpieczeństwa w Ministerstwie Rządu. Zajmuję się inwigilacją i dozorem cudzoziemców przebywających na terenie naszego kraju, zwłaszcza tych, którzy zamierzają się osiedlić na stałe w Madrycie. A ty jesteś na samej górze tej listy.

Nie wiedziałam, czy śmiać się, czy płakać.

– Czego ode mnie chcesz? – spytałam, odzyskawszy głos.

– Dokumenty, proszę – zażądał, nagle zmieniając ton. – Paszport, zezwolenie celne na wszystkie znajdujące się w tym domu rzeczy pochodzenia zagranicznego. Ale przedtem się przebierz.

Był zimny, beznamiętny, pewny siebie. Zawodowiec. Zniknął gdzieś ów czuły, trochę dziecinny Ignacio, którego obraz zachowałam w pamięci.

– Masz przy sobie jakąś legitymację? Pokaż – powiedziałam cicho. Czułam, że nie kłamię, ale chciałam zyskać na czasie, by pogodzić się z nagą prawdą.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął oprawną w skórę książeczkę i rozłożył ją jedną ręką z wprawą człowieka, który często okazuje dokumenty. Istotnie, było tam jego zdjęcie, nazwisko, funkcja i nazwa urzędu, który przed chwilą wymienił.

– Chwileczkę – bąknęłam.

Poszłam do sypialni. Wyjęłam z szafy białą bluzkę i niebieską spódnicę. Grzebiąc w szufladzie z bielizną, natknęłam się na listy Beigbedera, ukryte pod stertą majtek. Zawahałam się, nie wiedząc, co z nimi zrobić: zostawić, gdzie są, czy na gwałt

szukać jakiegoś bezpieczniejszego miejsca. Obeszłam cały pokój, zachłannie wypatrując odpowiedniego schowka. Może na szafie, może pod materacem. Może w kołdrze. Albo za lustrem toaletki. Albo w pudełku po butach.

– Pospiesz się, z łaski swojej! – zawołał Ignacio. Wepchnęłam listy głębiej, przykryłam półtuzinem halek i z trzaskiem zamknęłam szufladę. Każde miejsce było równie dobre lub równie złe, lepiej nie kusić losu.

Wytarłam się ręcznikiem, przebrałam, wyjęłam paszport z nocnej szafki i wróciłam do salonu.

– Arish Agoriuq – przeczytał powoli. – Urodzona i zamieszkała w Tangerze. Ma urodziny w tym samym dniu co ty. Cóż za zbieg okoliczności.

Nie odpowiedziałam. Poczułam, że za chwilę zwymiotuję. Z trudem powstrzymywałam mdłości.

– Można wiedzieć, skąd ta nagła zmiana narodowości? Mój umysł w mgnieniu oka sfabrykował kłamstwo. Nigdy bym siebie o to nie podejrzewała, Hillgarth zapewne też.

– Ukradli mi paszport. Była wojna i nie mogłam przyjechać do Madrytu po nowe dokumenty. Znajomy ułatwił mi zmianę obywatelstwa na marokańskie, żebym mogła podróżować bez problemów. Paszport nie jest fałszywy, możesz to sprawdzić.

– Już sprawdziłem. A nazwisko?

– Pomyśleli, że tak będzie bardziej po arabsku.

– Arish Agoriuq? To po arabsku?

– W szerha – zełgałam. – To dialekt Kabylów z Rif – dodałam, sięgając do lingwistycznej wiedzy Beigbedera.

Przez kilka sekund patrzył na mnie w milczeniu. Mój żołądek nadal się buntował, ale siłą trzymałam go w ryzach, żebym tylko nie musiała wybiec nagle do łazienki.

– Jaki jest powód twojego pobytu w Madrycie? – zapytał wreszcie.

– Przyjechałam pracować. Szyć, jak zawsze – odparłam. – To jest atelier krawieckie.

– Oprowadź mnie.

Przeszliśmy do pokoju w dalszej części mieszkania i bez słów wskazałam na bele tkanin, żurnale i projekty. Później, idąc długim korytarzem, otwierałam wszystkie drzwi. Czyściutkie przymierzalnie. Łazienka dla klientek. Szwalnia ze ścinkami materiału, wykrojami i manekinami, na których upięte były niewykończone jeszcze stroje. Prasownia ze stertą ubrań czekających na swoją kolej. Na ostatku magazyn. Szliśmy obok siebie, krok w krok, jak dawniej przez życie. Przypomniało mi się, że wtedy przewyższał mnie o głowę; teraz różnica nie była już tak wielka. Nic dziwnego, kiedy praktykowałam jako uczennica w zakładzie doñi Manueli, chodziłam w trzewikach na półsłupku; dziś, po pięciu latach, niosły mnie wysokie obcasy.

– Co jest tam dalej? – zapytał.

– Moja sypialnia, dwie łazienki i cztery pokoje: dwa gościnne, dwa stoją puste. Poza tym jadalnia, kuchnia i służbówki – wyrecytowałam jednym tchem.

– Chcę to obejrzeć.

– Po co?

– Nie muszę ci się tłumaczyć.

– Niech będzie – mruknęłam.

Czując, że znów ściska mnie w żołądku, pokazałam mu po kolei wszystkie pomieszczenia. Pozornie byłam chłodna i opanowana, ale gdy chwyciłam za klamkę lub włączałam światło, z trudem ukrywałam drżenie rąk. W szufladzie, pod bielizną, leżały listy Beigbedera do Rosalindy; na myśl, że mógłby tam zajrzeć, nogi ugięły się pode mną. Kiedy wszedł do sypialni, obserwowałam ze struchlałym sercem, jak powoli, metodycznie ogląda cały pokój. Z udawanym zainteresowaniem przekartkował leżącą na szafce nocnej powieść, po czym starannie odłożył ją na miejsce; wygładził prześcieradło w nogach łóżka, wziął z toaletki szczotkę do włosów i wyjrzał przez okno. Łudziłam się, że na tym skończy, ale były to płonne nadzieje. Zostało jeszcze to, czego obawiałam się najbardziej. Podeszedł do szafy i otworzył drzwi po prawej stronie, gdzie trzymałam wierzchnie ubrania: pomacał rękaw żakietu i pasek od płaszcza. Zamknął i otworzył te po lewej. Wstrzymałam oddech. Oczom Ignacia ukazał się rząd szuflad. Wysunął górną: chustki. Podniósł róg tej, która leżała z wierzchu, potem następnej i następnej... Zamknął. Wysunął drugą: pończochy. Zamknął. Gdy jego palce dotknęły trzeciej, poczułam, że ziemia mięknie mi pod nogami. To tam, pod stertą jedwabnej bielizny, leżały papiery, w których zostały szczegółowo opisane, odręcznie i w pierwszej osobie, wszystkie okoliczności głośnej dymisji, będącej dziś na ustach całej Hiszpanii.

– Sądzę, że chyba się posuwasz za daleko, Ignacio – odezwałam się zdławionym szeptem.



Stał, trzymając rękę na uchwycie szuflady, jakby się zastanawiał, co ma zrobić. Czułam gorąco, zimno, strach, chciało mi się pić. Czułam, że to koniec. I nagle zauważyłam, że otwiera usta, jakby zamierzał coś powiedzieć. Dobrze, przejdźmy dalej, mruknął. Kiedy zamykał szafę, z trudem powstrzymałam westchnienie ulgi, o mało co nie rozplakałam się w głos. Opanowałam się jednak i powróciłam do przymusowej roli przewodnika. Obejrzał łazienkę, w której się kąpałam, i stół, przy którym jadłam, spiżarnię, w której trzymałam zapasy, zlew, w którym Martina i Dora robiły pranie. Na tym skończył. Być może przez szacunek dla mnie, może było mu wstyd, a może po prostu przepisy nie pozwalały mu przekroczyć pewnych granic, nigdy się tego nie dowiedziałam. Bez słowa wróciliśmy do salonu, a ja dziękowałam niebu, że rewizja nie była bardziej dokładna.

Usiadł na tym samym miejscu, ja naprzeciwno.

– Wszystko w porządku?

– Nie – odparł twardo. – Nic nie jest w porządku. Nic.

Przymknęłam oczy, zacisnęłam powieki z całej siły i otworzyłam znowu.

– Co ci się nie podoba?

– Nic. Nic nie jest tak, jak powinno być.

Zdawało mi się, że wreszcie dostrzegam jakieś światełko.

– Co się spodziewałeś znaleźć, Ignacio? Co tu chciałeś znaleźć i nie znalazłeś?

Nie odpowiedział.

– Myślałeś, że to przykrywka, prawda?

I tym razem nie odpowiedział, jednak już po chwili jakby stanął na pewniejszym gruncie. Znowu był górą.

– Dobrze wiem, kto to wszystko zmontował.

– Co zmontował?

– Tę farsę, to niby-atelier.

– To nie jest żadna farsa. Tu się ciężko pracuje. Ja sama haruję co najmniej dziesięć godzin dziennie, przez siedem dni w tygodniu.

– Raczej wątpię.

Wstałam, podeszłam do jego fotela. Przysiadłam na poręczy, wzięłam Ignacia za prawą rękę. Nie wyrwał jej, ale unikał mego wzroku. Przesunęłam jego palcami po moich, powoli, żeby poczuł pod opuszkami każdy milimetr mojej skóry. Chciałam mu udowodnić, że mówię prawdę, pokazać odciski i zgrubienia od nożyczek, igły i naparstka, które z upływem lat zeszpeciły moje dłonie. Zauważyłam, że drży.

– To są ręce ciężko pracującej kobiety, Ignacio. Wyobrażam sobie, co o mnie myślisz, ale chcę, byś sam się przekonał, że to nie są ręce utrzymanki. Żałuję, że cię skrzywdziłam, nie wiesz nawet, jak bardzo jest mi przykro. Potraktowałam cię źle, ale to już przeszłość, już nie ma odwrotu. Nic nie zyskasz, wchodząc z butami w moje życie, żeby szukać duchów, które nie istnieją.

Wciąż trzymałam go za rękę. Była lodowata, ale chłód z wolna tajał.

– Chcesz się dowiedzieć, jak mi się wiodło, kiedy wyjechałam?

– spytałam cicho.

Kiwnął głową. Nadal na mnie nie patrzył.

– Wyjechaliśmy do Tangeru. Zaszłam w ciążę i Ramiro mnie rzucił. Straciłam dziecko. Nagle zostałam sama na obcej ziemi, chora, bez pieniędzy, obciążona długami, których narobił w moim imieniu. Nie miałam gdzie się podziać. Policja deptała mi po piętach, bałam się jak nigdy przedtem, wpłatałam się w nielegalny handel. A potem, dzięki pomocy przyjaciółki, otworzyłam pracownię krawiecką i znów zaczęłam szyć. Harowałam dzień i noc, znalazłam nowych przyjaciół, bardzo różnych. Mój świat się zmienił, ale ani na chwilę nie przestawałam pracować. Poznałam też mężczyznę, zagranicznego dziennikarza, w którym mogłabym się zakochać i z którym zapewne byłabym szczęśliwa, ale wiedziałam, że prędzej czy później będzie musiał wyjechać, więc oparłam się pokusie, bo bałam się, że znowu będę cierpieć, jak wtedy, przez Ramira. Teraz wróciłam do Madrytu, sama, i nadal pracuję, zresztą widziałeś moje atelier. A jeśli idzie o nas, to wiedz, że z nawiązką odpokutowałam za swoje grzechy. Nie wiem, czy to cię pocieszy, ale zaręczam, że za wyrządzoną ci krzywdę drogo zapłaciłam. I jeżeli stanę kiedyś na sądzie bożym, to ze spokojnym sumieniem, bo jeżeli na jednej szali położą wszystko, co ja ci zrobiłam, a na drugiej wszystko, co zrobiono mnie, nie jestem pewna, która przeważy.

Nie dowiedziałam się, czy moje słowa go uspokoily, czy wywołały jeszcze większy zamęt. Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu, jego dłoń w moich, świadomi oboje wzajemnej bliskości. Wreszcie wstałam i wróciłam na sofę.

– Skąd znasz ministra Beigbedera? – zapytał nagle. Jego ton nie był ani ostry, ani łagodny, gdzieś w pół drogi pomiędzy

intymnością, która połączyła nas na moment, a chłodnym dystansem chwil poprzednich. Spostrzegłam, że powrócił do swojej oficjalnej roli. Spostrzegłam też niestety, że przyszło mu to bez większych trudności.

– Juan Luis Beigbeder jest moim przyjacielem z Tetuanu.

– Jakiego rodzaju przyjacielem?

– Nie jest moim kochankiem, jeżeli to masz na myśli.

– Wczoraj spędził z tobą noc.

– Nie ze mną, ale u mnie. Nie muszę ci się tłumaczyć ze swoich prywatnych spraw, ale wolę wszystko wyjaśnić, żeby nie było najmniejszych wątpliwości: nie mam romansu z Beigbederem. Wczoraj w nocy nie spaliśmy ze sobą. Ani wczoraj, ani w ogóle nigdy. Nie utrzymuje mnie żaden minister.

– W takim razie dlaczego?

– Dlaczego z nim nie spałam czy dlaczego nie utrzymuje mnie żaden minister?

– Dlaczego przyszedł tutaj i został prawie do ósmej rano.

– Bo właśnie się dowiedział, że go zdymisjonowano, i nie chciał być sam.

Z rękami w kieszeniach podszedł do okna i wpatrując się w ciemność, powiedział:

– Beigbeder to głupiec. Zdrajca, który sprzedał się Brytyjczykom. Wariat opętany przez angielską dziwkę.

Roześmiałam się z goryczą. Stałam za jego plecami.

– O niczym nie masz pojęcia, Ignacio. Nie wiem, kto ci wydaje rozkazy w ministerstwie i każe straszyć cudzoziemców, którzy przyjechali do Madrytu, ale nie masz najmniejszego pojęcia,

kim jest pułkownik Beigbeder i dlaczego zachował się tak, jak się zachował.

– Wiem, co powinienem wiedzieć.

– To znaczy?

– Spiskuje przeciwko ojczyźnie. Był nieudolnym ministrem.

Wszyscy tak mówią, poczytaj gazety.

– Wierzysz takim gazetom...? – wtrąciłam ironicznie.

– A komu mam wierzyć? Twoim zagranicznym przyjaciółom?

– Może. Wiedzą znacznie więcej niż wy.

Odwrócił się i w kilku krokach znalazł tuż przy mnie.

– Co wiedzą? – zapytał chrapliwie.

Uznałam, że lepiej będzie milczeć. Niech mówi dalej.

– Wiedzą, że jeśli zechcę, będziesz deportowana jeszcze dziś o świcie? Wiedzą, że jeśli zechcę, zostaniesz aresztowana, twój egzotyczny paszport okaże się bezużytecznym świstkiem papieru, a ciebie wywiozą gdzieś z opaską na oczach i nikt się o tym nie dowie? Twój przyjaciel Beigbeder już tu nie rządzi, zostałeś bez opiekuna.

Był tak blisko mnie, że mogłam wyraźnie zobaczyć, ile urosła mu broda, odkąd rano się ogolił. Widziałam, jak jego jabłko Adama przesuwało się w górę i w dół, kiedy mówił, widziałam każde drgnienie jego warg, które tyle razy mnie całowały, a teraz sączyły groźby pełne jadu.

Odpowiedziałam, stawiając wszystko na jedną kartę. Kartę równie fałszywą jak ja sama.

– Beigbedera już nie ma, ale nie wiesz, kto jeszcze za mną stoi. Klientki, dla których szyję, mają wpływowych mężów i kochanków, z wieloma z nich się przyjaźnię. Jeżeli tylko

poproszę, co najmniej pół tuzina ambasad udzieli mi azylu, poczynając od niemieckiej, która, co oczywiste, mocno trzyma za jaja twojego ministra. Potrafię zadbać o własną skórę, wystarczy jeden telefon. Ale za twoją nie dałabym grosza, jeśli dalej będziesz wtykał palce między drzwi.

Nigdy nikomu nie kłamałam tak bezczelnie. To była bujda na wielką skalę i sama się dziwiłam, słysząc swój arogancki ton. Nie wiem, czy mi uwierzył. Być może tak; cała historia była równie nieprawdopodobna jak moje własne życie. Ale oto stałam przed nim ja, jego dawna dziewczyna, przedzierzgnięta w poddaną sułtana, namacalny dowód, iż najbardziej nieprawdopodobne fantazje mogą się ziścić.

– To się jeszcze okaże – wycedził przez zęby.

Wrócił na fotel.

– Nie podoba mi się człowiek, jakim się stałeś, Ignacio.

Roześmiał się gorzko.

– A jakie ty masz prawo mnie osądzać? Myślisz, że jesteś 432 lepsza, bo w czasie wojny zadekowałaś się w Afryce, a potem wróciłaś tutaj jako wielka dama? Zadzierasz nosa, bo przyjmujesz w domu wykolejonych ministrów i objadasz się czekoladkami od wielbicieli, podczas gdy nam racjonują nawet czarny chleb i soczewicę?

– Osądzam cię, bo mi na tobie zależy, chcę dla ciebie jak najlepiej – wtrąciłam zdławionym głosem.

Odpowiedział nowym wybuchem śmiechu. Jeszcze bardziej gorzkiego niż poprzednio. I bardziej szczerzego.

– Ciebie nie obchodzi nikt poza tobą, Siro. Ja, mnie, mi, ze mną, o mnie. Ja pracowałam, ja cierpiałam, ja zapłacałam za

swoje winy: ja, ja, ja, ja. Nikt poza tym cię nie interesuje, nikt. Czy zadałaś sobie trud, by zapytać, jak się po wojnie wiedzie twoim przyjaciółom? Przyszło ci kiedyś do głowy, żeby założyć którąś z tych twoich eleganckich kiecek i pójść tam, gdzie kiedyś mieszkałaś, dowiedzieć się, czy ktoś nie potrzebuje pomocy? Wiesz, jak przez te wszystkie lata żyło się twoim sąsiadom i koleżankom?

Poczułam się, jakbym dostała obuchem w łeb, jakby ktoś rzucił mi w otwarte oczy garść soli. Nie miałam odpowiedzi. Nic nie wiedziałam, bo takiego dokonałam wyboru. Przestrzegałam instrukcji, byłam zdyscyplinowana. Zakazano mi wychodzić poza określony obszar, więc nie wychodziłam. Usiłowałam nie dostrzegać owego innego Madrytu, tego prawdziwego, rzeczywistego. Tkwiłam za niewidzialnymi murami jakiegoś idyllicznego miasta i zmuszałam się, żeby nie widzieć podziurawionych przez bomby ulic, zburzonych domów, okien bez szyb i pustych fontann. Odwracałam oczy, żeby nie patrzeć na rodziny grzebiące po śmietnikach w poszukiwaniu ziemniaczanych obierków, na kobiety w żałobie, które krążyły po chodnikach, tuląc niemowlęta do wyschniętych piersi; bałam się spojrzeć na ich brudne, bose, zasmarkane i zawszone dzieci, które ciągnęły przechodniów za rękawy, błagając: litości, dajcie grosik, panie, na wszystko, co święte, panienko, tylko grosik, Bóg zapłać. Byłam posłuszną, sprawną agentką w służbie brytyjskiego wywiadu. Skrupulatnie posłuszną.

Obrzydliwie posłuszną. Drobiazgowo trzymałam się instrukcji: nie wróciłam do mojej starej dzielnicy, nie wydeptywałam ścieżek przeszłości. Nie chciałam wiedzieć, co

się stało z tak niegdyś mi bliskimi ludźmi. Nie próbowałam odnaleźć mojego placyku, mojej ciasnej uliczki, moich skrzypiących schodów. Nie zapukałam do drzwi sąsiadów, nie zapytałam, jak im się teraz żyje i jak przetrwali wojnę. Nie zadałam sobie trudu, żeby się dowiedzieć, ilu z nich zginęło, ilu aresztowano, jak sobie radzą ci, którzy pozostali przy życiu. Nie interesowało mnie, jakie zgniłe resztki wrzucają do garnka, czy ich dzieci są głodne, bose, chore na suchoty. Nie martwiły mnie ich pluskwy i odmrożenia. Należałam już do innego świata. Świata międzynarodowych spisków, wspaniałych hoteli, luksusowych salonów fryzjerskich i aperitifów przed obiadem. Nic mnie nie łączyło z owym uniwersum szarej jak mysz biedy, woniejącym uryną i gotowaną lebiodą. Albo tak mi się przynajmniej zdawało.

– Nic o nich nie wiesz, prawda? – podjął Ignacio. – No to posłuchaj, posłuchaj dobrze, bo ja ci powiem. Twój sąsiad Norberto zginął pod Brunete, jego najstarszego syna rozstrzelano, gdy tylko wojska narodowców wkroczyły do Madrytu, chociaż podobno ścigali go również czerwoni. Średni rąbie kamienie w Cuelgamuros, a najmłodszy siedzi w El Dueso. Wstąpił do partii komunistycznej, więc pewnie długo nie wyjdzie z pudła, o ile nie zostanie stracony któregoś pięknego dnia. Ich matka, pani Engracia, ta, która opiekowała się tobą, kiedy byłaś malutka, a Dolores musiała iść do pracy, została sama, na wpół ślepa i obłąkana; włóczy się z patykiem po ulicach, rozgrzebując każdą kupę śmieci. W twojej dzielnicy nie ma już gołębi i kotów, ludzie wszystkie zjedli. Chcesz wiedzieć, co słyhać u twoich koleżanek, z którymi się bawiłaś na placu



Paja? To też ci mogę opowiedzieć. Andreitę rozerwał pocisk, kiedy przechodziła przez Fuencarral, w drodze do warsztatu...

– Nie chcę słyszeć ani słowa więcej, już wiem... – przerwałam, czując, że więcej nie zniosę. Zdawał się nie słyszeć; dalej recytował swoją przerażającą litanie.

– Sole, tej z mleczarni, jakiś milicjant zrobił bliźniaki, a potem się ulotnił. Nie mogła sama zajmować się dziećmi, bo nie miałyby z czego ich wyżywić, więc zabrali je do sierocińca i więcej już ich nie zobaczyła. Podobno sprzedaje się teraz tragarzom na targu La Cebada. Bierze jedną pesetę za numer. Usługi świadczy na miejscu, na stojąco, pod ścianą. Gadają, że chodzi bez majtek, a kiedy o świcie zaczynają przyjeżdżać ciężarówki, zadziera spódnicę do góry.

Po policzkach płynęły mi łzy.

– Dość już, Ignacio, na Boga, dość – szepnęłam. Nie zwracał na mnie uwagi.

– Agustina i Nati, córki sprzedawcy drobiu, wstąpiły do jakiegoś komitetu świeckich pielęgniarek i przepracowały wojnę w szpitalu San Carlos. Kiedy wszystko się skończyło, przyszli po nie do domu, wsadzili na ciężarówkę i wywieźli do Las Ventas. Miały proces w Las Salesas i zostały skazane na trzydzieści lat i jeden dzień. Trini, piekarniczkę...

– Nic nie mów, Ignacio, przestań... – błagałam.

Wreszcie zamilkł.

– Mogę ci opowiedzieć wiele takich historii, wszystkie słyszałem na własne uszy. Codziennie przychodzą do mnie ludzie. Nieznajomi. I zawsze z tą sama śpiewką: rozmawialiśmy

kiedyś, don Ignacio, był pan narzeczoną Surity, córki tej krawcowej Dolores z ulicy Redondilla...

– Czego chcą? – spytałam, zapłakana.

– Wszyscy tego samego: żebym wyciągnął z więzienia krewniaka, żebym przez swoje kontakty uwolnił kogoś od kary śmierci, żebym znalazł komuś jakąś pracę, cokolwiek... Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jak wygląda dzień w Głównym Departamencie: przy wejściu, w korytarzach i na schodach stoi zwarty tłum wystraszonych ludzi, którzy czekają, aż ktoś ich przyjmie, gotowi znieść wszystko, byle tylko zyskać cię nadziei, byle ktoś ich wysłuchał, odpowiedział, do kogo mają pisać, żeby dostać ulaskawienie dla bliskich, byle dowiedzieć się czegoś o zaginionych... Przychodzą przede wszystkim kobiety, mnóstwo kobiet. Nie mają z czego żyć, zostały same z dziećmi i nie wiedzą co dalej.

– A ty? Możesz coś dla nich zrobić? – powiedziałam, chcąc uwolnić się od udręki.

– Niewiele. Przeważnie nic. Przestępstwami wojennymi zajmują się trybunały wojskowe. Do mnie ludzie zgłaszają się w akcie rozpacz, każdy szuka teraz znajomości w urzędach i myśli, że w ten sposób coś załatwi.

– Ale przecież ty jesteś frankistą...

– Ja jestem tylko zwykłym funkcjonariuszem, bez żadnej władzy, najniższym szczebelkiem w drabinie hierarchii – uciął.

– Mogę najwyżej wysłuchać ich skarg, powiedzieć, do kogo powinni się zwrócić, o ile sam to wiem, albo wcisnąć im w rękę parę duros, kiedy widzę, że są bliscy desperacji. Nawet nie jestem członkiem Falangi; los chciał, że znalazłem się w obozie

zwycięzców. Dlatego wróciłem do pracy w ministerstwie i sumiennie wypełniam swoje obowiązki. Ale nie stoję po niczyjej stronie: dość się napatrzyłem na okropności wojny, żeby stracić szacunek dla jednych i dla drugich. Wykonuję rozkazy, bo dzięki temu mam co jeść. Dlatego zginam kark, trzymam głowę na kłódkę i kładę uszy po sobie. Muszę jakoś utrzymać rodzinę i tylko to się liczy.

– Nie wiedziałam, że masz rodzinę – powiedziałam, ocierając łzy podaną przez niego chusteczką.

– Ożeniłem się w Salamance, a po wojnie przyjechaliśmy do Madrytu. Mam żonę, dwóch synów i dom, gdzie ktoś na mnie czeka po ciężkim dniu. Nasze mieszkanie nie przypomina twoich salonów, ale pod kuchnią zawsze płonie ogień, a w przedpokoju słychać śmiech dzieci, Ignacia i Miguela... Moja żona ma na imię Amalia. Nie kocham jej tak, jak kochałem ciebie, nie kołysze biodrami z taką gracją jak ty i nigdy nie pożądałem jej nawet w połowie tak jak ciebie, kiedy dzisiaj trzymałaś mnie za rękę. Ale pogodnie znosi trudności, śpiewa w kuchni, nawet jeśli niewiele może wrzucić do garnka, i tuli mnie w środku nocy, gdy dręczą mnie koszmary i krzyczę, i płaczę, bo śni mi się, że znowu jestem na froncie i zaraz zginę.

– Przepraszam, Ignacio – szepnęłam cichutko. Szloch stłumił mój głos.

– Być może jestem konformistą i przeciętniakiem, sługusem opresyjnego reżimu – dodał, patrząc mi twardo w oczy. – Ale za kogo ty się uważasz, że wyrokujesz, co ci się we mnie podoba, a co nie? Nie praw mi morałów, bo jeżeli ja jestem zły, to ty jeszcze gorsza. Ja przynajmniej potrafię się zdobyć na odrobinę

litości. Wątpię, czy ty to potrafisz. Jesteś najzwyczajszą egoistką, która błąka się po ogromnym, pustym domu, gdzie z każdego kąta wyziera samotność. Byłaś jedną z nas, ale wyrzekłaś się własnych korzeni i myślisz tylko o sobie.

Chciałam krzyknąć, żeby zamilkł, żeby zostawił mnie w spokoju i zniknął z mojego życia na zawsze, ale zanim zdołałam wypowiedzieć pierwszą sylabę, wytrysnął ze mnie strumień łez, z głębi, z samego dna zranionej, rozdartej duszy. Zakryłam twarz i zaniosłam się płaczem, nieutulonym, bez końca. Kiedy ów szloch ustał wreszcie i wróciłam do rzeczywistości, było dobrze po północy, a Ignacio już dawno wyszedł. Wycofał się bez hałasu, cicho, delikatnie, tak samo, jak kiedyś przy mnie trwał. Lecz strach i niepokój wywołane jego obecnością nadal oblepiały mi skórę. Nie wiedziałam, jakie konsekwencje będzie miała owa wizyta, nie wiedziałam, co się jutro stanie z Arish Agoriuq. Być może ten Ignacio sprzed kilku lat zlituje się nad kobietą, którą tak bardzo kochał, i pozwoli, by w spokoju poszła swoją drogą. Ale może być i tak, że ów nowy Ignacio, lojalny urzędnik Nowej Hiszpanii, doniesie swoim przełożonym o podejrzeniach, jakie obudziła w nim moja fałszywa tożsamość; może – jak sam mi groził – zostanę aresztowana. Albo deportowana. Albo zniknę bez wieści.

Na stole wciąż leżała bombonierka, znacznie mniej niewinna, niż sugerował jej wygląd. Otworzyłam ją jedną ręką, drugą ocierając resztki łez. W środku znalazłam tylko dwa tuziny czekoladek. Obejrzałam dokładnie opakowanie i na różowej wstążce, którą było przewiązane pudełko, dostrzegłam ledwo widoczny, delikatny ścieg. Rozszyfrowałam wiadomość w

niespełna trzy minuty. „Pilne spotkanie. Wizyta lekarska doktor Rico. Caracas 29. Jedenasta rano. Najwyższa ostrożność”.

Obok czekoladek stał kieliszek, który napełniłam kilka godzin temu. Nietknięty. Jak powiedział Ignacio, żadne z nas nie było już takie jak kiedyś. Życie zmieniło wszystkich, ale on nadal nie pił.

# Część czwarta

44

Kilkaset dobrze odżywionych i świetnie ubranych osób powitało rok 1941 w Sali Królewskiej Casino de Madrid przy dźwiękach kubańskiej orkiestry. Wśród nich, jako jedna z wielu, byłam ja.

Początkowo miałam zamiar spędzić tę noc sama, może zaprosić doñę Manuelę i dziewczęta, żeby wraz z nimi uczcić Nowy Rok przy pieczonym kapłonie i butelce cydru, ale namowy dwóch klientek, sióstr Álvarez-Vicuña, skłoniły mnie do zmiany planów. Choć bez większego entuzjazmu, starannie zadbałam o swój wygląd: włosy upięłam w niski kok, a oczy podkreśliłam marokańskim kholem, by nadać spojrzeniu zagadkową głębię i bardziej upodobnić się do egzotycznej cudzoziemki, za jaką mnie uznawano. Zaprojektowałam dla siebie srebrzystą tunikę z szerokimi rękawami, przewiazaną w talii szerokim paskiem – coś pomiędzy mauretańskim kaftanem i elegancką wieczorową suknią w europejskim stylu. Przyjechał po mnie brat moich klientek, kawaler, niejaki Ernesto, którego nigdy bliżej nie poznałam; zapamiętałam jedynie jego ptasią twarz i lepką kurtuazję, jakiej nie szczędził, by zyskać moje względy. Zajechaliśmy przed kasyno. Weszłam po wielkich

marmurowych schodach i śmiało wkroczyłam do sali, udając, że nie dostrzegam świetności i bogactwa ani licznych par oczu, które wpatrywały się we mnie z nieskrywaną ciekawością. Nie zaszczyliłam spojrzeniem gigantycznych kryształowych żyrandoli z La Granja ani kunsztownych stiuków wokół wspaniałych ściennych malowideł. Słowem, roztaczałam aurę pewności siebie i poczucia własnej wartości. Jakby przepych owego miejsca był moim naturalnym środowiskiem. Jakbym ja była rybą, a ów zbytek wodą.

Ale nie byłam. Chociaż żyłam wśród tkanin równie wspaniałych jak te, z których uszyto suknie otaczających mnie tego wieczoru dam, ostatnie miesiące nie upłynęły mi na beztróskim lenistwie. Ich rytm wyznaczało następstwo pracowitych dni i nocy, a podwójne życie wysysało niczym pasożyt mój czas, którego ubywało z każdą chwilą.

Ostatnia rozmowa z Hillgarthem – dwa miesiące temu, zaraz po spotkaniach z Beigbederem i Ignaciem – wyznaczała swoiste „przed” i „po” w mojej konspiracyjnej działalności. O pierwszym z nich dostarczyłam szczegółowych informacji; o drugim wcale nie powiedziałam. Zapewne powinnam, ale coś mnie powstrzymywało: wstyd, rozterki, może strach. Miałam świadomość, iż nocna wizyta Ignacia była skutkiem mojej lekkomyślności. Już przy pierwszym podejrzeniu należało uprzedzić Hillgartha o tym, że mnie śledzą. Być może uniknęłabym wówczas rewizji i nie zastała w moim własnym salonie siedzącego na moim własnym fotelu funkcjonariusza Ministerstwa Rządu. Owo spotkanie po latach było jednak zbyt osobiste, zbyt emocjonalne i bolesne, by dało się

zaszufladkować w bezdusznych archiwach tajnych służb. Przemilczając to, złamałam instrukcje, do których przestrzegania zostałam zobowiązana, lekceważąc z junacką fanfaronadą elementarne zasady sztuki szpiegowskiej. Trudno, musiałam zaryzykować. Poza tym nie po raz pierwszy ukryłam coś przed Hillgarthem: nie powiedziałam mu, że doña Manuela jest częścią mojej przeszłości, do której zabronił mi wracać. Na szczęście ani zatrudnienie mojej dawnej mistrzyni, ani wizyta Ignacia na razie nie przyniosły konsekwencji: do atelier nie przysłano nakazu deportacji, nikt mnie nie wezwał na przesłuchanie w żadnym złowrogim gabinecie, a duchy w prochowcach przestały mnie ścigać. Czy był to ostateczny koniec, czy tylko chwilowa ulga, miało się dopiero okazać.

Na spotkaniu, które nastąpiło po dymisji Beigbedera, Hillgarth był z pozoru równie obojętny jak w dniu naszej pierwszej rozmowy, ale jego zainteresowanie najdrobniejszymi nawet szczegółami wizyty pułkownika skłoniło mnie do podejrzeń, że w ambasadzie brytyjskiej aż się zakotłowało na wieść o odejściu zaprzyjaźnionego ministra.

Bez problemu trafiłam pod wskazany adres na pierwszym piętrze jednorodzinnego domu z ogródkiem. Nie musiałam długo czekać, bo na dźwięk dzwonka drzwi otworzyły się niemal natychmiast i niemłoda już pielęgniarka zaprosiła mnie do poczekalni.

– Ja do doktora Rico – oznajmiłam zgodnie z instrukcją zawartą na różowej wstążce od bombonierki.

– Pani pozwoli ze mną.



Tak jak się spodziewałam, w obszernym pokoju nie czekał na mnie żaden lekarz, tylko jakiś Anglik o krzaczastych brwiach, zgoła odmiennej profesji. Mimo iż w Embassy widywałam go wcześniej w granatowym marynarskim mundurze, tego dnia ubrany był po cywilnemu – w jasną koszulę, krawat w drobny rzucik i elegancki garnitur z szarej flaneli. Pomijając sam ubiór, człowiek ów zupełnie nie pasował do gabinetu wyposażonego w akcesoria takie jak stalowy parawan z bawełnianą zasłonką, oszklone szafki pełne słoików i metalowych narzędzi, nakryte ceratą łóżko, oprawione w ramki dyplomy na ścianach. Energicznie uścisnął mi dłoń, nie tracąc czasu na zbędne uprzejmości.

Gdy tylko usiedliśmy, zaczęłam mówić. Odtworzyłam z pamięci, sekunda po sekundzie, nocną rozmowę z Beigbederem, usiłując przypomnieć sobie każdy szczegół. Powtórzyłam wszystko, co usłyszałam z jego ust, drobiazgowo opisałam stan jego ducha, odpowiedziałam na dziesiątki pytań i wręczyłam nieznajomemu listy do Rosalindy. Przez bitą godzinę siedział bez ruchu, słuchając cierpliwie, i metodycznie, papieros za papierosem, wypalił całą paczkę cravenów A.

– Nie znamy jeszcze skutków, jakie będzie dla nas miała ta dymisja, ale obecna sytuacja nie napawa optymizmem – oświadczył w końcu, gasząc ostatni niedopałek. – Przekazaliśmy wiadomość do Londynu i jeszcze nie mamy odpowiedzi. Niestety, to może trochę potrwać. Do tego czasu proszę zachować najwyższą ostrożność, nie może pani popełnić żadnego błędu. Już samo wpuszczenie Beigbedera do domu było niezmiernie ryzykowne, chociaż rozumiem, że nie mogła

mu pani zamknąć drzwi przed nosem. Dobrze się też stało, że zdołała go pani jakoś uspokoić, bo mogło to się skończyć o wiele gorzej. Od tej pory proszę unikać niepotrzebnej brawury, zwiększyć czujność i uważnie obserwować, czy w pobliżu, na przykład koło domu, nie kręcą się jakieś podejrzone osoby. Niewykluczone, że jest pani śledzona.

– Będę uważać, niech pan będzie spokojny – odparłam szybko; wyczułam, że może się czegoś domyślać w związku z Ignaciem, więc wolałam nie drążyć tematu.

– Niechybnie wszystko skomplikuje się jeszcze bardziej. To jedyne, co wiemy na pewno – dodał, podając mi rękę na pożegnanie. – Teraz, kiedy pozbyli się wreszcie niewygodnego ministra, naciski Niemiec będą przypuszczalnie silniejsze. Powtarzam zatem raz jeszcze: niech pani zachowa czujność i stara się unikać zbędnego ryzyka.

Przez następne miesiące działałam zgodnie z jego życzeniem: zminimalizowałam ryzyko, starałam się jak najmniej pokazywać publicznie i skoncentrowałam się na własnej pracy. Szyłyśmy dużo, coraz więcej. Względny spokój, jaki sobie zapewniłam, zatrudniając dońę Manuełę, trwał zaledwie kilka tygodni: rosnąca klientela i zbliżający się okres Bożego Narodzenia sprawiły, że niemal bez reszty poświęciłam się krawiectwu. Jednakże między jedną przymiarką a drugą musiałam także znaleźć czas na wypełnianie tajnej misji. Moje życie toczyło się podwójnym torem: poprawiając zaszewki koktajlowej sukni, zdobywałam informacje o gościach zaproszonych na przyjęcie wydawane przez ambasadę Niemiec na cześć Himmlera, szefa gestapo; w chwilę potem brałam

miarę na *tailleur* dla pewnej baronowej, która opowiadała z entuzjazmem, że Otto Horcher przenosi wkrótce do Madrytu swoją berlińską restaurację, ulubione miejsce spotkań nazistowskich dygnitarzy i oficerów. O tym wszystkim i o wielu innych sprawach skrupulatnie meldowałam Hillgarthowi: starannie preparowałam wiadomości, dobierałam najwłaściwsze słowa, kamuflowałam raporty w rzekomych ściegach i przekazywałam je punktualnie. Pomna na jego przestrogi, zwracałam baczną uwagę na każdy szczegół. I tylko dzięki temu dostrzegłam drobne zmiany, które mogły, choć nie musiały, być zwykłym przypadkiem. Którejś soboty nie zastałam w muzeum Prado cichego łysego człowiczka, który zawsze odbierał ode mnie tubę z wykrojami; już nigdy go nie zobaczyłam. Kilka tygodni później kędzierzawą szatniarkę z salonu fryzjerskiego zastąpiła inna kobieta: starsza, grubsza i tak samo hermetyczna. Zauważyłam także więcej tajniaków na ulicach i w lokalach oraz nauczyłam się odróżniać zwalistych, ubranych w długie płaszcze Niemców, milczących i groźnych, od chudych, drobnych Hiszpanów, nerwowo palących w bramie papierosy lub skulonych za słupem ogłoszeniowym. Mimo że z początku nie ja byłam obiektem obserwacji, starałam się omijać ich z daleka, zawracając w przeciwnym kierunku albo przechodząc na drugą stronę ulicy. Czasami, żeby nie podejść za blisko albo nie zetknąć się z którymś twarzą w twarz, wstępowałam do jakiegoś sklepu, udawałam, że kupuję kasztany od przekupki, albo przystawałam przed pierwszą lepszą witryną. A kiedy nie mogłam uniknąć frontalnego spotkania, uzbierałam się w odwagę, wydawałam w duchu

komendę „Naprzód marsz!” i przyspieszywszy kroku, mijałam ich z podniesioną głową. Pewna siebie, godna, niemal wyniosła, jakbym miała w torbie kupiony dla kaprysu drobiazg lub neseserek pełen kosmetyków, a nie plik zaszyfrowanych informacji o prywatnych spotkaniach najwyższych przedstawicieli Trzeciej Rzeszy w Hiszpanii.

Obserwowałam też pilnie, co się dzieje w polityce. Jak kiedyś Dżamilę w Tetuanie, tak teraz co rano wysyłałam Martinę po świeże gazety: „Abc”, „Arriba”, „El Alcázar”. Przy śniadaniu, pomiędzy jednym i drugim łykiem białej kawy, pożerałam wiadomości z Hiszpanii i z Europy. Tak dowiedziałam się o powołaniu Serrano Suñera na urząd ministra spraw zagranicznych i litera po literze śledziłam relację z podróży, podczas której spotkał się z Hitlerem w Hendaye. Przeczytałam też o trójporozumieniu Niemiec, Włoch i Japonii, o inwazji na Grecję oraz tysiącu innych zdarzeń, które w zawrotnym tempie zmieniały mapę świata w owych konwulsyjnych czasach.

Czytałam, szyła i przekazywałam informacje. Przekazywałam informacje, szyła i czytałam. Tak wyglądały moje dni w ostatnich miesiącach roku, który wkrótce miał się skończyć. Dlatego być może przyjął zaproszenie na sylwestra w kasynie: uznałam, że dobrze mi zrobi trochę rozrywki dla ukojenia nerwów.

Kiedy weszliśmy z Ernestem do sali, podeszły do nas Marita i Teté Álvarez-Vicuña. Obsypałyśmy wzajemnie pochwałami nasze suknie i uczesania, potoczyła się lekka, banalna rozmowa, a ja, jak zwykle, wtrąciłam kilka arabskich słów i jakiś pretensjonalny frazes po francusku, zerkając zarazem

kątem oka na gości. Dostrzegłam wiele znajomych twarzy, dużo mundurów i kilka swastyk. Zastanawiałam się, ilu z tych beztroskich, uśmiechniętych ludzi jest, podobnie jak ja, ukrytymi szpiczlami i tajniakami. Przeczuwałam, że sporo, więc postanowiłam nie ufać nikomu, mieć uszy i oczy otwarte w nadziei, że uda mi się zdobyć coś dla Hillgartha i Brytyjczyków. Podczas gdy snułam w myślach owe plany, pozorując jednocześnie zainteresowanie tematem konwersacji, Marita na chwilę zostawiła nas samych. Wróciła, prowadząc kogoś pod rękę, a ja pojęłam w mgnieniu oka, że ta noc zmieni wiele w moim życiu.

## 45

– Arish, kochanie, pozwól, że ci przedstawię mojego przyszłego teścia, Gonzala Alvarado. Ogromnie chciał z tobą porozmawiać o swoich podróżach do Tangeru i przyjaciołach, których tam zostawił. Na pewno macie wspólnych znajomych.

Istotnie, stał oto przede mną Gonzalo Alvarado, mój ojciec. We fraku, trzymając w ręku kryształową szklankę z resztką whisky. Już w pierwszej sekundzie, gdy nasze spojrzenia się spotkały, odgadłam, że aż nadto dobrze wie, kim jestem. W drugiej domyśliłam się, że pomysł zaproszenia mnie na ów bal wyszedł od niego. Kiedy chwycił moją dłoń i pochylił się, by ją ucałować, nikomu na tej sali nie przemknąłby przez głowę nawet cień przypuszczenia, że ów człowiek wita się w tej chwili z własną córką. Przez całe życie widzieliśmy się jedynie parę godzin, ale jak mówią, zew krwi bywa silniejszy niż pamięć. Na

szczęście wrodzona przenikliwość i być może zdrowy rozsądek kazały mu zapanować nad ojcowskim instynktem.

Zeszczuplał i mocno posiwiał, ale nadal wyglądał świetnie. Orkiestra zagrała *Aquellos ojos verdes*. Zaprosił mnie do tańca.

– Nie wiesz, jak się cieszę, widząc cię znowu – powiedział. Odniosłam wrażenie, że w jego głosie brzmi szczerą radość.

– Ja też – skłamałam. W rzeczywistości nie wiedziałam, czy się cieszę, czy nie; wciąż jeszcze byłam zbyt ogłuszona niespodziewanym spotkaniem, by móc na trzeźwo ocenić swoje uczucia.

– A więc przybrałaś teraz inne imię i nazwisko i podajesz się za Marokankę. Domyślam się, że nie zdradzisz mi, skąd te zmiany.

– Nie, raczej tego nie zrobię. Zresztą nie sędzę, żeby to pana interesowało. To moja sprawa.

– Proszę, mów mi na ty.

– Jak sobie życzysz. Chciałbyś może, żebym mówiła „tatku”? – zapytałam z lekką drwiną.

– Nie, dziękuję. Wystarczy „Gonzalo”.

– Zgoda. Co u ciebie, Gonzalo? Myślałam, że zabili cię w czasie wojny.

– Przeżyłem, jak widzisz. To długa historia, zbyt ponura, by opowiadać ją w sylwestra. Jak się miewa twoja matka?

– Dobrze. Mieszka w Maroku, mamy w Tetuanie pracownię krawiecką.

– Więc jednak posłuchałyście mnie i wyjechałyście z Hiszpanii w odpowiednim momencie?

– Mniej więcej. Nasza historia też jest długa.

– Może kiedyś mi opowiesz. Spotkajmy się, zapraszam cię na obiad – zaproponował.

– Raczej nie przyjdę. Dużo pracuję, nie mam czasu na życie towarzyskie. Jestem tu, bo nie mogłam odmówić klientkom. Cóż za naiwność! Sądziłam, że zrobiły to z czystej sympatii, ale teraz widzę, że za tym miłym, niewinnym zaproszeniem dla krawcowej sezonu było coś więcej. To twój pomysł, prawda?

Nie powiedział tak ani nie, lecz potwierdzenie kołysało się nad nami w powietrzu, zawieszony wśród akordów bolera.

– Marita jest zaręczona z moim synem. To dobra dziewczyna: czuła, promienna, radosna. Ale niezbyt bystra. Tak czy inaczej, bardzo ją lubię. Nie wiem, jak to zrobiła, ale wodzi tego bałwana Carlosa na pasku i już za parę miesięcy zaciągnie go do ołtarza.

Oboje spojrzeliśmy na moją klientkę. Szeptła akurat coś do swojej siostry Teté. Obie gapiły się na nas, obie wystrojone w kreacje od Chez Arish. Z nieszczerym uśmiechem w kącikach warg złożyłam sobie solenne przyrzeczenie, że już nigdy nie dam się uwieść klientkom, wabiącym syrenim śpiewem samotne dusze w nocie tak smutne jak ostatnia noc w roku.

Gonzalo, mój ojciec, mówił dalej.

– Jesienią widziałem cię trzy razy. Raz, kiedy wysiadłaś z taksówki i weszłaś do Embassy. Byłem na spacerze z psem, stałem jakieś pięćdziesiąt metrów od wejścia do herbaciarni, ale mnie nie zauważyłaś.

– Rzeczywiście, nie zauważyłam. Zawsze się spieszę.

– Zdawało mi się, że to ty, ale widziałem cię tylko przez kilka chwil i pomyślałem, że to pewnie jakieś przywidzenie. Drugi

raz to było rano, w którąś sobotę, w Prado. Lubię tam czasem przychodzić. Patrzyłem na ciebie z daleka, kiedy zwiedzałaś muzealne sale, jednak nadal nie miałem pewności, że ty to ty. Poszłaś potem do szatni po tekę, usiadłaś przed portretem Izabeli Portugalskiej Tycjana i zaczęłaś szkicować. Stałem w rogu sali i patrzyłem, dopóki nie zaczęłaś się zbierać do wyjścia. Wyszedłem stamtąd przekonany, że się nie mylę. To byłaś ty. Dojrzała, bardziej pewna siebie i elegancka, ale już nie wątpiłem, że jesteś moją córką, tą samą wystraszoną myszką, którą poznałem tuż przed wojną.

Nie mogłam sobie pozwolić na sentymenty, więc wtrąciłam pospiesznie:

– A trzeci raz?

– Zaledwie kilka tygodni temu. Szłaś ulicą Velázquez, a ja jechałem samochodem, z Maritą. Odwoziłem ją do domu po lunchu u naszych przyjaciół, Carlos akurat był zajęty. Zobaczyliśmy cię oboje i wtedy, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, pokazała cię palcem i powiedziała, że jesteś jej nową krawcową, że pochodzisz z Maroka i nazywasz się Arish jakaś tam, nie pamiętam dobrze.

– Agoriuq. To moje nazwisko pisane wspak. Quiroga. Agoriuq.

– Nieźle brzmi. Wypijemy coś, panno Agoriuq? – zapytał z ironicznym uśmiechem.

Przepchnęliśmy się wśród tańczących par, wzięliśmy dwa kieliszki szampana z tacy, którą podsunął nam jakiś kelner, i stanęliśmy z boku, pod ścianą. Orkiestra zaczęła grać rumbę, na parkiecie znów zrobiło się tłoczno.



– Domyślam się, że chcesz zachować incognito i wolisz, żebym nie zdradził Maricie twojego prawdziwego nazwiska i naszego pokrewieństwa – powiedział cicho. – Powtarzam, to dobra dziewczyna, ale uwielbia plotki, a dyskrecja nie jest jej najmocniejszą stroną.

– Byłabym wdzięczna, gdybyś nikomu o niczym nie mówił. W każdym razie powinieneś wiedzieć, że moje nowe nazwisko jest legalne, a paszport autentyczny.

– Przypuszczam, że miałaś po temu ważne powody.

– Oczywiście. Klientki widzą we mnie egzotyczną, trochę tajemniczą osobę, a policja nie może mnie ścigać z oskarżenia twojego syna.

– Carlos cię oskarżył? – Trzymająca kieliszek ręka zastygła w połowie drogi do ust; jego zdziwienie wydawało się absolutnie szczere.

– Nie Carlos. Twój drugi syn, Enrique. Tuż przed wojną. Zarzucił mi, że ukradłam ci pieniądze i klejnoty, które mi dałeś.

Uśmiechnął się gorzko.

– Enrique zginął w trzecim dniu wojny. Tydzień przedtem strasznie się pokłóciliśmy. Bardzo go zajmowała polityka, przeczuwał, że wkrótce coś się wydarzy. Uparł się, żebyśmy wywieźli z Hiszpanii całą gotówkę w złocie, biżuterię i wszystkie wartościowe przedmioty. Musiałem się przyznać, że oddałem ci twoją część. Prawdę mówiąc, mogłem to przemilczeć, ale wolałem tego nie robić. Opowiedziałem mu o Dolores i o tobie.

– I przyjął to źle – uprzedziłam następne zdanie.

– Wpadł w istną furję, okropnie mnie zwymyślał. Potem wezwał Servandę, pamiętasz ją, to ta stara służąca... Wypytał ją o was. Powiedziała mu, że wybiegłaś z wielką paczką pod pachą. Pewnie to wtedy wymyślił sobie tę kradzież. Wszedł z domu, trzasnąwszy drzwiami tak, że echo się rozniosło po całym domu. Następnym razem zobaczyłem go jedenaście dni później w prowizorycznej kostnicy na stadionie Metropolitano, z dziurą od kuli w głowie.

– Przykro mi.

Z rezygnacją wzruszył ramionami. W jego oczach dostrzegłam ból.

– Był niepoczytalnym szaleńcem, ale to przecież mój syn. Między nami od dawna się nie układało, dochodziło do gwałtownych sprzeczek. Należał do Falangi, a ja tego nie pochwalałem. Chociaż z dzisiejszej perspektywy tamta Falanga wydaje się organizacją wręcz świetlaną. Przynajmniej mieli romantyczne ideały i zasady, co prawda nieco utopijne, ale umiarkowanie rozsądne. Falangiści byli grupką rozbisurmanionych marzycieli, w większości nierobów, ale i tak byli lepsi od tych oportunistów, którzy ryczą dziś na całe gardło *Twarzą ku słońcu*, mało im żyły w karku nie pękną. Z wyciągniętym przed siebie ramieniem pozdrawiają nieobecnego wodza, który nagle stał się dla nich świętością i wzorem, chociaż przed wojną nawet nie słyszeli o José Antonio. Groteskowa banda aroganckich łobuzów...

Urwał raptem i powrócił do rzeczywistości kryształowych pajaków, trąbek, marakasów i rytmicznie rozkołysanych ciał

tańczących *El manisero*. Powrócił do rzeczywistości i powrócił do mnie. Delikatnie pogłaskał moje ramię.

– Wybacz, czasami mnie ponosi. Pewnie cię nudzę, to nie jest odpowiednia chwila na takie dyskusje. Zatańczysz?

– Nie, dziękuję. Wolę rozmawiać z tobą.

Podszedł do nas kelner, odstawiliśmy puste kieliszki i wzięliśmy nowe, pełne.

– Skończyłaś na tym, że Enrique oskarżył cię o kradzież... – zaczął.

Przerwałam mu natychmiast; najpierw chciałam wyjaśnić coś, co dręczyło mnie od początku naszego spotkania.

– Zanim to opowiem, muszę cię o coś zapytać. Gdzie jest twoja żona?

– Owdowiałem. Przed wojną, wiosną trzydziestego szóstego, kiedy byłaś u mnie z matką, María Luisa przebywała na południu Francji razem ze swoimi siostrami. Jedna z nich miała samochód marki Hispano-Suiza i szofera, który lubił nocne życie. Pewnego ranka wioził je na mszę; prawdopodobnie wcale nie spał i przez nieuwagę wypadł z drogi. María Luisa i Concepción zginęły na miejscu. Kierowca stracił nogę, a trzecia z sióstr, Soledad, wyszła bez szwanku. Ironia losu, bo była z nich najstarsza.

– Naprawdę ogromnie mi przykro.

– Czasami myślę, że tak było dla niej najlepiej. Była bardzo bojaźliwa, wszystkiego się bała, przejmowała się byle drobiazgiem. Sądzę, że nie przetrzymałaby wojny, ani w Hiszpanii, ani poza krajem. I oczywiście nigdy by się nie pogodziła ze śmiercią Enrique. Może to była łaska Opatrzności,

że Bóg przedwcześnie zabrał ją z tego świata. A teraz ty opowiadaj... Wspomniałaś, że zostałam oskarżona. Wiesz coś więcej? Jak teraz wygląda ta sprawa?

– Nie. We wrześniu, przed moim wyjazdem do Madrytu, komisarz policji w Tetuanie próbował to sprawdzić.

– Chciał, żeby cię uniewinniono?

– Chciał mi pomóc. Komisarz Vázquez nie jest moim przyjacielem, ale zawsze odnosił się do mnie życzliwie. Masz córkę, która swego czasu wpakowała się w niezłe kłopoty.

Z tonu mojego głosu musiał wywnioskować, że mówiłam poważnie.

– Opowiesz mi o tym? Może znajdę jakąś radę.

– Nie sądzę, żeby teraz była mi potrzebna. Jak dotąd wszystko się układa w miarę sensownie, ale dziękuję za dobre chęci. Tak czy inaczej, chyba masz rację: powinniśmy się kiedyś spotkać i pogadać spokojnie. Częściowo to także twoje problemy.

– Zdradź mi coś więcej.

– Nie mam już klejnotów twojej matki.

Nie dostrzegłam, by zrobiło to na nim większe wrażenie.

– Musiałaś je sprzedać?

– Okradli mnie.

– A pieniądze?

– Też.

– Wszystko?

– Do ostatniego centyma.

– Gdzie?

– W hotelu, w Tangerze.

– Kto?

– Pewien łajdak.

– Znałaś go?

– Tak. A teraz, jeśli pozwolisz, zmienimy temat. Kiedy indziej opowiem ci resztę.

Do północy brakowało już niewiele i na sali pojawiało się coraz więcej fraków, galowych mundurów, sukni wieczorowych i obwieszonych klejnotami dekoltoń. Przeważali Hiszpanie, chociaż było także sporo cudzoziemców: Niemców, Anglików, Amerykanów, Włochów, Japończyków. Zbieranina ludzi z krajów w stanie wojny oraz szacownych i zamożnych rodzimych obywateli, którzy na te kilka godzin zapomnieli o brutalnie zdeptanej, rozbitej Europie i plugawej nędzy wyniszczonego narodu, mającego niebawem pożegnać z ulgą najstraszniejszy chyba rok w swojej historii. Zewsząd dobiegał śmiech, a pary sunęły po parkiecie w zaraźliwym rytmie kubańskich *congas* i *guarachas*, granych przez murzyńską orkiestrę. Lokaje w liberiach, ci sami, których szpaler witał nas na schodach, zaczęli roznosić koszyczki z winogronami, zapraszając gości na taras. Ojciec podał mi ramię. Zrozumieliśmy się bez słów: mimo że przyszliśmy tu osobno, nowy rok chcieliśmy powitać razem. Na tarasie dołączyliśmy do grupki znajomych, wśród których zobaczyliśmy syna Gonzala oraz moje klientki intrygantki. Przedstawiono mi Carlosa, ogromnie podobnego do ojca, a do mnie wcale. Nigdy by się nie domyślił, że stoi przed nim przyrodnia siostra, wschodząca gwiazdka krawiectwa, którą jego brat oskarżył o zagarnięcie sporej części ich wspólnej schedy.

Nikommu zdawał się nie przeszkadzać panujący na zewnątrz przenikliwy chłód. Gości przybywało, a kelnerzy uwijali się jak w ukropie, krążąc z butelkami szampana owiniętymi w duże białe serwetki. Gwar ożywionych rozmów, śmiechy i brzęk kieliszków wzbijały się aż pod zimowe niebo, ciemne jak węgiel, a z dołu, z ulicy, dobiegały chrapliwe okrzyki nieszczęsnej tłuszczy, której czarny los przeznaczył miejsce na miejskim bruku, przy flasce taniego wina albo gorzałki palącej jak ogień i szorstkiej jak pumeks.

Zegar na Puerta del Sol powoli wybijał północ. W skupieniu połykałam winogrona: bim – jedno, bam – drugie, bom – trzecie, bim – czwarte. Przy piątym Gonzalo otoczył mnie ramieniem i przyciągnął ku sobie; przy szóstym w oczach zakręciły mi się łzy. Siódme, ósme i dziewiąte połknęłam z zaciśniętymi powiekami, żeby powstrzymać płacz. Przy dziesiątym wreszcie mi się to udało, przy jedenastym wzięłam się w garść, a gdy przebrzmiało dwunaste uderzenie, odwróciłam się i przytuliłam do ojca drugi raz w życiu.

## 46

W połowie stycznia spotkałam się z nim, żeby dokładnie opowiedzieć o kradzieży kosztowności. Zdawało mi się, że uwierzył, a jeśli nie, to musiał świetnie udawać. Zjedliśmy obiad w Lhardy i zaproponował, żebyśmy się regularnie widywali. Odmówiłam, choć prawdę mówiąc, nie było po temu powodów; myślałam, być może, że już za późno na odzyskanie straconego czasu. Nalegał, wyglądało na to, że łatwo nie ustąpi. I po części dopiął swego. Mój opór z wolna zaczynał topnieć. Umówiliśmy

się jeszcze kilka razy w restauracji i razem poszliśmy na koncert w Teatrze Królewskim, a w któryś niedzielny poranek zabrał mnie na spacer do Retiro, jak przed trzydziestu laty moją matkę. Miał dużo wolnego czasu, już nie pracował. Kiedy skończyła się wojna, mógł odzyskać swoją hutę, ale postanowił nie wznawiać produkcji. Sprzedał teren, na którym się mieściła, i jako rentier zaczął żyć z odsetek od uzyskanego kapitału. Dlaczego zrezygnował, dlaczego nie odbudował prosperującego niegdyś zakładu? Sądzę, że z powodu najzwyklejszego rozczarowania. Nigdy nie opowiedział mi o tamtych latach, ale z komentarzy wtrącanych czasem do naszych rozmów odtworzyłam sobie z grubsza jego bolesną odyseję. Nie sprawiał przy tym wrażenia człowieka rozgoryczonego: miał zbyt racjonalny umysł, by swoje życie oddać we władanie emocjom. Chociaż należał do klasy zwycięzców, był ogromnie krytyczny wobec nowego reżimu. Był także ironistą i wspaniałym rozmówcą. Połączyła nas szczególna więź, która stała się początkiem dojrzałej, dorosłej przyjaźni, wiedzieliśmy bowiem oboje, że i tak nic nam nie zrekompensuje straconych lat mojego dzieciństwa i wczesnej młodości. W kręgu znajomych Gonzala szeptano o nas, snuto rozmaite supozycje na temat natury naszego związku. On jednak nikomu nie miał zamiaru się tłumaczyć, mimo że do jego uszu docierały setki najdziwniejszych plotek, które powtarzał mi z rozbawieniem.

Owe spotkania z ojcem otworzyły mi oczy na ukryte dotąd przede mną oblicze rzeczywistości. Dowiedziałam się, że chociaż gazety nigdy o tym nie pisały, kraj trwał w permanentnym kryzysie rządowym, a pogłoski o

ministerialnych dymisjach i odwołaniach oraz rozmaitych animozjach i spiskach na szczytach władzy mnożyły się jak chleb i ryby z ewangelicznej przypowieści. Upadek Beigbedera po czternastu miesiącach od chwili zaprzysiężenia w Burgos był niewątpliwie najgłośniejszą, lecz w żadnym wypadku nie jedyną tego typu sprawą.

Podczas gdy Hiszpania z wysiłkiem próbowała podnosić się z ruin, zwycięzcy, zamiast spożywać w zgodzie owoce chwały, wykrwawiali się w rodzinnych awanturach, okładając się stołkami jak w ludowej farsie. Wojsko skakało do gardła Falandze, Falanga toczyła śmiertelny bój z monarchistami, monarchiści dostawali furii, bo Franco nie mógł się zdecydować, czy poprze monarchię; niezdecydowany Franco zaszył się w El Pardo, zamasyście podpisywał wyroki i nie opowiadał się za nikim; Serrano Suñer nad wszystkim, wszyscy kontra Serrano; jedni spiskowali przeciwko Osi, inni przeciwko aliantom, stawiając w ciemno, ponieważ nikt nie wiedział, z kim warto trzymać. Na dwoje babka wróżyła, jak mawiała Candelaria, stawiając kabałę.

Tymczasem w stosunkach niemiecko-brytyjskich trwało nieustanne przeciąganie liny, zarówno na mapie świata, jak i na ulicach hiszpańskiej stolicy. Na nieszczęście dla sprawy, o którą los kazał mi walczyć, aparat germańskiej propagandy był znacznie potężniejszy i bardziej skuteczny. Tak jak zapowiadał Hillgarth w Tangerze, ogromną pracę wykonywała ambasada, mająca do dyspozycji nieograniczone niemal środki finansowe oraz świetną ekipę, kierowaną przez osławionego Lazara, który ponadto mógł zawsze liczyć na przychyłność kręgów



rządowych. O jego bujnym życiu towarzyskim dowiadywałam się z pierwszej ręki: bywające w atelier Niemki i Hiszpanki bez przerwy opowiadały o wydawanych przez niego przyjęciach i kolacjach, a po salonach jego rezydencji co wieczór paradowały moje kreacje. Toczyła się też szeroko zakrojona kampania prasowa, mająca podbudować niemiecki prestiż. Używano do tego celu rzucających się w oczy reklam, zachwalających z tym samym rozmachem silniki benzynowe i barwniki do tkanin. Machina propagandowa działała niezmordowanie. Wrzucała do jednego worka idee i produkty, wmawiając nam, że niemiecka ideologia jest motorem postępu nieosiągalnego dla reszty świata. Za dymną zasłoną rozwoju techniki krył się wszakże jasny przekaz: Niemcy szykują się do opanowania całej kuli ziemskiej, co niedwuznacznie dawali do zrozumienia swoim hiszpańskim przyjaciółom. A żeby nikt nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości, włączyli do owej strategii krzykliwe, nachalne rysunki, wielkie litery i malownicze mapy Europy, na których wyraźne, grube strzałki łączyły Niemcy z Półwyspem Iberyjskim, podczas gdy Wielka Brytania jakby się zapadła pod ziemię.

W aptekach, kawiarniach i u fryzjera rozdawano darmowe pisemka satyryczne i krzyżówki; dowcipy i rysunekczki przeplatały się w nich z opisami zwycięskich operacji militarnych, a rozwiązania zagadek i szarad zawsze miały podtekst polityczny, ukazujący nazistów w korzystnym świetle. Podobnie było w wypadku broszurek informacyjnych dla fachowców, komiksów dla dzieci i młodzieży, a nawet gazetek parafialnych rozprowadzanych co niedziela w setkach

kościół. Chodziły także słuchy, że na ulicach roi się od hiszpańskich konfidentów, zwerbowanych przez Niemców do agitacji na przystankach tramwajowych, w kolejkach do sklepów i kin. Rozpuszczane przez nich pogłoski bywały czasem wiarygodne, lecz najczęściej zupełnie fantastyczne. Krążyły plotki deprecjonujące Amerykanów i Brytyjczyków. Że kradną hiszpańską oliwę i wywożą ją w dyplomatycznych samochodach na Gibraltar. Że mąka przysłana przez amerykański Czerwony Krzyż jest zatruta. Że w sklepach nie ma ryb, bo brytyjskie okręty zaarrestowały naszych rybaków. Że chleb jest niedobry, bo poddani Jego Królewskiej Mości torpedują argentyńskie statki ze zbożem. Że Ameryka i Rosja szykują się do inwazji na Półwysep.

Brytyjczycy tymczasem nie pozostawali im dłużni. Ich reakcja polegała przeważnie na jawnym obwinianiu reżimu o wszystkie klęski i nieszczęścia narodu. Uderzali przy tym celnie w najczulsze miejsce: głód. Ów głód, który sprawiał, że ludzie chorowali po zjedzeniu wygrzebanych ze śmietnika resztek, że za ciężarówkami Pomocy Społecznej biegły nieraz w rozpaczycie całe rodziny, że matki dokonywały cudów kulinarnej inwencji, smażąc bez oleju, robiąc tortille bez jajek, słodczy bez cukru i dziwne kielbasy bez śladu wieprzowiny, za to podejrzenie woniejące dorszem. Nie gorzej radzili sobie Anglicy, starając się wzbudzić w Hiszpanach sympatię do aliantów. Biuro prasowe ambasady w Madrycie wydawało własnym sumptem pisemko, które następnie pracownicy placówki, z młodym attaché Tomem Burnsem na czele, sami rozdawali na pobliskich ulicach. Na krótko przedtem rozpoczął działalność Instytut

Brytyjski, kierowany przez niejakiego Waltera Starkie, irlandzkiego katolika, zwanego przez niektórych don Gitano<sup>31</sup>. Jak niosła wieść, otwarcie placówki stało się możliwe jedynie dzięki życzliwemu poparciu Beigbedera, który co prawda niewiele już wówczas znaczył, ale skorzystał z okazji, by przed dymisją pokazać, że jako minister jeszcze ma coś do powiedzenia. Z pozoru instytut był centrum kultury, w którym udzielano lekcji języka angielskiego oraz organizowano wykłady, spotkania i wszelkiego rodzaju imprezy o charakterze bardziej towarzyskim niż intelektualnym. W istocie jednak stał się przykrywką dla brytyjskiej maszyny propagandowej, znacznie mniej topornej od niemieckiej agitacji.

Tak upłynęła zima, pracowita i pełna napięć, ciężka dla ludzi i dla państw. I nagle, niemal niepostrzeżenie, nadeszła wiosna. A wraz nią kolejne zaproszenie od ojca, na otwarcie sezonu w hipodromie La Zarzuela.

Kiedy byłam jeszcze uczennicą w zakładzie doñi Manueli, klientki bez przerwy opowiadały o wyścigach konnych. Prawdopodobnie niewiele z nich interesowało się gonitwami, ale w pewien sposób brały w nich udział na równi z końmi, współzawodnicząc ze sobą w elegancji. Stary tor znajdował się wówczas na końcu alei La Castellana i był miejscem spotkań towarzyskich wielkiej burżuazji, arystokracji, a nawet rodziny królewskiej, gdy na trybunach zasiadał Alfons XIII. Na krótko przed wojną rozpoczęto budowę nowego. Teraz, po blisko dwóch latach pokoju, nieukończony jeszcze hipodrom otwierał swe podwoje na wzgórzu El Pardo.

Niecierpliwie oczekiwana inauguracja od tygodni nie schodziła z pierwszych stron gazet i była stałym tematem rozmów. Ojciec przyjechał po mnie samochodem, lubił sam prowadzić. Po drodze opowiadał, jak powstała oryginalna konstrukcja falistego dachu. Ja zaś odwzajemniłam mu się wspomnieniami z tetuańskiej Hipiki oraz opisem wspaniałego orszaku kalifa przejeżdżającego konno przez plac Hiszpański z pałacu do meczetu, w każdy piątek. Oboje byliśmy tak zajęci rozmową, że nawet nie wspomniałam o tym, iż wieczorem miałam się jeszcze z kimś spotkać. A kiedy wreszcie zajęliśmy miejsca na trybunie, zrozumiałam, że przyjąwszy owo niewinne z pozoru zaproszenie, weszłam prosto w paszczę lwa.

## 47

Ludzie tłoczyli się przy kasach, stojąc w długich na kilkadziesiąt metrów kolejkach po kupony. Na kamiennych stopniach trybun i w pobliżu torów kłębił się rozgorączkowany, gwarny tłum. Tymczasem garstka uprzywilejowanych szczęśliwców zajmujących numerowane miejsca rozpierała się w wygodnych krzesłach, obsługiwana przez wyfraczonych kelnerów.

Gdy dotarliśmy do naszej łoży, serce we mnie zamarło, jakby ścisnęły je żelazne kleszcze. Potrzebowałam zaledwie kilku sekund, by ocenić absurd sytuacji, w jakiej się znalazłam: garstka Hiszpanów ginęła niemal w licznej grupie Anglików, kobiet i mężczyzn, którzy z kieliszkami w ręku, paląc, pijąc i gawędząc w swoim języku, uzbrojeni w lornetki czekali, aż bomba pójdzie w górę. A żeby nie było najmniejszej

wątpliwości, kim są i skąd pochodzą, siedzieli w cieniu rozpiętej nad trybuną brytyjskiej flagi.

Miałam ochotę zapaść się pod ziemię, ale najgorsze było jeszcze przede mną. Prawdziwy szok przeżyłam dopiero wówczas, kiedy przesunęłam się kilka metrów w głąb i spojrzałam w lewo. W sąsiedniej loży, jeszcze prawie pustej, powiewały na wietrze trzy jednakowe sztandary: na czerwonym tle białe koło, a w nim czarna swastyka. Łoża niemiecka, oddzielona od naszej niziutkim, niespełna metrowym murkiem, czekała na swoich gości. Na razie było tam jedynie paru wartowników przy furtce i kilku kelnerów krzątających się przy stoliku z poczęstunkiem. Wziąwszy pod uwagę ich pośpiech oraz późną już godzinę, nie wątpiłam, że i ta trybuna niebawem się zapełni.

Zanim uspokoiliam się na tyle, by odzyskać zdolność myślenia i podjąć decyzję o natychmiastowym odwrocie, Gonzalo wyjaśnił mi dyskretnym szeptem, kim są owi tak licznie zgromadzeni poddani Jego Królewskiej Mości.

– Zapomniałem ci powiedzieć, że spotkamy się z moimi starymi przyjaciółmi, z którymi od dawna się nie widziałem. To Anglicy, inżynierowie górnictwa z kopalni w Río Tinto, przyjechali tu z Gibraltaru. Sądzę, że będzie też sporo ludzi z ambasady. Wszyscy z entuzjazmem powitali otwarcie hipodromu. Wiesz przecież, jak na Wyspach kochają konie...

Nie wiedziałam i wcale mnie to nie obchodziło: miałam w tej chwili sprawy pilniejsze niż sportowe zainteresowania wyspiarzy. Na przykład uciec od nich jak od zarazy. Wciąż brzmiały mi w uszach słowa Hillgartha, wypowiedziane w

Poselstwie Amerykańskim w Tangerze: zero kontaktów z Anglikami. A tym bardziej – powinien był dodać – pod nosem Niemców. Znajomi ojca spostrzegli naszą obecność i zaczęły się serdeczne powitania, na które Gonzalo, old boy, odpowiadał wylewnie, a ja półsłówkami, usiłując ukryć zdenerwowanie za uśmiechem tyleż wątłym, co fałszywym, podczas gdy w myślach szacowałam możliwe rozmiary katastrofy. I tak, ściskając anonimowe ręce, rzucałam wkoło niespokojne spojrzenia i w panice szukałam jakiejś szpary, przez którą mogłabym się ulotnić niepostrzeżenie. Marne szanse. Bardzo marne. Po lewej miałam obwieszoną sztandarami niemiecką trybunę. Po prawej wszystkie miejsca zajęła grupka brzuchatych indywiduów, trzymających w upierścienionych palcach cygara, wielkie niczym torpedy. Panom towarzyszyły kobiety o tlenionych włosach i wargach czerwonych jak maki. Dla żadnej z nich nie uszyłam w moim atelier nawet chusteczki. Odwróciłam wzrok: nie interesowali mnie spekulanci i ich wystrzałowe flamy.

Osaczona z lewej i z prawej, z przodu odcięta od świata zawieszoną w próżni barierką, miałam już tylko jedno wyjście: uciec tą samą drogą, którą przyszłam, chociaż wiedziałam, że to zwykle szaleństwo. Z trybun można się było wydostać szeroką, brukowaną czerwoną kostką alejką szerokości niespełna trzech metrów. Gdybym postanowiła wycofać się tamtędy, musiałabym stanąć twarzą w twarz z Niemcami, a wówczas z pewnością natknęłabym się na moje germańskie klientki, których naiwne usta raczyły mnie smakowitymi kąskami informacji, zbieranych przeze mnie z bezpiecznie obłudnym

uśmiechem i przekazywanych tajnym służbom wrogiego mocarstwa; klientki, z którymi powinnam się przywitać i które bez wątpienia zaczną się zastanawiać podejrzliwie, co tu robi ich marokańska *couturier* i dlaczego z duszą na ramieniu wymyka się z łoży pełnej Anglików.

Nie wiedząc, co począć, zostawiłam rozdającego uściski Gonzala i przycupnęłam w najciemniejszym kącie trybuny, z głową wciśniętą w ramiona i twarzą ukrytą w klapach żakietu, usiłując – o złudna nadziejo – pozostać niezauważona w miejscu niemal zewsząd odkrytym, gdzie doprawdy nie było gdzie się schować.

– Źle się czujesz? Jesteś taka blada – powiedział ojciec, podając mi kieliszek z owocowym koktajlem.

– Zakręciło mi się w głowie, za chwilę minie – skłamałam.

Gdyby w gamie kolorów istniało coś ciemniejszego od czerni, taką właśnie barwą można by opisać mój humor w chwili, gdy w niemieckiej łoży zaczął się ruch. Kątem oka dostrzegłam najpierw oddział żołnierzy. Za nimi nadszedł barczysty sierżant, wydając rozkazy, wskazując coś ręką i spoglądając z lekceważeniem na łożę pełną Anglików. Potem zjawili się oficerowie w czapkach z daszkiem, lśniących butach i z nieodłącznymi opaskami ze swastyką. Nawet nie zaszczycili nas spojrzeniem – sztywno wyprostowani, wyniośli, dalecy, całą swoją postawą wyrażali pogardę dla sąsiadów z trybuny. Po chwili dołączyło do nich kilku osobników w garniturach, a ja z dreszczem przerażenia spostrzegłam wśród nich znajome twarze. Prawdopodobnie i wojskowi, i cywile przybyli tu w jakimś sobie tylko znanym celu i dlatego wszyscy zjawili się

niemal jednocześnie, w zorganizowanych grupach, akurat na czas, by obejrzeć pierwszą gonitwę. Na razie byli tam sami mężczyźni; łudziłam się myślą, że nie zabrali ze sobą żon.

Napięcie na trybunach rosło z minuty na minutę, proporcjonalnie do mojego strachu. Brytyjczyków jeszcze przybyło, lornetki krążyły z rąk do rąk, a w rozmowie równie często jak *turf*, *paddock* i *jockeys* pojawiały się bombardowania Londynu, ostatnie radiowe przemówienie Churchilla oraz inwazja na Jugosławię. I w tym momencie go zobaczyłam. Zobaczyłam go i on mnie zobaczył. Nagle poczułam, że brak mi tchu. Kapitan Alan Hillgarth wchodził właśnie do loży, prowadząc pod rękę elegancką blondynkę, prawdopodobnie żonę. Zatrzymał na mnie wzrok nie dłużej niż przez ułamek sekundy, po czym, tłumiąc błysk popłochu w źrenicach, czego nie dostrzegł chyba nikt poza mną, przeniósł spojrzenie na niemiecką lożę, do której, kropla po kropli, wciąż płynął nieprzerwany strumyk ludzi.

Wstałam i odwróciłam się, żeby uniknąć spotkania twarzą w twarz. Byłam w pułapce, przekonana, że już nie ma dla mnie ratunku. Nie mogłabym przewidzieć bardziej żalostnego końca mojej krótkiej kariery agentki brytyjskiego wywiadu: za chwilę zostanę zdemaskowana, publicznie, na oczach mojego ojca, klientek i szefa. Uchwyciłam się barierki, z całej siły zaciskając palce na poręczy, przeklinając w duchu ów feralny dzień i własną głupotę: obym nigdy nie wyjechała z Maroka, obym nigdy nie zgodziła się na tę idiotyczną propozycję, która zrobiła ze mnie nieudolnego szpiega i naiwną konspiratorkę. Bomba poszła w górę, konie ruszyły z kopyta, a powietrze rozdarł



wrzask podnieconych widzów. Udawałam, że śledzę wyścig, ale moje myśli galopowały innym torem. Byłam pewna, że Niemki już wchodzi do łoża, i udzieliła mi się panika Hillgartha, który w obliczu ewidentnej wpadki gorączkowo szukał wyjścia z sytuacji. I wówczas, niby grom z jasnego nieba, ukazało mi się rozwiązanie w postaci dwóch znudzonych ratowników Czerwonego Krzyża, podpierających ścianę w beczynnym oczekiwaniu na jakiś wypadek. Skoro nie mogę wyjść na własnych nogach, niech mnie stąd wyniosą.

Pretekstem mogły stać się chwilowe emocje lub zmęczenie wielomiesięczną pracą, może nerwy, może stres, to nieistotne, po prostu zadziałał zwykły instynkt samozachowawczy. Wybrałam stosowne miejsce: prawy skraj trybuny, jak najdalej od Niemców. Dokładnie wyliczyłam czas: kilka sekund po zakończeniu pierwszej gonitwy, kiedy wszędzie zapanowała niesłychana wrzawa, w której okrzyki zadowolenia mieszały się z jękami zawodu. W przewidzianym momencie osunęłam się bezwładnie na ziemię, odwracając głowę, żeby włosy zakryły mi twarz, na wypadek gdyby czyjeś ciekawe spojrzenie z sąsiedniej łoży przedarło się przez gąszcz nóg, który otoczył mnie w jednej chwili. Leżałam nieruchomo, z zamkniętymi oczami; słuch za to miałam wyostrzony, łowiąc chciwie każdy dźwięk, każdy głos. Omdlenie, powietrze, Gonzalo, szybko, puls, wody, więcej powietrza, szybko, szybko, już idą, apteczka, i jeszcze jakieś angielskie słowa, których nie rozumiałam.

Ratownicy nadbiegli po paru minutach. Położyli mnie na noszach i przykryli po szyję kocem. Raz, dwa, trzy, w górę i poczułam, że mnie podnoszą.

– Idę z panem – usłyszałam głos Hillgartha. – Może wezwać lekarza z ambasady?

– Dziękuję, Alan – odpowiedział ojciec. – To chyba nic poważnego, po prostu zemdląła. Chodźmy do infirmerii, potem zobaczymy.

Sanitariusze, dźwigając mnie na noszach, szybkim krokiem szli przez tunel, który prowadził do wyjścia; za nimi mój ojciec, Alan Hillgarth i paru nieznanym mi Anglików – przyjaciół, a może podwładnych attaché marynarki. Chociaż przed opuszczeniem łoża zadbałam o to, by przynajmniej częściowo zasłonić twarz włosami, Hillgarth stanowczym ruchem zakrył mi głowę kocem. Nic nie widziałam, ale wyraźnie słyszałam wszystko, co się działo potem.

Z początku nie natknęliśmy się na nikogo, jednak w połowie drogi sytuacja się zmieniła. Sprawdziły się moje najgorsze przeczucia. Najpierw usłyszałam kroki i męskie głosy mówiące coś po niemiecku. *Schnell, schnell, die haben bereits begonnen.* Niemcy podążali w przeciwnym do nas kierunku, w pośpiechu, prawie biegiem. Po stukocie butów domyśliłam się, że to żołnierze; pewność siebie i butny ton wskazywały na oficerów. Zdawało mi się, że widok attaché marynarki z wrogiej ambasady, eskortującego nosze z ciałem zasłoniętym kocem, powinien wzbudzić ich czujność, ale nawet się nie zatrzymali; wymienili kilka zdawkowych, szorstkich powitań, po czym ruszyli dalej, zmierzając ku łożu przyległej do tej, z której przed chwilą wyszliśmy. Nie minęło nawet kilka sekund, gdy do moich uszu dotarło stukanie damskich obcasików i kobiece głosy, zbliżające się nieubłaganie, głośnie i władcze. Onieśmieleni,

spłoszeni sanitariusze przystanęli i usunęli się pod ścianę, żeby zrobić przejście; prawie się o nas otarły. Serce waliło mi jak młotem, wstrzymałam oddech, dopóki nie usłyszałam, że się oddalają. Nie rozpoznałam głosu żadnej z nich, nie potrafiłam też określić, ile ich dokładnie było, ale obliczyłam, że co najmniej pół tuzina: sześć Niemek albo siedem, albo jeszcze więcej. Prawdopodobnie część ich była moimi klientkami – zawsze wybierającymi najdroższe tkaniny, za które płaciły nie tylko pieniędzmi, ale i najświeższymi, gorącymi informacjami.

Parę minut później, kiedy umilkły głosy i hałasy, doszłam do wniosku, iż niebezpieczeństwo minęło, udałam więc, że odzyskuję przytomność. Powiedziałam kilka słów, zapewniając, że już mi lepiej. Dotarliśmy do infirmerii. Hillgarth i Gonzalo odprawili sanitariuszy i towarzyszących nam Anglików: tym drugim attaché marynarki wydał parę krótkich poleceń w swoim języku, tym pierwszym mój ojciec wręczył suty napiwek i paczkę papierosów.

– Dzięki, Alan, teraz już sam się nią zajmę – powiedział, kiedy zostaliśmy tylko we troje; sprawdził mi puls i dodał: – Sądzę, że nie ma potrzeby wzywać lekarza. Spróbuję podjechać tu samochodem i zabiorę ją do domu.

Spostrzegłam, że Hillgarth zawahał się na mgnienie oka.

– Zgoda – odrzekł. – Zostanę przy niej, dopóki pan nie wróci.

Leżałam bez ruchu, dopóki nie upewniłam się, że ojciec odszedł już dostatecznie daleko. Wówczas zebrałam się na odwagę i wstałam.

– Nic pani nie jest, prawda? – odezwał się Hillgarth, patrząc na mnie surowo.

Mogłam odpowiedzieć, że jestem słaba i zamroczona; mogłam udawać, że jeszcze nie przyszedłam do siebie po owym rzekomym omdleniu. Wiedziałam jednak, że mi nie uwierzy. I słusznie.

– Nic a nic – odparłam.

– On wie? – zapytał.

– Nie.

– To niech tak zostanie. Jak będzie pani stąd wyjeżdżać, proszę zakryć twarz i skulić się na tylnym siedzeniu. Kiedy już będziecie na miejscu, niech się pani upewni, że nikt was nie śledził.

– Nie ma sprawy. Coś jeszcze?

– Proszę przyjść do mnie jutro. W tym samym miejscu i o tej samej porze co zawsze.

## 48

– To był mistrzowski ruch – powiedział na powitanie.

Uznałam to za komplement, choć wyraz twarzy Hillgartha daleki był od zadowolenia. Spotkaliśmy się w gabinecie doktora Rico, podobnie jak kilka miesięcy temu, po dymisji Beigbedera.

– Przykro mi, ale nie miałam wyboru – powiedziałam, siadając na krześle. – Skąd mogłam wiedzieć, że ojciec zaprosi mnie do angielskiej łoży i że Niemcy będą siedzieć tuż obok.

– Rozumiem. Zareagowała pani doskonale. Zimno i bez emocji. Ale ryzyko było ogromne, a jego skutki nieobliczalne. Niepotrzebnie się pani narażała. Sytuacja jest trudna, nie możemy sobie pozwalać na taką lekkomyślność.

– Ma pan na myśli sytuację ogólną czy moją własną? – wymknęło mi się niezbyt grzecznie.

– I jedno, i drugie – uciął krótko. – Nie chcielibyśmy ingerować w pani życie osobiste, lecz w obliczu tego, co wczoraj zaszło, czuję się zmuszony coś pani uświadomić...

– Gonzalo Alvarado – podsunęłam, nie czekając, aż skończy.

Nie od razu odpowiedział; długo i z namaszczaniem zapalał papierosa.

– Właśnie, Gonzalo Alvarado – odparł, zaciągnąwszy się dymem. – Wczoraj to nie było odosobnione zdarzenie. Wiemy, że od jakiegoś czasu dość często widuje się państwa razem w miejscach publicznych.

– Jeżeli to pana interesuje, chciałabym od razu wyjaśnić, że nie łączy mnie z nim żaden romans. Poza tym mówiłam wczoraj, że Gonzalo nie ma pojęcia o tym, co robię.

– Natura waszych wzajemnych relacji jest pani prywatną sprawą.

– Więc?

– Proszę nie traktować tego jako impertynencję i wtrącanie się w osobiste sprawy, ale musi pani zrozumieć, że sytuacja stała się wyjątkowo napięta. Uznaliśmy, że powinienem panią ostrzec. – Wstał, zrobił kilka kroków, tam i z powrotem. Z rękami w kieszeniach i wzrokiem wbitym w kafle posadzki mówił dalej, nie patrząc mi w oczy: – W zeszłym tygodniu dowiedzieliśmy się, że istnieje aktywna grupa hiszpańskich konfidentów kolaborujących z Niemcami przy sporządzaniu kartoteki tutejszych germanofilów i zwolenników aliantów.

Zbierają dane o wszystkich Hiszpanach, którzy w jawny sposób sprzyjają jednej lub drugiej stronie.

– I przypuszczacie, że ja też mam u nich kartotekę...

– Nie przypuszczamy. My to wiemy – powiedział, przewiercając mnie spojrzeniem na wylot. – Mamy w ich szeregach agentów, którzy donieśli nam, że figuruje pani wśród germanofilów. Na razie, co było do przewidzenia, karta jest czysta: ma pani wiele klientek związanych z wysoko postawionymi nazistami, szyje dla nich piękne stroje, a te kobiety nie tylko pani płacą, ale również ufają, i to tak bardzo, że w atelier beztrósco gawędzą o sprawach, o których w ogóle nie powinny mówić, a pani treść tych rozmów przekazuje nam.

– Ale co ma do tego Alvarado?

– On też ma kartotekę, lecz figuruje po przeciwnej stronie, na liście osób życzliwych Brytyjczykom. Dostaliśmy wiadomość, że władze niemieckie nakazały ścisłą inwigilację obywateli hiszpańskich o proaliantkim nastawieniu, zwłaszcza bankierów, przemysłowców, ludzi wolnych zawodów... osób wpływowych i znamienitych, gotowych poprzeć naszą sprawę.

– Wie pan zapewne, że po wojnie Gonzalo wycofał się z interesów? – wtrąciłam.

– Nieważne. Utrzymuje bliskie stosunki z tutejszą kolonią brytyjską i ludźmi z ambasady. Często się z nimi spotyka. Czasami nawet ze mną, jak sama mogła się pani wczoraj przekonać. Jest wybitnym ekspertem w dziedzinie hiszpańskiego przemysłu, więc doradza nam bezinteresownie w niektórych sprawach. Jednak w odróżnieniu od pani nie jest tajnym agentem, tylko zwykłym przyjacielem narodu

brytyjskiego, nieukrywającym przed nikim swoich sympatii. Dlatego też, jeżeli nadal będzie się z nim pani widywać, może się to wydać podejrzanym. Prawdę mówiąc, już krążą plotki.

– Jakże? – zapytałam wyzywająco.

– A takie, że co, u licha, osoba mająca tak bliskie kontakty z żonami niemieckich dygnitarzy robi w towarzystwie poplecznika Anglików – odpowiedział, waląc pięścią w stół; opamiętał się jednak zaraz i dodał łagodniejszym tonem: – Przepraszam, ale ostatnio wszystkim nam puszczają nerwy. Wiem, że nie orientowała się pani w sytuacji i nie mogła przewidzieć ryzyka. Ale proszę mi zaufać, kiedy mówię, że Niemcy planują kampanię skierowaną przeciwko brytyjskiej propagandzie w Hiszpanii. Ten kraj jest kluczowy dla całej Europy, a w każdej chwili może się przyłączyć do wojny. Rząd zresztą jawnie i bezczelnie wspomaga państwa Osi: udostępnia im porty, zezwala do woli eksploatować kopalnie, a więźniowie polityczni pracują jako darmowa siła robocza przy konstrukcjach militarnych, które mogą w przyszłości ułatwić niemiecki atak na Gibraltar.

Zamilkł i starannie, w skupieniu zgasił papierosa.

– Krótko mówiąc, sytuacja jest wybitnie niekorzystna, a my nie chcemy jej pogarszać – powiedział powoli. – Od kilku miesięcy gestapo nęka i zastrasza ludzi. Ta akcja zaczyna już przynosić owoce: na przykład pani przyjaciółka Rosalinda Fox musiała przez nich opuścić Hiszpanię. A takich przypadków było niestety więcej. Nie szukając daleko, poprzedni lekarz naszej ambasady, mój serdeczny przyjaciel. A odtąd będzie

coraz gorzej. Działania niemieckie staną się bardziej agresywne, bardziej konkretne. Groźniejsze.

Nie odpowiadałam, patrzyłam na niego w milczeniu, czekając, aż skończy.

– Nie wiem, czy jest pani w pełni świadoma tego, na co się naraża – dodał cicho. – Arish Agoriuq stała się osobą bardzo popularną w kręgach madryckich Niemek, ale jeśli dostrzegą w jej zachowaniu cokolwiek podejrzanego, jak omal nie zdarzyło się wczoraj, może znaleźć się nagle w sytuacji wysoce niepożądaney. I dla pani, i dla nas.

Wstałam i zrobiłam kilka kroków w stronę okna, ale nie miałam odwagi podejść bliżej. Odwrócona tyłem do Hillgartha, zerknęłam z daleka przez szybę. Gałęzie drzew, gęsto obrosnięte liśćmi, sięgały do wysokości pierwszego piętra. Słońce jeszcze świeciło, dni były już dłuższe. Zastanowiłam się nad tym, co przed chwilą usłyszałam. Chociaż Hillgarth odmalował moje perspektywy w czarnych barwach, wcale się nie bałam.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zakończymy naszą współpracę – powiedziałam, nie patrząc na niego. – Unikniemy kłopotów i będziemy mieć święty spokój. Pan, ja, wszyscy.

– Nie ma mowy – usłyszałam za plecami stanowczą odpowiedź. – To były tylko ostrzeżenia i wskazówki na przyszłość. Nie wątpię, że potrafi się pani do nich dostosować. Pod żadnym pozorem nie chcemy pani stracić, zwłaszcza teraz, kiedy czeka panią nowe zadanie.

– Słucham? – zapytałam zdumiona, odwracając się gwałtownie.



– Mamy dla pani kolejną misję. Zwrócono się do nas bezpośrednio z Londynu. Z początku braliśmy pod uwagę inne możliwości, ale po wczorajszych wydarzeniach postanowiliśmy powierzyć ją pani. Czy pani pomocnica poradzi sobie sama w atelier przez kilka tygodni?

– Cóż... nie wiem... może... – wyjąkałam.

– Na pewno. Proszę rozpuścić wśród swoich klientek pogłoski, że nie będzie pani przez jakiś czas.

– A jak zapytają, dokąd wyjeżdżam?

– Nie musi pani kłamać. Proszę im powiedzieć, że ma pani coś do załatwienia w Lizbonie.

## 49

Ekspres Luzytania przywiózł mnie na stację Santa Apolonia w majowy poranek. Miałam ze sobą dwie ogromne walizy z najlepszymi ubraniami, garść dokładnych instrukcji oraz niewidzialny bagaż tupetu i ufności we własne siły. Miałam nadzieję, że to wystarczy, by dać sobie radę.

Długo się wahałam, czy przyjąć tę misję. Zastanawiałam się, rozważałam i oceniałam różne możliwości. Wiedziałam, że decyzja jest w moich rękach, tylko ja mogłam wybrać, czy dalej brnąć w niespokojne, pełne zamętu życie, czy rzucić to wszystko i powrócić do normalności.

To drugie prawdopodobnie byłoby najrozsądniejsze. Miałam już dość oszukiwania, dość nieszczerości, dość wypełniania cudzych rozkazów, dość życia w ciągłym napięciu. Tuż przed trzydziestką stałam się pozbawioną skrupułów oszustką, a moja dotychczasowa historia była jednym pasmem uników, masek i

kłamstw. Pod koniec dnia opadał ze mnie pył światowego blichtru, by odsłonić – co kilka miesięcy temu tak usłużnie przypomniiał mi Ignacio – samotną, podobną do zjawy istotę, blakającą się w ciemnościach po domu pełnym duchów przeszłości. Kiedy wyszłam ze spotkania z Hillgarthem, ogarnęło mnie dławiące poczucie wrogości do niego i ludzi, którzy za nim stoją. Zostałam przez nich wplątana w cudzą, mroczną awanturę, która rzekomo miała się okazać korzystna dla mojej ojczyzny, ale czas mijał i nic się nie zmieniało na lepsze, a obawa przed tym, że Hiszpania przystąpi do wojny, wciąż wisiała w powietrzu, wyczuwalna na każdym rogu ulicy. A przecież dostosowałam się do ich wymagań, nie stawiając żadnych warunków i skrupulatnie przestrzegając zaleceń. Zmusili mnie, żebym zdradziła swoich bliskich i swoją przeszłość; przez nich stałam się nieczułą egoistką, mieszkającą w jakimś nierzeczywistym Madrycie. Przez nich musiałam przeżywać rozterki, niepewność i strach, bezsenne noce, niezliczone godziny przerażenia i lęku. A teraz żądają, żebym zerwała kontakty z ojcem, jedyną osobą, która rozświetlała ciemności upływających dni.

Mogłam jeszcze odmówić, zbuntować się, wykrzyknąć im prosto w twarz, że mam tego dość. Niech diabli porwą wszystkie tajne służby i ich głupie wymagania. Niech diabli porwą kobiety nazistów i ich dziwne życie. Koniec z podsłuchiwaniami w przymierzalni, z szyfrowaniem meldunków na wykrojach. Nie obchodzi mnie, kto wygra w tej cudzej wojnie. Niech sobie Niemcy najeżdżają Wielką Brytanię i zjadają dzieci na surowo, niech Anglicy bombardują Berlin, aż

będzie płaski jak deska do prasowania. To nie mój świat i niech go piekło pochłonie. Na zawsze.

Rzucić to wszystko i powrócić do normalności. Tak byłoby z pewnością najlepiej. Problem w tym, że już nie wiedziałam, gdzie ta normalność jest. Na zapamiętanej z dzieciństwa ulicy Redondilla, wśród dawnych koleżanek, które walczyły teraz, by utrzymać się na powierzchni po przegranej wojnie? Zabrał ją ze sobą Ignacio Montes w dniu, w którym z nową maszyną do pisania i sercem pękniętym na pół odszedł z mojego placyku? A może skradł mi ją Ramiro Arribas, kiedy opuścił mnie w hotelu Continental samą, brzemienną, bez grosza przy duszy? Czy normalność została w Tetuanie z dawnych lat, wśród smętnych pensjonariuszy Candelarii, czy też roztrwoniłyśmy ją obie w podejrzanym transakcjach, dzięki którym wreszcie wyszłyśmy na swoje? Zostawiłam ją w domu przy Sidi Mantri, nawiniętą na szpulki w atelier, które z taki trudem urządziłam? Może przywłaszczył ją sobie Félix Aranda w jakąś deszczową noc albo zabrała Rosalinda Fox, kiedy wyszła z baru Deana, by rozplynać się jak cień w krętych uliczkach Tangeru? Czy normalność jest tam, gdzie moja matka, pochylona w milczeniu nad szyciem w skwarne afrykańskie popołudnia? Zniszczył ją zdjęty z urzędu i aresztowany minister czy wywiózł gdzieś dziennikarz, którego nie miałam odwagi pokochać? Gdzie jest, kiedy ją straciłam, co się z nią stało? Szukałam jej wszędzie: w kieszeniach, w szafach i szufladach; w zaszewkach, plisach i szwach. Nie znalazłam. Tamtej nocy zasnęłam bez niej.

Obudziwszy się nazajutrz, doznałam olśnienia. Otworzyłam oczy i nagle ją poczułam: tuż obok, przy mnie, wszystkimi

porami skóry. Próżno szukałam jej w minionych dniach. Normalność jest tym, co los daje nam każdego ranka. W Maroku, w Hiszpanii i w Portugalii, w krawieckim atelier i w służbie brytyjskiego wywiadu – wszędzie tam, gdzie poprowadzę ścieg swojego życia, pracowicie wkłuwając igłę, tam będzie i ona, moja normalność. W cieniu pod palmami, na pachnącym miętą placu, w salonach skąpanych blaskiem kryształowych żyrandoli i w burzliwych odmętach wojny. Normalność ma taki kształt, jaki nada jej moja wolna wola, moje poczucie obowiązku i moje słowo. I dlatego zawsze będzie ze mną. Szukanie jej gdzie indziej, pragnienie, by ją odzyskać z przeszłości, nie ma najmniejszego sensu.

Tamtego popołudnia udałam się do Embassy ze spokojną głową i jasnym umysłem. Odnalazłam wzrokiem Hillgartha, który gawędząc z dwoma oficerami, sączył drinka przy barze. Swobodnym ruchem ostentacyjnie upuściłam torebkę. Wieczorem otrzymałam pierwszy rozkaz dotyczący nowej misji: następnego dnia zgłosić się na wizytę u kosmetyczki w tym samym salonie piękności co zawsze. Pięć dni później wysiadłam z pociągu w Lizbonie.

Zeszłam z peronu we wzorzystej sukni z lekkiego jak mgiełka jedwabiu, białych rękawiczkach i wielkim słomkowym kapeluszu: delikatny powiew *glamour* wśród poczerniałych od węgla lokomotyw, unoszących się w powietrzu płatków sadzy i szarego pośpiechu podróżnych. Przed dworcem czekał samochód, który miał mnie zawieźć do Estoril.

Jechaliśmy uliczkami Lizbony pełnej wiatru i światła, kwiatów, *azulejos* i straganów uginających się pod ciężarem

świeżych owoców i warzyw. Miasta bez zasłanych gruzem placów i obdartych żebraków; bez dziur po pociskach, bez rąk wzniesionych w faszystowskim pozdrowieniu, bez nabazgranych na murach szubienic i pęków strzał. Mijaliśmy eleganckie dzielnice o szerokich kamiennych chodnikach i magnackie pałace strzeżone przez pomniki królów i żeglarzy; błąkaliśmy się po krętych, pachnących sardynkami zaułkach, pod oknami, w których kwitły czerwone pelargonie. Zachwycił mnie majestat Tagu, tęskny dźwięk portowych syren i hałaśliwe tramwaje. Zachwyciła mnie Lizbona, miasto ani pokoju, ani wojny, nerwowe, gwarne, tętniące życiem.

Zostawiliśmy za sobą zabytkową Alcantarę i Belem. Fale z furją uderzały o brzeg, gdy sunęliśmy po Estrada Marginal. Po prawej stronie wznosiły się stylowe wille za kutymi ogrodzeniami, niknącymi w gęstwie ukwieconych pnączy. Wszystko wydawało mi się tu inne: bardziej kolorowe, bardziej jaskrawe, ale pozory mogły mylić. Uprzedzano mnie: i w malowniczej Lizbonie, którą jeszcze przed chwilą podziwiałam z okna samochodu, i w Estoril, do którego właśnie dojeżdżaliśmy, roiło się od szpiegów. Plotka stała się chodliwym towarem, a każdy, kto miał dwoje uszu, był potencjalnym konfidentem: od najwyższych urzędników licznych ambasad po kelnerów, przekupniów, pokojówki i taksówkarzy. „Proszę zachować wyjątkową ostrożność” – przestrzegano mnie w instrukcjach.

Zarezerwowano mi pokój w Do Parque, luksusowym hotelu, gdzie zatrzymywali się przeważnie obcokrajowcy, częściej Niemcy niż Anglicy. W pobliskim Palacio sytuacja przedstawiała

się zgoła odwrotnie. A wieczorami, w kasynie, wszyscy spotykali się pod jednym dachem. Portugalia, przynajmniej teoretycznie, była krajem neutralnym, a hazard nie zna się na wojnie. Zajechaliśmy przed główne wejście. W jednej chwili zmaterializował się przed nami pikolak w hotelowym uniformie i z ukłonem otworzył przede mną drzwi; inny pobiegł po walizki. Weszłam do holu, jakbym stąpała po miękkim kobiercu beztroskiej pewności siebie. Zdjęłam ciemne okulary, za którymi kryłam się od chwili, gdy wysiadłam z pociągu. Omiotłam imponującą recepcję spojrzeniem pełnym wystudiowanej wzgardy. Nie zrobiły na mnie wrażenia lśniące marmury, dywany, aksamity ani kolumny wspierające wyniosłe sklepienie, godne gotyckich katedr. Nie zaszczyciłam uwagą eleganckich gości, którzy siedzieli samotnie lub grupkami: rozmawiając, czytając gazety, popijając koktajle lub przyglądając się innym. Reakcję na ów blichtr i światowy szyk wyćwiczyłam już do perfekcji. Zdecydowanym krokiem ruszyłam w stronę recepcji, żeby się zameldować.

Zjadłam obiad w hotelowej restauracji, a potem przez kilka godzin leżałam w pokoju, patrząc w sufit. Za piętnaście szósta z zamyślenia wyrwał mnie dźwięk telefonu. Oczekałam, aż zadzwoni trzy razy, przełknęłam ślinę, podniosłam słuchawkę i odebrałam. I wtedy się zaczęło.

## 50

Instrukcje otrzymałam już dawno, w Madrycie, drogą dość niekonwencjonalną. Po raz pierwszy przekazał mi je nie Hillgarth, lecz osoba przez niego upoważniona. Kosmetyczka z

salonu fryzjerskiego, w którym bywałam regularnie raz w tygodniu, zaprowadziła mnie do jednego z oddalonych od wejścia gabinetów. Dwa fotele stały puste; trzeci, po prawej, był rozłożony niemal poziomo i zajęty przez klientkę, której rysów nie mogłam dostrzec. Na głowie miała turban, ciało, od dekoltu aż po kolana, owinięte ręcznikiem, a twarz pokrytą białą maseczką, spod której widać było tylko usta i oczy. Zamknięte.

Rozebrałam się za parawanem i w identycznym stroju usiadłam na sąsiednim fotelu. Kosmetyczka nacisnęła pedał, obniżyła oparcie, nałożyła mi taką samą maseczkę, po czym wyszła bez słowa, zamykając za sobą drzwi. Dopiero wtedy usłyszałam dobiegający z prawej strony głos.

– Z zadowoleniem przyjęliśmy pani decyzję. Jesteśmy przekonani, że dobrze się pani wywiąże z tej misji.

Mówiła cicho, z silnym angielskim akcentem. Podobnie jak Hillgarth używała liczby mnogiej. Nie przedstawiła mi się.

– Spróbuję – odparłam, zerkając na nią kątem oka.

Usłyszałam trzask zapalniczki. Pokój wypełnił znajomy zapach.

– Londyn zwrócił się do nas o pomoc – ciągnęła. – Podejrzewają, że jeden z naszych portugalskich współpracowników prowadzi podwójną grę. Nie jest agentem, ale utrzymuje bliskie stosunki z ambasadą w Lizbonie i robi interesy z brytyjskimi firmami. Mamy jednak powody podejrzewać, że zaczyna nawiązywać kontakty z Niemcami.

– Jakie kontakty?

– Handlowe. Bardzo korzystne dla Niemiec. Niewykluczone, że mogą doprowadzić do bojkotu naszych towarów. Żywności,

kopalin, broni, tego nie wiemy dokładnie, ale na pewno chodzi o produkty kluczowe dla wojny. Jak już mówiłam, na razie to tylko domysły.

– A ja co miałabym robić?

– Potrzebujemy cudzoziemki, której nikt nie posądzi o sprzyjanie Brytyjczykom. Kogoś, kto pochodzi z kraju neutralnego, nie ma żadnych związków z aliantami i pracuje w branży, która ma coś wspólnego z działalnością handlową tamtego człowieka. Kogoś, kto nie budząc podejrzeń, może pojechać w interesach do Lizbony. Pani świetnie pasuje do tego profilu.

– Czyli mam tam kupować tkaniny albo coś w tym rodzaju? – wtrąciłam, bezskutecznie usiłując się jej przyjrzeć.

– Właśnie. Tkaniny albo coś innego, co jest pani potrzebne do pracy – potwierdziła; wciąż leżała w tej samej pozycji, w której ją zastałam, na wznak, z zamkniętymi oczami. – Uda się tam pani pod przykrywką krawcowej, która chce zdobyć tkaniny niedostępne w zniszczonej wojną Hiszpanii.

– Przecież mogłabym je sprowadzić z Tangeru... – przerwałam.

– Oczywiście – powiedziała, zaciągając się papierosem. – Ale nie musi pani rezygnować z innych możliwości. Na przykład jedwabie z Makau, portugalskiej kolonii w Azji. Nasz podejrzany zajmuje się między innymi importem i eksportem tkanin. Handluje na wielką skalę, tylko z hurtownikami, nie realizuje prywatnych zamówień. Ale panią przyjmie na pewno.

– Jak to?



– Dzięki siatce naszych niejawnych kontaktów. W naszej 474 branży trzeba mieć znajomości wszędzie, ale nie pora wdawać się w szczegóły. Ważne, że przyjedzie pani do Lizbony wolna od jakichkolwiek podejrzeń o związki z Brytyjczykami, a w dodatku zaprotegowana przez niemieckich przyjaciół.

Cała ta sieć niejasnych powiązań przerastała moją wyobraźnię, postanowiłam więc o nic nie pytać, tylko skupić się na zapamiętaniu informacji przekazywanych mi przez nieznajomą.

– Podejrzany nazywa się Manuel da Silva. To zręczny przedsiębiorca, bardzo ustosunkowany, najwyraźniej gotów zbić fortunę na tej wojnie, nawet gdyby musiał zdradzić tych, którzy dotąd byli jego przyjaciółmi. Skontaktuje się z panią i udostępni najlepsze tkaniny, jakie można teraz dostać w Portugalii.

– Mówi po hiszpańsku?

– Płynnie. I po angielsku. I zapewne po niemiecku. Zna wszystkie języki, jakie są mu potrzebne w interesach.

– Czego właściwie ode mnie oczekujecie?

– Proszę się wkraść w jego życie. Niech pani użyje swojego uroku, zdobędzie jego sympatię, spotyka się z nim, bywa na przyjęciach, zwłaszcza tam, gdzie będą obecni Niemcy. Jeżeli uda się pani nawiązać z nimi bliższe stosunki, proszę mieć oczy i uszy otwarte, każda informacja jest cenna: nazwiska, firmy, transakcje, produkty, towary, planowane przedsięwzięcia, wszystko, co wyda się pani interesujące.

– Chce pani powiedzieć, że wysyłacie mnie tam, żebym go uwiodła? – zapytałam z niedowierzaniem, siadając

gwałtownie.

– Proszę użyć wszelkich sposobów, jakie uzna pani za stosowne – odparła, przyjmując moje słowa za dobrą monetę. – Da Silva jest podobno zatwardziałym kawalerem, który nie stroni od flirtów bez zobowiązań. Lubi się pokazywać z pięknymi kobietami, tym chętniej, jeżeli to cudzoziemki. Ale według naszych informacji jest również człowiekiem starej daty, rycerskim i szarmanckim. Taki portugalski błędny rycerz... Proszę się nie obawiać, że posunie się za daleko, o ile sama pani tego nie zechce.

Nie wiedziałam, czy się obrazić, czy roześmiać. Mam uwieść uwodziciela – oto moja podniecająca portugalska misja. Tymczasem po raz pierwszy w trakcie całej naszej rozmowy nieznajoma z sąsiedniego fotela zdawała się czytać w moich myślach.

– Myli się pani, sądząc, że to zwykła frywolna przygoda i że pierwsza lepsza piękność mogłaby się tego podjąć w zamian za plik banknotów. Chodzi wszak o niezwykle delikatne zadanie, a my chcemy je powierzyć pani, ponieważ jesteśmy przekonani, że możemy polegać na pani zdolnościach. Oczywiście uroda, rzekomo egzotyczne pochodzenie oraz fakt, iż jest pani kobietą wolną i niezależną, nie są tu bez znaczenia, ale ta misja wykracza poza pospolity flirt. Chcąc zaskarbić sobie zaufanie Da Silvy, powinna pani starannie zaplanować każdy krok, każdy ruch. Sama będzie pani musiała ocenić sytuację, rozważyć ryzyko i podejmować decyzje stosownie do chwili i okoliczności. Dowiodła nam pani, że potrafi zdobywać informacje, a w razie nieprzewidzianych komplikacji

improwizować i zachować zimną krew. Powtarzam, to nie przypadek, że nasz wybór padł na panią. A wracając do poprzedniego wątku... wszystko zależy od pani. Proszę jednak przeciągać sprawę tak długo, dopóki nie uzyska pani odpowiedzi na nasze pytania. W zasadzie będzie pani robić to samo co w Madrycie.

– Z tą różnicą, że tutaj nie muszę z nikim flirtować ani wkręcać się na cudze spotkania – uściśliłam.

– Zapewne, moja droga, ale to tylko kilka dni. W dodatku to podobno całkiem przystojny mężczyzna. – Zaskoczył mnie ton jej głosu: chłodny, beznamiętny; to nie była lekko rzucona uwaga, lecz stwierdzenie obiektywnego faktu. – I jeszcze coś, to ważne – dodała. – Nie będzie pani miała żadnej ochrony, ponieważ Londyn nie chce, żeby w Lizbonie zaczęto coś podejrzewać. Proszę pamiętać, że nie mamy pewności, czy Da Silva istotnie robi interesy z Niemcami. Potrzebne nam dowody jego domniemanej zdrady. Jak dotąd są to jedynie spekulacje i nie chcemy, żeby stał się nieufny wobec naszych rodaków. Dlatego żaden angielski agent w Portugalii nie dowie się, kim pani jest i co nas z panią łączy. To będzie krótka misja, szybka i czysta, o której wynikach powiadomimy Londyn bezpośrednio z Madrytu. Niech pani jedzie, zbierze konieczne informacje i wraca do domu. Nic więcej.

Odpowiedź przyszła mi z trudem, bo maseczka już zastygła na mur. W końcu udało mi się wymamrotać zeszywniałymi wargami:

– I nic mniej.

W tym momencie otworzyły się drzwi. Weszła kosmetyczka i pochyliła się nad twarzą Angielki. Pracowała dobre dwadzieścia minut, w czasie których nie padło już ani jedno słowo. Kiedy skończyła, zniknęła znowu, a moja nieznajoma instruktorka zaczęła się ubierać za parawanem.

– Wiemy, że ma pani w Lizbonie przyjaciółkę, ale postąpi pani nierozsądnie, próbując się z nią zobaczyć – powiedziała. – Pani Fox zostanie uprzedzona, że gdyby doszło do przypadkowego spotkania, powinna się zachowywać tak, jakbyście się nie znały. Proszę postąpić tak samo.

– Dobrze – mruknęłam półgębkiem, bo wciąż jeszcze nie mogłam poruszać ustami.

Nie byłam zachwycona tym zakazem. Marzyłam, żeby znów się zobaczyć z Rosalindą, ale wiedziałam, że to niemożliwe. Jak nie, to nie. Mówi się trudno.

– Jutro przekazemy pani szczegóły dotyczące podróży, może uzupełnimy jeszcze jakieś informacje. Czas misji został przewidziany na dwa tygodnie. Gdyby z jakiegoś wyjątkowo ważnego powodu musiała ją pani przedłużyć, proszę nadać depezę do kwaciarni Bourguignon i zamówić urodzinową wiązanekę dla jakiejś nieistniejącej przyjaciółki. Niech pani wymyśli nazwisko i adres. Bukietu nie wyślą, ale powiadomią nas, że otrzymali telegram z Lizbony, a my skontaktujemy się z panią.

Drzwi znowu się otworzyły, znów weszła kosmetyczka ze stertą ręczników. Tym razem usiadła przy mnie. Cierpliwie poddawałam się jej zabiegom, usiłując jednocześnie przyjrzeć się kobiecie, która za chwilę miała wyjść z za parawanu. Nie

musiałam długo czekać, ale kiedy wreszcie się pokazała, odwróciła głowę, żebym nie dostrzegła jej twarzy. Zauważyłam, że miała jasne kręcone włosy i typowo angielski tweedowy kostium. Wyciągnęła rękę, żeby podnieść skórzaną torebkę, leżącą na taborecie pod ścianą; torebka wydawała mi się mgliście znajoma. Widziałam ją ostatnio u kogoś, a takich dodatków od dawna nie można było kupić w hiszpańskich sklepach. Nieznajoma sięgnęła po czerwoną paczkę papierosów, porzuconą niedbale na stoliku. I wówczas już wiedziałam, że dama, która paliła craveny A i właśnie wychodziła z gabinetu, żegnając nas zdawkowym „do widzenia”, była żoną kapitana Hillgartha. Po raz pierwszy widziałam ją kilka dni temu idącą pod rękę z mężem, potężnym szefem tajnych służb, który nigdy w życiu nie bał się tak jak wtedy, gdy zobaczył mnie w madryckim hipodromie.

## 51

Manuel da Silva czekał na mnie w hotelowym barze pełnym gości: grupki, par, samotnych mężczyzn. Gdy tylko weszłam przez podwójne drzwi, wiedziałam, że to on. A on wiedział, że to ja.

Szczupły, przystojny, smagły, czarnowłosy, lekko siwiejący na skroniach, ubrany nienagannie w jasny smoking. Zadbane dłonie, aksamitne spojrzenie, eleganckie ruchy. Wygląd i maniery donżuana. Było w nim jednak coś jeszcze: coś, co wyczułam już w chwili, gdy podszedł, żeby się przywitać, gestem ręki zapraszając mnie na ogrodowy taras. Coś, co natychmiast wzbudziło moją czujność. Inteligencja. Spryt.

Stanowczość. Obycie. Żeby oszukać tego człowieka, będę potrzebowała czegoś więcej niż czarujący uśmiech, wdzięczne minki i trzepotanie rzęsami.

– Ogromnie ubolewam, że nie możemy razem zjeść kolacji, ale jak wspomniałem przez telefon, jestem umówiony na ważne spotkanie, już od kilku tygodni – powiedział, szarmancko podsuwając mi krzesło.

– Ależ nic nie szkodzi – odparłam, siadając z udawanym ociąganiem. Szafranowy jedwab delikatnie musnął posadzkę. Wystudiowanym gestem odrzuciłam w tył włosy, które opadły na moje nagie ramiona, i założyłam nogę na nogę, odsłaniając kostkę, stopę i spiczasty czubek pantofelka. Zauważyłam, że Da Silva nie spuszcza ze mnie oka nawet na chwilę. – Poza tym – dodałam – jestem trochę zmęczona po podróży, powinnam położyć się wcześniej.

Kelner postawił na stoliku kubełek z butelką szampana i dwa kieliszki. Taras wychodził na bujnie zarośnięty ogród, pełen drzew i krzewów; ściemniało się, ale przez gęstwą przebijały jeszcze ostatnie promienie słońca. Łagodna bryza przypominała nam, że morze jest tuż. Pachniało kwiatami, francuskimi perfumami, solą i zielenią. Z baru dobiegały dźwięki pianina, a od pobliskich stolików fragmenty rozmów w różnych językach. Wyschnięty, zakurzony Madryt, który opuściłam zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu, wydał mi się nagle ponurym koszmarem przeszłości.

– Muszę pani coś wyznać – powiedział Da Silva, napełniwszy kieliszki.

– Zamieniam się w słuch – odparłam, podnosząc szampana do ust.

– Jest pani pierwszą marokańską kobietą, jaką poznałem. Tutaj aż roi się od cudzoziemców z różnych stron, ale wszyscy pochodzą z Europy.

– Nigdy pan nie był w Maroku?

– Nigdy. I ogromnie tego żałuję, bo jeśli wszystkie Marokanki są podobne do pani...

– To fascynujący kraj i wspaniali ludzie, obawiam się jednak, że niełatwo by pan tam znalazł kobietę taką jak ja. Jestem nietypowa, moja matka jest Hiszpanką. Nie przeszłam na islam, a moim ojczystym językiem nie jest arabski, lecz hiszpański. Ale uwielbiam Maroko. Mam tam rodzinę, dom, przyjaciół... chociaż teraz mieszkam w Madrycie.

Pociągnęłam kolejny łyk z kieliszka, zadowolona, że nie muszę za dużo kłamać. Bezcelne łgarstwa stały się w moim życiu normą, ale czułam się pewniej, jeżeli mogłam ich uniknąć.

– Pan również doskonale mówi po hiszpańsku – zauważyłam.

– Długo pracowałem z Hiszpanami. Mój ojciec przez wiele lat miał wspólnika w Madrycie. Przed wojną, to znaczy przed hiszpańską wojną, często tam jeździłem w interesach. Ostatnio jednak zmieniłem branżę i rzadko bywam w Hiszpanii.

– Czasy nie są najlepsze.

– To zależy – powiedział z lekką ironią. – Pani, jak widać, wiecie się nie najgorzej.

Uśmiechnęłam się, myśląc jednocześnie, co, u diabła, mu o mnie naopowiadali.

- Widzę, że jest pan świetnie poinformowany.
  - Staram się.
  - Cóż, muszę przyznać panu rację: mój interes jakoś się kręci. Zresztą dlatego tu przyjechałam.
  - Żeby kupić piękne tkaniny do nowej kolekcji.
  - Istotnie, taki mam zamiar. Powiedziano mi, że ma pan cudowne chińskie jedwabie.
  - Mam być z panią szczerą? – zapytał z miną spiskowca.
  - Proszę, chętnie posłucham – odparłam, ścisząc głos do konspiracyjnego szeptu.
  - A zatem... tak szczerze mówiąc, nie wiem – wyznał ze śmiechem. – Nie mam bladego pojęcia o jedwabiach z Makau; nie ja się tym zajmuję. Branża tekstylna...
- Podszedł do nas szczupły młody człowiek z cienkim wąsikiem, być może sekretarz Da Silvy. Przeprosił po portugalsku i szepnął mu na ucho kilka słów, których nie mogłam usłyszeć. Udawałam, że zapatrzyłam się w noc zapadającą nad hotelowym ogrodem. Zapłonęły już mleczone kule latarni, w powietrzu wciąż unosiły się dźwięki pianina i ożywione głosy gości. Ale mój umysł nie dał się zwieść owej rajskiej scenerii. Czujnie śledziłam zachowanie obu mężczyzn. Domyślałam się, że owa nieprzewidziana przerwa w rozmowie była dokładnie zaplanowana: gdyby Da Silva nie czuł się dobrze w moim towarzystwie, miałby doskonały pretekst, żeby odejść, usprawiedliwiając się jakąś niecierpiącą zwłoki sprawą. Gdyby jednak stwierdził, że warto poświęcić mi więcej czasu, mógłby po prostu odprawić sekretarza bez słowa wyjaśnienia.
- Na szczęście wybrał to drugie.



– Jak już wspomniałem – podjął, gdy młody człowiek zniknął nam z oczu – nie zajmuję się osobiście sprowadzanymi przez nas tkaninami; znam, co prawda, dane i liczby, ale nie interesuje mnie estetyka, która dla pani jest zapewne najważniejsza.

– Może któryś z pańskich pracowników zechce mi coś doradzić – podsunęłam.

– Oczywiście, mam znakomity personel. Ale wolałbym zająć się tym sam.

– Nie chciałabym nadużywać... – wtrąciłam.

Nie pozwolił mi dokończyć.

– Z przyjemnością pani pomogę – powiedział, dając znak kelnerowi, by napełnił kieliszki. – Jak długo u nas pani zostanie?

– Jakieś dwa tygodnie. Korzystając z okazji, odwiedzę kilku innych dostawców, może jakieś atelier i sklepy z butami, kapeluszami, bielizną, pasmanterią. W Hiszpanii, jak pan zapewne wie, trudno dziś dostać coś sensownego.

– Proszę się nie martwić, ułatwię pani wszelkie kontakty. Niech pomyśle... Jutro rano wyjeżdżam na krótko, dwa, góra trzy dni. Może spotkamy się w czwartek rano?

– Byłoby wspaniale, jednak naprawdę nie chciałabym pana trudzić...

Pochylił się, pozerając mnie wzrokiem.

– Dla pani potrudzę się z przyjemnością.

Za kogo ty się masz, przemknęło mi przez głowę. Uśmiechnęłam się słodko.

Porozmawialiśmy jeszcze chwilę o niczym – dziesięć, może piętnaście minut. Kiedy doszłam do wniosku, że odfajkowałam spotkanie, ziewnęłam dyskretnie i wymamrotałam kilka słów tonem usprawiedliwienia.

– Przepraszam, ale noc w pociągu była taka męcząca.

– W takim razie powinna pani odpocząć – powiedział, wstając od stolika.

– W dodatku jest pan przecież umówiony...

– Ach, prawda... kolacja, istotnie – nawet nie pofatygował się, żeby spojrzeć na zegarek. – Tak, chyba już na mnie czekają – dodał niechętnie. Czułam, że kłamie. A może i nie.

Ruszyliśmy w stronę foyer. Po drodze witał się ze znajomymi, z zadziwiająca swobodą przechodząc z języka na język. Uścisk dłoni tu, klepnięcie w plecy tam; czułe cmoknięcie w policzek jakiejś kruchej staruszki zasuszonej jak mumia i szelmowskie mrugnięcie do dwóch eleganckich dam, obwieszonych klejnotami od stóp do głów.

– W Estoril aż się roi od zubożałych starych kwok, które zębami i pazurami czepiają się przeszłości – szepnął mi na ucho. – Wolą jadać codziennie sardynki i chleb niż rozprzedać za bezcen resztki przywiędłej świetności. Obnoszą swoje perły i brylanty, otulają się w norki i gronostaje nawet w środku lata, ale w torebkach mają tylko kurz i pajęczyny, spod których nie błyska już ani jeden złoty skud.

Idąc z nim, zrobiłam w myślach krótki bilans owego pierwszego spotkania. Manuel da Silva przyszedł mnie powitać i zaprosić na kieliszek szampana, ale przede wszystkim oszacować: przekonać się na własne oczy, czy warto osobiście

obsłużyć klientkę, którą przysłali mi z Madrytu. Ktoś za pośrednictwem kogoś zaprotegowanego przez kogoś poprosił, żeby przyjął mnie dobrze. Da Silva mógł to zrobić na dwa sposoby: oddelegować jakiegoś kompetentnego pracownika albo załatwić sprawę osobiście. Jego czas był na wagę złota, a zobowiązania niezliczone. Skoro zaproponował, iż sam się zajmie moim drobnym zamówieniem, to znaczy, że moja misja rozwija się pomyślnie.

– Skontaktuję się z panią tak szybko, jak to będzie możliwe.

Wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Stokrotne dzięki, panie Da Silva – powiedziałam, podając mu obie.

– Dla pani Manuel – odparł. Zauważyłam, że przytrzymał moje dłonie odrobinę dłużej, niż było to konieczne.

– W tej sytuacji ja muszę być dla pana po prostu Arish.

– Dobranoc, Arish. Było mi ogromnie przyjemnie poznać panią. Wkrótce się zobaczymy. A przez ten czas proszę wypocząć i nacieszyć się naszym krajem.

Weszłam do windy. Patrzyłam na niego, dopóki złocone drzwi nie zaczęły się zamykać, zawężając stopniowo moje pole widzenia i zasłaniając najpierw ramiona, potem uszy, szyję, a na końcu nos Manuela da Silvy.

Kiedy uznałam, że już mnie nie widzi, a winda ruszyła w górę, odetchnęłam tak głęboko, że pikolak zaniepokoił się, czy nie jest mi słabo. Pierwszą część zadania miałam już za sobą. Zdałam egzamin.

Na śniadanie zesłałam wcześniej. Sok z pomarańczy, ptasie trele, bułeczka, masło, chłodny cień pod markizą, biszkopty i wspaniała kawa. Aż się nie chciało wychodzić z ogrodu: w porównaniu z moimi madryckimi porankami istny raj. Wróciwszy do pokoju, zastałam na biurku bukiet egzotycznych kwiatów. Z przyzwyczajenia rozwiązałam czym prędzej kokardę, szukając zaszyfrowanych rozkazów. Tymczasem zamiast kropek i kresek znalazłam przypiętą do wstążki wizytówkę z odręcznym napisem:

*Droga Arish,*

*Proszę łaskawie dysponować moim samochodem. Szofer ma na imię João.*

*Do czwartku,*

*MANUEL DA SILVA*

Charakter pisma miał wytworny i zamaszty, a choć pewna byłam wrażenia, jakie zrobiłam wieczorem, treść liściku nie była ani poufała, ani frywolna. Uprzejmie i krótko. Tym lepiej. Do czasu.

João okazał się mężczyzną o szarych włosach i w takim samym uniformie. Miał wielkie wąsiska, a sześćdziesiątkę skończył dobre dziesięć lat temu. Czekał na mnie przed bramą hotelu, gawędząc z innymi, znacznie młodszymi od niego kierowcami i paląc papierosa za papierosem. Pan Da Silva przykazał, żebym woził panienkę, gdzie tylko panienka zechce, oznajmił, mierząc mnie ukradkiem wzrokiem od stóp do głów. Domyśliłam się, że nie po raz pierwszy otrzymał takie zadanie.

– Na zakupy do Lizbony poproszę. – W rzeczywistości nie interesowały mnie sklepy; chciałam tylko jakoś zabić czas do

następnego spotkania z Manuelem da Silva.

Zorientowałam się od razu, że João w niczym nie przypominał stereotypowego milczącego szofera, z szacunkiem wypełniającego polecenia. Zaledwie przekręcił kluczyk w stacyjce czarnego bentleya, a już mruknął coś o pogodzie; parę minut później narzekał na stan jezdni; potem, jak zrozumiałam, zaczął utyskiwać na drożyznę. Wobec owych jawnych prób nawiązania rozmowy mogłam przyjąć dwojaką postawę: wielkiej pani, która nie zniża się do rozmowy ze służbą, albo szykownej, sympatycznej cudzoziemki, która zachowując stosowny dystans, potrafi być czarująca i uprzejma dla każdego. Wygodniej byłoby mi wybrać to pierwsze i nie zwracając uwagi na starego gadułę, zatonać we własnych myślach, kiedy jednak po paru kilometrach João wspomniał, że u państwa Da Silva pracuje od pięćdziesięciu trzech lat, zmieniłam zdanie. Rola wyniosłej damy z pewnością bardziej by mi odpowiadała, ale ta druga była znacznie użyteczniejsza. W moim własnym interesie powinnam skłonić szofera do mówienia, nawet gdyby okazało się to nadzwyczaj męczące: jeżeli poznam przeszłość Da Silvy, łatwiej dowiem się czegoś o jego obecnym życiu.

Jechaliśmy po Estrada Marginal, obmywanej przez rozhukane morze, a kiedy zagłębiliśmy się w labirynt lizbońskich doków, miałam już jakie takie wyobrażenie o handlowym imperium klanu. Manuel da Silva był synem Manuela da Silvy i wnukiem Manuela da Silvy – trzy pokolenia mężczyzn, których fortuna wyrosła ze zwykłej portowej tawerny. Od nalewania wina marynarzom dziadek przeszedł do jego hurtowej sprzedaży w beczkach; interes przeniósł się

wówczas do zrujnowanego magazynu, dziś od dawna nieużywanego, który João pokazał mi po drodze. Syn przejął pałeczkę i rozwinął firmę: wzbogacił ofertę o inne towary i wkrótce pokusił się o handel kolonialny. Kiedy ster przeszedł w ręce trzeciego potomka rodu, interes prosperował już całkiem nieźle, ale okres największej świetności rozpoczął się dopiero pod rządami ostatniego Manuela, tego, którego właśnie poznałam. Bawełna z Zielonego Przylądka, drewno z Mozambiku, chińskie jedwabie z Makau. Ostatnio doszły też produkty miejscowe – często podróżował po kraju. João jednak nie umiał mi powiedzieć, co było przedmiotem owych transakcji.

Stary szofer był już właściwie na emeryturze – na stanowisku osobistego kierowcy trzeciego Da Silvy zastąpił go przed laty siostrzeniec. Nadal jednak pozostawał do dyspozycji szefa, kiedy trzeba było gdzieś niedaleko pojechać, kogoś podrzucić, coś komuś zawieźć. Na przykład zabrać beczynną krawcową na przejażdżkę po Lizbonie w majowy dzień.

W jakimś sklepie na Chiado kupiłam kilka par rękawiczek, o które tak trudno było w Madrycie. W innym tuzin jedwabnych pończoch, nieziszczalne marzenie Hiszpanek w tych ciężkich powojennych czasach. Nieco dalej – wiosenny kapelusz, perfumowane mydła i dwie pary sandałów; w następnym amerykańskie kosmetyki: tusz do rzęs, szminkę i cudownie pachnące kremy. Raj w porównaniu z hiszpańską biedą. Wszystko śliczne, w wielkim wyborze, dostępne na wyciągnięcie ręki, wystarczy wyjąć portmonetkę. João sprawnie woził mnie od sklepu do sklepu, nosił moje zakupy, tysiące razy

otwierał i zamykał tylne drzwiczki, żebym mogła wygodnie wsiąść i wysiąść, polecił mi uroczą knajpkę, pokazywał ulice, place i pomniki. A przy okazji dostarczał niechcący informacji o Manuelu da Silva i jego rodzinie. Niektóre były nieciekawe: że interes rozwinął się głównie dzięki babci, że matka umarła młodo, że starsza siostra poślubiła okulistę, a młodsza wstąpiła do zakonu karmelitanek bosych. Inne za to budziły moje najżywsze zainteresowanie. Stary szofer paplał jak najęty, nawet nie musiałam go szczególnie ciągnąć za język: don Manuel ma wielu przyjaciół w Portugalii i za granicą, Anglików, tak, oczywiście, Niemców ostatnio też; tak, często przyjmuje ich u siebie, lubi, żeby wszystko było gotowe, w razie gdyby ktoś wpadł na obiad albo na kolację; różnie, czasem w swoim domu w Lapa, a czasem na wsi, w Quinta da Fonte.

Przez cały dzień miałam też okazję podziwiać faunę ludzką zamieszkującą portugalską stolicę: lizbończyków wszelkiej maści, mężczyzn w ciemnych garniturach i eleganckie damy, nuworyszów, którzy przyjechali z prowincji po złote zegarki i sztuczne zęby, podobne krukowi kobiety w żałobie, butnych Niemców, żydowskich uchodźców przemykających ze spuszczoną głową lub stojących w kolejce po bilet do ocalenia, stuletni tłum cudzoziemców uciekających przed wojną i jej straszliwymi skutkami. Wśród nich, przypuszczałam, była Rosalinda. Na moją prośbę, jakby chodziło o zwykły kaprys, João pokazał mi piękną aleję da Liberdade, wybrukowaną białymi i czarnymi kamieniami, obsadzoną drzewami prawie tak wysokimi jak stojące po obu stronach budynki. Tam mieszkała, pod sto czternastym; taki adres figurował na listach,

które Beigbeder przyniósł do mnie w najbardziej prawdopodobnie gorzką noc swojego życia. Poszukałam wzrokiem numeru i dostrzegłam go na wielkiej drewnianej bramie pośrodku imponującej fasady z *azulejos*. Jakżeby inaczej, pomyślałam z odrobioną melancholii.

Zwiedzanie trwało do późnego popołudnia, aż wreszcie stwierdziłam, że mam dość. Dzień był upalny i duszny, głowa mi pękała od niestrudzonego głędzenia João.

– Jeszcze tylko tu przystaniemy, to już naprawdę ostatni raz – powiedział, kiedy stwierdziłam, że pora wracać. Zatrzymał bentleya na ulicy Garret, przed modernistyczną fasadą jakiejś kawiarni. A Brasileira.

– Nikt nie może wyjechać z Lizbony bez filiżanki dobrej kawy – oświadczył.

– Ale jest już strasznie późno, João... – zaprotestowałam znękany głosem.

– Tylko pięć minut. Proszę wejść i poprosić o *bico*, nie pożałuje pani.

Weszłam tam trochę wbrew własnej woli: nie chciałam zrobić przykrości mojemu nieoczekiwanemu konfidentowi, który mógł mi się jeszcze kiedyś przydać. Mimo nadmiaru ornamentów i panującego wewnątrz tłoku lokal był chłodny i przyjemny. Po prawej bar, po lewej stoliki; na wprost zegar, złoczone stiuki na suficie, na ścianach wielkie obrazy. Podano mi maleńką białą filiżankę. Ostrożnie pociągnęłam łyżek. Kawa. Czarna, mocna, cudowna. João miał rację: ów napój przywracał życie. Czekając, aż trochę ostygnie, zaczęłam przewijać miniony dzień niby rolkę filmu w aparacie fotograficznym.



Wyszukiwałam szczegóły na temat Da Silvy i porządkowałam je w myślach. Kiedy w filizance zostały jedynie fusy, położyłam na stoliku banknot i wstałam.

Spotkanie było tak nieoczekiwane, tak raptowne i powalające, że nie zdążyłam zareagować. W chwili gdy miałam ruszyć do drzwi, weszli przez nie trzej mężczyźni: trzy kapelusze, trzy krawaty, trzy cudzoziemskie twarze. Rozmawiali po angielsku. Dwóch nie znałam, trzeciego – tak. I właśnie trzy lata minęły od naszego pożegnania. Przez ten czas Marcus Logan prawie się nie zmienił.

Zobaczyłam go pierwsza. Kiedy spostrzegł moją obecność, ja, przerażona, patrzyłam już w drugą stronę.

– Sira... – szepnął.

Od dawna nikt mnie tak nie nazywał. Żołądek podszedł mi do gardła i o mało co nie zwymiotowałam kawy na marmurową posadzkę. Przede mną, w odległości zaledwie paru metrów, z moim imieniem na ustach i zdumioną twarzą, stał mężczyzna, z którym dzieliłam swoją obawę i radość; mężczyzna, z którym rozmawiałam, śmiałam się, spacerowałam, tańczyłam i płakałam, który zwrócił mi matkę i w którym postanowiłam się nie zakochać, chociaż przez długie tygodnie łączyło nas znacznie więcej niż zwykła przyjaźń. A teraz przeszłość opadła nagle przede mną jak kurtyna: Tetuan, Rosalinda, Beigbeder, hotel Nacional, moje dawne atelier, rozwichrzone dni i noce bez końca; to, co mogło się stać, ale się nie stało w czasie, który straciłam na zawsze. Chciałam go objąć, powiedzieć: tak, Marcus, to ja. Chciałam poprosić, jak kiedyś: zabierz mnie stąd, chciałam znów biec z nim za rękę, jak wtedy przez ciemność

afrykańskiego ogrodu: wrócić do Maroka, zapomnieć o istnieniu tajnych służb, o tym, że mam do wykonania brudną robotę i że już wkrótce znów muszę wyjechać do smutnego, szarego Madrytu. Nic takiego nie zrobiłam, bo rozsądek przywołał mnie do porządku krzykiem donośniejszym od głosu moich pragnień, przypomniał, że nie ma już odwrotu, kazał udawać, że nie znam Marcusa Logana. I usłuchałam.

Nie zareagowałam na własne imię, nawet nie spojrzałam. Jakbym była głucha i ślepa, jakby ów człowiek nigdy nic nie znaczył w moim życiu, jakbym nie szlochała mu w klapy marynarki, błagając, żeby nie odjeżdżał. Jakby głębokie uczucie, które wspólnie budowaliśmy, rozpuściło się w mojej pamięci. Po prostu go zignorowałam i patrząc przed siebie, z chłodną determinacją ruszyłam do drzwi.

João czekał na mnie przy otwartym samochodzie. Na szczęście całą jego uwagę pochłaniała tocząca się po drugiej stronie ulicy awantura z udziałem psa, roweru i kilku przechodniów. Zauważył mnie dopiero, kiedy go zawołałam.

– Jedźmy już wreszcie, João. Jestem skonana.

Zatrzasnął za mną drzwiczki. Usiadł za kierownicą i ruszył, pytając, jak mi się podobało w kawiarni. Nie odpowiedziałam: całą swoją energię skupiałam na tym, żeby nie spojrzeć za siebie. I prawie mi się udało. Ale kiedy bentleyem zakołysało na bruku, jakiś irracjonalny impuls kazał mi się odwrócić, popatrzeć jeszcze ten jeden ostatni raz.

Marcus stał przed wejściem, nieruchomy, wyprostowany, w kapeluszu nasuniętym na czoło, z rękami w kieszeniach, obserwując w skupieniu mój odjazd. Może zastanawiał się, czy

ujrzał przed chwilą ducha, czy kobietę, którą pewnego dnia gotów był pokochać.

## 53

Kiedy zajechaliśmy przed hotel, powiedziałam szoferowi, żeby nazajutrz na mnie nie czekał: chociaż Lizbona była sporym miastem, nie mogłam ryzykować ponownego spotkania z Marcusem Loganem. Udawałam zmęczenie i obawę przed domniemaną migreną. Przypuszczałam, iż wiadomość o tym, że nie chcę się nigdzie ruszać, szybko dotrze do uszu Da Silvy, a nie chciałam, by pomyślał, iż bez widocznego powodu odrzucam jego uprzejmość. Resztę popołudnia spędziłam zanurzona w wannie, a większą część wieczoru – na tarasie, wpatrzona z roztargnieniem w światła na morzu. W ciągu owych długich godzin nawet na chwilę nie mogłam przestać myśleć o Marcusie: o nim jako o mężczyźnie, o wszystkim, co razem przeżyliśmy, i o tym, co się stanie, jeżeli znowu go spotkam w najmniej odpowiednim momencie. Świtało, kiedy położyłam się spać. Z pustym żołądkiem, zaschniętym gardłem i duszą na ramieniu.

Ogród się nie zmienił, a śniadanie było równie wyborne jak poprzedniego ranka, ale chociaż robiłam, co mogłam, żeby zachowywać się naturalnie, nic już nie cieszyło mnie tak jak przedtem. Zmusiłam się, żeby coś zjeść, mimo że wcale nie czułam głodu, odsiedziałam swoje, przeglądając gazety w językach, których nie rozumiałam, i wstałam dopiero wtedy, gdy w restauracji została tylko garstka spóźnionych gości, rozproszonych przy opustoszałych stolikach. Nie było jeszcze

jedenastej – miałam przed sobą calutki dzień i nic, prócz własnych myśli, czym mogłabym go wypełnić.

Wróciłam do pokoju. Padłam na łóżko i zamknęłam oczy.

Dziesięć minut. Dwadzieścia. Trzydzieści. Nie wytrzymałam nawet czterdziestu. Nie byłam w stanie wytrzymać ani sekundy dłużej, ile razy można się przewracać z boku na bok. Przebrałam się: założyłam lekką spódnicę, białą bawełnianą bluzkę i sandały na płaskim obcasie. Zakryłam włosy wzorzystą chustą, zabarykadowałam się za wielkimi ciemnymi okularami i wyszłam, starając się nie patrzeć w lustro, żeby nie widzieć ponurego grymasu, który od wczoraj jakby przylepił mi się do twarzy.

Na plaży nie było prawie nikogo. Fale, szerokie i płaskie, monotonnie nadpływały jedna za drugą. Niedaleko jakiś zamek i bulwar z okazałymi willami; na wprost ocean, niemal tak wielki jak moja chandra. Usiadłam na piasku, patrząc na morze i tańczącą na nim pianę, straciłam poczucie czasu i rozkleiłam się na dobre. Każda fala przynosiła ze sobą jakieś wspomnienie, jakiś obraz z przeszłości: wspomnienie dziewczyny, jaką kiedyś byłam, moich sukcesów i obaw, przyjaciół, których w pewnej chwili porzuciłam; sceny z innych krajów, echo innej mowy. Lecz przede wszystkim morze przyniosło mi owego ranka uczucia dawno zapomniane, ukryte w fałdach pamięci: dotyk ukochanej dłoni, siłę męskiego ramienia, radość wspólnego przeżywania, tęsknotę i pożądanie.

Dochodziła trzecia po południu, kiedy otrzepałam spódnicę z piasku. Pora wracać, równie dobra jak każda inna. Albo zła, czy to ważne? Przeszłam przez szosę, kierując się w stronę hotelu,

samochodów było mało. Jeden niknął mi akurat z oczu, drugi nadjeżdżał powoli. Ten ostatni wydawał mi się dziwnie znajomy. Drobne ukłucie zaciekawienia sprawiło, że zwolniłam kroku. Wiedziałam już, co to za auto i kto prowadził. Bentley Da Silvy z João za kierownicą. Cóż za przypadek, cóż za szczęśliwe spotkanie. A może nie, pomyślałam nagle i przeszył mnie dreszcz. Istniało mnóstwo powodów, dla których stary szofer krążył uliczkami Estoril, lecz instynkt podpowiadał mi, że szuka mnie. Zmykaj stąd, dziewczyno, zmykaj czym prędzej, powiedziałyby w tej sytuacji Candelaria i moja matka. A ponieważ ich nie było, powiedziałam to sobie ja. Musiałam zmykać, straciłam czujność. Spotkanie z Marcusem wywarło na mnie potężne wrażenie, zbudziło tysiące uspionych wspomnień i uczuć. Nie był to jednak dobry moment na rozpamiętywanie przeszłości. Miałam do wykonania zadanie: podjęłam się określonej roli, nie wolno mi z niej wyjść, muszę doprowadzić tę sprawę do końca. Siedząc tu i kontemplując fale, tylko tracę czas, poddaję się melancholii. Trzeba wrócić do rzeczywistości.

Przyspieszyłam kroku, udając werwę i animusz. João, co prawda, już odjechał, ale para innych oczu mogła obserwować mnie z daleka na rozkaz Da Silvy. Z pewnością nie mógł nic podejrzewać, ale miał być może skłonność do kontrolowania wszystkiego i chciał się dowiedzieć, dlaczego zrezygnowałam z usług jego kierowcy. A ja powinnam dostarczyć mu pretekstu.

Bocznymi schodkami wróciłam do pokoju; przebrałam się i zeszłam na dół. Lekką spódnicę i bawełnianą bluzkę zastąpił elegancki *tailleur* w kolorze mandarynki, a płaskie sandały – szpilki z wężowej skóry. Zniknęły ciemne okulary, odsłaniając

twarz umalowaną amerykańskimi kosmetykami, które kupiłam poprzedniego dnia w Lizbonie. Włosy, uwolnione spod chustki, opadały swobodnie na ramiona. Kołysząc biodrami, przespacerowałam się leniwie po tarasie pierwszego piętra, otwartym na obszerny westybul. Głównymi schodami spłynęłam do holu, uśmiechając się promiennie do każdego, kto się napatoczył. Wytwornym skinieniem głowy witałam wszystkie kobiety, bez względu na wiek i język, w jakim mówiły; jedne odpowiadały ukłonem, inne nie zwracały na mnie uwagi. Z zapalem trzepotałam rzęsami na widok panów, wśród których zdecydowanie przeważali cudzoziemcy; jakiegoś szczególnie zramolałego staruszka obdarzyłam kokieteryjnym komplementem. W recepcji nadałam depeszę do doñi Manueli: „Portugalia cudowna, zakupy wspaniałe. Dzisiaj ból głowy i odpoczynek. Jutro spotkanie z dostawcą. Pozdrawiam serdecznie, Arish Agoriuq”. Potem wybrałam sobie fotel, starając się, żeby stał w przejściu i jak najbardziej na widoku. Wówczas założyłam nogę na nogę, poprosiłam o dwie aspiryny i filiżankę herbaty i poświęciłam resztę popołudnia na pokazywanie się wszem wobec.

Wytrzymałam tak, udając znudzenie, prawie trzy godziny, dopóki kiszki nie zagrały mi marsza. Koniec przedstawienia: zasłużyłam, żeby wrócić do pokoju i zjeść solidną kolację. Właśnie miałam wstać, kiedy podszedł do mnie pikolak, niosąc srebrną tackę, na niej kopertę, a w kopercie karteczkę:

*Droga Arish,*

*Mam nadzieję, iż morze rozproszyło Pani troski. João przyjedzie po Panią jutro o dziesiątej. Czekam w moim biurze.*

*Życzę miłego odpoczynku,*

*MANUEL DA SILVA*

Faktycznie, wieści rozchodzą się lotem błyskawicy. Kusiło mnie, żeby rozejrzeć się w poszukiwaniu szofera albo nawet samego Da Silvy, lecz powstrzymałam owe chęci. Jeden z nich prawdopodobnie krążył w pobliżu, ja jednak, symulując chłodną obojętność, z powrotem wsadziłam nos w kolorowe amerykańskie czasopismo. Po upływie pół godziny, kiedy hol częściowo opustoszał, a większość gości zajęła miejsca przy barze, na tarasie i w jadalni, wróciłam do pokoju, zdecydowana wybić sobie z głowy Marcusa i zająć się przygotowaniami do trudnego dnia, jaki czekał mnie za zakrętem nocy.

## 54

João rzucił niedopałek na ziemię i przydeptując go obcasem, huknął swoje *bom dia*<sup>32</sup>, po czym usłużnie otworzył drzwiczki bentleya. Tym razem jednak nie miał zbyt wiele czasu na opowieści o swoim szefie, bo już za pół godziny miałam stanąć z nim twarzą w twarz.

Firma Da Silvy mieściła się w centrum, przy rua do Ouro – ulicy Złota – łączącej Rossio z Praça do Comercio w Baixa. Budynek był elegancki, lecz skromny, chociaż całe otoczenie roztaczało silną woń pieniądza, wielkich interesów i dochodowych transakcji: banki, kasy oszczędnościowe, biura, biznesmeni w garniturach, urzędnicy w pośpiechu, posłańcy w biegu...

Kiedy wysiadłam z bentleya, powitał mnie ten sam szczupły mężczyzna, który przerwał naszą rozmowę pierwszego wieczoru. Układny i milczący, uścisnął mi dłoń, przedstawił się lakonicznie jako Joaquim Gamboa i uprzejmym gestem zaprosił mnie do windy. Z początku myślałam, że firma zajmuje kilka pomieszczeń, wkrótce jednak przekonałam się, że cały budynek należał do Da Silvy. Wyszliśmy na pierwszym piętrze.

– Don Manuel zaraz panią przyjmie – oznajmił Gamboa i zniknął.

Poczekalnia, w której mnie zostawił, miała ściany wyłożone lśniącą, jakby świeżo wywoskowaną boazerią. Sześć skórzanych foteli czekało na interesantów; nieco w głębi, bliżej podwójnych drzwi wiodących do gabinetu szefa, stały dwa biurka: jedno puste, drugie zajęte przez dobiegającą półwiecza sekretarkę, która sądząc po dyskretnym skinieniu głowy, jakim mnie przywitała, i staranności, z jaką zanotowała coś w grubym zeszycie, była sprawną, taktowną pracownicą, marzeniem każdego szefa. Jej młodsza koleżanka pojawiła się po niespełna kilku minutach, gdy drzwi gabinetu się otworzyły i wyszedł z nich mężczyzna o nijakim wyglądzie. Prawdopodobnie jakiś klient albo przedstawiciel handlowy.

– Pan Da Silva prosi – oznajmiła z kwaśną miną.

Udałam, że nie zwracam na nią uwagi, ale jedno spojrzenie wystarczyło mi, żeby wziąć z niej miarę. W moim wieku, rok starsza, rok młodsza. Grube szkła, jasne włosy, jasna cera. Ubrana starannie, ale niezbyt kosztownie. Nie mogłam się jej przyjrzeć lepiej, bo do poczekalni wyszedł Manuel da Silva we własnej osobie, aby mnie powitać.



– Miło mi panią gościć u siebie, Arish – powiedział po hiszpańsku.

Odwzajemniłam się podaniem ręki z wystudiowaną powolnością, chcąc dać mu czas, by przyjrzał mi się i zdecydował, czy nadal jestem godna jego względów. Sądząc z reakcji, uznałam, że tak. Włożyłam wiele wysiłku, żeby osiągnąć taki efekt: przeznaczyłam na tę okazję kostium w rzęciowym odcieniu, z ołówkową spódnicą i dopasowanym żakietem; biały kwiat wpięty w klapę podkreślał surową elegancję srebrnoszarej tkaniny. Rezultat został doceniony spojrzeniem pełnym skrywanego zachwytu i szarmanckim uśmiechem.

– Proszę, proszę wejść. Rano przyniesiono mi materiały, które chciałbym pani pokazać.

W rogu obszernego gabinetu, pod wielką mapą świata, leżały bele tkanin. Jedwab. Naturalny jedwab, błyszczący i gładki, wspaniały, barwiony na kolory pełne blasku. Dotknąwszy go, wyobraziłam sobie, jak miękko będą się układały suknie, które z niego uszyję.

– Spełniają pani oczekiwania? – usłyszałam za plecami głos Manuela da Silvy.

Przez kilka sekund, może minut, zapomniałam o nim i jego świecie. Rozkosz, jaką sprawił mi widok pięknych tkanin, ich miękki dotyk i myśl o tym, jakie cuda można z nich zrobić, oderwała mnie na chwilę od rzeczywistości. Na szczęście nie musiałam niczego udawać.

– Znacznie je przewyższają. Są prześliczne.

– Więc radzę wziąć tyle metrów, ile się da, bo obawiam się, że wkrótce nic już nie zostanie.

– Jest taki popyt na jedwab?

– Tak przewidujemy. Chociaż to raczej nie ma związku z modą.

– Z czym w takim razie? – zapytałam zdziwiona.

– Z czymś, co jest dzisiaj najważniejsze: z wojną.

– Z wojną? – powtórzyłam, udając niedowierzanie. Wiedziałam, że tak było w innych krajach; Hillgarth wspominał o tym w Tangerze.

– Z jedwabiu szyje się spadochrony i plandeki chroniące proch od wilgoci, służy nawet do produkcji opon rowerowych.

Roześmiałam się z wymuszoną swobodą.

– Cóż za absurd i marnotrawstwo! Z jedwabiu potrzebnego na czasę spadochronu można uszyć dziesięć wieczorowych sukien.

– Tak, ale czasy są trudne. Państwa w stanie wojny gotowe są płacić krocie.

– A pan, Manuelu, komu chce sprzedać te śliczności? Niemcom czy Anglikom? – spytałam żartobliwie, jakbym nie brała na serio tego, co do mnie mówił. Sama się zdziwiłam własnym zuchwalstwem, ale on podjął grę.

– My, Portugalczycy, mamy historyczny sojusz handlowy z Anglikami, chociaż w tych niespokojnych dniach nigdy nic nie wiadomo... – Zakończył ową dwuznaczną ripostę zagadkowym śmiechem i nie zostawiając mi czasu do namysłu, sprowadził rozmowę na sprawy bliższe i bardziej praktyczne. – W tej teczce ma pani dokładne dane na temat tkanin: pochodzenie, gatunek,

ceny. To co zwykle – powiedział, podchodząc do biurka. – Proszę ją zabrać do hotelu, przejrzeć bez pośpiechu, a kiedy już podejmie pani decyzję, wypełnić blankiet zamówienia. Towar wyślemy bezpośrednio do Madrytu, najpóźniej za tydzień. Zapłacić może pani na miejscu, po odebraniu pierwszej partii, to żaden kłopot. I proszę sobie odliczyć od tej kwoty dwadzieścia procent rabatu, na nasz rachunek.

– Ale...

– A tutaj – przerwał, nie pozwalając mi dokończyć – ma pani inną teczkę, z listą tutejszych dostawców nici, pasmanterii, guzików, skór, futer... Pozwoliłem sobie umówić panią z tymi ludźmi. Program spotkań jest tutaj, na kartce. Proszę zerknąć: dziś po południu oczekują pani bracia Soares, mają najlepsze nici w Portugalii; w piątek rano, czyli jutro, przyjmą panią w Casa Barbosa, produkują guziki z afrykańskiej kości słoniowej; w sobotę przed południem odwiedzi pani kuśnierza Almeidę. Potem proszę odpocząć, bo po niedzieli znów czeka panią pracowity tydzień.

Przestudiowałam kartkę pełną nazwisk i dat, z trudem ukrywając podziw.

– Widzę, że dał mi pan wolne nie tylko w niedzielę. W piątek wieczorem też – powiedziałam, wpatrując się w grafik.

– Obawiam się, że jest pani w błędzie.

– Raczej nie. Tu jest puste miejsce, niech pan spojrzy.

– Jest puste, bo poprosiłem mojego sekretarza, żeby go nie wypełniał, ale coś przewidziałem na tę porę. Zechce pani zjeść jutro ze mną kolację?

Bez słowa wyjęłam mu z rąk pierwszą teczkę. Starannie przejrzałam jej zawartość: nazwiska, specyfikacje, numery. Udawałam, że czytam z zainteresowaniem, choć w rzeczywistości tylko wodziłam po nich oczami, na niczym nie zatrzymując wzroku.

– Zgoda, przyjmuję zaproszenie – oświadczyłam, odwlekając odpowiedź, żeby potrzymać go trochę w niepewności – ale musi mi pan przedtem coś obiecać.

– O ile tylko będę mógł spełnić pani życzenie.

– A więc oto mój warunek: zjem z panem kolację, jeżeli mnie pan zapewni, że nigdy żaden żołnierz nie będzie się bujał w powietrzu na spadochronie uszytym z tych tkanin.

Roześmiał się na całe gardło, a ja raz jeszcze spostrzegłam, że ma piękny śmiech. Męski, głośny, ale wytworny. Przypomniały mi się słowa żony Hillgartha... Manuel da Silva był naprawdę pociągającym mężczyzną. I wówczas, prędko jak kometa, przemknął przede mną cień Marcusa Logana.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, ale cóż, interes to interes... – powiedział, wzruszając ramionami, a w kącikach jego ust błąkał się ironiczny uśmiezek.

Przerwał mu przenikliwy dzwonek. Dźwięk wydobywał się z szarego aparatu na biurku, mrugającego zielonym światełkiem.

– Chwileczkę, pani wybaczy... – odzyskał nagle powagę. Nacisnął jakiś guzik i z głośnika popłynął nieco skrzeczący głos sekretarki.

– Czeka na pana Herr Weiss. Mówi, że to pilne.

– Niech przejdzie do sali konferencyjnej – odparł szorstko.

Jego zachowanie zmieniło się radykalnie: z zimnego, wyrachowanego biznesmena opadła nagle maska czarującego mężczyzny. A może na odwrót. Nie znałam go jeszcze na tyle, by osądzić, który z nich jest prawdziwym Manuelem da Silvą.

Odwrócił się do mnie, usiłując zachować pozory uprzejmości, co niezbyt dobrze mu wyszło.

– Przepraszam, ale mam nawał pracy.

– To ja przepraszam, że zabieram panu cenny czas...

Z trudem ukrywał zniecierpliwienie. Podał mi rękę.

– Przyjadę po panią o ósmej, dobrze?

– Świetnie.

Pożegnanie było krótkie, żadne z nas nie miało ochoty na kokieterię. Zapomnieliśmy o ironii i frywolności, jeszcze przyjdzie na to czas. Odprowadził mnie do drzwi. Wyszędłszy do poczekalni, poszukałam wzrokiem owego Herr Weissa, ale zobaczyłam tylko dwie sekretarki: jedna w skupieniu pisała na maszynie, druga wkładała do kopert jakieś listy. Prawie nie zwróciłam uwagi na to, że nierówno obdarzyły mnie swoją uprzejmością. Miałam na głowie ważniejsze sprawy.

## 55

Z Madrytu przywiozłam ze sobą szkicownik, z zamiarem spisywania wszystkiego, co wyda mi się interesujące. Od tamtego wieczoru zaczęłam utrzymywać na papierze to, co słyszałam i widziałam. Uporządkowałam, w miarę możliwości, fakty, a potem maksymalnie je streściłam. „Da Silva żartuje na temat rzekomych interesów z Niemcami, trudno ocenić, w

jakim stopniu to prawda. Przewiduje wzrost popytu na jedwab, na potrzeby wojska. Charakter zmienny, zależnie od okoliczności. Potwierdzona znajomość z Niemcem Herr Weissem, który przyszedł bez zapowiedzi i zażądał natychmiastowego spotkania. Da Silva spięty, nie chce, żeby widziano Herr Weissa w jego biurze”.

Następnie zrobiłam ołówkiem kilka szkiców, które nigdy się nie miały zmaterializować w postaci gotowej kreacji, po czym obwiodłam je rzekomą fastrygą. Starłam się, żeby różnica między krótkimi i długimi kreskami była minimalna i żebym tylko ja mogła ją dostrzec; poszło gładko, miałam wprawę. Zapisałam wszystkie informacje, spaliłam notatki w łazience, wrzuciłam popiół do klozetu i pociągnęłam za łańcuch spłuczki. Zostawiłam szkicownik w szafie: ani głęboko schowany, ani specjalnie na widoku. Gdyby ktoś zaczął szperać w moich rzeczach, nigdy by nie pomyślał, że chciałam coś ukryć.

Teraz, kiedy miałam już co robić, czas leciał szybko. Z João za kierownicą kursowałam po Estrada Marginal między Estoril a Lizboną; przebierałam w szpulkach kolorowych nici i prześlicznych guzikach najróżniejszych kształtów i wielkości. Dzięki rekomendacji Da Silvy traktowano mnie jak księżniczkę, wszędzie atencje, uprzejmości, rabaty i prezenty. Nawet się nie zorientowałam, kiedy nadszedł piątkowy wieczór.

Spotkanie przebiegało podobnie jak poprzednie: powłóczyście spojrzenia, znaczące uśmiechy i ostentacyjna kokieteria. Sztukę aktorską opanowałam już do perfekcji, a przy tym Da Silva robił wszystko, żeby mi ułatwić zadanie. Sprawiał, że czułam się jedyną kobietą na świecie, a ja zachowywałam się tak, jakby

fakt, iż jestem obiektem zainteresowania bogatego mężczyzny, był dla mnie chlebem powszednim. Ale nie był i dlatego podwójnie musiałam się mieć na baczności. Pod żadnym pozorem nie mogłam ulec emocjom: to tylko praca, obowiązek, nic więcej. Chętnie bym się dała ponieść chwili, wiedziałam jednak, że powinnam zachować trzeźwy umysł i trzymać emocje na wodzy.

– Zarezerwowałam dla nas stolik w klubie Wonderbar, w tutejszym kasynie. Mają tam bajeczną orkiestrę, a sala gier jest obok.

Poszliśmy pieszo aleją wśród palm; światła latarni błyszcząły jak srebrne kropki na przedwieczornym fiołkowym niebie. Da Silva odzyskał dawną formę: był miły i uroczy, znikło gdzieś napięcie wywołane niespodziewanym najściem Herr Weissa.

Wyglądało na to, że w klubie też wszyscy go znali: od kelnerów i parkingowych po najbardziej dystyngowanych gości. Znowu rozdawał ukłony i uśmiechy, ścisnął dłonie, poklepywał po ramieniu mężczyzn, całował w rękę kobiety i obsypywał je komplementami. Przedstawił mnie kilku osobom, a ja zanotowałam w myślach nazwiska, żeby potem przenieść je na wykroje w szkicowniku.

Atmosfera w Wonderbar była równie kosmopolityczna jak w hotelu Do Parque, jednak ku mojemu rozczarowaniu Niemców dostrzegłam niewielu, za to angielski słychać było wszędzie. Trudno, w tej sytuacji całą uwagę skupiałam na tym, żeby nie wypaść z roli. Muszę mieć trzeźwą głowę, oczy i uszy otwarte. I roztaczać swoje uroki, oczywiście.

*Maitre* zaprowadził nas do małego stolika w najlepszym miejscu sali: punkt strategiczny, by widzieć wszystkich i być widzianym. Orkiestra grała *In the Mood*. Na parkiecie i przy stolikach panował już spory tłok: gwar rozmów, powitania, śmiech, swoboda i światowy szyk. Manuel odsunął kartę i złożył zamówienie. A potem, jakby cały dzień czekał tylko na tę chwilę, usiadł wygodnie i skoncentrował się na mnie.

– Zamieniam się w słuch, Arish. Jak się pani handlowało z moimi przyjaciółmi?

Zrelacjonowałam swoje dotychczasowe poczynania, okraszając opowieść pikantnymi szczegółami. Wyolbrzymiałam perypetie, śmiałam się z własnych wpadek, kaleczyłam portugalskie słowa, rozbawiłam go do łez i znów zyskałam parę punktów.

– A panu jak minął ten tydzień? – zapytałam.

Wreszcie nadeszła moja kolej, by słuchać i zapamiętywać. Jeżeli szczęście się do mnie uśmiechnie, może uda mi się pociągnąć go trochę za język.

– Dowiesz się, jeśli przejdziemy na ty.

– Dobrze, Manuelu. Powiedz mi, co porabiałeś od naszego wczorajszego spotkania.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo ktoś nam przerwał. Znów powitania, uściski, serdeczności. Nawet jeżeli i tym razem było to na pokaz, wyglądało całkiem naturalnie.

– Baron von Kempel, nadzwyczajny człowiek – szepnął Da Silva, kiedy wiekowy arystokrata o srebrnej lwiej grzywie odszedł chwiejnym krokiem od naszego stolika. – Pytałaś, jak



minęły mi te dwa dni. Odpowiem w dwóch słowach: było nudno.

Wiedziałam, że kłamię, to jasne, ale udałam współczucie.

– Masz przynajmniej sekretarki i ładne biuro, gdzie możesz przeczekać nudę.

– Masz rację, nie powinienem narzekać. Byłoby gorzej, gdybym pracował jako doker w porcie i nie miał nikogo do pomocy.

– Długo u ciebie pracują?

– Mówisz o sekretarkach? Elisa Somoza, ta starsza, jest w firmie dłużej niż ja: ponad trzydzieści lat. Zatrudnił ją jeszcze mój ojciec. A Beatriz Oliveirę przyjąłem trzy lata temu, kiedy interes się rozrósł i Elisa już nie dawała sobie rady. Nie sądzę, by mnie lubiła, ale jest systematyczna, odpowiedzialna i zna języki. Przypuszczam, że dzisiejsza klasa pracująca nie okazuje swoim szefom zbyt wiele sympatii – powiedział, wznosząc kieliszek.

Nie spodobał mi się ów żart, ale spełniłam toast łykiem białego wina. Do naszego stolika podeszła jakaś para: dojrzała kobieta w olśniewającej kreacji ze śliwkowego szantungu i niższy od niej o głowę mężczyzna. Raz jeszcze przerwano nam rozmowę. Przeszli na francuski. Da Silva przedstawił mnie, a ja odpowiedziałam lekkim skinieniem głowy i krótkim *enchantée*.

– Państwo Mannheim, z Węgier – wyjaśnił, kiedy sobie poszli.

– Żydzi? – zapytałam.

– Bardzo bogaci Żydzi. Czekają albo na koniec wojny, albo na wizę do Ameryki. Zatańczymy?

Da Silva tańczył fantastycznie: rumbę, habanery, jazz i paso doble, wszystko. Dałam się porwać. Miałam za sobą męczący dzień, a dwa kieliszki wina z Douro, które wypłam do langusty, chyba mi uderzyły do głowy. Było gorąco, pary na parkiecie wirowały, odbite w tysiącu luster zdobiących ściany i kolumny. Zamknęłam oczy na parę chwil, dwie sekundy, trzy, może cztery. Kiedy je otworzyłam, ujrzałam przed sobą wcielenie wszystkich moich lęków.

W nienagannie skrojonym smokingu, z zaczesanymi do tyłu włosami, w lekkim rozkroku, z rękami w kieszeniach i zapalonym papierosem w ustach przyglądał mi się Marcus Logan.

Uciekać, uciekać jak najdalej, było moją pierwszą myślą.

– Usiądziemy? Jestem trochę zmęczona.

Próbowałam przesunąć się na drugi koniec parkietu, ale kątem oka widziałam, że Marcus podąża za nami. My wymijaliśmy tańczące pary, on lawirował wśród stolików, ale zmierzaliśmy w tym samym kierunku. Nogi mi się trzęsły, a upał majowej nocy stał się raptem nie do zniesienia. Kiedy był już o kilka metrów od nas, przystanął nagle, żeby się z kimś przywitać. Pomyślałam z ulgą, że wcale nie szedł za mną, on jednak pożegnał się zaraz i znów ruszył ku nam szybkim, zdecydowanym krokiem. Dotarliśmy do stolika wszyscy troje jednocześnie. Manuel i ja z prawej, Marcus z lewej. To już koniec, przemknęło mi przez głowę.

– Logan, ty stary lisie, gdzie się podziewałeś? Nie widziałem cię od wieków! – wykrzyknął Da Silva na jego widok. Zdumiona, patrzyłam, jak poklepują się serdecznie po plecach.

– Dzwoniłem do ciebie setki razy, ale nie mogłem cię zastać – powiedział Marcus.

– Pozwól, że przedstawię ci Arish Agoriuq. Jest Marokanką, kilka dni temu przyjechała z Madrytu.

Nie śmiałam spojrzeć mu w oczy. Wyciągnęłam dłoń, mając nadzieję, że nie zadrży. Uścisnął ją mocno, jakby mówił: to ja, jestem tutaj, powiedz coś.

– Miło mi pana poznać – usłyszałam własny głos, suchy, łamiący się, schrypnięty.

– Siadaj, napij się z nami – zapraszał Manuel.

– Nie, dziękuję. Jestem z przyjaciółmi, przyszedłem się tylko przywitać. Musimy się kiedyś spotkać.

– W najbliższych dniach, przyrzekam.

– Nie zapomnij, mamy coś do obgadania – odparł, a potem zwrócił się do mnie: – Cieszę się, że panią poznałem, panno... – zawiesił głos i skłonił się głęboko. Tym razem nie mogłam na niego nie spojrzeć. Z wyrazistej twarzy Marcusa zniknęły blizny, ale konspiracyjny uśmiech był taki sam jak dawniej, a oczy pytały mnie bez słów, co tu, u diabła, robię w towarzystwie tego człowieka.

–...Agoriuq – wykrztusiłam przez ściśnięte gardło.

– Ach tak, Agoriuq... Bardzo mi miło. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

Przez chwilę patrzyliśmy za nim.

– Świetny gość – powiedział Da Silva.

Wypiłam łyk wody. Musiałam zwilżyć gardło. Czułam, że jest szorstkie jak papier ścierny.

– Anglik? – spytałam.

– Tak, Anglik. Robiliśmy razem interesy.

Pociągnęłam kolejny łyk, żeby przełknąć zdumienie. A zatem nie zajmuje się już dziennikarstwem. Głos Manuela wyrwał mnie z zadumy.

– Za gorąco tutaj. Spróbujemy szczęścia w ruletce?

I znowu musiałam udawać, że przepych kasyna nie robi na mnie wrażenia. Wspaniałe żyrandole zwieszały się na złożonych łańcuchach nad stołami, wokół których tłoczyły się setki graczy, rozmawiających w tylu językach, ile było krajów na mapie starej Europy. Miękkie dywany tłumiły odgłos kroków, wzmacniając dźwięki typowe dla rajy hazardzistów: trzask układanych w sterty żetonów, warkot ruletki, stukot kulek z kości słoniowej wirujących w szalonym tańcu i głosy krupierów, ogłaszających okrzykiem *Rien ne va plus!* koniec obstawiania. Liczne grono gości trwoniło pieniądze przy zielonych stolikach, lecz jeszcze więcej na stojąco przyglądało się w skupieniu grze. Arystokraci, wytrawni bywalcy Baden-Baden, Monte Carlo i Deauville – objaśniał mi Da Silva. Zubożali mieszczenie, wzbogaceni nędznicy, uczciwi ludzie przemienieni w łajdaków i prawdziwi łajdacy w przebraniu wielkich panów. Jedni ubrani jak na bal, dumni i pewni siebie – mężczyźni w sztywnych kołnierzykach i krochmalonych gorsach, kobiety w roziskrzonym blasku klejnotów – inni, w wyświechtanych smokingach, przemykali chyłkiem, polując na znajomych, których można by naciągnąć na pożyczkę, pełni złudnych nadziei na wielki los, gotowi zagrać w bakarata o ostatnie rodowe klejnoty albo jutrzejsze śniadanie. Tych pierwszych

srowadziła tu chęć dobrej zabawy, chciwość lub dreszczyk emocji, tych drugich – desperacja i naga rozpacz.

Krążyliśmy po sali, obserwując stoliki: on wciąż rozdawał ukłony i komplementy, ja prawie się nie odzywałam. Chciałam stamtąd wyjść, zamknąć się w swoim pokoju i zapomnieć o świecie. Pragnęłam tylko jednego: żeby ten przeklęty dzień wreszcie się skończył.

– Widzę, że nie masz dzisiaj ochoty zostać milionerką.

Uśmiechnęłam się słabo.

– Jestem skonana – powiedziałam, starając się nadać głosowi ton pełen słodczy; bałam się, że Manuel zauważy mój niepokój.

– Chcesz, żebym cię odprowadził do hotelu?

– Byłabym wdzięczna.

– Poczekaj momencik.

Odszedł kilka kroków, żeby uścisnąć rękę znajomemu, którego właśnie zobaczył.

Stałam bez ruchu, nieobecna duchem, obojętna na przepych i zgiełk. I wtedy go spostrzegłam: skradał się cicho jak cień, przeszedł za mną tak blisko, że prawie otarł się o moje plecy, i ukradkiem wcisnął mi coś w rękę. Nie poruszyłam się, nawet nie drgnęłam. Oddalił się bez słowa. Udając, że patrzę na oblegany przez graczy stolik, zacisnęłam palce na złożonej we czworo karteczce i szybko wsunęłam ją za szeroki pasek sukni akurat w chwili, gdy Manuel odwrócił się i ruszył w moją stronę.

– Idziemy?

– Muszę jeszcze wstąpić do toalety.

– Poczekam tutaj.

Odchodząc, rozglądałam się, ale Marcus już zniknął. W toalecie było pusto; tylko jakaś stara Murzynka drzemała na krzeselku przy drzwiach. Wyjęłam karteczkę z za paska i rozwinęłam niecierpliwie.

„Co się stało z S, którą zostawiłem w T?”

S to Sira, a T to Tetuan. Gdzie się podziało moje dawne ja z afrykańskich czasów, pytał Marcus. Otworzyłam torebkę, żeby poszukać chusteczki i odpowiedzi, w oczach zakręciły mi się łzy. Chusteczkę znalazłam, odpowiedzi nie.

## 56

W poniedziałek byłam umówiona z kapelusznikiem na rua da Prata, dwa kroki od biura Da Silvy – doskonały pretekst, żeby zajrzeć do niego na chwilę, a przy okazji rozejrzeć się i sprawdzić, kto tam bywa.

Zastałam jedynie młodą niesympatyczną sekretarkę. Beatriz Oliveira, o ile dobrze zapamiętałam.

– Pan Da Silva wyjechał. W interesach – oznajmiła lakonicznie.

Podobnie jak podczas mojej poprzedniej wizyty nawet nie siła się na uprzejmość; pomyślałam jednak, że to pewnie jedyna możliwość, by pogadać z nią sam na sam. Nie mogłam przepuścić takiej okazji. Znając rozmowność dziewczyny i patrząc na jej ponurą minę, wątpiłam, czy uda mi się z niej coś wycisnąć, ale że nie miałam nic lepszego do roboty, postanowiłam spróbować.

– A to pech. Chciałam go wypytać o tkaniny, które poprzednio mi pokazał. Są jeszcze w jego gabinecie? – zapytałam.

Serce zabiło mi mocniej na myśl, że będę mogła pobuszować tam pod nieobecność Manuela, ale Beatriz Oliveira zdusiła w zarodku moje złudne nadzieje.

– Nie. Zabrano je do magazynu.

Błyskawicznie rozważyłam sytuację: pierwsza próba zawiodła, ale nie dam się spławić tak łatwo.

– Pozwoli pani, że posiedzę tu minutkę? Od rana oglądam kaszkiety, turbany i kapelusze... Sądzę, że należy mi się krótki odpoczynek.

Nie zostawiłam jej czasu na odpowiedź. Zanim zdążyła otworzyć usta, opadłam na skórzany fotel, symulując straszliwe zmęczenie. Siedziałyśmy w milczeniu. Wodziła ołówkiem po jakimś opasłym dokumencie, stawiając od czasu do czasu jakiś znaczek i robiąc notatki na marginesie.

– Papierosa? – zapytałam po upływie trzech minut. Nie byłam nałogową palaczką, ale zawsze miałam przy sobie papierośnicę. Na wszelki wypadek.

– Nie, dziękuję – powiedziała, nie podnosząc wzroku.

Zapaliłam sama i odczekałam jeszcze parę minut.

– To pani znalazła dostawców, umówiła spotkania i przygotowała dla mnie teczkę z ofertą?

Wreszcie na mnie spojrzała.

– Tak, ja.

– Świetna robota. Nawet pani nie wie, jak mi to ułatwiło pracę.

Wymamrotała krótkie „dziękuję” i wróciła do swego zajęcia.

– Pan Da Silva ma rozległe kontakty – ciągnęłam. – To wspaniale – móc handlować z tyloma firmami, do tego zagranicznymi. W Hiszpanii to nie wygląda tak różowo.

– Wcale mnie to nie dziwi – mruknęła.

– Słucham?

– Mówię, że wcale mnie to nie dziwi. Wiadomo, kto wami rządzi – wycedziła przez zęby, udając, że jest zajęta pracą.

Poczułam na plecach przyjemny dreszczyk: sumienna sekretarka Da Silvy interesuje się polityką. Tu cię mam...

– Tak, oczywiście – odparłam, gasząc z namaszczeniem papierosa. – Czego się można spodziewać po kimś, kto chce zmusić kobiety, żeby siedziały w domu przy garach i rodziły jedno dziecko za drugim?

– Kto więzi tysiące ludzi i nie ma żadnej litości dla pokonanych – dodała zgryźliwie.

– Tak, zapewne... – Rozmowa przybierała nieoczekiwany obrót, musiałam działać nadzwyczaj ostrożnie, żeby zaskarbić sobie zaufanie tej kobiety. – Była pani w Hiszpanii, Beatriz?

Zaskoczyło ją, że znam jej imię. Zechciała w końcu łaskawie odłożyć ołówek i zaszczycić mnie spojrzeniem.

– Nie, nigdy, ale wiem, co się tam dzieje. Przyjaciele mi opowiadali. Ale pani pewnie nie wie, o czym mówię. Pani się obraca w innym towarzystwie.

Wstałam, podeszłam do biurka i bezczelnie usiadłam na brzeżku. Przyjrzałam się jej z bliska, żeby sprawdzić, jaka osoba kryje się pod tym tanim ubraniem, które prawdopodobnie uszyła jej przed laty za kilka skudów jakaś sąsiadka. Za okularami spostrzegłam inteligentne oczy, a w nich –



przyczajoną za barykadą sumiennej pracowitości – wolę walki, która wydała mi się jakby znajoma. Beatriz Oliveira i ja nie różniłyśmy się od siebie tak bardzo. Dwie pracujące dziewczyny, pochodzące z tego samego środowiska ludzi biednych i dzielnych. Dwie równoległe trajektorie losu, które w pewnym momencie rozeszły się w przeciwnych kierunkach. Z niej czas uczynił pedantyczną sekretarkę, ze mnie – falsyfikat. A jednak łączyło nas rzeczywiste podobieństwo. Ja mieszkałam w luksusowym hotelu; ona, zapewne, w zawilgoconym domu na ubogich przedmieściach. Ale obie wiedziałyśmy, czym jest walka z nieubłaganym losem, który tylko czeka, by ukąsić nas boleśnie.

– Znam wielu ludzi, Beatriz, różnych ludzi – powiedziałam cicho. – Teraz obracam się wśród bogaczy, bo tego wymaga moja praca, a także dlatego, że wskutek nieprzewidzianego splotu okoliczności znalazłam się po ich stronie, ale dobrze wiem, jak to jest marznąć zimą, jadać byle co i harować od świtu w zamian za nędzną dniówkę. A jeżeli to panią interesuje, mnie też wcale się nie podoba Hiszpania, którą chcą nam zafundować. Czy teraz przyjmie pani ode mnie papierosa?

Bez słowa wyciągnęła rękę i wyjęła jednego z paczki. Podałam jej zapalniczkę, potem sama przypaliłam.

– A tu, w Portugalii, jak to wygląda? – zapytałam.

– Źle – odparła, wydmuchując dym. – Może Estado Novo Salazara nie jest tak represyjne jak frankistowska Hiszpania, ale od autorytaryzmu tylko krok do łamania praw obywatelskich.

– Wy przynajmniej zachowaliście neutralność w tej wojnie – powiedziałam, uchwyciwszy się tego wątku. – W Hiszpanii to nie jest takie jednoznaczne.

– Salazar dotrzymuje umów z Anglikami i z Niemcami, to dość osobliwy balans. Brytyjczycy zawsze byli przyjaciółmi Portugalczyków, dlatego to dość dziwne, że tak hojnie obdarza Niemców przywilejami handlowymi.

– Czy ja wiem? To dość delikatne sprawy w dzisiejszych burzliwych czasach. Prawdę mówiąc, nie znam się zbytnio na polityce międzynarodowej, ale myślę, że to kwestia interesów. – Usiłowałam nadać głosowi beztroski ton, jakby ów temat niewiele mnie obchodził; nadeszła chwila, żeby przejść do rzeczy, powinnam być ostrożna. – Przypuszczam, że tak samo jest w świecie biznesu – dodałam. – Nie szukając daleko... przedwczoraj, kiedy byłam u pana Da Silvy, przyszedł tu jakiś Niemiec.

– Tak, oczywiście, ale to co innego. – Minę miała zde gustowaną i nie wyglądało na to, że powie coś więcej.

– Wczoraj pan Da Silva zaprosił mnie na kolację do tutejszego kasyna. Zdziwiłam się, że zna tyle osób: Anglików, Amerykanów, Niemców, ludzi z niemal całej Europy... Przyjaźni się ze wszystkimi. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś miał taką łatwość w nawiązywaniu kontaktów.

Skrzywiła się znowu, ale nic nie powiedziała, a ja starałam się usilnie podtrzymać konwersację.

– Szkoda mi było Żydów, którzy musieli zostawić wszystko i uciekać...

– Szkoda pani było Żydów z kasyna w Estoril? – zapytała z cynicznym uśmieszkiem. – Mnie wcale: żyją tu sobie jak na luksusowych wakacjach. Ale szkoda mi tych ubogich nieszczęśników, którzy przyjechali tu z jedną tekturową walizką i całymi dniami stoją w kolejkach do różnych konsulatów po wizy i bilety do Ameryki, chociaż pewnie nigdy się ich nie doczekają. Szkoda mi rodzin, które śpią w brudnych, zatłoczonych pensjonatach i żywią się w publicznych jadłodajniach; szkoda dziewczyn, które sprzedają się na ulicy za garść skudów, szkoda staruszków, którzy przesiadują w kafejkach nad pustymi filiżankami, dopóki kelner nie każe im się wynosić, żeby zrobić miejsce dla innych klientów. To ich mi szkoda. Ci, którzy co noc trwonią maleńką część swojej fortuny w kasynie, nie budzą mojej litości.

To, o czym mówiła, było poruszające, ale nie mogłam sobie pozwolić na słabość. Rozmowa zmierzała w pożądanym kierunku, nie wolno mi było teraz zrezygnować za żadną cenę. Nawet za cenę wyrzutów sumienia.

– Ma pani słuszność, sytuacja tych ludzi jest dramatyczna. Poza tym musi ich boleć widok panoszących się wszędzie Niemców.

– Cóż, chyba tak...

– Jak również fakt, iż rząd państwa, w którym się schronili, sprzyja Trzeciej Rzeszy...

– Tak, zapewne...

–... i że niektórzy portugalscy biznesmeni robią kokosy na kontraktach z nazistami.

Ostatnie zdanie wypowiedziałam tonem cichym i złowieszcym, zaglądając jej z bliska w oczy. Przez chwilę pasowałyśmy się wzrokiem.

– Kim pani jest? – zapytała w końcu ledwie słyszalnym głosem.

Odchyliła się w tył, odsuwając krzesło od biurka, byle dalej ode mnie. Jej wargi drżały ze strachu, ale nie odwróciła oczu ani na sekundę.

– Jestem tylko krawcową – szepnęłam. – Zwykłą, ciężko pracującą kobietą, której tak samo jak pani nie podoba się to, co tu się dzieje.

Zesztywniała, z trudem przełykając ślinę. I wtedy zadałam dwa pytania. Powoli i wyraźnie. Bardzo powoli i bardzo wyraźnie.

– Po co Da Silva zadaje się z Niemcami, Beatriz? W co on gra?

Wytrzeszczyła na mnie oczy. Miałam wrażenie, że przełyka nie ślinę, ale słońca.

– Ja nic nie wiem – wydusiła z siebie w końcu.

Od drzwi ryknął nagle czyjś tubalny, rozwścieczony głos:

– Pamiętaj, żeby moja noga więcej nie powstała w tej jadłodajni na rua do São Julião. Czekałem na obiad ponad godzinę, a przed powrotem don Manuela muszę załatwić tyle spraw! Ach, przepraszam, panna Agoriuq... nie wiedziałem, że pani tu jest.

– Już wychodzę – odparłam z udawaną swobodą i chwyciłam torebkę. – Chciałam zrobić niespodziankę panu Da Silvii, ale panna Oliveira powiedziała, że wyjechał. Trudno, przyjdę innym razem.

– Zostawiła pani papierosy – usłyszałam za plecami wciąż jeszcze schrypnięty i matowy głos sekretarki.

Kiedy wyciągnęła rękę, żeby mi podać papierośnicę, z całej siły zacisnęłam palce na jej nadgarstku.

– Proszę to sobie przemyśleć.

Nie skorzystałam z windy. Zeszłam po schodach, odtwarzając w myślach scenę z sekretarką. Być może podjęłam zbyt wielkie ryzyko i niepotrzebnie się przed nią odsłoniłam, ale z jej zachowania wyczułam, że coś wie: coś, czego nie powiedziała raczej przez nieufność do mnie niż przez lojalność wobec przełożonego. Pomiędzy Da Silvą i jego sekretarką nie układało się najlepiej; byłam przekonana, że nigdy nie zdradzi mu treści tej dziwnej rozmowy. Podczas gdy on zapalał Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek, omotała go podrabiana Marokanka, żeby powęszyć w jego sprawach, a w szeregi zaufanego personelu wśliznęła się wywrotowa lewaczka. Musiałam znaleźć jakiś sposób, żeby znowu porozmawiać z nią sam na sam. Ale gdzie, kiedy i jak – nie miałam zielonego pojęcia.

## 57

We wtorek od świtu padał deszcz, a ja wróciłam do rutyny poprzednich dni i ruszyłam na dalsze zakupy. Szofer Da Silvy zawiózł mnie rano do tkalni na przedmieściach i po trzech godzinach odebrał pod bramą.

– Jedziemy do Baixa, João.

– Jeżeli chce się pani zobaczyć z don Manuelem, to jeszcze nie wrócił.

Świetnie, pomyślałam. Nie zamierzałam zobaczyć się z Da Silvą, ale z Beatriz Oliveirą.

– Nie szkodzi. Wystarczą mi sekretarki. Chcę tylko coś sprawdzić w zamówieniu.

Miałam nadzieję, że starsza pani znowu wyszła na obiad, zostawiając na stanowisku swoją małomówną koleżankę. Widocznie jednak wszystko się sprzysięgło przeciwko mnie, bo zastałam sytuację wręcz odwrotną: weteranka tkwiła na swoim miejscu i z okularami zsuniętymi na czubek nosa wertowała jakieś papiery. Po młodszej ani śladu.

– *Boa tarde*, senhora Somoza. Widzę, że zostawili panią samą.

– Don Manuel jeszcze nie wrócił, a panna Oliveira nie przyszła dziś do pracy. Czym mogę służyć, panno Agoriuq?

W ustach poczułam gorycz zawodu zmieszanego ze szczyptą niepokoju, ale jakoś to przełknęłam.

– Mam nadzieję, że nie jest chora – powiedziałam, ignorując pytanie.

– Na pewno nic poważnego. Rano przyszła jej siostra i powiedziała, że Beatriz jest trochę niedysponowana. Ma lekką gorączkę, ale jutro już chyba będzie.

Wahałam się przez moment. Szybko, Siro, wymyśl coś: zapytaj, gdzie mieszka, no i weź adres – natychmiast nakazałam sobie w duchu.

– Może mi pani podać adres? Chciałabym jej wysłać kwiaty. Była dla mnie bardzo miła, świetnie przygotowała spotkania z dostawcami.

Mimo wrodzonej dyskrecji sekretarka nie mogła powstrzymać pobłażliwego uśmiechu.

– Proszę się tym nie kłopotać. Doprawdy, to zupełnie niepotrzebne. Nie dostajemy tu kwiatów za to, że nie ma nas w pracy. To z pewnością nic takiego, zwykły katar albo coś w tym guście. W czym mogę pani pomóc?

– Zgubiłam rękawiczki – zmyśliłam na poczekaniu. – Przyszło mi do głowy, że zostawiłam je tu wczoraj...

– Nie widziałam ich nigdzie, ale może rano zabrały je sprzątaczkę. Proszę się nie martwić, zapytam.

Nieobecność Beatriz Oliveiry wprowadziła mnie w nastrój podobny do lizbońskiego nieba, które ujrzałam, wychodząc znowu na rua do Ouro: pochmurny, wietrzny i burzliwy. Straciłam apetyt. Wypiłam filiżankę kawy w pobliskiej kafejce Nicola i udałam się na umówione przez niedysponowaną dziś sekretarkę spotkanie z importerami egzotycznych towarów z Brazylii. Pomyślała, bardzo słusznie, że pióra tropikalnych ptaków mogą mi się przydać w tworzeniu kreacji. Strzał w dziesiątkę. Oby okazała się równie bystra w innych sprawach.

Pogoda się nie poprawiała, mój humor także. W drodze powrotnej do Estoril zrobiłam bilans moich osiągnięć od chwili przyjazdu do Portugalii. Wynik był katastrofalny. Z gadaniny João dało się wycisnąć niewiele konkretów prócz powtarzanych do znudzenia faktów z odległej przeszłości rodziny, bez związku z obecnym życiem don Manuela. Staruszek nie miał co robić i z nudów plótł, co mu ślina na język przyniosła. Na temat wspomnianych przez żonę Hillgartha prywatnych spotkań z Niemcami ani słowa. A jedyna osoba, która nadawała się na

moją potencjalną konfidentkę, wymknęła mi się z rąk, symulując chorobę. Jeżeli dodać do tego bolesne spotkanie z Marcusem, mogłam śmiało uznać, że poniosłam klęskę na wszystkich frontach. Jedynie moje klientki skorzystały na tej podróży, bo powrócę uzbrojona w arsenał cudów, których nie kupiłabym na kartki w Hiszpanii. W ponurym nastroju zjadłam lekką kolację w hotelowej restauracji i postanowiłam wcześniej położyć się spać.

Jak co wieczór pokojówka troskliwie przygotowała mi pokój: zasłony zasunięte, lampka nocna zapalona, narzuta zdjęta, róg kołdry równiutko wywinięty. Przyszło mi na myśl, że ta świeżo wyprasowana pościel z cieniutkiego szwajcarskiego batystu jest jedyną dobrą rzeczą w tym parszywym dniu: pomoże mi zapaść w niebyt snu, zapomnieć choć na kilka godzin o zawiedzionych nadziejach. Koniec dnia. Wynik: zero.

Już się miałam położyć, gdy poczułam chłodny powiew. Boso podeszłam do balkonu, odsunęłam zasłonę i zobaczyłam, że jest otwarty. Zapomnieli zamknąć, pomyślałam i zatrzasnęłam oszklone drzwi. Usiadłam na łóżku i zgasiałam światło. Nie chciało mi się czytać. Wyciągnęłam się wygodnie i wówczas lewa noga zaplątała mi się w coś miękkiego i lekkiego. Stłumiłam okrzyk strachu, sięgnęłam do lampki i niechcący strąciłam ją na podłogę, ale zaraz podniosłam, próbując namacać wyłącznik pod przekrzywionym kloszem. Kiedy zabłysło światło, jednym ruchem odrzuciłam kołdrę. Co, u diabła, robi w moim łóżku ten kłęb czarnych szmat? Nie śmiałam ich dotknąć, dopóki dobrze się nie przyjrzałam. Wyglądały jak mszalny welon. Wzięłam go w dwa palce i



podniosłam: kłęb się rozwinął, a ze środka wypadło coś, co przypominało święty obrazek. Ostrożnie chwyciłam go za rozek, jakby w obawie, że rozpadnie mi się w rękach, przysunęłam do światła: zobaczyłam fasadę jakiegoś kościoła, wizerunek Najświętszej Pani i drukowany podpis: *Igreja de São Domingos. Novena em louvor a Nossa Senhora do Fátima*<sup>33</sup>. Na odwrocie ktoś zanotował ołówkiem: „Środa, szósta wieczorem. Lewa nawa, rząd dziesiąty, licząc od wejścia”. Podpisu brak. Bo i po co.

Przez cały następny dzień omijałam z daleka biuro Da Silvy, chociaż wszystkie środowe spotkania miały miejsce w śródmieściu.

– Przyjedź po mnie później, João. O wpół do ósmej, na dworcu Rossio. Przedtem wstąpię do kościoła, dziś jest rocznica śmierci mojego ojca.

Przymknął oczy i skłonił się z żałobną miną. Poczułam wyrzuty sumienia, że tak lekko pogrzebałam Gonzala Alvarado, ale nie miałam czasu na rozterki. Zakryłam głowę czarnym welonem. Była za kwadrans szósta, wkrótce zaczynała się nowenna. Kościół São Domingos stał przy placu Rossio, w samym centrum miasta. Przed fasadą z kamienia i bielonego wapnem muru mignęło mi przed oczami wspomnienie matki. Zdawało mi się, że dostrzegam jej cień niknący w mrocznym wnętrzu. Po raz ostatni uczestniczyłam w religijnych obrzędach, kiedy chodziłyśmy razem do naszego maleńkiego kościółka w Tetuanie. W porównaniu do niego São Domingos wyglądał imponująco: wyniosłe szare kolumny podtrzymywały ciemny strop w kolorze sepii, a wśród nich tłoczyły się tłumy

wiernych, przeważnie kobiet, posłusznych różańcowemu wezwaniu Matki Bożej.

Szłam wzdłuż lewej nawy, powoli, ze złożonymi rękami i spuszczoną głową, licząc w skupieniu rzędy ławek. Kiedy dotarłam do dziesiątego, dostrzegłam przez welon klęczącą z brzegu żalobną sylwetkę: czarna spódnica i szal, grube wełniane pończochy – strój wszystkich ubogich kobiet w Lizbonie. Nie miała welonu, tylko zawiązaną pod brodą chustkę, opadającą na czoło tak nisko, że zasłaniała całą twarz. Ławka obok była pusta, ale przez kilka chwil nie wiedziałam, co robić. Wreszcie zauważyłam, że spod szala wysuwa się biała, wypielęgnowana dłoń, która spoczęła delikatnie na wolnym miejscu. Usiądź tutaj, zdawała się mówić kobieta. Usłuchałam natychmiast.

Trwałyśmy w milczeniu, podczas gdy wierni z wolna zapełniali kościół, ministranci krzatali się przy ołtarzu, a z głębi dobiegał monotonny pomruk cichych głosów. Od czasu do czasu zerkałam kątem oka na kobietę w czerni, ale nie udało mi się dostrzec jej twarzy. Zresztą nie musiałam: nie miałam najmniejszych wątpliwości, kim jest. Postanowiłam przełamać lody i szepnęłam:

– Dziękuję za zaproszenie, Beatriz. Proszę się nie obawiać, nikt w Lizbonie nie dowie się o tym spotkaniu.

Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili, ledwo słyszalnym głosem, nie podnosząc oczu.

– Pracuje pani dla Anglików, prawda?

Nieznacznie skinęłam głową.

– Nie jestem pewna, czy to się wam na coś przyda. Wiem tylko, że Da Silva pertraktuje z Niemcami na temat czegoś, co ma związek z kopalniami w Beira. To region w głębi kraju. Nigdy przedtem nie miał tam żadnych interesów. Zaczęło się niedawno, kilka miesięcy temu. Teraz jeździ tam prawie co tydzień.

– O co chodzi?

– O coś, co nazywają „wilczą śliną”. Niemcy domagają się wyłączności. Da Silva ma przekonać właścicieli sąsiednich kopalni, żeby weszli z nim w spółkę i przestali handlować z Anglikami.

Daleko przed nami, z bocznych drzwi prezbiterium wyszedł ksiądz, dziwnie niepozorny wobec ogromu świątyni. Wszyscy powstali, my też.

– Co to za Niemcy? – szepnęłam spod welonu.

– Do biura przychodzi tylko Weiss. Był trzy razy. Da Silva nigdy nie rozmawia z nimi przez telefon, boi się podsłuchu. Wiem, że spotykał się też z jakimś Woltersem. W tym tygodniu ma przyjechać ktoś z Hiszpanii. Jutro, w czwartek, będą wszyscy na kolacji w wiejskim domu don Manuela: Niemcy i Portugalczycy, właściciele kopalni w Beira. Mają tam dobić targu. Goście zjawią się z żonami. Da Silva chce im się przypodobać, już kazał mi zamówić kwiaty i czekoladki.

Ksiądz skończył modlitwę. Wierni usiedli: zaskrzypiały ławki, zaszleściły ubrania, tu i ówdzie rozległo się czyjeś westchnienie.

– Przykazał nam – ciągnęła z pochyloną głową – żebyśmy nie łączyły telefonów od Anglików, z którymi przedtem był w

dobrych stosunkach. A dzisiaj rano spotkał się w magazynie z dwoma byłymi więźniami, których czasem zatrudnia jako ochroniarzy. Poznał ich, kiedy wdał się w jakieś mętne interesy. Usłyszałam tylko koniec tej rozmowy. Kazał im śledzić tych Anglików i w razie potrzeby unieszkodliwić.

– To znaczy?

– Chyba usunąć z drogi.

– Jak?

– Niech pani sobie sama odpowie.

Wierni znowu wstali, poszliśmy za ich przykładem. Zaintonowali jakąś żarliwą pieśń, a ja poczułam, że krew huczy mi skroniach.

– Zna pani nazwiska tych Anglików?

– Mam tu zapisane.

Ukradkiem podała mi złożoną na pół karteczkę, którą mocno ścisnęłam w ręce.

– Nic więcej nie wiem, przysięgam.

– Proszę dać znać, jeżeli pani się czegoś dowie – powiedziałam, przypominając sobie otwarty balkon.

– Na pewno. A pani niech nikomu o mnie nie wspomina. I proszę już nie nachodzić mnie w biurze.

Nie zdążyłam jej tego obiecać, bo zerwała się z miejsca i niczym czarny kruk pomknęła do wyjścia. Ja zostałam jeszcze przez dłuższą chwilę, ukryta wśród kamiennych kolumn, jękliwych śpiewów i szmeru litanii. Kiedy w końcu ochłonęłam z wrażenia wywołanego jej słowami, rozwinęłam kartkę i wówczas potwierdziły się moje najgorsze obawy. Beatriz

Oliveira przekazała mi listę pięciu nazwisk. Na czwartym miejscu figurował Marcus Logan.

## 58

Jak co wieczór o tej porze w hotelowym foyer był tłok i gwar: głośne rozmowy, woń perfum i drogiego tytoniu; panie w perłach, panowie w lnianych garniturach lub po wojskowemu, pikolaki w uniformach ze złotymi guzikami. I ludzie, których wolałabym pewnie nie spotkać. Jeden z nich czekał na mnie. Chociaż udawałam, że cieszę się ze spotkania, po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Z pozoru był to ten sam Manuel da Silva, którego poznałam kilka dni temu: pewny siebie, doskonale ubrany, siwiejący na skroniach dojrzały mężczyzna, uprzejmy i uśmiechnięty. Wyglądał tak jak przedtem, ale jego widok wzbudził we mnie żywą niechęć. Z trudem się powstrzymałam, by nie odwrócić się na pięcie i uciec. Na ulicę, na plażę, na koniec świata. Dokądkolwiek, byle z dala od niego. Przedtem jedynie go podejrzewałam i łudziłam się nadzieją, że pod tą pociągającą powierzchownością kryje się porządny człowiek. Teraz wiedziałam, że tak nie jest. Wątpliwości Hillgartha potwierdziły się wczoraj w kościele: uczciwość i lojalność nie idą w parze z interesami w czasie wojny. Da Silva sprzedał się Niemcom, a jakby tego było mało, do zdrady dołożył nikczemne zamiary wobec dawnych przyjaciół: jeśli będą przeszkadzać, usunie ich bez skrępowań. Pomyślałam o Marcusie i coś zakłuło mnie w środku.

Duszą i ciałem chciałam uciec od Manuela, ale nie mogłam: nie tylko dlatego, że na drodze stanął mi obładowany kuframi i

walizami wózek, który utknął w obrotowych drzwiach; istniały inne, znacznie ważniejsze powody. Dowiedziałam się właśnie, że za dwadzieścia cztery godziny Da Silva będzie gościł u siebie swoich niemieckich kontrahentów. To na pewno o tym spotkaniu mówiła mi żona Hillgartha i tam prawdopodobnie omawiane będą szczegóły transakcji. Postanowiłam, że za wszelką cenę muszę zdobyć zaproszenie na to przyjęcie. Czas jednak działał teraz na moją niekorzyść. Pozostało mi tylko jedno wyjście: ucieczka do przodu.

– Przyjmij ode mnie wyrazy współczucia, droga Arish.

Przez chwilę nie wiedziałam, o czym mówi. I nagle mnie olśniło:

– Dziękuję – szepnęłam. – Mój ojciec nie był chrześcijaninem, ale uważam, że należy mu się chwila skupienia i modlitwy. W każdą rocznicę chodzę do kościoła.

– Masz ochotę na kieliszek wina? Być może to nie jest dobry moment, ale powiedziano mi, że byłeś u mnie w biurze parę razy, więc postanowiłem odwzajemnić te wizyty. Wybacz, że nie mogłaś mnie zastać... Ostatnio wyjeżdżam częściej, niżbym chciał.

– Dziękuję, chętnie. Myślę, że dobrze mi zrobi łyk czegoś mocniejszego, to był długi dzień. Tak, wpadłam do twojego biura, ale tylko po to, żeby się przywitać... U dostawców świetnie mi poszło – przemogłam się siłą woli i uśmiechnęłam promiennie.

Wyszliśmy na taras, na którym spotkaliśmy się po raz pierwszy. Wszystko było jak przedtem. Prawie. Sceneria się nie zmieniła: palmy kołysane morską bryzą, ocean w głębi, srebrny

księżyc oraz idealnie schłodzony szampan. Coś jednak psuło ów sielski obrazek. Obserwowałam, jak Manuel znów wita się ze wszystkimi, i nagle zrozumiałam, że to on jest zgrzytem w ogólnej harmonii. Nie zachowywał się w sposób naturalny. Starał się być czarujący jak zawsze i jak zawsze sięgał do arsenału przyjacielskich słówek i serdecznych gestów, ale gdy tylko myślał, że nikt nie patrzy, usta wykrzywiał mu zacięty grymas, który znikał automatycznie, gdy nasze oczy znów się spotykały.

– A więc nakupiłaś mnóstwo tkanin...

– I nici, dodatków, ozdób... milion artykułów pasmanteryjnych.

– Twoje klientki będą zachwycone.

– Zwłaszcza Niemki.

Rękawica została rzucona. Musiałam go jakoś sprowokować: to moja ostatnia szansa. Jeżeli się nie uda, jeżeli mnie teraz nie zaprosi, koniec misji. Uniósł brew i spojrzał na mnie pytająco.

– Mają większe wymagania, potrafią docenić jakość – wyjaśniłam. – Hiszpankom zależy tylko na ostatecznym rezultacie, a Niemki zwracają uwagę na każdy szczegół, są bardzo drobiazgowe. Na szczęście udało mi się zaskarbić ich zaufanie i świetnie się rozumiemy. Co więcej, odnoszę wrażenie, że mam do tego wybitny talent. I cierpliwość. Potrafię im dogodzić – odparłam z szelmowskim uśmiechem i puściłam do niego oko.

Zbliżyłam kieliszek do ust i cudem się powstrzymałam, by nie wychylić go duszkiem. No, Manuel... śmiało, powiedz coś, pomyślałam. Zaproś mnie wreszcie, mogę ci się przydać, mogę

zabawiać towarzyski twoich gości, kiedy będziecie radzić, jak wyrolować Anglików z handlu „wilczą śliną”.

– Zdaje się, że w Madrycie też jest sporo Niemców? – zapytał nagle.

To nie było niewinne pytanie o życie towarzyskie w sąsiednim kraju. Naprawdę go interesowało, jakich mam znajomych i co mnie z nimi łączy. Byłam coraz bliżej. Wiedziałam, co powinnam powiedzieć i w jakich słowach: wymienić nazwiska odpowiednich ludzi odpowiedniej rangi, od niechcienia, z pozorną nonszalancją.

– Mnóstwo – odrzekłam z roztargnieniem. Rozparłam się w trzcinowym fotelu, niedbale machnęłam ręką, założyłam nogę na nogę, upiłam łyżeczk szampana. – Właśnie niedawno baronowa Stohrer, żona ambasadora, powiedziała podczas wizyty w moim atelier, że Madryt stał się niemiecką kolonią. Niektóre panie prawie od nas nie wychodzą. Elsa Bruckmann, na przykład... to podobno bliska przyjaciółka samego Hitlera... No więc Elsa Bruckmann bywa dwa, nawet trzy razy w tygodniu. A na ostatnim przyjęciu u Hansa Lazara, attaché prasowego w niemieckiej ambasadzie...

Opowiedziałam kilka pikantnych anegdotek, wtrącając przy okazji jeszcze kilka nazwisk. Ze sztuczną obojętnością, jakbym nie przywiązywała do tego wagi. Spostrzegłam, że Da Silva słucha mojej paplaniny z narastającym zainteresowaniem, jakby świat wokół niego nagle przestał istnieć. Ledwie odpowiadał na ukłony i powitania, zapomniał opróżnić kieliszek, a popiół na końcu tłącego się papierosa przyjmował z



wolna kształt szarego jedwabnika. Wreszcie stwierdziłam w duchu, że nie powinnam przeciągać struny.

– Wybacz, przypuszczam, że takie plotki muszą cię okropnie nudzić. Te wszystkie bale, suknie i inne kobiece dyrdymałki... Opowiedz lepiej, jak udała ci się podróż.

Gawędziliśmy jeszcze przez jakieś pół godziny, lecz żadne z nas nie wspomniało już ani słowem o Niemcach. A jednak coś wisiało w powietrzu.

– Sądzę, że czas na kolację – powiedział, patrząc na zegarek. – Może chciałabyś...?

– Jestem wykończona. Może przełożymy to na jutro?

– Jutro nie mogę. – Zawahał się na moment, a ja wstrzymałam oddech, ale dodał tylko: – Jestem umówiony.

Śmiało, mała, wystarczy tylko jeszcze trochę go docisnąć.

– Szkoda, to jest nasz ostatni wieczór. – Moje rozczarowanie było niemal autentyczne, podobnie jak pragnienie, by usłyszeć to, na co czekałam od tylu dni. – W piątek wracam do Madrytu, w przyszłym tygodniu mam mnóstwo pracy. Baronowa de Petrino, żona Lazara, wydaje przyjęcie w następny czwartek i chyba z pół tuzina Niemek chce, żebym...

– A może przyjdiesz?

Miałam wrażenie, że serce mi zamiera.

– Będzie tylko kilku przyjaciół. Niemcy i Portugalczycy. U mnie.

## 59

– Ile pan weźmie za podwiezienie mnie do Lizbony?

Rozejrzał się wokoło, aby się upewnić, że nikt nie patrzy.

Potem zdjął czapkę i zawzięcie podrapał się w głowę.

– Dziesięć skudów – powiedział, miętosząc w ustach niedopałek.

Podalam mu dwadzieścia w jednym banknocie.

– Jedziemy.

Zanim doszło do owej wymiany zdań, próbowałam zasnąć przykładnie w hotelowym łóżku. Niestety, bez powodzenia: uczucia i doznania buzowały w mojej głowie, jakby chciały rozsadzić mi czaszkę. Radość, że sprawy w końcu ruszyły z miejsca, niepokój przed tym, co mnie czekało, przykra satysfakcja z odkrycia smutnej prawdy o Manuelu. I silniejszy od wszystkiego lęk o Marcusa Logana, który znalazł się na złowieszczej liście i prawdopodobnie o tym nie wie, a ja jestem zupełnie bezradna, bo nie mogę go zawiadomić. Nie miałam pojęcia, gdzie go szukać, spotkałam się z nim tutaj tylko dwa razy w jakże różnych okolicznościach. Zapewne jedynym miejscem, gdzie mogłabym znaleźć jakąś wskazówkę, było biuro Da Silvy, ale w żadnym wypadku nie powinnam zwracać się z tym do Beatriz Oliveiry, tym bardziej teraz, kiedy jej szef wrócił.

Pierwsza nad ranem, wpół do drugiej, druga za kwadrans. Robiło mi się na zmianę zimno i gorąco. Druga, dziesięć po drugiej. Wstałam, otworzyłam i zamknęłam okno, wypłam szklanekę wody, zapaliłam światło, zgasłam. Trzecia za dwadzieścia, trzecia, kwadrans po trzeciej. I nagle znalazłam rozwiązanie. A przynajmniej tak mi się wydawało. Założyłam najciemniejsze ubranie, jakie miałam w szafie: czarną sukienkę z moherowej wełny, ołowianoszary żakiet i kapelusz z

opadającym na oczy rondem. Jeszcze tylko klucz i garść banknotów. Niczego więcej nie potrzebowałam. Oprócz szczęścia.

Zeszłam na palcach schodami dla służby. Wszędzie było cicho i niemal zupełnie ciemno. Ruszyłam przed siebie, nie bardzo wiedząc, którędy iść, ale zdałam się na instynkt. Kuchnie, spiżarnie, pralnie, kotłownie. Przez tylne drzwi piwnicy wydostałam się na ulicę. Z pewnością nie była to najlepsza droga: uprzytomniłam sobie, że wtedy wywożono śmieci. Pocieszyła mnie myśl, że to przynajmniej śmieci bogaczy.

Była ciemna noc, sto metrów dalej dostrzegłam oświetlone kasyno, od czasu do czasu słyszałam dobiegające stamtąd odgłosy: słowa pożegnania, stłumiony śmiech, warkot silnika. A potem cisza. Usiadłam na krawężniku i czekałam skulona, z postawionym kołnierzem i rękami w kieszeniach, zasłonięta przez stertę skrzynek z syfonami. Urodziłam się w robotniczej dzielnicy, wiedziałam, że niedługo zacznie się ruch: wielu ludzi wstawało przed świtem, żeby uprzyjemnić życie tym, którzy mogli sobie pozwolić na luksus wysypiania się do późna. Przed czwartą w suterrenach hotelu zapaliły się pierwsze światła i po chwili zobaczyłam dwójkę pracowników z nocnej zmiany. Przystanęli, żeby zapalić papierosy, osłaniając dłońmi płonące zapalki, po czym odeszli bez pośpiechu. Podjechała furgonetka, z której wysypał się co najmniej tuzin młodych kobiet, i zaraz ruszyła dalej. Zaspiane dziewczyny, prawdopodobnie kelnerki, zniknęły wewnątrz hotelu. Następnie pojawił się na motorze jakiś chudy, nieogolony osobnik. Mocował się chwilę z bagażnikiem, a potem zniknął w kuchni, niosąc wielki

wiklinowy kosz pełen czegoś, czego z daleka nie mogłam w ciemności dostrzec. Wrócił po krótkiej chwili. Dopiero wówczas wyłoniłam się z mroku i zapytałam, czy mnie podrzuci do miasta.

Wytarłam chusteczką siodełko, ale rezultat był mizerny. Pachniało kurnikiem, całe było oblepione resztkami słomy, pierza, skorupki i ptasich odchodów. Jajka na śniadanie podawano gościom apetycznie usmażone, skwierczące na podgrzanych porcelanowych talerzach z pozłacanymi brzegami. Wehikuł, jakim je transportowano z wylęgarni do hotelowej kuchni, był znacznie mniej elegancki. Trzęsąc się i podrygując na wybojach, usiłowałam zapomnieć o miękkich skórzanych siedzeniach bentleya, przytulona do pleców dostawcy jaj. Mimo tak bliskiego kontaktu fizycznego nie zamieniliśmy po drodze ani słowa. Podałam mu tylko adres.

– Jesteśmy – powiedział, zatrzymując pojazd.

Poznałam fasadę budynku.

– Dołożę jeszcze pięćdziesiąt skudów, jeśli przyjedzie pan po mnie za dwie godziny.

O nic nie pytał. Przytknął tylko palec do daszka czapki: umowa stoi.

Brama była zamknięta. Usiadłam na kamiennej ławce, wypatrując nocnego stróża. W kapeluszu naciśniętym na oczy zabijałam niepewność, oskubując się z pierza i słomy. Na szczęście nie musiałam długo czekać; zjawił się po kwadransie, pobrzękując pękiem kluczy. Gładko przełknął historyjkę o zostawionej przez zapomnienie torebce i bez protestów wpuścił mnie do budynku. Szybko przebiegłam wzrokiem po

nazwiskach na skrzynkach pocztowych, wspięłam się na dwie kondygnacje schodów i zastukałam w drzwi mosiężną kołatką większą niż moja dłoń.

Wewnątrz ktoś się obudził. Najpierw usłyszałam człapanie i szuranie kapciami. W judaszu ukazało się czyjeś ciemne, zdumione, zaropiałe od snu oko. Potem dobiegł mnie odgłos zręcznych, energicznych kroków. I szepty. Gorączkowe, głośne szepty. Nawet przez grube drewniane drzwi rozpoznałam jej głos. Moje domysły się potwierdziły, kiedy w otworze wizjera ujrzałam inne oko: jasne, błękitne.

– Rosalindo, to ja, Sira. Otwórz mi.

Zgrzytnęła zasuwa. Jedna, druga.

Powitanie było krótkie, radosne i ciche.

– *What a marvellous surprise!* Ale co ty tu robisz w środku *noite*<sup>34</sup>, *my dear*? Powiedzieli mi, że przyjedziesz do Lizbony, ale nie będę się mogła z tobą zobaczyć. Co słyszeć w Madrycie? Co u...?

Moja radość była równie wielka, ale strach kazał mi zachować ostrożność.

– Cśśśśśś... – syknęłam, próbując ją trochę zmitygować. Na próżno.

Nawet wyrwana o świcie ze snu wyglądała szykownie i z klasą: jasna, delikatna, jakby przezroczysta skóra, wiotka, krucha sylwetka otulona długim jedwabnym szlafrocikiem w kolorze kości słoniowej, złote, kręcone włosy, może trochę krócej obcięte. I jak dawniej mnóstwo słów: angielskich, hiszpańskich, portugalskich.

Kiedy tak stałam tuż przy niej, na usta cisnęły mi się tysiące długo tłumionych pytań. Co się z nią działo od czasu, gdy tak pośpiesznie uciekła z Hiszpanii, jakich sztuczek użyła, żeby znowu wyjść na swoje, jak przyjęła upadek Beigbedera? Jej mieszkanie tchnęło dobrobytem i luksusem, chociaż wiedziałam, że nie stać jej na taki apartament. Wolałam nie drążyć tematu. Rosalinda Fox nie bała się trudnych wyzwań. W beznadziejnych, jak by się zdawało, sytuacjach promieniowała witalnością i optymizmem zdolnym skruszyć wszelkie przeszkody, ominąć każdą rafę, a nawet wskrzeszać zmarłych, jeżeli taka była jej wola.

Wzięła mnie pod rękę i poprowadziła długim korytarzem, wśród szeptów i wspomnień. Kiedy znalazłyśmy się w sypialni, zamknęła drzwi, a ja zachłysnęłam się nagle afrykańskim powietrzem, bo miałam wrażenie, że znów jestem w Tetuanie. Berberyjski kobierzec, mauretańska latarnia, obrazy. Rozpoznałam jedną z akwarelek Bertuchiego: stara medyna, bielone wapnem mury, Rifenki sprzedające pomarańcze, obładowany pakunkami muł, haiki i dżelaby, a w głębi wieżyczka minaretu na tle marokańskiego nieba. Oderwałam wzrok; nie czas na nostalgię, nie w tej chwili.

– Muszę odnaleźć Marcusa Logana.

– Popatrz, co za bieg okoliczności! Był u mnie kilka dni temu. Pytał o ciebie.

– Co mu powiedziałaś? – zapytałam w popłochu.

– Prawdę – odparła, podnosząc prawą dłoń jak do przysięgi. – Że po raz ostatni widziałam cię rok temu, w Tangerze.

– Wiesz, gdzie on jest?

– Nie. Umówiliśmy się, że zajrzy kiedyś do Charta. I tyle.

– Co to jest Chart?

– Mój klub. – Mrugnęła porozumiewawczo i umościła się wygodnie na łóżku. – Fantastyczny interes, który prowadzę do spółki ze znajomym. Tarzamy się w forsie – dodała i parsknęła śmiechem. – Później ci wszystko opowiem, wróćmy teraz do pilniejszych spraw. Nie wiem, gdzie szukać Marcusa, *darling*. Nie wiem, gdzie mieszka, i nie znam numeru jego telefonu. Ale chodź tu, usiądź obok mnie i powiedz, w czym rzecz. Może coś wymyślimy.

Co za ulga, że Rosalinda wcale się nie zmieniła: ekstrawagancka i nieprzewidywalna, ale zaradna, energiczna i pomysłowa nawet w środku nocy. Kiedy minęło pierwsze zaskoczenie i pojęła, że moja wizyta ma konkretny cel, nie traciła czasu na głupstwa i nie wypytywała ani o moje sprawy w Madrycie, ani o zadania, jakie wykonywałam dla tajnych służb, w ramiona których sama mnie rzuciła. Domyśliła się jednak, że szukam u niej pomocy. I że sprawa jest pilna.

Streściłam jej historię Da Silvy i wyjaśniłam powody mego niepokoju o Marcusa. Siedziałyśmy na wielkim łożu, oświetlonym słabym blaskiem lampy z plisowanym jedwabnym abażurem. Chociaż wiedziałam, że łamię wyraźne rozkazy Hillgartha, by pod żadnym pozorem nie kontaktować się z Rosalindą, nie czułam najmniejszych skrępowań, zdradzając jej tajniki mojej misji; ufałam jej ślepo i była jedyną osobą, do której mogłam się zwrócić. Poza tym właściwie sam mnie do tego sprowokował, wysyłając do Portugalii zdaną jedynie na

siebie, pozbawioną jakiegokolwiek wsparcia. Nie miałam wyboru.

– Bardzo rzadko widuję Marcusa: czasami zagląda do klubu, raz spotkałam go przypadkiem w restauracji hotelu Aviz i kilkakrotnie wpadliśmy na siebie w kasynie w Estoril. Był czarujący jak zawsze, ale pytany o pracę, odpowiadał dość mętnie. Nie mówił, czym się dokładnie zajmuje, ale bardzo wątpię, czy ma to związek z dziennikarstwem. Za każdym razem rozmawialiśmy parę minut, a potem żegnaliśmy się mile, obiecując sobie, że musimy się częściej spotykać, i na tym koniec. Nie mam pojęcia, w co się wpakował, *darling*. Trudno powiedzieć, czy ma czyste ręce, czy powinien je porządnie wymyć. Nie wiem nawet, czy mieszka na stałe w Lizbonie. Ale jeśli dasz mi kilka dni, mogę to sprawdzić.

– Nie mamy na to czasu. Da Silva już wydał instrukcje, żeby go usnąć. Nie chce, żeby mu przeszkodził w pertraktacjach z Niemcami. Trzeba go uprzedzić natychmiast.

– Uważaj, Siro. Może sam tkwi po uszy w ciemnych interesach. Nie wiesz, co go łączyło z Da Silvą. Mógł się bardzo zmienić od czasu, gdy byliśmy razem w Maroku. Nie wiadomo, co się z nim potem działo. A i wtedy niewiele o nim wiedziałyśmy.

– Ale przecież sprowadził moją matkę...

– Był tylko pośrednikiem, a poza tym przypominam, że nie zrobił tego za darmo. Trudno to nazwać bezinteresowną przysługą.

– Skoro był dziennikarzem...



– Tak twierdził, a my przyjęliśmy to za dobrą monetę. Nie pamiętam jednak, żebyśmy zobaczyły w druku ów słynny wywiad z Juanem Luisem, po który rzekomo przyjechał do Tetuanu.

– Może...

– A czytałaś gdzieś jego reportaż z Maroka? Bo ja nie, a podobno przez kilka tygodni zbierał materiały...

Istniało tysiąc powodów, żeby to wszystko wyjaśnić, i z pewnością bez trudu bym je znalazła, ale nie miałam czasu do stracenia. Afryka to przeszłość. Teraz jestem w Portugalii. Trzeba działać tu i teraz. Szybko.

– Pomóż mi – nalegałam, pomijając milczeniem jej wątpliwości. – Da Silva już postawił swoich ludzi na nogi, musimy ostrzec Marcusa. Sam będzie wiedział najlepiej, co zrobić.

– Uspokój się, *my dear*. Oczywiście, że spróbuję go odszukać. Proszę tylko, żebyś była ostrożna i pamiętała, że zmieniliśmy się wszyscy, że żadne z nas nie jest tym, kim było dawniej. Kilka lat temu, w Tetuanie, ty byłaś początkującą projektantką mody, a ja szczęśliwą kochanką wpływowego polityka. Popatrz, co się z nami stało, do czego doszliśmy, w jakich okolicznościach się spotykamy. Marcus prawdopodobnie też jest już innym człowiekiem: takie są prawa życia, zwłaszcza w obecnych czasach. Przedtem wiedziałyśmy o Loganie mało, teraz wiemy jeszcze mniej.

– Robi jakieś interesy, tak twierdzi Da Silva.

W odpowiedzi parsknęła ironicznym śmiechem.

– Nie bądź naiwna, Siro. Słowo „interesy” jest dzisiaj jak wielki czarny parasol, pod którym można ukryć wszystko.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie powinnam mu pomóc? – odparłam czupurnie.

– Nie. Chcę cię przestrzec, żebyś nie ryzykowała bez potrzeby, bo nawet nie wiesz, kim jest i co naprawdę robi człowiek, którego zamierzasz chronić. Życie robi czasami dziwne wolty, prawda? – Uśmiechnęła się nieznacznie i dobrze znanym ruchem odgarnęła z czoła złoty kosmyk. – W Tetuanie on szalał za tobą, ale ty wolałaś się nie angażować, chociaż strasznie was do siebie ciągnęło. A teraz nagle chcesz go chronić, ryzykując własną skórę, powodzenie całej misji i Bóg jeden wie co jeszcze. W kraju, w którym prawie nikogo nie znasz i jesteś zdana tylko na siebie. Dotąd nie mogę zrozumieć, dlaczego wtedy odrzuciłaś Marcusa, ale widzę, że wciąż ci na nim bardzo zależy, skoro tak się dla niego narażasz.

– Mówiłam ci już ze sto razy. Nie chciałam nowego związku, bo ta historia z Ramirem była zbyt świeża, bo moje rany jeszcze się nie zabiły.

– Ale przecież minęło tyle czasu...

– Za mało. Wpadłam w panikę na myśl o tym, że znowu będę cierpieć, Rosalindo. Tak się bałam... Rozstanie z Ramirem było takie bolesne, takie straszne... Wiedziałam, że prędzej czy później Marcus też mnie zostawi, nie chciałam przez to przechodzić jeszcze raz.

– Ale on nigdy by cię nie porzucił w taki sposób. Na pewno potem wróciłby do ciebie, a może nawet mogłabyś wyjechać razem z nim...

– Otóż nie. Co on by robił w Tetuanie? A ja znalazłam tam swoje miejsce, wkrótce miała przyjechać do mnie matka, w Hiszpanii toczyła się wojna i czekały mnie dwa procesy. Byłam zagubiona, obolała, poturbowana poprzednim romansiem, umierałam z niepokoju o matkę, udawałam kogoś innego, żeby pozyskać klientki i jakoś przetrwać na obczyźnie. Wzniosłam wokół siebie mur, żeby nie zakochać się w Marcusie na zabój. Ale on wśliznął się przez jakąś szczelinę i mnie dopadł. Od tego czasu w nikim się nie zakochałam, nawet nie pomyślałam o innym mężczyźnie. Ze wspomnień czerpałam siłę, by zmierzyć się z samotnością, a możesz mi wierzyć, że bardzo mi doskwierała. A kiedy wreszcie pogodziłam się z tym, że już go nigdy nie zobaczę, życie znów postawiło Marcusa Logana na mojej drodze, w najmniej odpowiedniej chwili. Nie zamierzam budować mostów, by wrócić do przeszłości i odzyskać to, co straciłam na zawsze. Wiem, że to niemożliwe. Ale nie chcę, żeby zginął w jakiejś ciemnej uliczce. Skoro mogę mu pomóc, muszę spróbować.

Chyba zauważyła, że głos mi drży, bo mocno chwyciła mnie za rękę.

– Dobrze, skupmy się na teraźniejszości – powiedziała stanowczo. – Z samego rana uruchomię swoje kontakty. Jeżeli Marcus jest w Lizbonie, na pewno go znajdę.

– Ja nie mogę się z nim spotkać. Ty także. Załatw to przez pośrednika. Poproś kogoś, żeby go ostrzegł, nie mówiąc, skąd ma te informacje. Wystarczy powiedzieć, że Da Silva kazał go usunąć, jeżeli stanie się niewygodny. Resztę przekażę Hillgarthowi osobiście zaraz po powrocie do Madrytu. Albo nie... Lepiej niech Marcus też się dowie. Zapisz sobie nazwiska, zaraz ci podyktuję. Prawdopodobnie wszystkich zna.

Poczułam nagle ogromne zmęczenie, niemal tak wielkie jak lęk, który mnie dręczył, odkąd Beatriz Oliveira wręczyła mi ową złowrogą listę w kościele São Domingos. Ostatni dzień był ponad moje siły: potajemne spotkanie, nabożeństwo, wyczerpująca rozmowa z Da Silvą, potem długie bezsenne godziny, oczekiwanie w ciemnościach przy hotelowym śmietniku, jazda cuchnącym kurami motocyklem. Spojrzałam na zegarek. Dostawca jaj miał przyjechać po mnie za pół godziny. Kusilo mnie, by zamknąć oczy i zwinąć się w kłębek na skotłowanym łóżku Rosalindy, ale nie było czasu na sen. Musiałam się dowiedzieć, co słychać u mojej przyjaciółki. Kto wie, może to nasze ostatnie spotkanie.

– Teraz ty opowiadaj, szybko. Nie wyjdę stąd, zanim się nie dowiem, jak sobie radzisz. Co się z tobą działo po wyjeździe z Hiszpanii?

– Na początku było mi ciężko. Zostałam sama, bez pieniędzy, zżerał mnie niepokój o Juana Luisa. Ale nie mogłam po prostu sięść i płakać nad utraconym szczęściem. Musiałam jakoś zarobić na życie. Nieraz to było nawet zabawne, wręcz komiczne: paru zramolałych milionerów oświadczyło się o moją rękę, zrobiłam też piorunujące wrażenie na niemieckim

oficerze, który przysięgał, że zdezerteruje, jeśli tylko zgodzę się z nim uciec do Rio de Janeiro. Ale prawdę mówiąc, wcale nie było mi do śmiechu. Spotykałam dawnych wielbicieli, którzy udawali, że mnie nie znają, i starych przyjaciół, którzy na mój widok patrzyli w drugą stronę; ludzi, którym kiedyś pomogłam, dziś nagle dotkniętych amnezją lub uskarżających się na swoją rzekomą nędzę, żebym przypadkiem nie poprosiła ich o pożyczkę. Ale najgorsze ze wszystkiego było to, że musiałam zerwać wszelkie kontakty z Juanem Luisem. Najpierw przestaliśmy do siebie dzwonić, bo odkrył, że go podsłuchują, potem zrezygnowaliśmy z korespondencji. Później była dymisja i areszt. Po listach, które przekazałaś mi przez Hillgartha, musiałam długo czekać na następne.

– Jak on się teraz miewa?

Westchnęła ciężko i znów odsunęła z czoła opadający kosmyk.

– W miarę dobrze. Przenieśli go do Rondy. Ulżyło mu, bo z początku myślał, że oskarżą go o zdradę ojczyzny i rozstrzelają. W końcu jednak nie stanął przed wojskowym trybunałem. Przestraszyli się, że egzekucja mianowanego przed rokiem ministra wzburzy nastroje w Hiszpanii i międzynarodową opinię publiczną.

– Nadal jest w Rondzie?

– Tak, ale teraz tylko w areszcie domowym. Mieszka w hotelu, ma większą swobodę ruchu. Znowu snuje jakieś plany. Wiesz przecież, że nie potrafi usiedzieć spokojnie, zawsze musi coś robić: myśleć, działać. Mam nadzieję, że wkrótce będzie mógł

przyjechać do Lizbony, a potem *we'll see*. Zobaczymy – zakończyła z melancholijnym uśmiechem.

Nie śmiałam zapytać o te nowe plany. Po tym, jak runął na samo dno piekła nieszczęśników odartych ze sławy i chwały? Były minister, przyjaciel Anglików, niewiele już znaczył w owej Nowej Hiszpanii, flirtującej z państwami Osi; wiele musiałoby się zmienić, by władza znów zapukała do jego drzwi.

Zerknęłam na zegarek. Zostało mi jeszcze dziesięć minut. 528

– Opowiadaj dalej... Jak ci się udało stanąć na nogi?

– Poznałam Dymitra, białego Rosjanina, który w czasie rewolucji bolszewickiej uciekł do Paryża. Zaprzyjaźniliśmy się i namówiłam go, żeby przyjął mnie do spółki... Zamierzał otworzyć w Lizbonie własny klub. Jego pieniądze, moje kontakty i pomysły na wystrój wnętrza. Chart prosperował znakomicie, więc kiedy interes zaczął się rozkręcać, postanowiłam wyprowadzić się z ciasnego pokoiku, do którego przygarnęli mnie znajomi Polacy, i poszukać sobie jakiegoś przyzwoitego lokum. I wtedy znalazłam to mieszkanie, o ile można tak nazwać dwudziestoczeropokojowy apartament.

– Dwadzieścia cztery pokoje! Nie przesadzasz?

– Spokojnie, przynoszą mi niezły dochód, *obviously*. W Lizbonie pełno jest słabo wypłacalnych emigrantów, którzy nie mogą sobie pozwolić na hotel.

– Nie mów, że prowadzisz tu noclegownię.

– Coś w tym stylu. Przyjmuję eleganckich gości, światowców, którzy smutnym zrzędzeniem losu znaleźli się na skraju przepaści. Ja daję im dach nad głową, a oni odwdzięczają mi się wedle swoich możliwości. Nie mam stałych cen: ktoś siedzi tu

miesiącami, nie płacąc ani skuda, a ktoś inny za tydzień pobytu płaci brylantową kolia albo broszką Lalique'a. Nikomu nie wystawiam rachunku: każdy daje, ile może. To ciężkie czasy, *darling*, trzeba to przetrwać.

Trzeba przetrwać, to prawda. A dla mnie przetrwanie najbliższych godzin oznaczało jazdę śmierdzącym kurami motorem, żeby znaleźć się w hotelu Do Parque, zanim nastanie dzień. Chętnie gadałabym z Rosalindą do końca świata, leżąc na szerokim łożu i czekając, aż przyniosą nam śniadanie, ale nadszedł czas powrotu do rzeczywistości, nawet najbardziej ponurej. Odprowadziła mnie do drzwi. Zanim je otworzyłam, objęła mnie swoimi kruchymi ramionami i szepnęła na ucho:

– Słabo znam Manuela da Silvę, ale w całej Lizbonie cieszy się sławą wybitnego przedsiębiorcy, uwodziciela i dżentelmena, twardego jak skała, zimnego jak lód, bezwzględnego dla swoich rywali i zdolnego zaprzedać dla zysku własną duszę. Bądź bardzo ostrożna, bo igrasz z ogniem...

## 60

– Czyste ręczniki – oznajmił głos po drugiej stronie drzwi do łazienki.

– Dziękuję, proszę zostawić na łóżku! – odkrzyknęłam.

Nie prosiłam o ręczniki i zdziwiło mnie, że zmieniali je o tej popołudniowej godzinie, pomyślałam jednak, że pewnie zapomnieli zrobić to rano.

Stałam przed lustrem i malowałam rzęsy, kończąc makijaż. Musiałam się jeszcze ubrać, ale João miał po mnie przyjechać dopiero za godzinę. Zaczęłam się przygotowywać dość

wcześnie, bo chciałam się trochę odprężyć przed wyjściem i odegnać ponure myśli o smutnym końcu mojej krótkiej kariery. Wyszłam z łazienki i przewiązując szlafrok paskiem, zastanawiałam się, co zrobić z wolnym czasem. Poczekam chwilkę, później się ubiorę. Albo nie, chyba już założę pończochy. A może nie, może lepiej byłoby... Wtedy go zobaczyłam i nagle wszystkie pończochy świata przestały dla mnie istnieć.

– Co ty tu robisz, Marcus? – wyjąkałam, nie wierząc własnym oczom. Ktoś wpuścił go, kiedy przynieśli ręczniki? Rozejrzałam się po pokoju: nie było żadnych ręczników.

Nie odpowiedział na moje pytanie. Nie przywitał się, nie tłumaczył z wtargnięcia do mojej sypialni.

– Nie spotykaj się z Manuelem da Silva, Siro. Trzymaj się od niego z daleka. Tylko to ci chciałem powiedzieć.

Mówił spokojnie i stanowczo, wsparty lewą ręką na stojącym w rogu fotelu. Był w białej koszuli i szarym garniturze, ani spięty, ani nonszalancki. Poważny, trochę oschły. Jakby poczuwał się do obowiązku, żeby mnie upomnieć.

Milczałam. Słowa nie przechodziły mi przez gardło.

– Nie wiem, co was łączy – ciągnął – ale nie jest za późno, jeszcze możesz się wycofać. Wyjedź stąd, wracaj do Maroka...

– Teraz mieszkam w Madrycie – wykrztusiłam wreszcie.

Stałam na dywanie, nieruchoma, bosa, bezradna. Przypomniałam sobie, co mówiła Rosalinda: powinnam uważać na Marcusa, nie wiadomo, z kim się zadaje i w co się wpakował. Przeszył mnie dreszcz. Nic o nim nie wiem i pewnie nigdy się nie dowiem. Miałam nadzieję, że jeszcze coś powie, a wówczas



się zorientuję, jak bardzo mogę być z nim szczerą: czy odsłonić się i stać znów tamtą Sirą, którą kiedyś znał, czy też trzymać się roli wyniosłej, chłodnej Arish Agoriuq.

Odszedł od fotela i zrobił kilka kroków w moją stronę. Ta sama twarz, te same oczy. Giętkie, prężne ciało, zakola nad czołem, jasna karnacja, zarys szczęki. Ramiona, w których tyle razy szukałam oparcia, dłonie, które dotykały moich palców, ciepły, niski głos. Wszystko było takie bliskie, takie znajome. I obce zarazem.

– Wyjedź czym prędzej, przestań się z nim widywać – powtórzył. – To nie jest mężczyzna dla ciebie. Nie wiem, dlaczego zmieniłaś nazwisko, nie wiem, skąd się tu wzięłaś i dlaczego się uczepiłaś tego typu. Nie mam pojęcia, czy sama go sobie wybrałaś, czy ktoś ci kazał to zrobić, ale zapewniam cię, że...

– Między nami nic nie ma. Przyjechałam do Lizbony, żeby zrobić zakupy dla mojego atelier. Da Silvę polecił mi ktoś w Madrycie. Spotkaliśmy się kilka razy. To tylko przyjaciel.

– Nie, Siro, jesteś w błędzie – przerwał mi szorstko. – Manuel da Silva nie ma przyjaciół. Ma kochanki, ma znajomych, ma pochlebców i zawodowe kontakty, to wszystko. A ostatnio te kontakty są dość podejrzane. Pakuje się w mętne sprawy; co dzień wychodzi w tej sprawie coś nowego, a ty powinnaś się trzymać od tego jak najdalej. To nie jest towarzystwo dla ciebie.

– W takim razie dla ciebie też. A przecież wtedy, w kasynie, zachowywaliście się jak starzy kumple...

– Interesuję go wyłącznie jako partner handlowy. A raczej interesowałam. Słyszałem, że teraz nie chce mieć ze mną nic

wspólnego. Ani ze mną, ani z żadnym innym Anglikiem.

Odetchnęłam z ulgą. Jego słowa oznaczały, że Rosalinda go znalazła i ktoś przekazał mu moje ostrzeżenie. Nadal staliśmy naprzeciw siebie, ale dzielący nas dystans wyraźnie zmalał. Na początku tej rozmowy tkwiliśmy w dwóch przeciwległych kątach, niczym dwaj pięściarze czujnie śledzący każdy ruch rywala. Z upływem kolejnych minut nieświadomie podchodziliśmy coraz bliżej – krok naprzód ja, krok on – aż w końcu znaleźliśmy się na samym środku pokoju, pomiędzy łóżkiem a biurkiem. Jeszcze trochę i byśmy na siebie wpadli.

– Potrafię się pilnować, możesz być spokojny. W liściku, który mi dałeś w kasynie, pytałeś, co się stało z dawną Sirą. No to już wiesz: jest dziś silniejsza. Bardziej nieufna, pozbawiona złudzeń. A teraz ja cię spytam o to samo, Marcusie Logan: Co się stało z tym dziennikarzem, który prosto z pola bitwy przyjechał do Afryki, żeby zrobić wywiad, który nigdy...

Nie zdążyłam skończyć, przerwało mi głośnie pukanie. Ktoś się dobijał do drzwi. Nie w porę i bardzo natarczywie. Marcus odruchowo chwycił mnie za ramię.

– Zapytaj, kto to – wyszeptał.

– To ja, Gamboa, osobisty sekretarz pana Da Silvy. Mam coś dla pani – odezwał się głos z korytarza.

Trzema susami Marcus znalazł się w łazience. Podeszłam powoli do drzwi, położyłam dłoń na klamce i przez chwilę oddychałam głęboko. Kiedy otworzyłam, ujrzałam Gamboę trzymającego jakiś lekki pakunek owinięty w jedwabny papier. Wyciągnęłam ręce po to coś, ale on cofnął się i powiedział:

– Może lepiej sam postawię, są bardzo delikatne. To orchidee.

Zawahałam się na moment. Marcus siedział bezpiecznie w łazience, ale wpuszczenie tego człowieka do pokoju było sporym ryzykiem. Z drugiej strony, jeżeli nie pozwolę mu wejść, może pomyśleć, że coś ukrywam. A w tej sytuacji ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzyła, było wzbudzanie podejrzeń.

– Proszę – powiedziałam w końcu. – Niech je pan zostawi na biurku.

I zaraz pożałowałam tych słów. Zapragnęłam nagle zapaść się pod ziemię. Teraz, natychmiast, bez śladu i na wieki. Nie musiałabym wówczas patrzeć na to, co się za chwilę stanie. Na samym środku, pomiędzy telefonem i mosiężną lampą, leżało coś, czego nikt poza mną nie powinien oglądać. A zwłaszcza zaufany człowiek Da Silvy.

Błyskawicznie naprawiłam swój błąd.

– Albo nie, lepiej tutaj, na tej skrzyni przy łóżku.

Usłuchał bez słowa, ale wiedziałam, że też to zauważył.

Nic dziwnego. Na lśniącym blacie leżał przedmiot tak niecodzienny w pokoju samotnej kobiety, że musiał zwrócić uwagę każdego. Kapelusz Marcusa.

Gdy tylko zamknęły się drzwi, właściciel kompromitującego eksponatu opuścił swoją kryjówkę.

– Idź już, Marcus. Błagam, idź sobie wreszcie – prosiłam, zastanawiając się jednocześnie, ile czasu zajmie Gamboi powiadomienie szefa o tym, co u mnie zobaczył.

Jeżeli nawet Marcus się domyślił, że jego nakrycie głowy mogło stać się przyczyną nieobliczalnej w skutkach katastrofy, to wcale tego nie okazał.

– O mnie się nie martw – dodałam. – Jutro wracam do Madrytu. To moja ostatnia noc tutaj...

– Naprawdę jutro wyjeżdżasz? – zapytał, chwytając mnie za ramiona. Mimo niepokoju i lęku po plecach przeszedł mi dawno zapomniany dreszcz.

– Tak, wieczorem, ekspresem Lusitania.

– I nigdy nie wrócisz do Portugalii?

– Nie. Przynajmniej nie zamierzam.

– A do Maroka?

– Też nie. Zostanę w Madrycie, tam jest teraz moje atelier i moje życie.

Na kilka sekund zapadła głucha cisza. Prawdopodobnie oboje myśleliśmy to samo: co za pech, że los znowu kazał się nam spotkać w takich parszywych czasach, i jakie to smutne, że musimy tak kłamać.

– Uważaj na siebie.

Kiwnęłam głową w milczeniu. Dotknął dłonią mojej twarzy i powoli przesunął palcem po policzku.

– Szkoda, że nie wyszło nam wtedy w Teutanie, prawda?

Wspięłam się na palce, by ucałować go na pożegnanie.

Kiedy poczułam znajomy zapach, kiedy moje wargi musnęły ciepłą, szorstką skórę tuż przy uchu, szepnęłam:

– Cholernie szkoda.

Wyszedł bezszelestnie, a ja zostałam sama z najpiękniejszymi orchideami, jakich już nigdy nie zobaczę; nadludzką siłą powstrzymałam się, by nie pobiec za nim, a jednocześnie próbowałam ocenić w myślach konsekwencje wpadki z kapeluszem.

Kiedy dojeżdżaliśmy, z daleka zobaczyłam zaparkowane na podjeździe samochody. Wielkie, lśniące, ciemne. Imponujące.

Wiejski dom Da Silvy stał na pustkowiu, w miejscu niezbyt odległym od Estoril, na tyle jednak daleko, że na pewno nie mogłabym sama wrócić do hotelu. Zapamiętałam niektóre drogowskazy: Guincho, Malveira, Colares, Sintra. Ale i tak nie miałam zielonego pojęcia, gdzie jestem.

João zahamował ostrożnie, opony zaszurały o żwir. Poczekalam, aż otworzy mi drzwiczki. Powoli wysunęłam najpierw jedną stopę, potem drugą. Zobaczyłam wyciągniętą dłoń i usłyszałam głos Manuela da Silvy:

– Witaj w Quinta da Fonte, Arish.

Niespiesznie wysiadłam z auta. Złota lama ciasno opinała moje ciało, uwydatniając smukłą figurę, we włosy wpięłam jedną z orchidei przyniesionych przez Gamboę. Dyskretnie się rozejrzałam, czy nie ma go w pobliżu. Nie było.

W powietrzu unosił się zapach kwiatów pomarańczy i chłodna woń cyprysów, światło wiszących nad wejściem latarni zdawało się roztopiać na kamiennych ścianach. Kiedy trzymając Da Silvę pod rękę, weszłam po frontowych schodach, dostrzegłam nad drzwiami monumentalny herb.

– Rodowe godło? – zapytałam niewinnie.

Wiedziałam aż nadto dobrze, iż stojący za szynkwasem dziadek nawet w najśmielszych snach nie widział się rycerzem, ale nie sądzę, by Da Silva zauważył ironię.

Reszta towarzystwa czekała w obszernym salonie zastawionym ciężkimi meblami. Pod ścianą w głębi widniał

wielki wygaszony kominek. Surowego wnętrza nie zdołały ocieplić nawet liczne bukiety kwiatów, a uczucie chłodu wzmagala jeszcze krępująca cisza. Szybko policzyłam gości. Dwa, cztery, sześć, osiem, dziesięć. Dziesięć osób, pięć par. I Da Silva. I ja. W sumie dwanaścioro. Jakby czytając w moich myślach, Manuel oznajmił:

– Brakuje jeszcze jednego gościa z Niemiec. Przybędzie wkrótce. Chodź, Arish, przedstawię cię.

Jak na razie proporcje zostały zachowane: sześcioro Portugalczyków i czworo Niemców, nie licząc tego, który się spóźniał. I na tym kończyła się harmonia, ponieważ wszystko poza tym stanowiło jeden wielki dysonans. Niemcy – dystyngowani, dyskretni – mieli ciemne garnitury, stosowne do okazji. Ich żony może nie prezentowały się olśniewająco, ale znać było po nich światowe obycie, a swoje stroje umiały nosić z klasą. Tymczasem Portugalczycy wyglądali jak ulepieni z innej gliny. Garnitury panów uszyte były, co prawda, z pierwszorzędnej wełny, ale źle leżały na topornych ciałach wieśniaków o krótkich nogach, byczych karkach i szerokich, pokrytych odciskami łapskach z połamanymi paznokciami. Wszyscy trzej z dumą wystawiali na pokaz zatknięte w kieszonki na piersi nowiutkie wieczne pióra i błyskali w uśmiechu złotymi zębami. Ich żony, kobiety o pospolitych, chłopskich twarzach, ledwo utrzymywały równowagę w lśniących szpilkach, z trudem wciśniętych na spuchnięte stopy; jedna miała źle przypięta treskę; z ramienia drugiej zwieszała się długa futrzana etola, która co chwila spadała na podłogę;

trzecia po zjedzeniu każdej kanapki ocierała usta wierzchem dłoni.

Do tej pory przypuszczałam, że Manuel zaprosił mnie, żeby zabłysnąć przed gośćmi: miałam być egzotycznym bibelotem, który podkreśli jego władczą męskość, a przy okazji zabawiać damy paplaniną o modzie, anegdotkami z życia niemieckich dygnitarzy w Hiszpanii i innymi podobnymi banałami. Gdy jednak rozejrzałam się dokoła, zrozumiałam, że byłam w błędzie. Da Silva nie zaprosił mnie tu jako gościa, ale po to, żebym u jego boku pełniła rolę mistrzyni ceremonii i pomogła mu utrzymać w ryzach ów osobliwy zwierzyniec. Nad dzielącą Portugalki i Niemki przepaścią miałam przerzucić most, bez którego mogłyby co najwyżej gapić się na siebie bez słowa przez cały wieczór. Czekały go ważne rozmowy i ostatnią rzeczą, jakiej by sobie w tej chwili życzył, było towarzystwo znudzonych, zirytowanych kobiet, pragnących, by mężowie czym prędzej je stąd zabrali. Do tego mu byłam potrzebna. Do pomocy. Ja pierwsza rzuciłam rękawicę, a on ją podniósł. Każde z nas mogło na tym coś ugrać.

Dobrze, Manuelu, dam ci to, czego chcesz, pomyślałam. Mam nadzieję, że potem ty zrobisz to samo dla mnie. I żeby wszystko odbyło się tak, jak zaplanowałam, schowałam do kieszeni strach i postanowiłam pokazać najbardziej atrakcyjne oblicze mojej fałszywej tożsamości. Pod jej sztandarem roztoczyłam swoje domniemane uroki i rozpływając się w uśmiechach, po równo obdzielałam łaskami obie nacje. Zachwyciłam się treską i etolą pań z Beiry, rzuciłam kilka żarcików, które wzbudziły ogólną wesołość, niby niechcący otarłam się biodrem o jednego z

Portugalczyków i wychwalałam zalety narodu niemieckiego. Bezwstydnie.

I nagle w drzwiach pojawiła się czarna chmura.

– Przyjaciele – oznajmił Da Silva – pragnę przedstawić wam Johannes Bernhardta.

Postarzał się, przytył i wyłysiał, ale był to niewątpliwie ten sam Bernhardt, którego znałam w Tetuanie. Ten, który przechadzał się niemal codziennie ulicą Generalissimusa, pod rękę z moją klientką, tym razem na szczęście nieobecną. Ten, który za plecami Beigbedera negocjował z Serrano Sunerem instalację niemieckich anten w Maroku, nieświadomy, że podsłuchuję ich rozmowę, skulona za kanapą.

– Państwo wybaczą moje spóźnienie. Zepsuł nam się samochód i musieliśmy zrobić dłuższy postój w Elvas.

Ukryłam zmieszanie, chwytając z tacy pierwszy z brzegu kieliszek, i w popłochu próbowałam zebrać myśli: kiedy i gdzie ostatnio się widzieliśmy, ile razy go minęłam na ulicy, jak długo patrzył na mnie owego pamiętnego wieczoru w Wysokim Komisariacie. Gdy Hillgarth powiedział mi, że Bernhardt przebywa na Półwyspie jako szef potężnej korporacji, zarządzającej interesami nazistów, odparłam, że prawdopodobnie rozpoznałby mnie, gdybyśmy się przypadkiem spotkali. Teraz jednak nie byłam już taka pewna.

Rozpoczęła się prezentacja. Odwróciłam się plecami, udając, że zabawiam rozmową panie. Tematem ożywionej konwersacji była wpięta w moje włosy orchidea. Przybierając efektowne pozy i kręcąc głową na wszystkie strony, żeby wszystkie damy mogły podziwiać ową egzotyczną ozdobę, nastawiałam uszu, by



uchwycić strzępki informacji. Ponownie zanotowałam w pamięci nazwiska, żeby żadnego nie zapomnieć: Weiss i Wolters, Niemcy, których Bernhardt wcześniej nie znał. Almeida, Rodrigues i Ribeiro, Portugalczycy. Portugalczycy z Beiry, górale. Właściciele kopalni; nie, raczej drobni posiadacze nieurodzajnej ziemi, pod którą Opatrzność ukryła kopaliny. Jakie? Jeszcze tego nie wiedziałam, jeszcze nie skojarzyłam ich z ową „wilczą śliną”, o której wspomniała w kościele Beatriz Oliveira. I wreszcie usłyszałam upragnione słowo: wolfram.

Z dna pamięci błyskawicznie wydobyłam informacje uzyskane w Tangerze od Hillgartha: chodzi o minerał niezbędny do produkcji pocisków, którym handlował Bernhardt. Tylko że Hillgarth mówił o jego zainteresowaniu złożami w Galicji i Estremadurze; nie przewidział zapewne, że niemieckie macki sięgną poza granice Hiszpanii, nie przewidział też, że pewien portugalski kupiec zdradzi Anglików, by zaspokoić apetyty wroga. Nogi ugięły się przede mną. Pociągnęłam dla kurażu łyk szampana. Manuel da Silva nie zajmował się sprzedażą i kupnem jedwabiu, drewna ani żadnych – równie niewinnych – towarów kolonialnych. Rozkręcał inny interes, niebezpieczny i złowrogi: postanowił dostarczać Niemcom metal, który pozwoli im się lepiej zbroić i jeszcze skuteczniej zabijać.

Z zamyślenia wyrwały mnie panie, które chciały wiedzieć, skąd pochodzi ów cudowny kwiat za moim lewym uchem, upewnić się, czy przypadkiem nie jest sztuczny i czy można sobie taki wyhodować. Temat nie obchodził mnie ani trochę, ale nie mogłam się wymigać od odpowiedzi: rośnie w tropikach;

tak, jest prawdziwy, oczywiście; nie, nie mam pojęcia, czy Beira to dobre miejsce do uprawy orchidei.

– Drogie panie, pozwólcie, że wam przedstawię naszego ostatniego gościa – przerwał tę uroczą pogawędkę Manuel.

Wstrzymałam oddech. Do mnie podeszli na końcu.

– A to jest moja serdeczna znajoma, panna Arish Agoriuq.

Bernhardt patrzył na mnie bez drgnienia powiek. Sekundę, dwie, trzy.

– Czy my się znamy?

Uśmiechaj się, Siro, uśmiechaj, powtarzałam w myślach.

– Nie, nie sędzę – powiedziałam, podając mu prawą rękę.

– A może spotkaliście się już gdzieś w Madrycie – podsunął Manuel. Na szczęście nie znał chyba Bernhardta na tyle dobrze, by wiedzieć, że część swego życia spędził w Maroku.

– Może w Embassy? – zasugerowałam.

– Nie, raczej nie. Ostatnio rzadko bywam w Madrycie. Dużo podróżuję, a moja żona uwielbia morze, więc zamieszkaliśmy w Denii pod Walencją. Pani twarz wydaje mi się znajoma, na pewno gdzieś już panią widziałem, ale...

Uratował mnie majordomus. Panie, panowie, kolacja podana.

Wobec braku współmałżonki Da Silva, nie bacząc na protokół, usadził mnie u szczytu stołu. Sam zajął miejsce na drugim końcu. Żeby jakoś zatuszować niepokój, zabawiałam gości uprzejmą rozmową, ale bałam się tak bardzo, że prawie nie mogłam jeść. Najpierw Gamba, potem Bernhardt i brudne interesy Da Silvy, a jakby tego było mało, musiałam jeszcze trzymać fason i czynić honory pani domu.

Zupę wniesiono w srebrnej wazie, wino w kryształowych karafkach, a owoce morza na ogromnych półmiskach, najeżonych muszlami i szczypcami. Dokonywałam cudów kurtuazji. Portugalkom dyskretnie pokazywałam na migi, jakich sztucców należy użyć do jakiego dania, z Niemkami wymieniałam uprzejme uwagi. Ależ oczywiście, że znam baronową Stohrer, Glorię von Furstenberg także; tak, wiem, że Horcher ma wkrótce otworzyć restaurację w Madrycie. Kolacja przebiegła gładko, a Bernhardt na szczęście przestał się na mnie gapić.

– Panie wybaczą, że zostawimy je same, musimy coś omówić – oznajmił Manuel po deserze.

Zamarłam z serwetką w ręku. No nie, nie może mi tego zrobić. Ja już zrobiłam, co do mnie należało, kolej na niego. Zajmowałam się gośćmi, zachowywałam jak przykładna gospodyni, więc oczekuję stosownej rekompensaty. Nie ma mowy, nie pozwolę im się wymknąć akurat teraz, kiedy robi się naprawdę ciekawie. Opatrzność widać mi sprzyjała, bo po suto podlanej winem kolacji goście byli wyraźnie podochoceni. Zwłaszcza Portugalczycy.

– Bój się pan Boga, Da Silva! – wykrzyknął jeden z nich, klepiąc go siarczyście po plecach. – Trzeba iść z duchem czasu! W stolicy by nas wyśmiano za takie obyczaje!

Manuel wahał się przez chwilę. Najwyraźniej wolałby przeprowadzić tę rozmowę na osobności, ale goście z Beiry postawili go przed faktem dokonanym: z hałasem odsunęli krzesła i hurmem ruszyli do salonu. Jeden z nich poufale chwycił pod łokieć Da Silvę, inny podał ramię mnie. Minęło

początkowe skrępowanie, już nie onieśmielał ich wielki dom i bogactwo gospodarza. Tej nocy mieli podpisać kontrakt, który pozwoli im na zawsze zapomnieć o nędzy; a także ich dzieciom i dzieciom ich dzieci. Nie widzieli powodu, by robić z tego tajemnicę przed własnymi żonami.

Podano kawę, likiery, papierosy i czekoladki; domyśliłam się w tym ręki Beatriz Oliveiry. To ona zajęła się wszystkim, zaplanowała menu, ustawiła eleganckie bukiety i zapewne wybrała też orchidee, które dostałam tego popołudnia. Poczułam dreszcz na wspomnienie niespodziewanej wizyty Marcusa. Podwójny: dreszcz radości, że wciąż się o mnie troszczył; dreszcz strachu na myśl o incydencie z kapeluszem. Gamboa nadal był niewidoczny; jeżeli miałam szczęście, zajada teraz domowy gulasz przy rodzinnym stole, słuchając narzekań utyskującej na drożyznę małżonki, i nie zaprzęta sobie głowy obcym męskim kapeluszem, zauważonym w pokoju cudzoziemki, do której umizga się jego szef.

Manuelowi nie udało się wyprowadzić pań do drugiego salonu i rozdzielić towarzystwa, ale za to usadził nas w dwóch przeciwległych końcach wielkiej bawialni: mężczyzn na skórzanych fotelach wokół kominka, kobiety w wykuszu z widokiem na ogród.

Oni rozmawiali o interesach, my rozplęwałyśmy się w zachwytach nad smakiem czekoladek. Pierwsi zabrali głos Niemcy. Rzeczowo przedstawili swoje stanowisko, a ja nadstawiałam uszu i notowałam w myślach wszystko, co udało mi się usłyszeć z tej odległości. Sztolnie, koncesje, pozwolenia, wydobywanie w tonach. Portugalczycy zareagowali hałaśliwie i

gwałtownie, zasypując ich gradem pytań i obiekcji. Prawdopodobnie tamci chcieli ich wykołować, ale twardzi górale z Beiry, nieufni nawet wobec własnych ojców, nie mieli zamiaru sprzedać się za nędzny grosz. Ku memu zadowoleniu temperatura dyskusji rosła, lada chwila mogło dojść do wybuchu. Słyszałam ich coraz lepiej, a mój umysł rejestrował mechanicznie wszystko, co mówili. Miałam dość mgliste pojęcie o temacie negocjacji, mogłam jednak zebrać sporo luźnych informacji. Studnie, chodniki, kosze, wagoniki, ciężarówki, wiercenia. Rynek wolny i rynek kontrolowany. Wolfram czysty, wolfram zanieczyszczony kwarcem i pirytami. Podatek eksportowy.

Sześćset tysięcy skudów za tonę, trzy tysiące ton rocznie. Weksle, sztabki złota i konta w Zurychu. I jeszcze kilka smakowitych kąsków w całości – na przykład, że Da Silva od dawna zręcznie pociągał za sznurki, żeby namówić właścicieli złóż do przyznania Niemcom wyłączności; gdyby wszystko poszło po jego myśli, już za dwa tygodnie handel z Anglią zostałby zablokowany.

Wymieniane w tym kontekście sumy pozwoliły mi zrozumieć punkt widzenia wolframowych nuworyszów i ich żon. Pomyślna transakcja przeobraziłaby tych ubogich wieśniaków w zamożnych posiadaczy. Już nie musieliby pracować: wieczne pióra, złote zęby i futrzane etole stanowiły zaledwie przedsmak tego, co mieli otrzymać, jeśli pozwolą Niemcom dziurawić sztolniami jałową ziemię.

Noc gęstniała, a we mnie narastał lęk, albowiem coraz jaśniej docierał do mnie sens owej transakcji. Rozmowa, której się

przysłuchiwałam, była tak poufna, tak haniebna, tak kompromitująca, że wolałam nie myśleć o tym, co mnie czeka, jeśli Manuel da Silva dowie się, kim jestem i dla kogo pracuję. Pertraktacje trwały już blisko dwie godziny i panie zaczynały mieć dość. Ilekroć widziałam, że dyskusja przy kominku utknęła w martwym punkcie, próbowałam jakoś rozruszać nasz damski kącik, ale Portugalki już od dłuższego czasu nie zwracały uwagi na moje wysiłki i z trudem powstrzymywały senność. Ów długi wieczór przy suto zastawionym stole, winie i czekoladkach okazał się ponad siły wieśniaczek, przyzwyczajonych wstawać i kłaść się razem ze słońcem, by o świcie nakarmić zwierzęta, a potem przez cały dzień pracować w polu i w kuchni. Niemki także nie przejawiały większej chęci do dalszej konwersacji: brak wspólnych tematów i moje umiejętności lingwistyczne nie dawały nadziei na ożywienie niemrawej atmosfery.

Widownia najwyraźniej zaczynała się wykruszać, a rola pani domu wychodziła mi coraz gorzej. Czułam, że muszę coś wymyślić, bo wkrótce zostanę sama na scenie, a nie chciałam stracić ani słowa z toczącej się obok rozmowy. I wówczas po męskiej stronie salonu rozległ się gromki śmiech i hurgot odsuwanych foteli. Ściskanie rąk, poklepywanie po plecach i wzajemne gratulacje. Dobili targu.

## 62

- Wagon pierwszej klasy, przedział ósmy.
- Jesteś pewna?
- Pokazałam mu bilet.

– Świetnie. Odprowadzę cię.

– Nie ma potrzeby, naprawdę.

Nie zwracał uwagi na protesty.

Do walizek, z którymi przybyłam do Lizbony, dołączyły liczne pudła na kapelusze i dwie olbrzymie torby wyładowane różnymi drobiazgami; wszystko już po południu wyjechało z hotelu na dworzec. Resztę moich krawieckich zakupów dostawcy mieli przysłać bezpośrednio do Madrytu w ciągu najbliższych dni. Jako bagaż podręczny zostawiłam sobie jedynie małą walizeczkę z niezbędnymi rzeczami na noc. I ze szkicownikiem pełnym zaszyfrowanych meldunków.

Gdy tylko wysiedliśmy z samochodu, Manuel uparł się, by ją nieść.

– Nie trzeba, prawie nic nie waży – przekonywałam, ściskając kurczowo moje skarby.

Bitwa była z góry przegrana, wiedziałam, że nie powinnam się zbytnio upierać. W dworcowej hali stanowiliśmy atrakcję wieczoru: ja zadawałam szyku w moim najlepszym kostiumie, on, niczego nieświadom, niósł walizeczkę z dowodami swojej zdrady. Dworzec Santa Apolonia – podobny do magnackiego dworu – zapełniał się z wolna pasażerami spieszącymi na nocny pociąg do Madrytu. Zakochane pary, rodziny, przyjaciele, samotni podróżni. Jedni wyglądali na znudzonych i obojętnych, inni żegnali bliskich wśród łez, uścisków, westchnień i obietnic, być może nigdy niespełnionych. Ja nie mieściłam się w żadnej z tych dwu kategorii. Byłam uciekinierką, jak ci wszyscy, którzy pragnęli odejść, zniknąć, strząsnąć pył ze swoich sandałów i na zawsze zapomnieć o tym, co zostawili za sobą.

Większą część dnia spędziłam w swoim pokoju, przygotowując się do podróży. Na pozór. Owszem, zdjęłam ubrania z wieszaków, opróżniłam szuflady i upchnęłam wszystko do walizek, ale resztę czasu poświęciłam sprawom bardziej istotnym: obrysowując szkice drobnymi ołówkowym ścięciem, przeniosłam na papier wszystkie informacje zasłyszane w wiejskim domu Da Silvy. Trwało to w nieskończoność. Zaczęłam o świcie, tuż po powrocie do hotelu, kiedy wszystko miałam jeszcze na świeżo; bałam się, że owe dziesiątki szczegółów znikną z mojej pamięci, jeśli od razu ich nie zapiszę. Przespałam się trzy, może cztery godziny i ledwie otworzywszy oczy, znów się zabrałam do pracy. Od rana aż do wczesnego popołudnia odtwarzałam z pamięci fakt za faktem, notatka za notatką, dopóki nie stworzyłam całej skarbnicy krótkich, suchych meldunków. Rezultat był imponujący: ponad czterdzieści rzekomych wykrojów i wpisane w nie nazwiska, liczby, daty, miejsca i plany, zebrane na kartkach niewinnego szkicownika. Wykroje rękawów, mankietów i pleców, pasków i przodów; stroje, których nigdy nie miałam zamiaru uszyć, a których każda część skrywała w sobie tajemnicę makabrycznej transakcji handlowej, mającej ułatwić Niemcom zniszczenie naszego świata.

Późnym rankiem zadzwonił telefon. Aż podskoczyłam, a zgrabna, krótka kreska zmieniła się w wielki kulfon, który potem musiałam zetrzeć.

– Arish? Dzień dobry, tu Manuel. Przepraszam, jeśli cię obudziłem.



Byłam aż nadto obudzona: wykąpana, zajęta i czujna; pracowałam od kilku godzin, ale zmieniałam głos, żeby wydał się zaspany. Pod żadnym pozorem nie mogłam dopuścić, by się domyślił, że to, co widziałam i słyszałam poprzedniej nocy, zmusiło mnie do gorączkowej aktywności.

– Nie szkodzi, pewnie jest już strasznie późno... – skłamałam.

– Dochodzi południe. Dzwonię tylko, żeby ci podziękować za wczorajszy wieczór i za to, że tak miło się zajęłaś żonami moich przyjaciół.

– Nie ma za co. Świetnie się bawiłam.

– Na pewno się nie nudziłaś? Przykro mi, że nie poświęciłem ci więcej czasu.

Uważaj, Siro, uważaj. Próbuje cię wybadać, pomyślałam. Gamboa, Marcus, kapelusz, Bernhardt, wolfram, Beira... wszystko razem wirowało w mojej głowie niczym płatki sztucznego śniegu w szklanej kuli, podczas gdy szczebiotałam beztrąsko, usiłując sprawiać wrażenie osoby wyrwanej z głębokiego snu.

– Nie przejmuj się, Manuelu, naprawdę. Bardzo przyjemnie mi się gawędziło z tymi paniami.

– No to znakomicie. A jak zamierzasz spędzić swój ostatni dzień w Portugalii?

– Szczerze mówiąc, nijak. Wezmę długą kąpiel, a potem się spakuję. Przez cały dzień nie ruszę się z hotelu.

Miałam nadzieję, że ta odpowiedź go zadowoli. Jeżeli Gamboa na mnie doniósł i Manuel myśli, że za jego plecami widuję się z innym mężczyzną, mój upór w kwestii nieopuszczania pokoju powinien uspić jego podejrzenia. Oczywiście, moje słowo mu

nie wystarczy. Już on to jakoś załatwi. Pewnie przyśle kogoś, żeby mnie pilnował, może nawet każe podsłuchiwać moje rozmowy telefoniczne, ale ja przecież nie miałam zamiaru z nikim rozmawiać. Będę grzeczną dziewczynką: nigdzie nie wyjdę, do nikogo nie zadzwonię, z nikim się nie spotkam. Samotna i znudzona, będę się snuła od restauracji do recepcji, a o stosownej porze wezmę walizkę i ostentacyjnie opuszczę hotel na oczach wszystkich gości i całej obsługi. Tak przynajmniej sądziłam, dopóki nie padła inna propozycja:

– Powinnaś wypocząć, oczywiście. Ale nie możesz wyjechać bez pożegnania. Pozwól, że cię odprowadzę na dworzec. O której masz pociąg?

– O dziesiątej – odparłam. Cholera, naprawdę chciałam go zobaczyć.

– W takim razie wpadnę o dziewiątej, zgoda? Chciałbym wcześniej, ale przez cały dzień będę zajęty...

– Nie szkodzi, ja też potrzebuję czasu, żeby to wszystko ogarnąć. Po południu wyślę na stację walizki, a sama poczekam na ciebie.

– To do wieczora.

– Pamiętaj, o dziewiątej.

Zamiast bentleya João czekał na mnie sportowy aston martin. Rozejrzałam się wkoło, lecz nigdzie nie dostrzegłam starego szofera. Za gardło chwycił mnie lęk: na myśl, że zostanę sam na sam z Manuelem, poczułam obawę i niechęć. On najwidoczniej nie miał takich rozterek.

W jego stosunku do mnie nie zauważyłam żadnej zmiany. Był taki jak zawsze: szarmancki, miły, uwodzicielski, jakby cały jego

świat kręcił się wokół owych bel pięknego jedwabiu z Makau, które oglądałam w jego biurze; jakby nie miał nic wspólnego z mrocznymi sztolniami kopalni wolframu. Po raz ostatni pomknęliśmy po Estrada Marginal, po raz ostatni przejechaliśmy ulicami Lizbony, ścigani spojrzeniami przechodniów. Na peronie byliśmy dwadzieścia minut przed czasem. Uparł się, żeby wejść ze mną do przedziału. Posuwaliśmy się ciasnym korytarzem, ja pierwsza, on tuż za mną, niosąc walizeczkę, w której dowody jego brudnej zdrady leżały pospołu z niewinnymi kosmetykami, mydłem i bielizną.

– Ósemka, to chyba tutaj.

Przez otwarte drzwi dostrzegłam eleganckie, czyściutkie wnętrze: wykładane boazerią ściany, rozsunięte zasłonki, fotel i zaścielone łóżko.

– No cóż, moja miła Arish, nadeszła godzina pożegnania – powiedział, stawiając walizeczkę na podłodze. – Naprawdę się cieszę, że cię poznałem. Przywykłem do twojego towarzystwa. Będę za tobą tęsknił.

Jego wzruszenie wydawało się autentyczne. Może niesłusznie podejrzewałam Gamboę. Może trochę przesadziłam. Może w ogóle nie zamierzał się dzielić swoim odkryciem z szefem, który nadal uwielbia mnie bez zastrzeżeń.

– Spędziłam z tobą niezapomniane chwile, Manuelu – odparłam, wyciągając do niego rękę. – Nie spodziewałam się, że mój pobyt w Portugalii będzie aż tak udany. Moje klientki padną z zachwytu. A ty tak serdecznie się mną zająłeś, że wszystkie zakupy okazały się czystą przyjemnością. Nie wiem, jak ci dziękować.

Chwycił moje dłonie i przez dłuższą chwilę nie puszczał. W zamian otrzymał najbardziej olśniewający uśmiech z repertuaru Arish Agoriuq, uśmiech, za którym kryła się przemożna chęć, by wreszcie spuścić kurtynę na tę farsę. Za kilka minut zawiadowca dmuchnie w gwizdek, machnie chorągiewką i ekspres Lusitania zacznie toczyć się po szynach, oddalając się od Atlantyku w głąb Półwyspu. Na zawsze zostawię za sobą Manuela da Silvę i jego ponure interesy, gwarną Lizbonę i cały ów obcy mi świat.

Ostatni pasażerowie w pośpiechu wskakiwali do pociągu, co chwila musieliśmy robić im przejście, przyciśnięci do ściany wagonu.

– Powinieneś już iść, Manuelu.

– Chyba tak. Masz rację, powinienem.

Nadeszła pora, by zakończyć ową pożegnalną pantomimę, wejść do przedziału i odzyskać własną prywatność. Niech tylko zniknie Manuel, a wszystko wróci do normy. I nagle lewą ręką otoczył moją szyję, a prawą przygarnął mnie do siebie; poczułam gorący, obcy smak jego warg na moich ustach i dreszcz, który przeszył mnie od stóp do głów. Pocałunek był namiętny, mocny i długi. Poddałam się biernie, zmieszana, bezbronna.

– Szczęśliwej podróży, Arish.

Nie zostawił mi czasu na odpowiedź. Odszedł, zanim znalazłam odpowiednie słowa.

Opadłam bezwładnie na fotel, a przed moimi oczami, jak na kinowym ekranie, przesuwały się wydarzenia ostatnich dni. Przypominałam sobie rozmowy i sceny, zastanawiając się jednocześnie, których bohaterów owego dziwnego filmu jeszcze kiedyś spotkam, a których już nigdy nie zobaczę. Podsumowałam każdą fabułę z osobna: najczęściej miały nieszczęśliwe zakończenie, niektóre urywały się w najciekawszym momencie. Ale wszystkie wątki spotykały się w ostatnim kadrze: pocałunku Manuela da Silvy. Wciąż jeszcze czułam na ustach jego smak, chociaż nie mogłam znaleźć odpowiedniego przymiotnika. Niespodziewany, namiętny, cyniczny, zmysłowy. Być może pasowały wszystkie, być może żaden.

Wyprostowałam się i wyjrzałam przez okno. Wagon kołysał się miarowo, za szybą migają światła Lizbony, coraz bledsze, coraz mniej wyraźne, rozplływające się z wolna w gęstniejącej nocy. Wstałam. Trzeba się przewietrzyć. Pora na kolację.

Wagon restauracyjny był już pełen. Pełen ludzi, zapachu potraw, pobrzękiwania sztućców i gwaru rozmów. Poczekiałam chwilę, aż zwolni się jakieś miejsce; wybrałam menu i zamówiłam wino, żeby uczcić odzyskaną wolność. Zabijałam czas, wyobrażając sobie powrót do Madrytu i reakcję Hillgartha, kiedy pozna rezultaty mojej misji. Prawdopodobnie nawet nie przypuszczał, że okaże się tak owocna.

Wino i jedzenie podano szybko i sprawnie, ale jeszcze zanim pojawił się kelner, wiedziałam, że kolacja nie będzie przyjemna. Siedziałam obok dwóch prostaków, którzy gapili się na mnie bezczelnie. Niemiły zgrzyt, rażący dysonans w ogólnej

harmonii. Na stoliku mieli dwie butelki wina i mnóstwo dań, które pożerali tak zachłannie, jakby tej nocy miał nastąpić koniec świata. Nie mogłam się w spokoju delektować moim *bacalhau à Brás*; lniany obrus, kryształowy kieliszek i ceremonialne ruchy kelnerów szybko zeszły na drugi plan. Pragnęłam jedynie przełknąć wszystko jak najszybciej i wrócić do przedziału, by uwolnić się od niechcianego towarzystwa.

Kiedy weszłam, firanki były zasunięte, a łóżko pościelone. Stukotanie kół wkrótce przycichnie; nawet nie zauważę, kiedy miniemy granicę i Portugalia zostanie daleko w tyle. Dopiero teraz odczułam skutki nieprzespanych nocy: przedostatnią spędziłam u Rosalindy, ostatnią na kolacji w domu Da Silvy, a potem od świtu pisałam meldunki. Wyczerpany organizm zaczął domagać się swoich praw. Musiałam się natychmiast położyć.

Otworzyłam walizeczkę, ale niczego nie zdążyłam wyjąć, bo ktoś zapukał do drzwi.

– Bilety do kontroli.

Otworzyłam ostrożnie. Na korytarzu stał konduktor. Za jego plecami dostrzegłam dwa cienie, kołyszące się w rytm ruchu pociągu. Nie do pomylenia. Dwaj mężczyźni, którzy przeszkodzili mi w kolacji.

Zaryglowałam drzwi za konduktorem, z mocnym postanowieniem, że nie otworzę ich aż do Madrytu. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam po lizbońskich przeżyciach, było użeranie się z impertynentami, którzy z braku innego zajęcia najwidoczniej postanowili naprzykrzać mi się przez całą noc.

Byłam wyczerpana psychicznie i fizycznie, chciałam zapomnieć o wszystkim, choćby na kilka godzin.

Wyjęłam z neseserka szczoteczkę do zębów, mydelniczkę i krem. Po kilku minutach zauważyłam, że pociąg zwolnił; wjeżdżaliśmy na stację, pierwszą na trasie podróży. Odsunęłam firankę i przeczytałam napis: Entroncamento.

W parę sekund później znowu ktoś zaczął się dobijać. Głośno, natarczywie. To na pewno nie konduktor. Znieruchomiałam, oparta plecami o drzwi. Intuicja podpowiadała mi, że to tamci dwaj z wagonu restauracyjnego. Nie miałam zamiaru im otwierać.

Po chwili pukanie się powtórzyło. Jeszcze głośniej. I wtedy usłyszałam przez drzwi swoje imię. Znałam ten głos.

Odsunęłam zasuwkę.

– Musisz wysiąść z tego pociągu. Widziałem dwóch ludzi Da Silvy. Przyszli po ciebie.

– Kapelusz?

– Kapelusz.

## 64

Najpierw ogarnęło mnie przerażenie, a potem pusty śmiech. Gorzki, ponury. Jak zawodne bywają nasze odczucia. Jeden pocałunek Da Silvy wystarczył, bym zachwiała się w podejrzeniach co do jego niecznych zamiarów, a zaledwie godzinę później dowiaduję się, że nasłał na mnie zbirów, którzy mieli wyrzucić moje zwłoki w ciemność ziejącą za oknem rozpędzonego pociągu. Pocałunek Judasza.

– Weź ze sobą tylko dokumenty – powiedział Marcus. – Resztę rzeczy odbierzesz w Madrycie.

– Mam tu coś, czego nie mogę zostawić.

– Nie traćmy czasu, Siro. Pociąg za chwilę ruszy. Pospiesz się, bo będziemy musieli wyskoczyć w biegu.

– Tylko sekundę...

Pochyliłam się nad walizeczką i oburącz opróżniłam jej zawartość. Jedwabna koszula nocna, jeden kapeć, szczotka do włosów, flakonik wody kolońskiej – wszystko kotłowało się na łóżku i na podłodze, jakby przez pociąg przeszło tornado. Wreszcie znalazłam to, czego szukałam na dnie: szkicownik pełen fałszywych wykrojów z ukrytymi w drobniutkiej fastrydze dowodami zdrady Manuela da Silvy. Przycisnęłam zeszyt do piersi.

– Idziemy – powiedziałam, chwytając torebkę, w której miałam paszport.

Wybiegliśmy na korytarz w chwili, gdy rozległ się gwizdek; kiedy dopadliśmy drzwi, lokomotywa już buchała parą, a pociąg zaczynał ruszać. Marcus wysiadł pierwszy. Wyrzuciłam na peron szkicownik i torebkę, a potem buty, które musiałam zdjąć, żeby nie połamać sobie nóg. Podał mi rękę i wyskoczyłam.

Usłyszeliśmy wściekle wrzaski zawiadowcy, który biegł w naszą stronę, gwałtownie wymachując rękami. Dwaj inni kolejarze wyszli z budynku stacji, zaniepokojeni jego krzykiem, podczas gdy pociąg, nie zważając na ów rejwach, toczył się po szynach coraz szybciej.

– Pospiesz się, Siro, chodźmy stąd – popędzał mnie Marcus.



Pozbierał z peronu moje buty i podał mi je niecierpliwym gestem. Stałam bez ruchu, trzymając je w rękach, bo obstąpili nas pracownicy stacji: zawiadowca krzyczał i gestykulował gniewnie, reszta także wtrącała swoje trzy grosze. Dołączyli do nich najpierw dwaj żebracy, a po chwili bufetowa i kelner, dopytując się z przejęciem, co się stało.

I wówczas przez zgiełk podniesionych głosów przedarł się przeraźliwy zgrzyt hamującego pociągu.

Na peronie nagle zapanowała cisza, wszyscy zastygli w bezruchu, a tymczasem koła toczyły się po szynach coraz wolniej, z ostrym, przeciągłym piskiem.

Milczenie przerwał Marcus.

– Hamulec bezpieczeństwa. Zauważyli, że wyskoczyliśmy. Szybko, Siro – zakomenderował. – Chodźmy stąd.

Wszyscy jakby się ocknęli. Powróciły wrzaski, rozkazy, bieganina i gniewne gesty.

– Nie ma mowy – zaprotestowałam, kręcąc się w kółko i patrząc pod nogi. – Zgubiłam szkicownik.

– Na Boga, Siro, zapomnij o tym cholernym zeszycie! – krzyknął ze złością. – Zaraz tu będą. Zabiją cię!

Poczułam, że chwyta moją rękę i szarpie, gotów wywlec mnie z peronu siłą.

– Nic nie rozumiesz, Marcus. Muszę go znaleźć za wszelką cenę, nie może tu zostać – odparłam twardo, zajęta szukaniem. I wreszcie znalazłam. – Tam jest! Tam! – wykrzyknęłam, wyrywając się i pokazując coś w ciemnościach. – Tam, na torach!

Piski i zgrzyty ucichły, pociąg stanął. Ludzie wychylali się z okien, a ich zaniepokojone głosy mieszały się z wrzaskami zdenerwowanych kolejarzy. I wtedy od jednego z wagonów oderwały się dwa cienie. Biegły w naszą stronę.

Skalkulowałam czas i odległość. Zdążyłabym zejść i zabrać szkicownik, ale wdrapać się na peron byłoby już trudniej: trochę za wysoko jak na moje nogi. Tak czy inaczej, trzeba spróbować. Za wszelką cenę musiałam odzyskać wykroje, nie mogłam wrócić do Madrytu bez tego, co w nich zapisałam. Nagle Marcus siłą odciągnął mnie od krawędzi i skoczył na tory.

Od chwili gdy znów przycisnęłam do piersi upragniony zeszyt, wszystko rozegrało się w zawrotnym tempie. Biegliśmy. W poprzek peronu, przez pustą halę, odbijającą echo naszych kroków, przez ciemny plac. Za ręce, przedzierając się przez noc, jak za dawnych dobrych czasów.

Zatrzymaliśmy się przy samochodzie.

– Co, u diabła, masz w tym zeszycie, że dałabyś się dla niego zabić? – wysapał, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Silnik ryknął, a ja, z trudem łapiąc oddech, uklękłam, żeby wyrzeć przez tylną szybę. W tumanie kurzu wznieconym przez rozpędzone koła zamajaczyły sylwetki dwóch mężczyzn. Biegli za nami. Dzielilo ich od nas zaledwie kilka metrów, ale odległość z każdą chwilą rosła. Widziałam, jak słabną. Najpierw jeden stopniowo zwalniał biegu, aż wreszcie stanął w rozkroku i złapał się rękami za głowę, skołowany, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Drugi wytrzymał trochę dłużej, ale też wkrótce stracił impet. Zdążyłam jeszcze zobaczyć, jak zgina

się w pół, chwyta za brzuch i wymiotuje wszystkim, co jeszcze niedawno z takim apetytem pałaszował.

Kiedy upewniłam się, że już nas nie gonią, usiadłam i wciąż jeszcze trochę zdyszana, odpowiedziałam na pytanie Marcusa.

– Najlepsze wykroje, jakie zrobiłam w swoim życiu.

## 65

– Gamboa rzeczywiście zaczął coś podejrzewać. Kiedy zostawił orchidee, przyczał się w korytarzu i poczekał, żeby sprawdzić, kto jest właścicielem kapelusza, który zauważył na biurku. Wtedy zobaczył, jak wychodzę z twojego pokoju. Zna mnie aż za dobrze, często bywałem w biurze. Poszedł do Da Silvy, ale ten nie chciał go przyjąć; powiedział, że jest zajęty, i kazał mu wrócić rano. Tak też się stało. Kiedy Da Silva usłyszał, o co chodzi, wpadł w furję, wyrzucił go na zbity pysk i zaczął działać.

– A ty skąd o tym wszystkim wiesz?

– Od Gamboi. Sam do mnie przyszedł dziś po południu. Jest przerażony, rozpaczliwie szuka kogoś, kto mógłby go obronić. Pomyślał, że będzie mu bezpieczniej pod opieką Anglików, z którymi był kiedyś w doskonałych stosunkach. Nie ma pojęcia, co kombinuje jego szef, bo Da Silva ukrywa to nawet przed najbardziej zaufanymi ludźmi. Po tej rozmowie zacząłem się bać o ciebie, więc od razu poszedłem do hotelu, ale powiedzieli mi, że już wyjechałaś. Na dworzec dotarłem w chwili odjazdu pociągu, a kiedy zobaczyłem stojącego na peronie Da Silvę, pomyślałem, że wszystko jest w porządku. W ostatnim

momencie zauważyłem, że daje znak dwóm mężczyznom wychylonym przez okno.

– Jaki znak?

– Ósemkę. Pięcioma palcami jednej ręki i trzema drugiej.

– Numer mojego przedziału...

– Tylko to im było potrzebne. Resztę uzgodnili przedtem.

Ogarnęło mnie dziwne uczucie – lęku skrzyżowanego z ulgą, zarazem słabości i gniewu. Może tak smakuje zdrada. Wiedziałam jednak, że nie mam powodu czuć się zdradzona. Z premedytacją oszukiwałam Manuela, próbując go usidlić za pomocą banalnych kobiecych sztuczek, a on postanowił odwzajemnić się tym samym, nie brudząc sobie rąk i zwodząc mnie udawaną galanterią. Fałsz za fałsz. Takie jest życie.

Jechaliśmy zakurzonymi drogami, telepiąc się na wybojach, mijając uśpione miasteczka, wyludnione wioski i pustkowia. Kilometrami nie widzieliśmy żadnych świateł prócz reflektorów naszego samochodu, rozcinających ciemność bezksiężycowej nocy. Marcus podejrzewał, że ludzie Da Silvy pojedą za nami. Dlatego gnał przed siebie, jakby siedzieli nam na zderzaku.

– Jestem prawie pewien, że nie ośmielą się ścigać nas w Hiszpanii. Dla nich to obcy teren, nie oni ustalają tam zasady gry. Ale aż do granicy musimy zachować czujność.

To logiczne, że Marcus zacznie teraz dociekać, dlaczego Da Silva postanowił mnie zlikwidować, chociaż jeszcze wczoraj był tak szarmancki. Widział nas razem w kasynie, wiedział, że korzystam z jego samochodu i że przysyła mi prezenty. Spodziewał się zapewne jakiegoś komentarza na temat mojego

domniemanego związku z Manuelem, oczekiwał wyjaśnień, co takiego między nami zaszło – czegoś, co rzuci odrobinę światła na motywy kierujące Da Silvą, który nagle postanowił się mnie pozbyć, i to w chwili, kiedy miałam zniknąć z jego kraju i jego życia. Ale z moich ust nie wyszło ani jedno słowo.

Tymczasem mówił sam, pochylony w skupieniu nad kierownicą. Robił aluzje, snuł domysły, licząc najwyraźniej, że wreszcie zmiękne.

– Da Silva – podjął – otworzył przed tobą na oścież drzwi swojego domu. Byłaś świadkiem tego, co się tam wczoraj działo, a czego ja nie wiem.

Milczałam.

– I czego chyba nie masz zamiaru mi zdradzić.

Istotnie, nie miałam.

– Teraz jest przekonany, że zbliżyłaś się do niego, ponieważ wykonujesz czyjeś rozkazy, i podejrzewa, że nie jesteś zwyczajną krawcową, która przypadkowo zjawiała się w jego życiu. Sądzi, że chciałaś wybadać jego interesy, ale kieruje swoje domysły w niewłaściwą stronę, bo po donosie Gamboi uznał błędnie, iż pracujesz dla mnie. Tak czy inaczej, postanowił zamknąć ci usta. O ile to możliwe, na zawsze.

Nadal się nie odzywałam. Udawałam, że tkwię w błogiej nieświadomości. Aż wreszcie moje milczenie stało się nie do zniesienia dla nas obojga.

– Dziękuję, że mi pomagasz, Marcusie – szepnęłam cichutko.

Nie zwiodłam go; nie zwiodłam, nie rozczuliłam, nie wzruszyłam fałszywą słodyczą.

– Po czyjej ty jesteś stronie, Siro? – zapytał wolno i wyraźnie, nie odrywając wzroku od drogi.

Odwróciłam się i popatrzyłam na jego profil, częściowo ukryty w półmroku. Ostry nos, mocno zarysowana szczęka... Ta sama determinacja, ta sama pewność siebie; wydawał się tym samym mężczyzną, którego znałam w Tetuanie. Wydawał.

– A ty, Marcus, po czyjej?

Na tylnym siedzeniu, niewidoczna, lecz wyczuwalna, pojawiła się jeszcze jedna pasażerka: podejrzliwość.

Granicę przekroczyliśmy po północy. Marcus wyjął swój brytyjski paszport, ja – lewe marokańskie papiery. Zerknął na nie uważnie, ale o nic nie zapytał. Po ludziach Da Silvy nie było ani śladu. Dwaj zaspani celnicy wylegitymowali nas na odczepnego, najwyraźniej chcąc się nas szybko pozbyć.

– Tamci dwaj chyba się odczepili. Nie pojechali za nami, nie czekali na granicy... Może staniemy gdzieś na nocleg? Rano złapię jakiś pociąg, a ty wrócisz do Lizbony – zaproponowałam.

– Wolę jechać prosto do Madrytu – odburknął.

Mknęliśmy po pustej szosie, pogrążeni we własnych myślach. Za podejrzliwością przyszła obawa, za obawą cisza – gęsta, krępująca, nabrzmiała nieufnością. niesprawiedliwa. Marcus pomógł mi w najgorszej chwili mojego życia, wyciągnął za uszy z kłopotów. Przez całą noc nie zmruży oka, żebym tylko bezpiecznie dotarła do celu podróży, a ja odpłacam mu milczeniem i odmawiam wszelkich wyjaśnień. Ale nie mogłam mówić. Jeszcze nie. Musiałam przedtem sprawdzić, czy słuszne są podejrzenia, jakich nabrałam podczas nocnej rozmowy z Rosalindą. A może jednak... Może nic się nie stanie, jeżeli

zdradzę mu jakiś szczegół poprzedniego wieczoru, fragment, skrawek, klucz. Coś, co przyda się nam obojgu: on zaspokoi ciekawość, przynajmniej częściowo, a ja przekonam się, czy chwyci przynętę.

Minęliśmy Badajoz i Meridę. Od granicy nie odezwaliliśmy się do siebie ani słowem, wlokąc wzajemną nieufność po dziurawych drogach i rzymskich mostach.

– Pamiętasz Bernhardta, Marcus?

Zdawało mi się, że mięśnie jego ramion zeszywniały, a palce mocniej zacisnęły się na kierownicy.

– Jasne, że pamiętam.

Ciemne wnętrze samochodu wypełniły nagle obrazy i zapach tamtego wspólnie spędzonego dnia, od którego wszystko między nami się zmieniło. Letnie marokańskie popołudnie, mój dom przy Sidi Mandri, podający się za dziennikarza mężczyzna pod moim oknem. Gwarne ulice Tetuanu, ogrody wokół Wysokiego Komisariatu, hałaśliwa orkiestra kalifa, jaśminy i pomarańcze, galony i mundury. Nieobecna Rosalinda i uśmiechnięty Beigbeder, czyniący honory pana domu, nieświadomy jeszcze, że ten, którego witał z taką pompą, bez wahania zetnie mu kiedyś głowę. Plecy Niemców skupionych wokół gościa o kocich oczach i dziwna prośba mojego towarzysza, bym zdobyła dla niego poufne informacje. Inne czasy, inny kraj, a wszystko prawie po staremu. Prawie.

– Wczoraj jadłam z nim kolację u Da Silvy. Potem rozmawiali aż do rana.

Widziałam, że z trudem hamuje ciekawość, że chce się dowiedzieć więcej, że spragniony jest faktów i szczegółów, ale

woli o nic nie pytać, bo też mi nie ufa. Słodka Sira też już nie jest tym, kim była przedtem.

W końcu nie wytrzymał.

– Słyszałaś, co mówili?

– Nic, absolutnie. Domyślasz się, co ich łączy?

– Nie mam pojęcia.

Wiedział, że kłamie. A ja wiedziałam, że on kłamie. Żadne z dwojga nie zamierzało wykladać teraz kart na stół, ale nic porozumienia została nawiązana i atmosfera nieco się rozluźniła. Być może sprawiły to wspomnienia czasów, kiedy jeszcze nie straciliśmy całej niewinności. Być może przypomniał sobie, że jednak coś nas łączy, bez względu na kłamstwa i wzajemną urazę.

Próbowałam skupić się na drodze, żeby nie zasnąć, ale napięcie ostatnich dni, notoryczny brak snu i nocne przeżycia odebrały mi resztki sił. Czułam, że dłużej nie dam rady. Miałam dość stąpania po linie.

– Chce ci się spać? – zapytał. – Chodź, oprzyj się o mnie.

Przysunęłam się bliżej i przytuliłam do jego ramienia. Poczułam kojące ciepło.

– Prześpij się. Już niedaleko – szepnął.

Zaczęłam spadać w ciemną, rozedrganą studnię, przeżywając od nowa niedawne sceny, wykoślawione przez filtr podświadomości. Mężczyźni goniący za mną z brzytwą, długi, wilgotny pocałunek węża, żony wolframistów tańczące na stole. Liczący na palcach Da Silva, płaczący Gamboa, Marcus i ja biegnący po ciemku przez zaułki tetuańskiej medyny.

Nie wiem, jak długo spałam.



– Obudź się, Siro. Dojeżdżamy do Madrytu. Powiedz, gdzie mieszkasz. Podwiozę cię.

Jego bliski głos wyrwał mnie ze snu. Pomału otrząsałam się z koszmaru i nagle zdałam sobie sprawę, że wciąż się tulę do Marcusa, uczepiona jego ramienia. Zdrętwiała, wciąż jeszcze na wpół przytomna, rozprostowałam się z trudem. Bolał mnie kark, ścierpły nogi. Bez słowa wyjrzałam przez okienko, poprawiając ręką uczesanie. Nad Madrytem wstawał świt. Tu i ówdzie świeciły pojedyncze latarnie, samotne, smutne. Przypomniałam sobie Lizbonę, jej wielkomięski rozmach i feerię nocnych światel. W ubogiej, nękaniej restrykcjami Hiszpanii wciąż żyło się po ciemku.

– Która godzina? – zapytałam wreszcie.

– Dochodzi siódma. Długo spałaś.

– Pewnie jesteś kompletnie wykończony – powiedziałam sennie.

Podaliśmy mu adres i poprosiłam, żeby zaparkował naprzeciwko. Było już prawie jasno i na ulicach pojawili się pierwsi przechodnie. Mleczarze, służące, czasem jakiś sprzedawca albo kelner.

– Co będziesz dzisiaj robił? – spytałam, zapatrzona przez szybę na budzące się miasto.

– Załatwię sobie pokój w Palace i porządnie się wyśpię. Potem oddam do pralni garnitur i kupię nową koszulę. Uświłem się, skacząc na tory.

– Ale uratowałeś mój szkicownik.

– Nie wiem, czy było warto. Jeszcze mi nie powiedziałaś, co w nim masz.

Udawałam, że nie słyszę.

– A jak się już przebierzesz w czyste rzeczy, to co?

Wciąż wyglądałam przez okno, zastanawiając się, jak chwycić byka za rogi.

– Zajrzę do biura – odparł. – Mamy oddział w Madrycie.

– I znowu chcesz zwać, jak wtedy, w Maroku? – zapytałam, śledząc wzrokiem uliczny ruch.

Uśmiechnął się lekko.

– Jeszcze nie wiem.

W tej samej chwili zobaczyłam wychodzącego z bramy portiera, który ruszył w stronę mleczarni. Droga wolna.

– To najpierw wpadnij do mnie na śniadanie. Uciec możesz później – powiedziałam, otwierając szybko drzwiczki.

Chwycił mnie za ramię i przytrzymał.

– Pod warunkiem, że powiesz, w co się wpakowałaś.

– Pod warunkiem, że powiesz, kim ty naprawdę jesteś.

Trzymając się za rękę, weszliśmy po schodach, gotowi na rozejm. Zmęczeni i brudni, ale wciąż żywi.

## 66

Jeszcze zanim otworzyłam oczy, wiedziałam, że Marcus wyszedł. Po jego bytności w moim domu i w moim łóżku nie pozostał żaden widoczny ślad. Ani zapomniana część garderoby, ani pożegnalny liścik. Jedynie smak rozkoszy, przenikający mnie na wskroś. Ale wiedziałam, że wróci. Prędzej czy później, w najmniej spodziewanej chwili, pojawi się znowu.

Nie miałam ochoty wstawać. Jeszcze tylko godzinę, chociaż pół, tyle mi wystarczy, żeby zatrzymać w pamięci wszystko, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dni, a zwłaszcza ostatniej nocy. Wszystko, co przeżyłam, widziałam, czułam. Chciałam zostać w łóżku i odtworzyć każdą sekundę minionych godzin, ale niestety nie mogłam. Musiałam powrócić do rzeczywistości, musiałam się zmobilizować. Czekały mnie setki spraw do załatwienia. Wykąpałam się i wzięłam do roboty. Była sobota. Dziewczęta i dona Manuela miały wolny dzień, ale wszystko było gotowe na mój przyjazd, żebym mogła się zorientować, jak sobie radziły pod moją nieobecność. Wyglądało na to, że atelier funkcjonuje bez zarzutu: stroje upięte na manekinach, wymiary starannie zapisane w zeszycie, ścinki materiałów i nowe wykroje, notatki poczynione skośnym pismem: kto przyszedł, kto dzwonił, co trzeba załatwić. Nie miałam jednak czasu we wszystkim się rozpatrzyć. Trudno, trzeba to zostawić na później. Dochodziło południe, a ja miałam pilniejsze sprawy.

W Embassy panował straszliwy ścisk, ale miałam nadzieję, że Hillgarth zobaczy, jak zaraz po wejściu upuszczam torebkę. Ostentacyjnie, niemal bezczelnie. Trzech dżentelmenów momentalnie zgięło się wpół, szarmancko rzucając się na podłogę. Najszybszy był niemiecki oficer, który właśnie wychodził, i dlatego pierwszy znalazł się przy drzwiach. Podziękowałam mu najpiękniejszym ze swoich uśmiechów, zerkając dyskretnie na Hillgartha. Siedział przy stoliku w głębi, jak zawsze w towarzystwie. Uznałam, że mnie widział i zrozumiał wiadomość. Przekaz był jasny: muszę z panem natychmiast porozmawiać. Spojrzałam na zegarek i zrobiłam

przerażoną minę, jakbym sobie nagle przypomniała o pilnym spotkaniu. Przed drugą byłam już w domu. Kwadrans po trzeciej zjawił się posłaniec z bombonierką. Hillgarth nie próżnował. Umówił się ze mną na wpół do piątej w gabinecie doktora Rico.

Wszystko odbyło się tak jak zwykle. Przyszłam sama, nikogo nie minęłam na schodach. Drzwi otworzyła ta sama pielęgniarka i zaprowadziła mnie na piętro.

– Witaj, Sidi. Cieszę się, że wróciłaś. Podróż była wygodna? Cuda opowiadają o ekspresie Lusitania.

Stał przy oknie, jak zawsze nienagannie ubrany. Podszedł, żeby mi uścisnąć dłoń.

– Witam, kapitanie. Podróż wspaniała, dziękuję. Przedziały pierwszej klasy są fantastyczne. Chciałam się z panem zobaczyć jak najszybciej, żeby przekazać wrażenia z Portugalii.

– Chętnie posłucham. Proszę spocząć. Papierosa?

Był odprężony, jakby wcale mu się nie spieszyło do moich rewelacji. A jeszcze dwa tygodnie temu grunt mu się palił pod nogami.

– Wszystko poszło dobrze. Myślę, że zdobyłam bardzo ciekawe informacje. Pańskie podejrzenia były słuszne. Da Silva prowadzi rozmowy z Niemcami na temat zaopatrzenia armii w wolfram. Targu dobili w czwartek nad ranem, na kolacji z udziałem Johanna Bernhardta.

– Świetna robota, Sidi. To dla nas bardzo pożyteczna informacja.

Nie wyglądał na zdziwionego. Ani poruszonego. Ani wdzięcznego. Był grzeczny i obojętny. Jakby nie usłyszał niczego

nowego.

– Nie wydaje się pan zaskoczony – powiedziałam. – Dowiedział się pan wcześniej?

Zapalił cravena A, zaciągnął się i odrzekł:

– Właśnie dziś rano dostaliśmy informację o spotkaniu Da Silvy z Bernhardtem. Jedyne, o czym mogli rozmawiać, to wolfram, co tylko potwierdza przypuszczenia, że Da Silva zdradził nasze interesy. Przekazaliśmy już do Londynu stosowne memorandum w tej sprawie.

Coś mnie tknęło, ale starałam się, żeby to, co powiem, zabrzmiało naturalnie. Moje domysły szły dobrym tropem, jednak postanowiłam drążyć dalej.

– Cóż za przypadek! Akurat dzisiaj... Sądziłam, że tę misję powierzono tylko mnie.

– Przed południem niespodziewanie zgłosił się do nas agent oddelegowany do Portugalii. Zaskoczył nas zupełnie. Przez całą noc jechał z Lizbony samochodem.

– I ten agent widział na własne oczy, jak Da Silva spotyka się z Bernhardtem? – zapytałam z udawanym zdumieniem.

– Osobiście, nie. Ale na spotkaniu obecna była osoba, której ufa bez zastrzeżeń.

O mało co nie parsknęłam śmiechem. Jego agent informacje na temat Bernhardta otrzymał od kogoś, komu „ufa bez zastrzeżeń”. No cóż, przyjąłam to jako komplement.

– Bernhardt bardzo nas interesuje – podjął Hillgarth, nieświadomy moich myśli. – Jak mówiłem pani w Tangerze, to on jest mózgiem Sofindusa, korporacji, poprzez którą Trzecia Rzesza realizuje transakcje w Hiszpanii. Wiadomość, że

negocjuje z Da Silvą w Portugalii, ma dla nas pierwszorzędne znaczenie, ponieważ...

– Przepraszam, kapitanie – wtrąciłam. – Pozwoli pan, że jeszcze o coś spytam. Ten agent, który dostarczył informacje o spotkaniu Da Silvy z Bernhardtem, też jest z SOE? Niedawno zwerbowany, tak samo jak ja?

Zanim odpowiedział, starannie zgasił papierosa i spojrzał mi prosto w oczy.

– Dlaczego pani o to pyta?

Uśmiechnęłam się z fałszywą słodyczą.

– A tak sobie... – powiedziałam, wzruszając ramionami. – Cóż za niewiarygodny przypadek! Oboje zjawiliśmy się u pana tego samego dnia z tą samą informacją... Zabawne.

– Przykro mi, że panią rozczaruję. To nie jest agent SOE, zwerbowany podczas tej wojny, ale jeden z naszych ludzi z SIS, wywiadu, powiedzmy... konwencjonalnego. Jego wiarygodność nie podlega najmniejszej wątpliwości, to doświadczony agent, pracuje dla nas od lat. Ma pazur, jak mawiacie w Hiszpanii.

Po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Dopasowałam ostatni fragment układanki. To, co usłyszałam, tylko potwierdziło moje przeczucia, ale kiedy poznałam nagą prawdę, duszę zmroził mi lodowaty podmuch. Cóż, nie czas na rozterki, muszę tę grę doprowadzić do końca, udowodnić Hillgarthowi, że początkująca agentka też nie wypadła sroce spod ogona.

– A ten wasz człowiek z SIS powiedział coś więcej? – zapytałam, świdrując go wzrokiem.

– Niestety. Nie znał szczegółów, ale...

Nie pozwoliłam mu skończyć.

– Nie powiedział, jak i gdzie toczyły się rozmowy? Nie podał nazwisk ludzi, którzy byli przy tym obecni? Nie poinformował pana o terminach, o przewidywanym wydobywaniu wolframu, cenie za tonę, formach płatności i sposobach na obejście przepisów celnych? Nie powiedział, że najdalej za dwa tygodnie odetną Anglikom dostawy? I że Da Silva nakłonił do współpracy właścicieli terenów kopalnianych w Beirze, żeby wspólnie wynegocjować z Niemcami lepsze warunki?

Hillgarth zmarszczył krzaczaste brwi. W jego oczach pojawił się stalowy błysk.

– Skąd pani to wszystko wie, Sidi? – zapytał dziwnym głosem.

Odpowiedziałam wyzywającym spojrzeniem. Na jego rozkaz przez dziesięć dni kroczyłam po linie zawieszanej nad przepaścią i nie spadłam. Nadszedł czas, by dowiedział się, co znalazłam, kiedy dotarłam do celu.

– Stąd, że kiedy dobra krawcowa bierze się do roboty, nie odkłada jej, dopóki nie skończy.

W trakcie owej rozmowy szkicownik z wykrojami trzymałam dyskretnie pod stołem. Jedna okładka była wyrwana, kilka stron pogniecionych, a tu i ówdzie widniały plamy, świadczące o tym, co przeszedł, odkąd opuścił bezpieczną szufladę w hotelowym pokoju w Estoril. Położyłam go na stole i oparłam na nim obie dłonie.

– Tutaj jest wszystko, co uzgodniono tamtej nocy. Do ostatniej sylaby. Pański agent nie wspomniał panu nic o zeszycie?

Mężczyzna, który niedawno po raz drugi wdarł się w moje życie, był z pewnością jednym z najcwańszych szpiegów Jego Królewskiej Mości, ale w sprawie wolframu ja byłam lepsza.

Opuściłam miejsce potajemnego spotkania jako inna, nowa Sira. Było to dziwne, zupełnie nowe uczucie, którego nie umiałam nazwać. Szłam powoli chodnikiem, zastanawiając się nad odpowiednim słowem. Było mi najzupełniej obojętne, czy mnie śledzą, nie rozglądałam się w obawie, że ktoś czai się za rogiem. Na oko nic nie odróżniało mnie od tamtej kobiety, która kilka godzin temu – w identycznym ubraniu, w identycznych butach, z identyczną torebką – przemierzała te same ulice w odwrotnym kierunku. Nikt, kto mnie widział wtedy i teraz, nie dostrzegłby żadnej zmiany prócz tego, że już nie miałam przy sobie zeszytu. Ja jednak wiedziałam swoje. Hillgarth także. Oboje byliśmy świadomi, że owego majowego popołudnia porządek rzeczy zmienił się nieodwołalnie.

Nie powiedział wiele, ale całe jego zachowanie świadczyło, że zebrane przeze mnie fakty stanowiły okazały arsenał wiedzy, którą jego ludzie w Londynie powinni drobiazgowo przeanalizować. Liczyła się każda sekunda, ponieważ informacje owe miały wkrótce postawić na nogi wszystkie tajne służby, zerwać sojusze, wstrzymać setki operacji. Czułam, że stosunek attaché marynarki do mnie uległ radykalnej zmianie. W oczach Hillgartha powstawał nowy wizerunek mojej osoby: młoda krawcowa, naiwna i niedoświadczona – jego najbardziej ryzykowny nabytek, obiecujący, lecz niepewny – z dnia na dzień przeobraziła się w agentkę zdolną podejmować się arcytrudnych zadań z ofiarnością i brawurą zawodowca. Być może brak mi było metody i wiedzy fachowej jego ludzi. Nigdy nie byłam jedną z nich, żyłam w innym świecie, w innym kraju,



mówiłam innym językiem. Ale radziłam sobie nadspodziewanie dobrze i to dawało mi nową, wyższą pozycję na jego liście.

Nie powiem, żeby rozpierała mnie radość, gdy wraz z ostatnimi promieniami zachodzącego słońca wracałam do domu. Nie czułam zapachu ani podniecenia. Chyba najwłaściwszym słowem była duma. Po raz pierwszy od dawna, może po raz pierwszy w całym moim życiu, byłam z siebie dumna. Dumna ze swoich zdolności i swojego uporu, z tego, że pokładane we mnie nadzieje spełniłam z nawiązką. Dumna z tego, że mogę dorzucić własne ziarnko piasku, by ów obłąkany świat uczynić trochę lepszym. Dumna z kobiety, jaką się stałam.

To prawda, że inicjatorem owej przemiany był Hillgarth, który rzucił mnie na głęboką wodę. Prawda, że Marcus uratował mi życie, kładąc wyskoczyć z rozpędzonego pociągu; bez jego pomocy pewnie by mnie już nie było na świecie i nie mogłabym teraz rozpamiętywać własnych osiągnięć. Tak, to wszystko prawda. Ale to dzięki swojej odwadze i uporowi pomyślnie doprowadziłam misję do końca. Nie poszły na marne moje lęki i nieprzespane noce, opłaciło się ryzyko i brawura: nie dość, że zdobyłam ważne informacje, biorąc udział w skomplikowanej wojennej grze, ale także – a właściwie przede wszystkim – udowodniłam samej sobie i całemu światu, co potrafię.

I wówczas, świadoma własnej siły, doszłam do wniosku, że nadeszła chwila, by zdjąć klapki z oczu i skończyć z błędzeniem po omacku szlakiem wytyczonym cudzą ręką. Hillgarth wysłał mnie do Lizbony, Manuel da Silva postanowił zabić, Marcus – ratować. Wędrowałam z rąk do rąk jak bezwolna marionetka, a

inni pociągali za sznurki. Raz byłam w raju, raz w piekle. To oni decydowali za mnie, przesuwali jak pionek po szachownicy. Nikt mi niczego nie mówił wprost, nikt nie odkrywał przede mną kart. Najwyższa pora postawić sprawę jasno. Teraz sama pokieruję swoim życiem, sama wybiorę sobie drogę, sama zdecyduję, jak i z kim ją przejdę. Przede mną wyboje, potknięcia i przeszkody, tłuczone szkło, błędy, kałuże i błoto. Nie czekała mnie spokojna przyszłość, tego byłam pewna. Ale nie zrobię ani kroku dalej, jeżeli przedtem nie wybadam gruntu, po którym stąпам, i nie oszacuję ryzyka, jakiemu będę musiała stawić czoło każdego dnia. Jeżeli nie będę panią siebie.

Ci trzej mężczyźni – Marcus Logan, Manuel da Silva i Alan Hillgarth – każdy na swój sposób i zapewne nieświadomie, sprawili, że nagle urosłam w ciągu zaledwie kilku dni. A może rosłam sobie powolutku i dopiero teraz to zauważyłam. Da Silvy prawdopodobnie nigdy już nie spotkam, ale Hillgarth i Marcus to zupełnie inna sprawa. Coś mi mówiło, że jeszcze długo będą częścią mojego życia. Zwłaszcza jednego z nich pragnęłam mieć blisko siebie, tak blisko jak tego dnia o świcie, gdy splotły się nasze uczucia i ciała, w owej chwili, na której wspomnienie przeszywał mnie dreszcz rozkoszy. Ale najpierw musiałam oznakować teren. Wyraźnie. W widoczny sposób. Jakbym wytyczała miedzę albo rysowała kredą białą kreskę.

Kiedy dotarłam do domu, znalazłam kopertę z nadrukiem hotelu Palace, którą ktoś wsunął przez szparę pod drzwiami. W środku była wizytówka z odręczną notatką.

„Jadę do Lizbony. Wracam pojutrze. Czekaj”.

Jasne, że będę czekać. Wiem nawet gdzie i kiedy.

Tamtej nocy, bez najmniejszych wyrzutów sumienia, znów naruszyłam zasady konspiracji. Jeszcze podczas rozmowy z Hillgarthem, kiedy po trzech długich godzinach skończyłam szczegółowy raport ze spotkania u Da Silvy, zapytałam, czy wie coś nowego na temat kartoteki, o której wspomniał mi nazajutrz po incydencie na hipodromie.

– Z tego co wiem, nic się nie zmieniło.

A to znaczyło, że mój ojciec był na liście sympatyków Anglii, a ja – Niemiec. Wielka szkoda, bo nasze drogi znów miały się skrzyżować.

Zjawiłam się bez uprzedzenia. W bramie dopadły mnie duchy przeszłości, dręcząc echami dnia, w którym przyszłam tu razem z matką, onieśmielona i pełna niepokoju. Szybko na szczęście pierzchły, unosząc ze sobą okruchy gorzkich wspomnień, o których wolałam zapomnieć.

Drzwi otworzyła mi służąca zupełnie niepodobna do starej Servandy.

– Muszę się natychmiast zobaczyć z panem Alvarado. Jest w domu?

Kiwnęła głową, spłoszona tym nagłym najściem.

– W bibliotece?

– Tak, ale...

Zanim skończyła, byłam już w środku.

– Dziękuję, znam drogę.

Ucieszył się na mój widok o wiele bardziej, niż się spodziewałam. Uprzedziłam go listownie o wyjeździe do Portugalii, ale połapał się, że coś nie gra. Dlaczego tak nagle?

Skojarzył to zapewne z moim zagadkowym omdleniem na hipodromie. Uspokoił się, widząc, że wróciłam.

Biblioteka wyglądała tak samo, jak ją zapamiętałam. Może tylko nazbierało się trochę więcej książek i rozmaitych papierów: gazety, listy, czasopisma. Poza tym nic się nie zmieniło od czasu, gdy spotkaliśmy się tu we troje – ojciec, matka i ja. Po raz pierwszy razem. I ostatni. W tamto odległe jesienne popołudnie przyszedłam onieśmielona, przejęta, naiwna, niepewna, co mnie czeka. Teraz, niemal sześć lat później, tryskałam pewnością siebie. Zdobyłam ją z wielkim trudem, ciężką pracą; wywalczyłam łokciami, okupiłam mnóstwem błędów i utratą marzeń. Ale przylgnęła do mnie jak druga skóra, nic nie mogło mi jej odebrać. Wiedziałam już, że przetrwam najgorsze burze i najcięższe czasy, bo potrafię stawić im czoło. Na przekór wszystkiemu i wszystkiemu.

– Muszę cię poprosić o przysługę, Gonzalo.

– Co tylko zechcesz.

– Przyjęcie na pięć osób. Kameralne, prywatne spotkanie. Tutaj, u ciebie, we wtorek wieczorem. Ty, ja i trójka gości.

Dwoje zaprosisz osobiście. To nie będzie kłopotliwe, bo dobrze się znacie. Nie wspominaj nic o mnie.

– A ten trzeci?

– Trzecim zajmę się ja.

Zgodził się bez oporu, o nic nie pytał. Pomimo moich kontrowersyjnych poczynań, nagłych zniknięć i fałszywej tożsamości zdawał się ufać mi ślepo.

– Godzina?

– Ja przyjdę po południu. A ten gość, którego jeszcze nie znasz, o szóstej. Muszę z nim porozmawiać, zanim przyjdzie reszta. Mógłbyś nam udostępnić bibliotekę?

– Jest do twojej dyspozycji.

– Świetnie. Tamtych dwoje zaproś na ósmą. I jeszcze jedno: masz coś przeciwko temu, żeby się dowiedzieli, że jestem twoją córką? Przyrzekam, że to zostanie między nami.

Milczał przez kilka sekund. Wydawało mi się, że w jego oczach dostrzegam nieznany mi dotąd błysk.

– Będę zaszczycony. I dumny.

Porozmawialiśmy jeszcze chwilę: o Lizbonie, o Madrycie; o wszystkim i o niczym, starannie omijając kłopotliwe tematy. Ale kiedy zbierałam się do wyjścia, nie wytrzymał:

– Wiem, Siro, że jestem ostatnim człowiekiem, który powinien się wtrącać w twoje życie, ale...

Odwróciłam się i objęłam go mocno.

– Dzięki za wszystko. We wtorek się dowiesz.

## 68

Marcus zjawił się punktualnie o umówionej godzinie. Zostawiłam mu wiadomość w hotelu i tak jak przypuszczałam, przyjął zaproszenie. Nie miał pojęcia, kto mieszka pod wskazanym adresem, wiedział tylko, że będę tam na niego czekać. I czekałam, w czerwonej sukni z jedwabnej krepy, olśniewająca od stóp do głów: perfekcyjny makijaż, czarne włosy upięte w wysoki kok, dekolt odsłaniający smukłą szyję. W pełnej gotowości.

Prezentował się doskonale: nienaganny smoking, śnieżnobiały, sztywno wykrochmalony gors koszuli, ciało zahartowane w tysiącu tajnych przygód. A przynajmniej tak to wyglądało. Sama otworzyłam drzwi. Przywitaliśmy się, nieudolnie skrywając czułość, nareszcie znów blisko siebie po ostatnim nagłym rozstaniu.

– Chcę ci kogoś przedstawić.

Wzięłam go pod rękę i zaciągnęłam do salonu.

– Marcusie, poznaj Gonzala Alvarado. Zaprosiłam cię do jego domu, bo chcę, żebyś dowiedział się, kim jest. Chcę także, by on się dowiedział, kim jesteś ty. Żeby przekonał się na własne oczy, kim jesteśmy oboje.

Wymienili uprzejme ukłony, Gonzalo rozlał wino do kieliszków i przez kilka minut rozmawialiśmy o byle czym, dopóki nie przyszła pokojówka, by poprosić go do telefonu.

Zostaliśmy sami. Idealna para, można by pomyśleć na pierwszy rzut oka. Aby się przekonać, że to tylko pozory, wystarczyło usłyszeć, jak Marcus, prawie nie poruszając wargami, syczy mi prosto w ucho:

– Możemy chwilę pogadać na osobności?

– Oczywiście. Chodź ze mną.

Zaprowadziłam go do biblioteki. Nad biurkiem nadal królował majestatyczny portret doni Carloty w brylantowym diademie, który kiedyś był mój, a potem przestał.

– Co jest, Siro? Kim jest ten człowiek? Dlaczego chcesz, żeby się o mnie dowiedział? Zwabiłaś mnie w pułapkę? – zapytał kwaśno, kiedy zamknęłam drzwi.

– Zwabiłam – powiedziałam, siadając w fotelu. Założyłam nogę na nogę, prawą rękę nonszalancko wsparłam o podglówek. Rozkoszowałam się tą chwilą, bardzo z siebie zadowolona, jakbym przez całe życie zastawiała zasadzki. – Muszę wiedzieć, czy powinnam dalej się z tobą zadawać, czy też definitywnie zakończyć naszą znajomość.

Wcale go to nie bawiło.

– To jakiś absurd. Myślę, że lepiej będzie, jeżeli już pójdę...

– Tak szybko składasz broń? Jeszcze trzy dni temu chciałeś o mnie walczyć. Przysięgałeś, że poruszysz niebo i ziemię, powiedziałeś, że już raz mnie straciłeś i nigdy nie pozwolisz, żeby to się znowu stało. Tak szybko ostygłeś w uczuciach? A może wtedy kłamałeś?

Stał i patrzył na mnie w milczeniu, chłodny, spięty, daleki.

– Czego ty ode mnie chcesz, Siro? – zapytał wreszcie.

– Żebyś wyjaśnił mi coś z twojej przeszłości. W zamian dowiesz się wszystkiego, co powinieneś wiedzieć o moim obecnym życiu. Poza tym będzie nagroda.

– Co cię tak interesuje?

– Powiedz mi, po co przyjechałeś do Maroka. Nie jesteś ciekaw nagrody?

Milczał.

– Nagrodą jestem ja. Jeżeli będę zadowolona z odpowiedzi, zostaniesz ze mną. Jeżeli nie, stracisz mnie na zawsze. Wybieraj.

Znowu nic nie odpowiedział. Podszedł do mnie powoli.

– Co ci to teraz da, jeżeli się dowiesz?

– Kiedyś, wiele lat temu, oddałam serce człowiekowi, który ukrył przede mną swoją prawdziwą twarz. Pokaleczył mi duszę, a rany długo się goiły. Nie chcę, żeby z tobą przydarzyło mi się to samo. Nie chcę już kłamstw, nie chcę tajemnic. Nie chcę mężczyzn, którzy traktują mnie jak zabawkę, odchodzą bez słowa i zjawiają się bez uprzedzenia, nawet jeśli wracają, żeby ocalić mi życie. Dlatego muszę ci zajrzeć w karty, Marcusie. Część ich odkryłam sama: wiem, dla kogo pracujesz; wiem, że twoje interesy to lipa; wiem, że nie byłeś dziennikarzem. Ale trzeba jeszcze wypełnić wiele luk w twojej historii.

Przysiadł na poręczy kanapy. Wyprostowany, z kieliszkiem w ręku i zaciętą miną.

– Zgoda – odezwał się po chwili. – Powiem ci. Pod warunkiem, że ty też będziesz ze mną szczerą. We wszystkim.

– Później. Obiecuję.

– W takim razie powiedz, co o mnie wiesz.

– Jesteś agentem brytyjskiego wywiadu. SIS, MI Six czy jak to tam zwą.

Nie wyglądał na zdziwionego. Prawdopodobnie swego czasu nauczyli go ukrywać emocje. Mnie nikt nie szkolił, nikt nie chronił: mnie rzucili bezbronną wygłodniałym wilkom na pożarcie. Ale uczyłam się sama. Z trudem. Potykałam się, upadałam, wstawałam i szłam dalej. Noga za nogą. Coraz pewniejszym krokiem. Z podniesioną głową, patrząc przed siebie.

– Nie wiem, jak zdobyłaś te informacje – powiedział tylko. – Zresztą wszystko jedno. Przypuszczam, że masz je z



wiarygodnego źródła. Nie ma sensu zaprzeczać oczywistym faktom.

– Ale jeszcze paru rzeczy nie wiem.

– Od czego mam zacząć?

– Na przykład od chwili, w której się poznaliśmy. Od prawdziwych powodów twojego przyjazdu do Maroka.

– Dobrze. Głównym powodem było to, że w Londynie bardzo mało wiedziano o sytuacji w tej części Afryki, a różne źródła donosiły o masowej infiltracji Protektoratu przez Niemców, za przyzwoleniem hiszpańskich władz. Nasze służby wywiadowcze miały niewiele informacji o Wysokim Komisarzu Beigbederze: nie należał do grona prominentnych oficerów, nie znaliśmy jego poglądów, planów ani perspektyw. Przede wszystkim interesował nas jego stosunek do Niemców, którzy panoszyli się na podległym mu terytorium.

– I co odkryłeś?

– Że zgodnie z naszymi domysłami Niemcy robili w Maroku, co chcieli, czasem za jego zgodą, czasem bez. Sama pomogłaś mi zdobyć te informacje.

Pominałam to milczeniem.

– A o Beigbederze czego się dowiedziałeś? – indagowałam dalej.

– Tego, co już wiesz. Że był i prawdopodobnie jest nadal człowiekiem inteligentnym, wyjątkowym i dosyć oryginalnym.

– A dlaczego wysłali do Maroka właśnie ciebie? Przecież byłeś ranny.

– Doszły nas słuchy, że kochanką Wysokiego Komisarza jest Angielka, Rosalinda Fox. Istny dar niebios, okazja jedna na

tysiąc. Ale musieliśmy postępować ostrożnie. Nie mogliśmy zwrócić się do niej wprost. Zbyt wiele ryzykowaliśmy. Była dla nas tak cenna, że nie chcieliśmy jej do siebie zrazić pochopnym działaniem. Czekaliśmy na odpowiedni moment. A kiedy dowiedzieliśmy się, że szuka kogoś, kto pomoże wydostać z Madrytu matkę jej przyjaciółki, cała maszyna poszła w ruch. Zdecydowano, że ja nadawałem się do tego najlepiej, bo miałem w Hiszpanii kontakty z człowiekiem, który zajmował się ewakuacją uchodźców. Od dawna meldowałem Londynowi o każdym kroku Lance'a, więc doszli do wniosku, że mam idealny pretekst, by zjawić się w Tetuanie i zbliżyć do Beigbedera przez jego kochankę. Był z tym jednak mały problem: leżałem wówczas na wpół żywy w Royal London Hospital, straszliwie poturbowany i nafaszerowany morfiną.

– Ale dałeś radę. Oszukałeś nas wszystkich i dopiąłeś swego... Świetnie ci poszło.

– Aż za dobrze – powiedział. Na jego wargach błąkał się cień uśmiechu, pierwszego, odkąd zamknęliśmy się w bibliotece. Poczulałam lekki zawrót głowy: nareszcie wrócił ten Marcus, za którym tak tęskniłam, którego chciałam przy sobie zatrzymać. – To były wyjątkowe dni – mówił dalej. – Po roku spędzonym w targanej wojną Hiszpanii Maroko wydawało się rajem. Wyzdrowiałem, wypełniłem zadanie. I poznałem ciebie. Czego chcesz więcej?

– Jak to się odbywało?

– Prawie każdej nocy nadawałem meldunki ze swojego pokoju w hotelu Nacional. W walizce miałem ukrytą podręczną radiostację. I codziennie pisałem szyfrogramy, relacjonując

wszystko, co widziałem, słyszałem i robiłem. Potem przekazywałem je sprzedawcy z Saccon & Speed, mojemu kontaktowi w Tangerze.

– Nikt niczego nie podejrzewał?

– Oczywiście, że tak. Beigbender nie jest idiotą, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Wiele razy przeszukiwali mój pokój, ale prawdopodobnie przysłali jakiegoś tępaka, bo nigdy nic nie znaleźli. Niemcy też węszyli, chociaż też nic na mnie nie mieli. A ja bardzo uważałem, żeby nie zrobić fałszywego kroku. Nie kontaktowałem się z nikim spoza kręgów oficjalnych i jak mogłem, omijałem grząski grunt. Zachowywałem się nienagannie, pokazywałem się z tym, z kim trzeba, i nie błąkałem się po nocy. Byłem czysty jak szkło. Coś jeszcze?

Wydawał się już mniej spięty, bardziej bliski. Znowu przypominał dawnego Marcusa.

– Dlaczego zniknąłeś tak nagle? Nic mi nie powiedziałeś. Przyszedłeś do mnie pewnego ranka, oznajmiłeś, że moja matka jest już w drodze, i już cię więcej nie zobaczyłam.

– Bo otrzymałem rozkaz natychmiastowego opuszczenia Protektoratu. Jeden z Niemców chyba coś na mnie miał... Ale i tak udało mi się opóźnić wyjazd o kilka dni, choć narażałem się na wielkie ryzyko.

– Dlaczego?

– Nie chciałem wyjechać, dopóki się nie upewnię, że ewakuacja twojej matki przebiegła pomyślnie. Obiecałem ci. Niczego tak nie pragnąłem, jak zostać z tobą, ale to było niemożliwe: należałem do innego świata i przyszła pora się rozstać. Dla ciebie to też nie był najlepszy moment. Wciąż

jeszcze przeżywałaś zdradę Ramira. Nie byłaś gotowa zaufać innemu mężczyźnie, zwłaszcza takiemu, który kiedyś będzie musiał cię okłamać i zniknąć na jakiś czas z twojego życia. To wszystko, moja miła. Koniec. Czy to właśnie chciałaś usłyszeć? Zadowolona?

– Zadowolona – odrzekłam powoli, podchodząc do niego.

– A więc zdobyłem nagrodę?

Nie odpowiedziałam. Usiadłam mu na kolanach i zbliżyłam wargi do jego ucha. Mój umalowany policzek musnął jego gładko wygoloną skórę; z moich lśniących od szminki ust wydobył się szept:

– Zdobyłeś. Ale być może to zatruty podarunek.

– Możliwe. Żeby się o tym przekonać, muszę teraz poznać twoją historię. Zostawiłem cię w Tetuanie jako młodą krawcową, łagodną i niewinną, a w Lizbonie spotkałem dojrzałą kobietę, uwieszoną ramienia bardzo nieodpowiedniego mężczyzny. Chcę wiedzieć, co się wydarzyło pomiędzy.

– Za chwilę się dowiesz. A żeby nie było żadnych wątpliwości, usłyszysz o tym z ust osoby, którą zapewne już dobrze znasz. Chodź ze mną.

Objęci w pól, ruszyliśmy długim korytarzem do salonu. Z daleka dobiegał silny głos mojego ojca i znów stanęło mi przed oczami nasze pierwsze spotkanie. Ileż to razy od tamtego dnia moje życie wisiało na włosku, ile razy szłam na dno i wypływałam na powierzchnię? Ale to była przeszłość, a ja nie zamierzałam oglądać się wstecz. W tej chwili liczyła się

teraźniejszość. Nadszedł czas, by stawić jej czoło. Dla przyszłości.

Przypuszczałam, że goście stawili się w komplecie i wszystko przebiega zgodnie z planem. Przed drzwiami rozluźniliśmy uścisk, lecz nasze palce pozostały splecione. Kiedy zobaczyliśmy, kto nas oczekuje, ja uśmiechnęłam się promiennie, Marcus nie.

– Dobry wieczór, Mrs Hillgarth, dobry wieczór, kapitanie. Cieszę się, że państwa widzę – powiedziałam, przerywając im rozmowę.

Zapadła głucha cisza. Głucha i pełna napięcia. Elektryzująca.

– Dobry wieczór pani – odparł Hillgarth po kilku trwających całą wieczność sekundach, głosem, który brzmiał, jakby dochodził z jaskini. Ciemnej i zimnej jaskini, gdzie szef brytyjskich tajnych służb w Hiszpanii, człowiek, który wiedział wszystko lub wszystko powinien wiedzieć, błąkał się po omacku. – Witaj, Logan – dodał.

Jego żona, tym razem bez maseczki upiększającej, pod którą ukryła twarz podczas naszego spotkania w salonie piękności, najwyraźniej oniemiała, widząc nas razem, bo nawet nie odpowiedziała na moje powitanie.

– Myślałem, że pan wrócił do Lizbony – zwrócił się attache do Marcusa. Po nieskończonej długiej chwili dodał: – Nie wiedziałem, że państwo się znają.

Wyczułam, że Marcus chce coś powiedzieć, ale mu na to nie pozwoliłam. Ostrzegawczo ścisnęłam go za rękę. Zrozumiał. Nie patrzyłam na niego: nie wiedziałam, czy był równie zakłopotany jak Hillgarthowie ani jak zareagował na ich widok

w tym obcym domu. Porozmawiamy później, kiedy wszystko się uspokoi. Wierzyłam, że będziemy mieli na to dużo czasu.

W wielkich jasnych oczach pani Hillgarth dostrzegłam ogromną konsternację. To ona przekazała mi instrukcje dotyczące portugalskiej misji. Pracowała ręka w rękę z mężem. Prawdopodobnie oboje usiłowali teraz w pośpiechu skojarzyć fakty, które ja powiązałam już podczas ostatniej rozmowy w gabinecie doktora Rico. Da Silva i Lizbona, nagły przyjazd Marcusa do Madrytu, te same informacje dostarczone przez nas w odstępie zaledwie kilku godzin. To nie mógł być przypadek. Jak mogli tego nie zauważyć!

– Agent Logan i ja znamy się od lat, kapitanie, ale dawno się nie widzieliśmy i jeszcze nie wszystko zdążyliśmy sobie opowiedzieć – wyjaśniłam. – Ja już wiem, czym się przez ten czas zajmował; sam mi pan w tym pomógł. Całkiem niedawno. Dlatego pomyślałam, że będzie pan tak miły i poinformuje go o moich dokonaniach. A przy okazji dowie się o tym mój ojciec. Ach, przepraszam! Zapomniałam panu powiedzieć: moim ojcem jest Gonzalo Alvarado. Spokojnie, postaramy się z tym nie afiszować, ale chyba pan rozumie, że nie mogę zerwać z nim wszelkich kontaktów.

Hillgarth nie odpowiedział. Przyglądał nam się tylko kamiennym wzrokiem spod swoich krzaczastych brwi.

Domyślałam się, że Gonzalo był nie mniej skonsternowany niż Marcus, ale żaden z nich nie odezwał się ani słowem. Czekali, podobnie jak ja, aż Hillgarth strawi moją bezczelność. Jego żona nerwowo sięgnęła po papierośnicę, którą próbowała otworzyć trzęsącymi się rękami. Upłynęło kilka krępujących

sekund. Słyszeć było jedynie trzaski zacinającej się zapalniczki. Wreszcie attaché marynarki przemówił.

– Jeżeli ja nic nie powiem, pani i tak zrobi to za mnie...

– Obawiam się, że nie pozostawi mi pan wyboru – odrzekłam, obdarzając go czarującym uśmiechem. Nowym: dojrzałym, pewnym siebie, z lekka wyzywającym.

W czyjejsz szklance zadzwonił lód, Mrs Hillgarth ukryła zdenerwowanie za potężnym kłębem dymu z cravena A.

– Przypuszczam, że to cena, którą muszę zapłacić za to, co przywiozła nam pani z Lizbony – powiedział w końcu.

Za to i za wszystkie moje następne misje, w których znowu stawką będzie moja skóra. Słowo! Słowo krawcowej i słowo szpiega.

## 69

Tym razem to nie był skromny bukiet róż, przewiązanych wstążką ozdobioną gustowną fastrygą, jaki zwykle przysyłał mi Hillgarth, kiedy chciał przekazać wiadomość. Ani egzotyczne kwiaty, jak te, które dostałam od Manuela da Silvy, zanim zdecydował, że należy mnie zabić. To, co tej nocy przyniósł mi Marcus, było maleńkie i niepozorne. Pąk, wyrwany z różanego krzaka, wiosenny cud, który zakwitł gdzieś pod płotem po długiej, srogiej zimie. Drobnny, wąty kwiatek. Pełen godności w swojej prostocie. Bez podtekstów.

Czekałam, ale nie spodziewałam się, że przyjdzie. Wyszedł od Gonzala kilka godzin temu razem z Hillgarthami. Kapitan zapewne chciał z nim porozmawiać beze mnie. Przyszłam do

domu sama, nie wiedząc, kiedy znowu go zobaczę. O ile w ogóle wróci.

– Dla ciebie – powiedział na powitanie.

Wzięłam z jego rąk maleńką różę i cofnęłam się, żeby go wpuścić. Krawat miał rozwiązany, guzik pod szyją rozpięty. Powoli szedł do salonu, jakby po drodze szukał słów, które za chwilę będzie musiał wypowiedzieć. Stał na środku, odwrócił się i czekał, aż podejść.

– Chyba wiesz, na co się porywamy?

Wiedziałam. Jasne, że wiedziałam. Stąpaliśmy po grząskim gruncie, w dżungli kłamstw, zamknięci w dwuznacznym labiryncie pozorów, pełnym ukrytych zapadni i ślepych korytarzy. Tajna miłość w czasach nienawiści, nędzy i zdrady.

– Tak, wiem.

– Nie będzie łatwo – dodał.

– Już nic nie jest łatwe – dodałam.

– Może być ciężko.

– Może.

– I niebezpiecznie.

– Też.

Unikając pułapek, lawirując wśród niebezpieczeństw. Bez planu, improwizując, wyprzedzając ciosy, błędząc wśród cieni: tak teraz mieliśmy żyć. Niezłomni i odważni, ramię w ramię będziemy walczyć o wspólną sprawę.

Spojrzeliśmy sobie w oczy. Powróciło do mnie wspomnienie afrykańskiej ziemi, gdzie wszystko się zaczęło. Jego świat i mój świat – tak niegdyś od siebie odległe, tak teraz bliskie – nareszcie się ze sobą spotkały. I wtedy mnie przytulił. Ogrzana



ciepłem jego czułości, byłam pewna jak nigdy dotąd, że i ta misja nam się powiedzie.

# Epilog

Oto moja historia, a przynajmniej tak ją pamiętam. Powleczone być może werniksem patyny, jaką upływ lat i nostalgia nadają każdej rzeczy. Tak, to jest moja historia. Pracowałam dla brytyjskich tajnych służb i przez cztery lata sumiennie i punktualnie zbierałam i przekazywałam informacje o Niemcach na Półwyspie Iberyjskim. Nigdy nikt nie uczył mnie reguł wojskowej taktyki, topografii terenu ani obsługi materiałów wybuchowych, ale szyte moją ręką stroje leżały jak ulał, a krawieckie atelier stanowiło przykrywkę doskonałą. Działo do roku 1945, ja zaś stałam się wirtuozką podwójnej gry.

Wszystko, co po drugiej wojnie światowej wydarzyło się w Hiszpanii, oraz życiorysy osób, które pojawiają się w niniejszym podsumowaniu owych lat, znaleźć można w podręcznikach historii, archiwach i czytelnich czasopism. Postanowiłam jednak napisać o tym pokrótce, bo może ktoś chciałby się dowiedzieć, jak potoczyły się losy tych ludzi. Postaram się to zrobić rzetelnie, na tym w końcu polegała moja praca: ze skrawków i kawałków tworzyłam harmonijną całość.

Zacznę od Beigbedera, chyba największego pechowca ze wszystkich bohaterów tej opowieści. Dowiedziałam się, że kiedy zwolniono go z aresztu w Rondzie, często bywał w Madrycie,

raz nawet spędził tam kilka długich miesięcy. W tym czasie utrzymywał stały kontakt z angielskimi i amerykańskimi dyplomatami, zasypując ich setkami pomysłów, czasem błyskotliwych, czasem zaś zupełnie chybionych i dziwacznych. Opowiadał, że kilkakrotnie próbowano go zabić, a jednocześnie zapewniał, że nadal ma liczne znajomości w rządzie. Starzy przyjaciele przyjmowali go uprzejmie, niektórzy wręcz serdecznie, ale często zbywano go niczym i nawet nie chciano wysłuchać. Po co komu upadły anioł?

W rozplotkowanym zaścianku, jakim była ówczesna Hiszpania, gdzie wszyscy o wszystkim wiedzieli, rozniosły się wkrótce pogłoski, że ów błędny rycerz wreszcie dopiął swego. Chociaż sądzono powszechnie, iż jego kariera jest nieodwołalnie skończona, w roku 1943, kiedy zwycięstwo Niemiec stawało się coraz bardziej wątpliwe, Franco – niespodziewanie i w wielkim sekrecie – ponownie skorzystał z jego usług. Nie przydzielił mu żadnego oficjalnego stanowiska, ale z dnia na dzień awansował go na stopień generała w randze pełnomocnego ministra i wysłał z dość niejasną misją do Waszyngtonu. Od chwili, gdy Caudillo powierzył mu to zadanie, aż do wyjazdu z Hiszpanii upłynęły całe miesiące. Ktoś mówił mi, że ku zdziwieniu pracowników ambasady Beigbeder sam prosił, by odwlekali przyznanie wizy tak długo, jak się da. Podejrzewał, że Franco chce się go pozbyć z kraju na zawsze.

O tym, co Beigbeder robił w Stanach Zjednoczonych, krążyły sprzeczne pogłoski. Wedle jednych Generalissimus wysłał go tam, żeby odbudować nadwątlone stosunki i przekonać Amerykanów o całkowitej neutralności Hiszpanii, jakby zdjęcie

z osobistą dedykacją Führera nigdy nie stało na poczesnym miejscu w jego gabinecie. Inne, równie wiarygodne źródła twierdziły, że misja miała charakter bardziej wojskowy niż dyplomatyczny: Beigbeder, jako znawca marokańskich realiów i niegdysiejszy Wysoki Komisarz, miał prowadzić rozmowy na temat przyszłości Afryki Północnej. Mówiono też, że były minister, w obliczu groźby zajęcia Półwyspu przez Niemców, pojechał do Waszyngtonu, żeby negocjować z rządem Stanów Zjednoczonych warunki stworzenia „wolnej Hiszpanii” na wzór „wolnej Francji”. Istniała również inna wersja, zgodnie z którą Beigbeder, tuż po wylądowaniu na amerykańskiej ziemi, oświadczył wszem wobec, że zrywa związki z frankistowskim reżimem, i zaczął szukać poparcia dla monarchistów. Pojawiła się też pikantna plotka, iż celem owej podróży było jedynie dogodzenie zdrożnym chęciom nurzania się w grzesznej rozpuście. Jak było, tak było, lecz faktem jest, że Caudilla raczej nie zadowolili rezultaty tajemniczej misji byłego ministra, gdyż po latach stwierdził publicznie, iż to zgniły oportunistą i degenerat, który naciąga każdego, kto mu się nawinie.

Tak czy inaczej nigdy się nie dowiedziano, co właściwie Beigbeder robił w Waszyngtonie; pewne jest tylko, że przebywał tam do zakończenia wojny. W drodze do amerykańskiej stolicy zatrzymał się na krótko w Lizbonie i nareszcie spotkał z Rosalindą. Nie widzieli się dwa i pół roku. Spędzili razem tydzień, w ciągu którego próbował ją przekonać, żeby z nim wyjechała. Odmówiła pod pretekstem, że nie mają ślubu, co jej zdaniem mogłoby nadszarpnąć prestiż Juana Luisa w kręgach tamtejszej elity dyplomatycznej. Nie uwierzyłam jej i

myślę, że on także: skoro mogła śmiać się w nos opinii publicznej we wstydlivej powojennej Hiszpanii, dlaczego nie miałyby postąpić tak samo po drugiej stronie Atlantyku. Nigdy jednak nie wyjawiała prawdziwych powodów swojej zaskakującej decyzji.

Po powrocie do kraju w roku 1945 Beigbeder wraz z kilkoma innymi generałami – Arandą, Kindelanem, Davilą, Orgazem, Varelą – przez całe lata bezskutecznie próbował odsunąć Franco od władzy. Utrzymywał kontakty z Janem Burbonem<sup>35</sup> i uczestniczył w setkach spisków – wszystkich bezowocnych, a niektórych wręcz śmiesznych, jak ten pod przywództwem generała Arandy, który chciał prosić o azyl w amerykańskiej ambasadzie i stworzyć tam monarchistyczny rząd na uchodźstwie. Niektórzy z towarzyszy Beigbedera zarzucili mu nawet zdradę, oskarżając, że wygadał się ze wszystkim przed Caudillem. Żaden z owych planów obalenia reżimu nie wypalił, a wielu konspiratorów zapłaciło za swoje nieposłuszeństwo aresztowaniami, wygnaniem i degradacją. Po latach usłyszałam od kogoś, że w czasie drugiej wojny światowej wspomniani wyżej generałowie otrzymali miliony peset od rządu angielskiego za pośrednictwem finansisty Juana Marcha oraz z rąk samego Hillgartha; mieli wpłynąć na Generalissimusa, żeby Hiszpania nie przystąpiła do walki zbrojnej po stronie Osi. Nie wiem, czy to prawda, czy nie; być może niektórzy z nich przyjęli pieniądze i podzielili między sobą. Beigbeder na pewno nic nie dostał i dożył końca swoich dni w „przykładnym ubóstwie”, jak wyraził się Dionisio Ridruejo<sup>36</sup>.

Słyszałam także plotki o jego miłosnych przygodach i rzekomych romansach z francuską dziennikarką, z jakąś falangistką, z amerykańską agentką, z madrycką pisarką oraz z córką generała. To, że uwielbiał kobiety, nie było żadną tajemnicą: ulegał ich wdziękom ze zdumiewającą łatwością i durzył się jak uczeń. Przekonałam się o tym na własne oczy w przypadku Rosalindy, przypuszczam zatem, że miał wiele podobnych związków. Jednak oskarżanie go o rozpustę, która miała mu zniszczyć życie i karierę, uważam za pochopne, krzywdzące i nieuzasadnione.

Od chwili, gdy znów postawił stopę na hiszpańskiej ziemi, wiodło mu się coraz gorzej. Przed wyjazdem do Waszyngtonu mieszkał w wynajętym apartamencie przy ulicy Claudio Coello; po powrocie wprowadził się do hotelu Paris na Alcalá; potem przygarnęła go jedna z sióstr, a żywota dokonał w jakimś pensjonacie. Do rządu wszedł bez grosza przy duszy, jako minister też się nie obłowił, a kiedy umierał, miał w szafie tylko kilka znoszonych garniturów, trzy stare mundury z afrykańskich czasów i jedną dzelabę. I kilkaset wypełnionych drobnymi literami kartek, na których spisał swoje wspomnienia. Utknął w czasach bitwy pod Barranco del Lobo<sup>37</sup>; nigdy nie dotarł nawet do wybuchu wojny domowej.

Latami łudził się, że karty wreszcie zaczną mu sprzyjać. Wierzył naiwnie, iż ktoś znów zaproponuje mu jakiś urząd, przydzielą mu misję, która wypełni jego jałową egzystencję. Nic się jednak nie działo, a gdy wrócił ze Stanów Zjednoczonych, w jego służbowych papierach figurowało tylko zdanie: „Do dyspozycji jego ekscelencji ministra wojska”, co w wojskowym

żargonie oznacza siedzenie z założonymi rękami. Nikt go już nie chciał, jemu zaś brakło sił: nie starczało mu werwy, by odmienić swój los, a umysł, tak niegdyś błyskotliwy, jakby się zaciął. W kwietniu 1950 roku Beigbeder przeszedł do rezerwy; stary przyjaciel z Maroka, Bulaix Baeza, zaproponował mu pracę – skromną urzędniczą posadę w madryckim biurze nieruchomości – dzięki której ostatnie lata byłego ministra nie upływały w zupełnej bezczynności. Zmarł w czerwcu 1957 roku; pod płytą nagrobną na cmentarzu Sacramental de San Justo spoczęło sześćdziesiąt dziewięć lat burzliwego życia. Jego osobiste papiery leżały w zapomnieniu w pensjonacie La Tomasa, póki po kilku miesiącach nie zabrał ich dawny znajomy z Tetuanu w zamian za spłatę zaległych rachunków. To prywatne archiwum do dziś pozostaje pod troskliwą opieką kogoś, kto znał i szanował Beigbedera z czasów spędzonych w jego Maroku szczęśliwym.

Teraz opiszę, co się działo z Rosalindą, przetykając opowieść faktami z życia Beigbedera, które pomogą być może uzupełnić obraz ostatnich lat byłego ministra. Wraz z końcem wojny moja przyjaciółka postanowiła opuścić Portugalię i zamieszkać na stałe w Anglii. Pragnęła, by jej syn ukończył tam szkoły. Uzgodniła z Dymitrem, że odstąpi mu swoje udziały w Charcie. Wspólny Komitet Żydów odznaczył ich oboje Krzyżem Lotaryńskim Francuskiego Ruchu Oporu za pomoc dla żydowskich uchodźców. Amerykański „Time” opublikował artykuł, w którym Martha Gellhorn, żona Ernesta Hemingwaya, opisywała Charta i Mrs Fox jako dwie największe atrakcje Lizbony. Pomimo to Rosalinda wyjechała.

Za pieniądze uzyskane z Charta urządziła się w Wielkiej Brytanii. W ciągu pierwszych miesięcy wszystko układało się dobrze: zdrowie jej dopisywało, konto w banku było pokaźne, odzyskała dawnych przyjaciół i nawet meble dotarły z Lizbony w całości, wśród nich szesnaście sof oraz trzy fortepiany. I wówczas, gdy wreszcie zapanował spokój, a życie się do niej uśmiechnęło, odezwał się z Kalkuty Peter Fox, by przypomnieć, że nadal jest jej mężem. Prosił, żeby spróbowali jeszcze raz. A ona, wbrew wszelkim przewidywaniom, ustąpiła.

Wyszukała wiejski dom w Surrey, gotowa po raz trzeci podjąć się roli żony. Sama później określiła swoje wysiłki jednym słowem: niemożliwe. Peter nie zmienił się ani trochę: zachowywał się tak, jakby nie zauważył, że Rosalinda już dawno skończyła szesnaście lat, służbę traktował grubiańsko, był bezwzględny, samolubny i antypatyczny. Po trzech miesiącach znalazła się w szpitalu. Przeszła operację, a gdy kilkutygodniowy okres rekonwalescencji dobiegł końca, jedno stało się dla niej jasne: musi się rozstać z mężem, za wszelką cenę. Wróciła zatem do Londynu, wynajęła dom w Chelsea i wkrótce otworzyła klub, któremu nadała malowniczą nazwę The Patio. Peter tymczasem został w Surrey. Odmówił zwrotu jej lizbońskich mebli i zgody na ten cholerny rozwód. Kiedy odzyskała zdrowie, rozpoczęła ostateczną batalię o wolność.

Nigdy nie zerwała kontaktów z Beigbederem. Pod koniec roku 1946, jeszcze przed powrotem Petera do Anglii, spędzili razem kilka tygodni w Madrycie. W 1950 roku doszło do ich ponownego spotkania. Nie było mnie przy tym, ale z listu Rosalindy dowiedziałam się, jaki ból sprawił jej widok



załamanego, przegranego Juana Luisa. Swoją relację ubrała, jak zwykle, w pozory optymizmu: pisała o potężnych korporacjach, którymi rzekomo kierował, o prestiżu, jakim się cieszył w kręgach madryckich przemysłowców i finansistów. Między wierszami wyczytałam, że kłamała.

Narodziła się wówczas nowa Rosalinda, która stawiała sobie tylko dwa cele: rozwieść się z Peterem i spędzić przy Juanie Luisie ostatnie lata jego życia. Starzał się jej zdaniem w zastraszającym tempie, z dnia na dzień słabszy i bardziej zgorzkniały. Jego intelekt, energia i żywiołowa aktywność z czasów, gdy piastował urząd Wysokiego Komisarza, gasły z każdą godziną. Lubił, kiedy zabierała go samochodem do zapadłych górskich wiosek, na obiad do jakiejś przydrożnej gospody, daleko od szosy. Gdy zostawali w mieście, chadzali na długie spacery. Czasami spotykali starych znajomych, z którymi kiedyś dzielił koszary i gabinety. Przedstawiał ją wtedy jako „moją Rosalindę”, największą po Matce Boskiej świętość na całym bożym świecie. A ona tylko się śmiała.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego jej Juan Luis tak się poddał, przecież nie był jeszcze taki stary. Miał wówczas niewiele ponad sześćdziesiąt lat, lecz w duchu stał się już zgrzybiałym starcem: zmęczonym, smutnym, zawiedzionym. Przez wszystkich, wszystkimi. I wtedy wpadł na ostatni ze swoich genialnych pomysłów: resztę lat postanowił spędzić z widokiem na Maroko, by móc popatrzeć na nie choć z daleka. Nie chciał wracać do Tetuanu, bo niewielu już zostało spośród tych, z którymi dzielił chwile swojej chwały. Protektorat nie istniał od roku, kraj odzyskał niepodległość. Hiszpanie wyjechali, a

prawie wszyscy marokańscy przyjaciele Beigbedera odeszli do Allaha. Nie mógł cofnąć czasu, ale mógł doczekać końca swoich dni wpatrzony w afrykańską ziemię na horyzoncie. I o to ją poprosił. Jedź na południe, Rosalindo, poszukaj miejsca, z którego będziemy widzieć morze.

Znalazła. Guadarranque. Na południu południa. W zatoce Algeciras, na wprost Cieśniny, z widokiem na Afrykę i Gibraltar. Kupiła dom i ziemię, pojechała do Anglii, żeby zlikwidować interesy, zobaczyć się z synem i zmienić samochód. Zamierzała wrócić za dwa tygodnie, zabrać Juana Luisa i zacząć wszystko od nowa. Dziesiątego dnia pobytu w Londynie otrzymała depezę z Hiszpanii z wiadomością o śmierci Beigbedera. Z rozdartym sercem postanowiła zamieszkać samotnie w miejscu, które miało być ich wspólnym domem. Dożyła tam dziewięćdziesięciu trzech lat. Wiodło jej się różnie, upadała tysiące razy, ale zawsze potrafiła wstać, otrzepać suknię i dalej iść przed siebie, jakby nic się nie stało. Nawet w najcięższych chwilach nie opuszczał jej nieuleczalny optymizm, dzięki któremu skutecznie odpierała wszystkie ciosy. I zawsze patrzyła na świat od strony, w której słońce świeci jaśniej.

Zapytacie teraz, być może, jak potoczyły się dalsze losy Serrano Sunera. Pozwólcie zatem, że wam opowiem. W czerwcu czterdziestego drugiego Niemcy napadli na Rosję, on zaś, zawsze gotów żarliwie popierać swoich przyjaciół z Trzeciej Rzeszy, wyszedł pewnego dnia na balkon Generalnego Sekretariatu Ruchu przy ulicy Alcalá – w tej swojej białej „saharyjce”, w której wyglądał jak amant filmowy – i wrzasnąwszy na całe gardło: „Winna jest Rosja!”, skrzyknął

ową nieszczęsną gromadę ochotników, jaką była Błękitna Dywizja. Ustroił madrycki Dworzec Północny nazistowskimi chorągwiemi, a potem załadował do wagonów tysiące Hiszpanów, i chociaż nikt go o to nie prosił, wysłał ich, by umierali z zimna i ginęli, walcząc po stronie Osi, na wojnie, która nie była ich wojną.

W polityce nie przetrwał jednak na tyle długo, by zobaczyć, jak Niemcy przegrywają wojnę. Trzeciego września 1942 roku, dwadzieścia dwa miesiące i siedemnaście dni po Beigbederze i dokładnie w tych samych słowach, przeczytał w Biuletynie Rządowym o swojej dymisji. Przyczyną upadku „Szwagrossimusa” był przypuszczalnie incydent zbrojny z udziałem karlistów, wojska i Ruchu. Była jedna bomba, dziesiątki rannych i dwóch poległych: falangista, który zapalił lont, dostał wyrok śmierci, a Serrano – odwołanie ze stanowiska szefa Rady Politycznej Falangi. Prywatnie szeptano co innego.

Komitywa z Serrano Sunerem kosztowała Generalissimusa zbyt drogo. To prawda, że błyskotliwy szwagier wziął na siebie rozruch cywilnej maszyny reżimu; i że sam jeden odwalił całą brudną robotę. Stworzył od podstaw administrację Nowego Państwa oraz ukroił niesubordynację i bezczelność falangistów, którzy mieli Franco w głębokim poważaniu. Głównował, zarządzał, organizował, działał na wszystkich frontach polityki wewnętrznej i zagranicznej, dwoił się i troił, aż wreszcie sam się wykończył. Wojsko go nie znosiło, ulica darzyła serdeczną antypatią. Lud obarczał go winą za całe zło, począwszy od podwyżek cen biletów do kina, po suszę, która pustoszyła pola w owych latach. Owszem, Serrano był dla

Caudilla niezwykle użyteczny, ale stał się zbyt potężny i zbyt znienawidzony. Jego obecność w rządzie zaczynała ciążyć wszystkim, a zwycięstwo Niemców, których z takim entuzjazmem popierał, było coraz mniej realne. Dlatego mówiono, że Franco skorzystał z owej awantury z bombą, żeby się od niego uwolnić, a przy okazji zrzucić nań całą odpowiedzialność za hiszpańskie sympatie dla Osi.

Taka była nieoficjalna wersja wydarzeń, powszechnie uznawana za prawdziwą. Ja jednak słyszałam o innej, dodatkowej przyczynie, być może znacznie większej wagi niż wewnętrzne napięcia w polityce, niełaska Franco i wojna w Europie. Dowiedziałam się o tym, nie wychodząc z domu, od klientek z kręgów hiszpańskiej elity, które coraz tłumniej pojawiały się w moich przymierzalniach. Według nich prawdziwą sprawczynią porażki wszechwładnego ministra była Carmen Polo, nasza pierwsza dama. Powodowało nią podobno oburzenie na wieść, że 29 sierpnia piękna i bezwstydna markiza de Llanzol powiła czwartą córkę. Inaczej niż w przypadku poprzednich latorośli ojcem owej dziewczeczki o kocich oczach nie był ślubny małżonek, ale Ramón Serrano Suner. Upokorzenie, jakie ów straszliwy skandal oznaczał nie tylko dla żony rozwiązłego szwagra – siostry doni Carmen, Zity Polo – ale dla całej rodziny Franco Polo jako takiej, przelało czarę goryczy. Czegoś takiego żona Caudilla nie mogła puścić płazem. Wierciła mężowi dziurę w brzuchu, dopóki nie zgodził się pozbyć szwagra. Odwetowa dymisja była nieuchronna. Po trzech dniach Franco zakomunikował mu to prywatnie, a po czterech ogłoszono tę wiadomość publicznie. Rosalinda

powiedziałyby, że Serrano był *totally out*, Candelaria wyraziłaby się bardziej dosadnie: dostał kopa w dupę.

Plotkowano, że na osłodę zostanie ambasadorem w Rzymie, a jak sprawa przycichnie, być może wróci do władzy. Nic z tego. U szwagra popadł w niełaskę ostateczną i nieodwoalną. Na jego usprawiedliwienie trzeba dodać, że usunął się taktownie i z godnością dożył końca swoich dni: pracował w prywatnych firmach, prowadził praktykę adwokacką, pisywał do gazet i publikował nieco polukrowane pamiętniki. Już jako dysydent niejednokrotnie wypowiadał się na forum publicznym, sugerując konieczność głębokich reform. Nigdy się nie pozbył kompleksu wyższości, ale oparł się tak częściej u innych frankistowskich polityków pokusie, by po zmianie ustroju twierdzić, że zawsze był zagorzałym demokratą. Z czasem zyskał sobie nawet względny szacunek Hiszpanów. Zmarł na kilka dni przed swoimi urodzinami. Dożył prawie stu dwóch lat.

Musiały upłynąć ponad trzy dekady od chwili, gdy w bezpardonowy sposób zrzucił Beigbedera z ministerialnego stołka, by zdobył się na parę ciepłych słów o dawnym rywalu. „Był dziwakiem i oryginałem, jedynym w swoim rodzaju, obdarzonym wyjątkową kulturą i ponadprzeciętną fantazją”, napisał we wspomnieniach. Porządny człowiekiem, przyznał wreszcie. Cóż, trochę za późno.

Wojna skończyła się 8 maja 1945 roku. Kilka godzin później ambasada w Madrycie i wszystkie niemieckie nieruchomości zostały oficjalnie zamknięte, opieczętowane i przekazane ministerstwu Spraw Wewnętrznych i Zagranicznych. Alianci

jednak nie mieli tam wstępu aż do 5 czerwca, kiedy to podpisano akt kapitulacji. Gdy brytyjscy i amerykańscy funkcjonariusze mogli wreszcie wejść do budynków, z których naziści prowadzili swoje działania w Hiszpanii, znaleźli tylko nagie ściany, gabinety bez mebli, spalone archiwa i puste, otwarte sejfy. Niemcy, pracowicie zacierając ślady, wynieśli nawet lampy. A wszystko pod pobłażliwym okiem agentów hiszpańskiego Ministerstwa Rządu, którzy mieli strzec owego majątku. Z czasem niektóre rzeczy odnaleziono i zarekwirowano: dywany, obrazy, stare rzeźby, porcelanę i srebra. Po wielu innych zaginął jednak wszelki ślad, a z kompromitujących dokumentów, będących świadectwem bliskiej współpracy Hiszpanii z Niemcami, pozostał jedynie popiół, choć podobno udało się odzyskać aliantom łup najcenniejszy: dwie tony złota przetopionego na setki nieoznakowanych i niezinventaryzowanych sztabek, które przeleżały pod kocem w gabinecie pełnomocnika rządu do spraw polityki ekonomicznej. Spośród Niemców, których żony nosiły moje suknie na wystawnych balach i przyjęciach, nieliczni zostali deportowani, inni, chcąc uniknąć repatriacji, zgodzili się na współpracę, większość jednak zdołała się ukryć, zakamuflować, uciec, przyjmując hiszpańskie obywatelstwo, wysliznąć jak węgorze z sieci lub jakimś tajemniczym sposobem przedzierzgnąć w uczciwych obywateli z przeszłością czystą jak łąza. Mimo nacisków aliantów, by Hiszpania zastosowała się do międzynarodowych rezolucji, reżim nie kwapił się do działania, chroniąc wielu nazistów, którzy figurowali na czarnej liście.

Co do Hiszpanii, to niektórzy myśleli, że Caudillo upadnie wraz z kapitulacją Niemiec. Wielu łudziło się, że wkrótce powróci monarchia lub nastąpi jakieś polityczne otwarcie. Ale na to trzeba było jeszcze długo czekać. W Falandze poleciało kilka głów, Franco przewietrzył rząd, dokonując paru kosmetycznych zmian, zacieśnił więzi z Watykanem i rządził dalej. A nowi panowie świata, nieskazitelni demokraci, którzy tak heroicznie zwalczali nazizm i faszyzm, patrzyli na to przez palce. W owym czasie, gdy Europa zajęta była sobą, mozolnie odbudowując się ze zniszczeń, nikogo już nie obchodził ów rozwichrzony, hałaśliwy, rozbity kraj; nikogo nie interesowały nasze kopalnie, nasze atlantyckie porty, nasz głód i zaciśnięta pięść niziutkiego generała, który nami rządził. Nie przyjęli nas do Organizacji Narodów Zjednoczonych, wycofali ambasadorów i nie dali ani dolara z planu Marshalla. Przestali się wtrącać. Radźcie sobie sami, kochani. *Hands off*, powiedzieli alianci, kiedy nadszedł dzień zwycięstwa. Ręce precz, chłopcy, spadamy. Słowo się rzekło: dyplomaci i agenci tajnych służb spakowali manatki, otrzepali spodnie i pojechali do domu. Po latach niektórzy postanowili wrócić i znów wkraść się w nasze łaski, ale to już inna historia.

Alana Hillgartha nie było już wówczas w Hiszpanii. W roku 1944 został przeniesiony na stanowisko szefa wywiadu marynarki do Far East Fleet. Kiedy wojna się skończyła, wziął rozwód z Mary i poślubił jakąś młodą dziewczynę, której nigdy nie poznałam. Odszedł ze służby i osiadł w Irlandii, z dala od tajnych operacji, które przez tyle lat były treścią jego życia.

Z imperialnych snów o potęgze, na których zbudowano Nową Hiszpanię, ziściło się tylko – na krótko – utrzymanie Protektoratu. Gdy na świecie nastał pokój, hiszpańskie wojska musiały opuścić Tanger, okupowany samowolnie od pięciu lat jako obiecujący przedsięwzięcie kolonialnego raj, który na zawsze pozostał zamknięty. Zmieniali się Wysocy Komisarze, rozkwitał Tetuan, gdzie Maurowie i chrześcijanie żyli razem w spokoju i harmonii pod troskliwą opieką metropolii. Jednak na początku lat pięćdziesiątych w strefie francuskiej wybuchły antykolonialne rozruchy. Starcia były tak krwawe i gwałtowne, że Francja ugięła się w końcu i przystąpiła do rozmów, a drugiego marca 1956 roku uznała niezawisłość Maroka. Hiszpanie tymczasem trwali w przekonaniu, że ich to nie dotyczy: poparli jednak Muhammada V, sprzeciwili się Francuzom, udzielili schronienia narodowcom. O świętą naiwności. Wyzwoliwszy się od Francji, Marokańczycy natychmiast jęli się domagać suwerenności całego kraju. Siódmego kwietnia, w pośpiechu, na chybcika, by uniknąć eskalacji konfliktu, Protektorat dokonał swego żywota. I podczas gdy Marokańczycy, ciesząc się z odzyskanej niepodległości, przystąpili do rekonkwisty ojczyzny, dla dziesiątek tysięcy Hiszpanów rozpoczynał się dramat repatriacji. Urzędnicy i żołnierze, ludzie wolnych zawodów, przemysłowcy, rzemieślnicy i sklepikarze opuścili swoje domy, by wraz z rodzinami wyruszyć do Hiszpanii, której wielu z nich nawet nie znało. Zostawili ulice, kolory, zapachy, wspomnienia i groby najbliższych. Z dobytkiem spakowanym w kufry i rozdartym sercem przepłynęli Cieśninę, po czym niepewni, co



zgotuje im przyszłość, rozproszyli się po mapie Półwyspu, wciąż tęskniąc za swoją Afryką.

Takie były losy miejsc i postaci związanych z historią owych niespokojnych czasów. Ich intrygi, triumfy i klęski zapełniały swego czasu łamy gazet, były tematem rozmów i towarzyskich plotek, a dziś można o nich przeczytać w bibliotekach i na kartach pamiętników. Bardziej mglista przyszłość pisana była nam, stojącym w ich cieniu domniemanym uczestnikom zdarzeń z tamtych lat.

Do historii moich rodziców można by na użytek tej opowieści dopisać rozmaite zakończenia. W jednym z nich Gonzalo de Alvarado jedzie do Maroka, odszukuje Dolores i wraca z nią do Madrytu, gdzie odzyskują stracony czas i nigdy więcej nie rozstają się ze sobą. W innym, przeciwnie, ojciec zostaje w stolicy, matka zaś poznaje w Tetuanie statecznego wdowca, oficera, który durzy się w niej jak uczeń, pisuje czułe listy, zaprasza ją na kremówki do La Campana i spaceruje po parku o zachodzie słońca. Długo i cierpliwie stara się o jej rękę, aż wreszcie, w pewien czerwcowy poranek, biorą skromny ślub w obecności wszystkich swoich dzieci.

W życiu moich dawnych przyjaciół z Tetuanu również coś dałoby się zmienić. Candelaria mogłaby przejąć po Dolores atelier przy Sidi Mandri i otworzyć tam najlepszy pensjonat w całym hiszpańskim Maroku. Zarobiłaby na tym krocie i kupiła także sąsiednie mieszkanie, z którego Félix Aranda zniknął pewnej burzliwej nocy, gdy puściły mu nerwy i w końcu dobił swoją matkę trzema fiolkami opatlidonu rozpuszczonego w butelce anyżówki. Nareszcie wolny, zamieszkałby w

Casablance, otworzył sklepik z antykami, miał tysiąc kochanek w stu kolorach i mógłby sobie intrygować i węszyć do woli.

Co do Marcusa i mnie, to nasze drogi rozeszły się tuż po zakończeniu wojny. Możliwe, że po burzliwym, trwającym cztery lata romansie on wrócił do swojego kraju, a ja osiadłam na stałe w Madrycie jako dumna właścicielka legendarnego atelier, dostępnego tylko nielicznym klientkom, które sama sobie wybierałam, zależnie od chwilowego kaprysu. Albo znudziła mi się praca i przyjąłam oświadczyzny wziętego chirurga, który do końca życia nosił mnie na rękach i zdmuchiwał pyłek sprzed moich stóp. Mogłoby się jednak zdarzyć i tak, że Marcus i ja postanowiliśmy razem przebyć resztę drogi: wróciliśmy do Maroka, kupiliśmy piękny dom na Monte Viejo, założyliśmy rodzinę, otworzyliśmy prawdziwą firmę i żyliśmy w dostatku, a po odzyskaniu przez Maroko niepodległości zamieszkaliśmy w Londynie. Albo gdzieś na wybrzeżu Morza śródziemnego. Albo na południu Portugalii. Albo, jeśli wolicie, nigdzie i przez dziesiątki lat tułaliśmy się po świecie jako agenci brytyjskich tajnych służb, pod przykrywką przystojnego attache handlowego i jego szycownej hiszpańskiej żony.

Nasze losy mogły być właśnie takie, ale mogły być też całkiem inne, ponieważ o tym, co się z nami stało, nigdzie nie znajdziecie żadnej wzmianki. Być może nigdy nie istnieliśmy naprawdę. A może istnieliśmy, ale nikt nas nie zauważył, niewidocznych, lecz obecnych pod podszewką historii owych czasów, które upłynęły mi przy szyciu.

# Od autorki

Dobre obyczaje panujące w świecie akademickim, z którym związana jestem od ponad dwudziestu lat, wymagają od autora podania źródeł, z jakich korzystał w swojej pracy, dlatego też postanowiłam załączyć na końcu bibliografię najważniejszych publikacji, pomocnych mi przy pisaniu tej powieści. Znaczna część materiałów, na których się oparłam, chcąc odtworzyć realia, naszkicować postaci i nadać spójność intrydze, wykracza jednak poza obszar słowa drukowanego, uznałam zatem, że zasługują na osobną wzmiankę.

Rekonstruując obraz kolonialnego Tetuanu, posłużyłam się licznymi świadectwami zebranymi w biuletynach stowarzyszenia byłych mieszkańców hiszpańskiego protektoratu w Maroku „La Medina”. Za okazaną mi życzliwość pragnę gorąco podziękować jego nostalgicznym członkom oraz zarządowi w osobach Francisca Trujillo i Adolfa de Pablos. Równie pomocne i wzruszające były marokańskie wspomnienia, odkurzone przez moją matkę i ciotki: Estrellę Vinuesa i Paquitę Moreno, a dokumenty, które udostępnił mi Luis Álvarez, zapalony do mojego projektu niemal tak samo jak ja, stały się dla mnie istną kopalnią wiedzy. Niezwykle cennych wskazówek bibliograficznych udzielił mi Miguel Sáenz, tłumacz, do pewnej wyjątkowej książki, która po części

dotyczyła Tetuanu i z której czerpałam natchnienie, tworząc sylwetki dwojga barwnych drugoplanowych bohaterów tej historii.

Gdy starałam się odtworzyć krętą drogę życiową Juana Luisa Beigbedera, niezwykle interesujących informacji dostarczył mi marokański historyk Mohamed Ibn Azzuz, zazdrosny strażnik jego spuścizny. Za ułatwienie spotkania z owym wybitnym uczonym oraz gościnę w siedzibie Stowarzyszenia Tetuan-Asmir – pięknym, zabytkowym budynku dawnej delegatury do spraw ludności tubylczej – dziękuję Ahmedowi Mgarze, Abdeslamowi Chaachoo i Ricardowi Barceló. Słowa wdzięczności należą się także José Carlosowi Canaldo za ciekawe szczegóły z biografii Wysokiego Komisarza; José Marii Martínez-Val za wyczerpującą odpowiedź na pytania związane z jego powieścią *Llegará tarde a Hendaya*, w której Beigbeder pojawia się jako jedna z postaci; Domingowi del Pino za to, że swoim artykułem otworzył mi drzwi do wspomnień Rosalindy Powell Fox – kluczowych dla intrygi mojej powieści – oraz Michaelowi Brufal de Melgarejo za pomoc w tropieniu jej śladów na Gibraltarze.

Za osobistą życzliwość oraz informacje z pierwszej ręki na temat Alana Hillgartha, aktywności brytyjskich tajnych służb na Półwyspie Iberyjskim i skrzynki kontaktowej w Embassy chcę podziękować Patricii Martinez de Vicente, córce aktywnego uczestnika owych zdarzeń i autorce książki *Embassy o la inteligencia de Mambrú*. Chcę też złożyć wyrazy uznania profesorowi Davidowi A. Messengerowi z uniwersytetu w

Wyoming za jego artykuł o działaniach SOE na terenie Hiszpanii.

Na końcu pragnę wyrazić swoją wdzięczność wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób uczestniczyli w procesie tworzenia tej historii, czytając całość lub fragmenty, dodając mi otuchy, poprawiając, gwizdząc i klaszcząc. Tym, którzy przez cały czas byli przy mnie. Moim rodzicom – za bezwarunkowe wsparcie. Mojemu mężowi Manolowi Castellanosowi i moim pełnym temperamentu dzieciom, Jaime i Bárbarze, za przypominanie mi każdego dnia, co jest w życiu naprawdę ważne. Mojemu liczniemu rodzeństwu z przyległościami, bliższym i dalszym krewniakom, przyjaciołom od *in vino amicitia* oraz moim znakomitym kolegom anglofilom.

Loli Gulias z Agencji Literackiej Antonii Kerrigan za to, że pierwsza we mnie uwierzyła.

Ale szczególne podziękowania należą się mojej wydawczyni, Raquel Gisbert, za wielki profesjonalizm, zapał i energię. I za to, że wszystkie moje wzloty i upadki znosiła cierpliwie i z humorem.

# Bibliografía

ALCARAZ, Ignacio, *Entre España y Marruecos. Testimonio de una época: 1923–75*, Catriel, Madrid 1999. *Retratos en la memoria*, Catriel, Madrid 2002.

ALPERT Michael, *Operaciones secretas inglesas en España durante la segunda guerra mundial*, *Espacio, tiempo y forma*, Serie V, *Historia Contemporánea*, Nr 15, 2002.

ARMERO, José Mario, *La política exterior de Franco*, Planeta, Barcelona 1978.

BARFOUR, Sebastián i Paul PRESTON, *España y las grandes potencias en el siglo XX*, Crítica, Barcelona 1999.

BERDAH, Jean François, *La propaganda cultural británica en España durante la segunda guerra mundial a través de la acción del British Council: Un aspecto de las relaciones hispano-británicas 1939–46*, w: *El régimen de Franco: política y relaciones exteriores*, J. Tusell (ed.), UNED, Madrid 1993.

CARDONA, Gabriel, *Franco y sus generales. La manicura del tigre*, Temas de Hoy, Madrid 2001.

CARUANA, Leonardo, *A wolfram in sheep's clothing: Economic warfare in Spain, 1940–44*, „Journal of Economic History”, 16, 1, 2003.

COLLADO, Carlos, *España refugio nazi*, Temas de Hoy, Madrid 2005.

ECCLES, David, *By Safe Hand: The Letters of Sybil & David Eccles 1939–42*, The Bodley Head, London 1983.

FRANCO SALGADO-ARAUJO, Francisco, *Mis conversaciones privadas con Franco*, Planeta, Barcelona 1976.

HALSTEAD, Charles R., *Un africain méconnu: le colonel Juan Beigbeder*, „Revue d'Histoire de la Deuxième Guerre Mondiale”, vol. 21, 1971.

A „Somewhat Machiavellian” Face: Colonel Juan Beigbeder as High Commissioner in Spanish Morocco, 1937–1939, „The Historian”, 37, 1, 1974.

HOARE, Samuel, *Ambassador on Special Mission*, Collins, London 1946.

IBN AZUZ, Mohamed, *Una visión realista del protectorado ejercido por España en Marruecos*, Actas del encuentro España-Marruecos, Publicaciones de la Asociación Tetuán-Asmir, Tetuan 1998.

IGLESIAS-SARRIA, Manuel, *Mi suerte dijo si*, San Martín, Madrid 1987.

IRUJO, José María, *La lista negra. Los espías nazis protegidos por Franco y la Iglesia*, Aguilar, Madrid 2003.

MADARIAGA, María Rosa de, *Los moros que trajo Franco*, Martínez Roca, Madrid 2002.

MARTÍNEZ DE VICENTE, Patricia, *Embassy o la inteligencia de Mambrú*, Veleció, Madrid 2003.

MERINO, Ignacio, *Serrano Suñer. Historia de una conducta*, Planeta, Barcelona 1996.

MESSENGER, David, *Against the grain: Special Operations Executive in Spain 1941–45*, w: *Special Issue on Special Operations Executive – New Approaches and Perspectives. Intelligence and National Security*, 20, 1, N. Wylic (ed.), 2005.

MORADIELLOS, Enrique, *Franco frente a Churchill*, Península, Barcelona 2005.

MORALES, Víctor, *España y el norte de África. El Protectorado español en Marruecos*, UNED, Madrid 1986.

MORENO, Xavier, *Hitler y Franco. Diplomacia en tiempos de guerra*, Planeta, Barcelona 2007.

NERÍN, Gustau, *La guerra que vino de África*, Crítica, Barcelona 2005.

NERÍN, Gustau, BOSCH, Alfred, *El imperio que nunca existió. La aventura colonial discutida en Hendaya*, Plaza y Janés, Barcelona 2001.

PALACIOS, Jesús, *Los papeles secretos de Franco*, Temas de Hoy, Madrid 1996.

*Las cartas de Franco*, La Esfera de los Libros, Madrid 2005.

PHILLIPS, Lucas, *El pimpinela de la guerra española 1936/39*, Juventud, Barcelona 1965.

PINO, Domingo del, *Rosalinda Powell Fox: Espía, amante, aventurera aristocrática?*, „AFKAR Ideas”, 6, 2005.

PLATÓN, Miguel, *Los militares hablan*, Planeta, Barcelona 2001.

POWELL FOX, Rosalinda, *The Grass and the Asphalt*, Harter & Associates, Puerto de Sotogrande 1997.

RIDRUEJO, Dionisio, *Casi unas memorias*, Península, Barcelona 2007.

ROMERO, Ana, *Historia de Carmen. Memorias de Carmen Díez de Rivera*, Planeta, Barcelona 2002.

ROJAS, Carlos, *Diez crisis del franquismo*, La Esfera de los Libros, Madrid 2003.



ROS AGUDO, Manuel, *La guerra secreta de Franco*, Crítica, Barcelona 2002.

*La gran tentación. Franco, el imperio colonial y los planes de intervención española en la segunda guerra mundial*, Styria, Barcelona 2008.

RUBIO, Javier, *Asilos y canjes durante la guerra civil española*, Planeta, Barcelona 1979.

SALAS LARRAZÁBAL, Ramón, *El Protectorado español en Marruecos*, MAPFRE, Madrid 1992.

SÁNCHEZ RUANO, Francisco, *Islam y guerra civil española*, La Esfera de los Libros, Madrid 2004.

SAÑA, Heleno, *El franquismo sin mitos. Conversaciones con Serrano Suner*, Grijalbo, Barcelona 1982.

SERRANO SUÑER, Ramón, *Entre Hendaya y Gibraltar*, Ediciones y publicaciones españolas, Madrid 1947.

*Entre el silencio y la propaganda, la historia como fue. Memorias*, Planeta, Barcelona 1977.

SCHULZE, Ingrid, *La propaganda alemana en España 1942–44, Espacio, tiempo y forma, Serie V, Historia Contemporánea*, 7, 1994.

SMYTH, Denis, *Diplomacy and Strategy of Survival. British Policy and Franco 's Spain*, Cambridge University Press, Cambridge 1986.

STAFFORD, David, *Churchill and Secret Service*, John Murray, London 1997.

SUÁREZ, Luis, *España, Franco y la segunda guerra mundial*, Actas Editorial, Madrid 1997.

TUSSEL, Javier (ed.), *El régimen de Franco: política y relaciones exteriores*, UNED, Madrid 1993.

*Los cuatro ministros de asuntos exteriores de Franco durante la segunda guerra mundial*, *Espacio, tiempo y forma*, Serie V, *Historia Contemporánea*, 7, 1994.

VELASCO, Carlos, *Propaganda y publicidad nazis en España durante la segunda guerra mundial: algunas características*, *Espacio, tiempo y forma*, Serie V, *Historia Contemporánea*, 7, 1994.

VIÑAS, Ángel, *La Alemania nazi y el 18 de julio*, Alianza, Madrid 1974.

*Franco, Hitler y el estallido de la guerra civil*, Alianza, Madrid 2001.

<sup>1</sup> Pseudonim artystyczny Pastory Rojas Monje (1889–1979), hiszpańskiej tancerki, pieśniarki i aktorki filmowej. Jej małżeństwo ze słynnym torreadorem Rafaelem Gomezem „el Gallo” przetrwało zaledwie rok (wszystkie przypisy tłumaczki).

<sup>2</sup> Manuel Azaña y Diaz (1880–1940), hiszpański lewicowy polityk i pisarz, w latach 1931–1933 premier Drugiej Republiki.

<sup>3</sup> José Antonio Primo de Rivera (1903–1936), syn Miguela Prima de Rivera, prawicowego polityka i dyktatora Hiszpanii w latach 1923–1930, założyciel i lider narodowo-syndykalistycznej Falangi. W 1936 r. poparł bunt przeciwko lewicowemu prezydentowi Manuelowi Azañi.

<sup>4</sup> Powstanie wzniecone w latach dwudziestych XX w. przez Rifonów – plemię zamieszkujące góry Rif w Maroku. Proklamowana wówczas Republika Rif upadła po stłumieniu

buntu przez Francję i Hiszpanię, mimo to przez sześć lat trwały jeszcze walki partyzanckie.

<sup>5</sup> Rząd Hiszpanii na terenie Protektoratu reprezentował Wysoki Komisarz akredytowany przy kalifie, sprawującym władzę z nadania sułtana.

<sup>6</sup> Tetuan położony jest na łagodnych zboczach rozległego wzgórza Dersa i w dolinie zamkniętej skalistym masywem Gorgesu (Beni Hosmar).

<sup>7</sup> Sklepik lub stragan mauretański.

<sup>8</sup> Mauretański zamek, do którego na początku hiszpańskiej wojny domowej republikanie zepchnęli rebeliantów. Około tysiąca trzystu ludzi, w tym kilkaset kobiet i dzieci, broniło się tam ponad dwa miesiące, dopóki nie przyszły im z odsieczą oddziały generała Franco.

<sup>9</sup> Żółta Równina, płaskowyż w górach Rif, gdzie w lipcu 1936 r. odbyły się manewry wojskowe, w czasie których przypieczętowano sprzysiężenie generałów przygotowujących rebelię przeciwko II Republice Hiszpańskiej.

<sup>10</sup> Gadzio – tak Romowie nazywają ludzi obcych etnicznie.

<sup>11</sup> Obszary przeznaczone pod uprawę warzyw, często sztucznie nawadniane.

<sup>12</sup> Hiszp. *azotea* – płaski dach, nierzadko wykorzystywany jako część mieszkalna.

<sup>13</sup> *Hadrear* (w *haketía*): mówić.

[14](#) Piel de Toro – tak Hiszpanie nazywają swój kraj ze względu na kształt przypominający rozciągniętą skórę byka.

[15](#) Port.: mleko.

[16](#) Port.: różnych rzeczy.

[17](#) Port.: nasz; tu: naszej herbaty.

[18](#) Port.: mojego syna.

[19](#) Port.: noc, wieczór.

[20](#) Port.: bardzo, bardzo.

[21](#) Port.: też.

[22](#) Franc.: związek, romans.

[23](#) Port.: wyjątkowy, szczególny.

[24](#) Wł. (*buona*), port. (*impressão*): dobre wrażenie.

[25](#) Zdrobnienie od Francisco.

[26](#) W dawnej Hiszpanii liczba nazwisk świadczyła o rodowodzie i statusie człowieka; dziś używa się przeważnie nazwisk dwuczłonowych – pierwszego po ojcu, drugiego po matce.

[27](#) Rezydencja królów, a od 1940 r. siedziba generała Franco.

[28](#) Falangi.

[29](#) Hiszp: *cherja* a. *chelja* – dialekt plemion z Sahary Północnej.

[30](#) Arab.: *baraka* – szczęście.

[31](#) Don Cygan.

[32](#) Port.: dzień dobry.

[33](#) Port.: Kościół Świętego Dominika. Nowenna do Matki Bożej Fatimskiej.

[34](#) Port.: noc.

[35](#) Juan Carlos Teresa Silvestre Alfonso de Borbón y Battenberg (1913–1993), syn Alfonsa XIII i Wiktorii Eugeniej, ojciec Juana Carlosa, obecnego króla Hiszpanii.

[36](#) Dionisio Ridruejo Jiménez (1912–1975) – pisarz, poeta i polityk hiszpański, współautor hymnu Falangi. Walczył jako ochotnik w Błękitnej Dywizji, a po powrocie z Rosji stał się zagorzałym krytykiem frankistowskiego reżimu, wielokrotnie więzionym za przekonania.

[37](#) Przegrana bitwa z Rifenami w 1909 roku.